

Tytuł oryginału: 1632

Copyright © 2000, 2006 Eric Flint. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Prawa do wydania polskiego należą do ISA Sp. z o.o., Warszawa 2006.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Książka jest chroniona polskim i międzynarodowym prawem autorskim. Jakikolwiek jej powielanie lub nieautoryzowany użytek jej zawartości jest zabronione bez pisemnej zgody wydawcy lub właściciela praw autorskich. Ilustracja na okładce: Łukasz Mrozek

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Barbara Giecold i Michał Bochenek

Korekta: Sylwia Sandowska-Dobija

Skład: Jarosław Polański

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

ISA Sp. z o.o. Al. Krakowska 110/114 02-256 Warszawa tel./fax (0-22) 846 27 59 e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 83-7418-097-8 ISBN: 978-83-7418-097-9

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:

www.isa.pl

Mojej matce,

Mary Jeanne McCormick Flint,

oraz Wirginii Zachodniej,

z której pochodzi.

Prolog

Tej tajemnicy nigdy nie udało się wyjaśnić. Podobnie jak meteor tunguski czy krater Walhalla na Callisto2, dołączy ona do katalogu zjawisk niewytłumaczalnych. Gdy po paru miesiącach stało się już jasne, że nie uda się znaleźć żadnej szybkiej odpowiedzi, oczy całego świata zaczęły stopniowo kierować się w inną stronę. Przez kilka lat ludzie opłakujący swych bliskich naciskali na władze, aby kontynuowały śledztwo, ale niestety, do tego potrzebni byli prawnicy, a tych właśnie zabrakło. Sąd prędko ustalił, że katastrofa w Grant-ville była woła bożą, więc z tego tytułu nie należy się żadne odszkodowanie. W ciągu dziesięciu lat katastrofa, wzorem zabójstwa Kennedy 'ego, stała się pożywką dla fanatyków i zapaleńców, dzięki czemu nie było jej dane odejść w zapomnienie. Prawdopodobnie jednak żaden szanujący się naukowiec nie żywił nadziei, że zagadkę uda się ostatecznie rozwikłać. Teorii, rzecz jasna, nie brakowało, choć z przyrządów pomiarowych nie dało się niczego konkretnego odczytać. Niewielka czarna dziura przeszła przez atmosferę Ziemi - to była jedna z teorii. Inna (popularna do czasu, gdy w świetle późniejszych odkryć odrzucono obliczenia, na których się opierała) głosiła, że to oderwana superstruna* wymierzyła planecie lekko chybyony cios.

Jedyną osobą, która była bliska zrozumienia, że oto powstał nowy świat, był pewien biolog, Hank Tapper - student trzeciego roku biologii - dołączony praktycznie w ostatniej chwili do jednej z ekip geologów, wysianych w celu zgłębienia przyczyn katastrofy. Spędzili oni kilka miesięcy na badaniu obszaru, który zastąpił część Wirginii Zachodniej. Jedynym wnioskiem, do jakiego doszli, było to, że ów nowy obszar nie był naturalną częścią rejonu. Był on

10

Erie Flint

jednak bez wątplenia pochodzenia ziemskiego, co całkowicie ostudziło zapal UFO-maniaków.

Obcy teren został zmierzony, i to dość dokładnie. Tworzył idealną półkulę o promieniu pięciu kilometrów. Kiedy ekipa geologów odjechała, Tapper pozostał tam jeszcze przez kilka

miesiący. W końcu doszedł do wniosku, że identyczna flora i fauna występuje w pewnych częściach Europy Środkowej. Ogarnęło go podniecenie. Jego odkrycie pokrywało się z raportem archeologicznym, który - bardzo, ale to bardzo nieśmiało - sugerował, że zrujnowane domostwa odnalezione na nowym obszarze przywodzą na myśl przełom późnego średniowiecza i wczesnego okresu nowożytnego na ziemiach niemieckich. Podobnie było z siedmioma ciałami - dwóch mężczyzn, dwóch kobiet oraz trojga dzieci - znalezionymi w jednym z domów. Ogień w znacznym stopniu uszkodził zwłoki, jednak ślady na kościach wskazywały, że przynajmniej dwie spośród siedmiu osób zamordowano przy użyciu broni siecznej dużych rozmiarów.

Badania zębów wskazywały na to, że ci ludzie albo nie należeli do epoki współczesnej, albo też - z niejasnych względów - ich uzębienie nigdy nie było leczone. Z drugiej jednak strony ekspertyza jednoznacznie stwierdzała, że morderstwa popełniono niedawno. Ponadto w momencie odnalezienia domostw z ich zgliszczy wciąż jeszcze unosił się dym.

Przez kolejne miesiące Tapper sprawdzał, czy gdzieś w Europie Środkowej nie zniknął jakiś fragment terenu, ale niestety niczego nie znalazł.

Jedynym możliwym wyjaśnieniem było przeniesienie zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Tapper miał przed sobą dobrze zapowiadającą się karierę, która ległaby w gruzach, gdyby ujawnił swe przypuszczenia bez okazania jakichkolwiek dowodów. A jeśli miał rację, to nie mogło być mowy o dowodach. Jeżeli cokolwiek pozostało z zaginionego terenu, przepadło gdzieś w otchłani

Tak więc Tapper musiał się pogodzić z tym, że jego całoroczny wysiłek poszedł na marne. Opublikował, rzecz jasna, wyniki swoich badań, lecz jedynie w postaci suchych i rzeczowych sprawozdań, i to w mało znaczących periodykach. Niczego nie sugerował, nie starał się nawet wyciągać wniosków - zależało mu na braku jakiegokolwiek zainteresowania ze strony opinii publicznej.

I dobrze się stało. Zrujnowałby sobie bowiem karierę, i to na próżno - nikt by mu nie uwierzył. A gdyby nawet ktoś taki się znalazł, to najbardziej skrupulatne przetrząśnięcie Europy Środkowej nie wykazałoby istnienia tam pasującej półkuli. Ona oczywiście tam była - w rejonie Niemiec zwanym Turynią - ale prawie czterysta lat wcześniej i jedynie przez ułamek sekundy. Gdy tylko dokonano się przemieszczenie obydwu półkul, nowy świat oddzielił się od starego.

Poza tym prawda była dużo dziwniejsza niż to, co przychodziło Tapperowi do głowy, choć nawet on przypuszczał, że przyczyną mógł być jakiś galaktyczny kataklizm.

* * *

W rzeczywistości katastrofa w Grantville była skutkiem tego, co ówcześni ludzie zwykli nazywać „przestępczą nieumyślnością”. Spowodował ją odłamek kosmicznego śmiecia, oderwany fragment czegoś, co (z braku lepszego określenia) mogłoby zostać nazwane dziełem sztuki. Można by rzec: odłamek rzeźby. Assiti dawali upust swym solipsystycznym zapędom przy użyciu materii czasoprzestrzennej, nie zdając sobie sprawy z wpływu, jaki ich „sztuka” wywiera na resztę wszechświata.

Osiemdziesiąt pięć milionów lat później Assiti zostali unicestwieni przez Fta Tei. Jak na ironię, Fta Tei byli bocznym odgałęzieniem jednego z wielu gatunków wywodzących się z rasy ludzkiej. Nie powodowała nimi jednak chęć zemsty. Fta Tei nie mieli pojęcia o swych korzeniach sięgających odległej planety zwanej Ziemią, a tym bardziej nie wiedzieli o katastrofie, która miała tam miejsce. Przyczyną eksterminacji było to, że -pomimo wielu wyraźnych ostrzeżeń - Assiti nie przestali oddawać się swej szkodliwej i nieodpowiedzialnej sztuce.

Przepraszam za moich rodziców, Mikę. - Tom spojrział na wspomnianą parę wzrokiem pełnym żalu. - Miałem nadzieję, że... - Urwał, lekko wzdychając. - Naprawdę mi przykro. Władowałaś w to kupę kasy.

Mikę Stearns skierował wzrok tam, gdzie jego kolega. Matka i ojciec Toma Simpsona stali pod ścianą stołówki, jakieś piętaście metrów dalej, sztywno i ze skwaszonymi minami. Swoje bardzo kosztowne ubrania nosili tak, jak gdyby przywdziali pełną zbroję płytową. Filiżanki z ponczem trzymali kciukiem i palcem wskazującym, jakby chcieli w ten sposób odciąć się od odbywającej się uroczystości.

Mikę powstrzymał się od uśmiechu. „No tak. Wysłannicy cywilizacji przestrzegający *savoir-vivre'u* w krainie ludożerców”.

- Nie przejmuj się tym, stary - powiedział łagodnie. Przestał obserwować nadętą dwójkę spod ściany i zajął się lustrowaniem tłumu. Oczy błyszcząły mu z zadowolenia.

Stołówka była bardzo dużym pomieszczeniem. Ściany w praktycznym kre-mowo-szarym kolorze pokryto nieprzebraną ilością dekoracji, które brak dobrego smaku nadrabiały pogodą ducha i radosną żywiołowością. Puste krzesła przesunięto pod ściany, długie stoły ustawione nieopodal kuchni zastawiono jedzeniem i piciem.

Nie było kawioru ani szampana. Wiele zgromadzonych w sali osób nie ucieszyłoby się na widok pierwszego dania („rybie jaja, co za paskudztwo!”), drugie zaś było zabronione przez regulamin liceum. Ale Mikę się nie przejmował. Znał tych ludzi i wiedział, że docenią skromny poczęstunek i podziękują, nawet

16

Erie Flint

jeśli dla bogatych i wyrafinowanych miastowych jest on poniżej wszelkiej krytyki. Dotyczyło to głównie dorosłych, w znacznie mniejszym zaś stopniu tabunu dzieci biegających po całym pomieszczeniu.

Mikę poklepał młodszego kolegę po ramieniu. Przypominało to nieco poklepywanie zwalistego wołu. Tom był najlepszym blokującym wśród futboli-stów reprezentujących barwy Uniwersytetu Wirginii Zachodniej i z całą pewnością wyglądał na kogoś takiego.

- Moja siostra poślubiła ciebie, a nie twoich rodziców. Tom skrzywił się.

- Co z tego? Mogliby chociaż... Jeśli mieli zamiar tak się zachowywać, to po cholere w ogóle przyszli?

Mikę zerknął na niego. Pomimo ogromnych gabarytów kolegi nie musiał zadzierać głowy.

Choć wagowo nie mógł się z nim równać - Tom był cięższy o dobre 45 kilogramów -

obydwaj byli mniej więcej tego samego wzrostu; mieli nieco powyżej metra osiemdziesięciu.

Tom powrócił do niechętnego wpatrywania się w rodziców. Podobnie jak w ich przypadku, także jego twarz przybrała postać kamiennej maski. Mikę niepostrzeżenie mierzył wzrokiem swego świeżo upieczonego szwagra.

I to bardzo świeżo. Ślub odbył się niespełna dwie godziny wcześniej w małym kościele, odległym od budynku liceum o nieco ponad półtora kilometra. Rodzice Toma już podczas ceremonii kościelnej byli wyniośli i arogancy. Ich syn powinien był wziąć kameralny ślub w porządnej episkopalnej katedrze, anie... nie...

Nie dość, że duchowny to wieśniak, to jeszcze ta wsiowa szopa!

Mikę wraz z siostrą całe lata temu porzucili rygorystyczną wiarę swych przodków na korzyść spokojnego agnostycyzmu, jednak żadne z dwójki rodzeństwa nawet nie pomyślało o tym, że ślub Rity miałby się odbyć w jakimś innym miejscu. Pastor był przyjacielem rodziny, podobnie jak jego ojciec i ojciec jego ojca. I choć ceremonia utrzymana była w duchu kalwinistycznego fundamentalizmu, w niczym im to nie przeszkadzało. Mikę stłumił śmiech. Choćby dla samego widoku rodziców Toma, gotujących się z wściekłości na wzmiankę o siarce i ogniu piekielnym, warto było przyjść na mszę.

Dobry humor szybko go jednak opuścił. Dostrzegł czający się w oczach Toma ból. Zadawniony ból, jak przypuszczał. Tępy, stały ból mężczyzny nie akceptowanego przez własnego ojca już od chłopięcych lat.

Tom urodził się w jednej z najbogatszych rodzin w Pittsburghu. Jego matka wywodziła się z zamożnej rodziny ze wschodu Stanów. Jego ojciec - John Chandler Simpson - był dyrektorem naczelnym sporej korporacji naftowej. Lubił chętnie się opowieściami o tym, jak piął się po szczeblach kariery. Owszem, rzeczywiście spędził pół roku na hali produkcyjnej jako brygadzysta, tuż po tym, jak opuścił szeregi korpusu oficerskiego marynarki wojennej, jednak na późniejszy rozwój

jego kariery największy wpływ miał fakt, iż jego ojciec był właścicielem korporacji. John Chandler Simpson nie dopuszczał do siebie myśli, że jego własny potomek nie będzie chciał podążać tym dobrze przetartym szlakiem.

Jednak Tom nie spełniał pokładanych w nim nadziei - ani jako dziecko, ani po osiągnięciu pełnoletności. Mike słyszał, że John Chandler wpadł w szal, gdy dowiedział się, że zamiast Uniwersytetu Carnegie-Mellon jego syn wybrał Uniwersytet Wirginii Zachodniej. Gdy poznał przyczynę tej decyzji, i, j esz-cze bardziej go to rozjuszyło. „Futbol? Przecież ty nawet nie jesteś rozgrywającym!”. Gdy zaś rodzice ujrzeli wybrankę serca ich syna, obydwójce byli bliscy ataku apopleksji.

Mike przebiegał wzrokiem pomieszczenie, aż w końcu jego spojrzenie padło na dziewczynę w sukni ślubnej, śmiejącą się z czegoś, co właśnie powiedziała młoda kobieta stojąca u jej boku. To jego siostra Rita, dowcipkująca sobie wraz z jedną z druhen.

Różnica pomiędzy tymi dwiema dziewczynami była uderzająca. Druhna, Sharon, była dosyć pulchna, co absolutnie nie przeszkadzało jej być atrakcyjną, i miała niezwykle ciemną cerę, nawet jak na Murzynkę. Siostra Toma również była ładna, lecz tak szczupła, że sprawiała wrażenie wychudzonej. Jej wygląd zdradzał pochodzenie - niezwykle blada skóra, piegi, błękitne oczy i włosy niemal tak czarne jak u brata. Typowy appalachijski mieszaniec. Córka górnika i siostra górnika.

„Biała biedota. No cóż, tym właśnie jesteśmy”.

Myśląc tak, Mike nie czuł złości. Odczuwał raczej litość dla Toma i pogardę dla jego rodziców. Ojciec Mike'a, Jack Stearns, skończył liceum i pracował w kopalni, odkąd ukończył 18 lat. Nigdy nie było go stać na nic więcej niż skromny dom. Liczył na to, że pomoże swym dzieciom, gdy te pójdą do college'u. Nie przewidział jednak, że w kopalni zawali się strop i zniweczy wszelkie jego plany. Jack został kaleką i wkrótce potem zmarł. W dniu jego śmierci Mike był jak otepiały. Lata mijały, a w tym miejscu w jego sercu, które niegdyś zajmował ojciec, była teraz bolesna pustka.

- Olej to, stary - powiedział cicho do Toma. - Po prostu to olej. Jeśli to ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, pragnę ci powiedzieć, że twój szwagier cię

Tom wciągnął głęboko powietrze, po czym powoli je wypuścił.

- Jasne, że ma, i to spore.

Nagle potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić umysł i zająć go czymś zupełnie innym. Spojrzał Mike'owi prosto w twarz.

- Potrzebuję twojej szczerzej opinii. Za kilka miesięcy skończę szkołę i będę musiał podjąć decyzję, co dalej. Czy myślisz, że jestem wystarczająco dobry, żeby przejść na zawodowstwo?

Odpowiedź była natychmiastowa.

18

Erie Flint

- Nie. - Mike pokręcił ze smutkiem głową. - Dobrze ci życzę, stary. Znalazłbyś się dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja niegdyś byłem: najgorszym z możliwych. Niemal wystarczająco dobry. Wystarczająco dobry, by się łudzić, ale...

Tom zmarszczył brwi; wciąż miał nadzieję.

- Tobie się na swój sposób udało. Cholera, wycofałeś się niepokonany. Mikę zaśmiał się pod nosem.

- Właśnie. Po ośmiu zawodowych walkach w wadze średniej. - Podniósł dłoń i potarł niewielką bliznę na lewej brwi. - Na zakończenie kariery miałem nawet drugą walkę wieczoru w Grand Olympic Auditorium. To było niesamowite.

Ponownie się zaśmiał, tym razem już otwarcie.

- Zbyt niesamowite! Wygrałem - ledwie - na punkty. Dzieciak zażądał rewanżu. I właśnie wtedy wykazałem na tyle zdrowego rozsądku, żeby się wycofać. Trzeba znać własne możliwości.

Tom w dalszym ciągu był zachmurzony; wciąż się łudził. Mikę położył dłoń na jego masywnym ramieniu.

- Tom, spójrz prawdzie w oczy. Nie zajdziesz dalej ode mnie. Zdałem sobie sprawę z tego, że załatwiłem dzieciaka, bo miałem nieco więcej doświadczenia, nieco więcej pomysłu, nieco więcej szczęścia niż on. - Skrzywił się na wspomnienie młodego meksykańskiego boksera, którego szybkość i siła ciosu były naprawdę przerażające. - Ale wiedziałem, że dzieciak robi postępy, i to wkrótce. I wiedziałem też, że nigdy w życiu nie będę tak dobry, jak on już wtedy był. Dlatego się wycofałem, zanim rozwalił mi łeb. Radzę ci zrobić to samo, póki jeszcze masz zdrowe kolana.

Tom znowu wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale jego uwagę przykuła świeżo poślubiona małżonka, która zbliżała się, ciągnąc za sobą jakichś ludzi.

Tom w mgnieniu oka rozpromienił się niczym mały chłopiec. Widząc ten uśmiech, Mikę poczuł, że coś go chwyta za serce. „Taki fajny dzieciak, a tacy koszmarni starzy”.

Rita pojawiła się z właściwą sobie energią, która byłaby w stanie zasilić reaktor termojądrowy. Rozpoczęła od objęcia swego męża w sposób, który w takim miejscu jak szkolna stołówka był wielce nieodpowiedni - wskoczyła na niego, obejmując go nogami („a co tam suknia”). Dodatkowo do tego niemal lubieżnego uścisku był dziki i bez wątpienia mało skromny pocałunek. Gdy już zeskoczyła z Toma, podeszła, aby przytulić się do brata; w ten uścisk (choć oczywiście pozbawiony podtekstów seksualnych) włożyła tyle samo energii, co w poprzedni.

Gdy wstępna faza powitań dobiegła już końca, Rita odwróciła się i zaprosiła gestem dwie wlokące się za nią osoby. Pomijając szeroki uśmiech, wyglądało to tak, jakby cesarzowa przywoływała swe sługi.

Sharon również była uśmiechnięta od ucha do ucha. Stojąca obok niej postać miała na twarzy nieco bardziej stonowany uśmiech. Był to czarnoskóry mężczyzna około pięćdziesiątki, ubrany w bardzo kosztowny garnitur. Tradycyjne, szyte na miarę ubranie leżało na nim jak ulał, lecz jakoś dziwnie nie współgrało z uśmiechem mężczyzny. Mikę dostrzegł w nim coś zawadiackiego. A z postawy wniósł, że ciało ukryte pod garniturem jest znacznie bardziej atletycznie zbudowane niż wskazywałyby na to oszczędny krój.

- Mikę, chciałabym ci przedstawić ojca Sharon. - Rita odwróciła się i właściwie wypchnęła wspomnianego rodzica przed siebie, a potem zaczęła energicznie wymachiwać ręką. - Mój brat, Mikę Stearns. Doktor James Nichols. Zachowuj się kulturalnie, braciszku. To jest chirurg i pewnie gdzieś tu chowa jakiś zestaw skalpeli.

Chwilę później już jej nie było; popędziła w kierunku grupki ludzi rozmawiających w dalekim rogu stołówki, ciągnąc za sobą Toma i Sharon. Mikę i doktor Nichols zostali sami. Mikę spojrzał na nieznajomego, nie bardzo wiedząc, jak nawiązać rozmowę. Zdecydował się więc na mało wyszukany żart.

- O ile znam swoją siostrę - rzekł sucho - to mój nowy szwagier ma przed sobą długą noc. Doktor uśmiechnął się nieco szerzej, potęgując tym samym wrażenie zawadiactwa.

- Na to wygląda - powiedział przeciągle. - Zawsze ma tyle energii?

- Odkąd nauczyła się chodzić.

Po przełamaniu lodów Mike spróbował nieco uważniej przyrzeć się swemu rozmówcy. Po kilku sekundach doszedł do wniosku, że początkowe wrażenie było słuszne. Ojciec Sharon był typowym przykładem sprzeczności. Skórę miał czarnajak smoła, włosy siwe, mocno kręcone, bardzo krótko przycięte. Rysy toporne, jakby grubo ciosane - takiej twarzy można się spodziewać raczej po robotniku portowym niż po lekarzu. Ajednak nosił się z klasą, którą dopełniały dwa proste, lecz gustowne pierścienie. Pierwszy z nich był najzwyczajszą w świecie obrączką ślubną, drugi zaś - dyskretnym sygnetem. Wypowiadał się jak człowiek wykształcony, jednak w jego akcencie dźwięczały nutki języka ulicy.

James Nichols nie był człowiekiem pokaźnych rozmiarów - miał nie więcej niż 175 centymetrów wzrostu i nie był specjalnie masywny - a mimo to zdawał się emanować siłą. Rzut oka na olbrzymie dłonie doktora pozwolił Mike'owi potwierdzić swe przypuszczenia. Te drobne blizny z całą pewnością nie powstały podczas pracy w szpitalu.

Nichols zrewanżował się Mike'owi podobną inspekcją. Wydawać by się mogło, że w jego oku zamigotała jakaś iskierka. Mike doszedł do wniosku, że mógłby polubić tego faceta, i zdecydował się podjąć taką próbę.

20 Erie Flint

- Tak więc, panie doktorze, czy panu sędzia dał wybór? Znaczy się między łódówką a piechotą morską.

Nichols parsknął. W jego oku rzeczywiście coś zaiskrzyło.

- Bynajmniej! „Idźcie do piechoty, Nichols”. Mike pokręcił głową.

- No to miał pan pecha. Mnie dał wybór. Na szczęście mi nie odbiło i wybrałem łódówkę. Jakoś nie miałem ochoty na Parris Island⁷.

Nichols wyszczerzył zęby.

- Cóż, pewnie wylądował pan tam tylko za napaść i pobicie. O jedną bójkę za dużo, co? - Przyjął uśmiech Mike'a za odpowiedź. - Nie mieli żadnych dowodów, bo zachowałem się jak ostatni frajer. No, ale władze miały swoje mroczne przypuszczenia, tak więc sędzia był nieubłagany. „Powiedziałem: piechota, Nichols. Mam was już dosyć. Albo to, albo sześć lat na prowincji”.

Doktor wzruszył ramionami.

- Muszę jednak przyznać, że pewnie ocalił mi życie. - Na jego twarzy pojawiło się udawane oburzenie. Teraz dało się mocniej odczuć jego akcent. -Ale wciąż uważam, że gdy głupi dzieciak upuszcza spluwę po drodze do monopolowego, po czym daje się złapać pięć przecnic dalej, to nie jest to napad z bronią w rękę. A może, do cholery, właśnie szukał prawowitego właściciela? Biedny aniołek pewnie nie zdawał sobie sprawy, że broń jest kradziona.

Mike wybuchnął śmiechem. Gdy spojrzenia rozmówców się spotkały, obaj poczuli wzajemną sympatię i aprobatę. Był to przykład na to, że czasem dwoje ludzi jest w stanie niemal natychmiast się polubić.

Mike znowu zerknął na świeżo upieczonych członków swojej rodziny. Nie był specjalnie zdziwiony faktem, że jego wybuch radości przyciągnął ich karcące spojrzenia. Na ich surowy wzrok odpowiedział kulturalnym, ledwie skrywającym szyderstwo uśmiechem.

„Właśnie, bogate, stare pierdziele, patrzycie na dwóch bandziorów. Najprawdziwsi byli skazańcy, bardziej prawdziwi już nie mogą być!”.

Głos Nicholasa przerwał Mike'owi tę psychologiczną wojnę z państwem Simpson.

- A więc to pan jest tym słynnym bratem - mruknął doktor. Mike przestał gapić się na Simpsonów.

- Nie wiedziałem, że jestem taki sławny - odrzekł zaskoczony. Nichols z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Chyba wszystko zależy od kręgów, w których się człowiek obraca. Z tego, co usłyszałem w ciągu ostatnich kilku dni, wiem, że lecą na pana wszystkie szkolne koleżanki pańskiej siostry. Prawdziwy z pana romantyk, wie pan?

Zdumienie nie opuszczało Mike'a, i najwyraźniej było to widać.

- No, panie Michaelu, niech pan da spokój! - parsknął Nichols. - Jest pan ledwie po trzydziestce, a wygląda pan znacznie młodziej. Wysoki, przystojny...

No, może dosyć przystojny. No i przede wszystkim ta pańska olśniewająca przeszłość.

- Olśniewająca? - wykrztusił Mike. - Zwariował pan? Nichols uśmiechał się szeroko.

- Oj, mnie pan chce oszukać? - Wykonał dłońmi zamaszty gest, wskazując na samego siebie. - Proszę mi powiedzieć, co pan widzi. Bardzo zamożnego, czarnoskórego mężczyznę po pięćdziesiątce. Mam rację? - Oczy doktora zdradzały zarówno duże pokłady humoru, jak i bogate doświadczenie życiowe. - I co jeszcze pan widzi?

Mike zmierzył go wzrokiem.

- Pewną, nazwijmy to, przeszłość. Nie zawsze był pan porządnym lekarzem.

- Z całą pewnością nie! I niech pan sobie nie myśli, że w pańskim wieku nie korzystałem z darów losu. - Uśmiech Nicholasa stał się bardzo łagodny. - Jest pan klasycznym przypadkiem, panie Michaelu. Stara jak świat historia, która zawsze chwyta za serce. Lekkomysłny i pełen fantazji młodzieniec, będący czarną owcą w rodzinie, opuszcza miasto, zanim dopadnie go wymiar sprawiedliwości. Żadny przygód młodzieniaszek. Żołnierz, doker, kierowca ciężarówki, zawodowy bokser. Robił o złej reputacji, niezależnie od tego, że jakoś ukończył trzy lata college'u. Następnie...

Uśmiech całkowicie zniknął z twarzy doktora.

- Następnie po tragicznym wypadku ojca powraca, aby zaopiekować się rodziną. I wychodzi mu to równie dobrze, jak wcześniej wychodziło mu przyprawianie ich o zawał. Teraz jest poważany. Kilka lat temu został nawet wybrany przewodniczącym związku zawodowego miejscowych górników.

- Widzę, że Rita trochę panu naopowiadała - prychnął Mike. Wściekły na siostrę, zaczął rozglądać się za nią po sali i jego wzrok padł na Simpsonów. Ci wciąż się na niego gapili ze zmarszczonymi brwiami. Mike wbił w nich mordercze spojrzenie.

- Widzi pan? - zapytał gorzko. - Moja nowa rodzina nie sprawia wrażenia zachwyconej „krewnym romantykiem”. Japoważany? Dobrze sobie!

Nichols podążył za wzrokiem Mike'a.

- No cóż... Poważany na swój appalachijski sposób. Chyba nie sądzi pan, że ten „błękitnokrwisty” znajduje ukojenie w fakcie, że brat jego synowej jest nie tylko niezłomnym związkowcem, ale i cholernym prostakiem.

Simpsonowie nie spuszczały wzroku. Mike również nie odpuszczał i dodał jeszcze szeroki uśmiech, uśmiech dzikiego zwierzęcia. Bezczelny, nieugięty, wyzywający.

Przez następne lata Nichols często wspominał ten uśmiech. Wspominał i czuł za niego wdzięczność. Potem nadszedł Ognisty Krąg i znaleźli się w nowym, zdziżałym świecie.

Rozdział 2

Błysk był oślepiający. Przez krótką chwilę wydawało się, że pomieszczenie zalała fala słonecznego światła. Towarzyszący rozbłyskowi huk wstrząsnął całym budynkiem.

Mike przykucnął. Reakcja Jamesa Nicholasa była o wiele bardziej dramatyczna.

- Kryć się! - krzyknął i rzucił się na ziemię, zakrywając rękami głowę. Sprawiał wrażenie człowieka zupełnie nie myślącego o tym, że jego kosztowny garnitur może ulec zniszczeniu. Na wpół oszołomiony Mike usiłował coś zobaczyć przez okno, ale wciąż miał przed oczami plamy - zupełnie jakby najpotężniejsza błyskawica świata uderzyła tuż obok liceum. Nie był w stanie dostrzec żadnych szkód, na szybach nie widać było nawet pęknięcia. Nie wyglądało

też na to, żeby którykolwiek z zaparkowanych pojazdów został uszkodzony. Ludzie na parkingu przypominali bandę gdaczących kur, lecz także nie sprawiali wrażenia rannych. Byli to w większości miejscowi górnicy, którzy przybyli z całej okolicy na wesele jego siostry. Amerykańskie Stowarzyszenie Górników⁸ nigdy nie przegapiło okazji zmanifestowania swej solidarności („ASG trzyma się razem”). Mike'owi wydawało się, że niemal każdy miejscowy górnik pojawił się na weselu, przyprawiając swoją rodzinę. Teraz ci zdezorientowani ludzie przedstawiali tak komiczny widok, że Mike niechybnie by się roześmiał, gdyby nie szok po tym niesamowitym... piorunie? Co to, do cholery, było?

Mężczyźni tłoczyli się na przyczepach

kilku pikapów, gdzie trzymali przywieziony alkohol, nie dbając nawet o jego ukrycie. W myśl regulaminu szkoły, stanowiącego, że żadne napoje alkoholowe nie mają prawa znaleźć się na jej terenie, było to rażące pogwałcenie przepisów.

Kątem oka Mike dostrzegł jakieś poruszenie.

Ed Piazza pędził ku niemu na swych krótkich nóżkach, marszcząc brwi niczym Zeus gromowładny. Przez moment Mike'owi wydawało się, że dyrektor liceum zaraz udzieli mu reprimendy za niedopuszczalne zachowanie górników na parkingu.

„E tam, on po prostu też nie wie, co się stało”. Czekaając, aż Ed do niego dotrze, Mike poczuł nagły przyływ sympatii dla tego człowieka. „Szkoda, że za moich czasów nie był dyrektorem. Może nie wpakowałbym się w tyle kłopotów. Fajny koleś z tego Eda”.

- Banda górników na przyjęciu weselnym? Wiem, że będą pili na parkingu, Mike - oznajmił mu Piazza wczorajszego dnia. - Tylko błagam, niech nie wymachują mi butelkami przed nosem. Całe moje 165 centymetrów czułoby się doprawdy idiotycznie, gdybym musiał komuś przylać po łapach linijką.

Ed był już obok.

- Co się stało? - Spojrzał na sufit. - Światła też zgasły.

Dopóki Ed o tym nie wspomniał, Mike nawet nie zwrócił na ten fakt uwagi. Był środek dnia, a okna rozmieszczone na całej długości ściany wpuszczały tyle światła, że elektryczne oświetlenie było praktycznie zbędne.

- Nie mam pojęcia, Ed. - Mike odstawił filiżankę z ponczem (niepostrzeżenie, żeby nie afiszować się łamaniem regulaminu) na najbliższy stół. Doktor Nichols zaczął się powoli podnosić, więc pomógł mu wstać.

- Chryste, czuję się jak bałwan - mruknął lekarz, otrzepując garnitur. Szczęśliwie dla jego kreacji podłoga stołówki została uprzednio wypucowana na glanc. - Przez moment miałem wrażenie, że znów jestem w Khe Sanh.⁹ - On również zadał nieuniknione pytanie. - Co to, do diabła, było?

Duże, wypełnione ludźmi pomieszczenie rozbrzmiewało teraz stłumionymi głosami - każdy pytał o to samo. Nikt jednak nie wpadał w panikę. Cokolwiek się stało parę chwil wcześniej, nie widać było żadnych tragicznych konsekwencji.

- Chodźmy na zewnątrz - powiedział Mike, kierując się w stronę wyjścia ze stołówki. - Może przyjdzie nam coś do głowy. - Rozejrzał się po sali, wypatrując siostry. Zauważył ją, jak ścisła Toma za rękę. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale bez wątplenia była cała i zdrowa.

Do zmierzającego ku drzwiom Mike'a dołączył Frank Jackson, któremu udało się przepchać przez hałaśliwy tłum. Na widok tego masywnego, siwowłosego skarbnika związku, za którym podążało pięciu innych górników, Mike poczuł, jak jego serce wzbiera dumą. „ASG. Jedność na wieki”.

24

Erie Flint

Widząc pytające spojrzenie Franka, Mike wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Ja też nie wiem, co się stało. Wyjdźmy się rozejrzeć.

Kilka chwil później niewielka grupa mężczyzn opuściła budynek liceum, kierując się na parking. Na widok Mike'a dziesiątki związkowców ruszyły w jego stronę. Większość z nich zachowała na tyle rozsądku, żeby zostawić trunki w samochodach.

Mike rozpoczął wstępne oględziny od szkoły. Na żadnej z biało-beżowych ścian budynków nie doszukał się śladów zniszczeń.

- Wszystko wydaje się w porządku - mruknął Ed z wyraźną ulgą. Liceum liczące sobie zaledwie dwadzieścia kilka lat zostało wzniesione przy dużym udziale ochotników i było prawdziwą chlubą tej okolicy. A szczególną chlubę przyniosło swemu dyrektorowi.

Mike spojrzął na zachód, w kierunku Grantville. Oddalone o jakieś trzy kilometry miasteczko schowane było za wzgórzami, charakterystycznym elementem krajobrazu Wirginii Zachodniej. Ale tam również nie dostrzegł niczego niepokojącego.

Skierował wzrok na południe. Liceum wzniesiono na łagodnym wzniesieniu na północ od Buffalo Creek, małej rzeczki płynącej równolegle do drogi numer 250. Wzgórza rozciągające się po drugiej stronie dolinki były strome i zalesione. Mieszkała tam tylko garstka ludzi w przyczepach kempingowych.

Wciąż nic. Jego wzrok przesunął się wzdłuż autostrady w stronę Fairmont, dużego miasta oddalonego o jakieś 25 kilometrów na wschód.

„Zaraz, zaraz... Tam chyba widać dym”.

Wskazał na wzgórza położone na południowy wschód od szkoły.

- Coś się pali. Tam.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazywał palec Mike'a.

- Można się było tego spodziewać - burknął Frank. - Jazda, Ed, dzwoniśmy po strażaków. - Skarbnik związku i dyrektor liceum ruszyli w kierunku dwuskrzydłowych drzwi do szkoły. Nagle przystanęli, ujrawszy mężczyznę, który właśnie stamtąd wychodził.

- Ej, Dan! - Frank wskazał unoszące się w oddali smużki dymu. - Spróbuj się połączyć z ochotniczą strażą. Mamy tu problem!

Komendant policji Grantville nie tracił czasu i żwawo ruszył w kierunku swojego wozu.

Niestety, z jakiejś przyczyny radio nie działało. Nie słychać było niczego poza trzaskami i szumami. Klnąc pod nosem, Dan podniósł wzrok na Piazzę.

- Musisz skorzystać z telefonu, Ed! - krzyknął. - Radio nie działa.

- Telefony też nie działają! - odpowiedział Piazza. - Wyślę tam kogoś samochodem!

Popędził z powrotem w kierunku szkoły.

-1 przy okazji skontaktuj się z doktorem Adamsem! - zawołał komendant do oddalającego się dyrektora. - Możemy potrzebować pomocy medycznej!

W tym czasie Mike, Frank i inni górnicy już zaczęli uruchamiać swoje pół-ciężarówki. Dan Frost nie był w najmniejszym stopniu zdziwiony faktem, że nie zapytali, czy mogą jechać razem z nim. W gruncie rzeczy nie spodziewał się niczego innego.

Dan dostał kiedyś propozycję pracy w policji w dużym mieście, oczywiście za odpowiednio wyższą pensję. Zanim ją odrzucił, namyślał się jedynie przez jakieś trzy sekundy. Dan Frost widział, jak pracuje policja w dużych miastach („dziękuję, postój”), dlatego wolał pozostać w swojej małej miejscinie, gdzie przynajmniej mógł być gliną, a nie okupantem.

Wdrapał się do swojego cherokee i uruchomił silnik. Przejrzał wnętrze pojazdu - strzelba była w futerale na tylnym siedzeniu, a w schowku na rękawiczki znajdowała się dodatkowa amunicja do pistoletu - i usatysfakcjonowany, wychylił głowę przez okno. Zobaczył Mike'a Stearnsa podjeżdżającego do niego swoją ciężarówką. Ze zdziwieniem stwierdził, że na fotelu pasażera siedzi jakiś czarnoskóry mężczyzna.

- Doktor Nichols jest chirurgiem i chce nam towarzyszyć - wyjaśnił Mike. Wskazał kciukiem ponad ramieniem. - Jego córka Sharon pojedzie razem z Frankiem. Okazuje się, że jest wykwalifikowaną sanitariuszką.

Chwilę później cherokee Dana zjeżdżał w dół asfaltową szosą prowadzącą do drogi numer 250. Za nim jechały trzy pikapy i van, a w nich ośmiu górników w towarzystwie Jamesa i Sharon Nicholsów. Patrząc w boczne lustro, Dan dostrzegł tłum wylewający się z budynku liceum. Było w tym coś zabawnego; wyglądali jak stadko gdaczących kur, które przybyły na wesele w swoich najbardziej odświętnych ubraniach.

Skręcił w lewo i wjechał na drogę numer 250. Była to porządna dwupa-smówka; chociaż wiała się między wzgórzami, na wielu odcinkach z powodzeniem można było jechać nawet osiemdziesiątką. Dan prowadził jednak znacznie spokojniej niż zazwyczaj. Wciąż nie bardzo wiedział, co się dzieje. Tamten błysk nie wyglądał normalnie. Przez ułamek sekundy myślał nawet, że to początek wojny nuklearnej.

Jednak jak daleko sięgał wzrokiem, wszystko było w porządku. Mijał właśnie Buffalo Creek. Po drugiej stronie rzeki, u podnóża wzgórz, gdzie tory kolejowe przebiegały równoległe do drogi, mignęły mu między drzewami dwie przyczepy kempingowe. Były rozklekotane i podniszczone, ale poza tym wyglądały zwyczajnie.

Dan wyjechał zza zakrętu i natychmiast wcisnął hamulec. Droga ni stąd, ni zowąd kończyła się wysoką na jakieś dwa metry błyszczącą ścianą. Obok stało małe auto, które wpadło w poślizg i uderzyło w nią bokiem. Maska samochodu

26

Erie Flint

pokryta była oderwanymi fragmentami ściany (Dan zdał sobie sprawę, że to ziemia). Przez okno kierowcy widać było wpatrującą się w policjanta przerażoną kobietę.

- Jenny Lynch - mruknął Dan i spojrzał na stojącą w poprzek drogi ścianę. - Co tu się dzieje, do jasnej cholery?!

Wysiadł z auta. Słyszał, że tamci też już dojechali i wysiadają. Podszedł do rozbitego samochodu i zastukał w szybę. Jenny powolutku ją opuściła.

- Wszystko w porządku? - Młoda, pulchna kobieta pokiwała niepewnie głową.

-No... chyba tak, Dan. - Przejechała drżącą dłonią po twarzy. - Czyja kogoś zabiłam? Nie mam pojęcia, co się stało - mówiła bardzo szybko. - Był jakiś błysk... Chyba coś wybuchło, sama nie wiem... No i potem ta ściana. Skąd ona się w ogóle wzięła? Musiałam hamować, zarzuciło mnie... Ja... nie mam pojęcia, co tu się stało... Po prostu nie mam pojęcia.

Dan poklepał ją po ramieniu.

- Uspokój się, Jenny. Nikogo nie skrzywdziłaś, jesteś po prostu w lekkim szoku. -

Przypomniał sobie o Nicholsie. - Jest tu z nami lekarz. Poczekaj chwili...

Właśnie miał się odwrócić, gdy zobaczył, że Nichols już stoi obok. Lekarz delikatnie odsunął Dana i szybko zbadał kobietę.

- Chyba nic poważnego - powiedział. - Wyciągnijmy ją z samochodu. -Otworzył drzwi i wraz z Danem pomogli Jenny wyjść. Poza błądzą i ogólnym roztrzęsieniem kobieta nie sprawiała wrażenia rannej.

- Pozwól tu na chwilę, Dan - powiedział Mike. Przewodniczący związku zawodowego górników kucał przy tajemniczej ścianie i dłużył w niej scyzorykiem. Komendant zbliżył się.

- To jest po prostu ziemia - stwierdził Mike. - Najzwyczajniejsza w świecie ziemia. - Odłupał ze ściany kolejny fragment. W momencie gdy spójność ściany została zaburzona, świecąca substancja zmieniła się w garść proszku. -To się świeci tylko dlatego, że... - Mike szukał właściwych słów. - No to jest tak, jakby ktoś tę ziemię przeciął idealnie ostrą brzytwą. -

Ponownie zaczął dźgać ścianę. - Widzisz? Jak tylko przebijesz wierzchnią warstwę, zostaje zwykła ziemia. Ale kto to, do cholery, zbudował? I skąd to się mogło wziąć?

Rozejrzał się uważnie. „Ściana” przecinała drogę i ciągnęła się po obydwu jej stronach.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś szepił ze sobą dwa diametralnie odmienne krajobrazy. Po południowej stronie widać było część typowego dla Wirginii Zachodniej wzgórz, tylko że teraz przypominało ono pionowe urwisko. Błyszczało tak samo, jak ściana przecinająca drogę, z wyjątkiem miejsc, z których osypała się ziemia.

Dan wzruszył ramionami. Już chciał coś powiedzieć, kiedy nagle usłyszał potworny wrzask. Zaskoczony, poderwał się i spojrzał w górę. Jakieś ciało przeleciało nad ścianą i zważyło się z łoskotem prosto na niego.

Siła uderzenia sprowadziła go do parteru. Jak przez mgłę zobaczył obszarpaną nastolatkę. Dziewczyna zerwała się i nie przestając wrzeszczeć, rzuciła się rozpaczliwie w dół zbocza. Oszołomiony Dan zaczął się podnosić. To wszystko działo się za szybko. Ledwie dziewczyna zniknęła, ujrzał dwie nowe postacie wychylające się zza „Mężczyźni. Uzbrojeni”.

Mikę był odwrócony do nich plecami i częściowo zasłaniał mu widok. Dan odepchnął go i sięgnął po pistolet. Jeden z mężczyzn zaczął podnosić karabin. Drugi zaraz poszedł w jego ślady. „Carabin! Co to za dziwna broń?”.

Dan wyszarpnął pistolet z kabury.

- Nie ruszać się! - krzyknął. - Rzućcie broń!

Pierwszy karabin wypalił, wydając z siebie dziwny huk. Dan usłyszał, jak pocisk rykoszetuje od nawierzchni jezdnii, i zobaczył, że Mikę rzuca się na ziemię. Chwytał oburącz broń, wycelował...

Kula z drugiego karabinu rozorała mu lewe ramię. Dan upadł na bok.

Nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Tak naprawdę nigdy do nikogo nie strzelał. Był jednak policyjnym instruktorem technik bojowych i godzinami przesiadywał na strzelniczy oraz przy symulatorach, więc chwycił pistolet w prawą dłoń i ponownie wycelował.

Dopiero teraz zauważył, że osobnik ma na sobie jakąś broń. I hełm. Dan był doskonałym strzelcem, a odległość była niewielka. Strzelił. Potem jeszcze raz. Pociski kaliber 10,16 milimetra rozerwały szyję mężczyzny.

Następnie skierował broń w lewo. Drugi osobnik wciąż stał na murze i robił coś z bronią. On również miał broń, ale nie nosił hełmu. Dan wystrzelił. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Trzy strzały w mniej niż dwie sekundy. Głowa mężczyzny zmieniła się w krwawą miazgę. Osunął się na kolana, broń wypadła z jego palców. Chwilę później zarówno on, jak i jego karabin runęły w dół.

Dan poczuł, że jego zakrwawione ciało staje się bezwładne. Mikę złapał go i położył na ziemię.

Zaczynał tracić przytomność. „To chyba szok. Tracę dużo krwi”. Ujrzał pochyloną nad nim rozmazaną twarz czarnoskórego lekarza. Stopniowo rozróżniał coraz mniej szczegółów.

Musi coś zrobić. I to szybko.

- Mikę - wyszeptał - mianuję cię moim zastępcą. Ciebie i twoich kolegów. Sprawdźcie, co tu, do cholery... - Stracił na chwilę przytomność, lecz zaraz się ocknął. - Po prostu zróbcie wszystko, co trzeba...

I zemdłał.

8

Erie Flint

- Co z nim? - zapytał Mikę.

Nichols pokręcił głową. Starał się zatamować krwawienie chustką do nosa, jednak materiał już powoli przesiąkał krwią.

- Myślę, że to tylko powierzchowna rana - mruknął. - Ale, Chryste Panie, z czego oni strzelali? Ze strzelb? Przecież o mały włos nie urwało mu ręki. Sharon, chodź tu!

Natychmiast.

Odetchnął z ulgą, widząc córkę podbiegającą z zestawem pierwszej pomocy - Frank Jackson musiał go trzymać w ciężarówce - i jakiegoś górnika wyciągającego z samochodu kolejny zestaw. „Dziękujemy Bogu za tych wiejskich chłopaków” - pomyślał z uśmiechem.

Podczas gdy Nichols wraz z córką opatrywali Dana, jeden z górników podniósł upuszczoną przez napastnika broń. Był to Ken Hobbs. Niedawno przekroczył sześćdziesiątkę i podobnie jak wielu mężczyzn w tych stronach miał hopla na punkcie starodawnej broni palnej.

- Możesz na to spojrzeć, Mike? - zapytał, demonstrując znalezisko. - Klnę się na Boga, że to jest pierdolona rusznica!

Hobbs zaczerwienił się, gdyż dopiero teraz zauważył Sharon pomagającą swojemu ojcu.

- Pani wybaczy, tak mi się wymaskło.

Ale Sharon nie zwróciła na niego uwagi, zbyt zajęta opatrywaniem rany. Dan nie otwierał oczu, jego twarz była blada jak kreda.

Mike odwrócił się do Hobbsa. Na zwiędłej twarzy mężczyzny, ściągniętej teraz w wyrazie zdumienia, utworzyła się istna pajęczyna zmarszczek.

- Przysięgam, Mike, to jest rusznica. Mam takie na zdjęciach w domu. Zbliżył się do nich kolejny górnik, Hank Jones.

- Ty lepiej z tym uważaj - mruknął. - No wiesz, muszą być odciski palców. Hobbs już miał go skłąć, ale przypomniał sobie o obecności Sharon, więc zamiast wulgarnych słów wy dobył z siebie tylko syk.

- A powiesz mi po co, Hank? Żebyśmy mogli dorwać podejrzanego? - Wskazał na zwłoki leżące u stóp dziwnej ściany. - Jakbyś nie zauważył, to Dan już odstrzelił gościowi łeb.

Kolejny górnik wdrapał się na ścianę i oglądał trupa drugiego z męż-

- Tutaj to samo! - zaśmiał się ochryple. - Dwie kule na wylot przez szyję. Darryl McCarthy był niewiele po dwudziestce i absolutnie nie podzielał

staromodnych oporów Hobbsa co do przeklinania w obecności kobiet. Tym razem również nie zamierzał robić wyjątku.

- Sukinsynowi prawie odpadł łeb! - wydarł się. - Trzyma się tylko na jakichś trzech paskach mięsa!

Potem spojrzął z niekłamanym podziwem na nieprzytomnego Dana.

- Obydwie kule trafiły kolesia prosto w gardło. Rozjechały mu szyję.

- Jak następnym razem będziemy w „Szczęśliwej Drogi” i Dan powie, że za dużo wypięm, to przypomnijcie mi, żebym mu nie pyskował - wymruczał Frank Jackson. - Wszyscy zawsze mówili, że świetnie strzela.

Mike przypomniał sobie o dziewczynie. Wyprostował się i spojrzął w kierunku rzeki, dokąd uciekła.

- Pewnie jest już ponad pół kilometra stąd - powiedział Hank i wskazał palcem na południowy zachód. - Widziałem, jak się gramoliła na drugi brzeg. Musiało być płytko. Zniknęła gdzieś tam wśród drzew.

Jego twarz zmieniła się w dziką maskę.

- Całą sukienkę z tyłu miała rozerwaną, Mike. - Spojrzął ze wściekłością na leżące na drodze trupa. - Myślę, że próbowali ją zgwałcić.

Mike skierował wzrok na zwłoki, a następnie na ścianę i rozciągającą się za nią niezbadaną przestrzeń. Cienkie strugi dymu wciąż były widoczne.

- Panowie, tu się dzieje coś niedobrego - oznajmił. - Nie wiem co, ale na pewno coś niedobrego. - Pokazał palcem na trupa. - Myślę, że na tym się nie skończy.

Frank zbliżył się do ciała i pochylił nad nim.

- Popatrz na tę dziwną zbroję. Co o tym myślisz, Mike? Jacyś popieprzeni miłośnicy szkoły przetrwania?

Mike wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Frank. Ale skoro było dwóch, czemu miałoby ich nie być więcej? - Wskazał Dana. Doktor Nichols chyba wreszcie zatamował upływ krwi. - Słyszeliście, panowie, co szef powiedział. Zastępujemy go i mamy zrobić wszystko, co uważamy za stosowne.

Górnicy przytaknęli skinieniem głowy i podeszli odrobinę bliżej.

- No to łapiemy się za broń, chłopaki. Dobrze wiem, że każdy z was ma tam coś upchane w wozie. Ruszamy na polowanie.

Mężczyźni udali się do swych pojazdów. Po chwili namysłu Mikę zmienił decyzję.

- Ty zostajesz, Ken. Musisz zabrać Dana z powrotem do szkoły. Mają tam gabinet lekarski. Widząc, że stary Hobbs patrzy nań podejrzliwie, dodał krótko:

- Nie kłóć się ze mną! Jesteś na to za stary, do jasnej cholery. I tylko ty masz vana. To chyba lepsze niż wpychanie Dana do pikapa.

Nieco udobruchany Hobbs skinął głową.

- Pójdę po broń. Przyda się wam.

Mikę usłyszał, że Nichols coś mówi do córki. Chwilę później doktor się podniósł.

- Sharon zaopiekuje się nim równie dobrze jak ja - powiedział. - To tylko powierzchowna rana. Spora, owszem, ale to nic poważnego. Sharon pojedzie z nim do szkoły.

30

Erie Flint

Mikę uniósł ze zdziwienia brew. Nichols uśmiechnął się niewyraźnie.

- Idę z wami. - Kiwnął głową w kierunku ściany. - Sam pan powiedział, że tam się dzieje coś niedobrego. Myślę, że przydam się wam po drodze.

Mikę zawahał się. Spojrzał na surową twarz lekarza (jego uśmiech był bardzo niewyraźny) i wreszcie skinął głową.

- Jak dla mnie OK, panie doktorze. - Zerknął na Frosta. - Weźmie pan jego broń? Przyda się panu.

Podczas gdy Nichols zajął się odpinaniem kabury, Mikę udał się do swojego pikapa.

Wydobycie broni ze schowka za siedzeniem zajęło mu zaledwie kilka sekund. Wziął też pudełko z nabojami. Miał rewolwer magnum kaliber 9 milimetrów. Był to Smith-Wesson, model 28 - „Highway Patrolman” z zamontowanym celownikiem. Całe szczęście, że tego dnia Mikę założył pasek zamiast szelek. Przypiął kaburę do paska, a amunicję wepchnął do obszernej kieszeni wypożyczonego smokingu.

Następnie podszedł do jeepa Dana i wyjął stamtąd strzelbę. Znalazł też dwa opakowania z nabojami. Jedno zawierało naboje kaliber 10,16 milimetra, zaś w drugim był gruby śrut kaliber 8,38 milimetra; właśnie takimi pociskami broń była teraz załadowana. Wyciągnął sześć nabołów do strzelby i upchnął je w kieszeniach spodni. Z całym tym arsenałem czuł się jak człapiąca kaczka.

„Pieprzyć to. Wolę być kaczką uzbrojoną po zęby niż wystawioną na odstrzał”.

Tymczasem Sharon wraz z Hobbsem umieścili Dana na tylnym siedzeniu furgonetki. Jenny Lynch doszła już do siebie na tyle, że mogła im pomóc. Kilkadziesiąt sekund później pojazd był już w drodze powrotnej do liceum.

Związkowcy zgromadzili się wokół Mike'a. Każdy z nich miał w ręku broń. W większości były to pistolety; tylko Frank miał swój ukochany karabin powtarzalny winchester, a Harry Lefferts...

- Na litość boską, Harry - wybuchnął Mikę. - Postaraj się, żeby Dan cię z rym nie zobaczył. Harry wyszczerzył zęby. Był rówieśnikiem Darryla - a także jego najlepszym kumplem - i podobnie jak on miał dosyć beztróskie podejście do życia.

-A co złego jest w obrzynie10- zapytał. Potem wskazał podbródkiem pozostałych kolegów. - A każdy z nich niby jest w porządku? Chyba jeszcze jedna nielegalna spluwa nie robi różnicy? W końcu jesteśmy tutaj sami swoi.

Kilka osób zachichotało. Mikę skrzywił się.

- No dobra, ale z czymś takim musisz podejść zająbiście blisko. Pamiętaj, że tamci nosili zbroje.

Odwrócił się do doktora i wręczył mu opakowanie z pociskami kaliber 10,16 milimetra, które znalazł w schowku na rękawiczki. Nie był specjalnie zaskoczony, widząc, z jaką wprawą lekarz przetadowuje broń.

- Nieźle was wyszkolili w tej piechocie - mruknął.

Nichols prychnął.

- Taaa, jasne, w piechocie. Umiałem się z tym obchodzić, zanim skończyłem dwanaście lat. - Zważył automat w dłoni. - To jest szkolenie Blackstone Rangers". Dorastałem o rzut kamieniem od Sześćdziesiątej Trzeciej i Cottage Grove.

Czarnoskóry doktor rzucił białym szelmowskie spojrzenie.

- Panowie - powiedział - piechota morska czuwa nad wami. Nie wspominając o najgorszym getcie w Chicago. Do roboty.

Górnicy uśmiechnęli się szeroko.

- Fajnie, że jest pan z nami, doktorze - rzucił Frank. Mikę odwrócił się i ruszył w kierunku ściany.

- Słyszeliście, panowie. Do roboty.

2Rtf2&Ltal3

Mikę stanął na samochodzie Jenny i zaczął się wspinać. Gdy tylko oparł stopę na ścianie, na pojazd posypały się kolejne grudy ziemi. Złorzeczając pod nosem, zdołał jakoś wgramolić się na górę.

Tam w pierwszej kolejności obejrzał swój smoking. Efekt wyczynu sprzed chwili - a także rzucenia się na ziemię na początku strzelaniny - był taki, że eleganckie niegdyś ubranie nadawało się teraz tylko na szmatę do podłóg.

„W wypożyczalni nie będą zbyt szczęśliwi, ale...”.

Podał Frankowi dłoń i pomógł mu się wspiąć.

- Ostrożnie - napomniął go. - Ta ściana jedynie wygląda na solidną przez to, że tak błyszczysz, ale to tylko zwykła ziemia.

Przez ten czas, gdy Frank pomagał następnym wgramolić się na górę, rozejrzał się po okolicy. Po nowej okolicy. To, co ujrzał, potwierdziło jego przypuszczenia. „W obecnej chwili wypożyczalnia to prawdopodobnie jeden z najmniej ważnych problemów”.

Okazało się, że „ściana” wcale nie jest żadną ścianą. Była to po prostu krawędź ciągnącej się w dal równiny. Ale w północnej części Wirginii Zachodniej nigdzie nie było tak wielkiej połaci płaskiego terenu. Słońce zaś...

- Co się dzieje, Mikę? - Frank przerwał jego rozważania. - Nawet to cholerne słońce jest po drugiej stronie. Przecież powinno być tam. - Wskazał na południe.

„A może to nie jest południe? Sądziłbym raczej, że stoimy twarzą na północ, a nie na wschód, tak jak powinno być”.

Szybko odsunął te myśli na bok. Później. Teraz są ważniejsze sprawy na głowie. Znacznie ważniejsze.

Równina była gęsto porośnięta drzewami, jednak nie na tyle gęsto, żeby Mikę nie dostrzegł jednej... dwóch... trzech chat stojących wśród pól. Najbliższa z nich była oddalona o niecałe sto metrów.

Wystarczająco blisko, żeby uważnie się przyjrzeć.

- Jezu - syknął Frank.

Dwie dalsze chaty stały w płomieniach. Ta najbliższa była budowlą całkiem sporych rozmiarów. W przeciwieństwie do znanych Mikę'owi chat, zbudowana była głównie z kamienia. Ręcznie ciosanego, jak zdołał zauważyć. I gdyby nie to, że chata sprawiała wrażenie aktualnie zamieszkałej (ta pełna godności atmosfera panująca w miejscu, w którym ludzie pracują), Mikę mógłby przysiąc, że ogląda średniowieczny budynek.

Oględziny domostwa zajęły mu jednak tylko dwie sekundy. W gospodarstwie nadal „pracowano”, ale przy biernym udziale gospodarzy.

Zacisnął zęby. Wyczuł, że stojącego obok Franka również ogarnia wściekłość. Obejrzał się.

Wszyscy górnicy stali obok siebie, wytrzeszczając oczy na rozgrywającą się przed ich oczami scenę.

- Dobra, panowie - powiedział łagodnie. - Widzę sześciu skurwieli. Być może w środku jest ich więcej. Trzech napastuje kobietę na podwórku. Pozostali trzej...

Ponownie spojrzął na ten przerażający obraz.

- Właściwie nie wiem, co oni robią. Chyba przybili tamtego faceta do drzwi i teraz go torturują.

Powoli i delikatnie Frank umieścił nabój w komorze karabinu. I chociaż kompletnie nie współgrało to z jego strojem, w tym momencie sprawiał wrażenie zawodowego mordercy.

- Jaki mamy plan? - zapytał.

- W gruncie rzeczy nie jestem gliniarzem - wycedził Mikę przez zęby - a raczej nie mamy czasu, żeby się bawić w szukanie kajdanków w jeepie Dana. - Spojrzął z furią na tę scenę gwałtu i przemocy. - Nie zamierzam im odczytywać ich praw. Po prostu trzeba ich, kurwa, zabić.

- Jak dla mnie w porządku - warknął Darryl. - Nie mam nic przeciwko karze śmierci. Nigdy nie miałem.

- Ja również - mruknął inny górnik. Był to Tony Adducci, postawny mężczyzna świeżo po czterdziestce. Podobnie jak w przypadku wielu tutejszych górników, w żyłach Tony'ego płynęła włoska krew, co zresztą widać było po cerze i rysach twarzy. - Kompletnie nic. Tony, tak samo jak Mikę, trzymał w ręku pistolet. Lewą dłonią pospiesznie zdjął krawat i ze złością wepchnął go do kieszeni. Pozostali wzięli z niego przykład. Żaden jednak nie zdjął marynarki. Wszyscy byli doświadczonymi

Erie Flint

myśliwymi i wiedzieli, że ich popielate, brązowe i granatowe marynarki będą stanowiły znacznie lepszy kamuflaż niż białe koszule. Po zdjęciu krawatów (lub w przypadku Mike'a muszki) górnicy rozpięli kołnierzyki koszul. Pierwszy raz w życiu „zapolują” w odświętnym ubraniu, mając na nogach eleganckie buty zamiast trepów.

Mikę ruszył pod osłoną kępy drzew w kierunku budynku. „Brzozy - zarejestrował mimochodem. - To też nieco dziwne”. Głównie jednak niepokoił go fakt, że smukłe pnie drzew nie zasłaniały ich tak, jak by sobie tego życzył. Na szczęście bandyci byli zaprządnięci swymi rozrywkami i zupełnie nie zwracali uwagi na to, co się dzieje wokół.

Górnicy zbliżyli się niezauważeni i przykucnęli, ukryci za drzewami tuż na granicy podwórza. Gwałcona kobieta była nie więcej niż dwanaście metrów od nich. Mikę odwrócił wzrok, ale do jego uszu wciąż docierały jej rozdzierające jęki.

A także ochryply śmiech napastników. Jeden z mężczyzn - ten, który przyciskał ramiona kobiety do ziemi - rzucił jakąś szyderczą uwagę do tego, który przygniatał ciało ofiary.

Gwałcieciel odwarknął coś w odpowiedzi.

Mikę nie rozumiał słów, ale wydawało mu się, że mówią po niemiecku. Podczas swego pobytu w wojsku stacjonował przez rok w Niemczech, nie zapamiętał jednak niczego więcej oprócz kluczowego zwrotu „ein Bier, bitte”.

-To są obcokrajowcy - mruknął Darryl. Twarz młodzieńca wykrzywił gniew. - Za kogo oni się uważają, żeby tak, kurwa, przychodzić do nas i...

Mikę nakazał gestem ciszę. Znow zaczął się przyglądać bandytom.

Każdy z nich miał na sobie taką samą przedziwną zbroję. Mieli też jakieś cudaczne hełmy, choć ci, którzy gwałcili kobietę, rzucili swoje na ziemię nieopodal. Mężczyźni znęcający się nad rolnikiem byli w pełnym rynsztunku, ale broń oparli o ścianę domu. Z daleka ich „karabiny” wyglądały dokładnie tak samo jak broń, z której postrzelono komendanta.

Pancerze i hełmy przywodziły Mike'owi na myśl rysunki przedstawiające hiszpańskich konkwistadorów. Hełmy wyglądały jak metalowe garnki z kołnierzami zwięzającymi się z przodu i z tyłu w szpic. O ile dobrze pamiętał, takie pancerze ze stalowych płyt osłaniających pierś i plecy, związanych rzemieniami, nazywały się „kirysy”. Poza starodawną bronią palną napastnicy uzbrojeni byli jeszcze w...

Miecze? Miecze?

Ponownie spojrzął w kierunku trzech mężczyzn znęcających się nad kobietą. Nie mieli przy sobie mieczy; schowane w pochwach ostrza leżały niedbale porzucone tuż obok broni palnej. Chociaż Mike nigdy w życiu nad tym się nie zastanawiał, był w stanie wyobrazić sobie, jak uciążliwe mogą być przypięte miecze w sytuacji gwałtu. Wystarczyło spojrzeć na tych mężczyzn i od razu widać było, że takie praktyki to dla nich żadna nowość.

„Już po was”. Ponura myśl. Ostateczna. Odwrócił się do Franka.

- Tylko ty masz karabin - szepnął mu na ucho. - Możesz zdjąć tych gości przy drzwiach? Pamiętaj, że mają broje. Nie celuj w korpus.

Ciężkie wrota budynku były otwarte na oścież. Wiszący na nich rolnik miał przebite nożami nadgarstki. Mężczyzna stojący na wprost niego wbijał kolejne ostrze w jego udo przy akompaniamencie pokrzykiwań pozostałej dwójki. Mike doszedł do wniosku, że są świadkami jakiegoś przesłuchania. Ale był to daremny trud, gdyż rolnik wrzeszczał z bólu, nieświadom zadawanych mu pytań.

- Trzydzieści pięć metrów? - parsknął Frank. - Spokojna głowa. Jedna taka bomba w dupę załatwi każdego cwaniaka.

Mike kiwnął głową. Odwrócił się i przywołał gestem Harry'ego Lefferts'a. Na widok jego dubeltówki z obciętą lufą skrzywił się.

- Zapomnij o tym badziewiu. Tam są też niewinni ludzie. - Wręczył Harry'emu broń, którą zabrał z cherokee Dana. - Weź to. Jest naładowana grubym śrutem. Amunicja jest w środku, sprawdzałem. Jak już Frank przypieprzy tym gościom przy drzwiach, wtedy ty wkraczasz do akcji. Będzie celował w nogi, tam nie mają osłony. Ty masz ich dobić, gdy już znajdą się w parterze.

Harry skinął głową. Wepchnął obrzyna pod rosnący nieopodal krzak i wziął strzelbę Dana. Mike sięgnął do kieszeni i podał mu dodatkowe naboje do strzelby. Potem przyjrzał się pozostałym kolegom. Podobnie jak on, mieli przy sobie jedynie pistolety i rewolwery. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu silić się na jakąś wielką strategię. Poza tym...

„Nie dam rady dłużej tego słuchać”.

- Frank - szepnął - nie strzelaj, dopóki ja nie zacznę.

Chwilę później Mike kroczył w kierunku gwałticieli. W prawej dłoni trzymał rewolwer. Szedł szybko, ale nie biegł. Minęły lata, odkąd Mike boksował zawodowo, jednak nabyte wtedy doświadczenie wzięło teraz górę. „Spokojnie, spokojnie, opanuj się, to tylko zwykła walka”. Coś mu mówiło, że wygląda idiotycznie, wkraczając w samo oko cyklonu w smokingu i lakierkach, ale szybko odsunął te myśli na bok.

Pierwszy zauważył go bandzior, który kuczał niecały metr od kobiety. Mężczyzna przyglądał się scenie gwałtu z dziką żądzą w oczach. Na widok Mike'a jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Mike przystanął, uklęknął, przyjął pozycję strzelecką i wycelował. Jakąś częścią umysłu zarejestrował błyskawiczną reakcję człowieka, którego zaraz miał zastrzelić, i zrobiło to na nim wrażenie. „Zna się na rzeczy”. Mężczyzna już się podnosił i ostrzegwał krzykiem towarzyszy.

„Obydwie dłonie, chwyć mocno, odbezpiecz. Spokojnie, spokojnie. Środek masy. Naciśnij”.

36

Erie Flint

Tak jak zawsze, magnum wystrzeliło z potężnym hukiem i mocno szarpnęło dłonią Mike'a. Kula wbiła się w ramię mężczyzny i rzuciła nim o ziemię. Trwało to ułamek sekundy, nie więcej. Być może mężczyzna jeszcze żył, ale z całą pewnością był unieszkodliwiony.

Do uszu Mike'a dotarły głuchy trzask karabinu Franka i pokrzykiwania Harry'ego. Nie zwracał uwagi na te dźwięki; zignorował je tak, jak niegdyś puszczał mimo uszu ryk tłumu zebranego wokół ringu. Teraz był gotów zabić bandziora, który przytrzymał kobietę za

ramiona. Był dokładnie na wprost niego. Mikę widział tylko rozdziawione usta mężczyzny, reszta twarzy była jednolitą plamą. Bandyta puścił kobietę i zaczął się podnosić.

„To tylko zwykła walka. Odbezpiecz, pojedynczy strzał jest bardziej precyzyjny. Środek masy...”.

Magnum ryknęło po raz drugi. Mężczyzna dostał kulą w klatkę piersiową i runął na wznak z takim impetem, jakby go potrącił samochód ciężarowy. Mikę wiedział, że bandyta jest martwy, zanim jeszcze upadł na ziemię. Został jeszcze jeden, w opuszczonych spodniach. Gwałciciel zaczął coś wołać, ale Mikę znowu nie był w stanie nic zrozumieć. Wyczuwał tylko jego strach. Mężczyzna zszedł z kobiety i rozpaczliwie próbował się podnieść, ale zamotał się w spodnie i upadł na twarz.

Mikę podniósł broń, gotów zabić napastnika, ale wstrzymał się, widząc, że doktor Nichols już jest przy nim. Było coś z chirurgicznej precyzji w sposobie, w jaki Nichols z bliska wypalił bandycie w tył głowy. Raz i drugi.

„I to by było na tyle”. Mikę zdał sobie teraz sprawę, że słyszał kilka wystrzałów z karabinu Franka. Spojrzał w kierunku chaty.

Jeden z bandytów klęczał, rozplaszczony o ścianę budynku. Pośladki miał oblepione krwią. Mikę nie miał wątpliwości, że to właśnie on był pierwszym celem Franka. Pomimo że lubił się nabijać z jego zamiłowania do tej koszarnej broni, wiedział, że jest on zarówno fenomenalnym strzelcem, jak i jednym z najbardziej odpowiedzialnych ludzi, jakich w życiu spotkał. Frank mierzył w dolny odcinek kręgosłupa mężczyzny, tuż poniżej kirysu.

„Bez wątpienia sparaliżowany. Pewnie jest martwy albo właśnie umiera”. Pozostali dwaj wili się na ziemi, trzymając się kurczowo za nogi i wrzeszcząc. Nadbiegał Harry. Młody górnik zatrzymał się gwałtownie kilka metrów od nich, wepchnął nabój do komory, wycelował i strzelił. Chociaż targała nim wściekłość, trafił pierwszego z nich w szyję, która nie była osłonięta ani hełmem, ani pancerzem. Bandyta praktycznie stracił głowę; jego hełm uderzył o ścianę chaty, furkocząc rzemieniami.

Teraz Harry odwrócił się do drugiego bandyty. „Ładuj, wymierz, strzelaj”. Kolejny hełm pofrunął, młóćąc powietrze skórzanymi paskami. Dla świętego spokoju - nie ma tu miejsca na litość - Harry załadował kolejny nabój, zrobił krok do przodu i wypalił w klęczącego pod ścianą sparaliżowanego mężczyznę.

Odległość wynosiła nie więcej niż metr. Tym razem hełm nie spadł, ale tylko dlatego, że odleciała cała głowa. Z kikuta szyi trysnęła krew, malując kamienną ścianę w szkarłatny deseń.

Nagle Mikę dostrzegł jakiś ruch w głębi budynku. Zanurkował.

- Harry, padnij! Na ziemię!

Gdyby nie Mikę, Harry najprawdopodobniej już by nie żył. Młody górnik rzucił się w lewo w momencie, gdy z głębi domu padł strzał, dlatego kula trafiła go tylko w bok. Padł na ziemię, skowycząc, ale w jego głosie słychać było bardziej zaskoczenie i wściekłość niż ból. Mikę mógłby się założyć, że rana była tylko powierzchowna.

- Osłaniaj mnie, Frank! - zawołał, pędząc do drzwi. Słyszał, że winchester Franka ponownie wypalił. Nie widział, dokąd lecą kule, ale wiedział, że Frank będzie strzelał w drzwi, żeby odpędzić ukrytego tam napastnika. Kątem oka dostrzegł, że James Nichols i Tony Adducci strzelają w małe okna rozmieszczone wzdłuż ściany domu. Słyszał, jak drewniane okiennice rozlatują się w drzazgi.

Mikę dotarł do drzwi i przywarł plecami do ściany. Po drugiej stronie drzwi wisiał nieprzytomny, zalany krwią mężczyzna. Jego ciężar - był w średnim wieku i miał wydatny brzuch - sprawiał, że dziury w nadgarstkach niebezpiecznie się powiększały.

„Chryste, wykrwawi się na śmierć”. Mikę natychmiast podjął decyzję. Skoczył w kierunku rolnika, narażając się na strzały z wnętrza domu. Nikt jednak nie strzelał. Dwoma szybkimi szarpnięciami usunął noże i ułożył mężczyznę delikatnie na ziemi.

Nic więcej nie mógł w tym momencie zrobić. Wnętrze chaty było tak słabo oświetlone, że niczego nie było widać. Ostrożność w połączeniu z wojskowym przeszkoleniem nakazywała mu zaczekać, aż nadejdą towarzysze. Jednak z drugiej strony...

„Wszystkie te karabiny to jakieś antyki. Jednostrzałowce nabijane od przodu. Założę się, że ten chujek nie miał czasu przeładować”.

Decyzja ponownie była błyskawiczna. Mike rzucił się do środka i przeturlał po ziemi.

Okazało się, że napastnik rzeczywiście nie miał czasu przeładować, ale niestety Mike wpadł prosto na niego.

Poczuł, że ktoś pada mu na plecy. Zaskoczenie oraz impet zderzenia sprawiły, że upuścił broń. Zerwał się jak szalony, próbując zepchnąć z siebie napastnika.

Ale mężczyzna uczeplił się Mike'a niczym zapaśnik. Warknął więc i trzasnął przeciwnika łokciem.

„Kurwa!”. Zapomniał o kirysie. Lewy łokieć przeszył ból. Ale przynajmniej odepchnął napastnika.

38

Erie Flint

Mike miał instynkt boksera, a nie rewolwerowca, dlatego nawet nie pomyślał o tym, żeby odszukać broń, tylko obrócił się na pięcie i wyprowadził w podbródek bandyty prawy prosty. Miał na koncie osiem zawodowych walk, z tego pierwszych siedem wygranych przez nokaut, i to najpóźniej w czwartej rundzie. Wycofał się, gdy doszedł do wniosku, że brakuje mu szybkości. Ale nikt nigdy nie mówił, że brakuje mu siły.

Bandzior przeleciał przez całe pomieszczenie i rąbnął w masywny stół. Żuchwa zwisała luźno, złamana, głowa opadła na bok.

Nie pomogła widoczna słabość przeciwnika. Nie pomógł też fakt, że był niższy od Mike'a. Ta walka nie toczyła się według przepisów Queensbury'ego. Mike skoczył do przodu i wymierzył prawą ręką cios w podbrzusze, tuż pod kirysem. A potem jeszcze jeden. Gdyby był tu sędzia, z całą pewnością zdyskwalifikowałby go za każde z tych uderzeń. Następnie był lewy hak, który zgruchotał przeciwnikowi szczękę. Mike był bardzo silnym mężczyzną, a do tego jednym z nielicznych, którzy potrafili się bić. Każdy jego cios był jak uderzenie młotem kowalskim. Już się zamierzał, by ponownie trzasnąć bandytę w twarz, ale w ostatniej chwili zatrzymał się.

„Na miłość boską, Stearns, wystarczy! Już go załatwiłeś”. Zmusił się do wykonania kilku kroków do tyłu - zupełnie jakby go odciągał jakiś niewidzialny sędzia. Próbował nieco skupić myśli. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że niemal całkowicie ovladnęło nim pomieszanie strachu i furii. Czuł się jak ampułka czystej adrenaliny.

Jego przeciwnik zwałił się na ziemię jak kłoda. Mike opuścił ręce i rozprostował obolałe palce. Zapomniał już, jak bardzo się cierpi po walce bez rękawic. Nawet jako zwycięzca. Zaczęły nim wstrząsać dreszcze; była to opóźniona reakcja na całe zajście. Szczególnie przeżywał strzelaninę. Chociaż w młodości brał udział w wielu burdach, jednak nigdy nikogo nie zabił.

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Odwrócił się i ujrzał zatroskaną twarz doktora Nicholasa.

- Nic panu nie jest?

Mike pokręcił głową. Zdobył się nawet na słaby uśmiech, po czym podniósł dłonie. Skóra na trzech knykciach była pęknięta i ze skaleczeń sączyła się krew.

- Z tego, co wiem, to chyba nic więcej mi nie dolega. Nichols wziął jego dłonie w swoje ręce i dokładnie je obejrzał.

- Chyba nic nie jest złamane - mruknął, po czym rzucił okiem na leżącego na klepisku nieprzytomnego mężczyznę. - Ale przy takim ciosie, młody człowieku, następnym razem postaraj się o rękawice. Drań wygląda tak, jakby go ktoś pogłaskał trzonkiem siekiery.

Przez chwilę Mike'owi zakręciło się w głowie. Słyszał, że inni górnicy wtargnęli do budynku w poszukiwaniu kolejnych przeciwników, ale nikogo już nie było. Krew pulsująca mu w skroniach zagłuszyła ich słowa, ale po intonacji wywnioskował, że niebezpieczeństwo minęło.

Wciągnął do płuc tak dużo powietrza, że aż przeszedł go dreszcz, i szybko się otrząsnął, przepędzając zawroty głowy.

- Dziękuję, doktorze - powiedział łagodnie. Na twarzy Nicholasa nagle wykwitł uśmiech.

- Daj spokój, mów mi James! Chyba zostaliśmy już sobie przedstawieni. A teraz wybacznij, ale mam tu ciężko ranne osoby do opatrzenia. Jak na jeden dzień, chyba już zbyt wiele razy złamałem Przysięgę Hipokratesa. -1 mruknął pod nosem: - Jezu, Nichols, „po pierwsze nie szkodzić”.

Mike przypomniał sobie o Harrym Leffertsie. I o rolniku oraz kobiecie, która -jak przypuszczał - była jego żoną. Ruszył w ślad za Nicholsem, gotów udzielić wszelkiej pomocy. Nagle jednak przystanął i rozejrzał się w poszukiwaniu Franka.

Jackson stał przy dużym palenisku i oglądał wnętrze budynku. Wyglądało na to, że chata ma tylko jedno pomieszczenie, choć Mike dostrzegł wąziutkie schody - bardziej przypominające drabinę - które prowadziły na wyższe piętro. W budynku panował półmrok; nieliczne okna były tak małe, że wpuszczały do środka jedynie skąpą ilość światła. Mimo tego widział, że wszystko wywrócono tu do góry nogami: bandyci splądrowali dom. Najprawdopodobniej torturowali rolnika po to, żeby wyjawiał im miejsce, w którym ukrył jakieś kosztowności. „Zbyt wiele to chyba nie mógł mieć”. Pomimo imponującego metrażu i bardzo starannej konstrukcji, Mike nigdy w życiu nie widział równie nędznej chaty. Brakowało oświetlenia, nie było żadnej instalacji kanalizacyjnej. W oknach nie było szyb. Nawet zamiast podłogi była po prostu ubita ziemia.

Napotkał wzrok Franka.

- Zajmę się tym, Mike. Tony już sprawdza na górze. Ty lepiej pomóż dok-

Na zewnątrz Nichols właśnie opatrywał rolnika. Doktorowi najwyraźniej skończył się już zapas bandaży z apteczki, bo zdjął marynarkę i zaczął drzeć koszulę na pasy. Mimo że Nichols już dawno miał za sobą młodzieńcze lata, najego dobrze umięśnionym ciele nie widać było prawie żadnych fałdek tłuszczu. Czarne, żyłaste ciało, pokryte cienką warstwą potu, lśniło w promieniach słońca.

Mike rozejrzał się wokół. Harry Lefferts również był bez koszuli i z wybałuszonymi oczami gapił się na swój zraniony bok. Jego biodro i udo były zakrwawione, podobnie jak żebra, jednak rana była już obandażowana i Mike przypuszczał, że krwawienie ustało.

40

Erie Flint

- To tylko powierzchowna rana - usłyszał głos Nicholasa. - Harrym zająłem się w pierwszej kolejności. Będzie miał naprawdę imponującą bliznę, żeby szpanować przed wnukami, ale kula tylko zadrasnęła jedno żebro. Nie sądzę, żeby doszło do wewnętrznego krwawienia. Teraz Nichols spojrzął w stronę kobiety. Leżała w pozycji embrionalnej, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej i twarzą ukrytą w dłoniach. Nie przestawała łkać. Jej poszarpana sukienka była przykryta dwiema marynarkami. Właściciele marynarek - Don Richards i Lany Masaniello - kucali nieopodal. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie i smutek; nie bardzo wiedzieli, jak jeszcze mogliby pomóc kobiecie.

- Wszystko z nią będzie w porządku - mruknął Nichols i twarz mu stężała.

- Oczywiście na tyle, na ile wszystko może być w porządku z ofiarą zbiorowego gwałtu. Ale za to nie wiem, czyjej mąż z tego wyjdzie. Wszystkie główne arterie są całe, ale stracił koszmarnie dużo krwi.

Mike przykucnął obok doktora.

- Jak mogę ci pomóc, James? - Nichols obwiązał wszystkie rany rolnika, jednak krew nie przestawała płynąć. Lekarz darł coraz to nowe pasy z tego, co niegdyś było koszulą, i zakładał nowe opatrunki.

- Przede wszystkim daj mi swoją marynarkę. I zobacz, czy w środku są jakieś koce. Cokolwiek, byle tylko go ogrzać. Jest w ciężkim szoku.

Mikę zdjął marynarkę i podał ją doktorowi, a ten natychmiast okrył nią rolnika.

- A teraz sprowadź karetkę, żebyśmy mogli zabrać tego biedaka do szpitala. Zrobiłem wszystko, co było możliwe w tych warunkach, ale teraz potrzebny jest prawdziwy sprzęt medyczny.

Doktor podniósł głowę i powoli rozejrzał się po okolicy.

- Ale coś mi się wydaje, że na nadmiar karetek i szpitali nie będziemy tu raczej narzekać. Napotkał spojrzenie Mikę'a.

- Gdzie my w ogóle jesteśmy, do jasnej cholery? - Zdobył się na uśmiech. - Błagam cię, nie mów mi, że tak się żyje w Wirginii Zachodniej. Córka namawia mnie, żebym otworzył tutaj gabinet. - Ponownie się rozejrzał. - Nawet ten film Wybawienie nie był tak popieprzony. A działa się to gdzieś w dzikiej głuszy, o ile dobrze pamiętam. My przecież jesteśmy zaledwie półtorej godziny drogi od Pittsburgha.

- Toto, mam wrażenie, że nie jesteśmy już w Wirginii Zachodniej - powiedział cicho Mikę. Nichols zaśmiał się. - Nic się nie zgadza, James. Ani krajobraz, ani drzewa, ani mieszkańcy, ani... - Wskazał znajdujący się za ich plecami dom. - W Wirginii Zachodniej nie ma takich budynków, możesz mi wierzyć na słowo. Pomijając całą nędzę, ta chata nie jest jakąś rozklekotaną budą. Tak wielki i porządnie zbudowany dom - no i przy tym tak stary - u nas zostałby uznany za zabytek jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Schylił się, żeby podnieść z ziemi broń, którą upuścił jeden z bandziorów. Po krótkich oględzinach pokazał ją Nicholsowi.

- Widziałeś kiedyś coś takiego? - Doktor pokręcił głową. - Ja też nie - powiedział Mikę. - Kenn Hobbs twierdzi, że to jest rusznica, a on raczej wie, o czym mówi. Przez całe życie fascynowała go historyczna broń palna. To coś ma zamek lontowy, a takiej broni nie robią już od... chyba co najmniej dwustu lat. Nawet w czasach wojny o niepodległość każda broń miała już zamek skałkowy.

Przyjrzał się uważnie lufie.

- No spójrz tylko, przecież to jest przynajmniej kaliber 19 milimetrów. Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu Frank, który właśnie wyszedł z budynku.

- Teren jest czysty - oznajmił. Jackson był jak zawsze niewzruszony. Po części wynikało to z jego osobowości, a po części z tego, że skarbnik związku, jako jedyny oprócz Nicholasa, miał za sobą prawdziwe doświadczenia wojenne.

Mikę przyjrzał się reszcie kolegów. Wszyscy zaczęli teraz odreagowywać niedawne zdarzenia. Lefferts leżał na plecach, przyciskając do boku opatrunek i wpatrując się w niebo. Ten sam młodzieniec, który bezlitośnie zabijał w ogniu walki, teraz sprawiał wrażenie otumanionego zwierzęcia. Oczy miał szeroko rozwarte, spojrzenie puste. Obok niego klęczał Darryl z głową wciśniętą w ramiona. Tak mocno trzymał się za kolana, że aż pobieleły mu kłykcie. Don Richards i Larry Masaniello siedzieli z nogami wyciągniętymi przed siebie i podpierali się rękami. Ich broń leżała na ziemi. Widać było, że ciężko oddychają. Richards kłął pod nosem, Masaniello, pobożny katolik, odmawiał po cichu Ojcze nasz.

Mikę wypuścił ze świstem powietrze.

- Chyba wszystkich nas trochę ruszyło, James, z wyjątkiem ciebie i Franka. Doktor zaśmiał się krótko.

- Tak, jasne. Którejś nocy obudzę się z wrzaskiem. Założę się, że Frank także.

Jackson, oparty o framugę, potrząsnął głową.

- Na pewno nie dzisiejszej nocy. Jutrzejszej też nie, ale pojutrze będzie już niedobrze. Jak nic chwyć mnie dreszcze. - Spojrzał ponurym wzrokiem na pobojowisko. - Jezus Maria, nawet w Wietnamie nie widziałem takiej rzeźni. Ale na szczęście to głównie my strzelaliśmy. - Popatrzył na Mike'a kucającego obok doktora. - A jak ty się trzymasz? - zapytał, i zanim Mikę zdążył odpowiedzieć, dorzucił: - Tylko mi tu nie pierdziel. Nie jesteś aż tak twardy. Mikę roześmiał się wesoło.

- Wcale tak nie twierdzą. Serio? Czuję się tak, jakby mnie tir potrafił. Nie wiem, jak to się stało, że jeszcze żyję. - Wciąż widział, jak kroczy niczym

42

Erie Flint

maszyna do zabijania, zimny jak lód. Bach, bach. Po prostu. Jeden martwy, drugi...

Spojrzał na ciało mężczyzny, którego postrzelił na samym początku w ramię. Nie trzeba być doktorem, żeby stwierdzić, że mężczyzna był martwy. Pocisk magnum musiał rozsadzić mu serce.

„No przecież właśnie dlatego kupiłeś to bydło. I oni nazywają to «mocą obalającą».

Chryste!”.

Zacisnął usta, myśląc o tym, co właściwie czuje.

- Daj spokój, Mikę - powiedział Frank. - Dzisiaj tego nie ogarniesz. Zaufaj mi. Na razie o tym nie myśl.

- On ma rację - zawtórował Nichols i wyprostował się. To przypomniało Mike'owi, że miał poszukać koców.

- Przepraszam - mruknął i ruszył w kierunku domu. - Frank, czy zauważyłeś gdzieś jakieś koce, gdy byłeś...

Nagle z góry dobiegł ich krzyk Tony'ego Adducci. Tony wychylał się z małego okna na piętrze i wskazywał na coś palcem.

- Znowu mamy kłopoty! - zawołał. Mikę spojrział we wskazanym kierunku. Z podwórza prowadziła mała dróżka, która następnie ginęła wśród drzew. Stojąc na ziemi, Mikę nie był w stanie niczego dostrzec.

Ale Adducci najwyraźniej widział coś ponad wierzchołkami drzew.

-Zbliża się... yyy... Kurwa, Mikę, przysięgam, że to prawda. Zbliża się dylizans w towarzystwie czterech jeźdźców. Są góra czterysta metrów stąd. Będą tu lada moment. Po chwili zaczął jeszcze głośniejsze krzyżeć.

- A za nimi biegnie kolejnych dwudziestu gości z zajebicie wielkimi włóczniami! Nie żartuję, do cholery jasnej, z włóczniami]

Wychylając się nieco bardziej, Tony spojrział na leżące na podwórzu zwłoki.

- Wyglądają dokładnie tak samo, jak tamci. Ci na koniach zresztą też. Mikę znowu spojrział w kierunku wskazywanym przez Tony'ego. Droga

wyglądała tak, jakby była przeznaczona dla wozów. Dwa rowy, a pośrodku ubita ziemia.

Drzewa przesłaniające widok były oddalone o niespełna dwadzieścia metrów. Po chwili usłyszał zbliżający się tętent kopyt i czterech jeźdźców wypadło zza drzew. Oni również nosili hełmy i kirysy, a u boku mieli przypasane miecze. Mikę dostrzegł, że przy ich siodłach wiszą jakieś wielkie pistolety.

Jadący na czele zauważył go i coś wykrzyknął. Cała czwórka momentalnie osadziła wierzchowce w miejscu. Po chwili dołączył do nich pojazd ciągnięty przez szóstkę koni.

Woźnica gwałtownie ściągnął lejce, tylko cudem unikając kolizji ze stojącymi jeźdźcami, na skutek czego pojazdem zarzuciło w poprzek drogi, niemal go przewracając. Jedno z kół wpadło do rowu.

Tony użył słowa „dylizans”, ale takiego dylizansu Mikę nigdy w życiu nie widział, nawet na filmach. Pomijając eleganckie wykonanie i wszelkie zdobienia, pojazd przywodził na myśl raczej mały kryty wóz.

Wysunięty do przodu jeździec ponownie coś zawołał. Tak jak i wcześniej, Mikę nie zrozumiał słów, ale był już pewien, że mężczyzna mówi po niemiecku. Chyba że jego własna pamięć stroiła sobie z niego okrutne żarty.

Zapadła cisza. Mężczyźni wpatrywali się w Amerykanów. Dwaj górnicy siedzący przy zgwałconej kobiecie podnieśli się, trzymając broń w pogotowiu. Tak samo Darryl, Frank i Tony. Nichols kucnął, pozornie niedbale trzymając policyjną broń. Nawet Harry, wciąż leżąc na ziemi i dociskając bandaż do żeber, rozpaczliwie starał się znaleźć swoją strzelbę. Ostatni z górników, Chuck Rawls, był wewnątrz budynku. Mikę usłyszał jego szept dobiegający zza drzwi:

- Mam ich na muszce. Daj mi tylko znak. Mikę wyciągnął przed siebie ręce.

- Zaczekajcie! Nie strzelamy bez powodu!

Dostrzegł, że jeźdźcy powoli sięgają po wiszące przy siodłach pistolety. Przypomniał sobie - zupełnie nie w porę - że jego własna broń leży gdzieś wewnątrz budynku.

Wtedy z boku powozu rozsunała się zasłona i wyjrzała zza niej jakaś twarz. Była to twarz zrozpaczonej młodej kobiety. Kilka pasm długich czarnych włosów wymknęło się spod czepek okrywającego jej głowę. Miała brązowe oczy i ciemną karnację, zupełnie jak Hiszpanka. Była...

Twarz Mike'a błysnęła radością. Nieco dziwną w tych okolicznościach, chociaż może wcale nie taką dziwną. W końcu czasem, gdy logika i rozsądek znikną, instynkt bierze górę.

- Spokojnie, panowie! Chyba mamy tu damę w opałach. Jak na mój gust, wybór jednej ze stron to będzie teraz bułka z masłem.

- Zawsze byłeś typem romantyka - zachichotał Frank. - I zawsze leciałeś na ładną buzię.

Mikę wzruszył ramionami. Powoli ruszył w stronę pojazdu, nie przestając się uśmiechać.

Rozstawił szeroko dłonie, żeby eskorta widziała, że nie jest uzbrojony.

- To jest dla ciebie „ładna buzia”? - zawołał przez ramię. - Chyba cię pogięło, Frank. Boja uważam, że najpierw trafiliśmy na plan zdjęciowy Wybawienia - parsknął - albo Teksańskiej masakry pilą mechaniczną, teraz zaś...

Twarz kobiety była coraz bliżej.

- Teraz zaś jesteśmy w Kleopatrze. - Słowa te wypowiedział znacznie łagodniej niż zamierzał. Ku swojemu zaskoczeniu zdał sobie też sprawę z czego innego - wcale nie żartował.

fóoa&teutł 4

Nagle szarpnięciem powozu spowodowało Rebeka wpadła naojca. Baltazar Abrabanel syknął z bólu.

- Uważaj, dziecko! -Przycisnął mocniej dłoń do klatki piersiowej. Jegooko-lona siwą brodą twarz była bardzo mizerna. Oddychał szybko i ciężko

Rebeka wpatrywała się w ojca, czuła, że jej serce wali jak oszalałe ze strachu - stachu tak wielkiego, że graniczył niemal z paniką. „Z ojcem dzieje się coś niedobrego. Jego serce...”.

, ^^^"J^^oJywania. Rebeka rozpoznała głos dowódcy grupki lanctaehtow,^^

^enburga-jednakmężczyznanomówiłponiemieckuztakkoszmaniym akcentem, ze mebyławstan^ zrozumieć słów. Bez wątpienia jednak był mocno zdumiony.

Rozległ się kolejny krzyk i tym razem zrozumiała

-Kto wy?!

Baltazar cicho jęknął.

- Zobacz, co się dzieje, Rebeko - powiedział z wyraźnym trudem

Rebeka zawahała się przez krótką chwilę. Stan ojca napawał ją trwogą, lecz z przyzwyczajenia go usłuchała.

wozem .Rebeka wolałaby w ogóle nie zaciągać zasłon, żeby przez S^czas moc rozkoszować się świeżym powietrzem, ale ojciec uparł się, żeby ich podróż odbywała się w tajemnicy przed światem

'powoż

„Dziecko” ta r^ ^ Mzie „yst-icza-Mco niebezpieczna -rzekł z dziwnym uśmiechem - więc lepiej, żebyś dodatkowo nie wystawiała się na spojrzenia mężczyzn. - W jego słowach była czułość i duma, owszem, ale było też coś jeszcze...

Gdy wreszcie dotarło do niej, co to jest to „coś jeszcze”, przed czym ojciec chciał ją uchronić, była równie zdumiona, jak wstrząśnięta. „Czy mężczyźni naprawdę popełniają takie czyny?”. Zdumienie wywołała świadomość, że ojciec uważa ją za piękną. Słyszała to już od innych, ale... wciąż brzmiało to jakoś niewiarygodnie. Ona sama widziała w lustrze jedynie młodą Sefardyjkę o oliwkowej skórze, z długimi, czarnymi włosami i o ciemnych oczach.

Rzeczywiście, miała bardzo regularne rysy, prawdopodobnie bardziej niż inne kobiety, a czasami - w rzadkich chwilach próżności - uważała, że ma zmysłowe usta. Wydatne, pełne. Ale żeby... piękna? „Cóż to znaczy?”.

W końcu - zajęło to raptem kilka chwil, lecz jej wydały się one wiecznością- rozsuptała wstęgę, odsunęła zasłonę i wychyliła się przez okno.

Przez moment nie docierało do niej, co ma przed oczami; wciąż myślała tylko o cierpieniu ojca. „Jego serce!”.

Wreszcie zrozumiała. Stłumiła okrzyk i cofnęła się nieco w głąb pojazdu. Nowy lęk chwycił ją za gardło, zajmując miejsce starego. Lęk wywołany widokiem leżących wszędzie ciał. Rebeka nigdy wcześniej nie widziała prawdziwych scen przemocy, jedynie drobne bójki, ale nawet one były surowo tępiące przez amsterdamskie władze.

„Wszędzie tyle krwi! A tam... leżygfowa. Czy ta kobieta... Czy ona została... Boże Wszzechmogący!”.

To wszystko wywoływało jednak tylko lęk, za to na widok zbliżającego się do niej mężczyzny ogarnęło ją przerażenie przeszywające niczym rozpalone ostrze.

Strach sparaliżował ją. Patrzyła na mężczyznę jak mysz na węża.

„Hidalgo! Tutaj? Boże, miej nas w opiece!”.

- O co chodzi, dziecko? - zapytał ojciec. - Co się dzieje? - syknął i zaczął się gwałtownie szarpać.

Była rozdarta między strachem przed mężczyzną a obawą o ojca. I wtedy („czy to się kiedyś skończy?”) usłyszała krzyki dowódcy wynajętych przez ojca lancknechtów.

- Ruszajmy! Nuże! Za mało nam płacą!

Rozległ się tętent kopyt. Po chwili Rebeka poczuła, że powóz się zakołysał, i zrozumiała, że to woźnica zeskoczył z kozła. Słyszała, jak ucieka, przedzierając się przez rosnące wzdłuż drogi chaszczce.

„Porzucają nas!”.

Odwróciła się i szeroko otwartymi z przerażenia oczami spojrzała na ojca. Ale ów łagodny i mądry człowiek, na którym przez całe życie polegała, nie mógł jej teraz pomóc. Baltazar Abrabanel wciąż żył, jednak miał przymknięte powieki, a szczęki zaciśnięte z potwornego bólu. Obydwoma dłońmi przyciskał klatkę piersiową i powoli zsuwał się z poduszek.

Cichutko jęknął.

46

Erie Flint

Strach dziecka przewyciężył wszystkie inne lęki. Rebeka błyskawicznie uklękła i mocno objęła ojca. Rozpaczliwie starała się go ukoić, zupełnie nie wiedząc, jak to zrobić. Spojrzała na ciężkie kufry spoczywające na siedzeniu na wprost niej. Były w nich księgi ojca, jego przekład dzieł medycznych Galena¹³. Trzydzieści siedem tomów Galena, wszystkie napisane po arabsku - w języku, który Rebeka bardzo słabo знаła.

I wtedy usłyszała jakiś głos. Zdumiona, odwróciła głowę.

Hidalgo stał przy oknie powozu i zaglądał do środka. Mężczyzna był tak wysoki, że musiał się schylać.

Wydawało jej się, że go zrozumiała. „Ale nie, to niemożliwe, on nie może mówić po...”.

Hidalgo powtórzył te same słowa. Miał bardzo dziwny akcent. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś tak wymawiał słowa w tym języku.

„Angielski? Mówi po angielsku? Żaden hidalgo nie mówi po angielsku. Mają ten język w głębokiej pogardzie, bo to język piratów i handlarzy”.

Popatrzyła na niego uważnie. Sprawiał wrażenie, że jest tak samo zagubiony, jak ona przerażona. Był w każdym calu hidalgiem: rośli, silny, wyprostowany, przystojny. Roztaczał wokół aury pewności siebie i wiary we własne siły, typową tylko dla hiszpańskiej arystokracji. Zgadzał się nawet jego ubiór: biała marszczona koszula (jedwab, była tego pewna) i czarne spodnie. „Owszem, jest coś dziwnego w jego obuwiu, ale...”.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. „Któż inny miałby tak idealne zęby?”.

I wtedy ponownie się odezwał. Po raz czwarty wypowiedział te same słowa.

- Przepraszam panią, czy można pani w czymś pomóc?

Przez następne lata Rebeka Abrabanel wiele razy zastanawiała się, czemu wtedy powiedziała prawdę. A raczej wybełkotała.

Doszła do wniosku, że częściowo powodem była odwieczna tęsknota. Mimo dzikich okrucieństw inkwizycji i bezlitosnego wypędzenia Żydów przez hiszpańskich i portugalskich Sefardyjczyków nigdy nie byli w stanie zapomnieć Iberii - zalanej słońcem krainy, którą pokochali. Przez stulecia wznosili tutaj budynki, wierząc, że wreszcie znaleźli upragnione schronienie, dopóki rodzina królewska i arystokracja nie postanowiły ich wypędzić, skazując na ponowną tułaczkę. Zachowali jednak swoją mowę, cieszyli się własną kulturą. Aszkenazyjczycy mogli gniesć się w swoich gettach we wschodniej i środkowej Europie, broniąc całemu światu dostępu do swych dusz, ale nie Sefardyjczycy. Blisko półtora wieku minęło od wygnania ich z krainy, którą zwali Se-farad, lecz dla nich wciąż największym zaszczytem było nazwanie mężczyzny hidalgiem.

Po latach Rebeka uświadomiła sobie, że jej odpowiedź częściowo była również reakcją na odkrycie, że legendy z czasów jej dzieciństwa nie kłamały. Że gdzieś na świecie żyje arystokracja, która nie pławi się w okrucieństwie i zdradzie, skrytymi pod płaszczykiem uprzejmości.

Ale było coś jeszcze: reakcja kobiety.

Albowiem stał przed nią mężczyzna. Urodziwy, owszem, chociaż inaczej

!MMMMME

WIIMBBi;

strachem, zachowała na tyle przytomności umysłu, żeby dostrzec różnicę. Mężczyzna nie miał w sobie nic z drapieżnej urody hidalga. Był to po prostu przystojny mężczyzna, właściwie kmięć, sądząc po zadartym nosie i szerokim uśmiechu. I nawet jeśli jego oczy były kulami tak czystego błękitu, że pozazdrościłby mu każdy hidalgo, malowały się w nich jedynie przyjaźń i troska.

Do takich wniosków Rebeka Abrabanel doszła po latach. Gdy sięgała pamięcią wstecz, nie była w stanie znaleźć żadnej innej chwili, która wypełniłaby jej serce takim żarem.

- Tak, błagam! Mój ojciec... - Opuściła głowę i zamknęła oczy. Spod zaciśniętych powiek zaczęły płynąć łzy. - Jest bardzo chory. To chyba serce - powiedziała cicho.

Otworzyła oczy i podniosła głowę. Twarz mężczyzny rozmyła się we łzach.

- Jesteśmy sami - szepnęła. - Nikt... Jesteśmy marrani. - Wyczuła, że mężczyznę zdziwiło to określenie. „Naturalnie, przecież jest Anglikiem”. - To ukryci Żydzi - wyjaśniła i ku swemu zaskoczeniu zdobyła się na chichot. - Teraz zapewne już nie. Mój ojciec... - położyła dłoń na jego siwej głowie, jakby starała się ją ochronić - jest filozofem. Lekarzem z zawodu, lecz zgłębia też wiele innych tajników wiedzy. Mojżesza Majmonidesa¹⁴, rzecz jasna, lecz także stanowisko Karaimów⁵ wobec Talmudu. I Awerroesa¹⁶.

Dotarło do niej, że niepotrzebnie o tym mówi. „Dlaczego miałoby go to obchodzić?”.

Zacisnęła wargi.

- Dlatego amsterdamscy Żydzi wygnali go za herezję. Jesteśmy właśnie w drodze do Badenburga, gdzie mieszka mój wuj. Powiedział, że udzieli nam schronienia. - Urwała nagle, przypomniawszy sobie o srebrze ukrytym w skrzyniach z księgami. Strach powrócił. Mężczyzna odwrócił się i zawołał:

- James, chodź tu szybko! Chyba mamy ciężko chorego!

Nie uśmiechał się już tak szeroko, jak wcześniej, lecz mimo to Rebeka wyczuwała bijący od niego spokój.

- Czy potrzebuje pani jeszcze czegoś? - zapytał. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. - Zbliżają się tu jacyś uzbrojeni mężczyźni. Kim oni są?

Rebeka stłumiła okrzyk. Całkowicie zapomniała o bandzie najemników, na którą natknęli się wcześniej.

48

Erie Flint

- To ludzie Tilly'ego! - wykrzyknęła. - Nie przypuszczaliśmy, że zapuszczą się tak daleko od Magdeburga. Spotkaliśmy ich jakieś trzy kilometry stąd. Liczyliśmy na to, że uciekniemy im tą drogą, lecz...

- Kim jest Tilly? - zapytał mężczyzna. Teraz jego twarz była surowa, napięta, gniewna. Lecz gniew nie wydawał się skierowany przeciwko niej.

Rebeka otarła łzy. „Kim jest Tilly? Jak można nie wiedzieć... po Magdeburgu?”. Mężczyzna chyba wyczuł jej zmieszanie.

- Nieważne - uciął. Z daleka dobiegło wołanie. Rebeka nie rozumiała słów, ale wiedziała, że były po angielsku. Chyba było to jakieś ostrzeżenie.

- Muszę wiedzieć, czy ci ludzie chcą was skrzywdzić - powiedział zdecydowanym tonem.

Rebeka wpatrywała się weń ze zdumieniem. „Czy on sobie stroi żarty?”. Ale uczciwość malująca się na jego twarzy dodała jej pewności siebie.

- Tak - odpowiedziała. - Obrabują nas. Zabijają mego ojca. Mnie... - Jej wzrok powędrował w kierunku miejsca, w którym leżała tamta kobieta. Już jej tam nie było; wstała i powoli szła w stronę chaty, podtrzymywana przez dwóch ludzi hidalga.

- To mi wystarczy. W zupełności wystarczy. - Rebeka była zdumiona wściekłością, która przebijała z jego słów.

Chwilę później drzwi powozu otworzyły się i do środka wszedł obnażony do pasa czarnoskóry mężczyzna. W jednej ręce miał małą czerwoną skrzynkę przyozdobioną białym krzyżem. Osłupiała Rebeka nawet nie protestowała, gdy czarnoskóry delikatnie odsunął ją na bok i zaczął badać jej ojca.

Badanie było szybkie i fachowe. Potem mężczyzna otworzył skrzynkę i wyciągnął jakąś fiolkę. Rebeka, córka lekarza, zrozumiała, kogo ma przed sobą, i poczuła olbrzymią ulgę.

„Dzięki Ci, Panie, to Maur!”. Jej ojciec bardzo cenił islamską medycynę, za to jego opinia o chrześcijańskich medykach zakrawała na bluźnierstwo.

Tymczasem po wykrzyknięciu kilku rozkazów, których Rebeka nie rozumiała, hidalgo ponownie zajrzał do powozu.

Maur mówił szybko i zwięźle. Jego akcent różnił się od wymowy hidalga, a na dodatek używał jakichś dziwnych pojęć, których Rebeka nie była w stanie zrozumieć.

- Ma (/iawał? To nie ma żadnego sensu"). I to chyba ciężki. Musimy jak najszybciej zabrać go do („szpicla?"). Jeśli mu nie podamy („to niezrozumiałe słowo, ale druga część brzmi jak „usunąć zator", tylko czemu ich obchodzą przeszkody na drogach?"), to nie mamy o czym myśleć. Wtedy będzie już za późno.

- Czy on umiera? - wykrztusiła. Czarnoskóry medyk spojrział na nią z troską.

- Może umrzeć, proszę pani - powiedział łagodnie - ale może też z tego wyjść. („Wyjść z tego? Aha, przeżyć. Co za przedziwny zwrot"). Jest za wcześnie, żeby coś więcej powiedzieć. Ludzie hidalga znów zaczęli coś wołać. Rebecę wydawało się, że głosy dobiegają z chaty.

Tym razem rozumiała, o co chodzi.

- Nadchodzą! Mike, kryj się („Majk? To zapewne imię hidalga”)! Hidalgo spoglądał na drogę. Słysząc już było odgłos biegnących stóp i okrzyki. „To Niemcy. Ludzie Tilly'ego. Wyją niczym wilki. Dostrzegli powóz”.

- Nie! Zostańcie wszyscy w budynku! - zawołał hidalgo. - Jak tylko podejda, zacznijcie strzelać. Ja ich odciągnę od powozu!

Wsadził głowę do środka i wyciągnął dłoń w kierunku medyka.

- James, daj mi swoją broń. Nie mam czasu szukać własnej.

Maur sięgnął za siebie i wydobył coś z kieszeni spodni. Rebeka przyjrzała się niepewnie.

„Czy to jest pistolet? Jaki mały! Nie taki, jak te olbrzymy noszone przez lancknechtów”.

Widząc, z jaką skwapliwością hidalgo chwycił ów przedmiot, nie wątpiła, że trafnie odgadła. Rebeka miała nikłe pojęcie o broni palnej, ale mimo to była zdumiona niebywałym kunsztem, z jakim broń została wykonana.

Hidalgo oddalił się, aby zająć pozycję w sporej odległości od powozu. Zatrzymał się i prędko sprawdził pistolet, robiąc z nim coś, czego Rebeka nie mogła dostrzec. Następnie wyprostował ramiona i stanął w rozkroku. Czekał.

Rebeka tkwiła przy oknie; jej spojrzenie krążyło między chatą a hidalgiem. Nawet będąc całkowicie niedoświadczoną osobą, pojęła, że mężczyzna zamierza odwrócić uwagę ludzi Tilly'ego od powozu, a tymczasem jego towarzysze ukryci w chacie będą mieli czyste pole do strzału.

Potem usłyszała najemników pędzących w stronę chaty, ale ich nie widziała. Widziała jedynie hidalga.

W starciu, do którego doszło, także widziała tylko wysokiego mężczyznę w marszczącej białej koszuli, czarnych spodniach i dziwnych butach. Lecz Rebecę one nie przeszkadzały. Samuel ha-Nagid, który recytując hebrajską poezję, poprowadził armię muzułmańską do zwycięstwa w bitwie pod Alfu-ente, byłby dumny z takiego obuwia. Tak przynajmniej sądziła młoda kobieta wychowana pośród legend Sefaradu.

Wydawał się taki spokojny, taki pewny siebie. Rebeka przypomniała sobie wiersz ha-Nagida napisany na cześć Alfuentes.

Mój wróg powstał i Skąła powstała przeciw niemu. Jak stworzenie może powstać przeciw swemu stwórcy? Teraz moje wojska i wojska wroga formują szeregi Naprzeciw siebie. Tego dnia gniewu, zawiści i Wściekłości, ludzie są gotowi dać Księżciu Śmierci Królewską zapłatę; i każdy mężczyzna szuka wiktoria Chociaż musi zapłacić za nią swoim życiem."

50

Erie Flint

Hidalgo wystrzelił pierwszy. Nie ostrzegał, nie rozkazywał, nie groził. Zamiast tego lekko przykucnął i wzniosł oburącz pistolet. Chwilę później odgłos wystrzału poraził Rebece.

Rozpoczęła się bitwa.

Była krótka, dzika i niewyobrażalnie okrutna. Nawet Rebeka - absolutna ignorantka w dziedzinie zabijania - wiedziała, że z żadnej broni nie można strzelać z taką prędkością, z jaką ciął powietrze grad kul wystrzeliwanych przez hidalga i jego ludzi. Nie widziała masakry, jaką pociski urządziły w szeregach najemników, lecz bez najmniejszego trudu mogła zinterpretować dochodzące do niej okrzyki bólu i zaskoczenia.

r)7l'pH litoratii-ia V,

... „%Łfii»^ uuiwniv owtj uuszę prz(

cym strachem. Odwagę czerpała zarówno z męstwa hidalga owego dnia, jak i poezji kogo innego dużo wcześniej pod Alfuentes.

Te młode lwy witają każdą otwartą ranę Na swoich głowach jak wieńce. Umrzeć - Wierzyli - to dotrzymać zwycięstwa. Życ — Myśleli - zakazano.'8

Wstrzymała oddech. Nie wszystkie wystrzały pochodziły z broni hidalga i jego towarzyszy. Rozpoznała niski ryk arkebuzów. Ze strachem czekała na moment, gdy biała koszula hidalga spłynie krwią.

Rzucone włócznie

Były jak błyskawice, wypełniające powietrze
Światłem... Krew człowieka płynęła
Po ziemi jak krew baranów ofiarnych na brzegach
Ołtarza."

Lecz nic się nie stało - nic poza niewidzialnym wichrem, który szarpnął za lewy rękaw
koszuli mężczyzny i pozostawił go w strzępach. Jęknęła, lecz nie było żadnej krwi.
Żadnej krwi.

Bitwa dobiegła końca równie gwałtownie, jak się rozpoczęła. Zapadła cisza, przerywana
jedynie tupotem oddalających się stóp i przerażonymi okrzykami uciekających. Rebeka
westchnęła bardzo głęboko. I jeszcze
uśmiechu nie kryła się żadna groźba.

Rebeka osunęła się na wyłożone poduszkami siedzenie. Ukryła twarz w dłoniach i zaniósła
się szlochem.

Jakiś czas później drzwi powozu ponownie się otworzyły. Hidalgo wszedł do środka, usiadł
ostrożnie na siedzeniu obok niej i objął ją ramieniem. Nie zastanawiając się nad
niestosownością swego zachowania, oparła się o jego ramię i przytuliła twarz do jego piersi.
Poczuła miękki jedwab na twardych mięśniach. Żadnej krwi.

- Dziękuję - wyszeptwała.

Nie odpowiedział. Nie było takiej potrzeby. Rebeka poczuła, że pierwszy raz w tym dniu - a
może nawet pierwszy raz od wielu lat - spływa z niej całe napięcie i przerażenie.

Czy nastał potop i spustoszył ziemię?

Albowiem nigdzie nie widać kawałka suchej ziemi™

To, co przyszło jej wtedy na myśl, było nieco dziwne. Dochodząc do siebie po koszmarnych
przejściach w ramionach obcego mężczyzny, mogła myśleć tylko o zalanej słońcem krainie
poezji, której nigdy nie widziała na oczy. Ocierając lzy jedwabną koszulą, przypomniawszy sobie
odę, którą Abraham Ibn Ezra napisał do swego płaszcza:

Rozrzucam go jak

namiot w ciemności nocy,

i gwiazdy przeświecają przez jego tkaninę;

widzę przezeń księżyc i Plejady,

1 Oriona pulsującego światłem.²¹

i&azbzbtl 5

Hidalgo nie pozostał długo w powozie, może dwie minuty; Rebeka nie była pewna. Kilku
jego ludzi podeszło do powozu i odbyła się szybka wymiana słów. Nie była w stanie zbyt
wiele zrozumieć - częściowo z powodu ich akcentu, a częściowo z powodu nie znanych jej
pojęć. To dziwne. Rebeka urodziła się i dorastała w Londynie, i sądziła, że wszelkie arkana
języka angielskiego sajej znane.

Pojęła jednak sedno dyskusji i ono również wydało jej się osobliwe. Hidalgo i jego ludzie
sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Nie mogli się też zdecydować,
jakie kroki powinni teraz podjąć.

To dziwne, bardzo dziwne. Po raz kolejny strach wkradł się do serca Rebeki. Mimo że ludzie
hidalga bez wątplenia traktowali go z szacunkiem i wykonywali jego polecenia, jednak nie
odnosili się do niego jak do arystokraty. A więc pomimo wykwinnych manier na pewno jest
dowódcą najemników. Nieślubnym synem jakiegoś drobnego barona, być może z jednej z
angielskich prowincji. To tłumaczyłoby jego dziwny akcent.

Rebeka cofnęła się w głąb powozu. Najemnicy byli bezlitośni, każdy to wiedział. Tylko z
nazwy nie byli bandytami. Zwłaszcza tutaj, w Świętym Cesarstwie Rzymskim, trawionym
ogniem wojny.

Spojrzała w stronę ojca. Ale tym razem ojciec nie mógł jej dać ukojenia; sam walczył o życie. Mauretański lekarz podtrzymywał go i podawał mu jakieś pigułki z fiolki, którą wyciągnął ze skrzynki. Rebecę nawet nie przyszło do głowy, żeby oponować. Czarnoskórego medyka otaczała aura wiedzy i pewności siebie.

Hidalgo wrócił do powozu i Rebeka nieśmiało odwróciła się ku niemu.

Poczuła ulgę. W jego oczach wciąż była życzliwość. Życzliwość i...

Z trudem przełknęła ślinę. Znała to spojrzenie. Widziała je już wcześniej, w Amsterdamie, u tych bardziej pewnych siebie młodzieńców z Dzielnicy Żydowskiej. Aprobata, podziw, nawet pragnienie skryte za zasłoną kurtu-

Po chwili doszła do wniosku, że nie widzi ani śladu żądz. Uczucie to nie było Rebecę zbyt dobrze znane, pomijając może jego romantyczną odmianę, którą odnalazła w niektórych księgach ojca. Romanse, które czytywała w swej domowej bibliotece w Amsterdamie, chowała wewnątrz opasłych woluminów teologicznych, tak żeby ojciec nie mógł dostrzec śladów jej nieprzystojnego zaciekawienia.

Na myśl o bibliotece poczuła bolesne ukłucie w sercu. Kochała ów pokój, kochała panujące tam ciszę i spokój. Kochała księgi, którymi zastawione były wszystkie ściany. Umysł jej ojca żył przeszłością i raczej gardził światem współczesnym, ale było pewne nowoczesne urządzenie, którego ojciec nie mógł się nachwalić - prasa drukarska. „Za tę jedną rzecz - zwykły mawiać - Bóg wybaczy Niemcom ich wszystkie zbrodnie”.

A teraz właśnie znaleźli się na ziemiach niemieckich, zagubieni w wojennej nawałnicy, szukający schronienia w samym oku cyklonu. Nigdy już nie zobaczą swojej biblioteki; namysł o tej stracie Reбекę Abrabanel przez chwilę ogarnęła rozpacz. Wraz z tamtym miejscem odeszło jej dzieciństwo, a także wiek dziewczęcy. Miała dwadzieścia trzy lata. Czy tego chciała, czy nie, na jej barkach spoczęły obowiązki dojrzałej kobiety.

Naprężyła więc owe barki i wyprostowała się, gromadząc w sobie odwagę i zdecydowanie.

Jej postawa przyciągnęła spojrzenie hidalga. Zachwyt czający się w głębi jego błękitnych kul jeszcze mocniej rozbrzmiał. Rebeka nie wiedziała, czy ma się skulić, czy uśmiechnąć.

Zdecydowała się na uśmiech, i z jakiegoś powodu wcale nie uznała tego za dziwne.

Hidalgo przemówił. Zdania były urywane, pełne osobliwych słów i zwrotów. Rebeka natychmiast tłumaczyła je na swój angielski.

- Za pozwoleniem, musimy skorzystać z waszego powozu. Mamy tu rannych i trzeba im zapewnić odpowiednią opiekę medyczną.

- I to szybko - mruknął Maur, wciąż kucając przy jej ojcu. - Dałem mu trochę... -

„Aspiracji?” - Rebeka nie zrozumiała ostatniego słowa.

Hidalgo spojrzał na kufry i skrzynie piętrzące się po drugiej stronie powozu.

- Będziemy musieli je usunąć, żeby zrobić miejsce. Rebeka zamarła. „Księgi ojca! I ukryte w środku srebro!”. Wydawało jej się, że hidalgo dostrzegł jej przerażenie i na moment zapłonął gniewem. Ale tylko na moment.

54

Erie Flint

Zacisnął masywną dłoń na drzwiach powozu. Skóra na jednym z kłykci była pęknięta, widać było zakrzepłą krew. „Rana bitewna?”.

Spojrzał gdzieś w dal i chyba nieco zacisnął szczęki. Następnie lekko westchnął i ponownie na nią spojrzał.

- Proszę mnie posłuchać. Jak się pani nazywa?

- Rebeka... Abrabanel. - Wstrzymała oddech. Spośród wszystkich wielkich rodów sefardyjskich ród Abrabanelów cieszył się największą sławą. A może niesławą.

Lecz jej nazwisko najwyraźniej nic hidalgowi nie mówiło. Skinął głową i odparł:

- Miło mi panią poznać. Ja nazywam się Mikę Stearns. „Mikę? Aha, znów te cudaczne skrótory. Michael”.

Twarz hidalga rozjaśniła się w uśmiechu, ale uśmiech zniknął równie prędko, jak się pojawił. Twarz mężczyzny stała się surowa i poważna.

- Proszę mnie posłuchać, pani Rebeko Abrabanel. Nie wiem, co to za miejsce ani gdzie jesteśmy, ale mało mnie to obchodzi. Cholernie mało. Jak dla mnie wciąż jesteśmy w Wirginii Zachodniej.

„Zachodnia... co?”

Ale mężczyzna nie dostrzegł jej zakłopotania. Po raz kolejny przelatywał wzrokiem otaczający ich krajobraz. Miał wściekłe spojrzenie. Wściekłe.

- Pani i pani ojciec jesteście pod ochroną ludzi z Wirginii Zachodniej - wymruczał. Skierował spojrzenie na zgromadzonych nieopodal towarzyszy, którzy obserwowali go i uważnie słuchali. Hidalgo zacisnął zęby. - A zwłaszcza pod opieką Amerykańskiego Stowarzyszenia Górników.

Ludzie hidalga wyprostowali się, pełni odwagi i zdecydowania. Ich kształtna, delikatna broń lśniła w promieniach słońca.

- Dobrze powiedziane! - wykrzyknął jeden z młodszych mężczyzn. On też patrzył na otoczenie niczym jastrzęb na polowaniu.

Rebeka poczuła się nieco pokrzepiona, ale mętlik w jej głowie stał się jeszcze większy.

„Amerykańskie? Przecież w Ameryce praktycznie nie ma Anglików. Owszem, jest tam taka nędzna kolonia - jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Wirginia - ale przecież Ameryka jest...”

Pojawiła się nadzieja. „Hiszpańska, rzecz jasna, lecz są tam też Sefar-dyjczycy. Odkąd Holendrzy zajęli Brazylię osiem lat temu, Ameryka stała się ich schronieniem. Ojciec powiedział mi, że w Recife jest nawet synagoga”.

Spojrzała na mężczyznę. „Czy on na pewno jest hidalgiem?”. Była teraz całkowicie zagubiona, nie widziała w tym wszystkim żadnej logiki.

To poczucie zagubienia musiało być widoczne, gdyż hidalgo („Michael, myśl o nim jako o Michaelu”) zaśmiał się.

- Pani Rebeko, proszę mi wierzyć, ja również nic z tego nie pojmuję.

Żartobliwy ton zniknął i surowość powróciła na jego oblicze. Michael pochylił się do przodu i oparł ręce na krawędzi okna.

- Pani Rebeko, gdzie my jesteśmy? Co to za miejsce?

Spojrzała ponad jego ramieniem, ale nie widziała zbyt wiele, tak był szeroki w barach.

- Nie mam pewności - odparła. - Przypuszczam, że w Turyngii. Ojciec mówił, że już niemal dotarliśmy do celu.

Michael zmarszczył brwi.

- Turyngia? Gdzie to jest?

- To mało znane miejsce, jedno z mniejszych księstw Świętego Cesarstwa Rzymskiego. - Jego brwi wędrowały coraz wyżej i wyżej. - Niemcy - dodała.

Hidalgo zrobił wielkie oczy.

- Niemcy? Niemcy?

Obrócił się i rozejrzał po okolicy.

- Pani Rebeko, ja mieszkałem w Niemczech. One zupełnie inaczej wyglądają. - Po chwili wahania dodał: - No, może wieś wygląda podobnie, tylko że nie jest tak... tak zapuszczona. - Ściągnął brwi i wskazał na leżące na podwórzu zwłoki. - I na pewno w Niemczech nie ma takich ludzi.

Parsknął śmiechem.

- Jezu, Polizei zgarnęłyby ich w ciągu minuty! Niemcy kochają porządek. Alles in ordnung! Teraz Rebeka zmarszczyła brwi. „^4lles in ordnung? O czym on mówi? Przecież Niemcy to najmniej zdyscyplinowany naród w Europie. Każdy to wie. Tak było nawet przed wojną. A teraz...”

Wzdrygnęła się na wspomnienie Magdeburga. Nie minął nawet tydzień od tamtego koszmaru. Trzydzieści tysięcy zmasakrowanych ludzi. Niektórzy mówią, że nawet czterdzieści tysięcy. Cała ludność miasta, poza młodymi kobietami, które zabrali żołdacy Tilly'ego.

W błękitnych oczach Michaela nagle pojawiło się powątpiewanie.

- Chyba jednak nie, co? - Potrząsnął głową. - Zajmiesz się tym później, Mike - wymamrotał. - Póki co...

Nagle rozległ się okrzyk. Michael i Rebeka spojrzeli w kierunku lasu.

Spomiędzy drzew wyłaniały się nowe grupy mężczyzn. Przez krótką chwilę Rebeka była jak sparaliżowana ze strachu, lecz rozluźniła się, gdy dostrzegła ich przedziwną broń i stroje. To ludzie Michaela. To... Amerykanie?

I wtedy zobaczyła, że z lasu wychodzą też kobiety; na ich twarzach malowały się troska i niepokój. Rebeka rozplakała się jak małe dziecko.

„Michael. I kobiety”.

„Bezpieczni. Jesteśmy bezpieczni”.

56

Erie Flint

Przez resztę dnia - i cały następny, i następny, i następny - Rebeka była jak otumaniona.

Zagubiła się pośród legend, o których nie śnił nawet Sefarad.

* * * Najpierw były przedziwne wehikuły napędzane jedynie siłą ryku wydobywającego się ze środka. Wkrótce doszła do wniosku, że te ryki muszą być dźwiękami maszynierii. Bardziej jednak zafascynowana była szybkością tych wehikułów, a najbardziej płynnością, z jaką się przemieszczały. Gdyby powóz jechał z taką prędkością, niechybnie rozleciałby się na kawałki. Tajemnica tylko częściowo tkwiła w zdumiewająco doskonałym stanie samej drogi. Było w tym także...

Gdy wysiadła z wehikułu przed kolosalnym biało-beżowym budynkiem, ciekawość zwyciężyła nad troską o ojca. Pochyliła się, żeby zbadać koła pojazdu. Wyglądały jakoś dziwnie. Były niewielkie, przysadziste, wydęte, jakby były miękkie. Dotknęła palcem czarnej substancji. Wcale nie są takie miękkie!

- Co to takiego? - zapytała. Hidalgo stał nad nią pochylony, z uśmiechem na twarzy.

- Guma. Nazywamy to „oponami”. Ponownie dotknęła, tym razem mocniej.

- To jest wypełnione czymś w środku. Powietrzem? Uśmiech pozostał bez zmian, ale oczy Hidalgo rozjaśniły się.

- Owszem - odparł. - Powietrze... hmmm... pompuje się do środka pod wysokim ciśnieniem. Kiwnęła głową i ponownie zerknęła na oponę.

- To bardzo sprytne. Powietrze działa jak poduszka. - Podniosła na niego wzrok. - Prawda?

Nie padła żadna odpowiedź. Wpatrywała się w nią za to para jasnobłękitnych oczu - szeroko otwartych, jakby czymś zdumionych. „Czym?” - zastanawiała się.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia znajdującego się w labiryncie korytarzy tego wielkiego budynku. Ów budynek był szkołą. Nigdy nie słyszała o tak wielkiej szkole.

Wyposażenie było przedziwne, olśniewające. Rebeka czuła, że znalazła się pośród ludzi, którzy są mistrzami mechaniki i rzemiosła, i to na znacznie wyższym poziomie niż mieszczanie z Amsterdamu.

Pomieszczenie wypełnione było ludźmi, którzy pospiesznie odsuwali meble i sprzęty, żeby urządzić prowizoryczny szpital. Kilka kobiet natychmiast zajęło się ciężko rannym chłopcem oraz jego żoną. Medyk zaś położył jej ojca na stole przykrytym płótnem i zdjął mu ubranie. Doszło do szybkiej wymiany zdań między nim a kobietami. Rebeka nie nadała za rozmową, gdyż zbyt

wiele wyrazów było dla niej obcych, ale za to rozumiała, dlaczego kobiety kręcą głowami.

To, czego żądał lekarz, było niedostępne. Widziała, jak jego czarna twarz staje się coraz bardziej ponura.

Ogarnęła języczek. Poczwała, jak hidalgo obejmuje ją ramieniem, i nie zastanawiając się nad tym, co robi, znów poszukała pociechy w jego uścisku. Łzy zakręciły się jej w oczach. Lekarz zbliżył się, kręcąc głową.

- Myślę, że on przeżyje, panno... yyy...

- Abrabanel - powiedział hidalgo. Rebeka była zaskoczona, że zapamiętał jej nazwisko.

Medyk kiwnął głową.

- Tak, myślę, że pani ojciec będzie żył, ale... - Zawahał się, wykonując dłońmi niezrozumiałe gesty, jakby czegoś szukał po omacku. - Nie mamy leku, na którym najbardziej mi zależało, żeby... - I znowu padło to dziwne określenie. „Usunąć zator?”.

Maur westchnął.

- Wydolność serca obniży się, ale posłałem już ludzi do miasta, żeby zdobyli... - Rozpoznała greckie beta, ale dalszej części już nie rozumiała; padła też nazwa jakiejś substancji, nitrocoś. - To powinno pomóc.

- Będzie żył?

- Tak mi się wydaje. Ale przez pewien czas - kilka dni, może tygodni - będzie unieruchomiony, a potem będzie musiał bardzo uważać.

- Co mogę zrobić? - wyszeptwała Rebeka.

- Chwilowo nic. - Maur odwrócił się i podszedł do chłopca. Chwilę później, otoczony przez pomocnice, był już zajęty zszywaniem rany mężczyzny. Rebeka była pod wielkim wrażeniem jego umiejętności i spokoju; czuła, że jej niepokój zaczyna słabnąć. Cokolwiek można uczynić dla jej ojca, na pewno zostanie zrobione.

Pomieszczenie było pełne ludzi i Rebeka zdawała sobie sprawę, że tylko przeszkadza, więc ruszyła w kierunku wyjścia. Chwilę później bez cienia protestu pozwoliła, aby hidalgo zaprowadził ją długim korytarzem do biblioteki.

Zdumiała się na widok takiej ilości książek. W bibliotece było wielu rozmawiających z ożywieniem młodych ludzi. Większość z nich stanowiły kobiety, a właściwie dziewczyny.

Rebeka nie spodziewała się ujrzeć w bibliotece tylu uliczników, ubranych jeszcze bardziej wyzywająco niż dziewczki w najpodlejszej dzielnicy rozpusty w Amsterdamie.

Zerknęła na hidalga. „Dziwne”. Wydawał się nie przejmować obecnością dziewcząt.

„A więc to nie są ladaczniczki. To skandaliczne obnażanie nóg jest po prostu ich zwyczajem”.

58

Erie Flint

Hidalgo delikatnie zaprowadził ją do kanapy.

- Niedługo wrócę - rzekł. - Muszę przeprowadzić pewną (niezrozumiałe słowo) rozmowę, żeby coś dla pani i pani ojca zorganizować. Na szczęście naprawili już całą sieć (znowu niezrozumiałe słowo).

Nie było go przez kilka minut. Rebeka zastanawiała się nad dziwnym słowem, którego użył w połączeniu z greckim przedrostkiem „tele”. „Długą rozmowę? Nie, daleką”.

Próbowała także uspokoić nerwy, ale to wcale nie było takie proste w obecności obserwującej ją wnikliwie młodzieży. Nie byli niegrzeczni - raczej zaintrygowani - lecz Rebeka poczuła ulgę, kiedy hidalgo powrócił i usiadł obok niej.

- Wszystko to wydaje się pani bardzo dziwne - powiedział. Skinęła potakująco głową.

- Kim wy jesteście? - spytała.

Dobierając starannie słowa, hidalgo - sam najwyraźniej zagubiony - zaczął jej wyjaśniać.

Rozmawiali blisko dwie godziny. Konwersacja tak dalece pochłonęła Rebeke, że opuścił ją nawet lęk o zdrowie ojca.

Pod koniec rozmowy znacznie więcej odpowiadała niż pytała. Zdawała się o wiele lepiej niż hidalgo rozumieć otaczającą ich rzeczywistość. Początkowo była tym zaskoczona, lecz w końcu pojęła, że mężczyzna nie ma za sobą wykładów z logiki i filozofii.

- Tak więc, jak pan widzi - rzekła - nie jest to wcale takie niemożliwe. Wręcz przeciwnie. Istota czasu od zawsze stanowiła prawdziwą zagadkę. Myślę, że Awerroes miał słuszość. - Jej twarz oblał delikatny rumieniec. - Cóż, mój ojciec tak myśli... a ja się z tym zgadzam... Nagle urwała. Hidalgo już jej nie słuchał. To znaczy słuchał/ę/, ale nie jej słów. Uśmiech, który nie schodził mu z ust, był niczym w porównaniu z tym, który rozświetlał jego błękitne oczy.

- Nie przerywaj - szepnął. - Proszę. Rumieniec na jej twarzy już nie był delikatny. Ocalił ją mauretański lekarz, który w tym momencie wszedł do biblioteki.

- Stan zdrowia pani ojca ustabilizował się, panno Abrabanel - powiedział.

- Najlepsze, co można zrobić, to położyć go do łóżka i zapewnić mu komfort.

- Medyk uśmiechnął się smętnie. - Z dała od tego domu wariatów. - Potem rzucił hidalgowi pytające spojrzenie.

Michael kiwnął głową.

- Rozesłałem już po mieście wici. - Popatrzył na Rebekę wzrokiem wyrażającym troskę i... konsternację. - W tych okolicznościach pomyślałem...

Znowu im przerwano. Do biblioteki weszła para ludzi w podeszłym wieku i natychmiast skierowała się w stronę hidalga. Na ich twarzach był widoczny niepokój.

Michael wstał i przedstawił ich.

- Panno Abrabanel, to są Morris i Judith Roth. Zgodzili się przyjąć panią i pani ojca pod swój dach.

Jeszcze tego samego dnia zanesiono Baltazara Abrabanela do dużego pojazdu przypominającego skrzynię, którego boki zdobił napis „Pogotowie Hrabstwa Marion”. Hidalgo zabrał Rebekę do swojego wehikułu, a cały ich bagaż ludzie hidalga umieścili z tyłu pojazdu. Po bardzo krótkiej podróży („Tak szybko! Tak płynnie!”) zatrzymali się przed sporym dwupiętrowym budynkiem. Ojca wniesiono na noszach na górę i ułożono wygodnie w sypialni. Tam Rebeka i jej ojciec szeptali coś do siebie przez kilka chwil - czułe słowa, nie ponadto - aż wreszcie mężczyzna zasnął.

Wkrótce hidalgo wyszedł, mruczając coś o niebezpieczeństwie, którym trzeba się zająć. Tuż przed wyjściem ścisnął lekko jej ramię, jakby chciał jej dodać otuchy, ale gdy odszedł, poczuła w sobie jakąś pustkę. Miała wrażenie, że wszystko ją teraz przytłacza.

Pani Roth zabrała ją na dół do salonu i posadziła na kanapie.

- Zaparzę ci herbaty - powiedziała.

- Ja to zrobię, Judith - odparł jej mąż. - Ty zostań tutaj z panną Abrabanel. Rebeka zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Jej oczy zatrzymały się na biblioteczce, potem na dłuższą chwilę na osobliwych lampach świecących stałym światłem. Wreszcie przeniosła spojrzenie na kominek.

I zamarła.

Na kominku, w centralnym miejscu, stała menora.

Odwróciła się gwałtownie w stronę Judith Roth, a potem znów spojrzała na menorę.

- Jesteście Żydami?

Koszmar całego dnia - strach całego jej życia - momentalnie spowodował potoki łez. Jej pierś falowała, ramionami raz po raz wstrząsał dreszcz. Judith Roth usiadła obok niej i przytuliła ją do siebie niczym dziecko.

Rebeka łkała i łkała, choć rozpaczliwie starała się opanować, żeby móc zadać jedno jedyne pytanie, które miało jakiegokolwiek znaczenie w całym wszechświecie. Wreszcie wydobyła je ze ściśniętego strachem i nadzieją gardła.

- Czy on wie?

Pani Roth zmarszczyła brwi; najwyraźniej nie zrozumiała jej pytania. Rebeka zdusiła w sobie szloch.

- On, hidalgo.

Pani Roth wciąż nie pojmowała.

- Michael. Czy on wie? - Spojrzała na menorę. Pani Roth podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem i otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

60 Erie Flint

- Chodzi ci o Mikę 'al Oczywiście, że wie. Znamy się, odkąd się urodził. To dlatego poprosił, żebyśmy was przyjęli. Twierdził, że ma złe przecucia, choć nie wiedział dlaczego, więc uznał, że najlepiej będzie, jeśli Żydzi...

Rebeka wybuchła jeszcze gwałtowniejszym płaczem. Ten płacz najpierw oczyścił ją ze strachu, a potem wzbudził nadzieję. „Jiidalgo prawdziwie czysty”.

Wraz z porankiem znów pojawiły się błękitne oczy. Błękitne niczym bezchmurne niebo w dniu zalanym słońcem. Przez następne lata Rebeka nie pamiętała nic więcej, jeśli chodzi o dwa kolejne dni. Tylko błękit i słońce.

Słońce zalewające krainę, w której nie ścielą się cienie.

Jfojstetał B

Gustaw II Adolf, król Szwecji, odziedziczył swój wygląd po przodkach. Miał raczej bladą, tylko miejscami zaróżowioną skórę; krótko przycięte włosy, brwi, zaczesane do góry wąsy oraz kozia bródka były w kolorze blond. Oczy miał niebieskie, lekko wypukłe i błyszczące inteligencją. Rysy twarzy, zdominowane przez długi i kościsty nos, czyniły go w miarę przystojnym mężczyzną. Był znacznej postury; mierzył sporo ponad metr osiemdziesiąt i miał masywne, dobrze umięśnione ciało. W każdym calu przypominał nordyckiego króla.

Swój wygląd zawdzięczał matce naturze i warunkom dorastania. Całą resztę - duszę zamieszkującą ową postać, która przechadzała się właśnie tam i z powrotem w swojej kwaterze dowodzenia rozłożonej na wschodnim brzegu Haweli - zawdzięczał tamtej chwili. Kredowobiałącerę zawdzięczał przerażeniu. Zaciśnięte powieki - żalobie. Drżenie mięsistych warg - hańbie. Zaś nadludzką siłę, z jaką jego potężne dłonie złamały krzesło na pół i cisnęły szczątkami o ziemię, zawdzięczał oburzeniu i dzikiej wściekłości.

- Żeby tak Bóg strącił Jana Jerzego z Saksonii w czeluście piekielne!

Porucznicy króla, wszyscy poza Axelem Oxenstierną, odsunęli się od swego monarchy.

Gustaw Adolf słynął z wybuchowości, lecz to nie jego furii się obawiali. Złość Gustawa nigdy nie trwała długo; król już dawno nauczył się jako tako panować nad swoim krewkim temperamentem. Przerażliwe ryki to było zazwyczaj wszystko, na co sobie pozwalał, a w wyjątkowych okolicznościach wyładowywał złość na niewinnych meblach. Te okoliczności - znamienne okoliczności - zapowiadały się dla wszystkich krzeseł na istną rzeź niewiniątek.

62

Erie Flint

Gustaw chwycił kolejne krzesło i roztrzaskał je o kolano; z solidnej drewnianej konstrukcji została w jego olbrzymich dłoniach zaledwie garść patyków.

Nie, to nie furia króla sprawiła, że weterani drżeli niczym osiki. Z całą pewnością nie troszczyli się też o krzesła. Axel Oxenstierna, najbliższy przyjaciel króla i jego doradca, zawsze kazał dostarczać tanie i praktyczne meble, i to już nie pierwszy raz, odkąd przybyli do Niemiec, szwedzcy oficerowie oglądali krzesła zmienione przez ich władcę w drzazgi.

- I żeby Pan strącił Jerzego Wilhelma z Brandenburgii w ślad za nim!

Przeraziło ich bluźnierstwo. Pobożność króla była równie słynna, jak jego temperament, a nawet bardziej, znacznie bardziej. Tylko bezpośredni podwładni Gustawa na własnej skórze doświadczali ostrza jego języka. I tylko ci spośród jego żołnierzy, których skazano za mord, gwałt lub kradzież na własnej skórze doświadczali ostrza topora katowskiego, natomiast wiele hymnów wyśpiewywanych przez szwedzki lud podczas niedzielnych mszy ułożył właśnie ich król. Dla tych prostych ludzi były to jedne z najpiękniejszych pieśni.

Kawałki krzesła wyfrunęły przez wejście do namiotu. Stojący po obu stronach strażnicy wymienili spojrzenia i odsunęli się nieco od siebie. W innej sytuacji być może nawet

uśmiechnęliby się na widok połamanych mebli wylatujących z kwatery króla, ale oni również skamienieli, słysząc takie bluźnierstwa.

Król Szwecji złapał następne krzesło, uniósł je nad głowę i roztrzaskał o ziemię. Ciężki but okrywający mocną nogę przemienił kawałki mebla w chrust na podpałkę.

- Niech klątwa Boga dosięgnie wszystkich książąt i arystokratów niemieckich, ten spłodzony przez Sodomę pomiot Gomory!

Bluźnierstwo było zdumiewające, wręcz przerażające. Żaden z oficerów nie przypominał sobie, żeby władca kiedykolwiek mówił takie rzeczy, ale był to wyraz wściekłości, jaka ogarnęła Gustawa na wieść o Magdeburgu.

Król Szwecji stał pośrodku namiotu, zaciskając olbrzymie pięści i rzucając dzikie spojrzenia jak rozjuszony byk. Płonące gniewem oczy zwrócił ku trzem młodym mężczyznom stojącym zaledwie kilka kroków dalej. Wszyscy oni byli niscy i szczupli, odziani w kosztowne stroje. Trzymali kurczowo zaciśnięte dłonie na rękojeściach mieczy. Ich twarze były białe jak papier. Przez chwilę Gustaw Adolf przewierał ich wzrokiem jak byk wyzywający roczniaki. Ale ta chwila nie trwała długo. Król Szwecji głęboko i powoli zaczerpnął powietrza, a następnie wypuścił je z siebie i rozluźnił mięśnie.

- Przyjmij moje przeprosiny, Wilhelmie, i ty, Bernardzie - wymamrotał. - I ty też, Wilhelmie Heski. Was, rzecz jasna, nie zaliczam do tego szatańskiego plemienia. - Król bluźnił po szwedzku, lecz teraz mówił po niemiecku. Tym językiem Gustaw władał równie sprawnie, jak wieloma innymi, lecz jak zawsze akcent wskazywał na jego bałtyckie korzenie.

Książęta sasko-weimarscy oraz landgraf heski na Kassel kiwnęli głowami. Oni również nieco się rozluźnili. Pomimo ich arystokratycznego rodowodu byli chętni bez chwili zwłoki przyjąć przeprosiny Gustawa. Jako jedyni z niemieckich władców wsparli dążenia protestantów - zarówno czynem, jak i słowem. Ich przywiązanie do Gustawa było w dużej mierze spowodowane uwielbieniem dla bohatera ich młodości. Włosi określali Gustawa II Adolfa mianem // re d 'oro - złotego króla. Wilhelm i Bernard Sasko-Weimarscy oraz Wilhelm Heski ujęliby to bardziej dobitnie. Dla tych młodzieńców Gustavus Adolphus (jak nazywany był poza granicami Szwecji) był jedynym europejskim władcą godnym tytułu króla.

Tak więc przyjęli z ulgajego przeprosiny, a ich uczucie rozluźnienia udzieliło się pozostałym obecnym w namiocie. Nawet tego dnia złość Gustawa trwała równie krótko jak zawsze.

Król Szwecji rozejrzał się po swojej kwaterze i zdobył się na uśmiech. Ocalały tylko dwa krzesła.

- Każ przynieść nowe krzesła, Axelu - mruknął. - Dziś chyba przeszedłem samego siebie, a potrzebna nam jest narada wojenna.

Axel Oxenstierna odpowiedział uśmiechem. Odwrócił się i kiwnął głową w kierunku jednego z oficerów stojących pod ścianą namiotu. Młody Szwed wypadł na zewnątrz niczym gazela. Gustaw wydał policzki i omiół spojrzeniem pozostałych dwunastu mężczyzn, jakby chciał ocenić ich wartość.

Trwało to krótko, gdyż chodziło mu raczej o dodanie im otuchy. Żaden z owej dwunastki nie znalazłby się bowiem w tym namiocie, gdyby nie spełniał wygórowanych wymagań króla wobec swoich podkomendnych.

- A więc, moi panowie, zabierzmy się do pracy. - Spojrzenie Gustawa natychmiast powędrowało w kierunku Wilhelma i Bernarda. - W następnej kolejności wojska cesarskie pomaszerują na Saksonię; to już jest przesądzone. Wy dwaj oraz ty, Wilhelmie, byliście jedynymi z moich niemieckich sprzymierzeńców; cesarz Ferdynand na pewno zażąda dla was kary.

Wilhelm, starszy z dwójki książąt Sachsen-Weimar, skrzywił się.

- Obawiam się, że masz rację, Wasza Wysokość. - Na jego twarzy pojawił się promyk nadziei. - Oczywiście Tilly jest na usługach Maksymiliana Bawarskiego, a nie cesarza, więc może...

Wilhelm z Hesji-Kassel parsknął, a Gustaw machnął ręką.

- Porzuć tę nadzieję, Wilhelmie. I ty, Bernardzie. Maksymilian przewyższa chciwością nawet cesarza. Już teraz domaga się, żeby Palatynat oddał się w służbę dynastii Habsburgów i katolicyzmowi. Bez wątpienia będzie chciał przyłączyć Turynię i Hesję, przynajmniej częściowo. Cesarz nie bardzo może mu odmówić. Odkąd Ferdynand przepędził Wallensteina, armia Tilly'ego jest jedyną znaczącą siłą, jaką dysponuje.

Erie Flint

Wilhelm westchnął.

- Nie będę w stanie powstrzymać Tilly'ego - powiedział z grymasem. - Spustoszy Turynię i zajmie tamtejsze miasta. Na pewno podbije Weimar, Eisenach i Gothę. Erfurt może da radę się wykupić. - Twarz arystokraty była ściągnięta i wynędzniała, przez co wydawał się starszy niż był w rzeczywistości. - Ludzie będą okrutnie cierpieć.

Gustaw zaplótł ręce za plecami i wyprostował ramiona. Miał zaszpeconą twarz.

- Nijak nie mogę ci pomóc. Żałuję, bardzo żałuję, ale taka jest smutna prawda. - W jego głosie słychać było gniew. A także wstyd. - Nie dam obietnic, których nie mogę dotrzymać. Już nie. Nie po Magdeburgu. Po prostu nie mam tyle wojska, żeby ocalić Turynię przed Tillym. A geografia całkowicie mu sprzyja. Jest bliżej i może wykorzystać góry Harz, żeby osłaniać flankę.

Bernard skinął głową.

- Wiemy o tym, Wasza Wysokość. - Wyprostował się, ściskając rękojeść miecza. - Mój brat jest dziedzicem i musi pozostać z Wami, lecz ja powrócę do Weimaru i uczynię wszystko, co w mojej mocy. Przyślę do Waszej Wysokości gońca najszybciej, jak tylko zdołam, ale...

-Nie.

Zdumiony Bernard przeniósł spojrzenie na Axela Oxenstiernę. Szwedzki kanclerz rozłożył ręce w przepaszającym geście.

- Wybacz moją szorstkość, książę, ale to jest bardzo kiepski pomysł. - Uniósł dłoń, powstrzymując gwałtowny sprzeciw arystokraty. - Proszę, Bernardzie! Podziwiam twoje męstwo, tym bardziej że wśród możnowładców niemieckich męstwo zdaje się być jeszcze rzadsze niż złoto.

Po raz kolejny szwedzcy oficerowie wybuchli jadowitym śmiechem.

- Byłby to wielce romantyczny gest, Bernardzie, lecz zarazem czysta głupota. Jedyne, czego mógłbyś dokonać w Turynii, to dać się zabić bądź też pojmać. Sam masz niewiele sił, a ponadto...

Axel wbił w młodzieńca bystre, przenikliwe spojrzenie.

- Brak ci doświadczenia wojennego, chłopcze. - Omal nie dodał „wciąż jesteś dziewicą”, lecz ugryzł się w język.

Twarz Bernarda Sasko-Weimarskiego była napięta. Spojrzał błagalnie na Gustawa Adolfa.

Gustaw sapnął ciężko, następnie zrobił krok do przodu i położył olbrzymią dłoń na szczupłym ramieniu księcia.

- On ma rację, Bernardzie. - Na twarzy króla nagle wykwitł promienny uśmiech. - Zostań tutaj, ze mną. Byłbym zaszczycony, gdybyś zgodził się mnie wspomagać razem z Wilhelmem. Nie wątpię, że bardzo byś się przydał. - Nie zwracając uwagi na z trudem skrywany sceptycyzm, jaki malował się na twarzach szwedzkich oficerów, dodał: - W zamian mógłbym cię nieco wprowadzić w tajniki sztuki wojennej.

Zgodnie z przewidywaniami Gustawa, ostatnie słowa przeważały szalę. Uwielbienie księcia weimarskiego dla wojennego kunsztu króla stało się już powodem kpin.

Bernard spojrział na stojących obok mężczyzn. Sami weterani. Mężczyźni, którzy dowiedli swojej wartości w bitwie. Widać było, że młodzieniec martwi się o swoją reputację.

Zatrzymał wzrok na najmłodszym ze szwedzkich oficerów. Był to Lennart Torstensson, wybitny dowódca artylerii.

- Nie martw się, Bernardzie - zachichotał oficer. - Niech ludzie cesarza z ciebie szydzą. Już wkrótce - nie dalej niż za rok - skończą się ich szyderstwa.

Śmiech, który wybuchł w namiocie, tym razem nie był jadowity, a po prostu dziki, zwierzęcy. Tak mogłyby wyć skandynawskie wilki, słysząc, że renifer zwątpił w ich odwagę. Słowa Torstenssona i towarzyszący im śmiech wystarczyły. Bernard skinął głową i złożył głęboki ukłon w stronę króla.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość. Gustaw klasnął w dłonie.

- Wspaniale! - Zwrócił się w stronę jednego z dowódców kawalerii, Jo-hanna Banera. - Tamten niewielki garnizon jest wciąż w Badenburgu, jak mniemam?

- Pytacie o Szkotów? O oddział kawalerii pod dowództwem Mackaya?

- Tak, o nich. Alexander Mackay, o ile dobrze pamiętam. Młody, obiecujący oficer. „Spędziłeś w jego towarzystwie zaledwie godzinę, Gustawie, i na tej podstawie nazywasz go młodym, obiecującym oficerem?”, pomyślał Oxenstierna, lecz jak zawsze roztropny, powstrzymał się od komentarza. Król, był tego pewien, nie żył złudzeniami. On zwyczajnie - niemal rozpaczliwie - chciał wnieść nieco otuchy i radości w te straszliwie ponure dni. Zresztą w przeciwieństwie do Banera, Axel znał prawdziwy cel misji Mackaya.

Gustaw ciągnął dalej:

- Wyślij posłańca do Mackaya i każ mu pozostać w Turyngii. Nie sądzę, żeby w razie jakiegokolwiek poważniejszego natarcia udało mu się utrzymać Badenburg. W razie konieczności może wycofać się do Lasu Turyńskiego. Po prostu chcę, żeby tam był i donosił mi o posunięciach Tilly'ego. - Zerknął na Oxenstiernę. - Ale zanim wyślesz posłańca, każ mu zameldować się u mnie. Będę miał więcej dokładnych poleceń.

Baner skinął głową, a król odwrócił się do landgrafa heskiego.

- Wilhelmie, tobie również nie mogę udzielić żadnej bezpośredniej pomocy. Ale ty nie jesteś w tak rozpaczliwym położeniu. Tilly najpierw ruszy na Turyngię, a nie na Hesję.

- Tilly pełźnie niczym ślimak, niezależnie od okoliczności - parsknął landgraf heski na Kassel. - Wielki i potężny Generał Powolny.

66 Erie Flint

Gustaw uśmiechnął się, lecz uśmiech prędko zniknął z jego twarzy.

- Nie lekceważ go, Wilhelmie - powiedział poważnie. - Może i jest powolny, ale pamiętaj o jednym: Johan Tzerclaes, książę Tilly, jest żołnierzem od chwili narodzin. Przez większą część swego życia dowodził armiami. Ma już ponad siedemdziesiąt lat, a wciąż jeszcze nie przegrał żadnej większej bitwy.

Twarz króla stężała.

- Jest ostatnim i prawdopodobnie największym z rasy generałów od czasów wspaniałego Gonzalo de Cordoby.

- Rzeźnik z Magdeburga - warknął Torstensson.

Gustaw zerknął na dowódcę artylerii. Gdy przemówił, w jego głosie brzmiał smutek.

- Owszem, Lennarcie, tak zapamiętają Tilly'ego przyszłe pokolenia. I zapomną o wszystkim innym. - Król wyprostował się. - Wcale nie twierdzę, że to będzie niesprawiedliwe. Generał odpowiada za to, co robią jego żołnierze, gdy walka dobiegnie końca. Jednak wszystkie raporty, jakie otrzymaliśmy, donoszą, że Tilly próbował okiełznać swoich ludzi. Z całą pewnością nie zamierzał puszczać miasta z dymem.

Torstensson, przywykły do obyczajów panujących w monarchii szwedzkiej - a przynajmniej Szwecji Gustawa - nie oddał mu pola.

- Cóż z tego? - zapytał. - Tilly zgodził się dowodzić tą armią. Nikt go nie zmuszał, żeby na starość zrezygnował z odpoczynku. Jak może narzekać, skoro to jego własne diabły zerwały się z postronka? - Gniew młodego artylerzysty mieszał się z podziwem. - Twoja armia, panie, nie niesie chorągwi splamionej żadnym Magdeburgiem ani niczym podobnym.

Gustaw czuł rosnący gniew, lecz zdołał go ujarzmić. W gruncie rzeczy nie mógł nie przyznać mu racji.

- Ja nie jestem z tej starej rasy, Lennarcie - odrzekł łagodnie - lecz mimo to podziwiam jej cnoty. Ty też powinieneś ją szanować. - Uśmiechnął się cierpko. - Wydaje mi się, że zapoczątkowałem nową linię generałów. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Kilku szwedzkich oficerów roześmiało się, ale kanclerz nie.

- Owszem - mruknął Oxenstierna - ale Wallenstein robi dokładnie to samo, mój drogi przyjacielu. Nie zapominaj o tym. Pewnego dnia złamiesz Tilly'ego i jego spadkobierców, a wtedy staniesz przed Wallensteinem. Tak samo jak ty, on gardzi starą szkołą. I tak samo jak ty, wciąż szuka swego mistrza w sztuce wojennej.

Na wzmiankę o Wallensteinie zapadła cisza. Wspaniały czeski generał powrócił do swych posiadłości po tym, jak na żądanie austriackich arystokratów cesarz usunął go ze służby. Katoliccy władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego traktowali go z pogardą zarówno z powodu jego niskiego urodzenia, jak i olbrzymiego bogactwa i władzy. Lecz Wallenstein wciąż czekał, gotów znów przybyć na wezwanie.

Na twarzy Gustawa pojawiły się rumieńce, jednak bardzo spokojnie odparł:

- Mylisz się, mój drogi przyjacielu. Ja zawsze miałem mistrza, niezależnie od tego, czy trwała wojna, czy panował pokój. A jego imię brzmi Jezus Chrystus. - Pobożność cesarza była szczerą i głęboką. Nikt z obecnych w nią nie wątpił. - A Wallenstein? Tylko on zna swojego mistrza.

Torstensson wbił wzrok w ziemię.

- Mogę się domyślić - mruknął pod nosem. Stojący obok oficerowie zachichotali.

Gustaw ponownie zwrócił się w stronę landgraфа.

- Wilhelmie, twoje siły są znacznie większe niż ksiąząt sasko-weimarskich i będziesz miał kilka miesięcy na przygotowanie obrony. Tak więc powinieneś utrzymać Tilly'ego na dystans. Przy wejściu do namiotu zapanowało małe poruszenie. Grupa żołnierzy wносиła nowe krzesła.

Król spojrział na nich z uśmiechem.

- Nie sądzę, żeby były potrzebne. Chyba już nie zostało wiele do omówienia, przynajmniej dzisiaj.

Przeniósł spojrzenie na widoczne za plecami wchodzących żołnierzy równiny środkowych Niemiec. Zaciśnął szczęki.

- W tej chwili, Wilhelmie z Hesji-Kassel, jedyna pomoc, jakiej mogę ci udzielić, to sprawić, by kręgosłupy niektórych władców protestanckich były jak ze stali. Zaczniemy od elektora brandenburskiego.

- Kręgosłup ze stali? Jerzego Wilhelma? - zaśmiał się szyderczo Torstensson. - To niemożliwe!

- Bzdura! - warknął Gustaw przez zaciśnięte zęby. - To w końcu jest mój szwagier. Pójdzie po rozum do głowy, szczególnie gdy dam mu prosty wybór: „stał w kręgosłupie albo stał w dupie”.

Gromki śmiech wstrząsnął namiotem. Gustaw uśmiechał się teraz niczym rekin wyczuwający ofiarę.

- Przygotuj się do wymarszu, Lennarcie. Chcę jak najprędzej mieć armaty skierowane na Berlin.

Zgromadzeni w namiocie oficerowie potraktowali to jako sygnał do odma-szerowania. Hesja-Kassel oraz bracia Sachsen-Weimar zostali chwilę dłużej. Pierwszy po to, żeby uściskać dłoń króla, pozostali - żeby przyjąć nowe obowiązki. Potem Gustaw wysłał ich w ślad za Torstenssonem.

Został jedynie Oxenstierna. Gustaw nie odzywał się, dopóki wszyscy nie wyszli.

- Żadnych wieści od Mackaya? Oxenstierna pokręcił głową. Król skrzywił się.

68

Erie Flint

- Potrzebują tych holenderskich pieniędzy, Axelu. Jak na razie nasze fundusze zależą niemal całkowicie od Francuzów. Kardynał Richelieu. - Przybrał zgorzkniały wyraz twarzy. - Ufam temu trójlicowemu papiście tak samo, jak ufałbym samemu diabłu.

Axel wzruszył ramionami. Starał się uśmiechać pokrzepiająco, ale mimo swych zdolności dyplomatycznych nie odniósł większego powodzenia.

- Francuzi... Richelieu... mają własne interesy i dlatego nas wspierają, Gustawie. Mogą sobie być katolikami, ale znacznie bardziej przejmują się zapędami dynastycznymi Habsburgów niż przywróceniem władzy papieskiej w północnych Niemczech.

- Wiem o tym! - odburknął król. - To, czego chce Richelieu, to przeciągająca się i wyniszczająca wojna w Świętym Cesarstwie Rzymskim. Niech zginie połowa Niemców, niech nawet wszyscy zginą! Richelieu nie chce, żebyśmy zwyciężyli, Axelu. Wręcz przeciwnie, on jedynie chce, żeby austriaccy Habsburgowie się wykrwawili. A wraz z nimi hiszpańscy. - Jego twarz wykrzywił dziki grymas. - Szwedzkie mięso armatnie opłacane przez pazerne na każdy grosz Francuza.

Uderzył masywną pięścią we wnętrze drugiej dłoni.

- Muszę mieć więcej pieniędzy! Nie dostanę ich od Richelieu, a szwedzki skarbiec już dawno opróżniliśmy! Pozostaje tylko Holandia. Holendrzy są bogaci i mają własne powody, żeby cieszyć się z upadku Habsburgów.

Teraz to smukła arystokratyczna twarz Oxenstierny sposepniała.

- Republika Niderlandów - powiedział gorzko. Król zerknął na przyjaciela i roześmiał się.

- Oj, Axelu, Axelu! Zawsze arystokrata!

Oxenstierna zeszywniał nieco, słysząc tę kpinę. Oxenstiernowie byli jednym z najznamienitszych rodów magnackich. Jak na ironię, jedyny człowiek w Szwecji, który stał ponad nim, miał bardzo wiele wątpliwości co do przymiotów szwedzkiej arystokracji. Gustaw II Adolf, król Szwecji, przez całe lata toczył boje z polską szlachtą, zanim skrzyżował ostrza z ich niemieckimi odpowiednikami. Te doświadczenia pozostawiły w nim wielką pogardę dla arystokracji. Mimo że Polacy bezdusznie ciemnieżyli chłopów, na polach bitewnych byli dzielni i waleczni, Niemcom zaś, pomijając nieliczne wyjątki, brakowało nawet tej polskiej zalety. Większość z nich przez całą wojnę siedziała wygodnie w swych zamkach i pałacach, podczas gdy walką zajmowali się najemnicy. Opłacani, rzecz jasna, z podatków ściąganych od wynędzniałego, zagłodzonego i cierpiącego na wiele chorób chłopstwa.

Wracanie do odwiecznego sporu z Axelem nie miało jednak najmniejszego sensu. Gustaw miał wystarczająco wiele problemów na głowie.

- Jeśli Mackay się nie odezwał, oznacza to, że holenderski posłaniec jeszcze doń nie dotarł. - Zadumał się. - Co mogło się wydarzyć?

Axel parsknął.

- Wydarzyć? Z posłańcem, który przedziera się przez Niemcy podczas trwającej od trzynastu lat wojny?

Gustaw niecierpliwie potrząsnął głową.

- Holendrzy na pewno posłali Żyda - zauważył - i dali mu wszelkie glejty. A Ferdynand sam wydał dekrety omówiace o traktowaniu Żydów na ziemiach Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Nie chce ich przecież odstraszyć, potrzebne mu są ich pieniądze.

Oxenstierna wzruszył ramionami.

- Mogły się wydarzyć tysiące rzeczy. Ludzie Tilly'ego już grasują w okolicy. Oni nie podlegają cesarzowi, a przynajmniej nie bezpośrednio. Jeśli jakaś banda najemników dorwie gońca i jego skarb, co ich będą obchodzić dekrety Ferdynanda? A tym bardziej glejty.

Król skrzywił się. Wiedział, że Axel ma sporo racji. W owych czasach Niemcy były jednym wielkim sabatem czarownic i wszelkie zbrodnie nie tyle mogły się wydarzyć, co zdążyły się już wydarzyć setki razy.

Gustaw westchnął. Splótł swe masywne dłonie, obrócił je i zaczął wyłamywać palce ze stawów.

- Martwię się, Axelu. Martwię się. - Obrócił głowę i jego niebieskie oczy spojrzały w brązowe oczy rozmówcy. - Dlaczego litościwy Bóg, którego wielbię, pozwala na tak wielkie nieszczęście, jakim jest ta wojna? Boję się, że popełniliśmy potworne grzechy i zasłużyliśmy na taką karę. Gdy rozglądam się wokół i patrzę na różne królestwa i księstwa, myślę, że wiem, co to za grzech. Pycha, Axelu. Wyniosła, niepohamowana arogancja. Szlachectwo ciała, lecz nie ducha.

Oxenstierna nie odpowiedział. Tak naprawdę to nie chciał. Axel Oxenstierna, kanclerz Szwecji, był od swego króla starszy o jedenaście lat. Starszy i -jak sądził - bardziej rozważny. I to właśnie roztropność już dawno temu doprowadziła go do sformułowania pewnych stanowczych wniosków.

Pierwszy był taki, że Gustaw II Adolf zapewne jest najwspanialszym monarchą, jakiego kiedykolwiek wydała na świat Skandynawia.

Drugi zaś taki, że jest on niewątpliwie jej najwspanialszą duszą.

A więc kanclerz mógł polemizować z królem, nie mógł zaś spierać się z jego duszą. Dlatego tylko ukłonił się.

- Tak, panie - odrzekł.

Gustaw przyjął hołd, również skłoniwszy głowę.

- A teraz, mój drogi przyjacielu - powiedział łagodnie - muszę zostać na jakiś czas sam. - Na jego obliczu pojawiło się cierpienie.

- To nie była twoja wina, Gustawie - rzekł Oxenstierna. - Nic nie mogłeś na to poradzić. Lecz król nie słuchał; był głuchy na głos rozsądku.

70

Erie Flint

Axel wciąż jednak próbował.

- Nic! Złożyłeś ludziom z Magdeburga obietnicę w dobrej wierze, Gustawie. To nasi tak zwani „sojusznicy” zawiedli. Jerzy Wilhelm z Brandenburgii nie dał ci wsparcia, a Jan Jerzy z Saksonii zablokował drogę. Jak miałeś...

Zamilkł. Stracił nadzieję. Rzeczywistość, którą wojujący król odsunął od siebie, teraz wlewała się weń ze zdwojoną siłą.

Wielka, mocarna postać stojąca w centrum namiotu zdawała się przełamywać na pół. Chwilę później Gustaw Adolf klęczał z pochyloną głową i dłońmi złożonymi do modlitwy.

Kanclerz westchnął i odwrócił się na pięcie. Król Szwecji odszedł na wiele godzin poświęconych modlitwie za dusze ludzi z Magdeburga. Oxenstierna nie wątpił, że Gustaw, jego przyjaciel, zna imiona dziesiątek tysięcy wymordowanych w tamtym przeklętym miejscu i że każdą z tych osób zawierzy Bogu, pamiętając wszystkie listy, jakie doń słał, błagając o wybawienie. Wybawienie, którego nie zdążył im dać na czas.

Stojąc u wejścia do namiotu, Oxenstierna patrzył na równiny środkowej Europy. Już miliony poległy na nich od chwili, gdy trzynaście lat temu wybuchła najpotworniejsza wojna ostatnich stuleci. I zapewne kolejne miliony polegną, zanim ta wojna dobiegnie końca. Jeźdźcy Apokalipsy kosztują wolności, upojeni szczęściem.

Kanclerz nie udawał, że ma duszę równie wielką, jak jego władca, dlatego jego spojrzenie było groźne, bez cienia łagodności.

Ale Axel Oxenstierna rozumiał ową duszę klęczącą w modlitwie za jego plecami lepiej niż ktokolwiek z żyjących, i ta świadomość przyniosła mu ukojenie, gdy tak patrzył na równiny. „Chętnie bym was przeklął, lecz nie ma takiej potrzeby. Ktoś większy ode mnie - znacznie większy - dotknie was czymś o wiele gorszym niż błahym przekleństwem”.

„Nowa rasa przyszła na ten świat, władcy niemieccy”.

„Drzyjcie. Drzyjcie!”.

lifabzbt1 7

Sala gimnastyczna liceum przeznaczona była najwyżej na 1500 osób. Mike oszacował liczbę przybyłych na dwa razy tyle. Byli tam prawie wszyscy mieszkańcy Grantville, z wyjątkiem garstki pracowników elektrowni i około dwudziestu górników Mike'a.

Katastrofa, którą zaczęto określać mianem Ognistego Kręgu, miała miejsce trzy dni temu. Od tamtej pory ASG stało się - chcąc nie chcąc - skleconymi naprędce siłami obronnymi. Nie było żadnej innej grupy uzbrojonych i zorganizowanych mężczyzn, którzy mogliby patrolować okolicę. Cała policja Grantville liczyła pięciu funkcjonariuszy, łącznie z komendantem. Gdyby nawet Dan Frost nie był ranny, zorganizowanie obrony i tak przekraczałoby jego możliwości. Policja Grantville i tak miała pełne ręce roboty z utrzymaniem porządku w samym mieście.

Z mieszkańcami nie było większych problemów, pomijając może początkowy wybuch paniki, który burmistrz zdusił w zarodku, wydając szybki i kategoryczny nakaz zamknięcia wszystkich sklepów. Służby porządkowe patrolowały ulice, chcąc się upewnić, że prawo jest respektowane, nie napotykały jednak na jakiś znaczący opór. Każdy po cichu przyznawał, że decyzja burmistrza była słuszna.

Prawdziwym problemem - i to narastającym w bardzo szybkim tempie - był napływ uciekinierów do Grantville. Okazało się, że cała okolica jest pustoszona przez samowolnych żołnierzy zaciężnych. Póki co żaden z owych najemników nie zbliżył się nawet do miasta, ale ludzie Mike'a czujnie wypatrywali wszelkich oznak kłopotów.

72

Erie Flint

Mike stał na końcu rzędu krzeseł, tuż przy wejściu. Obok tłoczyli się Frank Jackson wraz z kilkoma górnika. Po prawicy Mike'a, w najniższym rzędzie z samego brzegu, siedziała Rebeka Abrabanel. Żydowska uciekinierka, otoczona przez tylu dziwnych ludzi i jeszcze dziwniejszą maszynę, wciąż miała w głowie mętlik.

Tak się szczęśliwie złożyło, że Rebeka była zbyt zaprzątnięta troską o stan zdrowia swego ojca, żeby odczuwać strach na myśl o wszystkich dziwnych wydarzeniach ostatnich dni. Mike przypuszczał jednak, że spokój jest jej wrodzoną cechą. Rebeka sprawiała wrażenie chowanej pod kloszem intelektualistki, co jednak wcale nie przekładało się na dziecięcą bezradność.

Uśmiechnął się smutno na wspomnienie ich rozmowy w bibliotece. Nie zrozumiał praktycznie niczego, gdy zagłębiła się w filozofię, ale nie sztydził - ani wtedy, ani teraz. Mike doszedł do wniosku, że jemu też przydałby się taki filozoficzny spokój.

Ale Rebeka daleka była od obojętności wobec sytuacji, w której się znalazła. Mike patrzył (już po raz dziesiąty w ciągu ostatnich dziesięciu minut), jak Rebeka odruchowo gładzi długą plisowaną spódnice, szarpie gorset, poprawia czepek skrywający jej włosy. Wydawało mu się nieco zabawne, że w obecnym położeniu jeszcze jest w stanie przejmować się swoim wyglądem.

Siedząca obok Rebeki drobna, siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce wyciągnęła rękę i lekko uściśnęła dłoń uciekinierki, jakby chciała jej dodać otuchy. Dziewczyna odpowiedziała krótkim, nerwowym uśmiechem.

Będąc świadom obaw Rebeki związanych z jej judaizmem - nawet jeśli Mike nie rozumiał, skąd się brały - poprosił Morrisa i Judith Roth, żeby przyjęli tę młodą kobietę i jej ojca pod swój dach. Jedyni mieszkający w miasteczku Żydzi chętnie się zgodzili. Baltazar Abrabanel przeżył zawał, i zarówno James Nichols, jak i Jeff Adams, miejscowy lekarz, kazali mu leżeć i wypoczywać. Na dobrą sprawę Baltazar był zaledwie o krok od śmierci.

Następnego dnia, gdy Mike wpadł z krótką wizytą, Rebeka sprawiała wrażenie spokojnej, niemalże rozluźnionej. Ale Judith powiedziała mu na osobności, że panna Abrabanel niemal

utonąła we łzach, kiedy zauważyła stojącą u nich na kominku menorę. Przez dobre pół godziny leżała na kanapie, uczepona Judith jak tonące kocię.

Mike ponownie skierował wzrok na Rebeke. Kobieta słuchała w skupieniu tego, co mówił burmistrz. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że na jej obliczu maluje się spokój. Skupienie, ciekawość i zdziwienie tym, czego właśnie słuchała. Lecz nie dostrzegł ani śladu paniki.

Mike zlustrował wypełniający salę gimnastyczną tłum ludzi. „Prawda jest taka, że radzi sobie znacznie lepiej niż połowa tu obecnych”.

Ta myśl była właściwie błaha, ale towarzyszący jej gwałtowny przyptyw dumy uświadomił Mike'owi prawdę, której starał się unikać. Uczucia, jakie żywił wobec panny Abrabanel, zaczęły żyć własnym życiem. Były jak szalejące konie, które wyrwały się z na wpół roztrzaskanej zagrody.

„Brawo, Stearns. Tak jakbyś nie miał wystarczająco wiele na głowie!”. Ale szalejące konie zwracały na jego napomnienia tyle samo uwagi, ile poświęciłyby myszy polnej. Kiedy po raz pierwszy ujrzał tę kobietę, jej egzotyczna uroda przyciągnęła go niczym magnes. Wielu facetów mogłoby się przestraszyć niebywałego intelektu kryjącego się w jej ciemnych oczach oraz błąkającego się na pełnych ustach szelmowskiego uśmiechu.

Mike westchnął. „Ale nie ja”. Z dużym wysiłkiem oderwał wzrok od dziewczyny i skupił się na końcowych uwagach burmistrza.

- To by było na tyle, drodzy państwo - powiedział Henry Dreeson i kiwnął głową w stronę grupki osób siedzących koło mównicy. - Słyszeliście, co mówił Ed Piazza i reszta nauczycieli. W jakiś sposób - nikt nie wie w jaki - przeniesiono nas prawie czterysta lat wstecz, gdzieś na obszar Niemiec. Bez możliwości powrotu.

- Jesteś pewny, Henry? - spytał jakiś mężczyzna z dolnych rzędów. - Znaczy się co do tego powrotu. Może to, co się stało, mogłoby się... no wiesz, odstać. W drugą stronę.

Burmistrz posłał jednemu z siedzących obok nauczycieli błagalne spojrzenie. Greg Ferrara wstał i podszedł do mikrofonu. Nauczyciel przedmiotów ścisłych był wysokim i szczupłym mężczyzną po trzydziestce. Jego sposób wypowiedzania się - podobnie jak chód - był szybki i nieskładny, lecz wskazywał na pewność siebie.

Greg zaczął kręcić głową, zanim jeszcze dotarł do ustawionego na mównicy mikrofonu.

- Nie sądzę, żeby był choć przysłowiowy cień szansy. - Uchwycił mównicę z obu stron i pochylił się do przodu, aby nadać swoim słowom jeszcze większe znaczenie. - Cokolwiek się wydarzyło, była to niemal na pewno jakaś naturalna katastrofa. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to mamy niebywałe szczęście, że przeżyliśmy. Nikt poważnie nie ucierpiał, a straty materialne są praktycznie żadne.

Greg zerknął na fluorescencyjne lampy na suficie sali gimnastycznej. Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Nawet elektrownia z powrotem działa, więc możemy korzystać z wszelkich domowych udogodnień. Przynajmniej chwilowo. - Uśmiech zniknął. - Wciąż jednak jesteśmy w sytuacji przyczepy kempingowej, w którą uderzyło tornado. Myślicie, że są szanse na to, że kolejne tornado będzie przechodziło obok i ustawi wszystko z powrotem na miejsce? - Greg nabrał powietrza w płuca. - Osobiście uważam, że szanse są astronomicznie małe. Miejmy taką nadzieję, gdyż następny Ognisty Krąg prawdopodobnie by nas unicestwił.

Tłum ściśnięty w sali zamilkł. Greg wziął kolejny głęboki oddech i zakończył prostymi, dobitnymi słowami:

4

Erie Flint

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Utknęliśmy tutaj.

Chwilę później już siedział na swoim miejscu, a na mównicę powrócił bur-istr7

- To by było na tyle, drodzy państwo, przynajmniej w tej kwestii. Naszym zadaniem jest podjęcie teraz właściwych decyzji dotyczących naszej przyszłości. Przez ostatnie trzy dni rada miasta obradowała właściwie bez przerwy. Chcemy wam zaproponować pewną

koncepcję. - Zrobił efektowną pauzę, podobnie jak jego przedmówca. - Decyzja znacznie przekracza kompetencje władz miasta, dlatego będziemy musieli zagłosować. Tak więc każdy z tutaj obecnych, kto jest uprawniony do głosowania... Burmistrz urwał w pół słowa.

- Hmmm, może raczej wszyscy tu obecni, uprawnieni czy nie. - Jego skwaszona mina sprawiła, że przez salę przetoczyła się kaskada śmiechu. Mieszkańcy Grantville pamiętali, że Henry Dreeson niemal od zawsze nakłaniał ludzi, żeby rejestrowali się do głosowania. - Musimy stworzyć odpowiednie organy sprawowania władzy. Burmistrz i rada to za mało. Nasza propozycja jest taka, żeby wybrać sztab antykrzysowy, który zajmie się przygotowaniem projektów; będzie to coś w rodzaju konwencji konstytucyjnej. Sztab powinien tymczasowo wszystko nadzorować. I trzeba oczywiście wybrać przewodniczącego. Będzie on mógł podejmować wszelkie natychmiastowe decyzje, których będzie wymagała sytuacja.

Ktoś ze zgromadzonych wykrzyknął nazwisko burmistrza. Dreeson gwałtownie pokręcił głową.

- Ja nie! Rada miasta wyszła już z taką propozycją, ale im odmówiłem. Panie i panowie, ja mam już sześćdziesiąt sześć lat. Jestem burmistrzem małego miasteczka. - Starszy mężczyzna nieco się wyprostował. - Nieźle mi to wychodziło, jeśli mogę tak powiedzieć, i wolałbym na tym poprzestać. Nie sądzę, żebym nadawał się do... - Machnął ręką. Nie był to ani gest słabości, ani bezradności. Niósł on jednak w sobie przecucie zbliżającej się katastrofy. Jakieś poruszenie na obrzeżach tłumu przykuło uwagę Mike'a. Do mikrofonu zbliżał się John Simpson, nowy teść jego siostry. Ów szykownie ubrany mężczyzna przemierzał się z taką samą pewnością siebie, z jaką zabierał głos na rozlicznych spotkaniach udziałowców. Nie tyle odepchnął burmistrza na bok, co zmusił go do oddania mikrofonu.

- Zgadzam się z burmistrzem Dreesonem - powiedział z mocą. - Jesteśmy w sytuacji nadzwyczajnej, a to wymaga nadzwyczajnego zarządzania.

Inny, mniej pewny siebie mówca odchrząknąłby w tym miejscu, ale nie John Chandler Simpson.

- Zgłaszam siebie jako kandydata na przewodniczącego sztabu antykrzysowego. Mam świadomość tego, że nie jestem osobą zbyt dobrze znaną, lecz z uwagi na to, że bez wątpienia mam lepsze kwalifikacje niż ktokolwiek inny w tym pomieszczeniu, nie mam innego wyboru, jak tylko zaproponować własną kandydaturę. Od wielu lat jestem dyrektorem naczelnym wielkiego przedsiębiorstwa, a wcześniej byłem oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych. Służyłem w Pentagonie.

Mike usłyszał, jak stojący obok Frank Jackson mamrocze pod nosem:

- Jezu, co za niesamowite poświęcenie.

Stłumił szydercze parsknięcie. „Pewnie, zupełnie jak Napoleon zgłaszający się na ochotnika do objęcia tronu. Dla dobra narodu, rzecz jasna”.

Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych osób. Dostrzegł oznaki niezadowolenia z faktu, że obcy człowiek tak nagle zgłasza chęć objęcia władzy, lecz nie było ich wiele. Tak naprawdę zdecydowanie Simpsona uderzyło we właściwą strunę. Ludzie uczepli w raku statku raczej nie będą się interesować tym, skąd się wzięła łódź ratunkowa, ani tym, czy kapitan jest dobrym człowiekiem, jeśli tylko sprawia wrażenie, że wie, co robi, i ma wystarczająco donośny głos.

- Po pierwsze, trzeba odizolować miasto - ciągnął Simpson. - I tak będziemy musieli poważnie oszczędzać nasze zapasy. Bardzo poważnie. Trzeba będzie wszystko okroić, drodzy państwo. Z całą pewnością nie będzie się czym dzielić z uciekinierami, którzy zalali okolicę. Simpson rzucił szybkie spojrzenie na Mike'a i stojącą przy nim grupkę górników. Jego twarz wyrażała jedną wielką dezaprobatę. Przez ostatnie trzy dni Mike wraz ze swoimi górnikami nie zrobili nic, żeby przepędzić małą armię uciekinierów, którzy powoli zapełniali okoliczne

lasy. Gdy już upewnili się, że nie są uzbrojeni, starali się wywabić ich z ukrycia. Jak na razie bez powodzenia, z wyjątkiem jednej rodziny, która schroniła się w oddalonym kościele metodystów.

- Powtórzę jeszcze raz - kontynuował Simpson. - Musimy zamknąć granicę. Jest olbrzymie ryzyko zarażenia, że nie wspomnę o innych niebezpieczeństwach. - Wycelował oskarżycielsko palec w południową ścianę sali gimnastycznej. Całe jego potępienie wydawało się skupiać na wiszących tam proporcach, upamiętniających zdobycie przez North Central High School mistrzostwa w futbolu amerykańskim (w 1980, 1981 i ponownie w 1997 roku). - Ci ludzie... - Zawiesił głos. Ta pauza w połączeniu z tonem jego wypowiedzi oznaczała, że Simpson kwestionuje określenie „ludzie”. - Te istoty są nosicielami zarazy. Obedrą nas ze wszystkiego, co mamy, jak szarańcza. Możemy rzucać monetą o to, czy najpierw pomrzemy z głodu, czy z choroby. Tak więc...

Mike zorientował się, że kroczy w stronę mównicy. Czuł, że nieco kręci mu się w głowie - zupełnie jak w czasach, kiedy wchodził na ring - ale stare przyzwyczajenie kazało mu zlekceważyć to uczucie, odsunąć je na bok, skoncentrować się.

Zawroty głowy nie tyle były oznaką nerwów, ile rozdrażnienia. To uczucie też odsunął na bok. Wysiłek, jaki w to włożył, uświadomił mu, jak potwornie jest rozwścieczony. Ostatnimi zdaniami Simpson rozorał mu duszę.

76

Erie Flint

„Najpierw oddajemy władzę prawnikom i innym urzędnikom, potem wieszamy białą biedotę”. Gdy był już blisko mównicy, dostrzegł Jamesa Nicholasa stojącego obok córki. „No tak, skoro już przy tym jesteśmy, to czarnuchów też na stryczek”. Przed oczami wyświetlił mu się obraz pięknej twarzy Rebeki. „No i, rzecz jasna, usmażyć Żydków”.

Stał już przy mównicy. Zmusił Simpsona do odstąpienia mu mikrofonu, stosując własną formę asertywnej dominacji.

- Zgadzam się z propozycją rady miasta - powiedział dobitnie, po czym dodał jeszcze dobitniej: -1 kompletnie nie zgadzam się z przesłaniem mojego przedmówcy.

Potem przeniósł wzrok na Simpsona i wpatrywał się w niego tak długo, żeby wszyscy to zauważyli.

- Jeszcze nawet nie zaczęliśmy, a facet już mówi o redukcji.

Sala gimnastyczna zatrzęsa się od gwałtownego wybuchu śmiechu. Rozbawienie, które wywołał żart Mike'a, podszyte było gniewem. Zgromadzony tłum w głównej mierze składał się z klasy robotniczej, która miała swoją własną opinię na temat „redukcji”.

Mike chwycił byka za rogi i kontynuował.

- Najgorsza rzecz, jaką moglibyśmy zrobić, to próbować się odizolować. Zresztą to i tak już jest niemożliwe. W tym momencie jest nas wszystkich razem tyle samo, ile ludzi kryjących się w lesie, z czego dobrze ponad połowa to kobiety i dzieci.

Kolejne słowa wypowiedział przez zaciśnięte zęby.

- Jeśli wam się wydaje, że pracownicy kopalni będą mordować nieuzbrojonych cywilów, to się cholernie grubo mylicie.

Usłyszał dobiegający gdzieś z tłumu głos Darryla.

- Powiedz im, Mike! - A następnie stojący tuż obok Harry Lefferts krzyknął: - Zastrzel naczelnego!

Kolejna lawina śmiechu - ostrzejszego, mniej przyjaznego - przetoczyła się przez salę. Dla większości tych robotników tytuł „dyrektor naczelny” rywalizował pod względem popularności i szacunku z tytułem „książę ciemności”. Czterej jeźdźcy Apokalipsy zlepieni w jedno, ubrani w garnitur Brooks Brothers i trzymający w dłoni wymówienie.

„Przykro mi, ale arka jest już pełna. To nic osobistego, po prostu nie ma dla ciebie miejsca w dzisiejszej wspaniałej gospodarce światowej”.

Mike ciągnął dalej.

- Całe to jego podejście jest do góry nogami i od dupy strony. „Odizolować miasto?” Apotem co? - Zatoczył dłonią koło. - Słyszeliście, co Greg wcześniej mówił. Według jego oszacowań, ta katastrofa, Ognisty Krąg, wycięła obszar o średnicy jakichś dziesięciu, może jedenastu kilometrów, a my jesteśmy w środku. Ludzie, przecież znacie tę okolicę. To prawie same wzgórza.

Jak myślicie, ile żywności damy radę tutaj wyprodukować? Wystarczająco dużo na trzy tysiące ludzi?

Pozwolił, aby to pytanie dotarło do świadomości zgromadzonych. Simpson próbował dopchać się do mikrofonu, ale Mike oparł masywną dłoń o jego klatkę piersiową i po prostu go odepchnął. Mężczyzna zatoczył się, oszołomiony zarówno faktem „sponiewierania” go, jak i faktyczną siłą tego pchnięcia.

- Nawet nie myśl, że zabierzesz mi mikrofon, ważniaku - warknął Mike. Nie miał zamiaru ogłaszać tego publicznie, ale mikrofon tak wzmocnił jego słowa, że rozeszły się po całej sali. Zgromadzeni kolejny raz wybuchli śmiechem. Zabrzmiał on niemal jak wiwat; zupełnie jakby oklaskiwali efektowny wsad w wykonaniu swej szkolnej gwiazdy sportu.

Kolejne słowa Mike wypowiedział łagodnie, lecz stanowczo.

- Moi drodzy, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Utknęliśmy tutaj i tutaj zostaniemy. Na zawsze. - Zawiesił głos. - Na zawsze - powtórzył. - Nie możemy myśleć o tym, co będzie jutro czy pojutrze. Ani nawet za rok. Musimy myśleć o tym, co będzie za dziesiątki lat. Setki lat.

Simpson zaczął coś bełkotać, ale Mike go zignorował. „Śmiało, przywal”.

- Nie możemy udawać, że ci ludzie nie istnieją. Nie możemy ich przepędzić, a gdybyśmy nawet mogli, to nie przepędzimy tych, którzy przyjdą po nich. - Wskazał palcem na Melisę Mailey, nauczycielkę historii. - Słyszeliście, co powiedziała pani Mailey. Wpakowaliśmy się w sam środek jednej z najstraszniejszych wojen, jakie widział świat. Nazwana została wojną trzydziestoletnią. Po jej zakończeniu Niemcy będą zrujnowane. Jedna czwarta ludności - w tym my, bo jesteśmy w samym środku - pójdzie do piachu. Olbrzymie armie wędrujące po okolicy plądrują, zabijają. Widzieliśmy to na własne oczy. Nasz komendant leży w łóżku z odstrzeloną połową ramienia. - Zerknął na Lefferts siedzącego wysoko na trybunach. Młody górnik był dobrze widoczny ze względu na bandażę. - Gdyby Harry miał nieco oleju w głowie, też by leżał.

Sala znowu rozbrzmiała śmiechem. Lefferts był wielce popularnym młodzieńcem, między innymi z powodu wiecznie rozpierającej go energii. Mike obrócił się i wskazał na Rebeke.

- Ona i jej ojciec omal nie zostali zmasakrowani. Rabunek, gwałt i morderstwo - to dla wędrujących tutaj armii standardowa procedura postępowania.

- Nie wierzycie mi? - zapytał i wskazał ze złością na drzwi do sali. - Zapytajcie tego chłopca i jego żonę, których ocaliliśmy. Są raptem trzydzieści metrów stąd, w prowizorycznym szpitalu, który urządziliśmy w budynku szkoły. Śmiało, idźcie ich zapytać!

Simpson wciąż coś bełkotał. Mike spojrział w jego stronę i warknął:

- Ten błazen zapewne myśli, że odpędzimy te wojska gadaniem o dupie Maryni.

/8

Erie Flint

Rozległ się kolejny ryk śmiechu. Mike czuł, że ma poparcie większości tłumu. Przynajmniej dopingują drużynę gospodarzy.

- Oczywiście przez pewien czas będziemy w stanie ich odpędzać. Mamy nowoczesną broń, a dzięki mieszkającym tu maniakom uzbrojenia... - znowu wybuch śmiechu - mamy tyle amunicji, że wystarczy na miesiące. I co z tego? Wciąż pozostaje zaledwie kilkuset mężczyzn, którzy potrafią walczyć. A nawet mniej, jeśli wziąć pod uwagę ogrom pracy, jaki nas czeka.

Wskazał Billa Portera, kierownika elektrowni.

- Słyszeliście Billa. Elektrownia ma zapasy węgla jeszcze na jakieś pół roku. A potem... - Wzruszył ramionami. - Bez prądu stracimy naszą przewagę technologiczną. To znaczy, że trzeba znowu uruchomić opuszczoną kopalnię. A mamy cholernie mało ludzi i brakuje nam połowy sprzętu. Będziemy musieli zrobić części zapasowe i awaryjne urządzenia. Rozejrzał się po tłumie.

- Ej, Nat! Masz jakieś zapasy w sklepie? Chodzi mi o stal.

Właściciel największego warsztatu mechanicznego w mieście podniósł się z ociąganiem. Stał mniej więcej w szóstym rzędzie, otoczony ze wszystkich stron ludźmi.

- Niewielkie, Mike! - odrzyknął. - Wiesz, my zajmujemy się tylko obróbką. Klient zazwyczaj sam dostarcza materiały. - Nat Davis rozejrzał się w poszukiwaniu dwóch pozostałych właścicieli warsztatów. - Zapytaj Olliego i Dave'a. Nie widzę ich, ale nie sądzę, żeby byli w lepszej sytuacji. Mam cały sprzęt i ludzi, którzy potrafią go obsługiwać, ale jak nie będziemy mieli metalu... - Wzruszył ramionami.

Z drugiego końca sali dobiegł jakiś okrzyk. Był to Ollie Reardon, jeden z mężczyzn, których szukał Davis.

- On ma rację, Mike! Jestem w takiej samej sytuacji. Oczywiście w okolicy leży masa złomu.

- Za mało. - Mike zachichotał. - I są to głównie samochody porzucone na złomowisku lub w czymś ogrodzie. Trzeba by je stopić. - Ostatnie słowa powiedział powoli i ze szczególnym naciskiem. - A to z kolei oznacza, że trzeba zbudować piec hutniczy. W jaki sposób? I kto tego dokona?

Urwał na chwilę, pozwalając, żeby sens jego słów dotarł do zgromadzonych. Simpson ze złością wznosił ręce do góry i ruszył na swoje miejsce. Mike poczekał, aż mężczyzna usiądzie, i dopiero wtedy powrócił do tematu.

„Kopcie ich, póki leżą, Bóg mi świadkiem!”

- Jak już mówiłem, kompletnie nie zgadzam się z jego podejściem. - Kiwnął głową w stronę Simpsona. - Uważam, że musimy postąpić dokładnie na odwrót. Do diabła z redukcją.

Rozwój jest tym, czego potrzebujemy!

Ponownie zatoczył ręką koło.

- Musimy się rozbudować. Jak dla mnie naszym największym atutem są właśnie te tysiące zagłodzonych i przerażonych ludzi. Sprowadźmy ich tutaj. Dajmy im jeść, dajmy im schronienie, a potem dajmy im pracę. To są w większości rolnicy. Będą wiedzieli, jak uzyskać dobry plon, jeśli tylko żadna armia ich nie ograbi.

- AASG zadba o to. - Rozległy się gromkie wiwaty, wydobywające się głównie, choć bez wątplenia nie tylko, z gardeł kilkuset znajdujących się na sali górników.

„Przebij na wylot”.

- Obronimy ich, a oni nas nakarmią. Ci zaś, którzy będą mieli odpowiednie umiejętności - albo przynajmniej chęć ich zdobycia - będą mogli nam pomagać przy tej całej robocie, która nas czeka.

Odsunął się od mikrofonu i wyprostował się.

- Takie jest w telegraficznym skrócie moje zdanie. Zabierzmy się do tego w taki sam sposób, w jaki zbudowaliśmy Amerykę. „Przyprowadźcie strudzonych, przyprowadźcie nędzarzy”.

- To nie jest Ameryka, ty skończony idioto! - wrzasnął rozzłoszczony Simpson.

Mike poczuł, że wściekłość wykrzywia mu twarz. Zdusił w sobie furię i spojrzał Simpsonowi prosto w oczy. Nie krzyczał, pozwolił tylko, żeby mikrofon posłał jego słowa w najdalszy kąt sali.

-Ale będzie, ty tchórzliwy matole. Ale będzie. - Następnie zwrócił się do zebranych: - Według Melissy Mailey żyjemy teraz w świecie, w którym moż-nowładcy dzielą i rządzą. I oni właśnie zmienili całą środkową Europę - teraz już nasz dom, nasz i naszych dzieci - w szalejące piekło. Jesteśmy otoczeni przez Ognisty Krąg. Cóż, ja już miałem do czynienia z pożarami, podobnie jak wielu innych tu obecnych. Ogień najlepiej zwalczać ogniem. Tak

więc moja rada jest prosta: zaczniemy rewolucję amerykańską - sto pięćdziesiąt lat przed terminem!

Mikę nie zdążył nawet zrobić trzech kroków, a już spora część tłumu (właściwie to większość) biła mu brawo na stojąco. Nie skończyło się na okrzykach i klaskaniu, ludzie zaczęli także tupać. Omal się nie roześmiał, widząc konsternację na twarzy Eda Piazza. Dyrektor najwyraźniej obawiał się, że trybuny nie wytrzymają, lecz mimo to sam klaskał i wznosił okrzyki.

Mikę miał nadzieję właśnie na coś takiego, a głęboko w sercu nawet się tego spodziewał. Znał swoich ludzi znacznie lepiej niż taki nadęty bufon jak John Simpson.

Ale nie spodziewał się (i z całą pewnością nie miał na to nadziei!) tego, co się zaraz potem wydarzyło. Usłyszał za plecami głos Melissy Mailey przemawiającej do mikrofonu. Melissa była po pięćdziesiątce i wypowiadała się z niezachwianą pewnością siebie kobiety, która przez całe swoje dorosłe życie była nauczycielką.

- Panie burmistrzu, chciałabym zaproponować kandydaturę Michaela Stearnsa na przewodniczącego sztabu antykryzysowego.

80

Erie Flint

Mikę stanął jak wryty. Wiwaty były coraz huczniejsze, coraz bardziej dzikie, lecz w pozytywnym sensie. Poprzez wrzawę dotarło do jego uszu, że Ed Piazza szybko poparł wniosek.

A następnie gdzieś zza jego pleców („Lt tu, Brute?") dobiegł donośny głos Franka Jacksona:

- Zamknijmy już listę kandydatów!

Wniosek Franka wywołał kolejny aplauz. Cała sala zawirowała Mikę'owi przed oczami. Nie przypuszczał, że... Nawet nie...

- Koniec zgłaszania kandydatur! - oznajmił stanowczo burmistrz. - Zarządzam głosowanie.

Mikę gapił się na niego z rozdziawionymi ustami. Dreeson szczerzył zęby niczym złośliwy chochlik.

- W tej sytuacji, skoro nie ma kontrkandydatów, myślę, że wystarczy głosowanie przez aklamację. - Wziął młotek aukcyjny leżący na półce pod spodem i uderzył zdecydowanie w mównicę. - Wszyscy za?

Ogłuszający ryk wypełnił salę gimnastyczną. Jak przez mgłę Mikę zdał sobie sprawę, że patrzy na Johna Simpsona i jego małżonkę. Odetchnął z ulgą, widząc ich wściekle zmarszczone czoła, zupełnie jak u mastifów.

„No, Bogu dzięki. Przynajmniej nie jest jednogłośnie".

Chwilę później Mikę poczuł, że Melissa Mailey prowadzi go na mównicę, Ed Piazza wita go serdecznie, a Henry Dreeson wciska mu do ręki młotek. Zanim się zorientował, przewodniczył już obradom.

Zadanie jako takie nie sprawiało mu specjalnych problemów. Mikę przewodniczył już rozlicznym zebraniom ASG. Pracownicy kopalni znani byli zarówno ze świetnej znajomości zasad parlamentaryzmu, jak i z nierzadko wrzaskliwie manifestowanej radości, z jaką do owych zasad się stosowali.

Trudność polegała na tym, że jeszcze nie bardzo dotarła do niego nowa rzeczywistość związana z piastowaną funkcją. Tak więc po pewnym czasie przestał się martwić o to, co ma zrobić, a skoncentrował się na tym, kto ma mu w tym pomóc.

- Tak nie da rady, moi państwo - powiedział w pewnym momencie. - Nominowaliście już do sztabu ze sto osób, i nie wątpię, że połowa z nich zostanie wybrana. Ale mnie jest potrzebny sprawny sztab, jeśli mam cokolwiek zdziałać. Pięćdziesiąt osób nigdy do niczego nie dojdzie. Potrzeba mi... yyy...

- Potrzebny ci gabinet - odpowiedziała mu Melissa Mailey.

Posłał jej krzywe spojrzenie, lecz ona odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

- Tak, Melisso. Jasne, gabinet. - Postanowił nie rozstrzygać tej kwestii w tym momencie.
„Pamiętaj, Mike, to jest tylko tymczasowy sztab”.

Rozejrzał się po zgromadzonych.

-Zgadza się utworzyć... yyy... gabinet z osób wybranych do sztabu. -I dodał niemal rozpaczliwie: - Ale niektóre osoby po prostu muszą mieć.

- Kogo, Mike? - odezwał się z trybun donośny męski głos. - Wymień ich teraz! Możemy od razu zagłosować na twój gabinet!

Mike uznał tę propozycję za wniosek, a ryk tłumu za poparcie. „Wszyscy za? Przegłosowano”.

Po raz pierwszy w sali gimnastycznej zapadła cisza. Mike rozejrzał się po twarzach zgromadzonych ludzi.

Pierwszych wyborów dokonał automatycznie, niemal bez zastanowienia.

- Frank Jackson. - Kilkudziesięciu górników donośnie zagwizdało.

- Ed Piazza. - Rozległ się aplauz setek gardeł, z których większość należała do licealistów.

Mike poczuł lekkie rozbawienie. „Chyba niewielu dyrektorów na świecie dostałoby takie owacje. Większość usłyszałaby jedynie buczenie”.

Jego wzrok padł na siedzących obok Piazza nauczycieli i twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

- Melissa Mailey. - Surowa i niemłoda już nauczycielka historii osłupiała. „Ha, słodka zemsta”.

-1 Greg Ferrara. - Znacznie młodszy nauczyciel przedmiotów ścisłych skinął głową.

- Henry Dreeson. - Burmistrz zaczął protestować. - Zamknij się, Henry! Nie wywiniesz się z tego! - Na sali rozległ się śmiech. - I oczywiście Dan Frost, kiedy tylko stanie na nogi.

Umysł Mike'a pracował na wysokich obrotach. „Potrzebujemy też kogoś do produkcji. Najpierw elektrownia. To jest klucz do wszystkiego”.

- Bill Porter. - Kierownik elektrowni zmarszczył brwi, nieco zaniepokojony, ale na tym skończyły się jego protesty. „Warsztaty mechaniczne. To strasznie ważne. Wolałbym pracować z 01 lie'em, ale jego zakład jest najmniejszy”. - Nat Davis.

„Potrzebny mi jest farmer. Najlepszy z nich będzie...”. Mike odnalazł wzrokiem niskiego, starszego mężczyznę.

- Willie Ray Hudson.

Wędrował spojrzeniem po morzu twarzy. Teraz był już rozluźniony. Szybkie podejmowanie decyzji pod czujnym okiem obserwatorów nie było dla niego żadną nowością.

„Przydałoby się jakieś urozmaicenie. Trzeba zdusić w zarodku tę cholerną klikę. To musi być ktoś spoza miasta i...”. Znalazł twarz, której szukał, co nie było trudne, zważywszy na to, że ta twarz ewidentnie wyróżniała się spośród tłumu.

- Doktor James Nichols.

„Dobra. Kto jeszcze?”. Jak każdy związkowy oficjel, Mike wiedział, czym jest politykierstwo. Nie byłoby dobrze, gdyby gabinet sprawiał wrażenie towarzystwa wzajemnej adoracji. „Potrzebny mi jest wróg, choćby pozorny”.

82

Erie Flint

Jego wzrok padł na Johna Simpsona, który wciąż wpatrywał się w niego z wściekłością. „Tu nie ma nawet pozorów, a mnie absolutnie nie potrzeba wiecznych awantur”.

Kiedy spojrzenie Mike'a spoczęło na przysadzistym mężczyźnie w średnim wieku, który siedział nieopodal Simpsona, musiał bardzo się starać, żeby się nie uśmiechnąć. „Idealnie!”.

-1 Quentin Underwood - obwieścił głośno. W sali gimnastycznej natychmiast zapadła niczym nie zmacona cisza, a potem rozległo się głośne buczenie w wykonaniu Darryla.

Chwilę później dołączył do niego Harry Lefferts, głośno wrzeszcząc:

- Zdrada! Zdrada, powiadam! Panie przewodniczący, jaka jest procedura, jeśli chcę postawić pana dupsko w stan oskarżenia?

To wywołało istny huragan śmiechu, który trwał przynajmniej minutę. W tym czasie nowo wybrany przewodniczący sztabu antykrzysowego wymienił spojrzenie (które przerodziło się w pełne uznania kiwnięcie głową) z kierownikiem kopalni, w której kiedyś pracował jako górnik.

Mikę był zadowolony. „Jest tylko i wyłącznie upartym jak osioł sukinsynem. Ale nikt nie twierdził, że jest głupi albo że nie wie, jak się załatwia pewne rzeczy”.

- Czy to wszyscy, Mikę? - dobiegł zza jego pleców głos Henry'ego Dreesona. Chciał już skinąć potakująco, kiedy nagle zaświtała mu nowa myśl. Na zewnątrz są przecież ludzie. Tysiące, setki tysięcy.

Spojrzał w kąt sali i wskazał palcem ostatniego członka swojego gabinetu. -1 Rebeka Abrabanel.

Aż do dnia śmierci Mikę będzie twierdził, że powodowały nim jedynie logika i zdrowy rozsądek, ale zanim jeszcze zgromadzony tłum zdążył przemienić się w świętującą, rozwrzeszczaną masę, Frank Jackson już stał obok niego.

- Wiedziałem - mruknął. - Wiedziałem, że to wszystko z amerykańską rewolucją to była tylko zasłona dymna. Przyznaj się, Mikę, wyreżyserowałeś to tylko po to, żeby zaimponować dziewczynie.

Z wielką godnością Mikę puścił drwinę mimo uszu. Ze znacznie mniejszą godnością - wręcz z lękiem - spojrzał na dziewczynę, o której była mowa. Wpatrywała się w niego, wciąż uczepiona dłoni Judith Roth, z otwartymi w osłupieniu ustami. Lecz on chyba widział w jej oczach coś więcej niż tylko osłupienie. A może tylko miał taką nadzieję.

- Daj spokój! - uciał. Nawet dla niego ten zarzut starszego przyjaciela zabrzmiał jakoś nieprzekonująco.

•Ester* 8

Pierwsze zebranie „gabinetu” Mike'a odbyło się godzinę później w klasie Melissy Mailey. Mikę rozpoczął posiedzenie od utknięcia. W punkcie z gatunku martwych.

- Na miłość boską, młody człowieku! - zdenerwowała się Melissa. - Czemu po prostu nie powiesz, że chcesz, żebym ja -jedyna kobieta w tym pomieszczeniu, poza Rebeką- została sekretarką. Żebym robiła notatki.

Mikę spojrzał na nią z wahaniem. Melissa Mailey była wysoką, szczupłą kobietą. Miała bardzo krótkie włosy, których kolor dobrze komponował się z jej staromodnym szarym żakietem i długą sukienką. Jej orzechowe oczy były dokładnie tak samo przeszywające, jak w odległych czasach, kiedy to nie był przygotowany do lekcji i starał się wydukać coś w odpowiedzi na trudne pytanie. W każdym calu przypominała ostrą i wymagającą dyrektorkę. Ten wygląd to wcale nie były pozory. Melissa Mailey cieszyła się sławą - bądź niesławą, w zależności od opowiadającego - osoby o ciętym języku i żelaznej dyscyplinie.

Miała też opinię najbardziej zajadłego i nieubłaganego liberała w Grantville. „Cholernego, nieodpowiedzialnego radykała”. Jako studentka college'u była członkinią ruchu na rzecz przestrzegania praw obywatelskich. Dwukrotnie aresztowana, raz w Mississippi, raz w Alabamie. Będąc młodą nauczycielką, wzięła udział w marszu przeciwko wojnie w Wietnamie. Znowu dwukrotnie aresztowana, raz w San Francisco, raz w stanie Waszyngton. Pierwsze aresztowanie kosztowało jątratę posady nauczycielskiej. Drugie aresztowanie miało identyczny skutek. Urodzona i wychowana jako bostońska intelektualistka,

84

Erie Flint

skończyła w małym miasteczku w Wirginii Zachodniej, bo nikt inny nie chciał jej zatrudnić. W pierwszym roku pracy namówiła kilka dziewcząt, żeby wraz z nią uczestniczyły w marszu na Waszyngton, domagając się poprawki o równouprawnieniu. Podniosła się wielka wrzawa, ludzie żądali jej dymisji. Utrzymała posadę, lecz odtąd stąpała po bardzo cienkim lodzie. Ale Melissa jak zawsze miała to gdzieś. Rok później znowu została aresztowana. Tym razem za obrażenie stanowego policjanta podczas jednej z pikiet ASG w trakcie wielkiego strajku w

latach 1977-1978. Kiedy wyszła z więzienia, górnicy urządzili dla niej w licealnej stołówce przyjęcie powitalne. Zjawiała się połowa uczniów wspólnie z rodzicami. Udało jej się nawet wymknąć w środku zabawy na parking, gdzie napiła się z górnikami.

Melissa Mailey wreszcie znalazła swój dom, ale wciąż była tak samo nie-ustępliwa i zgryźliwa.

- Posłuchaj, Melissa - wymruczał Mike. - Wiem, że to nie wygląda zbyt dobrze, ale musimy mieć dokładne zapiski, a...

Na twarzy Melissy wykwitł uśmiech. Nie był to zbyt częsty obrazek. Na swój chłodny sposób był to uśmiech olśniewający.

- Daj spokój - powiedziała. - Oczywiście, że musimy prowadzić skrupulatne zapiski. - Ponownie się uśmiechnęła. - Jesteśmy przecież Ojcami Założycielami. I Matkami. Nie wypada nie mieć dokładnych zapisków. Ja to wiem, jestem nauczycielką historii. Historycy skazaliby nas na wieczne potępienie.

Uśmiech zniknął. Spojrzenie Melissy wędrowało po ludziach zgromadzonych w pomieszczeniu. Jej mina wyrażała niezłomne przekonanie, że zapiski sporządzone przez mężczyzn byłyby niechlujne.

Gdy jej wzrok padł na Rebeke, jeszcze bardziej zmarszczyła czoło. Młoda żydowska uciekiniarka siedziała na skraju krzesła z nerwowo splecionymi na podolku rękami, odsunięta od reszty o dobrych kilka kroków.

Melissa podniosła się i pokazała władczo palcem na miejsce tuż obok swojego krzesła.

- Młoda damo - oznajmiła - proszę przyjść tutaj z krzesłem. Natychmiast.

Jeśli bostoński akcent Melissy, wciąż bardzo wyraźny, sprawiał Rebecę jakieś trudności, nie dała tego po sobie poznać. Bez ociągania, jak tysiące uczennic przed nią, posłuchała nie znoszącego sprzeciwu głosu.

Melissa obdarzyła ją uśmiechem.

- Zuch dziewczyna. Pamiętaj: zgoda buduje, niezgoda rujnuje.

- Może wreszcie zrobicie coś pożytecznego, co? - zwróciła się teraz do mężczyzn. Wskazała na długie stoły ustawione w rzędzie pod ścianą. - Ustawcie je na środku pokoju. Zróbcie z nich wielki stół konferencyjny. A potem zabierzcie te śmieszne deski i przynieście nam jakieś prawdziwe krzesła. Ed wam pokaże, gdzie są. Od dzisiaj chyba będziemy się tutaj spotykać, więc równie dobrze możemy nieco zadbać o to miejsce.

Odwróciła się na pięcie i z wawo pomaszerowała w stronę szafki.

- A tymczasem ja zaprezentuję cuda współczesnej techniki. - Po czym rzuciła przez ramię: - Stenografia. Ha!

W pokoju zapanowało nagłe ożywienie, a po chwili na samym środku skleconego naprędce „stołu konferencyjnego” pojawił się duży i sprawiający wrażenie kosztownego magnetofon. Melissa włączyła taśmę, nagrała godzinę i datę, po czym zwróciła się do Mike'a.

- Jest pan na antenie, panie przewodniczący. Mike odchrząknął.

- Dobra. Pierwszą rzeczą, którą chcę się zająć, jest ta cała „konwencja konstytucyjna”. Jest to oczywiście bardzo ważne, na dłuższą metę chyba wręcz najważniejsze. Ale w tym momencie mamy zbyt wiele naglących spraw do omówienia, żeby poświęcać na to czas.

Kątem oka dostrzegł, że Melissa ściąga brwi, więc pospiesznie dodał:

- Moja propozycja jest taka, żebyśmy utworzyli małą podkomisję, która będzie się tym zajmować. Kiedy opracuje już jakiś projekt, wtedy możemy go omówić. Póki co jednak skoncentrujemy się na najpilniejszych sprawach.

- Jak dla mnie w porządku - powiedział Nat Davis. - I tak nie wiedziałbym, od czego zacząć.

Kogo chcesz w tej podkomisji?

Pierwsze dwa nazwiska Mike wymienił od ręki.

- Melissę i Eda. Ona jest nauczycielką historii, a on kiedyś uczył wiedzy o społeczeństwie. Jeszcze jedna albo dwie osoby.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Melissa przełamała impas.

- Willie Ray. Dawno temu, w epoce kamienia łupanego, przez kilka kadencji był członkiem Izby Reprezentantów. Ma trochę praktycznego doświadczenia, nawet jeśli wtedy był takim samym kanciarzem. - Wszyscy zaczęli chichotać, jedynie Hudson zaśmiał się tubalnie. - I powinien być jeszcze doktor Nichols.

Nichols wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Dlaczego? - zapytał. - Nie mam pojęcia o prawie konstytucyjnym. - Przekrzywił głowę. Było w tym geście zarówno zdziwienie, jak i lekka podejrzliwość. - Jeśli to dlatego, że jestem jedynym...

- Oczywiście, że dlatego, że jesteś jedynym czarnym w tym pokoju! - ucięła Melissa.

Spojrzała wyzywająco na Nicholasa, a potem na resztę mężczyzn. - Dorośnijcie wreszcie.

Wszyscy. Nie zaproponowałam go ot tak sobie. Istnieje bardzo prosty powód, dla którego powinniśmy zgłosić kogoś, kto symbolizuje nieco inną przeszłość niż ta, w której żyli nasi przodkowie. Niezależnie od tego, czy zna się na prawie, czy nie, przypuszczam, że doktor Nichols będzie bardziej niż ktokolwiek inny pomny doświadczeń minionych stuleci.

-6 Erie Flint

Mikę nie był pewien, czy podziela rozumowanie Melissy, ale szybko doszedł do wniosku, że sam czułby się nieco pewniej, wiedząc, że Nichols przyłożył rękę do procesu tworzenia ich nowej konstytucji.

- Mnie to nie przeszkadza. James, zgadzasz się? Nichols wzruszył ramionami.

- Pewnie, czemu nie? - I wyszczerzył zęby: - Przecież nie samymi flakami człowiek żyje.

Kiedy śmiech już umilkł, Mikę przeszedł do najważniejszych spraw. Zaczął od kierownika elektrowni.

- Słuchaj Bill, tak jak ja to widzę, elektryczność jest kluczem do wszystkiego. Dopóki będziemy mieli prąd, dopóty nasza przewaga nad mieszkańcami tego świata będzie kolosalna, poczynając od nowoczesnych urządzeń, a na komputerach kończąc. Tak więc jak długo będziemy mieli prąd i co możemy zrobić, żeby go utrzymać?

Bill przecesał palcami swoje rzadkie włosy.

- Nie wiem, na ile się w tej tematyce orientujecie, ale prawda jest taka, że konstrukcja elektrowni wykorzystujących obieg wodno-parowy nie zmieniła się specjalnie przez ostatnie lata. To są w gruncie rzeczy proste maszyny. Jeśli tylko będziemy mieli węgiel i wodę, elektrownia będzie działać tak długo,

' dopóki nie wyczerpią się nasze skromne zapasy części zamiennych. A to może nastąpić za jakieś półtora roku do dwóch lat. Później będziemy już na dobre wyłączeni.

Potrząsnął głową. Ten gest łączył w sobie smutek i lekkie rozbawienie.

- Mamy węgiel zmagazynowany na pół roku. Woda nie jest żadnym problemem. Przedtem czerpaliśmy ją z Monongaheli. Ognisty Krąg przeciął, rzecz jasna, wszystkie rury, ale okazało się - to się nazywa ślepy traf! - że mniej więcej w tym samym miejscu jest inna rzeka. Nie tak duża, ale wystarczy.

- Wciąż nie rozumiem, o co chodzi z tymi częściami zamiennymi - odezwał się Frank. - Nie możemy ich wyprodukować? Mamy w mieście trzy warsztaty mechaniczne.

Porter pokiwał głową.

- Nie w tym rzecz, Frank. Chciałbym, żeby to było takie proste! Właściwie to mamy cztery warsztaty, gdyż w elektrowni jest nasz własny zakład. - Zerknął na Piazzę. - A jak już o tym mowa, to właśnie sobie przypomniałem, że licealne centrum szkolenia technicznego też ma niezły warsztat.

Piazza skinął głową. Porter zwrócił wzrok na Davisa, właściciela warsztatu mechanicznego.

- Wytłumacz im, Nat.

Nat Davis był pulchnym mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce. Kiedy wydał policzki, podobieństwo do żaby stało się tak uderzające, że Mikę omal nie wybuchnął śmiechem.

- Nie ma szans, moi mili. Bill ma rację. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, mógłbym zrobić masę części, na przykład wałki - do wyboru, do koloru, ale niektóre elementy, takie jak koła zębate, panewki czy uszczelnienia mechaniczne wymagają specjalistycznego sprzętu. Nie sądzę, żeby w okolicy był ktoś, kto dałby sobie z czymś takim radę. Musiałby spędzić nad tym lata. Po prostu nie mamy odpowiednich narzędzi.

Zapadła cisza.

- Półtora roku - mruknął Ed. - Góra dwa lata. - Na jego twarzy malowały się smutek i złość. Mikę pochylił się do przodu, stukając palcem w blat stołu.

- Myślę, że sytuacja nie jest aż tak dramatyczna. Pamiętajcie, że nie musimy polegać na tej konkretnej elektrowni. Wystarczy nam jakaś elektrownia.

Nagle Porter podniósł głowę.

- Masz rację, Mikę! - wykrzyknął. Potem zaśmiał się z zażenowaniem. - Nasza elektrownia mogłaby dostarczać prąd do całego hrabstwa Marion. Ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, wliczając w to cały przemysł w Fairmont. W tej sytuacji damy radę zasilać Grantville przy użyciu byle strumyczka.

Ogarnęło go podniecenie.

- Cholera jasna! Mikę ma rację! - Widząc puste spojrzenia członków gabinetu, Porter pospieszył z wyjaśnieniami. - Przypomnijcie sobie, co mówiłem. Podstawowa zasada, na której opiera się działanie elektrowni zasilanej węglem, jest stara jak świat. Możemy zbudować nową elektrownię. - Zachichotał rozbawiony. - A właściwie starą. Zapomnijcie o wysokoobrotowych turbinach i panewkach. Na nasze dość skromne potrzeby wystarczy stary, dobry silnik parowy.

Spojrzał na Nata.

- Mam nadzieję, że damy radę coś takiego zbudować, co?

Zanim Davis zdążył odpowiedzieć, Willie Ray Hudson wybuchnął śmiechem.

- Masz nadzieję? Bill, ja sam znam w tym miasteczku przynajmniej czterech facetów, dla których budowanie silników parowych to hobby. - Stary farmer uśmiechał się od ucha do ucha. - No wiesz, coroczny festiwal „Ropa i gaz”. - Wzruszył ramionami. - Nie budowali wprawdzie jeszcze niczego o rozmiarach, jakie nas interesują, ale znają wszystkie zasady. Hudson walnął dłonią w stół.

- I to jest kolejna rzecz! Nie zapominajmy, że cały ten teren zaczynał od gazu ziemnego i ropy, zanim jeszcze otworzono kopalnie. - Farmer wskazał na podłogę. - Siedzimy na gazie ziemnym. Ja swoją farmę zasilam bezpośrednio gazem, który mam pod ziemią. Skończyłem z benzyną; wszystkie swoje pojazdy przerobiłem tak, że jeżdżą na gaz. A przedsiębiorstwu gazowemu nie płacę za to złamanego grosza. Tak więc oto mamy kolejne źródło energii!

88

Erie Flint

- Macie rację! - Frank dołączył do grona rozradowanych. - Właśnie sobie zdałem sprawę, że całe miasto ogrzewane jest z tych złóż gazu. Nawet liceum. Dobrze mówię, Ed?

Dyrektor kiwnął głową, ale na jego twarzy widać było troskę.

- Tak, ale... - Spojrzał na podłogę. - Czy on wciąż tam jest? Po raz pierwszy zabrał głos Greg Ferrara.

- Wydaje mi się, że tak, Ed. - Nauczyciel przedmiotów ścisłych zrobił przeproszącą minę. - Oczywiście nie mam pewności, ale zbadalem wszelkie możliwe pozostałości po Ognistym Kręgu. Według mnie to coś - cokolwiek to było - wycięło idealne koło. Ziemia, drzewa, nawet szyny kolejowe i kable zasilania zostały przecięte jak żyłką.

Wszyscy wbili teraz spojrzenia w podłogę.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie czegoś, co zdarłoby tylko powierzchnię planety. Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że Ognisty Krąg przeniósł całą półkulę. A właściwie to kulę, tylko że górną połowę stanowiła atmosfera.

Ferrara umilkł i zaczął lustrować płytki na podłodze, jak gdyby mógł z nich wyczytać odpowiedź.

- Mogę się mylić, rzecz jasna, ale byłbym wielce zdziwiony, gdyby się okazało, że promień pod naszymi stopami ma inną długość. Pięć kilometrów w dół, w samym środku może nieco więcej. To znacznie głębiej niż jakiegokolwiek złoża gazu czy ropy, do których chcemy się dostać. To samo dotyczy pokładów węgla.

- Wkrótce się przekonamy - powiedział stanowczo Mike. - Quentin, musimy postawić tę opuszczoną kopalnię na nogi. Za sześć miesięcy skończą się zapasy elektrowni. Do tego czasu musimy już zacząć wydobywanie.

Były kierownik kopalni spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Ale to należy do... - Urwał i roześmiał się. - A, chrzanić ich. Teraz mogą sobie poszczekać na łamanie prawa własności.

Do chropawego śmiechu Quentina wnet dołączyły inne głosy. Opuszczona kopalnia znajdowała się trochę ponad trzy kilometry od miasteczka. Była praktycznie nowa. Największa kompania węglowa w Stanach Zjednoczonych wybudowała ją, uruchomiła na kilka miesięcy, po czym zamknęła. Przedsiębiorstwo oświadczyło, że powodem jest „niesprzyjająca sytuacja rynkowa”. Nikt w miasteczku - wliczając w to Quentina, który zarządzał konkurencyjną kopalnią - nie miał wątpliwości, że kopalnia była zwykłym przekrętem podatkowym.

Frank wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Słuchaj, Quentin. Ja wezmę nożyce, ty przyniesiesz piłę. Ożywimy to dziadostwo w mgnieniu oka.

- Nie, nie ty, Frank - powiedział Mike łagodnie, lecz zdecydowanie. - Niech Ken Hobbs się tym zajmie. On jest ze starej szkoły górnictwa, pewnie pamięta czasy łopaty i kilofa. A prawdopodobnie będziemy musieli do tego wrócić. Nie sądzę, żeby przedsiębiorstwo zostawiło tam na dole jakieś kombajny albo maszyny ścianowe.

Nie czekał, aż Frank zacznie protestować.

- Potrzebny mi jesteś tutaj, Frank, a nie zakopany setki metrów pod ziemią. Musimy tu stworzyć prawdziwą małą armię, a w przeciwieństwie do mnie, ty jesteś prawdziwym weteranem prawdziwej wojny.

Frank spojrzał na niego, potem na Quentina Underwooda, później na Jamesa Nicholasa, a wreszcie na Eda Piazzę. Każdy z nich walczył w Wietnamie.

- Niech mnie szlag trafi - powiedział w zadumie. - Kto by pomyślał? Wojna wietnamska wreszcie została uznana za wojnę na serio.

Pozostali weterani zaśmiali się. Quentin skierował wzrok na Mike'a.

- A ja? - zapytał. - Mnie też chcesz wpakować w mundur? Mike potrząsnął głową.

- Nie obraż się, Quentin, ale ty służyłeś na lotniskowcu. Mnie są potrzebni ludzie z doświadczeniem bojowym na lądzie. James był w piechocie morskiej, ale jest jednym z zaledwie dwóch lekarzy, jakich mamy. Ed...

Niski, korpulentny dyrektor roześmiał się.

- Tylko nie ja! Cały okres służby spędziłem jako pier... - Przerwał, zerkając ostrożnie na Melisę. Kobieta uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem. - Gryzypiórek. Moje największe wojenne przeżycia to znalezienie się na przedmieściach Sajgonu w samym środku strzelaniny między policją a jakimiś cink-ciarzami. Tobie się przyda weteran z krwi i kości, taki jak Frank.

Jackson skrzywił się.

- Mike, służyłem w jedenastej dywizji kawalerii pancernej. Nie zauważyłem, żeby gdzieś w mieście stały zaparkowane czołgi.

Oczy Nicholasa rozszerzyły się nieco.

- Byłeś w Blackhorse22? To dobra jednostka. Frank skinął uprzejmie głową.

- Marines też byli dobrzy. A tak w ogóle to w której jednostce byłeś? - Potrząsnął głową. - Zresztą nieważne. Później o tym pogadamy.

- Oczywiście mam jakieś doświadczenie w taktykach piechoty - zwrócił się do Mike'a - ale to nie są rzeczy, z którymi będziemy mieli tutaj do czynienia. - Parsknął. - Nawet nie mogę wezwać bombowców.

- To i tak znacznie więcej doświadczenia niż w moim przypadku, Frank - odparł Mike. - Jedyne walki, jakie widziałem podczas służby, to bójki w knajpach. - Przebiegł wzrokiem po twarzach osób znajdujących się w pomieszczeniu. Gdy odezwał się ponownie, jego głos był śmiertelnie poważny.

- Panie i panowie, zbudowanie armii jest naszym priorytetem. Bez niej będziemy tylko kolejnym miastem do splądrowania. Mam zamiar skorzystać z pomocy każdego byłego żołnierza, który tylko wpadnie mi w ręce. Na szczęście

Erie Flint

dotyczy to większości górników w średnim wieku. Ale - wybaczone, Frank - czas powoli daje znać o sobie. Potrzebni mi będą raczej jako kadra szkoleniowa dla młodszych górników i całej reszty młodych ludzi, którzy nie będą niezbędni do czegoś innego. I... Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Będziemy musieli werbować ochotników. - Kolejny głęboki wdech. - Właściwie to będzie mi potrzebny każdy z tych chłopaków, którzy za miesiąc kończyliby liceum.

Jego słowa wywołały gwałtowny sprzeciw ze strony Eda Piazzę i Melissy Mailey. Ed z oburzeniem bełkotał coś o swoich dzieciach, a Melissa zwyczajnie napadła na Mike'a.

Unikała wprawdzie określenia „podżegacz wojenny”, ale na tym jej dobroć się kończyła.

Mike przeczekał burzę w milczeniu. Kiedy protesty zaczęły przycichać, otworzył usta, żeby wreszcie coś powiedzieć.

Ale uprzedził go Greg Ferrara.

- Nie wygłupiaj się, Melissa. I ty też, Ed. Uważam, że Mike ma absolutną rację. Większość górników ma już swoje lata; wiecie o tym równie dobrze jak wszyscy. Przez ostatnie dziesięć lat młodych górników przyjmowano jak na lekarstwo. Redukcja. Cholera jasna, połowa górników, którzy u nas pracują, jest w wieku Franka. Od późnej czterdziestki wzwyż. Nie możecie oczekiwać, że mężczyźni w tym wieku wezmą całą walkę na siebie. A przynajmniej nie na długo.

Ed i Melissa gapili się na swego kolegę z kadry nauczycielskiej z wytrzeszczonymi oczami.

Ich myśli były oczywiste: „Zdrajca”.

Na widok ich miny nauczyciel przedmiotów ścisłych uśmiechnął się smutno.

- Przykro mi, ale takie są fakty. Każde państwo w dziejach ludzkości po wybuchu wojny opierało się na młodym pokoleniu. Nie rozumiem, dlaczego w naszym przypadku ma być inaczej.

Spojrzał na Mike'a.

- Znam tych chłopców, Mike. Każdy z nich zgłosił się na ochotnika. Nawet dzieciaki z indywidualnego toku nauczania.

Powstrzymał gestami gotową do wybuchu Melisę.

- Spokojnie! Z całą pewnością nie powołamy do wojska kogoś takiego jak Joe Kinney. - Mike przytaknął zdecydowanym kiwnięciem głowy. Joe Kinney był uroczym osiemnastolatkiem, ale umysłowo był na poziomie pięcioletniego dziecka i nie zanosilo się na poprawę.

Greg wskazał głową na Nicholasa.

- Doktorzy Nichols i Adams mogą wybrać chłopców, którzy nie nadają się do wojska. Ale większość z nich da radę służyć i będzie służyć. Na czas trwania, jak podczas drugiej wojny światowej.

Wyprostował swe szczupłe ramiona.

- A część nauczycieli powinna się zgłosić na ochotnika, żeby ich wprowadzić. Jak podczas wojny secesyjnej. Zaczniemy ode mnie. Jestem pewien, że Jeny Calafano również się zgłosi. I Cliff Priest, i Josh Benton.

Dyrektor szkoły kiwnął półprzrytomnie głową. Priest i Benton byli młodszymi wuefistami, Calafano był nauczycielem matematyki tuż przed trzydziestką. On i Ferrara byli bliskimi przyjaciółmi, a przy okazji fanatykami szachów.

Melissa zaczęła coś mówić - miał to być sprzeciw, sądząc po pierwszych wydukanych sylabach - ale przerwała i tylko ciężko westchnęła.

- Boże - wyszeptała. - Boże święty. - Jej oczy zwilgotniały. W tych łzach był smutek kobiety, która pomogła wychować kolejne pokolenia dzieci, a teraz musi patrzeć, jak one maszerują, podobnie jak wiele pokoleń przed nimi, prosto w paszczę psów wojny. „Nie brać jeńców!”. Mikę uszanował jej smutek chwilą ciszy. Potem przeszedł do kolejnych spraw.

- W porządku, Greg, doceniam twoją ofertę i ją przyjmuję. Byłoby lepiej, gdyby kilku nauczycieli zaciągnęło się razem z dziećmi. Byłoby znacznie lepiej. - Przez chwilę jego myśli przeskoczyły na inny temat. Pamiętał, że Ferrara wraz z grupą uczniów zainteresowanych naukami ścisłymi założył klub techniki raketowej. Dostrzegął w tym pewne możliwości...

Później. Spojrzał na Williego Raya.

- Willie, chcę, żebyś zgromadził wszystkich rolników i ustalił plan produkcji żywności. Przeprowadź inwentaryzację naszych zapasów, zorientuj się, czego będziemy potrzebowali...

- Urwał. Hudson zaczął kiwać głową, zanim jeszcze skończył pierwsze zdanie. Staruszek był urodzonym organizatorem, dlatego Mikę mógł spokojnie już nic więcej nie mówić.

Zwrócił się więc do Quentina.

- Frank porozmawia z Kenem Hobbsem i kilkoma starszymi górnikiemami. Może uda się też ściągnąć kilku emerytów. Włamcie się do tej opuszczonej kopalni i zobaczcie, na czym stoimy. Będzie też problem z transportem węgla. Co prawda tory prowadzą z kopalni prawie pod samą elektrownię, ale z tego, co wiem, nie ma w pobliżu żadnej lokomotywy. Być może trzeba będzie użyć ciężarówki.

-I tu dochodzimy do problemu z zapasami benzyny - rzekł do Dreesona. -Musimy sprawdzić, ile mamy rezerw w podziemnych zbiornikach stacji benzynowych, a także oleju napędowego i ropy. I oczywiście we wszystkich innych źródłach, czyli głównie w bakach naszych samochodów.

Zawiesił głos i zacisnął usta.

- Nie widzę innego wyjścia. Poczynając od dzisiaj, musimy kategorycznie zabronić ludziom wykorzystywania pojazdów do transportu osobistego. Obecnie całe paliwo należy do podstawowych zasobów wojskowych.

Erie Flint

- Jasne! - skinął głową Quentin i spojrzał na Williego Raya. - Czy ciężko byłoby się przetrząść na gaz ziemny?

- No pewnie! - wtrącił Ed, nie dając mu szansy na odpowiedź. - Moglibyśmy przerobić kilka szkolnych autokarów. Zapewnilibyśmy miastu komunikację autobusową. Od niektórych starszych osób trudno byłoby wymagać, żeby całą drogę do spożywczego pokonywały pieszo.

- Jego lotny umysł zdawał się żyć własnym życiem i skakał z tematu na temat. -I tak oto dochodzimy do problemu sklepów spożywczych. Nie możemy już dłużej zamrażać sprzedaży. Tylko w jaki sposób uporamy się z kwestią racji żywnościowych? I co będzie z

naszym pieniądzem? Nie sędzę, żeby waluta amerykańska była w tym momencie cokolwiek warta.

Dreeson momentalnie włączył się do rozmowy z propozycją wykorzystania miejskiego banku („to w 85 procentach własność społeczna, zgadza się?”) jako nowej izby rozrachunkowej. Quentin wyraził zgodę. Melissa powiedziała coś o ochronie biedniejszych mieszkańców, a Nat Davis przyłączył się z troską o miejscowych biznesmenów. „Nie chodzi mi, rzecz jasna, o nieobecnych. Do diabła z nimi. Aleja pracowałem całe życie...”. Ed i Dreeson natychmiast zapewnili go, że prawo własności będzie respektowane, ale wymogi wspólnego dobra... Mikę odchylił się w krześle, niemal wzdychając z ulgą. Wybrał ten zespół pod wpływem impulsu, wiedziony raczej instynktem niż świadomym rozumowaniem. Cieszył się, widząc, że jego zmysł walki sprawdza się na tej arenie równie dobrze, jak w znacznie mniej skomplikowanym świecie boksu.

Trzy godziny później spotkanie dobiegło końca. Wciąż jeszcze zostało wiele do zrobienia - cała faktyczna praca i planowanie - ale przynajmniej ustalili już wstępny podział zadań.

Generalne dowództwo polityczne i wojskowe: Mikę Stearns.

Szef sztabu: Frank Jackson.

Koordynator wszystkich planów i człowiek do wszystkiego: Ed Piazza. W tym czasie dotychczasowe obowiązki Eda przejąłby wicedyrektor liceum, Len Trout.

Kierowanie pracami nad projektem konstytucji nowego... narodu? Melissa Mailey.

Zarządzanie miastem, racjami żywnościowymi, finansami itd.: burmistrz -a ktośby inny? - Henry Dreeson.

Opieka medyczna i system sanitarny: James Nichols z pomocą Grega Ferrary w chwilach, kiedy Greg nie będzie pochłonięty obowiązkami nieoficjalnego „ministra do spraw kompleksu zbrojeniowego” (który w tym momencie wcale nie był taki kompleksowy).

Prąd i energia: Bill Porter oraz Quentin Underwood.

Rolnictwo: Willie Ray Hudson.

A na koniec...

* * *

Rebeka siedziała cicho przez całe zebranie i bardzo uważnie słuchała. Naturalnie sporej części rozmów nie rozumiała, ale kiedy Mikę chciał jej wyjaśnić jakiś nieznany termin, potrząsnęła głową i zdecydowanym ruchem dłoni kazała mu kontynuować zebranie. Bez wątpienia Rebeka świetnie rozumiała priorytety. „Wyjaśnienia będą później. Teraz najważniejsze jest prze-

Na widok tego gestu Mikę poczuł satysfakcję, i to olbrzymią. Urok i egzotyczne piękno kobiety są oczywiście mile widziane, tak samo jak inteligencja, lecz Mikę - podobnie jak wielu mężczyzn, którzy urodzili się i wychowali w ubogiej górzystej krainie - najbardziej cenił sobie trzeźwe spojrzenie na życie. Czuł, że z każdą chwilą coraz bardziej go ciągnie do Rebeki. Nie miał pojęcia, czy uczucie to jest odwzajemnione, jednak właśnie wtedy i właśnie tam zdecydował, że się tego dowie.

Rebeka Abrabanel nie odzywała się aż do samego końca, po czym odchrząknęła i cicho zapytała:

- Nie jestem pewna, czego właściwie oczekujecie ode mnie? - W jej angielskim pobrzmiwała dziwna mieszanka niemieckiej chropowatości i czegoś hiszpańskiego, ale mówiła płynnie i bezbłędnie gramatycznie.

Mikę zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu rzucił pierwszą myśl, która przyszła mu do głowy:

- Właściwie, panno Abrabanel, chciałbym, żeby pani była moim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Rebeka zmarszczyła czoło.

- Rozumiem twoje słowa, to znaczy każde z osobna, ale nie jestem pewna... - Przekrzywiła lekko głowę. - Czy możesz mi wytłumaczyć, co właściwie mam robić?

Melissa Mailey parsknęła śmiechem.

- To bardzo proste, panno Abrabanel. Rób dokładnie to samo, co robi każdy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, odkąd tylko pamiętam. - Wskazała palcem na Mike'a. - Kiedy tylko zapyta cię, co zrobić z danym problemem, powiedz mu: „Zrzuć bombę”.

Jej odpowiedź nieco zdezorientowała Rebeke, ale nawet w połowie nie tak bardzo, jak ryk śmiechu, który wypełnił pomieszczenie. Kiedy śmiech przycichł, Mike podniósł się i wyciągnął ramię.

- Czy pozwoli pani odprowadzić się do domu, panno Abrabanel? Mógłbym to wyjaśnić po drodze.

Rebeka z uśmiechem skinęła głową i wstała. Ledwie wyszli z sali i przeszli trzy kroki szkolnym korytarzem, a już szła z Mike'em pod rękę.

94

Erie Flint

Frank przemknął chyłkiem do drzwi i wyjrzał za nimi. Następnie odwrócił się i chichocząc, rzekł do Melissy:

- Proponuję, żebyś w tej swojej nowej konstytucji dosyć łagodnie potraktowała kwestię podziału władzy. Niepotrzebny nam tak zaraz na wejściu kolejny skandal na wysokich stanowiskach.

Melissa uniosła ze zdumieniem brwi.

- Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi, Frank? Ja z całą pewnością nie widzę nic złego w tym, że głowa państwa odprowadza do domu doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Na jej twarzy pojawił się grymas. - Ale właściwie to niezły pomysł, żeby napisać to czarno na białym. Doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego musi być kobieta.

Greg Ferrara skrzywił się.

- Jasne, słaba płęć. Jak Katarzyna Wielka albo kobiety z rodu Medyce-uszów. Albo... Jak ona miała na imię? No wiecie, ta królowa angielska, która kazała wszystkich spalić na...

Melissa nonszalancko machnęła ręką.

- To wyjątki, młody człowieku. Wyjątki! Nie wszystko może być idealne. Ale my przynajmniej mamy szczyptę zdrowego rozsądku. - Zmarszczyła czoło. - Nie żebym przypuszczała, że panna Abrabanel nie będzie zwolennikiem lekkiego bombardowania. Zmarszczki na jej czole pogłębiły się.

- Ja chyba też, gdyby przyszło co do czego. Możemy zacząć od połowy zamków w Europie. - Zamyśliła się. - Odwołuję to. Zaczniemy od dziewięćdziesięciu procent, a potem się pomyśli. Jtefrzrał 9

Kiedy Rebeka i jej towarzysz dotarli do egzotycznego pojazdu ustawionego na płaskim obszarze przed szkołą („nazywają to parkingiem”), Mike sięgnął do kieszeni po klucze. Nagle zeszywniał, jakby o czymś sobie przypomniał.

Rebeka usłyszała, jak mruczy coś pod nosem, być może stłumione przekleństwo. Zauważyła, że Amerykanie starają się unikać obelżywych słów w towarzystwie kobiet. Są w tym względzie dość powściągliwi w porównaniu z Londyńczykami, których pamiętała z czasów dzieciństwa, lub z ludźmi, którzy zalewali ulice Amsterdamu. Lecz zauważyła też, że często pozwalają sobie na bluźnierstwa. Takie połączenie wydało jej się nieco dziwne.

Dziwne i... „I jakie?” - zapytała samą siebie. Nieco przerażające, z całą pewnością, ale Rebeka jednak odnajdywała otuchę w takim swobodnym bluźnieniu. Ludzie, którzy wydawali się nie lękać ani gniewu Boga, ani - co bardziej istotne - gniewu ich lękających się Boga sąsiadów, raczej nie będą prześladowali innych za odmienne wierzenia. Taką przynajmniej miała nadzieję. Wręcz zaczynała w to wierzyć.

- Przykro mi, ale musimy się przejść - powiedział przeprasząco Michael. - Dopiero co uchwaliliśmy, że benzyna może być używana tylko w celach wojskowych, jak zapewne sobie przypominasz.

- Owszem, pamiętam. I co w tym złego? To przecież niedaleko. Spacer będzie przyjemny. Niemal się roześmiała na widok jego zaskoczonej miny. Jacy ci Amerykanie są dziwni. Wydaje się, że zwykle spacerowanie postrzegają jak jedną z prac Heraklesa, a mimo to są dosyć zdrowi - znacznie bardziej niż którykolwiek

96

Erie Flint

z jej znajomych. Wyglądają też na sprawnych fizycznie, pomimo że sąjszcze bardziej korpulentni niż holenderscy mieszczanie.

Ogólnie rzecz biorąc, oczywiście, bo Michael...

Mężczyzna stojący obok niej wcale nie był otyły. Nie bardziej niż hidalgo-wie z legend. Po licznych rozmowach z państwem Roth do Rebeki dotarło wreszcie, że Michael nie jest hidalgiem. Z tego, co widziała, nawet w najmniejszym stopniu. Jedną z licznych osobliwych cech Amerykanów było ich bezgraniczne oddanie czemuś, co nazywali „demokracją”.

Przypominali jej anabaptystów z Munster²³, pominałszy ich cudaczne ekscesy.

A więc nie jest hidalgiem, ale Rebeka wiedziała, że zawsze tak będzie o nim myślała. Ta świadomość wprowadziła zamęt w jej sercu. W sercu i w głowie. Zamęt, który po części był spowodowany strachem, co oczywiste, a po części niepewnością.

Zauważyła, że Michael po raz kolejny podaje jej ramię, tak jak to uczynił wcześniej - ku jej zdumieniu - w korytarzu szkolnym. Wtedy poczuła nieśmiałość, teraz...

Chwilę później trzymała go pod rękę i razem oddalali się od szkoły.

„Przed uczuciami nie dasz rady uciec. Przecież jest powód, dla którego odczuwasz to wszystko w sercu, a nie w głowie”.

Zdając sobie sprawę z grożących jej niebezpieczeństw („on jest gojem²⁴, ty głupia dziewucho!”), lecz nie chcąc zbyt długo nad nimi rozmyślać, Rebeka szybko poruszyła nowy temat.

- Ta „benzyna”, o którą tak się martwicie... Rozmawiałam o tym z panem Ferrarą podczas przerwy w zebraniu. Jeśli go dobrze zrozumiałam, to jest po prostu oczyszczona ropa naftowa, być może predestylowana. Czy mam rację?

Spodziewała się zdumienia - tak zazwyczaj reagowali wszyscy mężczyźni, gdy Rebeka zadawała jedno z rozlicznych pytań dotyczących świata natury - a tymczasem na jego twarzy, co było dla niej niespodzianką, pojawiło się coś zupełnie innego.

„Duma?”.

- Masz niemal absolutną rację - odrzekł Michael. - Bo widzisz, proces destylacji jest dosyć skomplikowany. - Zmarszczył brwi. - Obawiam się, że zbyt skomplikowany jak na nasze obecne warunki. Na pewno, jeśli mówimy o dużych ilościach. Ale, owszem, dokładnie tym właśnie jest benzyna. Całkiem proste.

- A następnie spalacie ją w środku tych „silników”? Czy to jest właściwe słowo? - Gdy skinął głową, dodała: -1 to jest źródło mocy, która napędza te powozy bez koni?

Ponownie skinął głową. I ponownie na jego twarzy pojawił się ten dziwny wyraz i szeroki uśmiech.

„Tak, to jest duma. Tylko dlaczego?”.

Odległość między szkołą a domem państwa Roth, w którym teraz mieszkała Rebeka, wynosiła blisko pięć kilometrów. Szli tak wolno, że cała podróż zajęła im dobrze ponad godzinę. Praktycznie przez cały czas Rebeka zadawała pytania, a Michael na nie, rzecz jasna, odpowiadał. Jego odpowiedzi zazwyczaj były lakoniczne, ale dziewczyna była w stanie sama udzielać sobie odpowiedzi na własne pytania poprzez zadawanie nowych.

Ów przedziwny wyraz dumy, który zauważyła u Michaela, wydawał się na stałe przylepiony do jego twarzy. Podobnie jak uśmiech.

Jednak Rebeka nie zastanawiała się już dłużej nad powodami. Znała je, i przepełniało ją to zarówno euforia, jak i niepokojem.

Stała na ganku i zaczęła pukać do drzwi. Potem odwróciła się do Michaela. Stał tuż przy niej.

„To szaleństwo! Szaleństwo, Rebeko, słyszysz?”.

Spuściła wzrok, spoglądając na jego klatkę piersiową. Miał na sobie lnianą koszulę - dobrze skrojoną, ufarbowaną na szaro-niebiesko - lecz dla niej ta pierś zawsze będzie okryta zalany słońcem białym jedwabiem. Nadeszła jedna z tych nielicznych chwil w życiu Rebeki, kiedy zabrakło jej słów.

- Rebeko - odezwał się łagodnie Michael.

Uniosła oczy i ich spojrzenia spotkały się. Wciąż się uśmiechał, jednak nie szeroko.

Uśmiechał się jakby... „ze zrozumieniem” - pomyślała.

- To jest trudne - powiedział - chyba dla nas obojga. Dla mnie bez dwóch zdań! - Zaśmiał się cicho. - Kolacja i kino jakoś nie wydają się zbyt odpowiednie.

Nie pojęła znaczenia tych słów, ale rozumiała ich wymowę, i to całkiem dobrze. Poczwała, że oblewa się rumieńcem, ale zwalczyła przemożną chęć spuszczenia wzroku. Nawet sama się uśmiechnęła.

Michael rozłożył ręce w geście, który łączył w sobie rozbawienie, frustrację i - przede wszystkim - cierpliwość. Rebeka była olśniona urokiem tego gestu. Spokojnego, zabawnego i... pewnego.

- Czas - powiedział. - Myślę, że potrzebujemy trochę czasu.

Rebeka zaczęła kiwać głową, starając się desperacko powstrzymać ten odruch, ale na próżno. „Ty idiotko!”. W jej umyśle pojawił się obraz królika obwąchującego najbardziej soczystą kapustę świata. Ów obraz w połączeniu z jej napiętymi nerwami sprawił, że nagle wybuchła śmiechem.

Widząc zdumienie na twarzy Michaela, położyła dłoń na jego piersi.

- Błagam - szepnęła. - Ja... śmieję się z siebie, nie z ciebie.

Wesołość znikła. Patrząc wprost w jego oczy, Rebeka próbowała wydusić z siebie te słowa.

Tak ciężko je powiedzieć, zbyt ciężko. „Tak, czas. Nie jestem na to gotowa”.

- Nie złość się na mnie - powiedziała i dodała niemal błagalnie: - Proszę.

8 Erie Flint

Michael uśmiechnął się i położył dłoń na jej policzku. Zareagowała niczym automat, przyciskając twarz do jego dłoni.

- O co miałbym się złościć? - zapytał. I to również, to proste pytanie, olśniło ją niczym słońce. Miał bardzo ciepłą dłoń.

- Czas - powiedział z uśmiechem i odwrócił się. Tym razem uśmiech był bardzo szeroki, wręcz promienny. - Tak, czas.

Rebeka patrzyła na odchodzącego mężczyznę. Gdy Michael dotarł już na dół schodów, wykrztusiła jego imię. Odwrócił się i spojrzał na nią. Słowa wreszcie przysły, przynajmniej część z nich.

- Uważam, że jesteś najcudowniejszym mężczyzną na świecie, Michaelu. Naprawdę tak uważam.

Po chwili jak oszalała pukała do drzwi. Nie oglądała się za siebie, bojąc się swojej reakcji na to, co na pewno by ujrzała. Uśmiechnięta twarz może być najstraszniejszą rzeczą na świecie. Drzwi otworzyły się i znikła w bezpiecznej czeluści. Z dała od blasku słońca.

Na jakiś czas.

„Tak, czas”.

„Tak, czas!”.

^jazbzml 10

Alexander Mackay był Szkotem i od dziecka stykał się z kalwinizmem. Nawet jeśli nieco odstąpił (tak naprawdę to bardziej niż nieco) od wiary swych przodków, nie zatracił jednak wpojonych mu w dzieciństwie obyczajów. Tak więc wpatrzony w świeże stosy trupów nie bluźnił. Nie miał żadnych oporów przed używaniem innego słownictwa, dopóki tylko nie wzywał imienia Pana nadaremno. Siedząc w siodle na swym wspaniałym rumaku, młody arystokrata ciskał wiązanekami potwornie ordynarnych słów pod adresem turyńskiego krajobrazu w ogóle, a pewnego oddziału protestanckich najemników w szczególności. „Tchórzliwe kurwie syny” było prawdopodobnie najmniej obelżywym ze wszystkich określeń.

Jego zastępca - wąsaty, łysiejący żołnierz po czterdziestce - czekał cierpliwie, aż dowódca kawalerii skończy. Następnie splunął od niechcenia i powiedział:

- A czego się spodziewałeś, chłopcze? Większość obrońców Badenbur-ga... - słowu „obrońców” towarzyszył pogardliwy uśmiech - to dezercerzy ze starej armii Mansfelda. Najgorsze żołdaki pod słońcem, nawet za jego życia.

- Czemu więc ojcowie miasta najęli tych łotrów?! - wybuchł Mackay. Jego wzrok padł na zwłoki małego, może sześciolatniego chłopca. Ciało dziecka zwęgliło się pod zawalonym dachem płonącej chaty, w której spędził całe swoje krótkie życie, jednak nie na tyle, żeby Mackay nie dostrzegł walających się po podwórzu wnętrzności. Przybite nożem kuchennym do ziemi jelita leżały zaledwie kilka kroków od samego ciała. Tego rodzaju tortury były ulubioną formą rozrywki najemników Tilly'ego.

100

Erie Flint

Mimo że Mackay zdążył przywyknąć do takich widoków w trakcie rocznego pobytu w Niemczech, jednak cieszył się, że trupy kobiet leżały wewnątrz domu. W szalejącym pożarze wszystkie ciała spłonęły, więc nie można było ustalić, w jaki sposób ci ludzie zginęli. Ale Mackay nie chciał tego wiedzieć. W wieku dwudziestu dwóch lat tyle już wiedział o okrucieństwie i bestialstwie, że wystarczyłoby mu to już do końca życia, mimo że był przedstawicielem narodu, którego nie cechowała nadmierna wrażliwość.

Lennox nawet nie trudził się, by udzielić Mackayowi odpowiedzi. Pytanie było czysto retoryczne. Może i Mackay był młody, lecz z całą pewnością nie był głupi. Dowódca kawalerii wiedział równie dobrze jak wszyscy inni, dlaczego notable Badenbura „zgodzili się” nająć oddział zaciężny Ernsta Hoffmana. Dano im dość ograniczony wybór. „Albo niech spłądrują miasto za jednym zamachem, albo niech je plądrują po kawałku”. Jak wiele innych miast w spustoszonej wojną Niemczech, tak i Badenburg wybrał drugą możliwość. Po upływie kilku lat spora część mieszkańców zaczęła żałować podjętej decyzji. Ludzie Hoffmana nazywali siebie „protestantami”, lecz to wcale nie było dobrodziejstwem dla protestanckiego Badenbura. Poza nielicznymi wyjątkami, Hoffman i jego banda nie zasługiwali nawet na określenie „żołnierze”, cokolwiek rozumiałoby się pod tym pojęciem. Byli po prostu zgrają łajdaków; tylko z nazwy nie byli bandytami.

Gniew Mackaya przygasł i na jego miejsce pojawiło się znużenie duszy, która na dobrą sprawę mogłaby należeć do znacznie starszego mężczyzny. Kiedy stało się jasne, że Hoffman nie zamierza robić wypadów zza bezpiecznych murów Badenbura w celu powstrzymania najemników Tilly'ego przed grabieżą, Mackay poprowadził własnych ludzi, żeby chociaż spróbowali ocalić tamtejszych chłopów.

Tak naprawdę ów gest nie miał najmniejszego znaczenia. Mackay, który wraz ze swoją szkocką konnicą był na usługach króla Szwecji, przybył do Badenbura niespełna trzy miesiące wcześniej. Gustaw Adolf umieścił ich tam w ramach dalekosiężnego planu ustanowienia kontroli nad nadbałtyckimi terenami Niemiec. Król odczuwał jednak brak żołnierzy, i to bardzo dotkliwie. Książęta protestanccy, którzy obiecali mu olbrzymią pomoc w momencie przybycia do Niemiec, okazali się niemal co do jednego skąpcami - zarówno jeśli chodzi o żołnierzy, jak i o złoto. Tak więc Mackay otrzymał raptem kilkuset ludzi do

wykonania bardzo ważnego zadania: absurdalnej próby obrony całego księstwa przy pomocy małego oddziału konnicy.

Myśl o tym zadaniu wyrwała go z ponurego nastroju. Obrócił się do Len-

- Wciąż ani śladu posłańca? Lennox potrząsnął głową.

- Najmniejszego. Może to i dobra wieść. - Stary wiarus podkreślił wąsiska, jak gdyby używał ich nawoskowanych koniuszków jako wskaźników. - Sam widzisz, jak te wieprze Tilly'ego dbają o zacieranie śladów swoich zbrodni. Nigdy nie zakopaliby splądrowanego powozu. Być może posłaniec gdzieś tam się ukrywa. - Lennox wskazał na gęsto zalesione wzgórze, oddalone o kilka kilometrów na południe. - Teraz pośród tych wzgórz pewnie kryją się tysiące ludzi.

Mackay przyjrzał się badawczo Lasowi Turyńskiemu, albowiem tak właśnie się nazywał, i nagle zmarszczył czoło.

- To dziwne - powiedział w zadumie i wskazał palcem na pewien fragment wzgórz. - Nie przypominam sobie, żebym już to widział. Tamten rejon zupełnie inaczej wygląda.

Lennox zmrużył oczy, po czym wzruszył ramionami.

- Przykro mi, chłopcze, ale moje oczy nie są już takie jak dawniej i nie widzę, co mi pokazujesz.

Mackay zacisnął usta, zastanawiając się, jak opisać ten przedziwny wycinek krajobrazu, gdy nagle dostrzegł zbliżającego się galopem żołnierza.

- Coś się stało! - wykrzyknął. Alexander Mackay, nieślubny syn pomniejszego szkockiego arystokraty, przeznaczony był (bądź, w opinii niektórych, skazany) do życia pełnego niebezpieczeństw, lecz nawet gdyby był rozpieszczonym członkiem rodziny królewskiej, wciąż pozostałby żywiołowym poszukiwaczem przygód.

- Jazda! - wydał rozkaz i spiął konia ostrogami, aby wyjechać naprzeciw zbliżającemu się żołnierzowi. Po chwili Lennox ruszył w ślad za nim. Wąsiska starego żołnierza podrygiwały, przysłaniając uśmiech na jego ustach. Lennox wysoko cenił Mackaya, co już samo w sobie było niezwykle. Z zasady ów był chłop patrzył na arystokratów równie entuzjastycznie, jak na nawóz. A nawet mniej; łajno przynajmniej nie wydawało rozkazów. Lecz Mackay miał w sobie bardzo niewiele z typowej dla arystokracji wyniosłości i niemal nic z jej głupoty. Pozostała jedynie hałaśliwa zapalczywość, która była względnie nieszkodliwa... i na swój sposób uroczą, nawet dla takiego sceptyka jak Andrew Lennox.

Zanim Lennox zrównał się z Mackayem, dowódca już zaczął rozmawiać ze zwiadowcą.

Mężczyzna obrócił się w siodle i wskazywał w kierunku, z którego przyjechał.

- Lepiej sami zobaczcie, panie. Wszystko w tamtym miejscu jest bardzo dziwne.

Mackay ściągnął brwi. Spoglądał na odległą chatę, którą wskazywał zwiadowca. Sam fakt, że budynek jeszcze nie spłonął, był niezwykle. Ludzie Tilly'ego palili wszystko nawet wtedy, gdy nie było im to do niczego potrzebne.

102

Erie Flint

- Mówisz, że nie ma żadnych ciał?

Zwiadowca pokiwał głową z niepewnym wyrazem twarzy.

- Nie ma żadnych ciał na widoku, panie, ale jest świeżo usypany kopiec. Duży, wygląda jak grób.

Mackay zmarszczył brwi.

- Grób?

- Od kiedy to ludzie Tilly'ego grzebią swoje ofiary? - zapytał Lennox. Zwiadowca wzruszył ramionami.

- Nie mówię, że to ma sens, ale jak amen w pacierzu, to mi wygląda na grób z więcej niż jednym ciałem w środku. Ktoś nawet postawił nagrobek. - Zwiadowca zadumał się. - Tak mi się wydaje, że to nagrobek. Ale nie ma krzyża. I ktoś na nim coś napisał.

Mackay nie zapytał nawet o treść owego napisu. Wielu żołnierzy z kawalerii Mackaya potrafiło czytać - i to dobrze - dzięki nawykowi studiowania Pisma Świętego, ale twardy gaelicki akcent zwiadowcy wskazywał, że to niepiśmienny góral, a już z całą pewnością, jeśli chodzi o język niemiecki. Z tego, co się zorientował, on sam jako jedyny ze Szkotów potrafił czytać i mówić po niemiecku.

- Chodźmy więc zobaczyć. - Mackay ponownie spiął konia ostrogami i ruszył za zwiadowcą. Lennox pojechał za nimi, upewniwszy się najpierw, że harcownicy na skrzydłach są gotowi, chociaż nie spodziewał się natknąć na ludzi Tilly'ego. Rzeź, którą ujrzeli po opuszczeniu rankiem Badenburga, miała miejsce przed kilkoma dniami i nosiła wszelkie znamiona działania niezdyscyplinowanych maruderów -jednak podczas wojny nie wszystko jest takie, jakie się wydaje, zwłaszcza gdy stawka jest wysoka.

Wjechali na podwórze. Dom wciąż stał, lecz Lennoxowi wystarczyło jedno spojrzenie na drzwi i ściany zewnętrzne, żeby rozpoznać miejsce, w którym zabito ludzi. Zabito ich fachowo, wnosząc po śladach krwi. Wielkie plamy, teraz już w kolorze brązu i czerni. Nawet muchy były nieliczne. Dostrzegł też stare ślady krwi na drodze obok domu.

- Cztery dni temu - oznajmił Mackay. Wpatrywał się w świeży kopiec ziemi usypany na środku podwórza i umieszczony na szczycie wielki „nagrobek”.

Był to bez wątpienia zbiorowy grób. Ale „nagrobek” wcale nie był nagrobkiem, to była tabliczka.

Oczy Mackaya wyszły niemal na wierzch. Wskazał tabliczkę palcem i obrócił się do Lennox.

-Co, u licha...

Żołnierz wzruszył ramionami. Następnie powoli i ostrożnie zlustrował otaczający ich las. Ktokolwiek napisał ostrzeżenie na tej tabliczce, nie byli to ludzie, których pragnąłby spotkać, tym bardziej że nie miał najmniejszych wątpliwości, co zostało zakopane pod ziemią. Wiedziałby to nawet wtedy, gdyby nie było tabliczki.

Nie widząc żadnych oznak życia, ponownie skierował wzrok na tabliczkę i jeszcze raz przeczytał napisane na niej słowa.

Proste słowa. Zagadkowe słowa. Śmiertelnie niebezpieczne słowa.

Nie wiemy, kim jest ta banda morderców i gwałcicieli, których tu zakopaliśmy. I nie bardzo nas to obchodzi. Jeżeli jest was tam więcej, miejcie się na baczności.

Ten obszar jest teraz pod ochroną ASG. Jeżeli spróbujecie kogoś skrzywdzić albo obrabować, zabijemy was. Nie będzie żadnych ostrzeżeń. Nie będzie negocjacji. Nie będzie aresztu. Po prostu zginiecie. Gwarantujemy. Śmiało. Spróbujcie.

Mackay zmierzwił palcami krótką brodę.

- A kim właściwie jest ten... Azga? - spytał skonsternowany. - Brzmi jakby po polsku. Czy tu gdzieś w okolicy jest jakiś polski magnat?

- Nic o żadnym nie wiem - odparł Lennox. -I nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek wcześniej słyszał ten tytuł. - Wymówił bezgłośnie: - Azga

- i burknął: - Kimkolwiek jest, na pewno nie należy do nieśmiałych.

Tymczasem cała reszta kawalerii zgromadziła się wokół nich. Mackay wskazał na kopiec.

- Poszukajcie jakichś łopat. Chcę, żeby to rozkopać, cokolwiek to jest.

- Niektórzy żołnierze skrzywili się, ale żaden z nich nie zaprotestował. Mackay był wyrozumiałym dowódcą, ale gdy wydawał rozkaz, należało go wykonać.

Żołnierze wnet znaleźli narzędzia do kopania. Samo rozgrzebanie kopca również nie zajęło im wiele czasu. Kimkolwiek był ów Azga, nie czuł potrzeby zakopania ciała głęboko pod ziemią.

Zdążyli odkopać ponad tuzin zwłok, gdy wreszcie Mackay kazał im przestać. Ciała, rzecz jasna, były w stanie rozkładu, lecz przyczyny śmierci były nader oczywiste.

Lennox wyprostował się, głównie po to, żeby uciec od smrodu.

- Jak widać, ten Azga nie rzuca słów na wiatr. Mackay ciągle wpatrywał się w trupy.

- W życiu nie widziałem dziwniejszych ran od kuli - powiedział zadumany i wymierzył oskarżycielsko palec w ranę na piersi jednego z zabitych. - Ta

104

Erie Flint

dziura nie jest większa niż mój palec! - Następnie tonem, który nie znosi sprzeciwu, rozkazał:

- Przewróćcie go na drugą stronę!

Żołnierz stojący obok trupa skrzywił się, ale wykonał polecenie. Kiedy ciało przetoczyło się odstawiając plecy, z gardeł mężczyzn stojących nad płytkim grobem wydobył się stłumiony okrzyk.

Jeden z nich posunął się nawet do bluźnierstwa.

- Boże w niebiesiech - wyszeptał. - Z tej strony wygląda tak, jakby rozsadziła go trzyfuntówka.

Mackay pokręcił głową.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A ty, Andrew?

Ale Lennox nie odpowiedział, zbyt zajęty przeklinaniem pod nosem. Tak bardzo pochłonęło go odkrycie, że zapomniał o potrzebie obserwowania lasu.

Kiedy wreszcie się odezwał, głos miał cichy, ale sposób, w jaki go z siebie wydobywał, wynikający z wieloletniego doświadczenia zdobytego na polach bitewnych, sprawiał, że każdy w oddziale wyraźnie go słyszał.

- Nie ruszajcie się. Nie dotykajcie broni. W tym lesie są ludzie. Mackay powoli odwrócił głowę. Niczego nie widział..

A potem jakiś mężczyzna... nie, dwóch, trzech mężczyzn wyszło zza drzew. Mieli na sobie jakieś cudaczne stroje. Mimo zaskoczenia Mackay zauważył, że ubrania są doskonale ufarbowane; wzory w kolorach zieleni, brązu i szarości zlewały się z listowiem i czyniły mężczyzn niewidzialnymi pośród drzew.

Wszyscy trzej nieśli dziwnie wyglądającą broń, jakby arkebuzy, ale nie przypominające tych, jakie Mackay do tej pory widział.

- Nigdy nie widziałem takiej broni, chłopcze - rzekł Lennox. - Ani takich strojów. - I dodał niemal z podziwem: - Przebiegłe diabły.

Zdobył się nawet na odrobinę humoru.

- A jak tam twój polski, Alexandrze Mackay? Zaraz niechybnie poznamy Azgę i mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnych nieporozumień. - Ujrzał, że mężczyźni prawie jednocześnie zrobili coś dziwnego z tylną częścią broni. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że ta cudaczna broń - arkebuzy, które robiły otwór na palec przy wejściu, a zostawiały otwór na kulę armatnią przy wyjściu - jest teraz nabita i gotowa do strzału. - Naprawdę mam nadzieję, że się porozumiemy.

Ale Mackay miał kwaśną minę.

- Nie znam ani słowa po polsku, Lennoxie.

- Tego się właśnie obawiałem - westchnął wiarus.

Jak się okazało, polski był zbędny. Dziwni mężczyźni w dziwnych strojach, noszący dziwną broń, posługiwali się najbardziej znajomym ze wszystkich językiem - angielskim!

Cóż, w pewnym sensie.

- W życiu nie słyszałem gorszego akcentu - marudził Lennox, ale bez przekonania, zwłaszcza że blisko tuzin kolejnych obcych wyłonił się z lasu i przyłączył do rozmowy. Wszyscy byli uzbrojeni i wszyscy byli gotowi zabijać. A większość z nich („Panie, pobłogosław duszę moją”) twierdziła, że ma szkockie korzenie. Po kilku chwilach Andrew Lennox wiedział już, że dożyje następnego dnia. Spotkanie między szkocką kawalerią a... Amerykanami - tak o sobie mówili - przemieniło się w coś na kształt zjazdu rodzinnego.

Gdy upłynęło kilka godzin, zaczął się zastanawiać nie nad tym, czy przeżyje, ale nad tym, co może przynieść ów dzień.

Młoda kobieta z Sefaradu odnalazła tutaj swoje legendy. A teraz również mężczyzna ze Szkocji. Nawet jeśli jego góralskie legendy nie były tak poetyckie, jak te sefardyjskie, miały jednak swój urok. Wróżki zaiste przybyły do świata ludzi. Jakaś mroczna, pogańska część kalwińskiej duszy Andrew Lennox'a czerpała z tego faktu przyjemność. I nie dlatego, że wróżki rzeczywiście istniały, lecz dlatego, że były tak niebezpieczne, jak głośiły pradawne opowieści.

3Rrxzfr2tał XI

- Silniki są sporym problemem - mówił Piazza. - Nie możemy przerobić oleju napędowego na gaz ziemny, a samego oleju też mamy cholernie mało. Oczywiście można wlać do diesla olej roślinny - zaśmiał się smutno - ale w supermarketach jest go niewiele, a wytworzenie jakiejś sensownej ilości zajmie nam pewnie z rok. Tak więc w tym czasie...

W tym momencie Mikę się wyłączył. Zdążył już odbyć wstępną rozmowę z Edem, więc wiedział, do czego sprowadza się jego koncepcja odpowiedniego korzystania z miejskiego sprzętu dieslowskiego.

„To samo co zawsze. Zredukować, zredukować. Wykorzystać naszą nowoczesną technologię, żeby zbudować dziewiętnastowieczną bazę przemysłową. To wciąż da nam fory tutaj, w siedemnastym wieku. Silniki parowe, silniki parowe. Nastąpi wielki światowy powrót torów kolejowych”.

Mikę nieznacznie się uśmiechnął. „A może powrót nie jest właściwym słowem? Może powinienem raczej powiedzieć przewrót?”.

Uśmiechnął się szerzej, gdy dostrzegł, że Rebeka patrzy na niego. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i błyskawicznie spojrzała w inną stronę. Wszystko wskazywało na to, że jest pochłonięta słuchaniem Piazza. Jej splecione dłonie spoczywały na blacie wielkiego „stołu konferencyjnego” i jak zwykle siedziała na samym brzegu krzesła.

Mikę uznał jednak jej uśmiech za postęp. Po raz pierwszy od zeszłej nocy - od czasu ich rozmowy na ganku - Rebeka obdarzyła go chociażby spojrzeniem. Było jasne jak słońce, że brnęła przez nieznanne morze nowych emocji i zwyczajów, wciąż obciążona swoją własną tradycją, której Mikę

mógł jedynie się domyślać. W świecie, z którego pochodził, związki miłosne między Żydami i gojami były tak powszechne, że wręcz nie zwracały niczyjej uwagi, ale siedemnasty wiek pod wieloma względami przypominał zupełnie inną planetę.

Przypomniał sobie rozmowę, którą dwa dni temu odbył z Morrisem Ro-them, i zacisnął szczęki. Morrisowi i Judith wiele godzin upłynęło na rozmowach z Rebeką, odkąd ona i jej ojciec wprowadzili się do ich domu. Spędzili je w pokoju Baltazara, zgromadzeni wokół jego łóżka. Sam Baltazar był tak słaby, że mógł jedynie słuchać, ale mimo to można było się zorientować, że światopogląd Rebeki był dokładnym odzwierciedleniem światopoglądu jej bywałego w świecie ojca. Nie była ona - i to z całą pewnością-jakąś ciemną dziewczuchą ze wsi, z głową wypchaną przesądami i zabobonnymi lękami.

- Boją się inkwizycji, Mikę, i to bardziej niż czeokolwiek innego - powiedział mu Morris. - Inkwizycja ma swoich szpiegów, głównie jezuitów i dominikanów. Chyba jakieś dwa lata temu cesarz Ferdynand ogłosił coś, co się nazywa edyktem restytucyjnym. Zgodnie z nim wszelkie dobra zabrane Kościołowi katolickiemu przez protestantów od czasu reformacji mają zostać zwrócone. A sam cesarz nalega, by przymusowo nawracać protestantów na katolicyzm. Inkwizycja ma za zadanie tego dopilnować.

Mikę był nieco zagubiony.

- W porządku, ale wciąż nie bardzo rozumiem, czego oni się boją. Zawsze myślałem, że inkwizycja była wymierzona w herezję. Rebeka i Baltazar nie są heretykami, Morris. Oni przecież nawet nie są chrześcijanami.

Morris wpatrywał się w niego przez chwilę, a następnie potarł dłonią twarz.

- Zapomniałem - mruknął. - My, Żydzi, jesteśmy tak bardzo zżyci ze swoją historią, że wydaje nam się, iż wszyscy inni znają ją równie dobrze.

Spojrzał na Mike'a zmęczonym wzrokiem.

-Mike, Święte Oficjum zostało założone w 1478 roku specjalnie po to, żeby tropić Żydów. Począwszy od 1391 roku Hiszpanie zmuszali Żydów do nawracania się. Dominikańscy zakonnicy przewodzili pogromom w dzielnicach żydowskich. „Giń lub daj się ochrzcić” - taki był wybór. Wielu Żydów wybierało chrzest; mówiono na nich „przechrzyty”. A następnie hiszpańska monarchia, z błogosławieństwem papieża, stworzyła inkwizycję, żeby wytropić wszystkich tych, którzy wciąż potajemnie praktykowali judaizm. Tych ludzi nazywano marranami, „ukrytymi Żydami”.

Mike przypomniał sobie to określenie. Rebeka użyła go podczas ich pierwszego spotkania, gdy siedziała w powozie.

- A potem?

Morris odwrócił wzrok.

- Próba tortur. Auto dafé. Chrześcijanie z całego miasta zbierali się, żeby oglądać uroczyste kazania i parady, a także przyprawdzanych z więzień

108

Erie Flint

heretyków, głównie ukrytych Żydów i muzułmanów - tych nazywano „moryskami” - oraz wszystkich innych, na których padł cień podejrzenia.

Roth potrząsnął głową.

- To było jedno wielkie szaleństwo, Mike. Jednym z powodów, dla których chrześcijanie w tamtych czasach byli brudni, był strach przed zbyt dużą dbałością o czystość i higienę osobistą. Kto wie, może to znaczy, że jesteś ukrytym Żydem lub muzułmaninem? Lepiej ostentacyjnie obnosić się ze swym chrześcijańskim brudem. A gdy przychodziła choroba, winne były czarownice i Żydzi.

-Punktem kulminacyjnym ceremonii auto dafé było palenie heretyków żywcem na stosie. Zakładając oczywiście, że można określić mianem „żywego” kogoś, kto dostał się w łapska inkwizycji. Wielu z nich umierało w kościelnych salach tortur. Ci - a właściwie ich ciała - również płonęli na stosie, żeby inkwizycja mogła legalnie odziedziczyć ich majątki.

Widząc zaskoczenie na twarzy Mike'a, Morris zaśmiał się ochryple.

- No pewnie, zapomniałem o tym wspomnieć. W tamtych czasach mieli bardzo specyficzne rozumienie bezstronności sądów. Inkwizycja była finansowana głównie z majątków, które zagarniała potępionym. Tak więc możesz sobie wyobrazić, jak często orzekali niewinność. Ci świątobliwi ludzie nie potrzebowali dużo czasu, żeby się wzbogacić.

Przypomnienie owej rozmowy wywołało w Mike'u gniew, więc zmusił swój umysł do skupienia się na aktualnych sprawach. Piazza właśnie przechodził do wątku uciekinierów, więc Mike postanowił się wtrącić.

- Przepraszam cię, Ed, ale jest coś, co chciałbym wcześniej poruszyć. - Odwrócił się do Ferrary. - Greg, kto jest najlepszym chemikiem w mieście? Ty?

Nauczyciel przedmiotów ścisłych wzruszył ramionami.

- To zależy, co chcesz, Mike. W pewnych kwestiach ja, w innych...

- Potrzebny mi jest ktoś, kto wie, jak zrobić napalm. Ferrara otworzył usta i momentalnie je zamknął.

- Nic prostszego - powiedziała Melissa. - Sama znam przynajmniej trzy przepisy domowej roboty.

Wszyscy łącznie z Mike'em wbili w nią wzrok. Wymuskana, siwowłosa nauczycielka wzruszyła ramionami.

- Nigdy sama tego nie robiłam, rozumiecie. - Pociągnęła nosem. - Nigdy tego nie pochwalalam, nawet wtedy, ale jeden z moich chłopaków w college'u był anarchistą i przez cały czas babrał się w takich rzeczach. Twierdził, że nam się przyda, gdy nadejdzie rewolucja James Nichols wybuchł śmiechem.

- Dobrze wiedzieć, że nie tylko ja zmarnowałem swoją młodość! - Spojrzał na Melissę pełnym uznania wzrokiem. - Ale, cholera, te białe gnojki są ambitne. Mnie nigdy nie przyszło do głowy nic więcej niż koktajl Mołotowa.

Melissa zmarszczyła brwi.

- O co tu chodzi? - zapytała stanowczo. - Chyba nie myślisz, że...

- W porządku! - zawołał Mikę. - Już wystarczy! - Zachichotał. - Chryste, nie przypuszczałem, że zapoczątkuję zlot radykałów z lat sześćdziesiątych.

Twarz Rebeki wyrażała frustrację; po raz kolejny rozmowa wkroczyła na .___/, którymi Rebeka nie była w stanie podążyć.

- Przepraszam bardzo - powiedziała łagodnie. - Co to jest... napalm?

- To coś, co przygotowujemy na powitanie inkwizycji, gdyby mieli zamiar się pojawić. Oni i ich hołota - wyjaśnił Mikę i uśmiechnął się posępnie. - Wyobraź sobie, że to takie przenośne ognie piekielne.

- Aha. - Jej ciemne oczy zrobiły się bardzo okrągłe, a potem bardzo jasne. -Aha.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na pozwolenie, Darryl McCarthy wparował do środka. Uzbrojony w karabin młody górnik podskakiwał jak mały psiak.

- Mamy gości, Mikę! Szkotów! Żołnierzy! - Na widok Rebeki nieco się uspokoił. - Mówią, że szukają pani, panno Abrabanel. A właściwie to pani ojca.

Mikę wstał tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło. Odruchowo zacisnął prawą pięść.

- Po co? - zapytał ostro.

Zdumiony gniewem, który krył się w tym krótkim pytaniu, Darryl zaniemówił.

- Michaelu... proszę - wtrąciła się natychmiast Rebeka i uśmiechnęła do niego ciepło. - To nie to, co myślisz. Oni zapewne... - Zwróciła się do Darryla. - Czy ci ludzie są w służbie króla Szwecji?

- Tak mówią, proszę pani. To ktoś o imieniu Gustaw. Melissa otworzyła szeroko usta.

- Gustaw? - Nauczycielka historii wstała niemal równie gwałtownie jak Mikę. - Gustavus Adolphus?

Darryl miał kompletny mętlik w głowie.

- Kto to jest? - Poirytowany wyrzucił w górę ręce. Jego karabin zakołysał się we wszystkie strony. Frank już miał na niego warknąć, kiedy Darryl zorientował się, co robi, i z przeproszącą miną opuścił broń. Dwa razy sprawdził, czy jest zabezpieczona, a następnie odparł tonem wielce pokrzywdzonego: - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem tylko, że grupa jeźdźców - kilkudziesięciu, jak nic - pojawiła się przy tamtej farmie, gdzie była strzelanina.

- A zresztą, do diabła, czemu to mnie wypytujecie? Są na parkingu. Tym razem to Frank zerwał się z krzesła.

- Wpuściliście ich przez granicę?! - zapytał z wściekłością.

Wyraz twarzy Darryla sprawił, że Mikę omal nie ryknął śmiechem. Górnik wyglądał jak dziesięcioletni chłopczyk doprowadzony do rozpaczy dziwactwami i kaprysami dorosłych.

110

Erie Flint

- Na litość boską, przecież to są Szkoci! Prawie rodzina. Oczywiście, że ich wpuściliśmy. Mikę ruszył w kierunku drzwi.

- Chodź, Frank, sami zobaczymy.

Cały sztab antykrzysowy ruszył za nim. Frank zamykał kolumnę. Mijając Darryla, rzucił kwaśno:

- Twój wujek, Jake, też był rodziną. Umarł w więzieniu, zgadza się? Skazany za morderstwo?

- Tylko drugiego stopnia - zaprotestował zrozpaczony chłopak. - Za rok byłby na warunkowym, gdyby go nie zakłuli nożem.

- Rodzina - mruknął Frank. - Cudownie.

Rzeczywiście byli to Szkoci. Najwyraźniej przyjechali w szyku marszowym, po trzech w szeregu. Dwudziestu sześciu kawalerzystów (na czele było zaledwie dwóch żołnierzy) wciąż tkwiło okrakiem na rumakach. Spłoszone konie nerwowo stukały kopytami o bruk. Nie były jednak bardziej zaniepokojone od swych jeźdźców, którzy wpatrzeni byli we wzgórze stojące za liceum.

A konkretnie wpatrzeni byli w koparkę i buldożer. Wielkie maszyny pracowały przy akompaniamencie ryczących silników, oczyszczając teren przeznaczony na kolejny obóz dla uciekinierów. Główne centrum dla uciekinierów miało powstać trzy kilometry dalej, obok elektrowni, która miałaby dostarczać ogrzewanie parowe - uboczny produkt jej działania. Obóz na wzgórzu przy szkole miałby być ogrzewany z zasobów gazu ziemnego, a ponadto jego mieszkańcy mogliby korzystać ze szkolnej stołówki.

Mikę od razu wiedział, że Szkoci są żołnierzami. Owszem, każdy był inaczej odziany, ale Rebeka już zdążyła mu wytłumaczyć, że w tych czasach żołnierze rzadko kiedy nosili mundury. Na polu bitwy rozpoznawali się po paskach kolorowego materiału, używanych jako bandany lub obwiązywanych wokół ramienia, a czasem po zatkniętych za kapelusze gałązkach.

Żaden nie nosił zbroi jako takiej, ale ich kaftany były wystarczająco grube, żeby chronić przed ciosami miecza, a nawet przed trafieniem kulami z siedemnastowiecznej broni palnej, pod warunkiem, że nie były wystrzeliwane z bliska. Skórzane buty sięgały im do połowy ud. Oprócz kaftanów (a częściej kamizeli bez rękawów) nosili spódnice, które rozszerzały się na biodrach i sięgały aż do butów. Kilku mężczyzn miało prawdziwe hełmy, lecz większości z nich wystarczały skórzane kapelusze z szerokim rondem. Każdy miał przypasaną na plecach szablę i co najmniej dwa wielkie pistolety z zanikiem kołowym przytroczone do siodła. Mikę dostrzegł jednego żołnierza, który miał aż cztery pistolety.

Mężczyźni roztaczali wokół siebie jakąś ponurą i niebezpieczną aurę. Dotyczyło to zwłaszcza jednego z dowódców. Był w średnim wieku, mocno zbudowany i miał wręcz niesamowite wąsy. Jego twarz - pomijając naturalny rumian

kolor - była kompletnie pozbawiona wyrazu. W przeciwieństwie do reszty oddziału, wpatrywał się w maszyny budowlane bez śladu nabożnej czci czy trwogi.

Na widok Mike'a i jego towarzyszy wychodzących ze szkoły Szkot oderwał wzrok od budowy i coś wymamrotał. Siedzący obok na koniu żołnierz - noszący zdecydowanie kosztowniejszy strój - odwrócił głowę. Był to jeszcze młodzieniec, średniego wzrostu - według ówczesnych standardów ludzie byli średnio o kilkanaście centymetrów niżsi od przeciętnego Amerykanina - o zielonych oczach i rudych włosach. Jego bladą twarz zdobił niewielki wąsik i bródka oraz perkaty nos i... wyraźne piegi. Wyglądał jak wykapany Tomek Sawyer., Albo raczej - pomyślał Mikę - tak powinien wyglądać Tomek Sawyer po doróżnieniu".

Z jakichś względów widok tej twarzy sprawił, że Mikę się rozluźnił. Oczywiście nie było w tym żadnej logiki, ale po prostu nie mógł nie poczuć sympatii do młodego Szkota.

- Dobry Boże - zachichotała Melissa, wypowiadając na głos jego myśli. - Chyba powinnam kazać wymalować mój płót na biało.

Mikę uśmiechnął się, słysząc ten żart, i właśnie z taką przyjazną i radosną miną wyszedł jeźdźcom na spotkanie. Najwyraźniej zrobił dobre wrażenie, gdyż momentalnie wyczuł, że obaj Szkoci się uspokoiili, a zaraz potem po całym oddziale przeszła fala rozluźnienia.

Gdy tylko się zbliżył, młody Szkot (Mikę uznał, że to oficer; mężczyzna obok niego wyglądał na starego podoficera) wskazał na sprzęt budowlany i zapytał:

-Co to jest?

Następnie odwrócił głowę i spojrzął swoimi zielonymi oczami na pikapa Darryla. Samochód musiał wyrzucić na tych Szkotach takie samo wrażenie, jak na Abrabanelach. Jeszcze wiele dni po przybyciu do Grantville Rebeka gapiała się na każdy mijający ją pojazd.

Mike'owi zaimponowało to, że młody Szkot dostrzegł związek między maszynami budowlanymi a pikapem.

- Owszem - wyjaśnił - to mniej więcej to samo. Mówimy na nie „pojazdy silnikowe”. Same silniki - to zwykłe maszyny, nic więcej - napędzamy płonąca ropy.

Oficer znów skierował wzrok na Mike'a.

- A więc to nie czary. - To było stwierdzenie, a nie pytanie. - Miałem taką nadzieję - dodał młody rudzielec. - Właściwie się tego spodziewałem. Z tego, co zauważyłem, macie niezwykle dobrze wykonaną broń. Prawdziwy z was lud rzemieślników. Lepszych nie widziałem nigdzie na świecie. - Zarumienił się lekko, co uwydatniło jego piegi.

Najwidoczniej zdał sobie sprawę z tego, jak absurdalnie musiało to zabrzmieć. „A jak wiele tego wielkiego świata zdążyłeś już zobaczyć?”

Mężczyzna u jego boku - zapewne czując potrzebę wsparcia swego młodego przełożonego - natychmiast dodał:

112

Erie Flint

- Dobrze powiedziane, chłopcze. Sam nigdzie takich nie widziałem.

Słuchając obu Szkotów, Mike uśmiechnął się szeroko. Nie było to raczej dyplomatyczne zachowanie, lecz nic nie mógł na to poradzić. Ich angielski, pomimo wyraźnego akcentu, specyficznych końcówek i rozlicznych archaizmów, był jak najbardziej zrozumiały, ale absolutnie nie przypominał tego, co współcześni Amerykanie zwykli określać typowym szkockim. Język kawa-lerzystów przypominał Mike'owi mowę prawdziwych appalachijskich prostaków z zapadłej prowincji.

„Boże święty, dokładnie tak, jak powiedział Darryl: rodzina!”

- Może zsiądziecie z koni - zaproponował. Zabrzmiało to niczym rozkaz. Wskazał palcem na wąskie stalowe kolumny, które podtrzymywały betonowe zadaszenie nad wejściem do szkoły.

- Możecie je tam uwiązać.

Szkoci zawahali się. Mike pokiwał ręką.

- Śmiało, śmiało. Zapewne jesteście głodni. Możemy was nakarmić w... -Uznał, że „stołówka” była w tych czasach nieznanym słowem. - W sali jadalnej - dokończył.

Wzmianka o jedzeniu załatwiła sprawę. Nie upłynęła minuta, a wszyscy Szkoci zsiadli, uwiązali konie i udali się za Amerykanami do szkoły. Zanim dotarli do wielkiego korytarza, który pełnił w szkole rolę przedsionka, zdążył się już tam zebrać pokaźny tłum. Byli to głównie licealiści i ich nauczyciele (Amerykanie postanowili wznowić lekcje), ale było też sporo mieszkańców miasta. Ze względu na kryzys liceum stało się, chcąc nie chcąc, domem kultury. Z całą pewnością był to największy i najlepiej wyposażony budynek w okolicy. Na zapchany uczniami korytarz zaczęli się wylewać z sali gimnastycznej chłopcy w spodenkach do gry w koszykówkę i dziewczęta z zespołu cheerle-aderek. Na czele grupy szła kapitan drużyny cheerleaderek, Julie Sims. Trzymała w rękach pompony, uśmiechała się promiennie i podskakiwała z entuzjazmem. Ładna twarz, atletyczna sylwetka, zgrabne nogi obnażone od połowy uda po same kostki - wszystko to powodowało, że można ją było nazwać „apetyczną” dziewczyną.

Większość szkockich żołnierzy pożerała Julie wzrokiem, niektórym jednak wpadły w oko stojące na korytarzu starsze dziewczęta. Współczesna amerykańska moda kobieca graniczyła według ich standardów z lubieżnością. Rebeka powiedziała Mike'owi, że w jej czasach nawet ładaczniczki nie odkrywały publicznie tak wiele ciała.

Jeden z żołnierzy szepnął coś do kompana. Mike nie zrozumiał słów, ale wychwycił sprośny ton. Właśnie zastanawiał się, jak ma się uporać z tym nieoczekiwanym problemem, kiedy

wąsaty kawalerzysta o nieustająco kamiennym obliczu odwrócił się do żołnierzy i syknął kilka niewybrednych słów. Mikę usłyszał tylko końcówkę:

- ...własne fujary na kielbasy. Zrozumiano?

Żołnierze zamarli i natychmiast odwrócili wzrok od dziewcząt.

Mikę uśmiechnął się. „Gość wygląda na twardziela; myślę, że się dogadamy”.

Młody oficer także gapił się na Julie. Musiały do niego dotrzeć słowa kawalerzysty, nagle bowiem drgnął i lekko zaniepokojony spojrzał na Mike'a, jakby go chciał przeprosić.

Uśmiech na twarzy Mike'a wciąż nie zniknął.

- Zdaję sobie sprawę, że niektóre nasze... hmmm... obyczaje... muszą wam się wydawać nieco dziwne. - Kiwnął głową w stronę zespołu cheerleaderek. - Nie przywiązujemy nadmiernej wagi do wyglądu. Dla nas ważna jest prawdziwa moralność.

Ostatnie słowa wypowiedział nieco pośpiesznie. Przed kilkoma dniami Mikę podjął bardzo ważną decyzję i nie zamierzał się z niej wycofywać.

„Jeśli tym przesadnym, zapchlonym, świętojebliwym draniom to się nie podoba, mogą sobie pozdychać. Żadnej kapitulacji, żadnego odwrotu. To jest amerykańska ziemia!”.

Ta myśl sprawiła, że się roześmiał. Podczas trzech lat spędzonych w college[^] Mikę zajmował się historią. W przeciwieństwie jednak do Melissy, która miała szerokie zainteresowania, uwaga Mike'a skupiona była na wąskiej partii materiału - wojna o niepodległość i pierwsze dekady republiki. Ojcowie Założyciele - a zwłaszcza Jerzy Waszyngton - mieścili się w czołówce jego osobistej klasyfikacji idoli.

Wziął młodego szkockiego oficera za ramię i zaczął prowadzić w kierunku stołówki. Teraz widać było, jak wyraźnie nad nim góruje.

- Powinienem również wspomnieć o tym, że nasza polityka opiera się na pewnych fundamentalnych zasadach - powiedział głośno, żeby jego słowa do wszystkich dotarły. - Jedną z nich bardzo zgrabnie ujęli pierwsi historyczni przywódcy naszej republiki, w czasach, gdy zagrażali nam bandyci.

Mikę zatrzymał się przed wejściem do stołówki, puścił ramię młodego oficera i odwrócił się twarzą do tłumu szkockich żołnierzy i amerykańskich gapiów.

- Miliony na obronę, ani centa na daninę!

Amerykanie zaczęli gromko wiwatować, a Julie Sims momentalnie rozpoczęła improwizowany układ z pomponami.

- Chcemy „O”! - Jej koleżanki z zespołu i koszykarze wyszczerzyli zęby i odpowiedzieli rykiem: - O-bro-na! O-bro-na! - Chwilę później skandował już cały tłum.

Szkocki podoficer rozejrzał się wokół, a następnie przeniósł wzrok na Mike'a. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu onieśmieszony tym, że Amerykanin jest o dobrych piętnaście centymetrów wyższy.

- Odważne słowa. A czym je poprzysz?

- Chcesz sprawdzić?

114

Erie Flint

Szkocki wiarus odpowiedział szerokim uśmiechem; pod wąsiskami błysnęły krzywe zęby.

- Niespecjalnie, skoro pytasz. Wolimy bardziej... hmmm... przyjacielski układ.

- A ty? - Mikę zwrócił się do oficera.

Ale oficer przegapił całą tę wymianę zdań. Jego uwagę całkowicie pochłonęła Julie Sims, i to nie tylko ze względu na jej urodę i wyeksponowane kształty; głównym powodem była tryskająca z niej energia i sprawność fizyczna. Nigdy nie widział tak... tak żywiołowej dziewczyny.

O dziwo, ta niesamowita żywotność cheerleaderki spowodowała, że jego umysł skupił się na sednie sprawy. I to tak bardzo, że kalwinista z dziada pradziada posunął się aż do bluźnierstwa. - W imię Ojca i Syna, kim wy jesteście?

Mike wyjaśnił im to w czasie obiadu. Przed kilkoma dniami podjął również inną decyzję: „mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę”. Nie ugnie się przed zabobonem, nie będzie kalkulował, po prostu wytłumaczy im najlepiej, jak potrafi, na podstawie nikłej wiedzy, jaką Amerykanie mają o sobie samych.

Rozmowa ciągnęła się godzinami. Z inicjatywy Eda Piazzzy górnicy przywieźli do stołówki - samochodami, nie na piechotę, gdyż ta sprawa zakwalifikowana została do kwestii militarnych - wszystkich przywódców religijnych zamieszkujących Grantville.

W miarę jak pastory i księża z całego miasta przybywali i włączali się do dyskusji, widać było, że Szkoci są coraz mniej spięci.

„A więc chrześcijanie, a nawet protestanci. Jak oni mogą tak spokojnie żyć wespół z katolikami, Żydami, Maurami i wolnomyślicielami?”

Wielu szkockich żołnierzy, którzy w swym życiu widzieli już głód, śmierć i pożogę, którzy doświadczyli okrucieństw wojen religijnych, kiwało z aprobatą głowami. („No i te pełne werwy dziewczęta!”). „A więc to nie czary. Ani śladu czarnej magii”.

To mistrzowie mechaniki i rzemiosła, a Szkoci czuli do takich ludzi szacunek. Czary powodowały burze gradowe, tajemnicze choroby i to, że mleko krów było kwaśne. A ich mleko jest tak czyste, że przypomina nektar. Czy oni wyglądają na schorowanych? Nawet ta starsza kobieta - nauczycielka - wprost tryska zdrowiem. („No i te pełne werwy dziewczęta!”).

„A więc to wola Boga. To jego dzieło, a nie szatana. Bóg Wszechmogący uznał za słuszne sprowadzić tutaj tych ludzi. Czy samo to nie jest już znakiem? Jasnym jak słońce nawet dla prostego żołnierza?”. („No i te pełne werwy dziewczęta!”).

I&azbzm1 12

Gdy Rebeka przyprowadziła szkockiego oficera do domu państwa Roth, ze zdumieniem stwierdziła, że jej ojciec po raz pierwszy od czasu zawału siedzi na fotelu w salonie. Tutaj mówili na to „pokój dzienny”. Takie dziwne nazewnictwo było typowe dla Amerykanów. Mimo niemal magicznej potęgi, wciąż pozostawali najbardziej praktycznym narodem, jaki kiedykolwiek spotkała. Przewyższali w tym względzie nawet trzeźwo patrzących na świat kupców z Amsterdamu. Baltazar Abrabanel prowadził ożywioną konwersację z dwoma amerykańskimi lekarzami - Jamesem Nicholsem i Jeffrey 'em Adamsem. W pokoju byli również Morris i Judith Roth.

- Rebeko! - wykrzyknął radośnie ojciec, odwracając ku niej głowę. - Mam wspaniałe wieści. - Baltazar wskazał na doktorów. - Oni właśnie...

Urwał w pół zdania, gdy zauważył stojącego za plecami córki oficera. Jego twarz, jeszcze przed chwilą rozpromieniona, zmieniła się w bryłę lodu. Ale nie było w tym wrogości; był to po prostu wyraz twarzy doświadczonego dyplomaty.

„Dyplomaty? Raczej doświadczonego szpiega”.

Rebeka знаła przeszłość swojego ojca. Gałąź Abrabanelów, z której się wywodził, mieszkała w Londynie od ponad stu lat, odkąd Sefardyjczycy zostali wypędzeni z Hiszpanii. Było to niezgodne z prawem - setki lat wcześniej Żydzi zostali przepędzeni również z wyspy - lecz angielskie władze postanowiły nie zwracać na to uwagi, dopóki społeczność żydowska pozostanie mała i dobrze ukryta. Poza tym angielscy monarchowie i arystokraci woleli, by leczyl ich Żydzi, a nie goje.

116

Erie Flint

Gdy w tak zwanym przez chrześcijan roku Pańskim 1558 na tron wstąpiła Elżbieta, Żydzi mogli się poczuć bezpiecznie. Osobisty medyk Elżbiety, doktor Rodrigo Lopez, był Sefardyjczykiem. Królowa polegała na nim w kwestiach natury medycznej, a także do pewnego stopnia w kwestiach natury politycznej, szczególnie jeśli chodziło o zagrożenie ze strony Filipa II, króla Hiszpanii. Działając w imieniu królowej, doktor Lopez uczynił z kilku członków rodziny Abrabanelów szpiegów na usługach Korony Brytyjskiej. Abra-banelowie,

jeden z największych rodów sefardyjskich rozsianych po całym świecie, mogli bez problemu mieć Hiszpanów na oku.

Dziadek Rebeki, Aaron, służył Koronie aż do śmierci. Schedę po nim otrzymali dwaj synowie: Baltazar i Uriel. Rebeka wciąż miała w pamięci obrazy z wczesnego dzieciństwa, kiedy to ojciec zabierał ją do londyńskiego portu, żeby spotkać się z portugalskimi żeglarzami i kupcami, z których wielu było marranami.

Po śmierci Elżbiety i koronacji Jakuba I Stuarta sytuacja polityczna uległa zmianie. Jakub sprzyjał Hiszpanom i gotów był spełniać ich żądania. Stracił nawet sir Waltera Raleigha, by ich udobruchać, choć oficjalnym powodem była zdrada. Żydzi nie byli już mile widziani na dworze angielskim - nawet prywatnie - a w 1609 roku Jakub ponownie kazał Sefardyjczyków wypędzić.

Pozostało zaledwie kilka rodzin żydowskich, wśród nich rodzina Rebeki. Chroniły ich pewne osoby w brytyjskim rządzie, a przede wszystkim puryta-nie. Purytanie, rosnący w siłę w społeczeństwie angielskim, byli usposobieni do Żydów bardziej przychylnie niż do kościoła państwowego. Wielu uczonych w ich szeregach było żywo zainteresowanych studiowaniem hebrajskich pism i marzyło o „puryzmie” w chrześcijaństwie.

Szkocki oficer wkroczył do pomieszczenia i powiedział kilka słów. Słyszając jego akcent, którego nie można było pomylić z żadnym innym, Baltazar nieco się rozluźnił, a po upływie kilku chwil wróciła jego zwykła serdeczność i poczucie humoru.

Rebeka również z przyjemnością słuchała tej północnej odmiany języka angielskiego. Słyszała ten akcent dwukrotnie: pierwszy raz, gdy miała dwanaście lat, i ponownie w wieku czternastu lat, kiedy towarzyszyła ojcu i wujkowi w podróży do Cambridge, które było sercem purytanizmu. Dwóch wykształconych lekarzy żydowskich, biegle władających i hebrajskim, i greką, przyjechało tam po to, żeby wytłumaczyć pewne niejasne ustępy z pism biblijnych.

- Baltazarze Abrabanelu, przynoszę ci pozdrowienia od Gustavusa Adolphusa.

Potem ich gałąź rodu Abrabanelów została zmuszona do opuszczenia Anglii. Uriel, jako bardziej awanturniczy z dwójki braci, postanowił szukać szczęścia w Niemczech. Ojciec Rebeki, obarczony schorowaną żoną i córką, wybrał Amsterdam. Tam właśnie, wśród holenderskich kuzynów purytanów, znaleźli swoją przystań.

Baltazar Abrabanel skinął głową.

- Racz przekazać Jego Wysokości wyrazy najgłębszego szacunku, oficerze...

- Mackay, panie. Alexander Mackay, kapitan w Zielonym Regimentzie króla Szwecji, do twoich usług.

Kalwiniści byli ponurzy i chłodni - zupełnie nie jak Sefardyjczycy -jednak mieli znacznie większy szacunek do Pisma Świętego niż chrześcijanie czy nawet luteranie. Bóg dał potomkom Abrahama ich miejsce na świecie. Kimże oni są, żeby wątpić w Jego wolę?

Rebeka wyczuła, że Michael wszedł do pokoju i stanął za nią. Bardzo blisko, prawdopodobnie nieco bliżej niż nakazywałyby przyzwoitość.

Jej wargi rozchyliły się w uśmiechu, ale szybko przegnała ze swej twarzy wyraz zadowolenia. „Przyzwoitość. Ale według kogo? Na pewno nie Amerykanów! Im to pojęcie wydaje się obce. W życiu nie spotkałam równie bezwstydných ludzi”. Przypomniała sobie jednak, jak potraktowali ją i jej ojca. „Bogiem a prawdą, oni akurat nie mają wielu powodów do wstydu”. Michael był bardzo blisko. Poczowała szaloną chęć odchylenia się do tyłu i oparcia o niego, ale widząc spojrzenie ojca, momentalnie się wyprostowała.

Spojrzenie było znaczące. Rebeka starała się zdawać ojcu codzienne raporty bez okazywania jakichkolwiek emocji. Zwłaszcza uważała na to - a przynajmniej tak jej się wydawało - żeby nie wyczuł ciepła w jej relacjach o Michaelu i jego poczynaniach.

Westchnęła w duchu. Za bardzo się starała. Baltazar Abrabanel był przebiegły jak mało kto. Nigdy nie była w stanie ukryć czegokolwiek przed ojcem, choć tak naprawdę nigdy wcześniej nie próbowała.

„Będzie surowe kazanie - pomyślała markotnie. - Bardzo surowe”.

Baltazar przeniósł wzrok ze swojej córki z powrotem na szkockiego oficera. Mackay właśnie został usadzony przez Judith Roth w bogato zdobionym fotelu.

Szkot rozejrzał się szybko po pokoju. Najwyraźniej obecność Amerykanów sprawiała, że był odrobinę powściągliwy.

- Możecie mówić bez skrępowania, kapitanie Mackay - rzekł Baltazar. - Nasi gospodarze wiedzą o skarbie, który przywiozłem. - Obdarzył Michaela przeciągłym spojrzeniem. Rebeca ulżyło, gdyż we wzroku ojca nie było śladu gniewu. Tylko wdzięczność i szacunek.

- W gruncie rzeczy gdyby nie oni, a zwłaszcza Michael, to całe srebro byłoby teraz w łapskach potworów Tilly'ego. - Pochylił się i wyciągnął przed siebie dłonie mieniące się ciężkimi, drogocennymi pierścieniami. - A wraz z nim moje odrąbane ręce. - I dodał szorstko: - I moja córka oczywiście.

Baltazar wskazał głową na sufit.

- Kufer z pieniędzmi dla waszego króla jest na górze, w mojej sypialni. Jest tam wszystko, co do guldena. Mam kwit, rzecz jasna.

118

Erie Flint

Mackay machnął ręką. „Nie ma takiej potrzeby, Baltazarze Abrabanelu. Twoja uczciwość jest niekwestionowana”.

Rebeka zareagowała na ten gest nieco dziwnie - bardziej złością niż dumą. „Naturalnie, ufacie Żydom w kwestii pieniędzy, ale potem, gdy zmieniają się nastroje, oskarżacie nas o podłe zbrodnie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do waszych bankierów, potrafimy się dorobić bez oszustw. Chrześcijanie!”.

Jednak już po chwili złość minęła. Tak naprawdę niesłusznie się złościła. Rozmaite odgałęzienia kalwinizmu rzeczywiście nie były wolne od nietolerancji wobec Żydów, jednak jego wyznawcy bardzo mocno wierzyli w ciężką pracę i gospodarność, dbali o umiejętność czytania i pisanie, a także zwykli traktować ludzi majątnych bardziej z podziwem niż z zawiścią.

„W końcu to nie kalwiści zmusili nas do opuszczenia amsterdamskiej Dzielnicy Żydowskiej. Mojego ojca wygnali ortodoksyjni rabini, a nie chrześcijańscy duchowni”.

Oderwała się od tych myśli i skupiła uwagę na rozmowie. Ojciec chciał zasięgnąć jej rady, zwłaszcza teraz, na głębokiej, nieznannej wodzie.

Dostrzegła, że Mackay również patrzy na Michaela. W jego spojrzeniu był szacunek... i więcej niż tylko odrobina zaskoczenia.

- Dlaczego? - wykrztusił Szkot.

- Co dlaczego? - Michael położył dłonie na ramionach Rebeki, obszedł ją delikatnie i stanął na środku pokoju, z dłońmi wspartymi na biodrach. Spojrzał w dół na Mackaya.

- Dlaczego nie jesteśmy gwałcicielami i złodziejami? Mackay opuścił głowę.

- Nie to miałem na myśli. - Przejechał dłonią po swych gęstych rudych włosach. Zmarszczył czoło. Widać było, że stara się znaleźć właściwe słowa.

- Oni po prostu tacy są, kapitanie Mackay - przyszedł mu z pomocą Baltazar. Spojrzał na obecnych w pokoju Amerykanów. Nieco dłużej zatrzymał wzrok na czarnoskórym lekarzu.

- Nikt nie twierdzi, że są jak baranki. - Uśmiechnął się. - Z tego, co wiem, niektórzy nawet mają za sobą napad z bronią w rękę. A przynajmniej próbę. - James Nichols wyszczerzył zęby. Teraz utkwiał wzrok w Michaelu.

- A także, oczywiście, inne grzechy. Bójki, pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego, obrażanie władz miejskich...

Teraz to Michael wyszczerzył zęby. Rebeka czuła, że napięcie wśród zgromadzonych w pomieszczeniu osób opada.

Baltazar uśmiechał się serdecznie, gdy zwrócił twarz ku Mackayowi.

- Lecz są to ludzie, którzy cenią swoje prawa. Prawa, które sami ustanawiają, nie bacząc na rodowód czy pozycję społeczną. Z tego, co usłyszałem od córki, są to najbardziej zatwardziali republikanie od czasów starożytnych Greków.

Baltazar rozłożył ręce, jakby mówił o czymś oczywistym. - I zapewne dlatego odruchowo wystąpili w obronie nas, a także naszych dóbr. Rozumiecie, kapitanie, łamano prawo. Ich prawo, nie cesarza. Żydowski medyk wskazał palcem na Michaela.

- Zapytajcie go, Mackay. Zapytajcie go ponownie, ale nie pytajcie: dlaczego? Po prostu zapytajcie: czy zastanowiłeś się nad tym dwa razy? Albo chociaż raz!

Amerikanin opuścił ręce - był to gest zmęczenia - i zacisnął swe wielkie dłonie w pięści.

- Nie wiem, co za świat sobie tutaj stworzyliście, kapitanie Mackay-warknał

- ale my nie będziemy do niego należeć. Rozumiesz, co mówię? Gdziekolwiek sięgnie nasza władza, tam prawo będzie respektowane. Nasze prawo.

- A jak daleko sięga ta władza? - zapytał Mackay. Odpowiedź Michaela była natychmiastowa.

- Tak daleko, jak daleko sami ją ustanowimy. Szkot zagłębił się w fotelu.

- A więc mam kilka pytań. Po pierwsze... - wskazał na rewolwer Michaela

- czy wasza broń jest tak dobra, jak ja... jak sądzi Lennox?

Michael spojrział na swoją broń.

- Mogę trafić z karabinu w środek tarczy ze stu osiemdziesięciu metrów. Z celownikiem z dwustu osiemdziesięciu. A są u nas tacy, którzy strzelają o niebo lepiej. - Wyjrzał przez okno, jakby badał wzrokiem miasto. - Potrafimy też robić inne rzeczy.

Skierował spojrzenie na Mackaya. Niebieskie i zimne.

- Następne pytanie - zażądał.

Szkot machnął głową, wskazując na sufit.

- Tam na górze jest mała fortuna, Michaelu Amerykaninie. Należy do króla Szwecji, ale pozwolił mi rozporządzać nią wedle mojej woli. Czy przywdziejecie jego barwy?

- Nie. Nie jesteśmy najemnikami. Walczymy pod naszym sztandarem i żadnym innym.

Mackay pogładził w zamyśleniu brodę.

- W takim razie może zgodziłbyś się na sojusz? - zapytał i pośpiesznie dodał: - To nie musi być nic oficjalnego, po prostu umowa między dżentelmenami. A dzięki środkom, którymi teraz dysponuję, mógłbym pokryć wszystkie wydatki.

Wzrok młodego Szkota powędrował ku oknu. Zacisnął dłonie i przez chwilę jego zielone oczy żarzyły się tak samo, jak oczy Michaela.

- Myśl o nas, co chcesz, Amerykaninie, ale ja również nie odczuwam przyjemności widząc, jak morduje się chłopów wraz z rodzinami i zmusza ich żony do najpodlejszych czynów.

120

Erie Flint

Wycelował oskarżycielsko palec w kierunku północy.

- Bestie Tilly'ego wkraczają do Turynii. Niebawem zajmą większe miasta, a potem niczym szarańcza spustoszą wieś. Nie dam rady ich powstrzymać z moimi kilkusetjeźdźcami. Lecz...

Wlepił oczy w rewolwer Michaela.

- A, taki sojusz! - wykrzyknął Michael i klasnął w dłonie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Radość bijąca z jego twarzy, pomimo kryjącej się pod nią dzikości, była jak blask słońca.

- Naturalnie, Alexandre Mackay, zgadzamy się.

Niespełna minutę później Michael był już na ulicy, gdzie grupki górników miło gawędziły ze szkockimi kawalerzystami. Mackay szedł u jego boku. Za nimi podążał tłum składający się w większości z licealistów.

Rebeka widziała przez okno, że Michael porusza ustami, ale nie słyszała słów, z jakimi zwrócił się do górników. Po chwili zgromadzony na ulicy tłum zaczął wiwatować i

poklepywać się po plecach. Julie Sims i jej drużyna cheerleaderek znowu rozpoczęły ten swój cudaczny taniec, a uczniowie w odpowiedzi zaczęli ryczeć jakąś pieśń. Dwa! Cztery! Sześć! Osiem! Kto jest z nami? Szkoci! Szkoci!

Ich wołania były tak głośne, że słyhać je było nawet w domu. Rebeka uznała uczniowską pieśń za nieco dziwną, choć nie mogła jej odmówić pewnego uroku.

Potem cheerleaderki wciągnęły tłum w zupełnie nową pieśń.

Rebeka odwróciła się ze zmarszczonym czołem do Jamesa Nicholasa. Doktor stał przy oknie, klaskał do rytmu i mruczał pod nosem te same osobliwe, bezsensowne słowa.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co to właściwie znaczy? - Jej usta z trudem wypowiadały nieznanne słowa. -, Dalej, Wisconsin! Dalej, Wisconsin25!".

Lekarz uśmiechnął się szeroko.

- Znaczy to tyle, młoda damo, że banda pewnych siebie drani dostanie lekcję historii. Tak jakby z wyprzedzeniem.

Zwrócił ku niej twarz, wciąż się uśmiechając.

- Pozwól, że ci przedstawię inne nieznanne ci pojęcie amerykańskie. - Białe zęby lśniące na tle czarnej twarzy przywodziły Rebecę na myśl tarczę herbową.

- Brzmi ono: D-Day26.

^jzbzml 13

W ciągu następnych godzin dom państwa Roth ogarnęła wielka krzątanina. Michael i Alexander Mackay, wspólnie z Andrew Lennoxem oraz Frankiem Jacksonem, spędzili całe popołudnie nad stołem kuchennym, planując nadchodzącą kampanię. Godziny mijały, a amerykańscy górnicy i szkoccy żołnierze wmaszerowywali i wymaszerowywali z kuchni, wynosząc rozkazy i przynosząc zapytania. Szkoci przewijali się szybko, natomiast wielu Amerykanów zostawało na jakiś czas, żeby dorzucić własne sugestie i opinie.

Pojawiła się nawet Julie Sims; wkroczyła w podskokach do kuchni, żeby przywitać się z wujkiem Frankiem, a także zaspokoić ciekawość, wykorzystując koneksje rodzinne. Mackay natychmiast i całkowicie stracił z oczu sprawę natury wojskowej. Co prawda Julie zamieniła strój cheerleaderki na bluzę i dzinsy, ale przy takim ciele oraz wypełniającej je energii zmiana stroju nie miała najmniejszego znaczenia.

Widząc jednak kpinę w oczach Lennox, Mackay oblał się rumieńcem i przestał gapić się na dziewczynę. Mimo to przez dobrych kilka minut po tym, jak Frank przepędził Julie, nie mógł się jeszcze skoncentrować.

Zdumiewająco swobodna amerykańska struktura dowodzenia -jeśli w ogóle można o czymś takim mówić - wydawała się Mackayowi niebywale dziwna. Lecz...

Wszystko u tych Amerykanów było niebywale dziwne, jeśli się nad tym zastanowić. Nie było jednak żadnych wątpliwości, że ostateczne decyzje należały do Michaela i Franka. Tak więc po pewnym czasie dwaj szkoccy żołnierze zawodowi odprężyli się i - żeby użyć jednego z tych osobliwych amerykańskich wyrażen - „popłynęli z prądem”.

122

Erie Flint

Reszta zgromadziła się w salonie wokół Baltazara i Rebeki. Byli tu także obaj lekarze oraz Morris Roth. Judith od czasu do czasu przysiadła się, żeby wziąć udział w rozmowie, ale głównie była zaprzętnięta dostarczaniem jedzenia i picia dla żołnierzy. Rebeka zaoferowała pomoc, jednak Judith nie chciała o tym słyszeć.

- Lada moment pojawi się Melissa - wyjaśniła i uśmiechnęła się. - I tak dostanie mi się po uszach za usługiwanie mężczyznom. Jeśli zobaczy, że ty też to robisz -jesteś doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, pamiętasz?

- nigdy nie przestanie mi robić wyrzutów. Znajac Melisse, mogłaby zacząć pikietować przed moim domem.

Wyraz zagubienia na twarzy Rebeki sprawił, że się roześmiała.

- Jak sądzę, nigdy nie słyszałaś o ruchu wyzwolenia kobiet?

Judith posłała uśmiech stojącej obok i przysłuchującej się rozmowie Julie Sims i zapytała:

- Może ty jej to wytłumaczysz?

- Jasne! Bułka z masłem!

Judith poszła do kuchni, a radośnie uśmiechnięta Julie zaczęła przedstawiać Rebecę zarysy feminizmu. I jeśli nawet wersja osiemnastolatki przyprawiłaby bardziej ortodoksyjne działaczki ruchu o trupią bladość, żadna z nich nie mogłaby jednak zakwestionować entuzjazmu, z jakim prowadzona była prezentacja. Gdy Julie skończyła swój wywód, wyraz zagubienia ustąpił z twarzy Rebeki i jego miejsce zajął najprawdziwszy w świecie szok.

- To chyba jakieś bujdy.

- Absolutnie nie! - zapewniła ją Julie. Za moment ktoś na ulicy przykuł jej wzrok i wypadła z domu jak burza. Rebeka usiadła z lekkim wahaniem na kanapie i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie lekarzy.

Początkowo jej myśli były zupełnie gdzie indziej - „Wyzwolenie kobiet? To absurd!” - lecz gdy złapała wątek rozmowy, wszystko zeszło na dalszy plan.

I po raz kolejny twarz Rebeki musiała wyrażać szok i niedowierzanie.

Ojciec uśmiechnął się do niej.

- Tak, córko, chciałem ci to oznajmić zaraz po twoim przybyciu. Więc... co myślisz o tej propozycji?

Zaniemówiła. „Czy oni mówią poważnie?”. Jeden rzut oka na dwóch amerykańskich lekarzy przekonał ją, że tak właśnie jest.

„Toż to niestychane! Współpraca medyczna... między gojami i Żydami?”. Starszy doktor (ten, którego Rebeka początkowo uznała za Maura) odchrząknął.

- Rozumie pan, doktorze Abrabanel, że chociaż będzie panu przysługiwał pełen udział w dochodach - jedna trzecia zarobków lekarzy po odjęciu pensji dla pielęgniarek i reszty pracowników - w praktyce wciąż będzie pan... yyy...

- Nichols zawahał się; najwyraźniej starał się być uprzejmy. - Oczywiście tylko przez jakiś czas, nie na zawsze...

Baltazar przerwał mu, podnosząc rękę.

- Proszę, doktorze Nichols! - Podniósł leżącą na stole książkę. - Doktor Adams był tak uprzejmy, że pożyczył mi to wczoraj. To jedna z jego rozlicznych ksiąg o medycynie; mówił, że właśnie z niej uczył się jako student.

Baltazar położył delikatnie opasłe tomisko na kolanach, niemalże pieszcząc je palcami.

- Niestety, nie byłem jeszcze w stanie zbyt wiele przeczytać. Jest tam tyle nowych słów - nie wspomnę już o nowych koncepcjach - że każdą stronę muszę bardzo uważnie studiować.

Rebeka przyglądała się okładce książki. Jednak to nie tytuł - coś o wprowadzeniu do medycyny - zwrócił jej uwagę, lecz nazwiska autorów.

Dr med. George White, dr med. Harold O'Brien, dr med. Abraham Cohen.

„Cohen?”. Jej spojrzenie powędrowało w stronę Morrisa Rotha. Amerykański Żyd wydawał się rozumieć ukryte w jej oczach pytanie. Tak przynajmniej odebrała jego uśmiech i delikatne skinięcie głową. „Tak”.

- Tak więc rozumiem, że będę musiał nauczyć się wszystkiego od podstaw - zakończył jej ojciec.

Doktor Adams potrząsnął głową.

- To nieprawda, Baltazarze, i to nawet jeśli chodzi o teorię. Twoje wyobrażenia o miazmatach jako przyczynie chorób wcale nie są dalekie od prawdy. A twoja praktyczna wiedza pod wieloma względami przewyższa naszą. - Wzruszył ramionami. - Prawda jest taka, że będziemy musieli wiele się od ciebie nauczyć o dostępnych w tych czasach lekach.

- Mam taką nadzieję! - zachichotał Nichols. - Weźmy pierwszy lepszy przykład: antybiotyki. Wkrótce nasze zapasy się wyczerpią, a chyba trudno nam będzie dodzwonić się do firm

farmaceutycznych. - Skrzywił się. - A potem co? Oko traszki? Sproszkowane skrzydło nietoperza z dodatkiem kolendry?

- Dajcie spokój! - roześmiał się Baltazar. - Zawsze uważałem, że Kanon medycyny Awicenny²⁷ zawiera lekarstwa na niemal wszystkie dolegliwości. Większość z nich chyba nawet działa.

Nichols i Adams spoglądali na niego nieufnie. Doktor Abrabanel rozłożył ręce.

- Oczywiście zanim cokolwiek przepisiecie, powinniście sami zapoznać się z tekstem. -1 dodał z wahaniem: - Czytacie po arabsku? - Widząc miny amerykańskich lekarzy, wzruszył ramionami. - To zresztą nieistotne. Przypuszczam, że mam większość Kanonu w tłumaczeniu na grekę.

Nichols i Adams spojrzeli po sobie. Adams odkaszlnął. Nichols wyglądał tak, jakby się dusił.

- Doktorze Abrabanel - zapytał Adams - ile pan właściwie zna języków?

- Biegle? Obawiam się, że nie więcej niż osiem. Może dziewięć; zależy od tego, jak pojmujemy „biegle”. Hebrajski, arabski i greka, rzecz jasna, jako podstawowe języki medycyny. Hiszpański i portugalski to moje ojczyste języki.

124

Erie Flint

A także angielski; większość życia spędziłem na owej wyspie. Znam także niemiecki i francuski. Wydaje mi się, że mój holenderski jest coraz lepszy, ale przesadą byłoby twierdzić, że władam nim już biegle.

Umilkł i zaczął przeczesać palcami swoją zadbaną, siwą brodę.

- Poza tym daję sobie radę z rosyjskim i polskim, jeśli to nie są sprawy techniczne. Podobnie jest z włoskim i łaciną. Właściwie kiedyś dużo czasu poświęcałem łacinie, ale byłem zmuszony przerwać naukę ze względu na sytuację polityczną, co umożliwiło mi naukę szwedzkiego. - Zmarszczył czoło. - To na swój sposób uroczy język, lecz nie znoszę poświęcać mu czasu. Nie ma po szwedzku niczego, co nie zostałoby już wcześniej napisane w innych językach. Mimo to... - westchnął - uznałem, że to będzie rozsądne z uwagi na rolę, jaką miałem odegrać...

Urwał w pół zdania i z zatroskaną miną pochylił się do przodu.

- Doktorze Nichols, czy pan nie jest chory?

- Nie, nie - sapnął Nichols, machając anemicznie ręką. - Ja tylko...

- Boże - szepnął Adams. - Boże święty.

Rebeka rozsiadła się wygodnie na kanapie, próbując - wydawało się jej, że z powodzeniem - nie okazać dumy i zadowolenia. Choć niezmiernie lubiła i podziwiała tych Amerykanów, nie mogła zaprzeczyć, że sporą przyjemność sprawił jej wyraz ich twarzy, z których („wreszcie!”) znikło wieczne samozadowolenie.

Chyba jednak nie udało jej się tak, jak sądziła. Melissa Mailey, która wma-szerowała do pomieszczenia, spojrzała na nią i zapytała stanowczym tonem:

- Z czego jesteś taka zadowolona?

Rebeka uśmiechnęła się. Chyba dość skromnie, przynajmniej taki miała

- Wydaje mi się, że mój ojciec jest większym poliglotą niż ci dwaj lekarze, chociaż ma tyle innych braków.

- To oczywiście! - parsknęła Melissa. - Jeśli chodzi o języki, Amerykanie są strasznymi matolami. - Nauczycielka podparła się pod boki i uraczyła Ni-cholsa i Adamsa tym samym spojrzeniem, od którego truchleli jej uczniowie. - No co? - zapytała ostro. - Naprawdę myśleliście, że jesteście od tych ludzi mądrzejsi!

Następnie zauważyła Judith wymykającą się z kuchni z talerzem pełnym jedzenia i na nią przeniosła swoje miazdzące spojrzenie.

- A co to ma znaczyć? Dwieście lat postępu wyrzucone w błoto? Wreszcie wbiła wzrok w Rebeke.

- Musimy porozmawiać, młoda damo. Wkrótce. Odpowiedź była nieunikniona.

- Tak, proszę pani.

l&azbzm 14

Dopiero późnym wieczorem w domu państwa Roth nastąpiła cisza i spokój. Poszli wszyscy, oprócz Baltazara, Melissy i samych gospodarzy. Nawet Rebeki nie było, gdyż Michael nalegał, aby wzięła udział w planowaniu kampanii wyborczej, które to przedsięwzięcie rozrosło się do takich rozmiarów, że trzeba było przenieść się do szkoły.

Ojciec, jak się okazało, ucieszył się z jej nieobecności. Mógł poruszyć delikatny temat w towarzystwie innych Żydów i, rzecz jasna, Melissy, którą Baltazar zdążył już wysoko ocenić.

- Moja córka wydaje się wielce zainteresowana tym Michaeliem Stearnsem - powiedział łagodnym i przyjacielskim tonem. Te słowa były otwartym zaproszeniem do rozmowy. Morris i Judith spojrzeli po sobie.

- To porządny młody człowiek - rzekła Judith z lekkim wahaniem.

- Pierdoły - uciał jej mąż i spojrzał na sefardyjskiego medyka wzrokiem, który łączył w sobie agresję i przeprosiny. - Proszę wybaczyć mój język, doktorze Abrabanel, ale nie zamierzam niczego owijać w bawełnę. Nie znajdzie pan na tym całym cholernym świecie prawdziwszego księcia niż Mikę Stearns, i taka jest prawda. Wszystko jedno, czy to goj, czy nie.

Morris pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- Czytał pan książkę, którą panu dałem? Tę o holokauście?

Baltazar skrzywił się i rozłożył ramiona, jakby próbował odpędzić demony.

- Tylko tyle, ile mogłem znieść, czyli niedużo.

126

Erie Flint

Morris zaczerpnął głęboko powietrza.

- Świat, z którego pochodzimy, wcale nie był rajem, doktorze Abrabanel. Ani dla Żydów, ani dla kogokolwiek innego. A skoro wszędzie panoszył się diabeł, musieli też być tacy, którzy z nim walczyli.

Wstał i podszedł do kominka. Tuż obok menory stała niewielka czarnobiała fotografia w zwykłej ramce. Morris wziął fotografię i podał ją ojcu Rebeki.

Wskazał jedną z osób na zdjęciu. Był to niski, chudy niczym szkielet mężczyzna, ubrany w pasiasty strój.

- To mój ojciec. Miejsce, w którym zrobiono tę fotografię, nazywa się Bu-chenwald. Tak się składa, że to niedaleko stąd. - Potem wskazał innego mężczyznę. Wyższego, wyglądającego zdrowo pomimo brudu i oczywistego zmęczenia, ubranego w mundur.

- To jest Tom Stearns, dziadek Michaela. Był sierżantem w amerykańskiej jednostce, która wyzwoliła Buchenwald z rąk nazistów.

Postawił fotografię z powrotem na kominek.

- Większość ludzi o tym nie wie, ale w czasie każdej większej wojny dwudziestego wieku, w której braliśmy udział, to właśnie Wirginia Zachodnia dostarczała najwięcej żołnierzy do amerykańskich jednostek bojowych - oczywiście procentowo, nie mówię tu o ogólnych liczbach. - Zwrócił twarz ku Abrabanelowi. - To dlatego mój ojciec przybył do Grantville, gdy po wojnie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, mimo że nie było tutaj żadnego innego Żyda. Bo widzisz, zaprosił go Tom Stearns. Wielu innych pojechało do Izraela, ale mój ojciec wolał żyć obok człowieka, który zabrał go z Buchen-waldu. Nie mógł sobie wyobrazić bezpieczniejszego miejsca.

- Czy rozumiesz, co próbuję ci przekazać, Baltazarze Abrabanelu?

- O tak - wyszeptał doktor. - My również o tym śniliśmy kiedyś, w Sefara-dzie. - Zamknął oczy i wyrecytował z pamięci:

Przyjacielu, prowadź mnie przez winnicę, daj mi wina

I do samego końca radość niech będzie ze mną...

A gdybym umarł wcześniej niż ty, przyjacielu, wybierz

Jakieś miejsce, gdzie winnica zakręca, aby tam wykopać mój grób}*

Morris pokiwał głową.

- Mój ojciec jest pochowany na naszym cmentarzu, nieopodal Toma Stearnsa i Jacka, ojca Michaela. - Ponownie spojrzał na swego rozmówcę. - To wszystko, co chciałem powiedzieć, doktorze Abrabanel.

Spojrzenie Baltazara powędrowało ku Melissie.

- A pani?

Melissa zachichotała.

- Raczej nie nazwałabym Michaela Stearnsa „księciem”! - Przechyliła głowę na bok i ściągnęła usta. - No... ewentualnie, jeśli mówimy o tym łajdaku Henryczku.

Baltazar był zdumiony.

- Księciu z Henryka IV? Zna pani tę sztukę? Teraz to Melissa była zdumiona.

- Oczywiście! Ale skąd pan...

- Widziałem ją w Londynie, w teatrze Globe. Nie opuszczam żadnej z jego sztuk. Zawsze przychodzę na premierę.

Wstał i zaczął się wolno przechadzać.

- Akurat właśnie o tym pomyślałem. Nie o Henryku IV, lecz o Kupcu weneckim.

Zatrzymał się i uśmiechnął do swoich słuchaczy. Twarze Morrisa i Judith Roth były teraz lustrzanym odbiciem twarzy Melissy. Rozdziawione usta, wybałuszone oczy.

- Moim zdaniem to najwspanialszy dramatopisarz na świecie. - Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że opacznie pojęliście moje pytanie o Michaela. Nie chodziło mi o kwestię jego wiary. - Parsknął z irytacją i jednocześnie rozbawiony. - Też coś! Jestem filozofem i medykiem, a nie lichwiarzem. Naprawdę myśleliście, że zacznę załamywać dłonie nad faktem, że moja córka mogła zadurzyć się w goju?

Nagle splótł dłonie i zaczął je wykręcać w geście teatralnej rozpacz, kręcąc gwałtownie głową.

- O, moja córka! O, moje dukaty!

Melissa zaczęła chichotać. Baltazar uśmiechnął się do niej szeroko, opuścił ręce i usiadł na swoim miejscu.

- Nie, nie, moi przyjaciele. Zapewniam was, że moja troska była dosyć prozaiczna. - Jego łagodna twarz spoważniała. - Ani ja nie darzę miłością ortodoksyjnych Żydów, ani oni mnie. Wypędzono mnie, ponieważ twierdziłem, że tyle samo możemy się nauczyć od muzułmanina Awerroesa, ile od Hebrajczyka Majmonidesa.

Westchnął i opuścił głowę.

- Wygląda na to, że tutaj znalazłem swój dom. Moja córka również. Chcę tylko jej szczęścia. To jedyny powód, dla którego zadałem tamto pytanie.

- On jest księciem - powiedziała łagodnie Melissa. - Pod każdym względem, Baltazarze. Tacy jak on okazują się prawdziwymi mężczyznami w tym prawdziwym świecie.

- Taką właśnie miałem nadzieję - wymamrotał doktor Abrabanel i ponownie się roześmiał. - Nie będzie to oczywiście łatwe dla Rebeki. Lękam się, że mogłem ją zbyt chronić. Jej głowa jest pełna poezji.

- Zmienimy to - rzuciła Melissa. - W pierwszej kolejności.

Erie Flint

Judith Roth wreszcie odzyskała mowę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ty naprawdę... - Kolejne słowa niemal wykrztusiła. - Ty naprawdę widziałeś Szekspira? Osobiście?

Baltazar podniósł głowę i zmarszczył czoło.

- Szekspira? Willa Szekspira? Oczywiście, że tak. W Globe nie da się go nie spotkać.

Wszędzie go pełno. Nigdy nie marnuje okazji, żeby policzyć widzów. Zazwyczaj dwukrotnie. Na wpół oszołomiony Morris podszedł do półki z książkami, wyciągnął gruby tom i przyniósł go Baltazarowi.

- Mówimy o tym samym Szekspirze, prawda? Największej postaci w historii literatury angielskiej?

Baltazar wziął książkę i ją otworzył. Gdy ujrzał frontyspis²⁹ i spis treści, niemal się zadławił.

- Szekspir nie napisał tych sztuk! - wykrzyknął. - Cóż, może niektóre z nich. Te, które sprawiają wrażenie, jakby je napisała grupa ludzi. Drobne farsy, takie jak Stracone zachody miłości. Ale wielkie dzieła? Hamlet? Otello? Król Lear?

Widząc miny swych towarzyszy, wybuchnął śmiechem.

- Dobrzy ludzie! Każdy wie, że te sztuki naprawdę napisał... - nabrał powietrza - mój pan, Edward, hrabia Oksfordu, siódmy tego imienia i siódmy w sukcesji do tronu królestwa Anglii.

- Znajdą się tacy, którzy będą się upierać, że prawdziwym autorem jest sir Francis Bacon, lecz to tylko podstęp, żeby psy zgubiły trop. Teatr jest zbyt poślednią rozrywką, żeby hrabia Oksfordu miał się z nią kojarzyć. Stąd nazwisko Szekspira.

Spojrzał na książkę.

- Najwidoczniej fikcja stała się faktem historycznym. Tak oto kończy się próżność!

Oczy błyszczały mu z satysfakcji.

- Być może to zwykła sprawiedliwość. Pod pewnymi względami Edward nie był wzorem człowieka. Ja to wiem, byłem jego medykiem.

Widząc osłupiałe spojrzenia słuchaczy, dodał:

- Sprawiedliwość, powiadam. Hrabia był mi winien pieniądze i nie chciał oddać długu.

Doktor Abrabanel pogłaskała dłonią Dzieła zebrane Williama Szekspira niczym człowiekiem, który cieszy się swym skarbem.

- Nie sądzicie, że taka zemsta jest o wiele bardziej satysfakcjonująca niż marny funt ciała?

(Rzezi hruga:

Jakim to młotem kuł zajadł Twój mózg, na jakim kładł kowadło?

^jazbzm 15

Hans Richter został zbudzony kopniakiem w tyłek. Kopniak był szybki, zdecydowany i brutalny.

- Wstawaj, synku - usłyszał polecenie Ludwiga. - Natychmiast. Robota czeka. - Śmiech, który teraz nastąpił, brzmiał raczej jak drwina. - Dzisiaj wreszcie zaznasz smaku walki, pisklaku.

Jak przez mgłę Hans usłyszał, że Ludwig się oddala. Stąpał głośno i ciężko, jak zawsze. Zupełnie jakby troll łąził po jaskini.

Jęknął i przetoczył się na klepisko. Ból rozsadał mu czaszkę. Z zaciśniętymi oczami przez dobrą minutę walczył ze sobą, żeby nie zwymiotować. Walka była zajadła nie dlatego, że zależało mu na zawartości żołądka, ale po prostu nie chciał dawać Ludwigowi kolejnych powodów do drwin. Gdyby był sam, z miłą chęcią wyrzuciłby z siebie resztki jedzenia, chociaż był to jedyny posiłek, jaki zjadł w ciągu ostatnich dwóch dni.

Tak naprawdę posiłek składał się głównie z wina. Taniego, kiepskiego wina, takiego, jakie można znaleźć w chłopskiej chacie. Pozostali najemnicy Ludwiga nalegali, żeby wypił swoją część.

„Więcej niż moją część - pomyślał. - Celowo wypilem więcej niż moją część. Śmiali się, że tak szybko się upilem. Lecz tego właśnie chciałem. Dzięki temu miałem wymówkę”.

Nagle dopadły go wspomnienia ubiegłej nocy. Hans otworzył oczy. Zorientował się, że patrzy na leżącego zaledwie trzy kroki od niego trupa. Mężczyzna wpatrywał się w powałę niewidzącym wzrokiem. Jego znoszone ubranie było przesiąknięte krwią. Nad ciałem unosiły się muchy.

132

Erie Flint

Ponownie miał ochotę zwymiotować. I ponownie rozpaczliwie zwalczył to uczucie. Dopiero niedawno wstąpił w szeregi najemników i jego pozycja ciągle wisiła na włosku. Gdyby żołnierze zdecydowali, że nie nadaje się do tej roboty, momentalnie odesłaliby go z powrotem do taboru jenieckiego.

A wszystko było lepsze niż to. Musi zająć się tym, co zostało z jego rodziny. Ludwig wziął jego starszą siostrę, Gretchen, jako nałożnicę i w ten sposób obronił ją przed resztą żołnierzy. Ale już zaczęli spoglądać na Annalise, która skończyła zaledwie czternaście lat. Jako siostra najemnika miałaby jakąś pozycję. Tak samo jego babka. Gdyby Hans stracił miejsce w ich towarzystwie, Annalise stałaby się obozową dziwką, zanim doczekałaby kolejnych urodzin, a babka umarłaby gdzieś po drodze, samotna i porzucona.

Hans uznał, że poskromił żołądek. Wstał i podszedł chwiejnie do drzwi, starając się nie patrzeć w kierunku leżących w kącie dwóch trupów. Były to starsze kobiety, matka chłopca i być może jego ciotka. Staruchy nie miały dla żołnierzy żadnej wartości, więc zaszlachtowali je, jakby były parą kurczaków.

Omijał też wzrokiem jedyne łóżko. Poprzedniej nocy jego towarzysze zrobili z niego użytek. Hans wlewał w siebie wino tak szybko, jak tylko był w stanie, żeby nie uczestniczyć w tym, co się tam odbywało. Ludwig i jego wojacy nalegali, żeby się przyłączył, więc upicie się było jedyną drogą ratunku.

Łóżko było teraz puste. Córkę chłopca pewnie zawleczono razem z chłopcem do reszty obozowych jeńców. Odtąd ich los będzie bardzo ciężki. W przeciwieństwie do siostry Hansa, dziewczyna nie była wystarczająco ładna, żeby zostać nałożnicą żołnierza, zostanie więc praczką i dziwką. Jej brat dołączy do obozowych smarkaczy, którzy załatwiają rozmaite sprawunki dla żołnierzy i którzy są bici z byle powodu, często dla pijackiego kaprysu. Jeśli chłopak przeżyje, może zostanie najemnikiem.

Na to jednak się nie zanosilo. Hans nie dawał chłopakowi więcej niż dziesięć lat. Będzie dostawał mniej jedzenia od innych, którzy i tak dostawali za mało. Głód i choroba zabiorą go na długo przed tym, zanim osiągnie względnie bezpieczną pozycję żołnierza.

Hans wytoczył się na podwórze. Blask słońca był jak zbawienie, chociaż niemiłosiernie go ranił. Mógł sobie poradzić z bólem ciała - był synem drukarza i jego życie nie różniło się od życia chłopów; ból, głód i ciężka praca nie były mu obce - ale czasem się zastanawiał, jak długo jeszcze jego dusza wytrzyma w tym nowym świecie.

Ludwig i jego ludzie gromadzili obozowych jeńców, formując ich za pomocą wrzasków i bicia w coś na kształt szyku marszowego. Dwudziestu najemników Ludwiga miało na usługi jakieś pięćdziesiąt osób, głównie kobiet i dzieci. Ludwig nie uznawał żadnych oficjalnych stopni; przy jego wzroście i dominującej osobowości było to zupełnie bezcelowe. Armie Tilly'ego cechowała swobodna organizacja. Oficerowie nie dbali o to, dopóki w tych rzadkich chwilach, kiedy trzeba było stoczyć bitwę tudzież rozpocząć oblężenie, żołnierze wypełniali swoje obowiązki.

Jeńcy byli obładowani ekwipunkiem i łupami najemników. Określenie „łupy” zakrawało jednak na kpinę. Na wsi nie było żadnego złota, srebra czy kosztowności, zaś w niemieckich miasteczkach było go tyle, co kot napłakał. Niektóre „zdobycze” mogłyby doprowadzić Hansa do histerycznego śmiechu, gdyby nie to, że wiedział, jak krwawo zostały zdobyte. Jedną z kobiet - „żona” Diega Hiszpana - ugięła się pod ciężarem ramy łoża z kutego żelaza. Od siedmiu tygodni Diego zmuszał biedaczkę, żeby dźwigała ów ciężar, chociaż rama nie była mu do niczego przydatna. Hiszpan wpadł w furję, gdy zobaczył, że w domu nie ma niczego cennego, i przez dwie godziny torturował właściciela, żeby mu wyjawiał miejsce ukrycia skarbu. Lecz żadnego skarbu nie było, jedynie łóżko. Gdy Diego skończył, siennik był tak przesiąknięty krwią, że do niczego się nie nadawał, więc uparł się, żeby zabrać ramę. Mała kobieta zataczająca się pod ciężarem ramy potknęła się i upadła na kolana. Diego gniewnie warknął, podszedł i kopnął ją w pośladki tak, że rozciągnęła się na ziemi. Nie wydała żadnego dźwięku; jej twarz nie miała wyrazu. Podciągnęła nogi i posłusznie wstała. Hans skrzywił się i odwrócił. Za moment ujrzał swoją rodzinę. Gretchen jak zawsze była w środku tłumu jeńców wraz z siostrą i babką. Babka i Annalise dźwigały tobołki, lecz to

Gretchen zawsze miała najcięższy tobół, mimo że niosła jeszcze dziecko. Była młodą, silną i dorodną kobietą, której uroda nigdy nie uderzyła do głowy.

Hans wcale się nie zdziwił, gdy ujrzał, że nowi jeńcy znaleźli się pod opieką Gretchen. Córka chłopca wydawała się kompletnie otepiała, jej młodszy

braciszek łkał. Ale nie było żadnych łez; źródło wyschło już wiele godzin temu.

Hans wziął głęboki oddech i ruszył w ich stronę. Za moment Ludwig będzie go do siebie wołał, a chciał jeszcze przedtem pomówić z Gretchen.

Jego siostra właśnie coś mówiła do Annalise, lecz jak tylko ujrzała Hansa, umilkła i jej twarz momentalnie zmieniała się w kamienną maskę. Jasnobrązowe oczy, z których zawsze biło ciepło, teraz były jak skute lodem.

-Ja nie... Przysięgam, Gretchen, od razu się spiłem - wyrzucił z siebie z rozpaczą i kiwnął głową w stronę córki chłopca. - Zapytaj ją, ona ci powie.

Na kamiennej twarzy Gretchen pojawił się gniew.

- Myślisz, że ta biedaczka pamięta twarz"? - zapytała. Przeniosła wzrok na grupę żołnierzy formujących luźną kolumnę. W jej spojrzeniu była gorycz. - Ja nie pamiętałam, dzięki Bogu. Dziecko przytulone do ramienia Gretchen obróciło głowę i spojrzało na Hansa zamglonym dziecięcym spojrzeniem. Na widok znajomej twarzy wykrzywiło usta w uśmiechu i zaczęło radośnie gaworzyć.

134

Erie Flint

Ów widok rozwiął złość kobiety. Hans poczuł, podobnie jak wiele razy wcześniej, nagły przypływ ciepłych uczuć dla tego dziecka. Darzył Wilhelma prawdziwą sympatią od chwili jego narodzin, Gretchen zaś bardzo go kochała.

To dziwne. Wilhelm prawdopodobnie był synem Ludwiga - od momentu, gdy armia Tilly'ego spustoszyła ich miasto i Ludwig wraz ze swoimi ludźmi wpadli do drukarni ich ojca, miał Gretchen wyłącznie na własny użytek. Malec z całą pewnością przypominał swego domniemanego ojca. Podobnie jak Ludwig, miał jasne włosy i niebieskie oczy. I już zapowiadał się na równie potężnego mężczyznę.

Gretchen znowu skierowała spojrzenie na Hansa. Z ulgą stwierdził, że po jej wrogości nie było już ani śladu.

- W porządku, Hans. Radzimy sobie najlepiej, jak potrafimy. - Rozległ się krzyk wzywającego go Ludwiga. - Idź już - powiedziała. - Zatrósz się o rodzinę.

Na dźwięk tych słów chlipiący dziesięciolatek przykleił się do uda Gretchen, a chwilę później dołączyła doń jego siostra, chwytając ją za rękę. Otepienie wydawało się powoli ustępować z ich twarzy.

Nie ulegało wątpliwości, że „rodzina” Hansa właśnie uległa powiększeniu. Nie był tym zaskoczony; jedna trzecia obozowych jeńców należała do Gretchen.

Ludwig ponownie zawołał, tym razem ze złością. Na pewno mu się dostanie.

- Idź już - syknęła Gretchen.

Ale nie za bardzo mu się dostało. Ludwig był w dobrym nastroju, o ile można użyć takiego określenia wobec trolla w ludzkiej skórze, i bawił się, rzecz jasna, kosztem Hansa.

- Wreszcie czeka cię prawdziwa walka, pisklaku! - ryknął. - Część naszych chłopców wykrwawiła się na południu, więc teraz splądrujemy Baden-burg, żeby dać nauczkę tym protestanckim skurwielom. - Olbrzymia, brodata twarz mężczyzny wykrzywiona była w szyderyczym uśmiechu. - Koniec z leniuchowaniem. Zanim jutrzejszy dzień dobiegnie końca, zbierzesz krwawe żniwo. Albo zapłaczesz krwawymi łzami!

Stojący nieopodal żołnierze zawtórowali Ludwigowi rechotem. Ich śmiech był raczej dobroduszny, ale Diego Hiszpan jak zawsze miał sadystyczne poczucie humoru.

- Wyprujesz z siebie flaki - oznajmił. Jego uśmiech stał się lubieżny i Diego złapał się za krocze. - Annalise z każdym dniem wygląda coraz lepiej! - Zaśmiał się grubiańsko.

Hans poczuł, jak wszystko się w nim skręca z wściekłości. Brzydził się Hiszpanem jak nikim innym w tej zgrai najemników, bardziej nawet niż samym

Ludwigiem. Ludwig był brutalem, potworem, ogrem, ale Diego był znacznie gorszy; nie przypadkiem to właśnie jego Ludwig zawsze wybierał, gdy trzeba było kogoś tortuować. Lecz nie odezwał się ani słowem, tylko odwrócił wzrok. Diego przerażał go. Ów Hiszpan o ziemistej cerze nie był specjalnie wysoki. Nie mógł się równać z Ludwigiem, ale był dziki niczym łasica i równie niebezpieczny.

Hans przygotował się na kolejne drwiny, ale na szczęście uwaga wszystkich skupiła się na małej grupce nadjeżdżających cwałem jeźdźców. To kapitan „dowodzący” grupą Ludwiga przybył, aby wydać rozkazy.

Hans nie wiedział nawet, jak ów kapitan się nazywa, ale było to bez znaczenia. Przyjmował rozkazy jedynie od Ludwiga, dlatego zaledwie przelotnie spojrzął na kapitana i jego trzech towarzyszy.

Lecz gdy ujrzał pośród nich księdza, poczuł zaniepokojenie. Najwyraźniej oprócz rozkazów będzie też kazanie. Ksiądz bez wątpienia był jezuitą związanym z papieską inkwizycją i będzie nawoływał oddziały do walki w imię świętości.

Domysły Hansa potwierdziły wymamrotane przez Diega obelgi. Hiszpan pogardzał jezuitami i inkwizycją papieża; „słabowite gnojki” mówił o nich. Lubił za to szczyścić się hiszpańskimi dominikanami i ich Świętym Oficjum. Hiszpańska inkwizycja odpowiadała przed koroną hiszpańską, a nie przed papieżem, dlatego robiła to, co jej się żywnie podobało, i miała gdzieś papieski bełkot. „Spalić tych parszywych heretyków. Ci, którzy nie są Maurami, to albo Żydzi, albo miłośnicy Żydów”.

Limpieza - tak nazywali to Hiszpanie. Czysta krew, którą należało chronić przed skażeniem. To było dla nich nawet bardziej istotne niż dla papieża troska o dogmaty religijne.

Krótką wymiana zdań między kapitanem a Ludwigiem dobiegła końca. Ksiądz wysforował się na czoło.

„Z całą pewnością będzie kazanie”.

Hans nie patrzył w stronę jezuitę, żeby wzrok go nie zdradził. Gapił się tylko w ziemię, z dłońmi splecionymi jak do modlitwy.

Ksiądz mówił o potrzebie obrony wiary katolickiej przed herezją.

Hans nie mógł słuchać tych słów, aż kipiał z wściekłości.

„Łżesz. My byliśmy katolikami. Całe nasze miasto było katolickie”.

Ksiądz był orędownikiem prawdziwej wiary.

„Właśnie klęczeliśmy w modlitwie, gdy twoi „katolicy” najemnicy wtargnęli do zakładu mego ojca”.

Potępił protestantów.

„Protestanci zgładzili mego dziadka i odebrali mi matkę. Ale to twój dobry katolik, Ludwig, wepchnął miecz w brzuch mego ojca w chwili, gdy ten podnosił różaniec”.

136

Erie Flint

Potępił grzech.

„A czyj on był, klecho, gdy twoi żołnierze spółdzili bękartę mojej siostrze? Może jej, przywiązanej do ojcowskiego łoża za ręce i nogi?”

Reszty Hans już nie słyszał, opanowały go ponure i straszne myśli, myśli przepelnione rozpaczą- takie, jakie może mieć jedynie osiemnastoletni męz-

Długo poskramiany szatan w końcu zerwał się do buntu. Bóg już nie zasiada na tronie w niebiosach, jego miejsce zajęła Bestia. To sładzy węza, a nie Boga przywdziewają szaty duchownych, wszystkich duchownych wszystkich religii. Sama religia nie ma już znaczenia. To żart szatana, nic więcej. Władca much zabawia się, skazując tę krainę i jej mieszkańców na katusze.

Kazanie dobiegło końca. Gdyby w Hansie pozostała chociaż szczątkowa wiara Gretchen, podziękowałby Bogu. Lecz nie było już Boga, któremu można by dziękować. Niczego już nie było.

Z trudem udało mu się odsunąć od krawędzi, za którą czekało samobójstwo. Kusilo go, i to często, lecz...

Zaczerpnął głęboko powietrza. Wciąż gapił się w ziemię, trzymając przed sobą mocno splecione dłonie.

Ale nie splatał ich w geście modlitwy; Hans Richter po prostu uświadomił sobie, że jeszcze nie wszystko stracił. Wciąż miał coś, co mógł nazwać swoim własnym, coś, czemu mógł wiele z siebie dać.

„Rodzina. Została mi rodzina. Będę ją chronił najlepiej jak potrafię. Reszta się nie liczy”.
ffiazbzwł 16

- Ilu, jak myślisz? - zapytał Mackay.

Andrew Lennox zmrużył krótkowzroczne oczy. I wtedy przypomniał sobie o podarunku od Amerykanów, wyciągnął okulary i je założył. Po jakichś pięciu sekundach obserwacji był już gotów wyrazić swój osąd.

- Dwa tysiące. Stosunek dwa do jednego, może nawet mniej. Tilly jest bardziej konserwatywny niż Gustaw Adolf, a to jest jedna z jego słabiej uzbrojonych jednostek. Nie mają żadnej artylerii.

Mackay skinął głową.

- Tak właśnie szacowałem.

- Dwa do jednego? - spytał stojący obok Mikę.

- Stosunek pikinierów do arkebuzerów - wyjaśnił mu Mackay. Szkocki oficer wskazał zbliżającą się do ich własnych sił ciasno zbitą masę ludzi. -Widzisz tę formację? To jest typowe hiszpańskie tercio. Wszystkie armie Habsburgów wykorzystują w bitwie, chociaż armia cesarska preferuje większą liczbę arkebuzów niż Hiszpanie. Robi wrażenie, nieprawdaż?

Mikę przyjrzał się nadciągającemu wojsku. Nie mógł nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Bez wątplenia robiło wrażenie. Armia cesarska przypominała mu szarżującego gigantycznego mastodonta z błyszczącymi ciosami.

„I zaraz będą tak samo wymarli”.

Najemnicy Tilly'ego tworzyli zwarty prostokąt, szeroki na jakieś pięćdziesiąt rzędów i długi na czterdzieści szeregów; pierwsza linia miała najwyżej pięćdziesiąt metrów. Ludzie w szeregach rozstawieni byli w odległości niespełna metra jeden od drugiego, a rzędy były jeszcze bardziej ściśnięte. Formacja była

138

Erie Flint

tak zwarta, że nawet po otwartym i równym terenie, który niegdyś był polem uprawnym, mogli się poruszać jedynie powoli i statecznie. Mikę wiedział (z tego, co powiedzieli mu Mackay i Lennox), że gdyby Tilly przybył tutaj osobiście wraz z całą swoją armią, nadchodzące tercio byłoby jedną z szesnastu czy siedemnastu podobnych jednostek. Byłyby ustawione jedna obok drugiej, niczym żywy lodowiec. Wolne jak lodowiec i równie trudne do zatrzymania.

Jądro formacji stanowili pikinierzy. Dzierżyli olbrzymie, długie na cztery i pół metra piki, które lśniły w świetle pochmurnego dnia. Na obu skrzydłach ustawionych było pięciuset arkebuzerów. Ich głównym zadaniem było odpieranie ataków uzbrojonej w pistolety kawalerii i ostrzeliwanie nieprzyjaciela, ale od ponad stu lat to szarża pikinierów rozstrzygała o wyniku bitew.

Taka przynajmniej była teoria i praktyka ówczesnych czasów. Frank Jackson, stojący po lewej ręce Mike'a, wypowiedział jego myśli na głos.

- Oto kandydaci do wymarcia. Jedna bomba kasetowa załatwiłaby całą tę hołotę.

- Nie mamy bomby kasetowej - zauważył delikatnie Mike.

- Ludowa Armia Wietnamu też nie miała - parsknął Frank. - Ale mówię ci, tamte twarde kurduple w czarnych piżamach z miejsca pokochałyby tych koleśków. Zbliża się mielone w zestawie z nuoc mam.

Mike skrzywił się. Frank przywiózł z wojny żonę Wietnamkę. Przez te kilkadziesiąt lat Diane Jackson (zamerykanizowała swoje imię) nadzwyczaj dobrze się zaadaptowała, wciąż jednak upierała się, żeby choć raz w miesiącu gotować jakiś posiłek z tym obrzydliwym wietnamskim sosem rybnym.

- Nuoc mam - powtórzył Frank. W innych okolicznościach tak wyraźny zachwyty pobrzmiewający w jego głosie byłby nieco dziwny. Chociaż Frank miał bzika na punkcie swojej małżonki, do owego sosu rybnego pisał taką samą miłością, jak każdy inny rodowity Amerykanin.

Przysłuchujący się rozmowie Mackay nie zrozumiał poszczególnych słów Franka, ale pojął ich sens.

- Aż tak jesteś pewien? - Szkot wskazał palcem na zbliżających się nieprzyjaciół. - Mają nad nami dwukrotną przewagę. - Zerknął w lewo, gdzie zebrano protestanckich najemników Ernsta Hoffmana. W sumie było ich jakieś pięć setek, ale ich szyk był tak nieregularny, że nie dało się dokładnie policzyć. - Wliczając w to tamtą żalną zgraję, która rozpierzchnie się przy pierwszej lepszej okazji.

Mike wzruszył ramionami.

- Nawet w najmniejszym stopniu nie polegamy na tych zbirach Hoffmana. Sprowadziłem ich tutaj tylko po to, żeby ich wyciągnąć poza mury miasta.

Niewielka amerykańsko-szkocko-protestancka armia zebrała się mniej więcej pół kilometra na północ od Badenburga. To niespotykane, że miasto tej wielkości (liczba ludności wynosiła mniej niż sześć tysięcy) było otoczone murami. Właśnie te mury w dużej mierze zdeterminowały strategię polityczną,

jaką Mike opracował w ciągu minionych dwóch tygodni. Hoffman był niechętny - delikatnie rzecz ujmując - żeby ryzykować wyprowadzenie swych najemników na otwarty teren, jednak Mike nalegał, a Mackay dodał na osłodę część pieniędzy należących do króla Szwecji.

Mike dostrzegł, że młody szkocki oficer posyła mu dziwne spojrzenie. Cóż, może wcale nie takie dziwne. Mackay wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku, jakiego doznał, gdy Amerykanin wyjawiał swoje zamiary. Pokonanie najemników Tilly'ego było tylko pierwszą częścią jego planów. Oswobodzenie Badenburga, jak wyjaśnił Mike, wymagało też rozprawienia się z protestanckimi najemnikami. Zdecydowanie i -jeśli trzeba będzie -bezlitośnie. Nawet Lennox był pod wrażeniem bezwzględności Mike'a.

- Owszem, Mackay, aż tak jestem pewien. - Mike objął spojrzeniem własną linię bojową. Członkowie ASG, wspierani przez najstarszych licealistów, leżeli na brzuchu schowani za przedpiersiem z kłód. Było ich dokładnie dwustu osiemdziesięciu dziewięciu. Wszyscy mieli na sobie kamuflaż myśliwski i wszyscy byli uzbrojeni w karabiny o dużym zasięgu.

Mackay zgodził się, choć niechętnie, żeby Amerykanie obsadzili środkowe pozycje. Jego konnica, podzielona na dwa równe oddziały, zajęła pozycje na flankach. Kiedy Mike przedstawił swoje zamiary, reszta Szkotów okazała się równie sceptyczna jak Mackay.

„Pościg? - Khem, khem. - Czy to, tak jakby, nie zakłada, że już się pokonało nieprzyjaciela?” Mike lekko się uśmiechnął. Nie sądził, żeby za pół godziny Szkoci nadal byli tak sceptyczni. Wróg był oddalony już o niespełna dwieście metrów. Tercio maszerowało przez otwarty teren z niemal żółwią prędkością.

- Gdybym chciał - powiedział łagodnie - mógłbym tę bitwę skończyć już teraz. Wasi arkebuzerzy nie są w stanie trafić z odległości większej niż pięćdziesiąt metrów, nawet strzelając salwami, a przeładowanie zajmuje im całą minutę. Wiem, że uważasz, iż nasza taktyka jest dobra tylko dla harcówników, ale jeszcze nigdy nie widziałeś karabinów

odtylcowych w akcji. Przy naszej celności i szybkości strzału moglibyśmy zabić połowę tej armii, zanim jeszcze bylibyśmy w jej zasięgu.

Mike wskazał palcem na kucających w dole strzelniczym górników. Dół znajdował się na lewej flance Amerykanów.

- Mnie nie chodzi tylko o to, żeby wygrać. Mnie chodzi o to, żeby ich przerazić, a wraz z nimi także bandytów Hoffmana. Tak więc jeszcze chwilę poczekamy, zanim opadnie młot.

Mackay wpatrywał się w kucających w jamie mężczyźn. Właśnie skończyli majstrować przy broni, choć było to naprawdę zbyteczne. Ci mężczyźni w średnim wieku byli po prostu podenerwowani. Czasy Wietnamu już dawno mieli za sobą, a od tej pory żaden z nich nie strzelał z M-60. '

140

Erie Flint

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że ukradłeś to cholerstwo - szepnął Mike do Franka.

Jackson wcale nie wydawał się speszony.

- O co chodzi? Doszedłem do wniosku, że armia jest mi coś winna. -Wzruszył ramionami. -

Aleja to nic. Znałem gościa, który przesznułował z Wietnamu całą haubicę.

Mike zachichotał. Niecałe trzy tygodnie wcześniej nieco zawstydzony Frank zaprowadził Mike'a i Dana Frosta do lasu za swoim domem. To właśnie tam zakopał przed laty ukaem30 wraz z trzema skrzyniami amunicji.

- Na litość boską, Jackson - warknął Dan, gdy Frank wyciągnął pieczołowicie zapakowane urządzenie z kryjówki. - To jest tak cholernie nielegalne, że powinienem rozwiesić w całym mieście plakaty „poszukiwany”. - Komendant potarł lewą rękę, wciąż unieruchomioną na temblaku. - Masz szczęście, że oficjalnie jestem na chorobowym.

Owszem, wtedy Frank był zażenowany.

- To nie to, że jestem jakimś durniem, który zabezpiecza się na wypadek wojny -próbował się tłumaczyć. - Po prostu... A, cholera, byłem jeszcze dzieciakiem. Wtedy traktowałem to bardziej jako kawał niż cokolwiek innego.

Ale wtedy było wtedy, a dzisiaj jest dzisiaj, i Mike bardzo się cieszył z tego, że mająuniwersalny karabin maszynowy M-60. Bogiem a prawdą, był zachwycony.

Najemnicy Tilly'ego byli już w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Rozdzielili swoje siły.

Główna część formacji w dalszym ciągu podążała wprost na Amerykanów znajdujących się pod Badenburgiem, jednak około pięciuset żołnierzy ruszyło naprzeciw ludzi Hoffmana.

Protestancy najemnicy, płochliwi jak małe kotki, uparli się, żeby obsadzić pozycje nieco po lewej, tuż przy drodze prowadzącej z powrotem do Badenburga i jego bezpiecznych murów.

Mike po raz ostatni ogarnął spojrzeniem pozycje Amerykanów, a potem spojrzął przez lewe ramię na oddalony o jakieś trzydzieści metrów mały pagórek. Stojący na jego szczycie Greg Ferrara wykonał szybki gest. Kciuki do góry.

Miał nadzieję, że pewność nauczyciela przedmiotów ścisłych przeobrażonego w oficera artylerii jest uzasadniona. Ferrara i jego nadzwyczaj utalentowani uczniowie zbudowali rakiety. Czy jednak sprawdzą się one w prawdziwej bitwie, miało się dopiero okazać.

Frank najwyraźniej podzielał wątpliwości Mike'a.

- Mam tylko nadzieję, że nas nie trafią tym dziadostwem - mruknął.

- Nie trafią- dobiegł głos zza ich pleców. Pomimo młodzieńczego brzmienia, słowa zostały wypowiedziane z niezachwianą pewnością siebie.

Mike uśmiechnął się.

„No proszę, D'Artagnan i trzech muszkietierowie”.

Głos należał do Jeffa Higginsa. Jeff był jednym z „cudownych dzieci” Ferrary. Mimo że on i jego trzech najlepsi przyjaciele odegrali istotną rolę

w projektowaniu rakiet, ich bojowe zadania były jednak inne. Larry Wild, Jimmy Andersen i Eddie Cantrell, tak samo jak Jeff, entuzjasmowali sięjazdą terenową na motorach. Mike

zdecydował, że wykorzysta ich dziś jako gońców; ich motocykle idealnie się do tego nadawały.

Nie przypuszczał, żeby potrzebni mu byli aż czterej gońcy, ale chłopcy byli praktycznie nierozłączni. Tak było nawet przed Ognistym Kręgiem, lecz od czasu katastrofy trzymali się siebie niemal kurczowo.

Mikę westchnął na myśl o ich położeniu. Rodziny zamieszkujące Gran-tville pozostały właściwie nienaruszone. Szczęśliwym trafem katastrofa miała miejsce w niedzielę, kiedy niemal wszyscy byli w swych domach. Nawet górnicy, którzy przyjechali do miasteczka na wesele Rity, przywieźli ze sobą żony i dzieci.

Były jednak rozdzierające serce wyjątki. Bill Porter, kierownik elektrowni, stracił całą rodzinę. Sam był wówczas w elektrowni, lecz jego żona i dzieci nie mieszkali w Grantville. Zostali tam, gdziekolwiek było owo „tam”. Kilka innych osób było w takim samym położeniu; podobnie jak Bill, starali się zagłuszyć smutek, rzucając się w wir pracy i pocieszając się świadomością- lub chociażby nadzieją - że ich rodziny wciąż żyją i mają się dobrze.

Ale nikt nie był w równie złej sytuacji, jak ci chłopcy. Tylko Jeff i Lany Wild mieszkali w Grantville. Żyli na kempingu, w dwóch przyczepach niedaleko jarmarku. Jimmy Anderson i Eddie Cantrell, którzy mieszkali w Barrac-ville, byli u nich w odwiedzinach. Rodziny Jeffa i Larry'ego wyjechały na jeden dzień i czterech nastolatków postanowiło skorzystać z okazji i nacieszyć się niezakłóconą towarzysztwem dorosłych sesją Dungeons and Dragons.

Z wyjątkiem Jeffa żaden z nich nie miał jeszcze osiemnastu lat. A teraz -praktycznie rzecz biorąc, sieroty - znaleźli się w realiach znacznie bardziej okrutnych niż jakikolwiek świat fantasy.

- Najwyższy czas - powiedział Jackson.

Mikę odsunął wszystkie myśli na bok. Nieprzyjaciel był już w odległości stu metrów.

- Ty tu jesteś ekspertem, Frank - rzekł. - Ty dajesz sygnał. Frank przyłożył dłonie do ust.

- Ognia! - krzyknął.

M-60 eksplodował. Mężczyzna obsługujący broń strzelał jak prawdziwy weteran - seriami, po trzy do sześciu pocisków każda. Terkoczący ukaem zaczął wyrwać dziury w ciasno zbitym przednim szeregu wroga. Z tej odległości pdciski kaliber 7,62 x 51 milimetrów były w stanie przebić człowieka w zbroi na wylot, po czym zabić tego, kto stał za nim.

M-60 został ustawiony na lewym skrzydle, tak żeby był maksymalnie skuteczny. Strzelec miał przed sobą praktycznie całą flankę i robił z tego doskonały

142

Erie Flint

użytek. Po upływie niecałych dwóch sekund wszyscy mężczyźni ukryci za przedpiersiem wsparli go ogniem karabinowym.

Pozornie niepowstrzymane tercio zachwiało się. Pierwszy szereg runął niczym oderwane od lodowca bryły. M-60 znowu eksplodował i kolejny szereg został roztrzaskany. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Przypominało to koszenie łąnów pszenicy.

Mikę był zdumiony reakcją żołnierzy, którzy przyjmowali na siebie grad pocisków.

Spodziewał się, że ich szeregi natychmiast się załamają, tymczasem tercio uparcie parło naprzód. Mało tego, na widok potwornych strat pikinierzy z jeszcze większą zaciętością ruszyli do walki. Ludzie w tylnych szeregach potykali się o leżące przed nimi ciała, ale wciąż szli do przodu. Niektórzy próbowali nawet wyrównać szyki.

„Boże, ależ ci ludzie są twardzi! Do tego trzeba zajebistej odwagi”.

- Właśnie na tym polegała taka wczesna wojna na proch, Mikę - wyszeptał Jeff Higgins, jakby czytał w jego myślach. - Waleczność, nieustraszona waleczność. Bycie pikinierem czy muszkietierem nie było - nie jest - wielką filozofią. Nawalać, dopóki ktoś nie odpuści. Tak są wyszkoleni.

Mikę nie wątpił w te słowa; wiedział, że historia wojskowości była jednym z koników Jeffa i jego przyjaciół. Lecz jemu brakowało w tej kwestii takiej nonszalancji „znawcy”. Sam nie był już nastolatkiem i znacznie lepiej niż ci chłopcy zdawał sobie sprawę, jakiej postawy wymaga od człowieka zbieranie takich ciężów.

„Mówcie o tych sukinsynach, co chcecie. Mordercy, złodzieje i gwałciciele, owszem, ale niech mi nikt nie mówi, że brakuje im odwagi”.

Wreszcie arkebuzerzy wroga zdołali oddać salwę z obydwu skrzydeł. Z tej odległości mało który pocisk doleciał w pobliże Amerykanów. Zanim najemnicy zdążyli przeładować, M-60 znowu rozbiło ich pierwszą linię w drzazgi.

Jednak pomimo całego tego spustoszenia, jakie ukaem się w szeregach tercio, większość żołnierzy ginęła od kul karabinowych. Prawie każdy strzelający był doświadczonym łowcąjeleni, a większość starszych mężczyzn miała też za sobą doświadczenia wojenne. Strzelanie z nowoczesnych karabinów w grupę ludzi z odległości mniejszej niż sto metrów było przy tego typu broni jak przystawienie komuś lufy do skroni. Mało który pocisk chybiał celu, a broje, które tamci mieli na sobie, nie były stworzone z myślą o kulach pędzących z taką prędkością.

Po późniejszych oględzinach okazało się, że ponad dwustu najemników Tilly'ego padło właśnie od kul karabinowych. Drugie tyle było rannych, a wszystko to stało się w niecałą minutę. Dla porównania, pociski z ukaemu trafiły mniej niż dwustu ludzi, z czego większość tylko raniły. Jednym z powodów mogło być to, że Frank kazał oszczędzać amunicję. Te trzy skrzynie to był cały zapas, jaki mieli.

Ale...

Ihr

To właśnie M-60 złamał przeciwnika. Jeden na pięć nabołów był pociskiem smugowym.

Tego pochmurnego dnia pociski smugowe zdawały się być falami magicznego ognia.

Ludziom Tilly'ego wydawało się, że gromią ich pociski z różdżki czarnoksiężnika. A chwilę później również ogień z paszczy smoka. Pewność Ferrary i Jeffa była uzasadniona. Głowice rakiet nie były specjalnie potężne, lecz same pociski frunęły szybko i trafiały w cel.

W końcu środek tercio ustąpił pod naporem miażdżących ciosów M-60. Rakiety wyrwały dziury w siłach wroga; w pierwszych pięciu szeregach -i w następnych, i w następnych, i w następnych - ludzie usychali w ogniu wybuchających pocisków. Nie minęły nawet dwie minuty od chwili rozpoczęcia bitwy, a dumna i pewna siebie mała armia, która maszerowała na Badenburg, stała się kompletną ruiną.

Alexander Mackay bynajmniej nie był jedynym Szkotem, który popełnił grzech bluźnierstwa.

- Jezu Chryste, Baranku Boży - szeptał. - Jezu Chryste, Baranku Boży. Andrew Lennox nie przyłączył się do złamania przykazania, ale nie dlatego,

że był bardziej religijny, tylko dlatego, że zwyczajnie był bardziej zaprawiony w bojach. Jego rumiana twarz może tylko nieco zbladła, lecz ani na moment nie oderwał swego zimnego spojrzenia od pola bitwy.

- Ludzie Hoffmana są pokonani - oznajmił wreszcie. - Parszywi tchórze, wystrzelili najwyżej jedną salwę. - W jego głosie słyhać było absolutne potępienie. Przemawiający przez tego weterana Jan Kalwin i John Knox oskarżali o najcięższy z grzechów, jakie mógł popełnić siedemnastowieczny żołnierz. „Nie przyjęli tego jak mężczyźni”.

Mikę spojrział w lewo. Rzeczywiście protestanczy najemnicy wycofywali się przed katolickimi żołnierzami. Lata służby garnizonowej zmieniły żołnierzy Hoffmana w bandę prostych oprychów, bandziorów, którzy musieli na polu bitwy stawić czoła prawdziwym żołnierzom. Teraz pędzili ile sił w nogach w stronę drogi, a ludzie Tilly'ego deptali im po piętach.

Mikę wykrzyknął rozkaz, a za moment dwukrotnie go powtórzył. Amerykanie przestawili karabiny (nierówno, gdyż górnikom i licealistom daleko jeszcze było do wyszkolonej armii) i

zaczęli strzelać w katolickie wojska, które oderwały się po lewej stronie. Chociaż odległość była duża, najemnicy zaczęli padać. Mężczyźni w dole strzelniczym także rozpoczęli przestawianie karabinów maszynowych, ale Frank wrzasnął, że mają nie strzelać. Widać było, że M-60 nie będzie konieczne, a trzeba było oszczędzać amunicję.

- Chyba już? - Mikę zwrócił się do Mackaya.

Szkot wciąż był w zbyt wielkim szoku, żeby myśleć. Lennox potrząsnął go za ramię.

- Tak, chłopcze, on ma rację. Do dzieła. - W kolejnych słowach pobrzmiwała czysta satysfakcja. - Za nimi.

144

Erie Flint

Tymczasem obydwie skrzydła armii najemników Tilly'ego zdążyły się już załamać, a wszyscy, którzy ocalili, wycofywali się w nieładzie. Mikę nakazał wstrzymać ogień. Amerykanie znów odrobinę nierówno wykonali jego rozkaz. Potem Mackay wraz z dwustu pięćdziesięcioma szkockimi kawalerzystami wypadli na pole bitewne, gdzie udało im się osaczyć wroga i nakazać złożenie broni. Ci, którzy stawiali opór lub kontynuowali ucieczkę, padali od bezlitosnych ostrzy szabli i kul z pistoletów.

Bitwa dobiegła końca. Dla Mike'a było to pierwsze takie przeżycie i z trudem udało mu się powstrzymać mdłości.

- Czy to zawsze tak wygląda? - wyszeptał. Frank potrząsnął głową.

- To nie była bitwa, to była rzeź. - Weteran z Wietnamu spoglądał na zaścielające pole ciała; gdzieś tam były ich całe sterty. - Teraz prawie mi żal tych sukinsynów. Prawie.

- Mikę, zaczyna się - wtrącił Jeff Higgins, wskazując w lewo.

Mikę podążył wzrokiem w tym kierunku. Na widok całkowitej i niespodziewanej klęski wroga protestanci najemnicy Hoffmana zaczęli się ponownie gromadzić. Ich przywódca jechał okrakiem na koniu i wymachiwał szablą, wskazując ostrzem na północ. Naprzód.

Wiadomo było, że chodzi mu o obóz katolicki, teraz już niestrzeżony i na wyciągnięcie ręki.

Podczas walki najemnicy Hoffmana nie byli warcami złamanego grosza, lecz Mikę nie wątpił, że w plądrowaniu, łupieniu i grabieży okaza się ekspertami.

Mackay i Lennox nie byli zaskoczeni; on przewidzieli taki rozwój wydarzeń w razie zwycięstwa Amerykanów.

Bitwa była wygrana, lecz walka jeszcze nie dobiegła końca. Mikę miał zamiar oswobodzić Badenburg. Od wszystkich wrogów.

- Dobra, Jeff - powiedział - pojedziesz tam z kumplami. Natychmiast. Spróbujcie dać ludziom Hoffmana ostrzeżenie. Najprawdopodobniej was nie posłuchają, aleja nie chcę, żebyście ryzykowali, dlatego nic nie róbcie, dopóki nie przybędą posiłki.

Jeff skinął głową i już po chwili wszyscy czterej koledzy pędzili na motorach w takt ryczących silników.

- Pamiętajcie, do cholery, macie czekać! - krzyknął Mikę w ślad za odjeżdżającymi chłopcami.

- Mała szansa - mruknął Frank. - Właśnie patrzysz na czterech rycerzy w lśniących zbrojach. Po prostu, kurwa, paladyni z D&D.

Mikę odwrócił się do niego z uśmiechem.

- No to dajmy im wsparcie. Wezwać pancernych.

^zbzbd 17

Gretchen wiedziała, że bitwa jest przegrana, już w chwili, gdy usłyszała, że karabin maszynowy otworzył ogień. Nie miała pojęcia, skąd się wzięło to dziwne staccato, lecz wiedziała, że nie jest to dzieło oprychów Tilly'ego. Przez dwadzieścia lat swego życia Gretchen zdążyła się już nauczyć najważniejszej w życiu lekcji: oczekuj najgorszego.

Ogarnął ją lęk o brata. Hans, biedny mały Hans, z pewnością jest gdzieś na samym froncie, bo żołnierze Ludwiga uchodzili za „elitę”, a najemnicy przykładali dużą wagę do takich ocen.

Szybko jednak odsunęła od siebie te troski. Nic nie może zrobić dla Hansa, a trzeba zaopiekować się pozostałymi członkami rodziny. Zlustrowała okolicę w poszukiwaniu kryjówki. Nieprzyjaciel wkrótce się pojawi, owładnięty szałem zwycięstwa.

Najpierw pomyślała o oddalonych o jakieś półtora kilometra lasach.

„Zbyt daleko”. Sama dałaby radę, zanim nadejdą bestie, Annalise chyba też. Ale musiałyby porzucić resztę rodziny: babkę, dzieciaki, niemowlę, dziewczynę z ranną nogą, nową dziewczynę z chorym umysłem...

„Czyli gdzie?”

W pobliżu ich obozu stała do połowy spalona chata. Gretchen przeszukała ją poprzedniego wieczoru, żeby sprawdzić, czy można tam spać, ale wybrała jednak otwarty teren, gdyż powała w każdej chwili groziła zawaleniem.

„Nie, potwory od razu tam zajrzą. Czyli gdzie?”

Jej wzrok padł na mały wychodek, ale natychmiast, bez zastanowienia odrzuciła ten pomysł.

Jej spojrzenie powędrowało dalej. Potem zatrzymało się i wróciło.

146

Erie Flint

Jej mózg skurczył się pod czaszką niczym mysz w dziurze. Dreszcz przerażenia przebiegł jej po skórze.

Jednak...

„Jest dawno opuszczony. Może...”

Podeszła do wychodka. Cienkie ściany były rozklekotane, brakowało kilku desek. Drzwi zwisały na skórzanych zawiasach. Otworzyła je i zajrzała do środka. Najpierw sprawdziła zapach.

„Nie tak źle. Dawno nie używany”.

Siedzenie było dokładnie takie, jak opisała jedna z krewnych, którą Gretchen wysłała na zwiady. Deska z wyciętą pośrodku dziurą była na wpół przegniła. To dlatego nikt nie używał wychodka, gdyż można było wpaść do środka.

Gretchen omal nie zachichotała. „Można wpaść!”

Obrzydzenie i mdłości dodały jej sił. Chwyciła deskę i uniosła ją w górę. Spojrzała w dół i odetchnęła z ulgą.

„Prawie pusto. Smród jest ohydny, ale powietrza wystarczy”.

W dziurze było ciemno, lecz nie na tyle, żeby Gretchen nie dostrzegła gnieźdzących się na ścianach pajaków. Niektóre z nich były jadowite.

„Są gorsze rzeczy niż pająki. Znacznie gorsze”.

Już po chwili Gretchen wydawała polecenia. Rodzina była nieco zdezorientowana, ale posłusznie wykonywała rozkazy. Wkrótce wszyscy zgromadzili się wokół wychodka, ciągnąc za sobą cały dobytek.

Najpierw Gretchen wepchnęła do dziury podartą pościel, aby zapewnić jakąś osłonę dla bosych stóp, przynajmniej przez chwilę.

Gdy już się z tym uporała, postanowiła zrobić selekcję. Zaczęła od dziewcząt, które były na tyle dojrzałe, że mogły się czuć zagrożone. Zabrała Wilhelma z ramion babki i wepchnęła go w ramiona młodszej siostry, An-nalise.

- Weź go i schowajcie się w latrynie. Już!

Annalise zbladła, lecz wyraz twarzy Gretchen odebrał jej ochotę do sprzeciwiania się.

Dziewczyna została szybko opuszczona do jamy, a następnie wręczono jej niemowlę.

Na widok pajaków wzdrygnęła się i jęknęła.

- Stój spokojnie! - syknęła Gretchen. - Zostawię cię w spokoju, jeśli nie będziesz się ruszać. I nie oddychaj głęboko.

Annalise była biała jak ściana; najwyraźniej starała się zapanować nad żołądkiem. Odór był niewyobrażalny, ale Gretchen za bardzo była zajęta oszacowywaniem wielkości jamy, żeby się tym przejmować.

„Zmieszczą się jeszcze trzy” - uznała. Odwróciła się i zawołała Elisabet oraz Mathilde, dziewczyny w tym samym wieku co Annalise. Piszczwały i krzyczały, lecz z Gretchen nie było żadnej dyskusji.

„Czyli kto?”

Jej wzrok padł na młodą chłopkę, którą niedawno przyprowadzono do obozu. Dziewczyna nie była ładna; miała tak pospolitą, że aż wręcz brzydką twarz, a jej figura przypominała wór z ziemniakami. Lecz była młoda - miała nie więcej niż szesnaście lat - a to w zupełności wystarczy.

Na wpół przytomny wyraz twarzy dziewczyny przekonał Gretchen. „Kolejnego razu nie przeżyje. Zwłaszcza jej umysł.”

- Właż - rozkazała, wskazując na latrynę. Dziewczyna spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem. - Właż - powtórzyła i wyciągnęła rękę.

Dziewczyna w końcu pojęła i wybałuszyła oczy.

- Właż. - W głosie Gretchen czuć było żelazo. - To jest tylko brud, głupia dziewczyno. Paskudztwo, ale od tego nie umrzesz.

Dziewczyna wciąż stała z otwartymi ustami.

- Kretynko! - syknęła Gretchen. - To jest jedyne miejsce, w którym nie będą szukać kobiet. Wreszcie pojawiło się zrozumienie, a wraz z nim strach. Dziewczyna weszła do wychodka, ale była tak rozdygotana, że ledwie trzymała się na nogach. Gretchen była bardzo silną kobietą, więc chwyciła ją pod pachy, dźwignęła i opuszczała do dołu z nieczystościami.

Potem kiwnęła z zadowoleniem głową.

- Jeżeli ktokolwiek podniesie pokrywę - przykazała czterem dziewczynom - macie opuścić głowy i przywrzeć do ścian, tak żeby nikt was nie zobaczył. I nie bójcie się pajaków.

- Pamiętaj, żeby zakryć dziecku buzię, jak tylko zaczną płakać albo krzyczeć - rzekła do Annalise.

-A jeśli... Nie mogę zbyt długo zakrywać mu twarzy. Udusi się.

- Jeśli otworzą pokrywę, to przy takim smrodzie nie dłużej niż na sekundę, góra dwie. Poza tym... na górze będzie taki hałas, że nikt nie usłyszy płaczu niemowlęcia.

Do tej pory Gretchen niezbyt uważnie wsłuchiwała się w odgłosy bitewne, lecz teraz skupiła na nich całą swoją uwagę. „Tamci wygrywają. Niedługo tu będą”.

Prędko chwyciła pokrywę i zakryła nią otwór. Jedyne dziura w drewnianej klapie była tak mała, że ukryte w środku cztery dziewczęta i niemowlę były praktycznie niewidoczne.

Zadowolona, że zrobiła dla nich wszystko, co w jej mocy, Gretchen opuszczała wychodek i na powrót zamocowała drzwi. Następnie szybko zbadła wzrokiem cały teren. Obóz był pogrążony w chaosie. Setki ludzi biegało i wrzeszczało, wielu zaczęło uciekać na północ.

Przez chwilę kusiło ją, żeby podążyć w ślad za nimi. Była wystarczająco młoda i zdrowa, żeby dostać się pod osłonę lasu jeszcze przed nadejściem nieprzyjaciela. Ale musiałaby porzucić babkę i całą resztę podopiecznych.

148
Erie Flint

„Nie”.

„Czyli co?”

Nie czekała na odpowiedź dłużej niż pięć sekund. „Nic. Przetrwać i tyle”.

Wciąż otaczał ją niewielki tłumek starszych kobiet i dzieci. Gretchen zaprowadziła je na znaczną odległość od wychodka; może tutaj będą względnie bezpieczne. One same były dla żołnierzy bezużyteczne, a poza łachmanami niczego innego przy sobie nie miały.

Jedna z kobiet upadła na kolana i zaczęła się modlić. Po kilku chwilach dołączyły do niej pozostałe.

Gretchen jednak stała. Jaki sens ma modlitwa? Nie obawiała się o swoją duszę, a znęcanie się nad jej ciałem kiedyś musi się skończyć. Chciała tylko obronić swój umysł, lecz modlitwa była tutaj marną pomocą.

Zaczęła oczyszczać umysł ze wszystkich myśli. Ostatni obraz Hansa maszerującego prosto na pole bitwy, ostatni błysk żalu... Nic. Pusto.

Jej oczy spoglądały na szarżujących w oddali mężczyzn. Słyszała ich okrzyki, lecz jej mózg nie rozróżniał już żadnych słów.

Skupiła się głównie na zmyśle dotyku. Wymacała palcami mały nóż, który Hans ukradł dla niej wiele miesięcy temu. Nóż był ukryty w gorsecie, pod pachą, we własnoręcznie uszytym futerale. Żołnierze nie będą tam szukać; nie pofatygują się nawet, żeby zdjąć jej sukienkę. Dotyk noża przyniósł jej ostateczną pustkę. Gdy tak czekała, ani razu nie pomyślała o samobójstwie. Przeżyje, jeśli tylko będzie to możliwe. A nóż jest na wszelki wypadek, gdyby żołnierze - byli już bliżej, znacznie bliżej - zagrażali jej życiu. Gretchen już dawno temu postanowiła, że nie opuści ziemskiego padołu, nie zabierając ze sobą jednego z tych diabłów. To chyba właśnie otucha płynąca z posiadania noża sprawiła, że jej umysł pozostawał pusty tak długo po tym, jak stał się cud. A może sprawiła to osobliwość samego cudu.

Gretchen słyszała kiedyś historię o rycerzach w lśniącej zbroi. Dziadek przeczytał jej tę opowieść z książki, którą pożyczył. Miała wtedy dziesięć lat. Wojna dopiero co wybuchła, była zaledwie pogłoską z terenu Czech. Mimo młodego wieku Gretchen uznała ową historię za niedorzeczną.

Nie wierzyła w rycerzy. W uzbrojone i opancerzone bestie - owszem, ale w rycerzy - nie. Nie zdziwił jej więc widok czterech dziwacznie odzianych chłopców, którzy pędzili ku niej na najbardziej cudacznych - i hałaśliwych - machinach, jakie w życiu widziała.

Może to diabły. A ona nie lękała się diabłów.

Dotknęła noża.

Iluzja 18

Pierwszą rzeczą, jaką Jeff Higgins ujrzał pośród panującego w obozie chaosu, była postać kobiety. Samotna - między setkami ludzi krzyczących i biegających na wszystkie strony - stała bez ruchu. Bez ruchu, bez słowa i bez cienia strachu. Dłonie miała schowane pod pachami. I wpatrywała się

Motocykl natrafił na niewidoczną przeszkodę i Jeff omal nie stracił panowania nad pojazdem. Przez kilka szaleńczych chwil nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Na całe szczęście przechwałki o jego umiejętności jazdy na motorze były zgodne z prawdą, dlatego udało mu się uniknąć paskudnego upadku.

Gdy tylko podniósł wzrok, od razu dostrzegł tamtą kobietę.

Wciąż tam stała. Wciąż milczała i wpatrywała się w niego.

Na tyle, na ile Jeff mógł z tej odległości ocenić, twarz kobiety wydawała się pozbawiona wyrazu. Ale coś w niej przyciągało go niczym magnes. Skierował motocykl w jej kierunku, a trzech przyjaciół posłusznie ruszyli w ślad za nim.

Później koledzy żartowali z tamtej jego reakcji, lecz ich żarty były krzywdzące. Tym, co przyciągnęło do niej Jeffa, był tylko i wyłącznie fakt, że wydawała się samotną oazą normalności w świecie, który postradał zmysły. Jaśnie-jącyrti posągiem, górującym nad mrowiskiem ludzi, którzy pędzili przez labirynt prowizorycznych namiotów i szałasów.

Dopiero gdy zatrzymał się z poślizgiem jakieś pięć metrów od niej, był w stanie dobrze jej się przyjrzeć.

150

Erie Flint

„Ja pierdziele. Ona jest... Ja pierdziele”.

Nagle sparaliżowała go nieśmiałość - jak zawsze w towarzystwie pięknych, młodych kobiet. Zwłaszcza wysokich młodych kobiet, które otacza aura pewności siebie i wytworności. To, że owa kobieta miała na sobie sukienkę z pozszywanych szmat i była boso, a czoło miała umazane brudem, kompletnie się nie liczyło. Tym, co przykuło spojrzenie Jeffa i ścisnęło go za gardło, była jej twarz. Długie jasne włosy, jasnobrązowe oczy, prosty nos, pełne wargi, mocny podbródek i...

„Boże, jaka ona jest śliczna”.

Zakrztusił się.

Dobiegający gdzieś z tyłu głos Larry'ego Wilda ani trochę mu nie pomógł.

- Uwaga, Higgins wkracza do akcji - zażartował jego przyjaciel.

- Proszę pani - rzekł Jimmy Anderson wystarczająco głośno, żeby go usłyszano w Chinach - czy chciałaby pani zobaczyć mój komputer? Mam naprawdę wspaniałe Pentium...

Jeff zaczerwienił się.

- Zamknijcie się! - warknął, odwracając głowę. I w tym momencie jego spojrzenie padło na żołnierzy protestanckich, obok których przemknęli w drodze do obozu. Najemnicy byli teraz znacznie bliżej. Dzieliło ich już niespełna pięćdziesiąt metrów.

Cała trójka przyjaciół obróciła się na siedzeniach motocykli i wpatrzyła w pędzących ku nim najemników.

- Co robimy? - zapytał Eddie Cantrell.

- Mike powiedział, żeby im dać ostrzeżenie - wymamrotał Lany - ale wątpię, żeby ci kolesie posłuchali jakiegokolwiek ostrzeżenia.

Jeff ponownie spojrzał na kobietę. Nadal wpatrywała się w niego. Jej twarz absolutnie niczego nie wyrażała; miał wrażenie, że odkąd pierwszy raz ją ujrzał, ani jeden jej mięsień nie drgnął. Jej umysł wydawał się totalnie pusty. Może jest opóźniona w rozwoju?

Potem Jeff dostrzegł klęczące wokół niej kobiety. Wszystkie coś mamrotały („modlitwy”) i szlochały.

Podniósł wzrok i spojrzał w oczy stojącej kobiety. Jasnobrazowe, puste, obojętne.

I wtedy przyszło zrozumienie, a wraz z nim wściekłość, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie czuł.

„Po moim trupie, kurwa!”.

Powoli i spokojnie opuścił podpórkę i zsiadł z motocykla. Następnie zdjął przewieszoną przez ramię strzelbę. Samopowtarzalną, kaliber 18,5 milimetra, nabitą grubym śrutem. Należała niegdyś do jego ojca, podobnie jak wiszący u pasa pistolet kaliber 9 milimetrów.

Ruszył w stronę zbliżających się najemników. Byli już mniej niż trzydzieści metrów od niego. Włożył nabój do komory.

Słyszał, że Jimmy krzyczy coś o Mike'u, ale nie rozumiał słów; jego uszy wypełniał odgłos burzącej się w nim krwi. Usłyszał za to odpowiedź Larry'ego i poczuł chwilowy przypływ braterstwa.

- Mike może mnie pocałować w dupę! Trzymaj się, Jeff, już lecę!

Gdy pierwszy z najemników był w odległości około piętnastu metrów, Jeff podniósł strzelbę na wysokość ramienia. Najemnik stanął jak wryty. Pozostałych dziesięciu mężczyzn poszło w jego ślady.

Jak przez mgłę dostrzegł falę kolejnych najemników, która rozbijała się o zatrzymaną przez niego gromadkę i sunęła w kierunku innych części obozowiska. Kątem oka dostrzegł, że jeden z nich przeładowuje arkebuz. Kolejni dwaj obracali w dłoniach swoje piki.

Na szczęście wszyscy ci, których zatrzymał, byli pikinierami. Może go staranują, lecz najpierw on kilku z nich zabije.

Chwilę później Larry stał po jego lewej ręce z uniesioną strzelbą, a Jimmy i Eddie osłaniali go z prawej strony. Oni również mieli strzelby w górze.

Jeff odetchnął z ulgą. Nie myślał, co robi, działał impulsywnie, ale teraz zdał sobie sprawę, w jak trudnej sytuacji się znalazł.

Tak naprawdę to znaleźli się. Nawet wspólnie z trzema przyjaciółmi - choćby i uzbrojonymi w samopowtarzalne strzelby - Jeff miał równie wielkie szanse na powstrzymanie tego kilkusetosobowego tłumu najemników, jak na zatrzymanie stada pędzących koni.

Jednak...

Oderwał wzrok od lufy i rozejrzał się wokół.

Tłum został powstrzymany.

Cóż, na swój sposób. Protestanci najemnicy otoczyli czterech amerykańskich chłopców. Ci, którzy byli najbliżej, wpatrywali się w nich intensywnie, reszta pchała się do przodu, żeby spojrzeć ponad ramionami towarzyszy. Jeff miał wrażenie, że część najemników przypuściła atak na obrzeża katolickiego obozowiska, lecz nie miał pewności. Wszędzie panował chaos.

- To jaki mamy plan, kemo sabe,]?' - wysyczał Larry.

Jeff nie miał najmniejszego pojęcia, co powinni zrobić. Był zdumiony, że najemnicy jeszcze ich nie zaatakowali. Uznał, że cała sytuacja po prostu tak ich zbiła z tropu, że nie wiedzieli, jak się mają zachować.

„W sumie ja też”.

I wtedy rozległ się radosny pisk Jimmy'ego, a zaraz po nim donośne trąbienie ciężarówki. Jeff Higgins z trudem powstrzymał dreszcze.

Można powiedzieć, że nadciągała siódma kawaleryjska. W przysłowiowej ostatniej chwili.

152

Erie Flint

Ciężarówki do przewożenia węgla, które Mikę i jego ludzie przekształcili w transporterzy opancerzone, tak naprawdę nie były pojazdami terenowymi, ale na płaskim terenie spisywały się wystarczająco dobrze. Kierowcy pędzili z szaleńczą prędkością. Sytuacji z pewnością nie ułatwiał fakt, że w przyspa-wanej do szoferki stalowej osłonie zostały tylko wąskie szczeliny, przez które mogli spoglądać na drogę.

Mikę trzymał się ze wszystkich sił, siedząc w szoferce jadącej na czele ciężarówki. Kierowca miał miękki fotel, on musiał się zadowolić twardym siedzeniem, które praktycznie nie amortyzowało skutków jazdy telepiącym się pojazdem.

Kierowca szarpnął za wiszący obok drzwi sznur i ponownie zatrąbił.

- Chcesz, żebym zwolnił? - zapytał.

- Nie! - wrzasnął Mikę. Wyjrzał przez szczelinę w stalowej płycie. - Szlag by trafił tych gówniarzy - burknął. - Powiedziałem: dajcie im ostrzeżenie, a ci... - Niewidoczna koleina omal nie zrzuciła go z siedzenia. - Bawią się w Davy'ego Crocketta pod Alamo32.

Jednak pomimo całego tego narzekania w jego głosie nie było najmniejszego śladu wrogości. Ujrzał w przelocie, jak czterech chłopców stoi naprzeciw olbrzymiej masy zbirów z wycelowanymi w nich strzelbami, i poczuł przyływ dumy.

„To jest właśnie, do cholery, moja szkoła!”.

- Zatrąb jeszcze raz - rozkazał. - Uwieś się na tym sznurze. I gaz do dechy. Jazda stała się jeszcze gorsza.

- Gdzie mam zaparkować, jak już tam dojedziemy? - zapytał kierowca.

- W ogóle nie parkuj. Wjedź prosto w tych bandziorów i zacznij okrążyć chłopaków. -

Wybuchnął śmiechem, widząc, że kierowca marszczy brwi. -No co, boisz się, że dostaniesz mandat?

I dodał ostro:

- Gównu mnie obchodzi, czy rozjedziesz pięćdziesięciu, czy więcej. Rób to, co ci mówię.

Przed oczami mignął mu szykownie odziany jeździec. To Ernst Hoffman. Kapitan najemników był w samym środku ciżby i wygłaszał jakąś mowę.

- Widzisz go? - zapytał. Kierowca skinął głową. - Celuj prosto w niego. Spróbuj go rozwalić.

Kierowca osłupiał, ale widząc posępną i nieubłaganą minę Mikę'a, zapomniał o jakimkolwiek sprzeciwie. Po chwili nawet się uśmiechnął.

- Tak jest. Potrącony jeleń - zaraz podaję.

Ciężarówka nie zdążyła jeszcze dotrzeć na miejsce, a najemnicy już przestali wpatrywać się w Jeffa i jego przyjaciół i odwrócili się, wytrzeszczając ślepia na widok szarżujących prosto na nich... potworów!

Tak naprawdę niewielu żołnierzy uznało nadjeżdżające ciężarówki za potwory. Ludzie w tamtych czasach znali już wagony, koła, zębaki, wały korbowe, szyby - czescy husycy

wynaleźli nawet ponad sto lat wcześniej swój własny transporter opancerzony - ale owe maszyny były, rzecz jasna, prymitywne i najemnicy głowili się nad tym, gdzie ukryto ciągnące to „coś” konie. Mimo to byli w stanie rozpoznać, że mają do czynienia z pojazdami, a nie z baśniowymi stworami.

Ale to nadciągające „coś” było większe od słonia i pędziło szybciej niż jakikolwiek pojazd, który widzieli w swoim życiu. Opancerzona szoferka wyglądała z bliska niczym mur obronny.

Wtedy właśnie dostrzegli z przodu tego czegoś szczeliny - a w stalowych bokach jeszcze większe szpary - i już wiedzieli. To „machiny wojenne”. Te szczeliny lada moment plną ogniem, takim samym, jaki unicestwił tercio Tilly'ego.

Rozpierzchli się jeszcze szybciej niż wtedy, gdy pikinierzy Tilly'ego przypuścili natarcie. W jednej chwili zapomnieli o plądrowaniu i grabieży. Najemnicy rzucili się do panicznej i bezładnej ucieczki.

* * *

Kiedy tylko Jeff i jego przyjaciele zrozumieli, co zamierza zrobić kierowca pierwszej ciężarówki, opuścili strzelby (zabezpieczone, tak jak ich nauczyli ojcowie i wujkowie) i przez kilka następnych minut wyli z radości. Pierwsza ciężarówka - a potem kolejna, i kolejna - bawiła się z Ernstem Hoffmanem w „berka”. Mimo jej morderczej wymowy, była to scena isticie komediowa.

Wreszcie koń przysadzistego dowódcy najemników zrzucił swego jeźdźca na ziemię. Ernst Hoffman już o własnych siłach zaczął uciekać po zdewastowanym terenie, który niegdyś był polem uprawnym, aż w końcu padł ze strachu i wycieńczenia.

Jedna z ciężarówek podjechała z warkotem i zatrzymała się. Ktoś z niej wysiadł. Dowódca najemników leżał na ziemi i wyglądał niczym robiąca bokami

Nawet z tej odległości Jeff był w stanie rozpoznać Mike'a Stearnsa. Jego twarz była nieco rozmazana, ale tego sportowego chodu nie można było pomylić. Dostrzegł, że Mikę się pochyla; coś błysnęło w jego dłoni. Wykręcenie Hoffmanowi rąk i skucie ich kajdankami zajęło zaledwie kilka sekund.

- Tak jest! - krzyknął Jeff, wymachując pięścią. - Moja szkoła!

Rozejrzał się wokół. Wszyscy najemnicy poddawali się. W szarzy brało udział dwanaście ciężarówek. Trzy z nich osłaniały obozowisko katolików, pozostałe (z wyjątkiem ciężarówki Mike'a) utworzyły spory krąg wokół kłębowiska żołnierzy protestanckich. Część najemników zdołała się wyrwać z kręgu, większość jednak składała broń i podnosiła ręce.

154

Erie Flint

- Cóż za owocny dzień! - wykrzyknął Lany. Chłopaka (a raczej młodego mężczyznę) aż rozpierała duma. - Dokładnie tak, jak zaplanował Mikę. Przy-pieprzyliśmy i katolickim najemnikom, i tym protestanckim draniom. - Roześmiał się szyderczo na widok stłoczonych żołnierzy i wskazał kciukiem za siebie, na Badenburg. Niektórzy jeńcy również wpatrywali się w miasto, bez wątpienia tęskniąc za jego bezpiecznymi murami.

Ale ono było daleko, zbyt daleko. Tkwili w pułapce, bez dwóch zdań.

- Koniec z Ernstem Hoffmanem. Koniec z rządami terroru. - Jeff potwierdził oczywisty fakt. Kobieta wciąż tam była. Jeff z nerwów zupełnie o niej zapomniał.

Nie odezwała się ani słowem. Jej twarz zdawała się wciąż tak samo pozbawiona wyrazu. Po prostu wpatrywała się w niego jasnobrażowymi oczami.

Potem wyciągnęła dłoń -jak na kobietę dużą i wcale nie delikatną, z krótkimi, połamanymi od ciężkiej pracy paznokciami - chwyciła Jeffa za ramię i ścisnęła. Zdumiała go siła tej kobiety.

Wreszcie przemówiła jakimś dziwnym językiem będącym połączeniem niemieckiego i twardo akcentowanego angielskiego.

- Bitte. Prós. Ja muss... Kce ratunek.

Wskazała palcem na pobliski wychodek. Wydał się Jeffowi... „Średniowieczny. Pewnie wtedy go zbudowano. Fuj! Bogu dzięki za hydraulikę”.

Kobieta z uporem ścisnęła jego ramię.

- Prosz. Kce ratunek. Prosz!

Zdziwiony Jeff przewiesił strzelbę przez ramię i skinął głową. Kobieta bardzo szybko ruszyła w stronę wychodka. Jeff wraz z przyjaciółmi podążyli za nią, a po chwili dołączyła do nich gromada starszych kobiet i dzieci, które siedziały skulone gdzieś z boku.

„Co się, do cholery, dzieje?”

Kobieta dotarła do wychodka. Chwyciła za drzwi i niemalże wyrwała je ze skórzanych zawiasów. Przez moment Jeff był olśniony silną, zgrabną postacią rysującą się pod podartą i bezkształtną sukienką. Nawet pokryte brudem bosa stopy wydały mu się urocze.

Potem kobieta weszła do środka i zaczęła jak oszalała mocować się z drewnianą klapą.

Wreszcie podniosła ją i cisnęła przez drzwi. Jeff natychmiast odskoczył, cudem unikając trafienia straszliwym pociskiem.

„Co ona, do diabła, wyprawia? Zwariowała czy co?”

Lecz gdy usłyszał płacz, już wiedział. Był tak oszołomiony, że nie mógł się ruszyć. Jak przez mgłę dojrzał, że stojący z boku Lany odwraca się, zgina w pół i wymiotuje. Potem usłyszał, jak Eddie syczy z przerażenia, a Jimmy mamrocze pod nosem:

- Nie wierzę w to, nie wierzę w to.

Kobieta pochyliła się i wyciągnęła ręce. Jej plecy naprężyły się od wysiłku.

Potem odwróciła się w stronę Jeffa i ujrzał ukrytą w jej spojrzeniu niemą prośbę. „Prosz. Kce ratunek”.

Jimmy wciąż mamrotał, Jeff był jak sparaliżowany.

„Prosz. Kce ratunek”.

Jeff odetchnął głęboko - nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymywał powietrze - drżącymi rękami zdjął strzelbę z ramienia i rzucił ją Jimmy'emu.

- Trzymaj!

Za sekundę już był przy kobiecie.

Zajrzał ponad jej ramieniem. W głębi czarnej jamy zobaczył twarz młodej przerażonej dziewczyny.

„Chryste, przecież oni się tutaj uduszą”.

Stojąca przy nim kobieta trzymała dziewczynę za rękę. Jeff niemal brutalnie wsadził ramię do dziury i chwycił za nadgarstek. W kilka sekund wyciągnęli dziewczynę z dołu. Odór sprawił, że Jeff wzdrygnął się z obrzydzenia i wypchnął ją delikatnie za drzwi. Dziewczyna wylądowała na kolanach, próbując złapać oddech. Niemal od razu zaczęła wymiotować. Po jej poszarpanej sukience łąziły pająki.

Eddie i Jimmy wciąż się gapili; ten ostatni w kółko powtarzał:

- Nie wierzę w to, nie wierzę w to. Jeff wskazał ze złością na dziewczynę.

- Pomóżcie jej, do cholery! Zdejmijcie z niej te pająki!

Nie czekając, aż go posłuchają, wrócił do latryny i razem z kobietą wyciągnęli kolejną dziewczynę. Ta nie zwymiotowała; najpierw ciężko dyszała, potem wybuchła szlochem.

Szło im coraz lepiej. Łapali dziewczynę za nadgarstki i razem ciągnęli.

Następna...

Następna...

„Niemowlę?”. Jeff stał jak sparaliżowany, walcząc z nudnościami.

Na widok kolejnej twarzy rysującej się w ciemnościach („ostatnia, dzięki Bogu!”) udało mu się opanować. Pochylił się, złapał i wyciągnął. Poczucie humoru pokonało obrzydzenie.

„Trener byłby ze mnie dumny”.

I wtedy coś się w nim zbuntowało, coś się domagało, by do świata, który staczał się do rynsztoka, powróciła odrobina godności. Nie zważając na pająki, które łąziły po ramionach dziewczyny, wziął ją na ręce, wyniósł na zewnątrz i delikatnie postawił na ziemi. Dziewczyna momentalnie upadła i chwyciły ją torsje. Jeff tymczasem wyciągnął przed siebie ręce i zaczął je oglądać. Jeden pająk, to wszystko. Szybkie pstryknięcie załatwiło sprawę. Jimmy i Eddie podeszli do niego, ale natychmiast się odsunęli.

156

Erie Flint

- Wielkie dzięki - burknął Jeff. - Widzicie jeszcze jakieś pająki?

Przyjaciele okrzykli go kilkakrotnie, kręcąc głowami. Jeff był niemal rozbawiony, widząc błądź na ich twarzach. Jednak nie wąpił, że on sam jest równie błądy.

Zaczeło mu się kręcić w głowie. Dotarło do niego, że wstrzymuje oddech. Próbując się uspokoić, rozejrzał się wokół.

Wszędzie byli teraz Amerykanie. Obok wychodka zatrzymały się dwie wę-glarki i wypłuły z wnętrza górników, którzy obsadzali stanowiska karabinowe. Reszta Amerykanów przybyła w pikapach. Wszystkich przyciągnęło zamieszanie przy latrynie.

Jakiś młody człowiek przepychał się przez tłum. To Harry Lefferts. Jego bluza była wybrzuszona w pasie z powodu bandaży, które wciąż nosił po strzelaninie z pierwszego dnia. Trzymał w dłoni karabin, celując lufą w ziemię.

- Nie wierzę w to, kurwa - mruknął i utkwil spojrzenie w niemieckim jeń-cu, który stał kilka kroków dalej. Mężczyzna trzymał ręce w górze, splecione na czubku głowy.

- Dziewczyny wołą wleźć do sracza niż mieć do czynienia z tymi chujami. - Harry obdarzył Niemca okrutnym uśmiechem. - No dalej, dupku! - wrzasnął, podnosząc karabin. - Tylko spójrz na mnie krzywo. Spluń. Cokolwiek. Daj mi tylko powód, żeby ci rozpierdolił łeb! Niemiec nie rozumiał tych słów, ale oczywiście pojał ich wymowę. Zaciskał kurczowo dłonie na czubku głowy i starał się unikać wzroku Harry'ego.

„Sprytny manewr” - pomyślał Jeff. Wszyscy niemieccy żołnierze byli teraz potulni jak baranki. Reakcja Harry'ego na widok wyciąganych z latryny dziewcząt nie była wyjątkiem. Wielu górników korzystało z okazji, żeby wyrazić swoją opinię na temat najemników Hoffmana; zazwyczaj rzucali im to prosto w twarz, cały czas trzymając broń w pogotowiu na wypadek kłopotów.

Ale kłopotów, jak łatwo można się domyślić, nie było. Jeńcy byli wystarczająco zastraszeni. I wtedy przybył Mikę Stearns. Wysłuchawszy wyjaśnień Harry'ego, podszedł do grupy dziewcząt. Wciąż klęczały, ale przestały już wymiotować -Jeff nie sądził, żeby miały jeszcze czym - i łapały szeroko otwartymi ustami powietrze. Zgromadzone wokół nich stare kobiety otrzepywały je z pająków.

- One nie mają więcej niż trzynaście lat - wyszeptał Mikę. Jego twarz była biała jak prześcieradło. Jasne piegi, zazwyczaj niewidoczne, teraz błyszcząły niczym gwiazdy na niebie. Czerwone gwiazdy. Antares... i Mars. Jeff czuł, ile wysiłku ten wielki facet musi włożyć w to, żeby się opanować.

Młoda kobieta, której Jeff pomógł, podniosła się i podeszła do Mike'a z wyprostowanymi rękami.

Jeff zorientował się, że ona próbuje obronić swoją rodzinę przed ciosami, których spodziewała się ze strony mężczyzny. Potem kobieta odwróciła nieco głowę i nadstawiła policzek.

Sens jej zachowania dotarł również do Mike'a.

- Jezu Chryste - wyszeptał. - Co to za koszmarny świat? - Juź chciał podnieść rękę, żeby ją pocieszyć, ale zrezygnował. Ten gest wydał mu się słaby, bez znaczenia. „Co tutaj można zrobić? Co można powiedzieć?”.

* * *

Przywódca obcych zbliżył się w chwili, gdy Gretchen i jej rodzina były zajęte zdejmowaniem z dziewczyn ostatnich pajaków. Widząc, że są całe (owszem, brudne, ale całe), Gretchen poczuła tak wielką ulgę, że nawet nie zauważyła jego przybycia. Dostrzegła go w momencie, kiedy stanął tuż obok niej i coś szepnął.

Spojrzała ze zdumieniem w górę i widząc jego twarz, podniosła się.

Rozpoznała w nim wodza. To on pojmał dowódcę protestantów. Był wyższy niż jej się wcześniej wydawało. Nie tak wielki jak Ludwigo, ale...

„Ten mężczyzna złamałby Ludwiga na pół”.

Gretchen ani przez chwilę w to nie wątpiła. Przywódca Amerykanów był najstraszniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziała. Straszniejszym nawet niż sam Diego Hiszpan.

I nie chodziło tu o jego gabaryty (choć zbudowany był tylko z mięśni i kości). Wyrósł przed nią niczym postać ze starych podań. Z wrażenia ledwie dostrzegła jego łaciaty strój i dziwaczny hełm („po co zakładać lampę na hełm?”).

Widziała jedynie jego twarz i malujący się na niej gniew; była to twarz pradawnych wojowników z germańskich legend.

Gretchen pomyślała, że dowódca jest zły na nią i jej rodzinę. Na protestantów oczywiście też, lecz głównie na nią. To z jej winy część schwytych kobiet wyglądała tak parszywie, że żaden mężczyzna nie mógłby ich tknąć. Nawet żołnierz.

Poczuła, że kuli się ze strachu, ale natychmiast się przemogła. Odwróciła głowę, czekając na uderzenie. Z doświadczenia wiedziała, że najłatwiej znieść cios w policzek.

Mężczyzna jednak odwrócił się i mruknął coś do młodzieńca, który jej pomógł. Ten kiwnął głową i zwrócił się w jej stronę. Zorientowała się, że dowódca kazał mu jej pilnować.

Rozejrzała się wokół. Nie kryła zdumienia, widząc pośród zwycięzców mauretańskiego medyka. Tylko ludzie mający prawdziwą władzę mogą sobie pozwolić na mauretańskich bądź żydowskich medyków. Potem ujrzała maszerujące przez obóz dwie lub trzy kobiety i ponownie ogarnęło ją zdumienie. Każda z nich miała na ramieniu białą opaskę przyozdobioną czerwonym krzyżem.

Erie Flint

Najwyraźniej to jakiś zakon. Gretchen omal się nie roześmiała. Te pobożne insygnia niezbyt pasowały do ich bezwstydnie obnażonych łydek. Jedna z kobiet miała tak krótką sukienkę, że widać jej było kolana!

Kolejna myśl przepędziła resztki dobrego humoru. Odwróciła się, szukając pomocy u tego samego mężczyzny, który już dwukrotnie ją wybawił. Mężczyzna, który pomógł uratować ją samą, a także jej siostrę, może pomóc w ocaleniu jej brata. O ile Hansa w ogóle można jeszcze ocalić.

* * *

- Mein bruder. Hans. - Kobieta wskazała palcem na pole bitwy. Jeff spojrzał w tamtym kierunku. Było tam teraz mnóstwo ludzi, którzy z trudem przedzieraali się przez...

Przełknął ślinę. Tyle ciał. Tyle ciał.

- Prós - powtórzyła. - Mein... mój... brad, Hans.

- Słuchaj, Jeff, ona chyba szuka swojego brata - odezwał się nieśmiało Eddie Cantrell.

Jeff ponownie spojrzał na kobietę. Nie była o wiele niższa od niego. Jej jasnobrązowe oczy zdawały się teraz bardzo spokojne.

- Prós.

- Jasne, proszę pani - odparł. - Chętnie pomogę pani znaleźć brata.

Nie zważał na chichoty, które rozległy się, gdy odchodził wraz z kobietą. Udało mu się nawet zignorować uwagę, którą rzucił Larry.

- Widzicie? To się nazywa właściwa kwestia. Kwiaty też by zadziałały. - A potem krzyknął: - Bitwa pod Alamo to przy tym przyszcz, stuknięty palancie!

&O2terał 19

Mikę zostawił Jeffa i młode Niemki i udał się na poszukiwanie Nicholasa. Doktor przeciskał się przez tłum wystraszonych jeńców, sprawdzając, czy kobiety i dzieci nie potrzebują natychmiastowej opieki lekarskiej.

- James! - Mikę dogonił lekarza kilkoma szybkimi krokami.

- Powinieneś chyba najpierw zerknąć na tamtych. - Wskazał na grupkę ludzi zebranych nieopodal wychodka i krótko opowiedział Nicholsowi, co się stało.

Doktor aż się skrzywił.

-W środku? Boże Wszchemogący. W jakim świecie...

Urwał w pół zdania.

- Nic im się nie powinno stać, jeśli tylko nie ukąsił ich nieodpowiedni gatunek pająka. To szczęście, że się nie podusiły. Masz rację, Mikę, trzeba je natychmiast zabrać do punktu medycznego. Dopilnuję, żeby zajęto się nimi w pierwszej kolejności.

- Kazałem już Jeffowi i jego kumplom, żeby się nimi zaopiekowali - wyjaśnił Mikę. - Mogą odeskortować dziewczęta... całą rodzinę... do szkoły. - Zerknął przez ramię. Sposób, w jaki Jeff patrzył na młodą, wysoką blondynkę, podniósł go na duchu. Czystość i normalność kwitujące w ogrodzie morderstwa i żądzy.

Nichols spoglądał na ten sam obrazek i uśmiechał się szeroko.

- Z tego, co widzę, musiałbym go oderwać za pomocą łomu. Ruszył w ich kierunku.

- Zajmę się tym, Mikę. - Potem wskazał palcem w kierunku pierwotnych pozycji Amerykanów i jeszcze szerzej się uśmiechnął. - A tak w ogóle, jeśli już mówimy o odrywaniu ludzi łodem, to jest tutaj Rebeka.

160

Erie Flint

- Rebeka?! - Mikę odwrócił się w tamtą stronę jak błyskawica - A co ona tutaj robi, do cholery jasnej?! - Zerwał się już do biegu, gdy nagle - z poczuciem winy - przypomniał sobie o swoich obowiązkach i zawrócił.

Przez kolejnych dziesięć minut, kiedy wydawał dyspozycje odnośnie do pojmanyh żołnierzy protestanckich, jego umysł tylko połowicznie był skupiony na tym zadaniu. W najlepszym razie połowicznie. Martwił się o Rebece.

„Co ta szalona kobieta robi na polu bitwy?!“

Na szczęście Harry Lefferts i Tom Simpson z radością wzięli na siebie wszelkie zasadnicze kwestie. Okrutny uśmiech Harry'ego („No dawaj, Szkopie, zrób mi przysługę”) do spółki z niesamowicie potężną muskulaturą Toma („No śmiało, potrzebuję jakiejś kości, żeby sobie podłubać w zębach”) spowodowały że najemnicy Hoffmana szybko zgromadzili się w jednym miejscu i uformowali kolumnę marszową.

Potem przybył Frank wraz z Lennoxem - Frank w pikapie, a Lennox na koniu.

- Katolików mamy już ładnie spętanych - oznajmił Lennox z widocznym zadowoleniem. -

Mackay zajmuje się ostatnimi uciekinierami. Zaraz powinien nadjechać. - Nastroszył wąsiska.

- Wtedy zagonimy ich do Badenburga i oddamy pod straż. Nie przewiduję żadnych kłopotów.

Frank wystawił rękę przez otwarte okno ciężarówki i patrzył na Mike'a ni to ze zdziwieniem, ni to z rozbawieniem.

- Skończmy już lepiej z tą szopką- rzekł wreszcie i roześmiał się wskazując kciukiem na Grantville. - Idź już do kobiety, Mikę. Lennox i ja damy sobie ze wszystkim radę.

Mikę popatrzył na niego spode łba.

- Co ona tutaj robi? - zapytał. - Ktoś mógł ją zranić! Ona nie ma tutaj nic

- Naprawdę jesteś taki tępy czy tylko udajesz? - przerwał mu Frank -Zamartwiała się o ciebie, a co ty myślisz? To ty pomaszzerowałaś do walki a me ona. - Frank parsknął. - Nie jest zresztą osamotniona. Połowa kobiet z miasta przybyła w poszukiwaniu swoich ojców, synów, mężów i chłopaków Myślałaś, że będą siedzieć w domu i czekać na telegram, podczas gdy bitwa rozgrywa się właściwie na samym progu?

- Hmm... - Mike wyteżył wzrok, starając się wypatrzeć drewniane przedpiersie. Samo przedpiersie nie było widoczne, ale na małym pagórku na którym Ferrara ustawił rakiety, Mike ze zdziwieniem zobaczył tłum ludzi. To amerykańskie kobiety i dzieci, pełne niepokoju, starały się wypatrzeć swoich bliskich na rozciągającym się w dole polu bitwy. Skrzywił się na wspomnienie rzezi, jaka się tam odbyła. Żadne z ciał nie należało do Amerykanina, ale wolałyby oszczędzić dzieciom takiego widoku-sam wystarczająco ciężko to przeżył.

- Lepiej już tam pójde - mruknął. - Uspokoję wszystkich.

Frank wyszczerzył zęby.

- No pewnie. - Wysiadł z samochodu. - Masz, weź moją ciężarówkę. Serce by mi pękło, gdybym musiał patrzeć, jak biegniesz jak wariat i ciągle się przewracasz.

Mike już siedział za kółkiem.

- Postaraj się jej nie rozwalić, dobra? Ma raptem dwa lata... Ciężarówka ruszyła z ogłuszającym rykiem silnika.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o lakier - westchnął Frank. - O amortyzatorach już nie wspomnę.

Mike bez trudu dostrzegł Rebeke. Stała na szczycie przedpiersia, osłaniając dłonią oczy przed słońcem, i obserwowała nadjeżdżającą ciężarówkę. Gdy upewniła się, że to on jest kierowcą, zeskoczyła z zapory i zaczęła biec w jego stronę.

Mike zahamował i wysiadł z ciężarówki. Nieopodal, z lewej strony, rozgrywała się potworna scena. Podczas gdy Amerykanie po przeszkoleniu medycznym, prowadzeni przez doktora Adamsa, torowali sobie drogę przez pole bitwy w poszukiwaniu tych, którzy ocaleli, Mackay i jego Szkoci zapędzili katolickich jeńców do grzebania zwłok. Olbrzymia część ciał była poszarpana. Ziemia dosłownie przesiąknięta krwią, wszędzie roiły się stada much.

On jednak tego nie dostrzegał. Widział jedynie postać biegnącej kobiety. Pomimo niewygodnej długiej spódnicy poruszała się z wielką gracją. Rebeka zawsze wydawała mu się dostojna; czy stała, czy się przechadzała, czy też siedziała, zawsze była wytworna. Coś w nim eksplodowało, gdy zrozumiał, że tak naprawdę widzi ją po raz pierwszy.

Rebeka zatrzymała się parę metrów od niego. Ciężko dyszała. Gdzieś po drodze zgubiła czepek. Jej długie, czarne, mocno kręcone włosy spadały na plecy kaskadą świetlistej wspaniałości. Jej twarz lśniła od kropelek potu, błyszczących niczym złoto w promieniach słońca, które nieśmiało przebijało się przez chmury.

- Tak się bałam - wyszeptała. - Michaelu...

Zbliżył się do niej i wyciągnął rękę. Z wahaniem, nieśmiało wsunęła palce w jego dłoń. Stali tak przez kilka sekund, nie odzywając się ani słowem. Potem Rebeka - z taką gwałtownością, że Mike'owi niemal zabrakło tchu - ukryła twarz na jego piersi. Czuł, że wstrząsają nią dreszcze, słyszał jej łkania, wyczuwał łzy kapiące na jego koszulę.

Położył ręce na jej ramionach. Delikatnie, pieszczotliwie. Wyczuwał pod cienkim materiałem jędrne ciało. Była tak mocno przytulona, że czuł ją prawie całą. Piersi, brzuch, ręce, ramiona, biodra, uda.

Nigdy wcześniej się nie dotykali, z wyjątkiem trzymania się pod rękę w czasie codziennych spacerów. Namiętność, która nim owładnęła, przepędziła

162

Erie Flint

wszelkie inne uczucia. Gniew, przerażenie i lęk - pozostałości po bitwie - były niczym ślady stóp zmyte przez morską falę. Objął ją i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie.

Miała piękne włosy. Długie, czarne, lśniące, kręcone. Całował je z pasją. Potem delikatnie, lecz zdecydowanie musnął ustami jej skroń. Gdy podniosła twarz, przeniósł pocałunek na jej usta. Pełne, wydatne, miękkie. I równie spragnione, jak jego własne.

Żadne z nich nie wiedziało, jak długo trwał ten pocałunek - ich pierwszy pocałunek - i dopiero wiwatujące tłumy przywołały ich z powrotem do rzeczywistości.

- Och - szepnęła Rebeka i spojrzała na otaczające ich morze uśmiechniętych twarzy. Patrzyli na nich. Wiwatowali na ich cześć. Przez chwilę Mikę myślał, że Rebeka zaraz z powrotem wtuli twarz w jego ramię, ale nie zrobiła tego. Owszem, spłonęła rumieńcem, ale nic poza tym.

- Och - powtórzyła, po czy uśmiechnęła się i znów rozchyliła usta. - Stało się - wyszeptała. - Tak się z tego cieszę.

- Ja również - odparł Mikę. A raczej wymamrotał, gdyż Rebeka nie dała mu dojść do słowa. Przynajmniej przez jakiś czas. Tak się z tego cieszył.

l&azbzml 20

Pierwszym, którego znalazła, był Diego. Gretchen wiedziała, że Hiszpan jest niebywale wytrzymały, lecz teraz nawet ona była pod wrażeniem. Pomimo straszliwych ran Diego zdołał odczołgać się blisko czterdzieści metrów od miejsca, w którym go powalono.

Wciąż był przytomny.

- Daj mi wody - szepnął, gdy uklękła przy nim. Leżał na wznak, przytrzymując rękami swoje wnętrzności.

-1 sprowadź moją kobietę. Gdzie jest ta głupia suka?

Gretchen podniosła głowę i uważnie rozejrzała się wokół. Pole bitwy usłane było ciałami żołnierzy, szczególnie tam, gdzie były pierwsze szeregi tercio. Część z nich chyba nadal żyła; słychać było zawodzenia, jęki, czasem wrzaski.

Pomiędzy leżącymi ciałami chodzili jacyś mężczyźni - a także kilka kobiet - i je oglądali.

Wszyscy mężczyźni byli odziani w takie same przedziwne cętko-wane szaty, jakie miał na sobie chłopak obok niej. Kobiety były ubrane na biało.

Gretchen obserwowała ich, chcąc poznać ich zamiary. Widziała, że nie dobijają ocalałych i najwyraźniej starają się uratować tych, którzy jeszcze mogą przeżyć. Widziała także grupki ludzi niosących rannych na noszach.

„To dobra nowina. Jeżeli Hans...”.

Na chwilę odsunęła od siebie lęk o brata. Teraz trzeba zająć się Diegiem, a w tym bliskość innych ludzi mogłaby jej jedynie przeszkadzać.

- Wody, durna cipo. Ogłuchłaś? - odezwał się ochryplym szeptem Diego. Gretchen obejrzała rany Hiszpana. Nie przypuszczała, żeby nawet Diego mógł z tego wyjść, lecz nie miała pewności.

164

Erie Flint

Znów rozejrzała się wokół. Wszyscy byli daleko, z wyjątkiem...

Spojrzała w górę na chłopca, którego poprosiła, by zaprowadził ją na pole bitwy. Był wysoki, przy kości, a jego okrągła twarz z perkatym nosem była bardzo szczerą. Cudaczne okulary sprawiały, że wyglądał niemal głupkowato. Gretchen widywała już wcześniej okulary, lecz zawsze u starych bogaczy. Nigdy u młodych, a już z pewnością nie na polu bitwy.

Oczy chłopca, powiększone przez soczewki, miały kolor bardzo jasnej zieleni. Tylko one jedyne w całej jego postaci nie były ani trochę dziecięce. Gretchen pamiętała światło, które wcześniej płonęło w tych oczach, i gniew, z którym wyszedł naprzeciw najemników.

Wówczas był odważny. Być może taki jest, a może jest zwyczajnym, głupim niewiniątkiem.

Przypomniała sobie, jaka sama kiedyś była głupia. Ale od tej pory minęły już dwa lata.

Minęło całe życie.

- Prósz. - Próbowała sobie przypomnieć tę garstkę angielskich słów, które podłapała od najemników. - Nie... - Zawahała się, szukając właściwego słowa. Nagle sobie przypomniała. - Patrz.

Spojrzał na nią.

- Nie patrz - powtórzyła. I dodała błagalnie: - Prósz.

Najwyraźniej jej nie zrozumiał. Jego pulchna twarz była niewinna, zagubiona. Gretchen spojrzała mu prosto w oczy i zdecydowała, że musi im zaufać.

- Wody! - syknął Diego. -1 sprowadź moją sukę!

Ruchem głowy wskazała rannego Hiszpana, obok którego klęczała.

- On krzywdzić... - Urwała, myśląc, jak utworzyć czas przyszły. - On skrzywdzi mein Schwester.

Chłopiec zmarszczył brwi; najwyraźniej jej nie zrozumiał. Gretchen ponownie zaczęła szukać w pamięci angielskiego słowa. Nie mogąc go sobie przypomnieć, spróbowała bardziej opisowo.

- Mein... mój kobieta Bruder. Otworzył szeroko oczy.

- Twoją siostrę?

Tego słowa właśnie szukała! Gretchen skinęła głową i wyciągnęła zza gor-

- Prós. Nie patrz.

Otworzył jeszcze szerzej oczy. Były intensywnie zielone. Zrozumiała, że takie po prostu są, nawet bez okularów. Grube wargi chłopca rozchyliły się, jakby chciał się sprzeciwić albo wydać rozkaz.

Jednak po chwili zacisnęła usta i bez słowa patrzył na nią.

- Wody, głupia cipo - powiedział Diego i dodał coś po hiszpańsku. Gretchen rozumiała tylko jedno słowo: puta.

Ale chłopak najwidoczniej rozumiał, bo poczerwieniał ze złości. A więc może wcale nie jest taki niewinny.

Nagle ukląkł i pochylił się do przodu - Gretchen natychmiast zrozumiała, że pragnie ją zabić przed wzrokiem znajdujących się w pobliżu ludzi - i powiedział coś po angielsku. Nic nie rozumiała. Ale nie musiała, wystarczyło jego spojrzenie.

Gretchen zarzynała zwierzęta, odkąd skończyła pięć lat. Diego zajął jej tyle czasu, ile kurczak. Mały nóż przeciął tętnicę szyjną niczym brzytwa. Krew trysnęła na ziemię, ale na nią nie spadła ani jedna kropla. Miała doświadczenie w zarzynaniu zwierząt.

Diego był bardzo wytrzymały, więc dla pewności Gretchen wsadziła mu nóż w ucho aż po samą rękojeść. Przez jakieś trzy, może cztery sekundy wwiercała trzycalowe ostrze w jego mózg. Diego był wytrzymały, ale nie aż tak; nawet szatan, który go spłodził, nie był tak wytrzymały.

Gdy skończyła, niespiesznie wytarła ostrze o rękaw Hiszpana, po czym wsunęła je z powrotem pod gorset.

Zabicie Diega sprawiło jej olbrzymią przyjemność. Jednak, co dziwne, jeszcze więcej zadowolenia dał jej ów chłopak. Nie odezwał się ani słowem i nawet na chwilę nie odwrócił wzroku. Nawet na chwilę.

Jego oczy były takie jasne, takie zielone. Gretchen uznała, że okulary dodają mu uroku.

Wstała. Jeden obowiązek spełniony. Został jeszcze jeden, może dwa.

Okazało się, że tylko jeden. Ludwig już nie żył. Jego gigantyczne cielsko zostało rozszarpane na kawałki przez potężną broń tych obcych ludzi w cętko-wanych szatach.

Gretchen spozjrzała na niego z góry. Miała cichą nadzieję, że Ludwig wciąż będzie przy życiu i będzie miała przyjemność zabić człowieka, który zamordował jej ojca, a ją samą gwałcił przez dwa lata. Na chwilę pochłonęła ją czysta nienawiść.

I wtedy ujrzała drobną rękę wystającą spod gigantycznego cielska Ludwiga. Nadzieja przepędziła nienawiść. Może po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu Ludwig zrobił coś dobrego.

Chłopak pomógł jej odsunąć zwłoki na bok. Pod nimi, niczym kotek pod lwem, leżał jej brat Hans. Wciąż tliło się w nim życie.

Bardzo słabo, ale się tliło.

Ludwig miał na plecach olbrzymie rany. Broń tych obcych - o przeraźliwym głosie smoka - była tak potężna, że pociski przebiły zbroję mężczyzny, a potem ugodziły jej stojącego za nim

brata. Najwyraźniej jednak kule straciły impet, dzięki czemu Hans nie padł trupem na miejscu.

Gretchen uklękła i przecięła paski, na których trzymał się jego lichesy kirys. Najdelikatniej jak mogła zbadała palcami jego rany. Nadzieja odpłynęła równie szybko, jak się pojawiła.

Przynajmniej jedna z kul przebiła klatkę piersiową.

166

Erie Flint

Nawet jeśli dałoby się ją usunąć - zrobiłaby to za pomocą swojego małego noża - rana z całą pewnością uległaby zakażeniu. A od takich zakażeń umierali niemal wszyscy, i to o wiele silniejsi od jej chlerlawego młodszego brata.

Oczy zaszyły jej łzami, gdy pomyślała o życiu tego chłopaka. Tak bardzo zawsze się starał, zagubiony w świecie, do którego za grosz nie pasował. Był pilnym chłopcem, zakochanym w księgach, marzącym o tym, by pójść w ślady ojca drukarza. Często żartował z nią, mówiąc, że gdyby świat nie był taki bez ładu i składu, w tej rodzinie to ona dzierżyłaby pikę. Duża, silna, twarda Gretchen.

Poprzez ogarniającą rozpacz Gretchen usłyszała, jak obcy chłopak krzyczy do kogoś w oddali. Zrozumiała tylko jedno, powtarzane na okrągło i bez końca słowo.

„Szybko! Szybko! Szybko!”.

Chwilę później usłyszała tupot pędzących ku nim stóp. Podniosła głowę i otarła łzy.

Zobaczyła zbliżających się dwóch mężczyzn, a tuż za nimi kobietę w bieli.

Mężczyźni nieśli nosze. Z doświadczenia, jakie wyniosła z licznych pól bitewnych, wiedziała, że używa się ich po to, żeby zabrać rannych, których można jeszcze ocalić.

Zdumiona, podniosła wzrok na stojącego obok chłopca. Spoglądał na nią z wysoka. Jego oblicze już nie wydawało się takie młode. A w zielonych, czystych oczach kryła się obietnica.

^Rnztetaiaai

Po zabraniu Hansa Gretchen poczuła wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony chciała towarzyszyć bratu, dokądkolwiek ci obcy go zabierali, z drugiej jednak strony wciąż miała rodzinę, o którą trzeba się było zatroszczyć. Będą na niej polegać, jak zawsze.

Chłopiec pomógł jej podjąć decyzję. A właściwie jego oczy. Zdecydowała, że ponownie im zaufa.

W żaden sposób nie okazywał, że chce ją zostawić. Wręcz przeciwnie, jego postawa świadczyła o wstydlivej i nieśmiałej zaborczości.

Tak więc podjęła decyzję. Zresztą nie miała wyboru, pomijając wybór między różnymi odmianami zła.

Podobały jej się jego oczy. To już coś. Resztę można jakoś znieść. Po tym, co przeszła z Ludwigiem, wszystko można jakoś znieść.

„Dość”. Zmusiła swój umysł, by przeskoczył na inny tor.

- Was ist... - Przekłety angielski! - Jak sze ihre... twój nazywasz? - Wymówiła to z niemiecka: na-sy-vasz.

Od razu zrozumiał pytanie.

- Jeff Higgins.

„Proszę. Równie bystry, jak jego spojrzenie”.

To także dobry znak. Za inteligencją może iść poczucie humoru. Prawdziwe poczucie humoru. Ludwig miał inteligencję świni, a jego poczucie humoru kojarzyło się Gretchen ze świńskim łajnem.

Wymówiła kilka razy jego imię, aż w końcu miała pewność, że już potrafi. „Jeff Higgins. Jeff Higgins”. Mężczyźni - zwłaszcza młodzi - stawali się

168

Erie Flint

nieprzyjemni, jeśli źle się wymawiało ich imiona czy nazwiska. Gretchen nie mogła sobie pozwolić na taki błąd. Nie teraz, nie tutaj.

Nigdy. Przez ostatnie dwa lata życie całej jej rodziny wisiało na najcieńszym włosku. Gretchen jednak zawsze była pewna siebie, nawet jako mała dziewczynka, i jeśli tylko widziała jakiś włos, chwyciła go mocno i zdecydowanie.

Wzięła więc chłopca pod rękę i zaczęła prowadzić z powrotem do obozowiska, w którym czekała jej rodzina. Starła się nie być zbyt nachalna; mężczyźni irytowali się, gdy kobiety ich prowadziły.

Jednak chłopiec... („Dość. Jeff”) wydawał się zupełnie tym nie przejmować. Wkrótce ku jej zdziwieniu stał się nawet całkiem rozmowny. Tworząc jakiś łamany język, byli w stanie się porozumieć. Zaintrygowało ją to, że on chyba bardziej chciał się nauczyć jakichś niemieckich wyrazów niż ją uczyć angielskiego.

Gdy dotarli do obozu, Gretchen była już niemal spokojna.

„Nie będzie tak źle - uznała. - Jest ciężki, rzecz jasna, przy jego wzroście i tuszy. No i co z tego? Ludwig był ciężki niczym wół”.

Krzycząc i torując sobie drogę przez panujący w obozie chaos (ludzie już nie wrzeszczeli ze strachu, wciąż jednak byli zagubieni), nadbiegło trzech chłopców.

„Młodych mężczyzn, durna babo. Nie chłopców”.

Gretchen rozpoznała ich. Była to ta sama trójka, która stała ramię w ramię z Jeffem, gdy ten stawiał czoła protestanckim najemnikom. Gdy tylko dopadli Jeffa, od razu zaczęło się przekomarzanie. Gretchen nie była w stanie nadażać za rozmową, czasem tylko wyławiała jakieś pojedyncze słowa. Mimo to prędko zrozumiała sedno sprawy. Tamci szydzili z powodu jego nowej kobiety, a on im odpowiadał.

Jeszcze bardziej się uspokoiła. Ich szyderstwa były żartobliwe, a nie ordynarne. Na swój sposób niemal niewinne. A Jeff odpowiadał...

Wstydliwie, niepewnie, pełen zażenowania. Ale jednak z dumą. Z wielką dumą.

Gretchen zastanawiała się, co się za tym kryje. Ludwig też był z niej dumny, ale tak jak hodowca świń chełpiący się swoją maciorą. Tu było coś zupełnie innego. Coś... świeżego, może nawet czystego.

Przed jej oczami pojawił się nagle obraz ze świata, o którym już dawno zapomniała. Świata, który wymazała z pamięci. Przypomniał jej się wieczór w rodzinnym domu, gdy ojciec stał przy kominku i ogrzewał dłonie, a w tym czasie matka podawała do stołu. Gretchen miała wtedy szesnaście lat. „Minęły tylko cztery lata. Minęło całe życie”.

W czystych, błyszczących oczach ojca widziała dumę. Bijące z nich ciepło wydawało się rozświetlać dom bardziej nawet niż płonący ogień.

Ku swemu zdumieniu Gretchen zaczęła drżeć jak liść na wietrze i zalała się łzami.

„Dość! Rozgniewasz go! Mężczyźni nie lubią...”.

Ale ten mężczyzna otoczył ją ramionami, przyciągnął blisko i przytulił jej twarz do swojej piersi. Niczym dziecko, bez zastanowienia objęła go i mocno ścisnęła. Poczuła pod tłuszczeniem mięśni, a pod mięśniami kości. Poczuła także -jakie to dziwne - krawędzie okularów opierających się o jej głowę. Słyszała szept i nie rozumiała ani słowa.

Ale słowa nie były tutaj potrzebne.

Gdy wreszcie skończyła płakać, podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Jasnobrązowe oczy i jasnozielone oczy.

„Wcale nie jest tak źle”.

^i az b z m l Z Z

Pierwszym słowem, które wypowiedziała babka Gretchen, gdy oznajmiono jej, że znajdują się przed budynkiem szkoły, było:

- Brednie!

Zgarbiona starowinka nieufnie podniosła wzrok na stojącego obok jej wnuczki młodzieńca, który trzymał w dłoniach kartkę papieru.

- On łże - oznajmiła z niezachwianą pewnością osoby w jej wieku i ojej mądrości.

Potem uważnie przyjrzała się olbrzymiej budowli, a dokładnie tej części, którą była w stanie objąć wzrokiem.

- Potomkowie arystokracji nawet z całych Niemiec nie zapełniliby takiej szkoły. Łże ci on. Gretchen sama miała wątpliwości, chociaż nie posądzała Jeffa o łgarstwo. Owszem, ledwie go знаła, ale jedno spojrzenie na jego szczerą twarz uspokoiło ją.

Jednak...

Nie było żadnego rozsądnego powodu, żeby budować tak wielką szkołę. Tysiąc szlachetnie urodzonych dzieci w jednym miejscu? Taką liczbę Jeff podał z dumą w łamanym niemiecko-angielskim. Ale czy to jest w ogóle możliwe w całym cesarstwie?

Gretchen zadrzała. Jediną nadzieją przez ostatnie lata była dla niej myśl, że jeśli arystokraci pozabijają się nawzajem, wojna nareszcie dobiegnie końca. Lecz jeśli już jest tysiąc kolejnych, gotowych zająć miejsce swych ojców...

Przyjrzała się uważniej kartce, którą Jeff trzymał w ręce. Każdy z jego przyjaciół miał podobną. Tak samo starsza kobieta, która pojawiła się, by

ich powitać, gdy zbliżyli się do szkoły, a następnie wręczyła młodzieńcom te kartki.

Na jej widok Gretchen pomyślała: „Co najmniej baronowa, a może nawet księżna”.

Swój sąd do pewnego stopnia opierała na ocenie stroju kobiety. Jej odzienie miało uduwniony i prawie skandaliczny krój, a wykonano je z jakiegoś nieznanego materiału, który był niemal godzien królowej. Głównie jednak jej opinię ukształtowały wygląd i zachowanie kobiety.

Nie znała dotąd żadnych innych kobiet, które dożyłyby tak późnego wieku i nie zmieniły się na skutek nieustannej harówki i ubóstwa w okropne staruchy. Gdy po raz pierwszy ujrzała tę kobietę, pomyślała, że mimo siwych włosów ma nie więcej niż trzydzieści lat. Ale zmarszczki wokół oczu i ust należały do starszej kobiety, czterdziestopięcioletniej, może nawet pięćdziesięcioletniej, niemal w wieku jej zgarbionej i zasuszonej babki.

„Księżna”. Kobieta dorównywała wzrostem Gretchen. Stała wyprostowana, ani trochę się nie garbiąc, i cała aż promieniała zdrowiem i energią. Ukryte za okularami orzechowe oczy były czyste i jasne niczym u młodej dziewczyny.

Poza tym... w jej pozie widać było pewność siebie. Jej postawa, sposób zachowania, nawet to, jak trzymała głowę - wszystko obwieszczało światu głośno i wyraźnie: „Jestem kimś ważnym. Cennym. Szlachetnej krwi”.

Gretchen znowu spojrzała na zadrukowaną kartkę papieru i wyciągnęła nieśmiało rękę.

- Prosz. Mokę?

Jeff był zdumiony, lecz nie protestował, gdy dziewczyna wyjęła mu kartkę z dłoni.

Nie minęło dziesięć sekund, a już wiedziała, co to jest.

„Jakie to sprytne!”.

Był to miniaturowy słownik. Ojciec Gretchen co pewien czas wydawał słowniki, ale były to potwornie wielkie tomiska. A to była raptem jedna kartka, zawierająca proste angielskie zwroty i ich niemieckie odpowiedniki. Pisownia słów była, rzecz jasna, nieco inna niż ta, do której Gretchen przywykła, lecz to nie miało znaczenia. W tych czasach żaden język nie miał uściślonej pisowni, nad czym jej ojciec często ubolewał.

Natychmiast dostrzegła potrzebny jej zwrot.

Żeby uniknąć nieporozumień, stanęła obok Jeffa i wskazała go palcem, równocześnie starając się to powiedzieć.

- Czy... chcieli... byście... coś... zjeść? - Zaczęła kiwać głową. -Ja! Ja!

Twaz Jeffa momentalnie spochmurniała i zerknął na długi rząd okien w najbliższej ścianie budynku. Gretchen spojrzała w tę samą stronę. Znow była pod wrażeniem, tym razem wywołanym rozmiarami okien. Ujrzała przez nie parę osób krzątających się z tacami w rękach. „Jedzenie!”.

Ostatni raz jadła dwa dni temu, i było to raptem trochę chleba, który Ludwig zrabował z wiejskiej chaty i zostawił do podziału między kobiety i dzieci. Hans chciał jej odstąpić swoją niewielką porcję, lecz Gretchen się nie zgodziła. Jej brat musiał być wystarczająco silny, żeby przeżyć bitwę.

Jeff wyglądał na bardzo zasmuconego, ale kiedy ujrzał, że stara księżna się zbliża, odetchnął z ulgą.

Potem między Jeffem a księżną doszło do szybkiej wymiany słów. Gretchen coraz lepiej szło z angielskim (od mówiących po angielsku najemników Tilly'ego podłapała znacznie więcej słów niż jej się wydawało), lecz wciąż była w stanie zrozumieć tylko urywki ich rozmowy.

- ...zagłodzeni, psze pani. - „Dziwne imię dla księżnej”.

- O Boże! („Z jaką łatwością oni bluźnią!”)... mojej strony... nie pomyślałam. - Kobieta uderzyła się dłonią w czoło, jak osoba, która przyznaje się do głupiego uczynku. Gretchen była zaszokowana tym gestem. „Księżna? Publicznie? Na oczach pospólstwa?” - Ale ze mnie idiotka!

- ...robimy?

Księżna westchnęła i pokręciła głową. Jej twarz również spochmurniała.

- ...mamy żadnego... - Gretchen nie zrozumiała ostatniego słowa. „Wyboru?”.

Ponownie pokręciła głową. Smutek wciąż był widoczny na jej twarzy, lecz teraz pojawiło się także zdecydowanie, niezachwiana pewność siebie władczyni. Pomimo nienawiści, jaką Gretchen czuła do arystokracji, była pod wielkim wrażeniem. To kobieta, dla której wydawanie poleceń, sprawowanie władzy jest tak naturalne, jak oddychanie.

Przez kilka chwil księżna spoglądała na nią. W jej oczach nie było śladu wyniosłości, a jedynie...

„Co?”.

Gdy to już dotarło do Gretchen, przeżyła największy w swoim dotychczasowym życiu szok.

Nawet przyjacielski („nie, siostrzany”) sposób, w jaki kobieta ujęła ją pod rękę i zaczęła prowadzić w kierunku innego budynku, był dla niej znacznie mniejszym wstrząsem.

Gretchen będzie do samej śmierci pamiętać te królewskie - cesarskie - orzechowe oczy. Oczy lśniące zdrowiem i pewnością siebie... a także pełne uznania, życzliwości i dobroci. Gretchen czasami - nie za często - spotykała się z chrześcijańskim miłosierdziem nawet ze strony możnowładców. I co z tego? Chłopi też mogą być mili dla swojej trzody chlewnej czy bydła. Ale pierwszy raz w życiu ktoś z władców tego świata spojrział na Gretchen Richter i zobaczył w niej po prostu drugiego człowieka.

Gretchen nie bardzo rozumiała, co księżna mówi do niej, gdy szły do budynku. Była jedynie w stanie domyślić się, że kobieta obawia się jakiejś choroby.

Za nimi podążała cała rozbudowana rodzina Gretchen, a także Jeff i jego trzech przyjaciele.

Szli po przedziwnej czarnej substancji, która pokrywała teren między budynkami. Substancja pełniła tę samą funkcję co bruk, lecz była cudownie płaska. Gretchen była zachwycona, dotykając bosymi stopami tej ciepłej i chropawej powierzchni.

Później jej uwagę przyciągnęły wymalowane na tej czarnej substancji długie żółte linie.

Czemu służy ta szachownica? Gdy przyjrzała się stojącym tam machinom, zrozumiała, że te żółte linie wskazują ich miejsca na odpoczynek. Większość pomalowanych na żółto prostokątów była pusta. Ciągnęły się i ciągnęły przez wiele, wiele metrów.

„Potrzebują aż tyle miejsca? Mają tak dużo machin? Muszą być bardzo

Odwróciła głowę i spojrzała na Jeffa. Zorientowała się, że ją obserwuje. Ich spojrzenia spotkały się tylko na moment, gdyż chłopak błyskawicznie zaczął patrzeć w inną stronę i niezdarnie podciągać pasek, na którym wisiał jego arkebuz.

„Jaki on nieśmiały. Jest tylko zwykłym żołnierzem, nie mam co do tego wątpliwości, lecz wydaje się z tym wszystkim obeznany, a więc on również musi być bogaty”.

Wyprostowała ramiona i pomaszerowała dalej za tą dziwną księżną. Zmierzała ku przyszłości, której nie była w stanie przewidzieć, lecz postanowiła, że wyprowadzi swoją rodzinę z tej burzy bez uszczerbku, a przynajmniej z jak najmniejszym uszczerbkiem. Kobieta poprowadziła ich na tyły budynku, do długiej budowli o dachu i ścianach zbudowanych z nieznanego, błyszczącego jak metal materiału. Miał jasnozieloną barwę i był niemal przezroczysty. Przypominał Gretchen barwione szyby w katedrach.

Od razu wiedziała, że ten gmach wzniesiono niedawno. Liche metalowe rury, które z niego wychodziły i biegły gdzieś w dal, wciąż lśniły, nie nadgryzione zębem czasu.

Księżna otworzyła niewielkie drzwi i zaprosiła Gretchen do środka. Sama została przy drzwiach, skąd obserwowała wmaszerowujących do pomieszczenia pozostałych członków rodziny. Troje z nich zatrzymała i kazała im stanąć z boku. Byli to trzej najstarsi chłopcy, wszyscy już dojrzeli (choć niedawno) i wszyscy obładowani tobołami z całym nędznym dobytkiem rodziny.

Gdy już wszyscy weszli do środka, księżna wskazała na trójkę chłopców i powiedziała coś do Jeffa i jego przyjaciół. Jeff skinął głową i dał chłopcom znak, żeby poszli za nim, na drugą stronę budynku.

Zgromadzone w środku kobiety - wszystkie poza Gretchen - natychmiast podniosły rozpaczliwy wrzask. Ich reakcja nie była protestem - kobiety o ich pozycji społecznej nigdy nie protestowały - lecz raczej krzykiem cierpienia.

174

Erie Flint

Gretchen omal nie przyłączyła się do tego jazgotu, ale coś w wyrazie twarzy księżnej kazało jej zamknąć usta. Za to księżna miała usta szeroko otwarte i na jej obliczu malowało się zdumienie.

W jednej chwili Gretchen zrozumiała, o co chodzi.

„Ona nie ma najmniejszego pojęcia, czego się obawiamy! Ona po prostu... nie rozumie. Jak ktokolwiek na tym świecie może być tak niewinny?”

Ale tak właśnie było. Nie miała żadnych wątpliwości. Przypomniała sobie zielone oczy pewnego młodzieńca, powiększone przez szkła okularów. Pamiętała te oczy. Widziała płonąca w nich furię, gdy niemal bez wahania wyszedł naprzeciw sforze bestii. Sam. Owszem, niósł obcą, potężną broń, lecz jednak był sam, dopóki nie przyłączyli się jego przyjaciele.

Gretchen spojrzała przez otwarte drzwi. Młodzieniec wciąż tam był. Wpatrzony w nią, słuchał wycia kobiet i dzieci. On również miał szeroko otwarte usta. Chłopięce, miękkie i wydatne.

Gretchen już wiedziała. Wiedziała! Gwałtownie uwolniła długo powstrzymywany oddech. Zostawiła za sobą świat mordów i wkroczyła do nowej krainy. Jej mieszkańcy też zabijali, dziko i okrutnie („O tak, Bóg wciąż nad nami czuwa!”), lecz nie byli mordercami.

Jej jasnobrązowe oczy posłały wiadomość tamtym zielonym. Oczywiście on nie rozumie. Jeszcze nie teraz, a może nigdy, ale mimo to chciała mu dać obietnicę.

Gretchen już wcześniej postanowiła, że zostanie jego nałożnicą. Teraz wiedziała, że będzie także jego kobietą. Mężczyzna, który dopiero niedawno przestał być chłopcem, dostanie coś, czego nigdy nie miał żaden inny mężczyzna, a już z pewnością nie Ludwig.

Błyskawicznie objęła dowództwo.

- Cisza!

Budynek niemal zatrzęsł się w posadach. Wszystkie dzieci natychmiast umilkły. Kobiety również, z wyjątkiem nowej dziewczyny. Gretchen podeszła do niej i trzasnęła ją na odlew w twarz.

- Cisza! - Dziewczyna wylądowała na siedzeniu, spoglądając na nią z rozdziawionymi ustami.

Ślad po dłoni Gretchen odznaczał się płomienistą czerwienią na jej policzku. Ale umilkła.

Gretchen ponownie spojrzała na księżną. Usta kobiety wciąż były szeroko otwarte, lecz Gretchen zorientowała się, że teraz szok wywołało to, co sama przed chwilą uczyniła.

„Czyżby ona nigdy nie skarciła dziecka?”.

Księżna zamknęła usta i gwałtownie potrząsnęła głową. Nie wyglądała jak ktoś, kto potępia, lecz jak ktoś, kto próbuje się uporać z mętlikiem we własnej głowie.

Gretchen rozumiała, skąd bierze się ów mętlik, i nieśmiało spróbowała jej wytłumaczyć swoje zachowanie. Księżna była bardzo pojętna; mimo bariery językowej zrozumienie wszystkiego nie zajęło jej więcej niż minutę.

Jeszcze szerzej otworzyła oczy, a jej twarz przybrała na bledości. Skinęła głową i odwróciła się do Jeffa i jego przyjaciół. Kucający obok nich trzej najstarsi chłopcy z rodziny Gretchen wpatrywali się w nią ze strachem; czuli, że w końcu nadeszła śmierć.

Księżna wyrzuciła z siebie potok angielskich słów. Mówiła zbyt szybko, żeby Gretchen mogła zrozumieć. Gdy skończyła, twarze Jeffa i jego przyjaciół były równie blade, jak jej własna. Jeden z nich dotknął przewieszanej przez ramię broni, jakby chciał się upewnić, że zwierzątko domowe nie zamieniło się w jadowitego węża.

Księżna znów coś krzyknęła. Gretchen wyłowiła tylko trzy ostatnie słowa.

-...i to już!

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy zobaczyła, z jakim pośpiechem Jeff i jego towarzysze wypełniają polecenie księżnej. „Nie dziwota. Taka to nie musi bić dzieci. Na pewno nie ona!”.

Młodzi żołnierze zdjęli z ramion broń i oparli ją o ścianę budynku, a chwilę później odpięli pistolety i złożyli je na ziemi.

Gretchen podeszła do trzech chłopców.

- Idźcie za nimi - nakazała, wskazując na Jeffa i jego przyjaciół. - Macie ich słuchać.

Zrozumiano?

Chłopcy podnieśli na nią zdziwiony wzrok, ale widząc jej uniesioną rękę, zerwali się na równe nogi. Właściwie nie bali się Gretchen, lecz nikt w rodzinie - żadne dziecko ani żadna kobieta - nawet nie pomyślał o tym, żeby się jej sprzeciwić. Dobrze znali tę dużą dłoń. Była twarda, a mięśnie, które nią poruszały, również nie należały do miękkich. Ale przede wszystkim wola, która wprawiała te mięśnie w ruch, była niczym stal. Stalowy anioł wykuty w ogniach piekielnych.

Zadowolona Gretchen odwróciła się do księżnej.

- Będą posłuszni - powiedziała. - Prowadźcie nas, gdzie tylko chcecie.

Ale problemy bynajmniej się nie skończyły. Kobiety znów zaczęły lamentować, gdy księżna kazała im się rozebrać.

„To wszystko, co mamy! Nie mamy niczego innego!”.

Gretchen uciszyła je wrzaskiem.

Księżna kazała im włożyć ubrania do dużych metalowych koszy, a następnie przepchnąć te kosze przez niskie drzwi. Gretchen domyśliła się, że ubrania zostaną tam wygotowane i wyprane, zanim dostaną je z powrotem.

Kobiety jeszcze raz podniosły lament.

„Ukradnaje!”.

176

Erie Flint

Gretchen ponownie wrzasnęła. Nie poskutkowało, więc podniosła dłoń, ale księżna powstrzymała ją i pokręciła głową. Chwilę później sama zaczęła się rozbierać.

Zapadła cisza. Cała rodzina w milczeniu wpatrywała się w arystokratkę zdejmującą szaty.

Gretchen była zaskoczona, widząc, z jaką łatwością księżna ściąga z siebie ubranie, nie korzystając z pomocy służących.

Jeszcze bardziej zdumiona była widokiem ciała, które ukazało się ich oczom. Starsza kobieta, owszem, lecz jej piersi wcale nie były obrzydliwie zwiędnięte. Mimo że pośladki nie były już jędrne i krągłe, wciąż jednak wyglądały jak pośladki. I wszędzie - na rękach, ramionach,

nogach, udach - widać było smukłe, naprężone mięśnie. Mimo upływu czasu ciało księżnej wydawało się wciąż tętnić życiem. Gdyby Gretchen była mężczyzną, z pewnością uznałaby to ciało za godne pożądania.

Księżna podeszła ze swoim ubraniem do jednego z koszy. Przez chwilę zdawała się wahać, a potem z kpiącym uśmiechem, wzruszywszy ramionami, cisnęła królewskie szaty na łachmany nędzarzy. Odwróciła się i pomaszerowała w kierunku dalszego pomieszczenia, rozkazując gestem, aby wszyscy podążyli za nią. Popchnęła drzwi i wkroczyła do sali, w której podłoga była wyłożona kafelkami.

* * *

Później już nie było lamentów.

Były tylko dzikie piski, gdy księżna przekreśliła gałkę i gorąca woda trysnęła z góry strumieniem na całą rodzinę.

A potem rozległy się jęki przerażenia, gdy księżna rozdała kostki... mydła?... i pokazała, jak ich używać. „Inkwizycja uzna nas za Żydów! Spłonimy na stosie!”.

Gdy księżna nalegała, żeby wyszorowali włosy jakąś żrącą substancją, która najwyraźniej miała zabić pchły, jęki przeszły w szlochanie.

Lecz nie było żadnych lamentów. Gretchen tylko raz była zmuszona wrzasnąć, aby położyć kres radosnej zabawie, jaką urządziła sobie trójka dzieci, strzelając w siebie nawzajem kostkami mydła.

Gdy dziwny obrządek dobiegł końca i osuszali się już cudownie miękkimi tkaninami (nazywały się „ręczniki”), księżna podeszła do Gretchen. Jej orzechowe oczy wędrowały po ciele dziewczyny od stóp do głów. Wreszcie potrząsnęła głowajakby ze smutkiem albo rozgoryczeniem.

Kiedy się odezwała, mówiła raczej sama do siebie niż do Gretchen.

Dziewczyna znowu zrozumiała tylko niektóre słowa.

- ...cały kłopot... co zrobić... zmyło się brud, jest cholernie... - Księżna zaczęła kręcić głową z jeszcze większym smutkiem. - ...zbudowana jak posąg. Ciało jak z marmuru... - Potem odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się. - Jeff... padnie trupem... ją zobaczy!

Wesołość znikła. Teraz księżna przewiercała dziewczynę wzrokiem, jakby chciała zgłębić jej duszę. A może po prostu ją odnaleźć.

Gretchen wyprostowała się. Ani trochę nie wątpiła w istnienie swej duszy. Niech tę księżną szlag trafi, jeśli w to nie wierzy!

Ta jednak najwyraźniej była usatysfakcjonowana, choć wciąż miała zatroskaną twarz.

Gretchen rozumiała, że księżna nie jest załamana z jej powodu. Jest przygnębiona z powodu świata, w którym dziewczyna się narodziła.

Księżna jeszcze raz pokręciła głową, tym razem bardziej ze złością niż ze smutkiem, i coś groźnie wymamrotała.

- ...tym młodzieńcem!... do słuchu!... nie będzie („wykorzeniał? wyżywał?”) tej biednej dziewczyny!

Potem odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Wtem dostrzegła An-nalise i zatrzymała się. Widząc, że znalazła się pod królewską obserwacją, dziewczyna cofnęła się ze strachem o jakieś dwa kroki i niepewnie opuściła ręcznik. Bez pasków materiału, którymi Gretchen przez cały rok obwiązywała jej klatkę piersiową i uda, prawdy nie dało się już zataić.

Lecz na szczęście nie było już Diega Hiszpana, przed którym trzeba było ową prawdę ukrywać. Gretchen wysłała go z powrotem do jego ojczyzny. Prawdziwej ojczyzny, znacznie gorętszej niż Hiszpania. Diego kucał teraz u stóp szatana, a jego krew i mózg wypływały na żelazny bruk jego pana i władcy. Gretchen skorzystała z tej chwili, aby życzyć mu wiecznej męki w zaświatach.

Popatrzyła na księżną. Skąd pochodzi, gdzie leży jej ojczyzna - tego Gretchen nie wiedziała, była jednak pewna, że nie tam, gdzie ojczyzna Diega.

Księżna odwróciła głowę i ponownie spojrzała na Gretchen. Zmierzyła ją wzrokiem i zaczęła coś mamrotać.

- ...wkrótce jej siostra. Już zresztą! - Obejrzała pobieżnie pozostałe kobiety. - ...połowa z nich... o to chodzi.

Wreszcie jej wzrok padł na nowo przybyłą chłopkę. Po tym jak zmyła z siebie cały brud i zaschniętą krew, jej ciało nie wydawało się już tak bezkształtne. W oczach dziewczyny pojawił się blask, choć jeszcze bardzo słaby. Po raz pierwszy, odkąd Gretchen ją poznała, dziewczyna zdobyła się na nieśmiały uśmiech.

To chyba właśnie ten uśmiech sprawił, że księżna ze wzburzeniem wyrzuciła do góry ręce. Ten gest łączył w sobie rozpacz, złość, rozdrażnienie i -mimo wszystko - odrobinę humoru. Księżna podeszła do stojącej pod przeciwległą ścianą metalowej szafy i ją otworzyła. Wewnątrz wisiały ciasno upchane stroje. Sprawiały wrażenie bardzo miękkich i luksusowych. Kobieta zaczęła je wyciągać.

A potem ku zdumieniu kobiet i dzieci zaczęła je rozdawać. Przywdziewali nowe odzienie najpierw z wahaniem, a później już z okrzykami czystej przyjemności. „Jaki miękki materiał! Jaki miękki!”. Umilkli, gdy księżna jękając

178

Erie Flint

się, próbowała im wyjaśnić, że dostali nowe ubrania tylko na jakiś czas, dopóki nie zwrócą im starych ubrań lub (tu Gretchen nie była pewna, czy dobrze tłumaczy) dopóki nie przyjdą inni, tacy jak oni, którzy będą potrzebowali takich samych wygod.

Mimo pazerności cechującej takich nędzarzy Gretchen i jej rodzina całkiem dobrze przyjęli te wieści. Oni nie byli jak Diego Hiszpan, który lubował się w cierpieniu innych. A już z pewnością nie tych, którzy wcale nie byli inni.

Gdy wyszli na zewnątrz, okazało się, że Jeff wraz ze swymi przyjaciółmi i trzema chłopcami już na nich czekają. Chłopcy mieli na sobie prawie identyczne szaty i ich włosy również oczekiwały wilgocią.

Przyjaciele Jeffa wciąż byli tak samo ubrani, ale on sam był okryty nową szatą i miał mokre włosy. Był wyraźnie speszony, gdyż jak tylko zobaczył Gretchen, natychmiast odwrócił wzrok.

Dziewczyna najpierw z ciekawością go obserwowała, lecz wkrótce poczuła przyptyły znacznie łagodniejszego i mniej wyrachowanego uczucia. Zrozumiała, że Jeff postąpił tak samo jak księżna: stłumił lęk chłopców, dając samemu przykład.

Przez chwilę coś w niej zapłonęło; cieszyła się, że to właśnie on, a nie ktoś z jego towarzyszy. Stłumiła uśmiech. Wiedziała, że będzie się czuł niezręcznie. Onieśmielony, speszony, jak chłopczyk zawstydzony swoją nagością, ale jeszcze bardziej niespodziewanym objęciem przywództwa.

Teraz mogła nieco lepiej przyjrzeć się jego ciału, gdyż szata zakrywała znacznie mniej niż cętkowany ubiór bojowy. Było to delikatne, zaokrąglone ciało chłopca, dużego chłopca, ale pod warstwą tłuszczu kryło się znacznie więcej mięśni niż przypuszczała.

W ciele Ludwiga nie było niczego dziecięcego. Było to twarde jak skała cielsko ogra. Ogra, który dowodził swej męskości siniakami, jakie pozostawiał na ciele własnej kobiety.

Ponownie coś w niej zapłonęło. Nieco jaśniej i na nieco dłużej. Zdziwiło ją to uczucie.

W końcu Jeff odważył się znowu na nią zerknąć. I już nie mógł oderwać od niej oczu.

Pierwszy raz widział ją jako kobietę w szacie, a nie morderczynię na polu bitewnym..

Gretchen rzuciła okiem na księżną (nie patrzyła), a potem na towarzyszy Jeffa. Oni również nie patrzyli.

Prędko, bez wahania, zaczęła rozsypywać wstęgę. Chciała, żeby szata się rozchyliła, żeby Jeff ujrział całe jej ciało, od szyi aż po kostki. Piersi, brzuch, łono, uda. Wszystko. Dla niej było to bez znaczenia, ale widziała - znacznie częściej niż chciałaby o tym pamiętać - jak

błyskawicznie podniecał Ludwiga widok choćby skrawka jej nagiego ciała. Błyskawicznie i dziko.

Nagle coś ją powstrzymało. Próbowwała zmusić swoje palce, ale odmówiły posłuszeństwa.

Zupełnie jakby dusza omijała umysł, rozkazując ciału wbrew jego woli.

„Czemu? Przecież muszę chronić swoją rodzinę!”.

Nie padła żadna odpowiedź, albowiem odpowiedź nie była potrzebna.

Gretchen złożyła obietnicę - cichą wprawdzie, lecz jednak to była obietnica - że zostanie kobietą Jeffa, a nie tylko jego nałożnicą. Ten chłopak... ten mężczyzna... nie był Ludwigiem. Chciała go osiąść, a nie tylko zwabić widokiem swego ciała.

Księżna zabierała ich teraz z powrotem do szkoły. Dostaną jedzenie, jedzenie! Mimo głodu, który skręcał jej wnętrzności, Gretchen nie od razu ruszyła ze wszystkimi. Spuściła głowę, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Przez chwilę rozkoszowała się czystością i miękkością. Miękkością szaty i ciała, czystością serca. Nawet czarna substancja pod jej stopami wydawała się czysta i miękka.

Podniosła głowę i otworzyła oczy. Zanim pójdzie, uśmiechnie się do Jeffa. Obietnica na tyle pozwala. Będzie to zwyczajny słodki uśmiech, dający odrobinę nadziei.

Lecz gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się od ucha do ucha. To nie był byk grzebiący kopytem i dyszący z pożądania; to był tylko młodzieniec stojący niczym ogłuszony wół.

Gretchen wiedziała, że odniosła zwycięstwo. Już go miała, była tego pewna. Został schwyty w potrzask bez wyjścia i już nie trzeba go było wabić.

Ta świadomość dała jej satysfakcję. Ale tylko przez chwilę, bo zaraz uświadomiła sobie, że chociaż nie złamała obietnicy, obietnica sama w sobie była oznaką wyrachowania.

Ale tak wygląda życie w wojennej zawierusze. Po raz kolejny Gretchen zrobiła wszystko, żeby zaopiekować się swoją rodziną. Jeszcze nie знаła Jeffa, lecz już wiedziała, że ten młokos o wyglądzie dziecka zapewni im lepszą opiekę niż kiedykolwiek dał im ten troll Ludwig.

Dużo, dużo lepszą.

Ale... było coś jeszcze. Po raz kolejny coś w niej zapłonęło, i to uczucie było jakieś obce.

Lecz to, które zaraz potem się pojawiło, już nie było obce. Gretchen od razu je rozpoznała i zdusiła w sobie.

Bezlitośnie. Od lat żyła w smutku. Czemu ten dzień miałby być inny?

ffiazbzbtl 23

Melissa Mailey jadła wraz z uciekinierami, wciąż ubrana w szlafrok. Czuła się głupio i niezręcznie, siedząc tak w stołówce, w której spożyła ze swymi uczniami (porządnie ubrana!) tysiące posiłków. Ed Piazza zdobył dla niej świeże ubrania, ale Melissa uparła się, że ich nie założy. Przynajmniej dopóki uciekinierzy nie położą się spać i nie nadejdzie pora na zebranie sztabu. Ten sam upór, który niegdyś kazał młodej bostońskiej intelektualistce dzielić stół z Murzynami na rasistowskim południu, sprawił teraz, że ubrana w szlafrok spożywała posiłek wraz z niemieckimi uciekinierami. Na bosaka, tak samo jak oni, mimo że miała pomalowane paznokcie u stóp.

Zamierzała czuwać nad tym, by zagłodzeni uciekinierzy nie zrobili sobie krzywdy z przejedzenia, ale okazało się, że przy Gretchen, czujnej niczym jastrzęb, nie było takiej potrzeby.

Dziewczyna żelazną ręką narzuciła dyscyplinę przy jedzeniu. Melissa kilkakrotnie skrzywiła się na widok metod, którymi Gretchen utrzymywała ową dyscyplinę - przez całe życie była przeciwna karom cielesnym - ale nie oponowała. Melissa Mailey nie była bowiem głupia i potrafiła ocenić rzeczywistość.

To Gretchen, a nie ona, widziała, jak ludzie jedzą trawę, żeby przeżyć. I to Gretchen, a nie ona, widziała, jak ci sami ludzie obżerają się, gdy niespodziewanie dostają jedzenie. A potem widziała, jak umierają z przejedzenia, wijąc się w agonii.

Gretchen znowu uderzyła dziecko, które obiema rękami wpychało sobie jedzenie do buzi, a potem kazała mu przez trzy minuty trzymać ręce na kolanach; dopiero po upływie tego czasu znowu mogło zacząć jeść. Melissa skrzywiła się - na malutkiej twarzy dziecka, które teraz gorzko płakało, będzie nazajutrz siniak - ale nie oponowała. To Gretchen utrzymała tego chłopca przy życiu w świecie, w którym Melissę Mailey zarżnięto by niczym kurczaka, chociaż nawet nie był jej dzieckiem. Jej synek siedział u niej na kolanach, radośnie ssąc pierś. Jej własne dziecko było bękartem gwałciciela. A tamto... Kto wie? Niczym. Nikim. Pyłkiem kurzu na tle rozszalałego krajobrazu, który wzbiły w powietrze kopyta szlachetnych rumaków, a sprzyjający los rzucił pod brudne stopy obozowego jeńca.

Melissa krzywiła się również widząc spojrzenia, jakie Gretchen bez przerwy słała Jeffowi siedzącemu przy drugim końcu stołu. Spojrzenia te były skromne, i właśnie dlatego tak skuteczne. Jeff był dobrze wychowanym chłopakiem ze wsi i lubieżna, wrzaskliwa, narzucająca się ulicznica tylko by go odstraszyła. Młoda kobieta w szlafroku, wytworna, skromna (pierś odsłoniła tylko po to, by nakarmić dziecko), opiekująca się rodziną... Posyłała spojrzenie za spojrzeniem - delikatne, błyszczące, obiecujące - chłopcu, który był młodszy od niej tylko o dwa lata, ale pod względem doświadczenia dzieliły ich miliony lat świetlnych.

Melissa omal się nie roześmiała. „Nie mówiąc już o tym niesamowitym ciebie!”.

To już przesądzone. Na amen. Jeff to szalejąca burza hormonów, płonąca z pożądania. Czy skorzysta z takiej oferty?

Melissa ujrzała nagle samą siebie na plaży, stojącą po kostki w wodzie. Królowa Melissa - władca, prawa - nakazuje przypliwowi, aby się cofnął.

Była wrogiem molestowania seksualnego. Była wrogiem wykorzystywania przez mężczyzn słabszej pozycji kobiet w społeczeństwie, żeby zaspokoić własne żądze.

Była wrogiem, ale...

Ogarnęła ją rozpacz. Świat, w którym się teraz znalazła, był tak straszliwie odmienny od tego, który znała, że wszelkie odpowiedzi wydawały się bezsensowne. Jakie ma prawo potępiać? Jakie ma prawo ganić? A przede wszystkim jakie ma prawo wyznaczać drogę?

Chłopiec, którego Gretchen uderzyła, już nie płakał. Wręcz przeciwnie, uśmiechał się i patrzył na nią, starając się uchwycić jej spojrzenie. Kompletnie nie przejmował się siniakiem, który rósł na jego policzku. Melissa zrozumiała, że narzucony mu czas zakazu jedzenia już minął. Zupełnie jakby była sterowana jakimś wewnętrznym zegarem, dziewczyna spojrzała na niego, uśmiechnęła się łagodnie i skinęła głową. Chłopiec wepchnął garść jedzenia do buzi i już sięgał po następną, ale zatrzymał się i ostrożnie zerknął na Gretchen. Rzecz jasna, obserwowała go ze zmarszczonym czołem.

Anioły nigdy nie śpią. Chłopiec westchnął i położył dłonie na kolanach. Anioł uśmiechnął się. Przeniósł wzrok na kolejne dziecko, potem na inną

182

Erie Flint

kobietę, później na staruszkę, aż wreszcie na dużego amerykańskiego chłopaka po drugiej stronie stołu. Obietnica kryjąca się w tych oczach bynajmniej nie była anielska.

Spojrzenie Gretchen wędrowało dalej. Obserwowała, chroniła, osłaniała. Stalowe oczy, wytopione w piecu, którego Melissa nawet nie mogła sobie wyobrazić, należały do jedynej odmiany anioła, który mógł egzystować w takim świecie.

Kobieta była jak sparaliżowana. Jeszcze pod prysznicem była zdecydowana pomówić z Jeffem. Ostrzec go - nie pozostawiając cienia wątpliwości! - że ma kategoryczny zakaz...

Zakaz? Dlaczego? Na jakiej podstawie?

Niech szlag trafi dobre intencje, rzeczywistość musi się nieco zmienić. Zabronić amerykańskim chłopcom sypiać z niemieckimi dziewczętami - które będą się oddawać tylko po to, żeby przeżyć - i tym samym wykonać pierwszy krok na drodze ku kastowemu

społeczeństwu? I tak będą współżyć, po kryjomu, na schodach kuchennych, w toaletach. Amerykańscy arystokraci z niemieckim pospólstwem. Z dziwkami, tak jak wcześniej. Wszystkiego tego Mikę - i ona sama - chcieli za wszelką cenę uniknąć.

Co więc robić? Czy w tym mroku tli się jakieś światło?

Melissa gwałtownie przestała jeść. Myśli o karach cielesnych i molestowaniu seksualnym zostały zepchnięte na bok przez falę nudności. Zamknęła oczy, starając się zapanować nad żołądkiem.

Nudności nie były spowodowane jedzeniem. To było zwyczajne - pożywne, mdłe - stołówkowe jedzenie, które jadła już niezliczoną ilość razy.

Nudności były wywołane strachem. Strach zaś wspomnieniem.

Przez pewien czas była w stanie odsuwać je od siebie. Namawianie kobiet i dzieci do zabiegów higienicznych bardzo ją absorbowało. Potem zaprzętała sobie głowę tym, jak się uporać z sytuacją, która teraz zaistniała między Gretchen a Jeffem, ale za tydzień będzie dotyczyć całej reszty dziewcząt i amerykańskich młodzieńców. Kształtowane przez dziesięciolecia przyzwyczajenia nauczycielki, która musi pilnować dobrych obyczajów i dyscypliny, sprawiały, że miała mnóstwo pracy.

Lecz teraz wspomnienie nie dało się już trzymać na dystans. Wspomnienie trzech chłopców, z których żaden nie miał więcej niż czternaście lat, skulonych u jej stóp niczym zwierzęta, o pustym spojrzeniu i odrętwiałych twarzach, podczas gdy ich matki i siostry wrzeszczały i zawodziły niczym banshee¹³. Wszyscy, z wyjątkiem Gretchen, byli absolutnie przekonani... „Absolutnie przekonani!”.

...że Melissa Mailey przyszła po to, aby ich zamordować.

Zbierało jej się na wymioty.

„Nie tutaj! Pomyślą, że zostali otruci”.

Wstała i odeszła od stołu. Machnęła ręką Jeffowi, żeby się nie martwił. „Po prostu przypomni mi się, że coś muszę zrobić, i tyle”. Wiedziała, że Jeff uspokoi pozostałych. To porządny chłopak. Dobry chłopak.

Wyszła ze stołówki, skręciła w lewo i przez duże drzwi wypadła na zewnątrz. Niemal biegła. Już nie mogła dłużej się powstrzymać, a za wszelką cenę chciała się znaleźć poza zasięgiem wzroku uciekinierów. Noc już prawie zapadła, lecz odrobina purpury na niebie wciąż dawała nieco oświetlenia.

Skręciła w prawo, z dala od okien stołówki, i puściła się pędem wzdłuż budynku szkoły. Nie była w stanie dotrzeć do zarośli obok centrum technicznego. Nie miała najmniejszych szans.

Upadła na kolana. Niewinne jedzenie ze stołówki zalało, zarzygało, zachlapało Bogu ducha winną trawę. Chlusnęły z niej mordy, gwałty, tortury i niewyobrażalne okrucieństwo. Wylał się strach, rozbryzgało się cierpienie. Gryzący zapach jej własnych soków trawiennych został pochłonięty przez smród tak ohydny, że brakowało dlań nazwy.

* * *

Gdy już było po wszystkim, Melissa Mailey wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

Czyste powietrze wypełniło jej płuca.

„Żyję” - zdała sobie sprawę i westchnęła z ulgą.

„Ledwie. Ale żyję”.

Mikę i Rebeka znaleźli ją kilka minut później, gdy jak zwykle wcześniej przybyli na zebranie sztabu. Natomiast nie tak jak zwykle trzymali się za ręce. Widok ich czułego uścisku przegnał rozpacz Melissy.

Mikę ukląkł przy niej.

- Wszystko w porządku? - Spojrzał na wymiociny lśniące w świetle wschodzącego księżyca. Melissa kiwnęła głową.

- Nic mi nie jest. - Zdała sobie sprawę z tego, jak to absurdalnie zabrzmiało, i zaśmiała się ochryple. - Przynajmniej fizycznie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Boże, Mike, oni myśleli, że ja ich każepozabijać. - Wtuliła głowę w jego opiekuńcze ramię i zaczęła opowiadać. Rebeka również uklękła obok, uważnie się przysłuchując.

Wreszcie Melissa uspokoiła się i znów wzięła głęboki oddech.

- Wiecie co, czuję, że znalazłam się w dziwnym punkcie. To znaczy psychicznie. Nigdy nie przypuszczałam, że będę w takiej sytuacji.

Zacisnęła szczęki. Kolejne zdanie wycodziła przez zęby.

184

Erie Flint

- Czuję się teraz tak, że kazałabym każdego faceta z tamtej armii... z obu armii... ustawić pod murem i rozstrzelać. Jeszcze dziś.

Mike uśmiechnął się i poczochnął jej włosy.

- Kto to widział? Gdybyś to ty miała być odpowiedzialna za takie decyzje, byłyby to ogólnoswiatowa klęska.

Melissa starała się nie roześmiać, ale nie mogła się powstrzymać. Śmiech był oczyszczający.

- To święta prawda - rzekła - że nie ma nic gorszego niż wszytkowiedzący neofita, czyż nie? Mike uśmiechał się szeroko.

- Uchron nas, Panie! - Uśmiech przygasł i mężczyzna pokręcił głową. - Melisso, właśnie rozmawiałem z Jamesem, który przez ostatnie dwie godziny badał tamtych ludzi. Szkoci zabrali protestanckich więźniów do Badenburga, my trzymamy katolików pod strażą koło jarmarku.

- Chcesz wiedzieć, co mi powiedział? Że ci wszyscy mężczyźni przypominają mu twardych, szalonych nastolatków, wśród których dorastał. On pochodzi z getta, Melisso. Ktoś taki jak James znacznie lepiej rozumie, skąd się biorą tacy ludzie. Czy dasz takiemu dobre warunki, czy złe warunki, efekt będzie taki sam. Niektórzy z nich to prawdziwe potwory. A reszta? Większość? - Wzruszył ramionami. - To po prostu faceci. Pojebani faceci w pojebanym świecie.

Melissa zachichotała. Wszyscy zawsze tak bardzo pilnowali się, żeby nie przeklinać w jej obecności (nauczycielka! z Bostonu!), że miło było to usłyszeć. A prawda była taka, że pomimo sztywnej pozy, daleko jej było do świę-toszkowości.

Na wzmiankę o Jamesie jej myśli odpłynęły w nieco inną stronę. Spojrzała w mrok, przywołując obraz jego twarzy. Odkąd go poznała, pierwszy raz dotarło do niej, jak bardzo jej się ta twarz podoba.

Te wyraziste, ostre rysy byłyby może brzydkie u innego mężczyzny, jednak przebijające przez nie inteligencja i poczucie humoru sprawiały, że były po prostu bardzo męskie.

- James - wyszeptła zamyślona.

Nie zauważyła szybkich, rozbawionych spojrzeń, które wymienili ze sobą Mike i Rebeka. Dziewczyna odchrząknęła.

- To bardzo przystojny mężczyzna - powiedziała cicho. - I wdowiec - dorzucił Mike.

- Panie Stearns - prychnęła Melissa - czy nie wydaje się to panu absolutnie karykaturalne, że bawi się pan w swatanie swojej byłej nauczycielki?

Mike wyszczerzył zęby.

- Racja - przyznał. - No i co z tego? Mogła pani trafić znacznie gorzej niż James Nichols.

- Trafiałam gorzej - powiedziała Melissa. - Boże, ci moi mężowie...

Pokręciła ze smutkiem głową. Odkąd rozpadło się jej drugie małżeństwo -równie szybko i w równie tragicznych okolicznościach jak pierwsze -ograniczała swoje związki uczuciowe do okazjonalnych i bardzo krótkich przygód. Zwykle z innymi nauczycielami, którym poznawała na zjazdach związkowców. Bardzo daleko, bardzo pobieżnie, bardzo... bezpiecznie. Miała pięćdziesiąt siedem lat, a ostatnio przydarzyło jej się to...

Zdumiała się. „Tak dawno? Pięć lat temu?”.

Stare, znajome, niemal zapomniane uczucia zaczęły wydobywać się na powierzchnię, i to z wielką mocą. Melissa nawet nie próbowała powstrzymać cisnącego się na jej twarz uśmiechu. „Boże drogi, kto by pomyślał? Widać wcale nie jestem taką zasuszoną cnotką”.

Jej nastrój gwałtownie się poprawił, a nowe myśli zapędziły strach z powrotem między cienie.

- Trzeba będzie się tym zająć - mruknęła, a po chwili zachichotała: - Widzę, że wreszcie przestaliście się zgrywać.

Rebeka chyba nieco się zarumieniła, choć trudno to było stwierdzić ze względu na panujące ciemności i jej śniadą cerę, jednak gdy się odezwała, jej głos był spokojny i opanowany.

- Owszem, przestaliśmy. - Zawahała się. - Mam nadzieję, że mój ojciec...

- Tym bym się nie martwiła - przerwała jej Melissa. Wspierając się na ramieniu Mike'a, dźwignęła się z powrotem na nogi. - Jeśli o mnie chodzi, miło mi to widzieć. I nie przypuszczam, żeby Baltazar miał czuć inaczej.

Mike i Rebeka wstali razem z nią. Cała trójka zaczęła powoli kierować się w stronę wejścia do szkoły. Zanim tam dotarli, Melissa poczuła nagle jakiś impuls i skręciła na parking.

Chciała popatrzeć na coś jasnego i czystego, miała ochotę zobaczyć księżyc. Mike i Rebeka poszli za nią.

- Wciąż nie mogę się przyzwyczaić - powiedziała - że wschodzi z tamtej strony. Ognisty Krąg zupełnie nas przekreślił, że o reszcie już nie wspomnę.

Jej wzrok padł na okna stołówki. Za nimi widziała Gretchen i jej rodzinę. Skończyli już jeść i teraz wpatrywali się w świetlówki na suficie, a dokładnie pożerali je wzrokiem. Wszyscy wstali, żeby móc obejrzeć te nieznanne cuda z bliższej odległości.

Gretchen również wstała - była wyższa od całej reszty rodziny - lecz nie patrzyła na lampy. Spoglądała na Jeffa i uśmiechała się.

- Zupełnie nas przekreślił - powtórzyła Melissa. Jej wściekłość już prawie znikła i w to miejsce nadeszła ulga, a wraz z nią nagle i klarowne zrozumienie. Już wiedziała, co ma zrobić. Melissa Mailey jest nauczycielem, a nie katem. Przewodnikiem. Kimś, kto pokazuje drogę do wyjścia, a nie nadzorcą, który rygluje drzwi.

Wyciągnęła przed siebie dłonie. Były bardzo szczupłe, o długich palcach. Arystokratyczne dłonie, pomimo krótko obciętych paznokci.

186

Erie Flint

- Jak ci się wydaje, Mike? Czy tak wyglądają dłonie, które mogłyby dzierżyć miecz zemsty? Narzucać własną wolę? Zakazywać tego czy tamtego?

- Raczej nie - parsknął Mike. - Może lepiej pozwól mi się tym zająć, co? Jeżeli coś zyskałem z bycia zawodowym bokserem, to wycucie, kiedy mogę walnąć prosto z mostu. - Spojrzał na jej zadbane dłonie. - A ty tego nie wiesz.

Melissa opuściła ręce.

- Doszłam do takich samych wniosków - powiedziała stanowczo, po czym chwyciła Mike'a i Rebekę za ręce i zaczęła ich prowadzić w stronę drzwi. - Podstawą wiedzy jest bycie świadomym własnych ograniczeń. Ja wiem, co potrafię, a czego nie potrafię.

Nagle Mike zwolnił. Melissa spojrzała na niego, po czym podążyła za jego wzrokiem.

Przez okno widać było Gretchen besztającą jakieś dziecko i grożącą mu palcem. Chłopiec wspiął się na stół, żeby lepiej przyjrzeć się oświetleniu. Szybkość, z jaką z powrotem znalazł się na dole, była iście kosmiczna.

Melissa pomyślała, że Gretchen wygląda niczym germańska bogini. Chrzanić szlafrok. Jej długie ciemnoblonde włosy okalały twarz, która tylko dlatego nie była piękna, że jej rysy były bardzo wyraziste. Ręka, którą groziła, była kształtna, choć muskularna. Piersi, które podkreślał cienki szlafrok, wyglądały jak podtrzymywane zbroją.

- A to kto? - zapytała Rebeka i otworzyła szeroko oczy. - Czy to ta kobieta... Melissa kiwnęła radośnie głową.

- Tak, to ona. Rozumiem, że już słyszałaś całą historię?

- Michael mi opowiedział. Kobieta, która ukryła swoje siostry w kloace, a potem stała tam, wyprostowana, czekając na... - Wzdrygnęła się. - Nie mogę sobie wyobrazić takiej odwagi. Mikę jeszcze przez chwilę obserwował Gretchen, po czym rzucił:

- Jezus, co za walkiria. Melissa pokręciła głową.

- O nie, Mikę, jesteś w dużym błędzie. - Skrzywiła się. - Walkirie! - Zabrzmiało to niemal jak przekleństwo. - Gloryfikowanie walkirii pozostaw chorej i spaczonej wyobraźni Ryszarda Wagnera.

Ponownie chwyciła swoich towarzyszy za ręce i ruszyła do drzwi. - Walkiria jest sępem. Czciocielem śmierci. „Wybierające poległych”, tak o nich mówiono, jak gdyby to był powód do dumy.

Stała gwałtownie, celując palcem prosto w Gretchen.

- A ta młoda kobieta jest kimś naprawdę wielkim i wspaniałym. Ta kobieta jest „wybierającą żywych”.

Westchnęła.

- Wiem, co potrafię, a czego nie potrafię. Wiem, czego nam potrzeba i co mogę z siebie dać. Mogę wspierać, mogę nauczać, mogę prowadzić, przynajmniej mam taką nadzieję. Ale tego bym nie mogła. - Wzruszyła delikatnie szczupłymi ramionami. - Nawet gdybym była młodsza, to i tak bym nie mogła. Nie pochodzę z tamtego świata, ale nawet gdybym pochodziła...

Odwróciła głowę i spojrzała na północ. Za wzgórzami było pole bitwy. Kolejne słowa wypowiedziała szeptem.

- Nie mogłabym być tak twarda albo tak odważna. Nie jestem tchórzem, ale... Sama bym zginęła, nie mówiąc już o tym, żeby kogoś ocalić.

Melissa uśmiechnęła się z satysfakcją; tak uśmiechają się osoby o spokojnym sumieniu.

- To, czego potrzebuje nasz nowy świat, to z całą pewnością nie jest podstarzały radykał z lat sześćdziesiątych. Chyba że jako doradca. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Do czasów abolicjonistów i zbiegłych niewolników. Seneca Falls³⁴ i pierwsze feministki.

Jej uśmiech stał się bardzo szeroki.

- Melissa Mailey z miłą chęcią wyciągnie pomocną dłoń, ale to nie ona jest nam potrzebna. Tak naprawdę potrzebujemy nowej Harriet Tubman³⁵.

Spojrzała na kobietę za szybą. - I myślę, że właśnie ją znalazłam.

Gretchen znów zerknęła na Jeffa. Już nie unikał jej spojrzeń. O nie, wpatrywał się w nią niczym owieczka błagająca, żeby poprowadzić ją na rzeź.

- Oczywiście najpierw muszę ją powstrzymać przed oddaniem się kolejnemu żołnierzowi tylko po to, żeby utrzymać dzieci przy życiu. Na pewno zaszkodziłoby to jej wizerunkowi, gdyby rozpoczęła nowe życie w roli obozowej dziwki.

Teraz Melissa już ich ciągnęła do drzwi. Jej białe stopy uderzały o chodnik niczym buty.

- Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak zamierzasz to zrobić - zaśmiał się Mikę.

- Co to jest Seneca Falls? - zapytała Rebeka. - I kim była Harriet Tubman? Przed rozpoczęciem zebrania Melissa zdążyła tylko poruszyć ten temat, lecz jej słowa wystarczyły, żeby Mikę zaczął w gryzać się w problem, podobnie jak Rebeka. Nie trzeba było nic więcej. Dwa największe mózgi polityczne ówczesnych czasów (choć nie zdawali sobie sprawy z tego, że nimi są) przekształcały ten zarodek w coś ogromnego i potężnego.

Po jakimś czasie Melissa Mailey miło wspominała tamte mdłości. Dzięki nim jej dusza stała się o coś bogatsza... i tak samo bogatsze stały się dusze tysięcy innych.

Inkwizycja, rzecz jasna, nie podzielała jej zdania. Podobnie jak rzesze baronów i biskupów i żaden łowca czarownic w Europie.

^azbzml 24

Obawy Melissy o wizerunek Gretchen okazały się bezpodstawne. Ostatecznie rozwiązaniem tego dylematu stał się jeszcze inny dylemat.

Było to, rzecz jasna, rozwiązanie tylko połowiczne (jak to zazwyczaj bywa z rozwiązaniami) i dotyczyło tylko jednego konkretnego problemu (jak to zazwyczaj bywa z rozwiązaniami). Jednak, co również często się zdarza, uchyliło drzwi, i mimo że została w nich zaledwie szpara, mogły się przez nią precyzyjnie przecisnąć setki innych rozwiązań.

Melissa na swój sposób odegrała w tym pewną rolę. Nie bezpośrednio, nie wprost, ale była to jednak rola autentyczna. Taka sama, jaką nauczyciele (przynajmniej ci dobrzy, a ona była rewelacyjna) odgrywają od zawsze. Taka sama rola, jaką - choć w nieco inny sposób - odgrywają rodzice. Rodzice, wujkowie, ciocie, dziadkowie... a jeśli się nad tym zastanowić, to także facet z pobliskiego sklepu spożywczego, w wolnej chwili mówiący nastolatce, który wpadł po colę, jak chciałby, żeby wyglądał ten świat.

Dobrzy chłopcy, tak samo jak źli, muszą zostać ukształtowani. Sam proces nie jest bez wad i często wszystko wychodzi na opak. Forma nieraz jest wygięta, skrzywiona, popękana, ale wciąż jest to forma.

Grantville w Wirginii Zachodniej nadało formę Jeffowi Higginsowi. I w ostatecznym rozrachunku okazało się, że jest to forma równie dobra jak każda inna, a nawet lepsza niż większość.

Chłopak siedział teraz sam przy stole i wpatrywał się w okno. Niczego w nim nie dostrzegał. Krajobraz za szybą okryła noc.

Wszyscy inni już poszli. Melissa zaprowadziła Gretchen i jej rodzinę do klasy, która pełniła rolę kwatery uciekinierów. Podłoga zasłana była materacami i kocami, które ofiarowali mieszkańcy miasta. Pokazała Gretchen, w jaki sposób korzystać z pobliskich toalet, a następnie pospiesznie udała się na zebranie sztabu.

Przyjaciele Jeffa również poszli. Nie byli daleko, raptem parę metrów dalej, w szkolnej bibliotece. Biblioteka, podobnie jak szkoła, była teraz otwarta przez całą dobę. Siedzieli tam głowa przy głowie i wczytywali się w kilka egzemplarzy podręcznika do niemieckiego, którymi dysponowało liceum. Mieli też jedyny szkolny słownik niemiecko-angielski.

W każdych innych okolicznościach Jeff również by tam był, ale tego wieczoru musiał uporać się z bardziej istotnym problemem. Z problemem prawdziwej Niemki, a nie samego języka. Czekąco go podjęcie decyzji i wiedział, że musi to zrobić szybko. Gretchen nie będzie długo czekać. Musi się zaopiekować rodziną, nie może więc pozwolić sobie na luksus oczekiwania. I choć prawda jest taka, że znalazła się w świecie, w którym stare metody postępowania nie są już konieczne, Jeff wiedział, że ona w to nie wierzy. Jeszcze długo w to nie uwierzy.

Jeff Higgins bynajmniej nie był głupi. Był w gruncie rzeczy prostoduszny, ale nie naiwny. Jak każdy nastolatek, on również miał swoje fantazje. Część z nich realizował grając w D&D, część poprzez gry wojenne, część na ekranie komputera, część żyjąc życiem książkowych bohaterów, część na swym motocyklu. A część - zwłaszcza fantazje dotyczące kobiet - głównie w wyobraźni. Wyobraźni rozpalonej i niesamowicie bujnej, w każdej chwili gotowej uciec od rzeczywistości.

Jednak Jeff wciąż bez większego problemu potrafił oddzielić prawdę od fikcji. Mimo fantazji na temat Gretchen, które szalały w jego przesiąkniętym hormonami umyśle w trakcie tych kilku godzin, odkąd ją poznał, jeszcze tego samego dnia zdał sobie sprawę z rzeczywistości.

Jeff nie był prawiczką, lecz po dwóch krótkich miłosnych przygodach nie tkwił w przekonaniu, że nie można mu się oprzeć. Doskonale wiedział, że żadna piękna, młoda kobieta nie zakocha się w nim po uszy od pierwszego wejrzenia. O ile w ogóle się zakocha. Owszem, poznali się w dość dramatycznych okolicznościach. Ocalił ją, niemal w pojedynkę, od przysłowiowego „losu gorszego niż śmierć”. Prawdziwy baśniowy klasyk! Jednak...

Poznał Gretchen na tyle dobrze, by wiedzieć, że dla niej ten los nie był gorszy niż śmierć. Ona już to przecierpiała. I przeżyła i utrzymała rodzinę przy życiu. Wydawało mu się, że szczerze doceniła to, co zrobił, ale wiedział też, że kobieta, która z zimną krwią zamordowała rannego, żeby obronić swoją

190

Erie Flint

siostrę - siostrę, a nie jej „cnotę”, która i tak wkrótce odejdzie w niepamięć -nie wpadnie w zachwyty na widok kolejnego dzielnego żołnierza.

Zadumał się. Dotarło do niego, że naprawdę był dzielny. A nawet można powiedzieć, że był bohaterem. Przez chwilę delektował się tą świadomością.

Dla siebie samego, a nie z powodu Gretchen czy tego, co mogła o nim myśleć, dobrze było wiedzieć, że ma w sobie odwagę. Bardzo dobrze. W tym nowym świecie jeszcze bardziej będzie potrzebował odwagi niż w poprzednim życiu.

Jednak wiedział także, że mężczyzna, który wcześniej był „właścicielem” Gretchen, również był dzielny, co by nie mówić o reszcie jego przymiotów. Jeff nie był jednym z tych naiwnych sentymentalistów, którzy uważali, że tylko prawi ludzie mają monopol na odwagę. Podobnie jak wielu jego rówieśników, on również był miłośnikiem historii wojskowości. Zbrodnica przeszłość Waffen-SS36 praktycznie nie miała sobie równych w całej współczesnej historii, a mimo to nikt przy zdrowych zmysłach nigdy nie nazwał ich tchórzami. Z pewnością nie więcej niż raz.

Gretchen nie dbała o jego odwagę na polu bitwy; wiedział to z całą pewnością. Nie była bajkową dziewczyną, która omdlewa w ramionach wybawcy. Wielu ludzi określiłoby ją mianem obozowej dziwki, która zrobi wszystko, żeby ocalić siebie i swoją rodzinę. Jeff wiedział, że nadal jest gotowa wszystko zrobić. Jego fantazje mogły sobie szaleć na każdy błysk jej oczu, z których biła obietnica. Jego hormony mogły pędzić niczym Niagara, gdy pomyślał, że to kuszące ciało jest w zasięgu ręki. Ale to wszystko było kłamstwem.

Jeff znał prawdę. Chociaż widok jej obnażonej piersi rozpałał jego wyobraźnię, rozum wiedział, co jest autentyczne. Piers, rzecz jasna, była autentyczna, tak samo jak niemowlę, które ją ssało. Bękart obozowej dziwki, która sprzedabyła swoje ciało, żeby ocalić jego życie, tak samo jak wcześniej zarznęła mężczyznę, aby uratować własną siostrę.

Spojrzał prawdzie prosto w oczy, z podniesionym czołem, i podjął decyzję. I spokój rozlał się po jego duszy.

Zdawał sobie sprawę, że jego argumenty wcale nie są racjonalne. Nie miał wątpliwości, że w ciągu kilku następnych godzin wszyscy znajomi będą mu to tłumaczyć.

Ale on o to nie dbał. W tych okolicznościach nie mógł podjąć żadnej innej decyzji. Inni mogli sobie myśleć, co chcieli, i mówić, co tylko dusza zapragnie. On jest taki, a nie inny, i w tamtej chwili, zupełnie nieświadomie, przyjął dla siebie pewne historyczne motto. „Tak oto stoję.

Inaczej nie mogę”.

Nie mógł uciec z pierwszego w swym młodym życiu pola bitwy i pozwolić, by „wybierające poległych” minęły go, machając padlinożernymi skrzydłami.

Jeff Higgins będzie „wybierającym żywych”.

Decyzja zapadła, a teraz trzeba ją wprowadzić w czyn. Będzie to trudne, lecz nie niemożliwe. Ktoś będzie musiał mu pomóc - był tego równie pewien, jak całej reszty - i wiedział, że to będzie Gretchen.

Wstał i pomaszerował do biblioteki. Może raczej poczłapał. Jego wielkie boscie stopy plaskające o podłogę były równie romantyczne, jak cała reszta jego masywnego i niezgrabnego ciała intelektualisty. Trudno było pomylić Jeffa z wielkim bohaterem wojennym.

Dotarł do swych przyjaciół i poprosił o słownik. Spoglądali na niego pytająco, lecz on niczego im nie wyjaśniał. Nie naciskali go, i był im za to wdzięczny. Wkrótce będą tak naciskać, że zmiażdżą go drwinami i szyderstwem.

Trzymając w dłoni słownik, pomaszerował długim korytarzem do pomieszczenia, w którym Gretchen i jej rodzina ułożyli się już do snu. Stał przed drzwiami i uniósł dłoń. Zawahał się, lecz tylko na moment. Zapukał. Delikatnie, tak żeby nikogo nie zbudzić, ale mimo to zdecydowanie.

Ulżyło mu, gdy zobaczył, że to Gretchen we własnej osobie otworzyła mu drzwi. Poczł jeszcze większą ulgę, widząc, że sala za jej plecami jest cicha i pogrążona w mroku. Wszyscy już spali. Nie mogło to dziwić, biorąc pod uwagę, przez co ci ludzie musieli tego dnia przejść. Bał się, że będzie musiał czekać, aż Gretchen skończy doglądać swoich bliskich, a takie czekanie byłoby bardzo trudne.

Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że ją obudził. Ale jeśli nawet tak było, natychmiast otrząsnęła się ze snu; jej oczy i usta znów obiecująco błyszczały.

Dał jej znak, żeby wyszła z sali i zamknęła za sobą drzwi. Potem rozejrzał się po korytarzu i uznał, że to miejsce jest równie dobre jak każde inne.

Usiadł na podłodze i wyciągnął przed siebie nogi. Gretchen od razu usiadła w identycznej pozycji, tuż obok niego, i mocno się w niego wtuliła. Czł jej ciało, widział wystające spod szlafroka długie, obnażone nogi. Jeffowi zakręciło się w głowie. Ogarnęła go tak dzika namiętność, że bał się, iż jej nie okiełzna.

Ale jednak się udało. Wziął głęboki oddech, uśmiechnął się niewyraźnie i otworzył słownik. Przewracając kartki, zaczął artykułować swoje zamiary.

Gdy dotarł do niej, co chce jej powiedzieć, wydała z siebie stłumiony okrzyk i spojrzała przestraszona w jego oczy. Otworzyła usta i na znak odmowy zaczęła kręcić głową.

Widząc jej reakcję, Jeff uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Owszem - powiedział. - Muszę.

Ponownie zajrzała do słownika. Była jak sparaliżowana. Jeff podniósł się na kolana i ujął jej twarz w dłonie. Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy. Jasno-brązowe. Jasnozielone.

Erie Flint Owszem, muszę - powtórzył. - Ja, ich muss.

Wtedy Gretchen zaczęła kiwać głową. Kiwała i kiwała, a potem zaczęła się trząść i z jej oczu popłynęły łzy. Przytuliła się do Jeffa tak mocno, że przez chwilę bał się o swoje zębra.

Zresztą to nie miało znaczenia, i tak nie mógłby oddychać, tak bardzo mu ulżyło.

To kiwanie głową nic dla niego nie znaczyło, w każdym razie nie wtedy. Ten pierwszy gest zaprzeczenia był dla niego wszystkim. Był przygotowany na to, że może bez niej żyć, ale jego serce śpiewało na myśl o tym, że dostanie to, czego chciał.

Jej pierwsza reakcja, gdy już pojęła, o czym on mówi, wyrażała odmowę. „Nie musisz tego robić!”.

- Owszem, muszę - szepnął w jej włosy, przytulając ją do siebie. - Ja, ich muss. - Czł te lata strachu, które sprawiły, że jej silne ciało drżało jak liść na wietrze. Strach miał nad nią władzę przez tak długi czas, że teraz, gdy wreszcie mógł się ulotnić, ona nie umiała się go pozbyć. I choć ta chwila była pełna delikatności, Jeff miał ochotę potrząsnąć nią gwałtownie, żeby przyspieszyć jego odejście. „Już po wszystkim. Po wszystkim. Obiecuję”.

Jej odmowa wskazywała na brak choćby śladu wyrachowania, a on niczego więcej nie potrzebował. Wiedział, że nie będzie im łatwo - był już wystarczająco dojrzały, żeby mieć tego świadomość - lecz bez obaw będzie mógł stawić czoła tym nadchodzącym latom.

Kobieta, która wiodła życie pozbawione jakichkolwiek wyborów, miała odwagę, by jemu taki wybór pozostawić.

Był schwytany, usidlony, pojmany, lecz nie oszukany. Owieczka została uczciwie i porządnie zarżnięta. Nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że kat nie pokazał mu ostrza, zanim stanął - z własnej woli - przed ołtarzem.

?fazbzml Z

Jak przystało na byłego nauczyciela, Ed Piazza podkreślił zamasyście ostatnią informację na tablicy i pomaszerował na swoje miejsce.

- To wszystko - powiedział. - To jest ostateczny wynik. Dziesięć tysięcy osób, sprawnych fizycznie i zdolnych do pracy. Rzecz jasna nie licząc ludzi, których już mamy.

Splótł dłonie na stole.

- Część z nich to zdrowe starsze osoby i wystarczająco duże dzieci. Jest dobrych kilka tysięcy zajęć, które nie wymagają ciężkiej pracy, większość jednak wiąże się z dużym wysiłkiem, zwłaszcza uprawa roli i praca na budowie.

Mikę odchylił się na krześle i dla odmiany zaplótł dłonie za głowę. Przez kilka chwil uważnie przyglądał się obliczeniom na tablicy, aż wreszcie się odezwał.

- A jeśli ich nie pozyskamy?

Quentin Underwood wzruszył ramionami. Kierownik kopalni był częścią grupy dowodzonej przez Piazza, która opracowała plan produkcji.

- Wtedy, Mikę, trzeba będzie zmienić to równanie na odejmowanie.

- Innymi słowy, chodzi o wypędzenie ludzi - powiedział Mikę. - Nadliczbowe gęby z powrotem do pieca. - Nie było w tych słowach emocji; to było zwyczajne stwierdzenie.

Zarówno Quentin, jak i Ed poczuli się nieswojo. Podobnie Willie Ray Hudson i Nat Davis, pozostali członkowie zespołu planowania. Nat odchrząknął.

- No nie wiem, czy tak bym to ujął.

194

Erie Flint

- Daj spokój, Nat - warknął Quentin. - Mikę po prostu się nie patyczkuje, tylko nazywa rzeczy po imieniu.

Wyprostował się na krześle i spojrzał prawie z wściekłością.

- Mnie również to się nie podoba, Mikę, ale tak to wygląda. To jest oczywiście tylko szacunkowa liczba, ale sądzę, że margines błędu jest cholernie mały. Potrzeba nam dziesięciu tysięcy ludzi, żeby zbudować taką infrastrukturę, która pozwoli wszystkim mieszkańcom tego obszaru przetrwać zimę. Produkcja żywności i dach nad głową - to nasze główne wyzwania. Nawet jeśli wszystko zrobimy zgodnie z planem, to i tak zima da nam zajebiście w kość.

Przepraszam za wyrażenie.

Mikę opuścił dłonie zza głowy i lekko nimi zamachał.

- Ja nikogo nie krytykuję - powiedział łagodnie. - Po prostu chcę się upewnić, że nadajemy na tych samych falach. - Zaciśnął zęby. - Czy tu już uwzględniono siłę roboczą z Badenburga?

Piazza pokręcił głową.

- Badenburg w ogóle nie jest w tym równaniu uwzględniony, Mikę. Braliśmy pod uwagę tylko tych ludzi, którzy już są w mieście, i szacowaną przez nas liczbę uciekinierów koczujących na tym obszarze. Przez cały czas napływa znaczna liczba ludzi. Wszystkie kościoły są już zapełnione po brzegi, tak samo dom kultury obok jarmarku.

Dreeseon, burmistrz miasta, wyglądał na zaniepokojonego.

- Już? Jaki to ma wpływ na nasz system sanitarny?

- Obciąża go jak diabli - odparł szczerze Ferrara. Nauczyciel przedmiotów ścisłych pochylił się do przodu. - Zresztą tak już było, zanim doszli ci nowi -jeńcy i ludzie z obozu żołnierzy. Teraz Dreeseon był już bardzo zaniepokojony.

- Spokojnie, Henry! - wtrącił się Bill Porter, zanim doszło do wybuchu. - Centrum dla uciekinierów przy elektrowni będzie za osiemnaście godzin w pełni sprawne. Mamy tam instalację sanitarną o największej wydajności w całym mieście. Będą z niej mogły korzystać setki ludzi na godzinę.

- A jak zamierzasz ich namówić do korzystania, Bill? - parsknęła Melissa. - Drogim?

Zauważyłeś, że wcześniej chodziłam w szlafroku, prawda? Myślisz, że normalnie paraduję sobie tak publicznie?

Porter skulił się nieco pod przeszywającym spojrzeniem, które od lat wywoływało u nastolatków rumieńce wstydu.

- Moi mili, moje własne gorzkie doświadczenia nauczyły mnie, że ci ludzie są... w takiej traumie... że jedynym sposobem zaciągnięcia ich pod prysznic było zaprowadzenie ich tam osobiście. Ale nawet wtedy...

Urwała i lekko się wzdrygnęła.

Mikę wyprostował się i oparł dłonie o stół. Było w tym geście coś wład-

- W porządku. Właśnie podjąłem decyzję: będziemy korzystać z żołnierzy. To znaczy jeńców. Nie mamy innego wyboru.

Ed przekrzywił głowę.

- Korzystać z nich?

- W tym tłumie jest ponad tysiąc zdrowych i sprawnych mężczyzn. Kiedy ranni się wykurują, wtedy dojdzie pewnie kilka setek więcej. To będzie nasza siła robocza. Poddamy ich zabiegom sanitarnym w elektrowni, jak tylko wszystko będzie już gotowe.

Natychmiast podniosły się okrzyki.

- To jest przymusowa praca! - sprzeciwiła się Melissa.

- Jak ich nakłonisz, żeby poszli pod prysznic? - zażądał odpowiedzi Under-wood.

-A jeśli będzie opór? - zapytał Ferrara.

Mikę zmarszczył brwi.

-Melisso, bądź poważna, okej?! Całe życie byłem związkowcem, więc z łaski swojej oszczędź mi kazań na temat przymusowej pracy. To nie są żadni uciskani robotnicy. To są jeńcy wojenni, których schwytaliśmy po tym, jak przypuścili na nas atak. Przecież nie mówię, że mamy ich zakatować, na litość boską. Ale będą pracować.

Odwrócił się do Underwooda, wciąż marszcząc brwi.

- Jak? To bardzo proste. „Albo prysznic, albo kulka. Odwieszawisz włosy albo my odwieszawimy twoje flaki”. Myślisz, że to dobra motywacja?

Melissa już miała się wydrzeć, ale Mikę walnął ręką w stół. Huknęło jak z armaty.

- Melisso, dość tego! - Jego twarz przybrała prawdziwie dziki wyraz. -Do jasnej cholery, to nie są kobiety i dzieci po traumatycznych przejściach. To są faceci, którzy im te przejścia zafundowali! Szczerze mówiąc, mam to gdzieś, czy padną trupem ze strachu. Poddadzą się dezynfekcji i będą pra-

Teraz spojrział na Ferrarę.

- O co chodziło z tym oporem? Ferrara uśmiechnął się.

- A... nic takiego. To takie bezpodstawne obawy.

Melissa wciąż miała otwarte usta, gotowa przemówić. Zmrużyła oczy, napięła ramiona. Na Boga, nie pierwszy raz ma do czynienia z despotą! Szeryfowie z południa, policja z Waszyngtonu, zbiry wynajęte przez firmę... „Jeśli Mikę Stearns myśli, że może mnie zastraszyć...”.

Nagle wydeła policzki. Przez chwilę wyglądała jak szczupły, elegancki, wyrafinowany rybojeź. Następnie gwałtownie wypuściła powietrze.

- W porządku - powiedziała. Mikę spojrział na nią podejrzliwie.

196

Erie Flint

- Co tu jest grane? Od kiedy to tak szybko się poddajesz? Myślałem, że zaraz mi tutaj zorganizujesz kordon pikietujących.

Melissa uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż... Nie myśl, że mnie nie kusi. - Uśmiech zniknął i na jej twarzy pojawiło się lekkie znużenie. - Nie podoba mi się to, Mikę, ani trochę, ale myślę, że tobie też. Poza tym...

hmmm... masz rację, chociaż ledwie mi to przez gardło przechodzi, że jedyną alternatywą jest wypędzenie żołnierzy i ich obozowych jeńców.

Underwood odchrząknął.

- Przepraszam was bardzo, ale chciałbym wtrącić, że powinniśmy rozważyć tę alternatywę. -1 pospiesznie dodał: - No, przynajmniej co do żołnierzy.

Frank Jackson już miał się odezwać, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ed wstał i poszedł otworzyć. Gdy zobaczył, kto za nimi stoi, uniósł ze zdumienia brwi.

Był to Jeff Higgins, otoczony przez swych trzech przyjaciół: Larry'ego Wilda, Jimmy'ego Andersona i Eddiego Cantrella. Na ich twarzach gościł jednakowy wyraz niezachwianego postanowienia i głębokiego lęku.

- O co chodzi, chłopcy? - zapytał Ed. - Bo widzicie, mamy teraz zebranie. Jeff wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

- Tak, wiemy, proszę pana, i przepraszamy, że tak wtargnęliśmy, ale pomyślałem, to znaczy obgadaliśmy to wspólnie z kumplami i... - na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie pomieszane z ulgą. - ponieważ mnie wsparli, chociaż myślałem, że będą się ze mnie nabijać, to obgadaliśmy to, i jak już skończyliśmy, postanowiliśmy, że powinienem najpierw tu przyjść, powiedzieli, że będą mnie wspierać, i najpierw panu powiedzieć, bo zapewne będzie cholerna draka, przepraszam za wyrażenie, pani profesor, więc równie dobrze możemy to załatwić od ręki. No to tyle.

Znowu był cały napięty, najwyraźniej spodziewając się ataku. Ed zmarszczył czoło i odwrócił się do pozostałych siedzących w pomieszczeniu osób. Oni również odpowiedzieli takimi samymi minami. W końcu Ed potrząsnął głową.

- Jeff, yyy... o co właściwie chodzi? Jeff otworzył szeroko oczy.

- A no tak, przepraszam. - Wziął kolejny głęboki oddech i wystartował. -No bo w sumie to jest tak, że się zgodziliśmy, obydwójce, i już po wszystkim, wszystko już jest ustalone, i nikt nic nie może zrobić, bo jestem pełnoletni, a moich rodziców i tak nie ma, jej zresztą też. No to tyle.

Zapadła cisza.

I nagle Melissa wybuchła śmiechem.

- Dobry Boże! - Obrzuciła Jeffa pełnym aprobaty spojrzeniem. - Młody człowieku, muszę ci powiedzieć, że jeszcze nigdy nikomu nie zawyżyłam oceny, ale ty masz zapewnioną szóstkę ze wszystkich moich przedmiotów.

Jeff zmarszczył brwi.

-Ale ja już niedługo kończę szkołę, pani profesor.

- Matołku! Chodzi o kształcenie dorosłych. Chociażby kursy niemieckiego. Sama już zaczęłam się uczyć tego języka, więc mogę pomóc w nauczaniu.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Musiałeś użyć słownika, prawda?

- No... tak - odpowiedział zmieszany.

- O co w tym wszystkim chodzi? - wybuchł Ed, wyrzucając ręce w powietrze.

- Czy to nie oczywiste? - Melissa wskazała na Jeffa. - Właśnie oświadczył się Gretchen, a ona przyjęła oświadczyzny. -1 dodała z szerokim uśmiechem: - No to kiedy ślub?

Rozpętało się prawdziwe piekło.

^azbzml ZB

- Tak, panie Dreeson, wiem, że ona chce za mnie wyjść tylko z troski o swoich bliskich. No to co? Ludzie pobierają się ze znacznie gorszych pobudek.

- Tak, panie Piazza, wiem, że dopiero ją poznałem i że prawie się nie znamy. No to co?

Będziemy mieli przed sobą całe lata, żeby to nadrobić.

- Tak, panie Ferrara, wiem, że pewnie skończy się to rozwodem. No to co? Część państwa również jest rozwiedziona, prawda?

Zapadła chwila ciszy, a potem głosy mądrości dorosłych powróciły do dręczenia chłopaka.

- Tak, panie Underwood, wiem, że jest w skrajnej nędzy i że wychodzi za mnie tylko dla pieniędzy, ale to jest śmiechu warte, bo przecież ja nie mam żadnego majątku. No więc co to za ryzyko? Może śmiało korzystać.

- Tak, panie Hudson, wiem, że to ekstra laska i że to pewnie jeden z dwóch powodów, dla których jestem na tyle głupi, żeby ją poślubić. No to co? Nie widzę, czym to się niby ma różnić od wielu innych małżeństw w naszym mieście. -1 dodał opryskliwe: - Przynajmniej moja dziewczynayes/ ekstra laską.

Odbita od pancerza młodzieńczego szaleństwa mądrość dorosłych zwróciła się ku dziwactwom wieku dojrzałego.

- Melisso! - ryknął Dreeson. - Może byś wreszcie przestała podjudzać to dziecko swoimi... Co ty właściwie robisz?

Melissa przerwała cudaczną gestykulację.

- Wiem, że jestem w tym kiepska. W liceum byłam zbyt wyrafinowana, żeby być cheerleaderką. Muszę poprosić Julie Sims o kilka wskazówek. -

Wstała z krzesła i przybrała dramatyczną pozę, udając, że trzyma pompony. -Dwa! Cztery! Sześć! Osiem! Kto jest z nami? Mąż i żona!

W tym momencie James Nichols roześmiał się wesoło. Mike, który stał przy oknie i wpatrywał się w mrok, wyszczerzył zęby do szyby, a Rebeka także szeroko się uśmiechnęła. Frank Jackson dla odmiany był wściekły. Jednak nie na Jeffa.

- Zamknijcie się wszyscy! - warknął. Prawdziwy gniew w jego głosie sprawił, że w pokoju zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w niego ze zdumieniem. James już się nie śmiał, a Melissa przestała gestykulować.

Gdy Frank ponownie się odezwał, jego głos był jak stłumiony warkot.

- „Nie jest dla ciebie wystarczająco dobra”. „Zależy jej tylko na amerykańskim obywatelstwie”. „Zbyttno się różnicie”. „To się nie uda”. Jezu!

Utkwił lodowate spojrzenie w Underwoodzie. On najbardziej krzykliwie -i najbardziej ordynarnie - zareagował na nowinę Jeffa.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Quentin. Myślisz, że gdzie, do cholery jasnej, poznałem Dianę, co?

- Wiesz, o kim mówię, prawda? - Wyciągnął dłoń i zatrzymał ją jakies półtora metra nad ziemią. - Maleństwo, mniej więcej tego wzrostu. Pewnie ją czasem widziałeś w mieście. Kobieta, z którąjesteśmy małżeństwem... Ile to już? Trzydzieści lat. Matka trojga moich dzieci. - Jego gniew nieco osłabł i jego miejsce natychmiast zajął smutek. Wszyscy trzej synowie Franka i Dianę byli już dorośli i wyprowadzili się z miasta. Ognisty Krag odciął ich od rodziców.

Gniew powrócił wraz z szyderczym uśmieszkiem.

- No powiedz, Quentin, bardzo jestem ciekaw. Myślisz, że poznałem ją na przyjęciu galowym w ambasadzie? Ja w szykownym mundurze, a ona w zmysłowej kreacji wieczorowej sprowadzonej z Paryża? Myślisz, że ona była jakąś wietnamską księżniczką?

- To nie moja sprawa, Frank - powiedział z zażenowaniem Underwood i odwrócił wzrok. - Nigdy nie pytałem. Zresztą chyba nikt nie wie.

Frank parsknął i zerknął na Mike'a.

- On wie. Jeszcze kilka osób wie. - Frank wpadł w bardzo rzadki u niego nastrój. Pochylił się do przodu i oparł zaciśnięte pięści o blat stołu. - Wiesz co? Ja sprawię, że to będzie twoja sprawa. Poznałem Dianę...

- Frank! - Mike nie powiedział tego głośno, lecz po prostu stanowczo. - Odwrócił się od okna i wrócił do stołu. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Daj spokój, nie ma takiej potrzeby.

Potem spojrzął na Jeffa, który nadal stał w drzwiach.

- Nie wiem, czy to cokolwiek dla ciebie znaczy, Jeff, ale w tym momencie jesteś chyba najmądrzejszą osobą w całym mieście. Zdążyłeś już pojąć coś, czego reszta jeszcze nie może zrozumieć. Może z wyjątkiem Melissy.

200

Erie Flint

Jego wzrok padł na inną postać i dodał delikatnie:

-I Rebeki.

Oczy Rebeki rozszerzyły się ze zdumienia. Mikę uśmiechnął się.

- Zwłaszcza Rebeki. Może spróbujesz im to wytłumaczyć?

Zawahała się. Zdarzało jej się na posiedzeniach zadawać pytania, ale nigdy jeszcze nie wyrażała swojej opinii. Ciepłe spojrzenie Mikę'a-kochające spojrzenie - dodało jej śmiałości.

- Nie jestem pewna, Michaelu, jednak spróbuję. Skierowała wzrok na pozostałe osoby siedzące przy stole.

- Macie wybór. - Wzięła głęboki oddech i pokonała ostatnią przepaść. -Mamy wybór.

Możemy podążać jedną z dwóch dróg. Droga Jeffa, która może wydawać się „głupia” i „pochopna”, albo inną drogą. Droga Jeffa prowadzi do krainy bardzo podobnej do tej, którą, jak mniemam, kiedyś zamieszkiwaliście. To jak ten sen, który mój naród niegdyś zwał Sefarad - dodała ze smutkiem. - Ta druga zaś...

Jej głos stał się ochryply i zimny. Takie dźwięki dobywające się z ust delikatnej Rebeki były mocnym szokiem.

- Ta druga zaś prowadzi do rządów wojskowych. Krainy hidalgów i inkwizytorów, tak zwanej „czystej krwi”. To będzie amerykańska limpieza rządząca bandą niemieckich chłopów.

Wskazała głową w kierunku okna.

- Kim będą dla nas tamci ludzie? Brudni, chorzy, zropaczeni ludzie, tłoczący się w obozowiskach i w lasach. Współobywatelami, sąsiadami, przyjaciółmi... małżonkami? Czy też raczej chłopami pańszczyźnianymi, służbą, pacholkami... nałożnicami? Na tym właśnie polega wybór.

Underwood przewiercał ją wzrokiem.

- Co?! Ty chyba nie...

- Na litość boską, Quentin! - Melissa wybuchła szyderczym śmiechem. -Oczywiście, że jej nie chodzi o to, że mamy kogokolwiek zmuszać do brania ślubu. Dorośnij wreszcie! - Jej oczy błysnęły szelmowsko. - Chociaż jak teraz nad tym myślę... Aleksander Wielki tak zrobił, wiecie? Kazał wszystkim macedońskim oficerom poślubić Persjanki. Hmmm...

- Melisso, darujmy sobie tę wycieczkę po muzeum - zachichotał Mikę. Oczy Quentina wciąż były szeroko otwarte. Mikę potrząsnął głową. -Problem, Quentin, polega nie na tym, co zadecyduje ta czy inna osoba,

tylko jakie stanowisko my zajmiemy wobec tej decyzji, jakakolwiek by ona była. Ludzie mogą myśleć, mówić i robić, co tylko im się podoba, ale to nie jest równoznaczne z aprobatą społeczną. - Mikę wskazał na Jeffa. - Po raz pierwszy młody Amerykanin ma zamiar poślubić młodą Niemkę. Co z tym zrobicie, „ojcowie narodu”? Usankcjonujecie to czy nie?

Zorganizujecie publicznie ślub tak samo, jak zorganizowalibyście każdy inny ślub, niezależnie

od waszych osobistych zastrzeżeń? Czy też może oznajmicie światu, że chłopak jest kompletnym idiotą, a ta niemiecka dziewczyna bezwartościową po-szukiwaczką złota?

Bydłem niegodnym amerykańskiej krwi?

Cała wesołość znikła z jego oczu.

-Co z tym zrobicie?

Willie Ray Hudson wypuścił powietrze z płuc.

- Cholera, Mikę, skoro tak stawiasz sprawę... - Stary farmer odchylił się na krześle i rzucił okiem na Jeffa. - Czy ta twoja dziewczyna... ma ojca, który poprowadzi ją do ołtarza?

Twarz Jeffa zachmurzyła się.

- Nie jestem pewien, panie Hudson, ale nie... nie sędzę. Jeżeli dobrze zrozumiałem to, co mówiła, jej ojciec został kilka lat temu zamordowany.

Hudson skrzywił się.

- Jezu - wymamrotał - nie chcę nawet wiedzieć, przez co musiała przejść ta biedaczka.

- Nie, nie chcesz - powiedziała dobitnie Melissa. - Możesz mi zaufać, Willie Ray. Nie chcesz. Hudson wstał i podszedł do Jeffa.

- Dobra, Jeff, powiedz tej swojej dziewczynie, że jeśli będzie chciała, będę zaszczycony, mogąc zająć miejsce jej ojca w trakcie ślubu.

Na twarzy chłopca nagle pojawił się entuzjazm.

- Zrobiłby to pan, panie Hudson?! Wszyscy w mieście znają pana od urodzenia. To by było ekstra! Muszę oczywiście zapytać Gretchen. - Odwrócił się i spojrzał na Larry'ego. - Masz jeszcze ten słownik? - Larry wyciągnął go przed siebie.

Wszyscy zgromadzeni w sali roześmiali się.

- Co w tym takiego zabawnego? - spytał Jeff. Śmiech stał się jeszcze donośniej szy.

- To musi być rekord - rechotał Ferrara. - Poznać dziewczynę i jeszcze tego samego dnia jej się oświadczyć - owszem. Ale za pomocą słownika?

Jeff oblał się rumieńcem. Willie Ray poklepał go po ramieniu.

- Nie zwracaj uwagi na tego buraka, chłopcze. To na pewno nie jest rekord, tylko pretendent. Ale to najwidoczniej nie pomogło, wnosząc po kolorze policzków Jeffa.

- Na tego buraka też nie zwracaj uwagi - oznajmiła Melissa i spojrzała na zegarek. - Dobra, wystarczy już tego dobrego. Już prawie wpół do jedenastej. Może nie pamiętacie, ale dzisiaj była bitwa. - Posłała Jamesowi pogodne spojrzenie. - A biedny doktor Nichols musi być rano z powrotem w szpitalu.

- I to z samego rana - dodał Nichols. - Adams zgodził się dzisiaj wziąć na siebie wszystkie obowiązki, ale muszę je jak najszybciej od niego przejąć. Oczekują nas dziesiątki ciężko rannych osób.

202

Erie Flint

Mikę skinął głową.

- Owszem, racja. Poza tym... - Zerknął na Jeffa. - Zostajesz tu dziś na noc? Jeff spojrzał z wahaniem na Eda Piazza.

- Jeśli tylko pan dyrektor się zgodzi. - Kiwnął ręką na swoich przyjaciół. - Uznaliśmy, że możemy przenocować tutaj, na podłodze w bibliotece. Gretchen i cała reszta teraz już śpią, ale wcześniej się obudzą i... i... - Nieco się wyprostował. - Będziemy teraz ich nową rodziną. My wszyscy, bo przecież Lany, Ed i Jimmy mieszkają ze mną i pewnie będą jakimiś wujkami albo kimś takim... No i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy tu być, jak się obudzą, tylko po to... - Nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Jak najbardziej - zgodził się Piazza. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął komplet kluczy, po czym szybko zabrał się za zdejmowanie jednego z nich z kółka. - Ale nie w bibliotece. Całą noc będą tam ludzie. Poza tym w moim gabinecie jest dywan, a wam akurat przydałoby się nieco snu. Postarajcie się tylko wyjść stamtąd, zanim przyjdzie Len Trout, bo jeszcze się o kogoś potknie. Zawsze rano jest półprzytomny. No wiecie, niski poziom cukru. Trochę zrzędzi, dopóki nie wypije pierwszej kawy, a wy będziecie leżeć dokładnie na wprost automatu.

Jeff z lekkim niepokojem wziął klucz. Wśród uczniów liceum powszechnie wiadomo było, że nie można wprawiać wicedyrektora w gniew, zanim nie wypije swojej porcji trzech filiżanek kawy z cukrem i śmietanką.

Potem cała czwórka ruszyła pędem. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Gdy już poszli, Quentin Underwood westchnął ciężko.

- A tam, cholera. Ciągłe myślę, że chłopak zwariował, ale wiecie co? Po tym koszmarze, w jaki nas wciągnięto, przysięgam, że nie przychodzi mi na myśl ani jedna rzecz, która mogłaby mi dać większe ukojenie niż widok młodej kobiety idącej do ołtarza w ślubnej sukni.

Dreeson kiwnął głową.

- Dla mnie tak samo. Myślę zresztą, że dla całego miasta. Szeroko otworzył oczy.

- Dopiero teraz na to wpadłeś, Henry? - roześmiał się Mike. - Jeżeli uda nam się przekonać Jeffa, żeby nie żenił się tak szybko - a to wcale nie będzie proste, bo ja już widziałem tę dziewczynę - chciałbym, żeby ślub odbył się za cztery dni.

- Za cztery dni? - spytała zdumiona Melissa i skierowała spojrzenie na ścianę. - Atak w ogóle to jakiego kalendarza używamy? W siedemnastym wieku...

- Nic mnie to nie obchodzi! - oznajmił Dreeson. - Jak dla mnie - klasnął w dłonie - za cztery dni jest czwarty lipca]

Mike wyszczerzył zęby.

- Właśnie tego nam potrzeba. Uroczystości, parada, sztuczne ognie... a wszystko uwieńczy najwspanialszy ślub, jaki to miasto kiedykolwiek oglądało.

I dodał cicho:

- To nam przypomni, kim naprawdę jesteśmy. - Uśmiechnął się ciepło do Rebeki. - I kim nie jesteśmy.

Zebrańnię dobiegło końca. Melissa szła korytarzem do wyjścia, gdy nagle usłyszała za sobą szybkie kroki. Odwróciła się. To James Nichols starał się ją dogonić.

Gdy już się z nią zrównał, na jego twarzy wykwitł uśmiech.

- Mogę panią odprowadzić do domu? - zapytał. Melissa uśmiechnęła się szeroko.

- Za grosz wstydu! - wykrzyknęła.

- Ja? - Nichols był zaskoczony. - Ja tylko... Pokręciła głową i ujęła Jamesa pod rękę.

- Nie pan, doktorze. Będę zachwycona, jeśli zechce mi pan towarzyszyć w drodze do domu. - Zachichotała. - Miałam na myśli mojego dawnego ucznia. Zawodowego boksera przekwalifikowanego na swata. Za grosz wstydu.

- Aha. - Po dłuższej chwili doktor odchrząknął. - Właściwie to Rebeka dała mi kopa. Nie... - uśmiechnął się - żebym sam o tym nie myślał.

Melissa odwróciła głowę i spojrzała na niego uważnie. A raczej na jego uśmiech. Podobał jej się ten wesoły, szczęśliwy uśmiech bardzo dojrzałego mężczyzny, którego lata młodości już dawno minęły - wiedziała, że ma pięćdziesiąt pięć lat, tylko dwa lata mniej od niej - ale mimo to świadomego samego siebie i zadowolonego z miejsca, w którym się znajduje. A także zachwyconego odkryciem, że najwyraźniej wcale nie jest jeszcze taki stary. Równie zachwyconego jak ona.

Obydwoje teraz się uśmiechali. Obydwoje cieszyli się spokojem płynącym z ich wieku, wiedzy, doświadczenia. Zabawy na tylnym siedzeniu samochodu należały do zamierzchłej przeszłości. Przyszły dolegliwości i bóle, lecz przynajmniej zgadywanie mieli już za sobą. Gdy wyszli ze szkoły i ruszyli przez parking w kierunku drogi, James objął Melissę w talii i delikatnie przyciągnął do siebie. Wtuliła się w niego i położyła dłoń na jego dłoni. Pod palcami wyczuła ślubną obrączkę.

Melissa wiedziała, że James jest wdowcem i że jego żona zginęła w wypadku samochodowym, nie znała jednak żadnych szczegółów.

-Ile czasu...

Najwyraźniej potrafił czytać w jej myślach.

- Wystarczająco dużo - odpowiedział. - Cierpiałem, Melisso, długo i mocno. Strasznie ją kochałem. Ale minęło już wystarczająco dużo czasu.

Erie Flint

Gdy dotarli do domu państwa Roth (a właściwie domu państwa Roth i państwa Abrabanel, ponieważ za obopólną zgodą postanowiono zachować ten układ już na stałe), Rebeka przytuliła się do Mike'a i zaczęli się całować.

Odsunęli się od siebie mniej więcej po pięciu minutach. Na niewielką odległość, może na pół cala.

- Muszę porozmawiać z twoim ojcem - powiedział cicho Mike.

- Jak chcesz to uczynić, Michaelu?

- Z twoim ojcem?

- Nie, nie, nie o tym mówię. - Uśmiechnęła się, wciąż oparta o jego pierś. - Nie sędzę, żeby to stanowiło taki problem, jak mi się kiedyś wydawało. Nie mam pewności, lecz po tym, co powiedziała Melissa...

Musnęła jego ramię.

- Ostatnio czytywał prace filozofa zwanego Spinozą. Dużo się uśmiecha, zwłaszcza do mnie. A teraz widzę, że od czasu do czasu uśmiecha się również na twój widok. Jakby wiedział coś, czego my nie wiemy.

- Zapewne tak właśnie jest - zachichotał Mike. Rebeka odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

- Zrobię wszystko, czego zapragniesz - rzekła cicho.

W blasku księżycy jej oczy były jak czarne sadzawki, przejrzyste, łagodne, pełne miłości.

- Ale nie chciałabyś się spieszyć. Rebeka zawahała się.

- Nie do końca! - Jej dłonie nagle zaczęły uciskać jego żebra. Mike czuł, jak napiętość przepływa z jej palców wprost do jego stóp, z powrotem do czaszki i w dół kręgosłupa.

Zachwiał się lekko i przycisnął ją do siebie.

- Nie do końca! - Roześmiała się i spojrzała na niego żarliwie. Minęło kolejnych pięć minut.

Gdy się od siebie odsunęli - tym razem może na cal - uśmiechnęła się ciepło.

- Ale owszem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wciąż jeszcze... -Zawahała się, szukając odpowiednich słów.

Mike znalazł je za nią.

- Znalazłaś się w nowym świecie i robisz wszystko, co w twojej mocy, żeby się w nim odnaleźć. Potrzebujesz jeszcze trochę czasu, żeby umeblować wszystkie pokoje, zanim wprowadzisz się do domu.

- Tak! Dokładnie o to mi chodzi, Michaelu. - Podniosła na niego wzrok. -Tak bardzo cię kocham - szepnęła. - Wierz mi, naprawdę tak czuję.

- W porządku. Tak właśnie będzie. - Pocałował ją w czoło i niemal syknął, czując pod palcami jej ramiona. Pożądanie.

Roześmiał się cicho.

- A niech tam! Mój dziadek zawsze mawiał, że my, młodzi, nie wiemy, co tracimy.

„Oczekiwanie”, mówił. „Zanim tacy gówniarze się pobiorą, to już im się seks zdąży znudzić”.

Rebeka zachichotała. „Z jaką łatwością oni potrafią o tym mówić i z tego żartować!”.

Mike cofnął się. O dwa, może o trzy cale.

- W porządku - powtórzył. - Zareczymy się. Będziemy mieli długi okres narzeczeństwa, jak za dawnych czasów. Tak długi, jak tylko będziesz chciała, Rebeko Abrabanel.

Cofnął się o kolejnych kilka cali, powoli i niechętnie, ale stanowczo.

- Jutro pomówię z twoim ojcem. -I zaczął się oddalać.

Rebeka stała na ganku i patrzyła w ślad za nim, aż po raz ostatni odwrócił się, pomachał do niej i zniknął za rogiem. Rozkoszowała się napiętością, która przepływała przez jej ciało niczym szalejąca fala.

„Nie aż tak długi, Michaelu! Tak bardzo cię kocham. Tak bardzo cię pragnę”.

•Ktfzfrzrał 27

Gretchen obudziła się przerażona. Nieświadoma czasu, zagubiona w przestrzeni, głównie jednak sparaliżowana wspomnieniem.

Jej spojrzenie pomknęło w kierunku drzwi. Stwierdziła z ulgą, że są zamknięte. A więc wspomnienie było uludą. Pamiętała, że zamykała drzwi, za którymi była uśmiechnięta twarz. Mimo to...

Usiadła i zlustrowała całe pomieszczenie. Jej rodzina leżała na podłodze w niewielkich grupkach, połączonych we śnie rękami i nogami. Ci ludzie odruchowo garnęli się do siebie; nawet w środku lata bliskość innego ciała dawała ciepło i pierwotne poczucie bezpieczeństwa. Gretchen spojrzała z uśmiechem na wtulone w jej ramię dziecko. Wilhelm wciąż spał kamiennym snem. Z lewej strony Annalise obejmowała ramieniem udo Gretchen; śpiąca po prawej babka robiła to samo, pomrukując w lekkim śnie, w jaki zapadają starsi ludzie. Gretchen znów popatrzyła na drzwi. Ponownie napłynęło wspomnienie.

„Muszę wiedzieć!”.

Delikatnie wyswobodziła się z uścisku bliskich. Babka już się całkowicie obudziła i najwyraźniej zagubiona, rozglądała się wokół. Gretchen przekazała jej Wilhelma. Babka bez chwili wahania wzięła niemowlę; znajoma czynność dodała jej otuchy.

Dziewczyna wstała i podeszła do drzwi. Z korytarza dobiegały jakieś stłumione głosy. Nie słowa, tylko głosy. Zawahała się.

„Muszę wiedzieć”. Stanowczo - niemal gorączkowo - otworzyła drzwi.

Ujrzała czterech młodych mężczyzn. Siedzieli oparci plecami o przeciwległą ścianę korytarza, z wyciągniętymi przed siebie nogami, i prowadzili wesołą, lecz cichą rozmowę. Gwałtowność, z jaką Gretchen otworzyła drzwi, wprawiła ich w osłupienie. Cztery twarze błyskawicznie odwróciły się do niej.

Ale ona widziała jedynie twarz pośrodku. Uśmiechnął się delikatnie, promiennie, wstał i zbliżył się do niej. Jego oczy były zielone niczym sama wiosna. Życie powiększone przez szkła.

Gretchen poczuła tak ogromną ulgę, że zachwiała się i oparła o framugę drzwi. Chwilę później była już w jego ramionach.

„Bezpieczna”.

Zauważyła - nie zastanawiając się nad powodem - że gdy jeden z przyjaciół Jeffa jaurzał, od razu zerwał się i popędził korytarzem. Upłynęła minuta, może dwie, i powrócił, a wraz z nim kilkoro starszych.

Gretchen rozpoznała dwoje z nich - księżną i wodza. Z ulgą dostrzegła na obu twarzach szeroki uśmiech. Obawiała się, że możnowładcy w świecie Jeffa nie dopuszczą do tego, by poślubił kogoś takiego jak ona. Następnie spojrzała na towarzyszącą im kobietę i niemal opadła jej szczęką.

Nigdy jeszcze nie widziała żadnego Żyda - z jej miasta już dawno temu ich wypędzono - lecz nie miała najmniejszych wątpliwości.

„Żyd nadworny? Tutaj?”.

Co do tego, że kobieta ta była Żydówką, Gretchen miała pewność. Rysy twarzy, odcień skóry, długie czarne włosy (tak mocno kręcone!) pasowały jak ulał do opowieści, które słyszała. Poza tym mężczyźni zawsze twierdzili, że Żydówki to piękności, a o tej bez wątplenia można było tak powiedzieć.

Co do tego, że Żydówka mieszka na dworze, już tak wielkiej pewności nie miała. Niewiele wiedziała o arystokracji, księżętach i królach, a także o życiu dworskim. Lecz kto inny miałby w sobie taką wytworność?

Gretchen natychmiast zapanowała nad swoją nieoczekiwaną reakcją. Nie żywiła żadnej osobistej urazy do Żydów i nie miała zamiaru obrazić tej kobiety. Jakikolwiek były wpływy owej Żydówki na dworze Amerykanów, była przekonana (obserwując pewne subtelności w języku ciała), że ta kobieta jest nałożnicą wodza.

Księżna rozłożyła szeroko ramiona w powitalnym geście i Gretchen po raz kolejny straciła opanowanie. Księżna ją uściskała]

Nie była w stanie zrozumieć, co kobieta do niej mówi. Rozpoznawała wiele słów, ale sprawiały one raczej wrażenie steku bzdur.

- ...załatwimy ci jakieś (bełkot) przede wszystkim! Przecież nie możesz (bełkot, śmiech) stroju! Niech (bełkot) pomogą nam. (Bełkot) potrzebujemy dobrych ludzi, żeby (bełkot) ziarno od (bełkot... „plew?“).

208

Erie Flint

Potem przemówiła Żydówka, tłumacząc słowa księżnej. Jej niemiecki był doskonały. Mówiła z dziwnym akcentem („holenderskim? hiszpańskim?“), który był świadectwem takiego wykształcenia, z jakim Gretchen jeszcze nigdy się nie zetknęła. Teraz wszystko doskonale rozumiała.

Przynajmniej poszczególne wyrazy, gdyż ich sens zakrawał na obłąd.

Wszystkie wydarzenia tamtego dnia zakrawały na obłąd. A także kolejnego, i jeszcze następnego. Gretchen, rzecz jasna, była posłuszna. Nie miała specjalnie żadnego wyboru, a ciągła obecność Jeffa dodawała jej otuchy. Owszem, jej przyszły mąż był równie szalony jak cała reszta tych Amerykanów, lecz Gretchen zaczynała już ufać jego zielonym oczom. I to bardzo.

Gdy nadszedł czwarty dzień - dzień jej ślubu - Gretchen była już pogodzona z nową rzeczywistością. Zresztą czemu nie? Są na tym świecie gorsze rzeczy niż postradanie zmysłów i pójście do nieba. Znacznie gorsze.

ftazbzml ZB

Gretchen przyglądała się uważnie scenie rozgrywającej się w olbrzymim nowym budynku, który Amerykanie postawili obok tego zwanego „elektrownią“. Trudno jej było powstrzymać się od śmiechu. Wypełniający salę tłum najemników sprawiał pożałowania godne wrażenie. Wszyscy byli mokrzy; Amerykanie bez wątpienia zastosowali wobec nich ten sam proces oczyszczania, którego wcześniej doświadczyła Gretchen i jej rodzina. Przypuszczała jednak, że byli wobec nich mniej delikatni niż księżna.

I to, rzecz jasna, było główną przyczyną ich niedoli. Mężczyźni - a zwłaszcza żołnierze - których jedynym odzieniem są przewiązane wokół bioder ręczniki, nie cieszą się na widok innych żołnierzy trzymających w rękach broń. A zwłaszcza tę potworną amerykańską broń palną z niezwykłym mechanizmem pozwalającym na serie strzałów. Mówili na nie „strzelby samopowtarzalne“. Kilku najemników miało okazję widzieć tę broń w akcji, a potem wieści o niej szybko się rozeszły.

A więc stali tak, w ciszy i nieruchomo, drżąc bardziej ze strachu niż z przemoczenia.

Gretchen niemal od razu dostrzegła znajomą twarz.

„A więc znów przeżył!“.

- Heinrich! - zawołała i wdarła się w środek ciżby. - Heinrich, spójrz! To ja, Gretchen!

Heinrichowi opadła szczeka, gdy ujrzał zbliżającą się dziewczynę. Nie zdziwiła jej ta reakcja; Heinrich widział ją już wiele razy, nigdy jednak tak czystej i w takim odzieniu. Zdobyła je tego ranka, kiedy księżna zabrała całą jej rodzinę

210

Erie Flint

do czegoś, co nazywało się „Wszystko za dolara“. Bluzka była nieco dziwna, ale za to reszta...

Gretchen była zachwycona swoim nowym ubraniem, zwłaszcza „niebieskimi dzinsami“ i istnym cudem nad cudami, czyli tenisówkami.

Podskakując radośnie w czarodziejskich butach, zbliżyła się do tego, który niegdyś mógł być jej mężczyzną. Heinrich był miły, uprzejmy, sprytny i przebiegły, a także twardy. Lecz niestety nie na tyle twardy, by ośmielić się rzucić wyzwanie Ludwigowi.

Melissa stłumiła okrzyk.

- Czy ona zwariowała? Przecież nie jesteśmy w stanie jej obronić w tym tłumie bandziorów! Stojący obok James pokręcił głową.

- Obronić? Przed czym? - Wskazał na mężczyzn, którzy zbierali się wokół Gretchen. Byli uśmiechnięci, ich twarze wyrażały ulgę. - Spójrz na nich, Me-lisso. Czy tak wyglądają bandziory? Czy też raczej... - parsknął - dzieci biegnące do mamy.

Melissa patrzyła z niedowierzaniem. Tłum wokół Gretchen z każdą chwilą się powiększał.

Między młodą Niemką i otaczającymi ją mężczyznami wywiązała się szybka wymiana zdań. Melissa nie rozumiała, co mówią, lecz momentalnie wychwyciła sens. Przerażeni i zagubieni mężczyźni szukali wyjaśnień. Co się z nami dzieje? Coraz częściej jednak słychać było żarty. - Jest tak, jak mówiłaś - wymruczał Mike. - To urodzona „wybierająca żywych”.

Najpierw wybrała Heinricha i jakichś dwudziestu jego ludzi. Wszyscy oni przeżyli bitwę bez szwanku, co było dość niezwykle. Grupa Heinricha, podobnie jak ta Ludwiga, stała w pierwszym szeregu, ale byli to arkebuzerzy, a nie pikinierzy. Szczęśliwie dla nich znaleźli się wśród tych katolickich najemników, którzy mieli przypuścić szturm na ludzi Hoffmana. Nie stali więc naprzeciw M-60, a później ogień karabinowy ostrzelał przeciwległą flankę ich jednostki.

Gretchen i tak wybrałaby Heinricha i jego ludzi, bez względu na wszystko, a to, że świetnie władał angielskim, było tylko dodatkowym plusem.

Przedstawiła ich osobiście Frankowi Jacksonowi, a następnie pozwoliła Heinrichowi samemu przemówić. Dziesięć minut później Jackson skinął głową i wyciągnął dłoń.

Armia amerykańska właśnie zyskała pierwszych niemieckich rekrutów.

* * *

I tak minął dzień. A potem kolejny, i kolejny. Pierwszego dnia Amerykanie byli spięci.

Drugiego na widok niemieckich jeńców, którzy z radością

i ulgą witali „wybrańców” Gretchen, zaczęli się nieco rozluźniać. Trzeciego dnia...

- Jezu - powiedział Mike, ocierając twarz. - Nie wiem, ile jeszcze wytrzy-

Doktor z ponurą miną popatrzył na grupki kobiet, dzieci i starszych ludzi, kucających na ziemi obok elektrowni. Przyszli tutaj szukać swoich najbliższych, mając rozpaczliwą nadzieję, że może znajdą ich wśród więźniów, a nie wśród ofiar na polu bitwy. Często jednak okazywało się inaczej.

- Taaa - zgodził się Nichols. - Łatwo jest zabić człowieka, ale co innego słyszeć potem jego rodzinę.

Wzrok Mike'a padł na małego, może ośmioletniego chłopca. Jego twarz była zalana łzami, odrętwiała. „Tatuś odszedł na zawsze”.

- Ilu zostało? - zapytał, wskazując głową nowy budynek przy elektrowni, zwany przez wszystkich „centrum przetwórczym”.

- Niewielu - odpowiedział Dan Frost, trzeci członek ich grupy. - Znacznie mniej niż się spodziewałem, jeśli mam być szczery.

- Wcale się nie dziwię, Dan - powiedział Mike. - Jak się dowiedziałem od Rebeki i Jeffa, Gretchen i jej ludzie mieli nieszczęście trafić w łapy najgorszej odmiany najemników. Większość z nich...

James przerwał mu, wskazując palcem na gromadkę ludzi maszerujących za nowo wyznaczonym amerykańskim przewodnikiem. W samym środku, wciąż ubrany tylko w ręcznik, siedł mężczyzna tuż po trzydziestce.

- Większość z nich jest właśnie taka. - Uśmiechnął się i spojrzał na Mike'a z ukosa. - Jak to Melissa Ciebie cytowała? „Po prostu pojebani faceci w pojebanym świecie”.

Mike skinął głową.

- Myślę, że ostatecznie zostanie nie więcej niż setka wyrzutków. Ja bym raczej nie miał w sobie tyle wyrozumiałości co Gretchen.

- Myślicie, że którekolwiek z ich kobiet i dzieci będą narzekać? - zapytał Dan.

Mike i James uśmiechnęli się szyderczo w tym samym momencie.

- Bynajmniej! - parsknął Mike i wskazał ruchem głowy grupkę nieszczęśliwych ludzi kucających obok centrum przetwórczego. - Ci ludzie, Dan, oplakują zmarłych. Ci zaś, którzy - rzucił z wściekłością- byli „własnością” tego ścierwa wciąż siedzącego w środku, już dawno odeszli, niemal tanecznym krokiem.

Nichols przeczesał palcami włosy.

- Widziałem, jak jedna z kobiet podeszła do Gretchen i o coś ją zapytała. Bez wątpienia o miejsce pobytu jej tak zwanego „męża”. Padło imię Diego. Gdy usłyszała odpowiedź, po prostu osunęła się na ziemię, szlochając jak małe dziecko i bez końca powtarzając dwa słowa.

212

Erie Flint

- Nie znam zbyt dobrze niemieckiego, ale tyle jestem w stanie zrozumieć. „Jiogu dzięki, Bogu dzięki”.

Na chwilę zapadła cisza. W końcu komendant policji odchrząknął.

- Dobra, panowie, musimy podjąć jakąś decyzję. Na własne oczy widziałem te zwłoki, zanim je pogrzebaliśmy. Doktor Adams miał rację. Facet prawdopodobnie i tak by zginął, ale to nie kule karabinowe były przyczyną jego śmierci. Zadźgano go nożem. Perfekcyjne dzieło rzeźnika, nic dodać, nic ująć.

Mike zerknął na niego.

- Znasz moje zdanie, Dan. Przeszkadza ci to? Frost skrzywił się.

- Oczywiście, że tak, do cholery jasnej! Przeszkadza? Na litość boską, ja jestem stróżem prawa. Mam dowody, które wskazują na morderstwo pierwszego stopnia, a kilku świadków twierdzi, że widziało na miejscu zbrodni dwie znane nam osoby. A ty pytasz, czy mi to przeszkadza!

Mike milczał. James na chwilę spuścił głowę, po czym zapytał:

- Rozmawiałeś o tym z Jeffem? Grymas nie opuszczał twarzy komendanta.

- Nie. I nie mam zamiaru. Chyba że postanowimy wnieść oskarżenie. Mike nadal się nie odzywał.

- Melissa powiedziała mi - rzekł James - że Gretchen owijała swoją młodszą siostrę szmatami, żeby ukryć jej figurę.

-James, do cholery jasnej, przecież nie o to mi chodzi! - Dan splunął. -Nie mam żadnych wątpiwości, co zaszło ani dlaczego. - Potarł dłonią kark. -Tu przecież chodzi tylko i wyłącznie o zasady.

Teraz do jego głosu wdarła się odrobina humoru.

- Prawda jest taka, że każdy sędzia w tym miasteczku w mgnieniu oka orzekłby zabójstwo usprawiedliwione, zwłaszcza jeśli opisałbym tak zwaną ofiarę. Klnę się, że facet wyglądał jak jakiś demon; sam chciałem jeszcze ze dwa albo trzy razy do niego strzelić, żeby się upewnić, że nie żyje.

Dan westchnął.

- Ale w gruncie rzeczy komu ten proces byłby potrzebny? Wspaniale by to wyglądało, nie? Miałbym ich aresztować zaraz po ślubie czy poczekać jeden dzień, żeby dzieciaki zdążyły się ze sobą przespać?

Mike się nie odzywał, James także milczał ze spuszczoną głową. Decyzja komendanta policji była natychmiastowa.

- Do diabła z tym. Jeśli sumienie będzie mnie za bardzo gryzło, zawsze mogę sobie przypomnieć, że to się stało poza moją jurysdykcją.

Mike kiwnął głową.

- Dobra-powiedział James. - Oczywiście będą krążyły plotki. Adams jest świetnym lekarzem, ale przy okazji gaduła. W tej chwili o całej sprawie wie poza nami na pewno jakieś sześć, siedem osób.

Mike i James w tym samym momencie wyszczerzyli zęby.

- O tak, opowieści nie unikniemy! - zarechotał komendant i rozejrzał się z zachwytem po okolicznych wzgórzach. - Jesteśmy góralami, doktorze, i zawsze lubiliśmy opowieści. Im bardziej krwawe, tym lepiej. Nie znajdziesz tu ani jednej osoby, która nie byłaby w stanie godzinami snuć opowieści o jakimś straceńcu w swoim drzewie genealogicznym.

- Mój pradziadek obrabiał banki - oznajmił z dumą Mike. - Mówią, że podczas jednego napadu zabił dwóch strażników.

Dan zaśmiał się szyderczo.

- Gówno prawda! Z tego, co słyszałem, był zwykłym koniokradem. - Stłumił gwałtowne protesty Mike'a. - Jeśli chcecie najprawdziwszego kryminalistę, musielibyście spotkać się z Leroyem, pierwszym mężem mojej stryjecznej prababki, Bonnie. Mówią, że pociął czterech mężczyzn w walce na noże na jakiejś rzecznej łodzi. Ale to tylko pogłoski. Podobno także...

- Cieniasy - zadzwonił Nichols. - Wiejskie mięczaki. Chcecie usłyszeć coś naprawdę mocnego? - Zatarł dłonie. - Witajcie w getcie! Zaczniemy od mojego dalszego krewniaka, Anthony'ego. Potwór w ludzkiej skórze, wszyscy tak twierdzili. Zaczął w wieku trzynastu lat... - Ciągnął nieprzerwanie pomimo wszechobecnego appalachijskiego oburzenia. - I wtedy, jak tylko wyszedł z pudła...

* * *

Trzeciego dnia wieczorem misja Gretchen dobiegła końca. Okazało się, że ludność miasteczka Grantville praktycznie z dnia na dzień się podwoiła. Niektórzy żołnierze, jak Heinrich i jego ludzie, zaciągnęli się w szeregi amerykańskiej armii. Większość jednak skorzystała z okazji, żeby spróbować nowych zawodów lub też (co zdarzało się dosyć często) wrócić do swego dawnego fachu - rolnika, górnika, rzemieślnika, cieśli.

W ciągu kilku następnych tygodni tłumy zgromadzone w centrach dla uciekinierów zaczęły się przeredzać. Amerykańskie rodziny zaczęły przyjmować niemieckich lokatorów - pojedynczo, ostrożnie, nieufnie. Wszystko zazwyczaj miało swój początek we wspólnej pracy. Odkrywano, że stojący obok mężczyzna - mimo że władał obcym językiem i miał głowę zaprzątniętą dziwacznymi myślami i zachciankami - wiedział, jaki zrobić użytek z młota, a w kopalni pracował za dwóch. A być może po prostu był uprzejmy i ładnie się uśmiechał.

A pozostali? Ci, na których Gretchen nie skinęła głową?

Przypuszczali, że zostaną straceni, a tymczasem spotkał ich los o wiele dziwniejszy... i, szczerze mówiąc, bardziej niepokojący.

Żaden z tych ludzi nigdy w życiu nie widział fotografii. Sam widok własnego oblicza był już wystarczająco straszny, a napisy na plakatach były jeszcze

214

Erie Flint

straszniejsze. Wbrew temu, co sądziła Gretchen, wielu z tych mężczyzn potrafiło czytać, a cała reszta usłyszała wyjaśnienia od swych piśmiennych kompanów.

Plakaty różniły się jedynie zdjęciem i nazwiskiem.

POSZUKIWANY - MARTWY

TEN CZŁOWIEK JEST WYJĘTY SPOD PRAWA

JEŻELI BĘDZIE WIDZIANY NA ZIEMI AMERYKAŃSKIEJ

PO DNIU 5 LIPCA 1631 ROKU

MA ZOSTAĆ ZABITY

NIKT NIE BĘDZIE ZADAWAŁ PYTAŃ

- Macie jeszcze dwa dni - warknął Heinrich, który służył za tłumacza. - Lepiej się pospieszcie. Jesteście pieszo i nie macie niczego poza swoim odzieniem.

Były dowódca tercio odkaslnął.

- To jest niejasne - zajęczał. - Jak daleko sięga ta... „amerykańska ziemia”? Heinrich odwrócił się do Mike'a po odpowiedź, ale ten bez słowa spojrział na głównodowodzącego oficera.

Kilka miesięcy później oficer znalazł sobie nowego pracodawcę. Cara. „Rosja powinna być wystarczająco daleko” - pomyślał.

^Lazbzml 2\$

Dla jednych był to czwarty lipca, a dla innych nie. Podział wynikał głównie ze względów religijnych, lecz nie tylko. Współczesny kalendarz gregoriański został ustanowiony bullą papieską z 1582 roku i natychmiast przyjęto go w Hiszpanii, Portugalii, Francji i we Włoszech. W ciągu dwóch lat za przykładem tych państw poszła większość katolickich księstw Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a także ta część Niderlandów, która wciąż była pod kontrolą Hiszpanii. Szwajcarzy rozpoczęli proces wprowadzania kalendarza w 1583 roku, lecz natychmiast go wstrzymali; nowy kalendarz przyjęto w całym kraju dopiero w roku 1812. Węgry zaś wprowadzili go w życie z nadejściem roku 1587.

Później... przez cały wiek nic się nie działo. Kraje protestanckie i prawosławne zaparły się i pozostały przy kalendarzu juliańskim.

A więc jaki to był dzień? Dla szkockich kawalerzystów i protestantów z Ba-denburga, którzy przyszl, aby wziąć udział w uroczystości, z całą pewnością nie był to czwarty lipca.

Niedorzeczność! To był...

Mniejsza z tym. Grantville jest amerykańskim miasteczkiem, a Amerykanie powiedzieli, że to czwarty lipca. Poza tym...

„Kto nie lubi parad?!“.

* * *

Jak to zwykle na oficjalnych paradach bywa, tak i tutaj panował jeden wielki chaos. Henry Dreeson rozpaczliwie starał się narzucić szyk marszowy, lecz rozgrywające się wydarzenia i entuzjizm widzów całkowicie zdusiły jego starania. Wydarzenia, ponieważ wszyscy pochłonięci byli tym, żeby dawni katolicy

216

Erie Flint

jeńcy zintegrowali się ze swym nowym światem. A entuzjizm, ponieważ licealiści mieli własny pogląd na to, jak wszystko powinno przebiegać. Zwłaszcza Julie Sims, która z werwą i rozmachem prowadziła buntowników.

Burmistrz występował niestety tylko w jednej osobie - mężczyzny po sześćdziesiątce - więc przegrał.

„Najpierw cheerleaderki“.

Szkoci byli wniebowzięci, gdy ta wieść do nich dotarła. Mniej wniebowzięci (a wręcz zde gustowani) byli jednak, gdy dowiedzieli się, jakie im przyznano miejsca.

„Tak daleko? Przecież w ogóle nie zobaczymy tych fruujących nóg!“.

Tak więc szyk marszowy doznał pierwszej porażki. Szkoccy kawalerzyści, co do jednego kalwiniści, wierzyli, że człowiek narodził się w grzechu, i za wszelką cenę postanowili tego dowieść. Przynajmniej jedna trzecia z nich opuściła swoje miejsca w paradzie, zanim ta w ogóle się rozpoczęła, a ponieważ trasa parady była zapchana ludźmi, zbuntowani Szkoci beztrudnie przekłusowali na swych rumakach po bocznych uliczkach i alejkach, aż wreszcie znaleźli idealny punkt obserwacyjny. A niby czemu nie? Przecież konie także potrzebują odrobiny ruchu.

Mimo przemożnej chęci, aby samemu podziwiać nogi Julie, Mackay starał się ich zatrzymać, jednak Lennox kazał mu się uspokoić.

- Nie przejmuj się tak, chłopcze - powiedział łagodnie. - Wszystkie parady to straszna głupota, a ci Amerykanie najwyraźniej sami się nie przejmują. A zresztą... - obdarzył Mackaya sarkastycznym uśmiechem spod wąsisk - wyglądasz nieco głupio, wymachując tym czymś jak szablą na polu bitwy. Nawiasem mówiąc, kapie ci na kaftan.

Mackay sponął rumieńcem i ocalił łoda w jedyny sposób znany w tym wszechświecie.

Wrócił do jedzenia. Siedząc na rumaku bojowym, z przytroczoną do siodła parą morderczych pistoletów z zamkiem kołowym i lodem w ręce, przedstawiał mało wojowniczy widok.

- Coś wspaniałego - wybełkotał. - Jak oni to robią?

Lennox uznał to pytanie za retoryczne, więc nie fatygował się z odpowiedzią. Tak się składa, że znał odpowiedź, bo Willie Ray Hudson wszystko mu wcześniej pokazał. Było to dosyć proste, jeśli tylko potrafiło się uzyskiwać lód.

Szkot przyglądał się uważnie przygotowaniom, starając się przewidzieć, kiedy parada wyruszy. Nie za wiele jednak widział, gdyż olbrzymi pojazd do wożenia węgla (Amerykanie z tą ich niezrozumiałą obsesją na punkcie skrótowców mówili nań TROP) zasłaniał mu prawie cały widok.

„Transporter opancerzony! A to dobre!“. Lennox nawet nie próbował powstrzymać cisnącego mu się na usta uśmiechu. Tylna część pojazdu była otwarta i amerykańscy żołnierze zabierali do środka niemieckie dzieciaki na przejażdżkę.

Kilkoro odważniejszych niemieckich rodziców podążyło za nimi; ciekawość i rodzicielska troska zwyciężyły lęk.

Uśmiech Lennox'a przygasł. Zerknął na swego dowódcę, który wciąż radośnie zajadał się lodem, i znów się zafrasował. W ciągu ostatnich kilku tygodni Lennox spędził wiele godzin w towarzystwie Williego Raya. Ponury Szkot w średnim wieku i pogodny amerykański farmer w podeszłym wieku bardzo się polubili.

Willie Ray pokazał mu spore zapasy aromatów do lodów, które wciąż były dostępne na targowisku, ale powiedział, że cukier trzeba będzie wyciągać z klonów, gdyż cukier rafinowany praktycznie już się skończył.

Podobnie jak zboże, warzywa, mięso i jaja. Nawet przy rygorystycznym porcjowaniu żywność zgromadzona w supermarketach miasteczka nie wystarczy (zgodnie z przewidywaniami ich dyrektorów i właścicieli) na więcej niż dwa miesiące. Nieznaczną liczbą gospodarstw, które znalazły się wewnątrz Ognistego Kręgu, nie była w stanie wyprodukować niezbędnej ilości żywności. Zresztą taka sytuacja była jeszcze przed bitwą, kiedy to populacja Gran-tville dwukrotnie wzrosła.

Myśli Lennox'a przeskoczyły na inny temat - kolejnego dziwactwa Amerykanów. Upierali się, żeby nadawać bitwom nazwy.

Lennox mógłby to jeszcze zrozumieć, chociaż za jego czasów ta tradycja powoli odchodziła już w zapomnienie. Większość bitew w siedemnastym wieku była godna pożałowania: ostre starcia armii, które wpadały na siebie niemal przypadkowo, kiedy maszerowały przez spustoszony krajobraz w poszukiwaniu żywności i dachu nad głową. W równym stopniu zasługiwały na nazwę, jak walki psów gdzieś w zaułku.

„Ale czemu nazywać to Bitwą o Klopa?“. Ci Amerykanie to straszne dziwaki. Lennox nie był w stanie znaleźć żadnego logicznego powodu, dla którego nazwa bitwy miałaby uhonorować cztery dziewczęta ukryte w sraczu.

Nie dostrzegał w tym żadnej logiki, jedynie czarny humor, który krył się gdzieś w tle. To wszystko było takie dziwne, takie...

Amerykańskie. Tylko naród plebejuszy, z których każdy myśli jak arystokrata, może w tym dostrzec logikę. Tylko wytwórcy lodów, którzy są pewni, że znajdzie się ziarno i mięso.

Owszem, Lennox tego nie pojmował, ale podjął już decyzję, więc brak zrozumienia nie był tu specjalnie istotny. Nigdy w życiu nie spotkał równie pewnych siebie ludzi, a pewność siebie jest najbardziej zaraźliwą ze wszelkich chorób.

Transporter gwałtownie ruszył.

- Parada się rozpoczęła, chłopcze - obwieścił i dodał kwaśno: - Byłoby wspaniale, gdyby szkocki dowódca skończył jeść loda, zanim wszyscy wyjdziemy na idiotów.

Mackay pospiesznie i bełkotliwie przyznał mu rację. Lecz nie zaniechał rożka lodowego, dopóki ten nie zniknął - w jedyny sposób znany w tym wszechświecie.

Mike i Rebeka szli w środku parady, trzymając się za ręce. Byli na czele grupy reprezentantów ASG.

Nagły błysk światła przyciągnął wzrok Mike'a. Rebeka uśmiechnęła się i uniosła ich splecione dłonie.

- Jest taki piękny, Michaelu. Jak go zdobyłeś?

- To tajemnica - odparł z uśmiechem. „I tak zostanie, jeśli tylko Morris będzie trzymał głębę na kłódkę”.

Mike zamierzał podarować Rebecę pierścionek zaręczynowy swojej matki, który - pomijając sentymenty - w gruncie rzeczy był dosyć marny. Kiedy zaniósł go do sklepu Morrisa, żeby wyregulować rozmiar, jubiler był wstrząśnięty i przerażony.

- Dla Rebeki? W życiu!

Ruszył z kopyta do gabloty, w której trzymał najwspanialsze pierścionki ze swojej kolekcji.

Tak się składa, że owa gablota była jedyną, w której w ogóle była jakakolwiek biżuteria.

Wiele tygodni wcześniej państwo Roth oddali większą część swych zbiorów do skarbcza miasta; ich złoto i srebro stało się pierwszą twardą walutą Amerykanów.

Morris otworzył gablotę i sięgnął do środka.

- Mam tu coś w sam raz. Chyba nawet nie trzeba będzie regulować. Mike podążył za nim z grymasem niezadowolenia na twarzy.

- Skoro był dobry dla mojej matki, czemu miałby... Morris zmarszczył brwi.

- Twoja matka była porządną kobietą, Michaelu Stearnsie, ale... ale...

- Ale tylko żoną górniką? No i co z tego? Ja też jestem górnikiem.

- Owszem, ale... - Morris pokręcił głową. - Owszem, ale...

W tym momencie irytacja Mike'a znikła. Dotarło do niego pełne znaczenie tego „owszem, ale”. Dotarło do niego i przepełniło go dumą.

„Owszem, ale... teraz nasze miasteczko ma swoją księżniczkę”.

Było w tym wszystkim coś zabawnego. Rosnąca w oczach mieszkańców pozycja Rebeki nie miała praktycznie nic wspólnego z dziedzictwem i „rodowodem”. Zgadza się, Abrabanelowie byli jednym z najznamienitszych rodów sefardyjskich, może nawet najznamienitszym, ale dla mieszkańców Grantville w Wirginii Zachodniej miało to niewielkie znaczenie bądź też wcale go nie miało. Ich cała wiedza na temat hiszpańskich Żydów mogłaby zostać zapisana na łepku od szpilki.

Ale liczyła się romantyczność]

Doktor Abrabanel był już powszechnie rozpoznawany podczas spacerów, na które chadzał regularnie dwa razy dziennie. Jako człowiek z natury życzliwy i uprzejmy zamieniał kilka słów z każdym przechodniem. Wszyscy wiedzieli, że był filozofem, i zresztą na takiego wyglądał. Był to, zdaje się, jedyny filozof, którego gościło to miasteczko w całej swojej historii. Człowiek o prawdziwie książęcych manierach, chciałoby się rzec. Książę na wygnaniu nie przestaje być księciem, zwłaszcza jeśli na dowód tego ma ze sobą piękną córkę. Więc...

Stuosobowa orkiestra szkolna dudniła radośnie gdzieś z przodu, jednak te dźwięki nie były w stanie zagłuszyć wiwatów, które rozległy się na widok Mike'a i Rebeki.

„Ej, patrzcie, to Becky!”.

* * *

W taki oto nieformalny sposób miasteczko z Wirginii Zachodniej ostatecznie zaakceptowało swoją nieformalną księżniczkę. I jeśli nawet stojący obok Niemcy uważali to za coś zdumiewającego (żydowska księżniczka?), nabrali wody w usta. Dopiero zaczęli oswajając się z tym zaskakującym nowym światem, ale jednego już zdążyli się nauczyć. Ich amerykańscy gospodarze nie lubowali się w formalnościach i sztywnych konwenansach, ale swe zasady traktowali bardzo poważnie. Na tyle poważnie, że zdruzgotali tercio. I na tyle poważnie, że przed przyjęciem do swojego świata nowych członków zmusili ich do

wysłuchania recytacji, którą tamta nauczycielka nazwała Kartą Praw, zanim jakoś przebrnęła przez świeżo wyuczone niemieckie słowa.

Nazwa i to, co się za nią kryło, wciąż były nieco dziwne dla tych plebeju-szy, lecz tylko nieco. W gruncie rzeczy nieźle orientowali się w podstawowych zasadach demokracji. Republiki Holenderska i Wenecka istniały już od dziesięcioleci, a purytańska rewolucja w Anglii majaczyła na horyzoncie. Oni tylko nigdy jeszcze nie widzieli, żeby wszystkie te zasady obowiązywały w jednym miejscu naraz, a ponadto (i to właśnie było kluczem) żeby je traktowano tak śmiertelnie poważnie.

Wszystko to było osobliwe, nowe, jednak Niemcy nie widzieli niczego nowego ani osobliwego w pewności, z jaką starsza kobieta - księżna, rzecz jasna - wygłaszała owe zdania. Jej autorytet szedł w parze z wyglądem. Stojąca obok niej świta, uzbrojona w tę potworną broń palną, w każdej chwili gotowa była wzmocnić znaczenie jej słów.

Gdziekolwiek wśród wiwatującego tłumu słychać było niemieckie akcenty.

„Ej, paczcie, ist Beki!”.

- To na twoją cześć powinni wiwatować - szepnęła Rebeka, marszcząc brwi. -1 ASG.

Michael uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- E tam, mnie się tak bardzo podoba.

220

Erie Flint

* * *

Wczesnym popołudniem „parada” już się kompletnie rozsypała. Oficjalne grupy reprezentantów zeszyły na bok i przyjęły rolę widzów, widzowie zaś zaczęli maszerować. Budzące przerażenie transportery zostały przekwalifikowane na autobusy turystyczne, które wozily po całym mieście gromadki niemieckich i amerykańskich dzieci. Do południa obydwie knajpy w centrum Grantville były wypchane po brzegi, zwłaszcza po tym, jak Willie Ray przyniósł świeżutki bimer domowej produkcji. Postarał się nawet o etykiety na słojach: „Żal Fiskusa”.

Sześciu amerykańskich przedsiębiorców zawarło układ z czterema byłymi żołnierzami niemieckiej armii. Szkocki kawalerzysta pełnił funkcję tłumacza, a pod koniec negocjacji sam „wpertraktował się” do układu.

Trzej Amerykanie byli farmerami, którzy - podobnie jak Willie Ray - mieli zapasy przeróżnej maści piwa domowej roboty. Czwarty z Amerykanów, Ernie Dobbs, był kierowcą ciężarówki rozwożącej piwo. Na swoje nieszczęście przyjechał z dostawą właśnie wtedy, gdy pojawił się Ognisty Krąg. Ponieważ nikt nie zgłaszał sprzeciwu, Ernie przejął zapasy piwa z ciężarówki i potraktował je jako własny wkład w interes. Pozostali dwaj Amerykanie zgodzili się zapewnić niezbędne wyposażenie, czyli stoliki do kart i składane krzesła.

Niemcy jako byli karczmarze skompletowali doświadczony personel. Zanim nastąpiło południe, niewielki park usytuowany tuż obok miejskiego basenu został tajemnym sposobem przywłaszczony, i tak oto „Ogrody Turyńskie” otworzyły swe podwoje.

- Jestem wykidajłą- oznajmiał z dumą Szkot, wpuszczając tłumy do środka. Większość czasu spędził jednak z konieczności w roli ratownika, gdyż dzieciaki zażądały, żeby otworzyć również basen.

Burmistrz Henry Dreeson, wierny obywatelskiemu obowiązkowi, przeszedł sam całą wyznaczoną trasę. Góra pięć minut miotał pioruny z oczu w kierunku stacji benzynowej na obrzeżu miasteczka, później jednak dał się wciągnąć w wir zabawy. Nawet nie awanturował się na widok „Ogrodów”, które rażąco naruszały kilka rozporządzeń władz miejskich. Nie ruszył go też widok niemieckich barmanów, którzy zgodnie z odwiecznym zwyczajem zaczęli nalewać młodzieży. Oczywiście nic mocnego. Tyle że dla Niemców piwo nie było niczym mocnym.

Jedynymi osobami, które nie brały udziału w paradzie, byli uczestnicy ceremonii ślubnej liczącej dobrze ponad setkę ludzi.

Większość z nich była gośćmi panny młodej. Poza „rodziną” Gretchen był Heinrich ze swymi ludźmi oraz obozowi jeńcy, czyli w sumie jakieś pięćdziesiąt osób.

Następnie byli „doradcy”. Honorowe miejsce w owej koterii zajmowała Melissa wraz z właścicielką sklepu z artykułami ślubnymi, Karen Reading.

Pozostali „doradcy” byli tak naprawdę dziećmi na posyłki. Byli to głównie uczniowie Melissy, a także dwie córki i cztery bratanice Karen.

Karen wzięła na siebie przygotowanie ślubu, Melissa wzięła na siebie utrzymanie dyscypliny. To było wyjątkowo trudne zadanie. Gretchen ogólnie była bardzo chętna do współpracy, była też zachwycona swoją ślubną suknią, nawet gdy Karen wytłumaczyła jej, że jest „tylko wypożyczona”. Prawdziwe starcie tytanów dotyczyło jednej jedynej kwestii.

- Absolutnie nie pójdziesz do ślubu w tenisówkach - powiedziała po raz setny Melissa.

- Wy, ludzie, są wahn sinnig - odparła nadąsana Gretchen i dodała opryskliwie: - To snaczy...

- Wiem, co to słowo znaczy! - warknęła Melissa. - Sprawdziłam w słowniku, jak go użyłaś już po raz dziesiąty. Możemy być nienormalni, ale i tak ich nie założysz.

Gretchen popatrzyła z nienawiścią na swoje stopy.

- Te szeczy są torturą. Melissa westchnęła.

- Wiem, sama za nimi nie przepadam, ale...

Mamrocząc ponuro, Gretchen spróbowała przejść kilka kroków.

- Zpadne i skrzęć mein kark.

- Jestem zdrajczynią. Kolaborantką- mruknęła Melissa, a następnie warknęła na swoje „adiutantki”: - A gdzie w ogóle jest Willie Ray Hudson?

- W mieście, upija się - odpowiedział chór.

- Sprowadzić go tutaj! Natychmiast! - Lotna brygada ścigająca łajdaka ruszyła pędem. Gretchen potknęła się.

- Wspaniale - skrzywiła się Melissa. - Po prostu wspaniale. Panna młoda w szpilkach i pijus, który ma ją poprowadzić do ślubu. W życiu nie dotrzemy do ołtarza.

Gości pana młodego było znacznie mniej. Lany Wild był drużbą, a Eddie i Jimmy wskazywali przybyłym miejsca siedzące. Poza tym była też garstka licealistów, którzy pełnili rolę chłopców na posyłki dla nestora grupy, doktora Nicholasa.

James spojrział z uznaniem na smoking Jeffa.

- Świetnie leży. Chłopak zaczerwienił się.

- Niech pan się nie znęca, doktorze Nichols. Wcale tak nie jest i pan dobrze o tym wie. -

Zlustrował swój ubiór. Po znalezieniu się w nowym świecie wypożyczalnia strojów wieczorowych udostępniała drogie garnitury każdemu,

222

Erie Flint

kto tylko ich potrzebował. - Ten nosił Mike, bo jest największy. Pani Reading i tak musiała go poszerzyć. Wyglądam jak spasiony pingwin. James uśmiechnął się szeroko.

- Co to ma znaczyć? Żenisz się dziś z najładniejszą dziewczyną w mieście, a przejmujesz się swoją wagą?

Rumieniec Jeffa pogłębił się. Dobry humor lekarza również.

- Wyluzuj, Jeff. Za kilka miesięcy to i tak nie będzie miało znaczenia. Nikt z nas nie przetrwa tej zimy z nadmiarem tłuszczu na ciele.

Osobiste zmartwienia Jeffa natychmiast zostały przesłonięte sprawą dotyczącą ogółu.

- Jak pan myśli, damy radę?

James wyrzwał przez okno w przyczepie, które wychodziło na północ.

- Raczej tak - odparł cicho. - Tu jest w sumie całkiem dużo żywności, tylko musimy ją zebrać.

Tutejsi rolnicy obsiali pola, zanim jeszcze przybyli najemnicy i wszyscy uciekli ze strachu.

Tak więc...

Wzruszył ramionami.

- Prawda jest taka, że wcale się ot tak nie umiera z głodu. Największym problemem niskokalorycznej diety jest brak witamin i minerałów, a to osłabia organizm. Łatwo wtedy złapać jakąś chorobę.

Wrócił mu dobry humor.

- Co prawda zaczyna nam już brakować żywności, lekarstw i antybiotyków, ale na szczęście apteki i supermarkety wciąż mają spore zapasy witamin i minerałów. Ustalimy rygorystyczny program żywieniowy w zakresie witamin i mikroelementów. W ten sposób powinniśmy się uporać z naszą pierwszą zimą. Oczywiście po pewnym czasie będziemy rzygać kleikiem i owsianką.

Aby zmienić temat, James rozejrzył się po wnętrzu przyczepy.

- Wygląda na to, że odwaliliście tu kawał dobrej roboty.

Jeff z równie wielką chęcią odsunął zamartwianie się na kiedy indziej.

- Przez ostatnie cztery dni narobiliśmy się jak dzikie osły. Sporo znajomych ze szkoły nam pomagało. Podoba się panu?

James zawahał się, ale ostatecznie postawił na szczerość.

- Podoba! To niekoniecznie jest słowo, którego bym użył. Będziecie się tu gniesć jak małe kotki w koszyku. Ale doceniam, nawet jeśli jest to najdziwniejszy na świecie zamysł architektoniczny.

- Wszystko będzie dobrze - bronił się Jeff. Wskazał na drzwi. - Połączyliśmy wszystkie trzy i dobrze uszczelniliśmy przejścia.

W dawnych czasach te drzwi otwierały się na świat zewnętrzny. Teraz łączyły przyczepę z inną przyczepą, którą z kolei z wielkim mozołem połączono ze stojącą obok przyczepą Lany'ego. Wszystkie trzy stworzyły połączony kompleks, do którego cała familia Gretchen miała się przenieść zaraz po ślubie z tymczasowych kwater w szkole. Wszyscy oni razem z Jeffem i jego trzema

przyjaciółmi sprawia, że to miejsce będzie potwornie zatłoczone, ale przynajmniej każdy będzie miał swój kąt i...

- Cieszysz się z tego - oznajmił James. - Wszyscy czterej się cieszyacie. Jeff uśmiechnął się.

- No chyba tak. My... - Westchnął. - Było nam strasznie ciężko tak bez rodziny, a teraz będziemy mieli największą rodzinę w miasteczku. Ale mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Wiem, że to dla nas wszystkich będzie trudne, trzeba będzie się do siebie przyzwyczaić.

James przyglądał mu się przez chwilę.

- Martwisz się o Gretchen? Boisz się, że będzie niezadowolona? Jeff pokręcił głową.

- Raczej nie. Wie pan, pokazałem jej wczoraj to miejsce. Zamyślił się. James wyszczerzył zęby.

- Jest oszałamiająca, czyż nie?

Jeff radośnie przytaknął, ale już po chwili niepokój powrócił.

- Wie pan, co powiedziała zaraz po wejściu? „Ależ ty jesteś bogaty”.

- „Bogaty”! - parsknął. - Niech pan się rozejrzy, doktorze Nichols. Przecież to zwykła przyczepa.

James wstał i położył dłoń na ramieniu stojącego przed nim dużego chłopca - młodego mężczyzny.

- Naprawdę przejmujesz się tymi bzdurami o „poszukiwacze złota”? - zapytał. - Ja osobiście uważam to za stek...

- Nie, nie, to nie o to chodzi. - Jeff się zawahał. - Rozumiem, że może tak myśleć, w końcu pochodzi... - machnął ręką - no wiadomo skąd. Chodzi mi o to, że...

Opuścił głowę. Następne słowa wymówił ze smutkiem, szeptem.

- Wie pan, ona mnie nie kocha. Nie sądzę, żeby w ogóle wiedziała, co to słowo znaczy. Na pewno nie tak jak ja.

Tak się akurat złożyło, że w tym samym momencie Melissa rozmawiała z Gretchen dokładnie na ten sam temat. Gdy już skończyła niezdarne angielsko-niemieckie tłumaczenia, dziewczyna zmarszczyła brwi.

- To jez jur aristokraten - zaprotestowała.

Melissa westchnęła. Gretchen przyjrzała się jej bacznie.

- Pani myśli, że to jez waszne? Fu... dla Jeffa? Kobieta skinęła głową.

- To będzie dla niego ważniejsze od całej reszty, Gretchen. Zaufaj mi. Jeśli tylko będzie myślał, że go kochasz, wszystko przetrzyma.

Nie była pewna, czy jej słowa zostały właściwie zrozumiane, więc zaczęła je pokraccie tłumaczyć na niemiecki, jednak Gretchen powstrzymała ją machnięciem ręki.

224

Erie Flint

- Rozumiem. - Jej twarz wypogodziła się. - To szaden problem. Będę nat tym prasowacz. Barco ciężko. Umiem topsze prasowacz. Barco... - Przez chwilę szukała właściwego słowa, aż w końcu je znalazła. -Ja stecydowana. Nie leniwa.

Melissa nie mogła powstrzymać śmiechu. Nawet jeśli był to trochę śmiech przez łzy, to jednak tylko trochę.

- Tutaj się z tobą całkowicie zgodzę, dziewczyno! Przyjrzała się uważnie młodej kobiecie.

- Tutaj się z tobą całkowicie zgodzę - powtórzyła i uśmiechnęła się. - Wie pani co, panno Gretchen Richter, wkrótce Higgins? Myślę, że to małżeństwo wypali.

I ponownie się roześmiała. „Pracować nad tym”. To mi się podoba!

BRtfzfrzrał 30

Ostatecznie jednak ślub poszedł gładko.

Willie Ray zjawił się na czas. Nawet jeśli nie był zupełnie trzeźwy, udało mu się poprowadzić Gretchen do ołtarza bez żadnego wypadku, tyle tylko, że zajęło mu to trochę czasu. Panna młoda ani razu się nie potknęła, a organista wykorzystał okazję, aby dać popis swoich umiejętności.

Kościół był zapełniony po brzegi, podobnie jak ulica. Przynajmniej połowa mieszkańców miasteczka przysłała na ślub.

Olbrzymi tłum był w bardzo świątecznym nastroju, bardziej (w gruncie rzeczy znacznie bardziej) niż na większości ślubów. Dla wszystkich tych ludzi, czy to Amerykanów, czy Niemców, ów ślub był jak rozbłysk słońca. Quentin Underwood przemówił za tysiące. „Po tym koszmarze, w jaki nas wciągnięto, przysięgam, że nie przychodzi mi na myśl ani jedna rzecz, która mogłaby dać większe ukojenie niż widok młodej kobiety idącej do ołtarza w ślubnej sukni”.

Uczucie to podzielał każdy, jednak punkty widzenia były zupełnie rozbieżne.

Dla Niemców, którzy uczestniczyli w ceremonii, jak i dla tych, którzy przyszli tylko popatrzeć, ten ślub był czymś w rodzaju obietnicy. A może nadziei. Pomimo że stanowili ponad połowę tego nowego społeczeństwa, byli uciekinierzy, najemnicy, obozowi jeńcy uważali, że stoją niżej w społecznej hierarchii. Wciąż trudno im było uwierzyć, że zostali zaakceptowani.

Ukształtował ich panujący od stuleci zwyczaj; kwas dziedzicznych przywilejów przeżarł ich dusze. Niemieccy przybysze nieświadomie traktowali

226

Erie Flint

Amerykanów tak, jak plebs traktuje arystokrację. Nie liczyło się dla nich to, co Amerykanie mówią. Słowa są bezwartościowe, a zwłaszcza obietnice, które arystokracja składa swym podwładnym.

Dla nich liczyło się (zawsze, i to bardziej niż wszystko inne) to, jakim ktoś jest człowiekiem. Amerykanie zaś bez cienia wątpliwości byli arystokracją. Widać to było po tym, co mówią i co robią, a także po tym, czego nie mówią i czego nie robią. To emanowało z samej ich postawy.

Gdyby Amerykanie o tym wiedzieli, z pewnością nie mogliby wyjść ze zdumienia. Ich również ukształtowały stulecia, lecz one zaleczyły pradawną ranę. Dla każdego Amerykanina było coś oczywistego w fundamentalnej tezie: „Jesteśmy ważni. Cenni. Ludzcy. Nasze życie jest wartościowe”.

Taką właśnie mieli postawę - czy sobie z tego zdawali sprawę, czy nie -i to właśnie tę nienazwaną, nieświadomą postawę od razu wyczuli niemieccy przybysze. I zareagowali tak jak Gretchen, która uważała, że amerykańska nauczycielka jest księżną, i tak jak Rebeka, która przyjęła, że górnik jest hi-dalgiem.

Głęboko zakorzenionych obyczajów, wtłaczanych w umysły ludzi przez stulecia ucisku i bezwzględności okrucieństwa, nie można było wyplenić samymi słowami. Potrzebne też były czyny.

„W niektórych ludziach jest człowieczeństwo. W większości go nie ma”.

Dobra krew. Zła krew. Ten prosty, okrutny podział przez całe wieki rządził Europą. To on już od ponad dziesięciu lat zamieniał środkową Europę w kostnicę. Arystokracja, jak zawsze, gdy wyklócała się o cenę mięsa, rachunek od rzeźnika wręczała pospólstwu. Czemu nie? „Dla tych ludzi życie i tak nie ma wielkiego znaczenia. Oni nie czują bólu tak jak my”.

Dobra krew, zła krew. Owego dnia - tak czytelnie, jak to tylko było możliwe - Amerykanie składali nowym braciom śluby. „Nie dbamy o to. To nic dla nas nie znaczy”.

Amerykanie, którzy przyglądali się ślubowi i w nim uczestniczyli, widzieli wszystko zupełnie inaczej. „Krew” nie miała dla nich znaczenia. W gruncie rzeczy spora ich liczba miała całkiem znaczące niemieckie korzenie.

Niezależnie od swego plebejskiego, appalachijskiego „rodowodu”, Jeff był jednym z dobrych chłopców. Wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli, chociaż niektóre prymitywy nazywały go za plecami „głupkiem” lub „palantem”.

A Gretchen...

Od momentu, gdy wydano publiczne oświadczenie o ślubie, w wielu rozmowach zaczęło się pojawiać słowo „śmieć”. Do tego obelżywego terminu niektórzy dodawali inne, jeszcze gorsze. Suka, dziwka... kurwa.

Jednak -jak słusznie powiedział Mikę - społeczna aprobata ma tak olbrzymie znaczenie, że wkrótce coraz rzadziej słychać było obraźliwe słowa. Dni

mijały, a słowa odpływały w niepamięć. Gdy nadszedł dzień ślubu, już zaledwie garstka o nich pamiętała. Amerykanów z Grantville porwała fala roman-tyczności.

Tak, to wszystko było niezmiernie dziwne, ale w końcu Jeff Higgins był jednym z nich.

Wszyscy znali opowieść o tym, jak wraz ze swymi przyjaciółmi, uzbrojeni tylko w strzelby, stawili czoła bandzie zbirów. Właściwie można go było uznać za rycerza w lśniącej zbroi. W stylu appalachijskim, naturalnie... I co w tym złego?

A Gretchen? Roszpunka jak żywa, co potwierdza jej figura, twarz i długie blond włosy.

Brudne stopy się nie liczą. I nawet jeśli opowieść o tym, jak ukryła swe siostry w sraczu, była koszmarna, to miała jednak w sobie coś z bohaterstwa, przynajmniej dla ludzi z gór.

Wkrótce pojawiła się nowa opowieść, która była jeszcze bardziej krwawa. „Ooo, właśnie takie lubimy!”.

W opowieści, rzecz jasna, wiele przekreślono. Pomyłono Ludwiga z Die-giem. Zdesperowana młoda kobieta i jej nowy oblubieniec uknuli morderczy spisek, żeby pozbyć się przeszkody stojącej na drodze do ich miłości. Straszne, straszne, po prostu straszne. Z drugiej jednak strony ów człowiek był demonem. Potworem, prawdziwym szatanem. Czy doktor Adams sam tak nie powiedział? (Powiedział, jak to zawsze bywa z gadułami, jednak pogłoski o tym, że wbił trupowi kółek w serce, trochę mijały się z prawdą).

A więc gdy nadszedł dzień ślubu, amerykańska połowa tego rozrastającego się społeczeństwa zaaprobowała ten fakt, i to nawet dość chętnie. W miejscu zwanym Turyngią powstało coś

nowego. Coś wartościowego i drogiego. Ich własna krew została zahartowana, połączyła się z inną. A tak tworzą się prawdziwe narody.

Ślub odbył się w kościele katolickim, ponieważ ten był największy. Nabożeństwo było jednak metodystyczne, a poprowadził je pastor Jeffa. Był to układ niecodzienny, lecz wszyscy nań przystali. Zarówno dla Jeffa, jak i dla Gretchen nie miało to wielkiego znaczenia, pod warunkiem, że ślub będzie taki, jak przystało.

A co z pastorem i księdzem? Tak się składa, że byli dobrymi przyjaciółmi. Przyjaźń ta rosła przez lata, kształtowana przez wspólne dysputy teologiczne i zainteresowanie kinem zagranicznym oraz - przede wszystkim - przez wspólne hobby. W wolnych chwilach obydwaj byli zapalonymi mechanikami samochodowymi. Nieraz pracowali razem, wskrzeszając dobre pojazdy ze sterty złomu. Niech inni martwią się o drobiazgi i wykończenie.

W pewnym momencie ojciec Mazzare zaczął jednak marudzić.

- To nie ślubem się przejmuję, tylko... - Zaczął wymachiwać kluczem francuskim. -

Wszystkim.

228

Erie Flint

Wielebny Jones chrząknął. Głowę miał na wpół schowaną w silniku.

- Wciąż się martwisz papieżem? - Wyciągnął rękę. Ojciec Mazzare podał mu klucz. Znowu rozległ się jego stłumiony głos: - Sprawdziłem to. Nieomylnie ogłoszono dopiero w 1869 roku, więc masz jeszcze prawie 250 lat, żeby się z nim kłócić. - Znowu chrząknął. - Dobra, gotowe.

Jego szeroko uśmiechnięta twarz wynurzyła się spod maski samochodu na spotkanie z zachmurzonym obliczem przyjaciela.

- To jest bicie piany i doskonale o tym wiesz - warknął ojciec Mazzare. Wciąż szeroko uśmiechnięty wielebny Jones wzruszył ramionami.

-No pewnie, że jest. I co z tego? Jak przyjdzie co do czego, bicie piany zadziała.

Ojciec Mazzare wciąż był nachmurzony.

-A masz jakiś inny pomysł, Lany? - westchnął wielebny Jones. - Jeśli zaakceptujesz obecny stan rzeczy, wkrótce będziesz musiał wezwać inkwizycję i zażądać wyegzekwowania edyktu restytucyjnego. - Odkaszlnął. - Obawiam się, że ja bym protestował, gdybyś próbował zabrać mój kościół. A już na pewno kazałbym ci oddać mojego Rashomona.

- No cóż - zachichotał Mazzare. - Zrobimy, co w naszej mocy. Byłbym jednak wdzięczny, gdybyś na jutrzejszej ceremonii ślubnej powstrzymał się od potępiania Nierządniczy Rzymu.

Jones skrzywił się.

- Daj spokój! - W końcu roześmiał się. - Nie żeby aktualny papież na to nie zasługiwał, ale ta dziewczyna sama jest katoliczką i już zdążyła wiele przeczepić.

Zajrzał w kolejną szczelinę silnika.

- Potrzebna mi będzie nasadka 3/8 cala.

Podczas gdy Mazzare grzebał w pojemniku, Jones kontynuował swoje rozważania.

- Naprawdę myślisz, że to zrobili?

- To sprawa między nimi a Bogiem. - Odpowiedź nadeszła wraz z kluczem nasadowym. - Nie powiem, że bym nie mógł przez to oka zmrużyć. Z tego, co słyszałem, ów człowiek wyglądał jak wampir.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - mruknął Jones i ponownie zanurkował. - A tak przy okazji, jak jest w mieście z zapasami czosnku?

Stojąc z przyjaciółmi przed ołtarzem, Jeff robił wszystko, żeby się nie wiercić. James Nichols, który właśnie miał usiąść, zatrzymał się i zawrócił.

- Wciąż możesz się wycofać - powiedział bardzo cicho, tak że tylko Jeff mógł go usłyszeć.

Jeff natychmiast potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Nichols spojrział na niego uważnie.

- Ja tylko sprawdzałem.

Chłopak uśmiechnął się. Odrobinę smutno, ale tylko odrobinę.

- A poza tym nie chcę. Doktorze Nichols, ja się nie przejmuję ślubem, tylko... - Wykonał nieznaczny ruch dłonią.

- Latami, które potem nastąpią?

Jeff skinął głową. Nichols położył mu dłoń na ramieniu i nachylił się.

- Posłuchaj, chłopcze. Albo się uda, albo się nie uda. To nie ma znaczenia, jeśli tylko będziesz robił to, co do ciebie należy. Zapomnij o wszystkim, czego się nasłuchałeś na temat bycia mężczyzną. Do ciebie należy to, żeby dać swoim bliskim - żonie, dzieciom - miejsce, w którym będą mogli budować swoje życie. Dach nad głową i jedzenie na stole - to część twojego zadania. Tak samo jak własne łóżko, w którym jako starzy ludzie będziecie mogli odejść z tego świata. To, czy będziesz w stanie dać coś więcej, zależy od ciebie. Po prostu rób wszystko, co w twojej mocy. Jeśli tak właśnie będzie, możesz nazywać się mężczyzną. Pieprzyć całą resztę. - Ścisnął go za ramię. - Rozumiesz?

- Tak, panie doktorze, rozumiem.

- To dobrze. - Nichols odszedł, a chwilę później rozbrzmiały dźwięki organów i z tyłu kościoła, desperacko uczepiona ręka Williego Raya, pojawiła się Gretchen.

Jeff przez cały czas patrzył, jak się zbliża. Nawet nie dostrzegł, jak niepewnie idzie w butach na obcasach. Kompletnie pochłoniął go ten pradawny obrzęd. I odkrył (tak jak wcześniej odkrywały miliony nie uświadomionych młodzieńców), że nic na świecie nie może się równać z widokiem zbliżającej się do ołtarza panny młodej.

Wątpliwości, zmartwienia, lęki, obawy - wszystko zniknęło. „Rozumiem. O tak, rozumiem”.

ffiazbzml 31

Byli teraz sami. „Po raz pierwszy” - zdała sobie sprawę Gretchen. Rodzina odprowadziła ich do drzwi przyczepy, ale już za nimi nie weszła. Resztę dnia - i nocy - ich bliscy spędzą w pozostałych dwóch przyczepach wchodzących w skład kompleksu.

Gretchen w milczeniu wzięła męża za rękę i poprowadziła do sypialni. Niegdyś była ona własnością rodziców jej męża, teraz będzie należała do nich.

Gdy już znaleźli się w środku, zamknęła drzwi i zaczęła się rozbierać. Chciała uporać się ze wszystkim najszybciej jak można, ale teraz, na widok jego twarzy, zrozumiała, że to by go zasmuciło. A nie mogła znieść tej myśli. Co jak co, ale winna jest temu mężczyźnie życzliwość.

Uśmiechnęła się zatem i wyciągnęła ku niemu ręce. Chwilę później mąż skrył ją w swych ramionach.

Wyuczona reakcja na uścisk natychmiast zmieniła się w coś innego. To nie był Ludwig, którego uściskowi musiała się poddać i przed którego uściskiem musiała się bronić. Uniósł ochoczo wargi na spotkanie ust Jeffa. Jej wargi były miękkie, badające, rozchylone; to nie był ten mur co dawniej. Poczula jego język i wysunęła swój na spotkanie. Dostycie niezdarne, nawet bardziej niż on, bowiem Gretchen nie miała żadnego doświadczenia w całowaniu się. Rozluźniła się i zaczęła odwzajemniać pocałunki i pieszczoty. Czula, że dłonie wędrujące po jej ciele stają się coraz bardziej rozpalone. Ale nie bała się namiętności Jeffa. Niedługo, już bardzo niedługo, ją zaspokoi.

Zaspokajanie męskiej żądzy było uciążliwym obowiązkiem, tak samo jak ścieranie krwi ze świeżo zrabowanych łupów albo golenie gwałciciela, kiedy żelazna wola musiała powstrzymać dłoń, aby życie mężczyzny nie wyciekło na ziemię wraz z życiem jej rodziny.

Owijanie dziecka w pieluchy i wycieranie jego zaślinionej buzi także było obowiązkiem, podobnie jak ogrzewanie babki w czasie zimy, ale to były zwykłe rodzinne sprawy.

Wiedziała, że żądza małżonka nigdy nie pozostawi siniaków na jej ciele. Była bezpieczna.

Ale wiedziała też, że będzie musiała zaspokajać tę żądę znacznie częściej („znacznie

częściej!") niż w przypadku Ludwiga. Mimo to ta świadomość nie przejęła jej strachem, raczej poczuła cichą satysfakcję.

To, czego jej mąż będzie pragnął, Gretchen mu ofiaruje z chęcią, a może nawet z zapalem. Podczas wykonywania tego obowiązku będzie mogła przynajmniej wykpiwać cień ogra. Szydzić z jego ducha.

Wreszcie Jeff oderwał się od niej, chociaż bardzo niechętnie. Ku swemu zaskoczeniu Gretchen zauważyła u siebie taką samą niechęć. Zdumiało ją to dziwne, obce uczucie; zazwyczaj cieszyła się, gdy już miała z głowy obowiązek wobec mężczyzny.

Swoją reakcję wytłumaczyła utrzymującym się strachem, niczym więcej. Czemu więc jest jej żal teraz, gdy strach mija? Strach nie jest przecież uczuciem, które warto pielęgnować.

Jeff uśmiechnął się; czuła, jak opada z niego napięcie i wzrasta pewność siebie, i to ją cieszyło. Gretchen przyrzekła księżnej (zawsze tak będzie myślała o owej kobiecie, jakkolwiek miałyby tytuł), że będzie bardzo ciężko pracować nad tym dziwactwem, które Amerykanie nazywali „miłością”. Czuła, że to jest właśnie część tego czegoś. Mąż to nie gwałcieł. Mąż powinien się czuć swobodnie w towarzystwie żony, być pewnym nie tyle swojej władzy, ile swej pozycji.

Jeff usiadł na łóżku i poklepał miejsce obok siebie, zapraszając ją, by też usiadła. Gretchen posłuchała. Wtedy zaczął coś niepewnie mówić. Tłumaczenie tych pojedynczych słów nie było dla niej wielkim problemem. Znacznie większym problemem było zrozumienie jego propozycji. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.

„Zaczekać? Z powodu tego, przez co przeszłam? Aż się uspokoję i odprężę? Aż sama będę chciała?”.

Gretchen była zupełnie oszołomiona. Propozycja jej męża - od razu to wiedziała - nie była spowodowana brakiem żaru. Nie, absolutnie nie. Widziała, jak ciężko jest mu się powstrzymać. Doskonale wiedziała, czym jest męskie pożądanie, a nie przypuszczała, żeby jakkolwiek mężczyzna pożądał jej tak bardzo, jak ten siedzący w tej chwili obok niej na łóżku.

Próbowała znaleźć w tym jakiś sens. Sens natychmiast się pojawił, lecz był tak oczywisty i prosty, że w pierwszej chwili go odrzuciła. Potem jeszcze raz się zastanowiła.

Erie Flint

„On się po prostu o mnie troszczy”.

Łzy napłynęły jej do oczu. Przez jej serce przelała się fala uczucia znacznie silniejszego niż kiedykolwiek. Instynktownie, bez wyrachowania, objęła Jeffa i przyciągnęła go do siebie.

Przycisnęła miękkie i rozchylone wargi do jego warg, wsunęła język do jego ust.

Nagle poczuła, że jest jej gorąco, i zarumieniła się. Delikatnie, lecz stanowczo odepchnęła Jeffa i spróbowała zdjąć ubranie. Jej palce zaczęły szarpać tę uciążliwą rzecz, którą Amerykanie nazywają „suwakiem”.

Ale nie było potrzeby, mąż dał jej znać, że robi to za nią. Odwzajemniła jego uśmiech.

„Czemu nie? To chyba sprawia mu przyjemność. I nie muszę się bać, że rozerwie mi ubranie. Nie on”.

Potem Gretchen pomogła Jeffowi zdjąć ubranie. Gdy już oboje byli nadzy, zaczęła się wiercić na olbrzymim łożu („mówią na to „rozmiar królewski”, jakby uważali się za królów!”), aż w końcu znalazła się na samym jego środku. Omal nie wybuchła śmiechem, widząc, jak ten wężowy ruch go podniecił. Gretchen wiedziała, że jej ciało może tak działać na mężczyzn, lecz nigdy nie zauważyła, żeby Ludwig rozpalił się równie gwałtownie jak jej mąż.

Przez chwilę widok jego naprężonej męskości przyniósł znajomy chłód. Czuła, jak wokół jej umysłu zamyka się tarcza i nadchodzi pustka.

„Nie! Nie będę nieszczerą wobec swego męża. Przyrzekłam to księżnej. Jemu to przyrzekłam”.

Walka była krótka i łatwa. Tak, łatwa. Znacznie łatwiejsza niż kiedykolwiek mogła przypuszczać. Roześmiała się, ale nie z drwiną, lecz po prostu z uczuciem. Gretchen zawsze cieszyła się, mogąc dać swojej rodzinie szczęście, a to było takie samo dawanie, jak czesanie włosów siostry lub karmienie swego dziecka.

Jeff położył się obok niej i zaczął obsypywać jej ciało pocałunkami i pieszczotami. Ogarnął ją kolejny przyływ uczucia, a potem nieoczekiwana fala przyjemności. To drugie wprawiło ją w spore zdumienie. Gretchen przyzwyczajona była do pieszczenia innych, a nie do bycia obdarowywaną tą przyjemnością.

Przez chwilę rozkoszowała się tym doznaniem; w jej życiu było tak mało przyjemności.

Ale szybko przed tym uciekła, wezwana przez surowe poczucie obowiązku. Nadszedł czas, by zaspokoić swego małżonka. Mężczyźni zawsze się tego domagają. Tak więc nieco niechętnie - lecz bynajmniej nie z tych samych powodów co zawsze - zaczęła wciągać męża na siebie.

Ale Jeff się opierał. Nie gwałtownie, jednak zdecydowanie. Przesuwał powoli usta po jej piersiach, w dół brzucha, a jego dłoń gładziła wewnętrzną stronę jej ud. Potem dłoń - gorąca i delikatna - powędrowała wyżej, usta - wilgotne i jeszcze delikatniejsze - przesunęły się niżej. Gdy palce dotarły do celu, Gretchen gwałtownie wciągnęła powietrze. Częściowo z przyjemności, głównie jednak z zaskoczenia. „Tak łagodnie, tak...”.

Zorientowała się, że nie jest zbyt doświadczony. Trochę się gubi, pomyślała. Ale to nie ma znaczenia; tylko on jeden w ogóle spróbował.

Nieco przez przypadek palce Jeffa trafiły do celu. Gretchen syknęła. Wyczuła, jak jej małżonek promienieje z zadowolenia. Jeszcze raz spróbował.

„Och!”.

Pierwszy raz w życiu Gretchen czuła, że w niej samej narasta pragnienie. Zdziwiła się, lecz tylko na moment. Jej ciało wydawało się mieć swój własny umysł. Popuściła mu cugli i sama sięgnęła na dół, wskazując drogę. W kwestii własnej przyjemności miała równie wielkie doświadczenie jak jej mąż.

Gdy znów przeszło ją owo doznanie, zagryzła wargi. A potem, świadoma tego, co robi, wydała z siebie cichy jęk. Od czasu koszmarnego pierwszego razu nigdy nie pozwoliła na to, żeby mężczyzna usłyszał jej jęk. Ale ten jęk był prawowitą własnością jej małżonka. Należał do niego, więc chętnie mu go oddała.

Teraz usta Jeffa odnalazły drogę i Gretchen po raz kolejny głośno wciągnęła powietrze. Tym razem była wstrząśnięta. „Co on wyprawia? Postradał zmysły?”.

Chwyciła go za głowę i już miała odepchnąć, lecz jej dłonie zamarły. Do-tykanej palców sprawił, że Jeff przywarł jeszcze mocniej ustami i otworzył je. Język podążył drogą, którą mu wytyczyły uczące się palce. Sparaliżowała ją czysta przyjemność.

Umysł Gretchen wirował. Przyjemność, zagubienie, radość, strach - wszystko to było zawarte w jej wzdychającym, jęczącym, pozbawionym słów głosie.

„Co robić?”.

Zwyciężyły strach i zagubienie. Jej umysł podążył wydeptanym, znajomym, zniechęconym traktem.

„Zaspokój go i miej to z głowy”.

Chwyciła Jeffa za ramiona i odciągnęła go od siebie. Do góry, na mnie! Tu, gdzie twoje miejsce! Owinęła nogi wokół jego nóg, przygwoździła go.

Chłopak pogubił się, ale na krótko, a jego niezdarność przyniosła kolejną falę uczucia.

Gretchen zrozumiała, że mimo ogarniającej go namiętności Jeff wciąż stara się być delikatny. Płomień w jej sercu buchnął tak jasnym światłem, że czuła, iż zaraz może ją całą pochłonąć.

„Wejdz już. O tak!”. Zaśmiała się beztrzesko, radośnie. Jej małżonek odsunął wspomnienia w cień. „O tak!”.

Poczucie obowiązku znikło, zastąpił je pradawny instynkt. Czuła, że jej ciało reaguje w sposób, który był jej całkowicie obcy. Mięśnie zerwały tarczę, nerwy rozbiły ją na kawałki, umysł odrzucił kawałki na bok. Pustka wypełniła się szaleństwem barw. Nie było już niczego między nią a jej mężem. Niczego poza skórą i wilgocią. Niczego poza jego pożądaniem i jej... „Czym?”.

234

Erie Flint

Nowa fala przyjemności wyrwała z jej gardła jęk. Zaczęła dziko całować Jeffa. Jej oddech rozlał się po wargach, spłynął po języku, wprost do jego ust. Czuła, że jej mąż odwzajemnia pocałunki namiętnie, z zapalem...

„Z dumą”.

Gretchen w końcu pojęła, co zamierza Jeff. Na moment zamarła.

Odsunęła twarz i położyła głowę na poduszce, z kolei Jeff uniósł głowę. Jasnozielone i jasnobrązowe oczy spoglądały na siebie.

Zielone płonęły, brązowe pytały.

„Czy to możliwe? Nigdy nie myślałam...”.

Zielone uspokoiły, brązowe zaakceptowały.

„Spróbuję, mężu. Spróbuję”.

Na początku była zbyt zagubiona, aby wraz z nim podążać tą samą drogą. Jej ciało po prostu przyłączyło się do rytmu. Wkrótce jednak jej umysł znalazł sposób na to, by dotrzeć starym traktem do nowego celu. W zaspokajaniu swego małżonka znajdowała opiekę i bezpieczeństwo - zarówno dla rodziny, jak i dla niej samej - a on właśnie tego pragnął, jakkolwiek wydawało się to dziwne.

Początkowo tylko chciała, żeby pragnienie Jeffa, by dać jej przyjemność, wskazało jej drogę. Nadejście fal rozkoszy oznajmiała ustami, dłońmi, głosem. Mąż odpowiedział, ucząc się, wciąż się ucząc. Fale zbliżyły się i podniosły.

Była niemal przerażona, lecz obowiązek przepędził strach. „Mój mąż tego chce. Daj mu to, czego chce. Znajdziesz w tym bezpieczeństwo”.

Ale bezpieczeństwo znikło, tak samo jak znikł obowiązek. Została tylko Gretchen. Fale stały się ryczącymi bałwanami, te zaś przemieniły się w kipieli. Nie dało się już tego powstrzymać. Gdy nadszedł kres, Gretchen udało się to nawet zaakceptować, przyjmując jak swoje własne, jak coś wartościowego i drogocennego.

Chłubić się tym, jakby sama była księżną.

Uciekinierka z Sefaradu znalazła w tym miejscu swoje zalane słońcem legendy, szkocki kawalerzysta zaś swoje wróżki. A młoda kobieta z rozbitych Niemiec odnalazła bajania starych kobiet. Okazało się, że to wszystko, co mówiły i czemu Gretchen nie dawała wiary, tak samo jak nie dawała wiary opowieściom o rycerzach i smokach, było prawdą.

Odnalazła się we własnej przyjemności. Odpłaciła małżonkowi gorącymi pocałunkami, zażawionymi oczami i łamiącym się głosem, w którym zawarta była obietnica wielu wspólnych lat.

A szatanowi odpłaciła śmiechem. Triumfalnym, rozbrzmiewającym drwiną, odbijającym się od ścian przyczepy i niosącym się aż do otchłani piekielnych.

Jeff, chwilowo wyczerpany, leżał obok i spoglądał na nią. Pławił się w satysfakcji, a jeszcze bardziej w dumie ze swojego osiągnięcia. Niezależnie od tego, czy rozumiał dziką radość, która przepełniała jego żonę (a nie rozumiał, nawet w najmniejszym stopniu), uspokajał go uśmiech na jej twarzy i ciepło gładzących go rąk.

Wreszcie do Gretchen dotarł pełen wymiar jej zwycięstwa. „Całkowite, kompletne”. Pokonała diabła. Wychłostała go niczym kundla.

Ocaliła wszystko przed jego królestwem ciemności. Nawet tę jedną rzecz, która wydawała jej się na zawsze stracona. Jediną rzecz, która miała dla bestii jakąś wartość, a którą oddała, by chronić swoją rodzinę. Teraz zaś u progu nowego życia sięgnęła pomiędzy żelazne wrota i wyszarpnęła swoje dziewictwo. Przepełniona radością, ograbiła łupieżcę, skarb zaś oddała w podarunku mężczyźnie, który nań zasłużył.

Do oczu napłynęły jej łzy - łzy radości i wdzięczności - lecz śmiech nie ustał. Daleko w dole, głęboko, szatan ryczał z wściekłości.

„Oszukano mnie! Wykpiono!”.

Po śmiechu nastąpiły pocałunki i niekończące się pieszczoty z mężem. Był młody, czysty, wspaniały, taki dobry i taki cudowny. Gretchen nie była zdziwiona, widząc, jak szybko do niej powrócił i z jaką chęcią przyłączyła się do niego.

Pokonała diabła. Teraz będzie się znęcać nad potworem.

Cierpienia szatana trwały całą noc. Raz po raz Gretchen smagała go swoją przyjemnością, a jeszcze bardziej rozkoszą, którą obdarzała małżonka. Diabeł godzinami szalał w swych komnatach z rozżarzonego kamienia. Roztrzaskiwał ściany uderzeniami rogów, smagnięciom ogona towarzyszył osypujący się gruz, pod kopytami miażdżeni byli gwałciciele.

Gdy ekstaza jej męża osiągnęła apogeum - bardziej z miłości, która towarzyszyła jej czynom, niż z powodu samych czynów - diabeł uciekł z rozpaczy. Wypadł ze swych komnat i pognął na sam dół, w jądro ogni piekielnych.

Gretchen podążyła za nim niczym jamnik tropiący borsuka.

- Odejdź! - wrzasnęła bestia. - Zostaw mnie w spokoju!

Ona jednak nie miała litości, „patrz, potworze”. Zapędziła go w róg groty, mroczny i wilgotny od odpadków. Diabeł skulił się.

- Przestań - zaskomlał. - Ranisz mnie.

„Patrz”. Jej ciało - gorące, wilgotne, miękkie, kochające - rozgniotło plugastwo o kamienie.

„Patrz”.

Skończyła już z szatanem. Skończyła z nim na zawsze. Wypełniła ją miłość małżonka, oczyszczająca wszelkie ślady przeszłości. Wszystkie znikły, znikły na zawsze.

Teraz Gretchen już wierzyła w miłość, która była jak przysięga. Już nigdy nie będzie mierzyć swego życia miarą zła, jakie się przez nie przelewa, a jedynie miarą dobra.

236

Erie Flint

Wiedziała, że w ich życiu będą niespodzianki - przecież dopiero będą się poznawać - i że niektóre niespodzianki nie będą przyjemne. On czasem będzie małostkowy, paskudny, złośliwy, ona czasami też taka będzie.

Ale to wszystko jest bez znaczenia. W sercu tego małżeństwa nie będzie żadnych niespodzianek. Tego Gretchen była całkowicie pewna.

Pogładziła twarz Jeffa i spojrzała mu głęboko w oczy. Zielone kule rozjarzyły się niczym pąki rozkwitające na wiosennym obliczu. Delikatne, młode, pełne obietnic. Wilgotne, gorące, pełne życia.

Gretchen była z siebie bardzo zadowolona. Dotrzymała obietnicy, którą dała księżnej.

„To było takie proste!”. Spodziewała się lat trudów i znojów.

„To takie proste”. Zrozumiała, że to jest po prostu rodzina. To wszystko. Owszem, każdy członek rodziny jest inny, cenny i wartościowy, każdy więc otrzymuje coś wyjątkowego.

Niemowlę - pierś. Dziecko - troskę i czułość. Babka - wygodę i chęć wysłuchiwania skarg.

Mąż...

„To takie proste!”. Po prostu uwielbienie. I orgazmy.

To fraszka. W gruncie rzeczy...

Umysł Gretchen pracował nad tym zagadnieniem, podczas gdy jej dłoń sunęła w dół, pracując nad uwielbieniem małżonka. Dotarcie do odpowiednich wniosków nie zajęło jej dużo czasu.

Nie więcej niż jej dłoni.

Obydwoje poczuli potwierdzenie. Rosnące, mocne, silne.

- Kocham cię - wymruczała. I radośnie postanowiła jeszcze trochę nad tym popracować.

* * *

Jeśli Jeffa gryzły jakiegokolwiek wątpliwości, rankiem już nie było po nich śladu.

Obudził się wcześniej od Gretchen i spojrzął na nią. I odkrył (tak jak wcześniej odkrywały miliony nieuświadomionych młodzieńców), że małżonka jest jeszcze piękniejsza od panny młodej.

Najpierw się kochali. Później Jeff zrobił dla nich śniadanie. Składało się tylko z owsianki, bo w miasteczku nie było niczego innego. Mimo to przygotowanie jej zajęło mu sporo czasu, gdyż Gretchen niesamowicie dokazywała.

Kiedy owsianka była już gotowa, pochłonęli ją z wilczym apetytem i natychmiast wrócili do sypialni. Właśnie tam spędzili resztę poranka. Był to radosny poranek, pełen odkryć. Prób i błędów, jak mogłyby powiedzieć niezyczliwe dusze. Jednak Gretchen i Jeff zupełnie o to nie dbali. Śmiali się z błędów, a przede wszystkim delektowali się pracą. Miłość, jak wszystko co rośnie, również należy podlewać. Komu przeszkadza to, że od czasu do czasu woda wyleje się z wiadra?

Gdy jednak wybiło południe, dzieciaków (zwłaszcza tych najmłodszych) nie dało się już upilnować. Wierciły się zmartwione, przestraszone, niespokojne. Ściany przyczep były dobrze uszczelnione, ale cienkie, i dźwięk niósł się przez nie idealnie.

Dzieci nigdy nie słyszały, żeby Gretchen wydawała takie odgłosy. „fligdy. Nie Gretchen!”.

Gdyby nie babka, wpadłyby w kompletne przerażenie. Staruszka uspokajała je, tuliła, głaskała. „Nie ma się czym martwić, dzieci”. Przez całą noc nie zmrużyła oka, tylko się uśmiechała. Po raz pierwszy od wielu lat.

Mimo to...

„Już południe. Wystarczy! Wystarczy!”.

Dzieciarnia wdarła się do przyczepy. Nieśmiało podeszli do drzwi i zapukali.

- Chwila! - Usłyszeli, że za drzwiami ktoś się rusza i mówi coś o szatach. To brzmiało jak głos Gretchen, ale przecież im się wydawało, że słyszą śmiech.

Ten sam radosny głos („Gretchen?") kazał im wejść. Gdy dzieci znalazły się w sypialni, popatrzyły na nią oczami wielkimi niczym spodki.

„Gretchen? To ty?”.

Owszem, kobieta w łóżku wyglądała jak Gretchen, ale na jej anielskiej twarzy nie było ani śladu stali. W tym delikatnym ciele okrytym szatą nie było opancerzonej duszy.

Niepewnie przeniosły spojrzenia na leżącą obok niej dziwną istotę. Ona również była okryta szatą. „A to co?”.

* * *

Najmłodszy z nich zrozumiał jako pierwszy. Mały Johann, niespełna pięcioletni, którego instynktów nie zdążyło jeszcze obciążyć wspomnienie ogrów, pojął, że ta duża, okrągła, przyjazna twarz - wtulona policzkiem w policzek kobiety, która ich wszystkich wychowywała i ochraniała - może być tylko jednym.

- Papa! - zapiszczał. - Papa! Papa!

Chwilę później już wdrapywał się na łóżko. Reszta dzieciaków ruszyła w ślad

Papa wrócił, nie ma wątpliwości. Jest dokładnie tu, gdzie jego miejsce. W ciągu kilku sekund Jeff i Gretchen byli niemal całkowicie zagrzebani pod ciałami rozradowanych dzieci.

Mały Johann, jako że był pierwszy, zgodnie z prawem zajął honorowe miejsce. Niczym węgorz wśliznął się między nich. Zaledwie minutę zajęło mu odkrycie najnowszego skarbu rodziny: wielkich, miękkich i ciepłych stóp Jeffa.

- Papa - zamruczał i przymknął z zadowoleniem oczy. Już nie trzeba będzie się obawiać zimy. Stopy Papy zawsze go ogrzeją.

W&zbzml 32

Hans spoglądał kilka chwil na anioły śmierci. Dziwiło go to, że tak się różnią. Nie chodziło o to, że jeden był mężczyzną, a drugi kobietą, on po prostu zawsze myślał o aniołach jako o kimś... wiecznie młodym. Czemu więc jeden z nich przypominał młodą niewiastę, a drugi siwego mężczyznę? Ich uczesanie również było osobliwe.

Mimo to nie odczuwał lęku. Wiedział, że ma przed sobą aniołów śmierci, rozpoznawał ich czarną skórę. Na ich obliczach nie dostrzegał jednak śladów zła, tylko coś w rodzaju cichej troski.

„A więc to nie piekło”.

Spojrzenie Hansa powędrowało po całym pomieszczeniu. Ono także było osobliwe. Zawsze myślał, że przedsionek niebios będzie lepiej zbudowany albo że w ogóle nie będzie zbudowany, tylko powołany do życia Słowem. A tymczasem widział utrzymujące całą strukturę gwoździe. Bardzo niechlujna robota.

Przyjrzał się uważnie przezroczystej materii, która oddzielała go od innej rysującej się mgliście duszy. Ona również zdawała się spoczywać na jakimś łożu. Hans z podziwem wpatrywał się w ową materię. „Niezwykle eteryczna” - pomyślał. Czuł jednak lekką konsternację z powodu samego łoża; absolutnie nie sprawiało niebiańskiego wrażenia. A więc jeszcze nie jest martwy. Jego dusza wisi gdzieś w przestrzeni, w oczekiwaniu, aż dosięgnie ją ostrze kosy.

Nagle materia została odsunięta na bok. Przybył do niego jeden z aniołów śmierci, młoda niewiasta.

Nie takich rysów spodziewał się po aniele - duża, szeroka twarz - uznał jednak, że jest dość urodziwa. Podobał mu się sposób, w jaki ciasno upięte czarne włosy okalały jej czoło. A w ciemnych oczach niewiasty dostrzegał mnóstwo ciepła.

Odchrząknął.

- Jestem gotów - wyszeptał.

Anioł pochylił się nad nim i delikatnie nadstawił ucho.

- Możesz powtórzyć? - zapytał.

Hans był zdumiony. „Dlaczego anioł miałby mówić po angielsku?”. Przyjął jednak wolę bożą i także odpowiedział po angielsku.

- Weź mnie, aniele. Jestem gotów.

Kobieta - anioł otworzyła szeroko oczy i rozchyliła usta w uśmiechu, który przerodził się w chichot. Hans po raz kolejny osłupiał.

- „Weź mnie!” - przedrzeźniała go i znowu zachichotała. - Wiadomo, że myślicie tylko o jednym, ale to... - Padło jakieś dziwne wyrażenie, chyba coś o przeginaniu.

Z całą pewnością był to jednak angielski. Osłuchał się z tym językiem, gdyż jedynym członkiem bandy Ludwiga, którego naprawdę lubił, był młody Irlandczyk. Tamten już nie żył; Hans widział jego mózg rozbryzgujący się na kamieniach.

Anioł nie przestawał się śmiać.

- Może i jesteś gotowy, skarbie, ale ja nie jestem! - Niewiasta znowu zaśmiała się radośnie. - Ale musisz być napalony!

Poklepała go po policzku.

- Witaj z powrotem, Hansie Richterze. Przyprowadzę twoje siostry.

Dotarły po niespełna godzinie i wtedy Hans odkrył, że wciąż żyje. Żyje i wraca do sił, chociaż wiele tygodni spędził na krawędzi śmierci.

Odkrył też, że w tym czasie zaszło wiele zmian. Pod koniec dnia poznał nowego męża Gretchen i swojego nowego pracodawcę.

- Nie musisz już być żołnierzem, Hans - powiedziała Gretchen i wskazała na stojącego za nią człowieka. Był to postawny, dość młody mężczyzna o przyjacielskim uśmiechu.

- To jest pan Kindred. Pracuje... pracował jako wydawca miejscowego tygodnika.

- Co to jest tygodnik? - zapytał Hans. Gretchen zmarszczyła brwi.

- To coś takiego jak gazeta, tyle że pojawia się raz na tydzień i mówi ludziom o tym, co dzieje się na świecie.

Hans już miał zadać kolejne pytanie, kiedy Gretchen weszła mu w słowo.

- Później, braciszku. Pan Kindred chętnie skorzystałby z twojej pomocy. Chce wybudować zakład drukarski, żeby znowu móc wykonywać swój fach.

240

Erie Flint

Jednak... - zawahała się - metody, które zna, już na nic się nie zdadzą, więc chciałby stworzyć coś takiego, co miał nasz ojciec. Przydałbyś mu się. Już trzech innych drukarzy przyłączyło się do niego. Jak dobrze pójdzie, może i ty zostaniesz współnikiem, o ile będziesz chciał.

Hans spojrział na wydawcę.

- Znow mógłbym być drukarzem? - zapytał cicho. - Nie najemnikiem?

- Będą chcieli, żebyś przyłączył się do czegoś, co nazywają milicją, i żebyś raz w tygodniu stawiał się na ćwiczeniach - wyjaśniła Gretchen. - Ale jeśli nie chcesz być zawodowym żołnierzem... - roześmiała się na widok miny młodszego brata - to nie musisz.

- Znow będę drukarzem - wyszeptał.

* * * Następnego dnia medyk, którego wcześniej brał za anioła śmierci, wypuścił go ze szpitala. Wraz z pomocą sióstr i szwagra Hans wkroczył do nowego

Wszystko było strasznie dziwne, ale nie dbał o to, nawet wtedy, gdy dzień po tym, jak wprowadził się do swojego nowego domu, zwerbowano go do hufców pracy. Każdego dnia hufce zbierały się po to, żeby przywozić żywność z okolicznych terenów. Zbliżała się zima i przepełnione ludźmi miasteczko Grantville robiło wszystko, żeby się przygotować na jej nadejście. Hans to rozumiał, doskonale wiedział, co oznacza zima.

Wciąż jeszcze był słaby, więc Amerykanie uznali, że nie nadaje się do ciężkich robót. Już chcieli go odesłać do domu, kiedy jeden z nich - który słyszał, że brat Gretchen pracował niegdyś jako drukarz - zapytał, czy poradziłby sobie z maszynami. Gdy tylko uradowany Hans oprzytomniał, okazało się, że właśnie go szkolą, jak obsługiwać najcudowniejszą na świecie maszynę. Mówili na nią „pikap”. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Przez następne tygodnie nauczył się prowadzić większość amerykańskich pojazdów silnikowych. W nich wszystkich też się zakochał i niemal odczuwał smutek, gdy trzeba było rozpocząć pracę w drukarni.

Drukarnia była jednak sprawą pilniejszą. Amerykańscy przywódcy byli najwyraźniej zdecydowani, aby rozpocząć wydawanie gazet, a wkrótce także książek.

Nazywali to „propagandą”. Kiedy Hans zgłębił treść pierwszej wydanej przez nich broszury, zakochał się także w propagandzie. Spodobała mu się Karta Praw, chociaż uważał ją za coś na pograniczu obłędu.

Szalony, zwariowany, nowy świat. Hans pokochał go w całości, zwłaszcza gdy jego wspaniały szwagier pokazał mu, jak obsługiwać maszynę zwaną „komputerem”.

* * *

Najlepsze jednak nadeszło 10 września wieczorem, gdy ożyła dziwna machina, którą szwagier trzymał w przyczepie; mówił na nią „telewizor”.

Najwidoczniej stało się to po raz pierwszy od czasu tego cudu zwanego przez Amerykanów Ognistym Kręgiem.

Hans i cała jego rodzina zgromadzili się wokół osobliwej szyby. Pomieszczenie wprost pękało w szwach. Szwagier uśmiechnął się, sięgnął na dół i coś nacisnął. Szyba (wołali na nią „ekran”) obudziła się do życia.

- Spójrzcie! - wykrzyknęła Annalise. - To Becky.

Gretchen obserwowała z zaciśniętymi ustami postać na ekranie. Owszem, wyglądała jak Becky. Stała za stołem i szeptała coś do swojego ukochanego. Tak, to na pewno był Mike, ale...

Nie była pewna.

- Wydaje się strasznie zdenerwowana - rzekła.

- Bzdura! - wypaliła jej siostra. - Becky nigdy się nie denerwuje.

^azbzmt 33

- Strasznie się denerwuję - szepnęła Rebeka.

Oparła głowę na ramieniu Mike'a. Mąż objął ją w talii i mocno przycisnął. Potem delikatnie musnął koniuszek jej ucha.

- Spokojnie, na pewno sobie poradzisz - wyszeptał i dał jej lekkiego klapsa. Rebeka uśmiechnęła się i odwzajemniła gest.

Janice Ambler, szefowa szkolnego studia telewizyjnego, zaczęła jak w napadzie szału podskakiwać i wymachiwać rękami.

Siedzący w głębi szkolnego studia telewizyjnego Ed Piazza zmarszczył brwi.

- Cudownie - burknął. - Wreszcie udaje nam się wrócić na antenę, i co takiego zobaczą widzowie na dobry początek? „Złap mnie za dupę w North Central High”.

Stojąca tuż obok Melissa uśmiechnęła się szeroko.

- Na przyszłość powinieneś zwrócić jej uwagę, zanim wystąpi na żywo.

- A niby czemu? - zapytał Greg Ferrara. - Moim zdaniem to bije na głowę wszystko, co do tej pory widziałem. Z oczywistych względów jest coś przyjemnego w widoku doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, który od czasu do czasu publicznie wrzuca na luz.

- Dobra uwaga - mruknięła Melissa.

Ale do Piazza to najwyraźniej nie przemawiało.

- Jesteście nienormalni, nie-nor-mal-ni. - Odchrząknął głośno. - Becky, jesteś na wizji.

Przeżrana Rebeka podniosła głowę i spojrzała w kamerę. Skromna grupka widzów znajdujących się w pomieszczeniu ledwie powstrzymała

się od wybuchu śmiechu; dziewczyna wyglądała jak wiewiórka przyłapana na podkradaniu jedzenia.

Po chwili Rebeka siedziała już na krześle. Mike wyszedł poza kadr; uśmiech nie schodził z jego twarzy. Był to uśmiech wybitnie zadowolonego z siebie człowieka.

- Cudownie - powtórzył Piazza. - Zobaczycie, teraz każda nastoletnia para będzie starała się tutaj zakraść, żeby się obmacywać w telewizji.

Ferrara już miał powiedzieć coś dowcipnego, lecz się powstrzymał, gdyż Rebeka zaczęła mówić.

- Dobry wieczór. Guten Abend. Witamy w naszej nowej stacji telewizyjnej. Dzięki ciężkiej pracy nauczycieli i uczniów udało nam się powrócić na antenę po raz pierwszy od czasu Ognistego Kręgu. Dziś wieczór będziemy nadawać jedynie przez kilka godzin, ale mamy nadzieję, że za jakiś tydzień będziemy mogli być na antenie co najmniej 12 godzin dziennie. Zaczęła tłumaczyć na niemiecki. Zanim doszła do połowy, wszelkie oznaki zdenerwowania znikły i Rebeka znów była sobą.

- Uśmiech - mruknięła Piazza. - Śmiało, Becky, od czasu do czasu musi być uśmiech.

- Daj spokój - zareagował Ferrara. - Tak jak jest, jest w porządku. To dla mnie duża ulga, że wreszcie mogę popatrzeć na prezentera, który nie rzuca kawałami na prawo i lewo, jakby był w jakimś kabarecie. Wal prosto z mostu, Becky.

- Amen - przytaknęła Melissa.

Rebeka wznowiła wypowiedź po angielsku.

- Dzisiaj nasz blok programowy będzie poświęcony głównie rozrywce. Uważamy, że po całej tej harówce każdemu należy się wieczór wypoczynku. Poza tym jest jeszcze dobra wiadomość. Godzinę temu rozmawiałam z Williem Ray-em Hudsonem i powiedział mi, że na 98 procent starczy nam zapasów żywności na całą zimę. Racje nie będą zbyt duże, ale nikt nie będzie głodny. Ostrzegł mnie jednak - czuję, że powinnam państwa o tym poinformować - że czeka nas koszmarnie monotonna dieta.

I znów zaczęła to przekładać na niemiecki. Gdy skończyła, jej brwi ściągnęły się nieco i dodała kilka zdań po niemiecku. Melissa, która jako jedyna z obecnych w studiu Amerykanów jako tako знаła ten język, zaczęła się po cichu śmiać.

Piazza spojrział na nią pytająco. Melissa nachyliła się do niego i szepnęła:

- Becky właśnie powiedziała, że Amerykanie chyba nie potrafią gotować, nie używając do tego ogromnych ilości mięsa, więc przyszedł jej do głowy pomysł, że może jakieś Niemki mogłyby poprowadzić w telewizji program kulinarny. Poprosiła chętne o zgłaszanie się. Gratulacje, Ed, masz już pierwszy program w swojej nowej ramówce.

Na twarzy Piazza toczyły wojnę dwie skrajności: śmiać się czy płakać?

244

Erie Flint

- Ona nie ma prawa...

Ale Melissa znów się śmiała. Po krótkiej przerwie Rebeka ponownie dorzuciła kilka zdań po niemiecku.

- Teraz powiedziała, że może powinniśmy też sprowadzić do telewizji jakichś niemieckich piwowarów, żeby wytłumaczyli, jak się robi prawdziwe piwo, a nie te siki, z którymi Amerykanie myślą piwo.

Piazza aż kipiał ze złości.

- Amen! - wykrzyknął Ferrara.

Janice Ambler patrzyła na nich spode łba, machając w ich kierunku rękami. zamknijcie się! Jesteśmy na antenie!".

Ale nic to nie dało. Rebeka przetłumaczyła teraz swoje ostatnie uwagi na angielski i pozostała część osób obecnych w studiu ryknęła śmiechem. Wszystko to zostało skrzętnie wychwycone przez mikrofony i przetransmitowane do setek domów, przyczep kempingowych i wciąż zapelnionych schronisk dla uciekinierów.

W Grantville wrzało jak w ulu. Niemcy byli szczerze zadowoleni, Amerykanie zaś nieco rozgoryczeni.

Mike zdążył już dotrzeć do Piazza i dwójki nauczycieli. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Wiedziałem, że świetnie sobie poradzi. Piazza pokręcił z rozpaczą głową.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o trzymanie się scenariusza. Rebeka wróciła jednak do zaplanowanego programu. Z bardzo poważną miną spojrzała w obiektyw.

- Zaczynają się problemy z systemem sanitarnym. - Ściągnęła brwi. - Niektórzy nowi członkowie naszej społeczności wydają się tym nie przejmować. Tak nie może być! Wszyscy wiemy, że choroby pojawiają się wraz z wiosną, a nie mamy znów tak wiele czasu. Doktor Abrabanel pojawi się później na antenie i wyjaśni -po raz kolejny - dlaczego higiena osobista i publiczna mają tak wielkie znaczenie dla zażegnania groźby epidemii.

Teraz z kolei Ferrara zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem - mruknął. - Czemu to właśnie Baltazar ma się tym zająć? Myślę, że James albo doktor Adams byliby...

Mike przerwał, kręcąc głową.

- Nie, Greg. Musisz pamiętać, że Niemcy wciąż są sceptyczni, jeśli chodzi o te wszystkie zarazki, ale co do jednego są zgodni: żydowscy lekarze są najlepsi na świecie. To dlatego każdy król czy arystokrata ma ich na dworze. Jeśli Baltazar powie, że to prawda, oni w to uwierzą.

Uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy Ferrary.

- Nikt nigdy nie mówił, że uprzedzenia mają jakikolwiek sens, Greg, nawet jeśli są ślicznie opakowane.

Po raz kolejny szefowa pokazała im, żeby się uciszyli. Tym razem poskutkowało.

Przetłumaczywszy ogłoszenie zdrowotne na niemiecki, Rebeka zdobyła się na pierwszy od rozpoczęcia transmisji uśmiech.

- A teraz powinniśmy się zrelaksować. Powrócę jeszcze do państwa, żeby podać wiadomości, ale teraz zapraszam na film. Ja już go widziałam i jest naprawdę świetny.

Zamilkła, uśmiechając się do kamery. Grymas niezadowolenia na twarzy Janice najwyraźniej jej nie przeszkadzał.

- Powinna wyjaśnić, o czym jest film - syknął Piazza. Mikę wyszczerzył zęby.

- Powiedziała mi, że to czysty idiotyzm. Buster Keaton mówi sam za siebie.

Janice Ambler darowała już sobie grymasy, westchnęła zrezygnowana i puściła film. Na antenie pojawił się Generał i Buster Keaton, który milcząc, mówił sam za siebie. Po kilku minutach w Grantville ponownie zawrzało, głównie za sprawą Niemców, którzy nie znali pociągów. Wielu z nich pomagało przy układaniu świeżo odlanych torów, ale pierwsza lokomotywa parowa była jeszcze w budowie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Krytycy filmowi nieraz twierdzili, że geniusz Bustera Keatona jest ponadczasowy. Teraz, w tym nowym świecie, tamte teorie okazały się ponad wszelką wątpliwość prawdziwe.

Podczas gdy Keaton zmagał się z opornym działem, Mikę i Rebeka wspólnie z Edem, Melissą i Gregiem rozstrzygali zupełnie inny problem.

- Może jednak lepiej będzie dać Simpsonowi to, czego żąda - utrzymywał Ferrara. - Od miesiący kwiczy coś o Mike'u i jego, jak on to ujął, „rządach tyranii wojskowej”. Dajmy mu więc tę godzinę „wolnej wypowiedzi”.

Mikę potarł niepewnie podbródek, jednak Rebeka była jak ze stali.

- To kompletna bzdura! Michael został jednogłośnie wybrany. Jeśli pozwolimy Simpsonowi, żeby mianował się liderem oficjalnej opozycji - kto tego człowieka w ogóle wybrał? - będziemy musieli dawać czas na wypowiedź w telewizji każdemu, kto tylko ma jakieś żale.

To nie będzie demokracja, tylko anarchia.
Piazza natychmiast ją poparł.

- Ona ma rację. Poza tym już ustaliliśmy, że konwencja konstytucyjna odbędzie się w zimie. Wtedy będą nowe wybory. Jeśli Simpson i jego stadko chcą się ubiegać o stołek, niech to

robią we właściwym czasie. Póki co może sobie co najwyżej pozzrzedzić.

- Wielu ludzi go popiera - odparł Ferrara.

- Daj spokój, Greg! - parsknęła Melissa. - Wcale nie tak wielu. Trzystu, może czterystu na całe trzy tysiące. I to samych Amerykanów. Jak myślisz, ilu Niemców zagłosuje na niego? Góra pięciu!

246

Erie Flint

- W następnych wyborach Niemcy nie wezmą udziału - zauważył Ferrara. - Już uzgodniliśmy, że nie możemy zmieniać prawa wyborczego, dopóki konwencja nie postanowi inaczej.

Mikę pokiwał głową.

- To nieistotne. Nawet jeśli miałby większe poparcie niż ma teraz, to i tak jest tylko zwykłym obywatelem. Przyjdą wybory, to może wysunąć swojáką-dydaturę, jeśli chce, i wtedy będzie miał taki sam czas antenowy, jak każdy inny kandydat. Ale Becky ma rację, jeśli mu teraz ulegniemy, to będzie tak, jakbyśmy akceptowali szantaż polityczny. Zasady to zasady.

- W porządku, nie będę się już upierał - przyznał niechętnie Ferrara i spojrzał sceptycznie na Melisę. - Ale zobaczysz, co się stanie, jak Mikę ogłosi główne założenia swojego programu politycznego. Powszechne prawo wyborcze po trzech miesiącach stałego pobytu dla każdego obywatela, który ukończył osiemnaście lat.

Mikę uśmiechnął się.

- Dokładnie tak. Ponadto koniec z prawnym bełkotem. Żadnych podatków wyborczych, żadnych testów na umiejętność czytania i pisania, żadnych wymagań językowych, nic.

Mieszkaś tu przez trzy miesiące, masz osiemnaście lat i chcesz złożyć przysięgę wierności - możesz głosować.

- Będzie z tego gnój, zobaczycie - obwieścił Ferrara z ponurym wyrazem twarzy. - Obecnie Simpson ma za sobą garstkę staruszków i mięczaków, ale jak tylko Mikę ogłosi swoją

decyzję, każdy oszołom w mieście pójdzie za Simpsonem. I chyba nie myślicie, że będzie ich niewielu. Zaczynicie może od tych buraków przesiadujących w „Klubie 250”.

- Gnoje - syknęła Melissa. - Takich sukinsynów powinno się uwiązywać na pastwisku.

Piazza zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

Teraz z kolei Mike się skrzywił.

- Właściciel, Ken Beasley, w zeszłym tygodniu wywiesił nad barem tabliczkę: „Psom i Niemcom wstęp wzbroniony”.

Edowi opadła szczęka. Mike zaśmiał się sucho.

- Jak pierwszy raz o tym usłyszałem, chwyciłem jakieś robocze rękawice i już chciałem tam pójść poszukać sparingpartnerów, ale Becky mnie powstrzymała.

- Baaardzo mądrze - prychnęła Rebeka. - Równie mądry był pomysł Dana Frosta, żeby zamknąć lokal za naruszenie kodeksu budowlanego. Zajęło mi godzinę, zanim mu to wyperswadowałam. - Spojrzała z wyrzutem na narzeczonego i dźgnęła go palcem między żebra. - Zwłaszcza że ten tutaj bez przerwy go podpuszczał.

- Czemu go powstrzymałaś? - zapytał Ferrara. - Ta spelunka pewnie łamie tysiące przepisów.

Ifł

Mike pokręcił głową.

- Nie, Becky miała rację. To by było potworne nadużycie władzy. Tak jakbyśmy sami nie złamali kilku przepisów budowlanych, wznosząc te wszystkie nowe budynki. A poza tym Rebeka wpadła na lepszy pomysł.

Melissa uniosła głowę, ciekawa usłyszeć wyjaśnienie. Na ustach Rebeki pojawił się anielski uśmiech.

- Rozmawiałam z Williem Rayem - on jest właścicielem terenu po drugiej stronie drogi, naprzeciwko „Klubu 250” - a także ze współnikami, którzy założyli „Ogrody Turyńskie”. Zwróciłam im uwagę na fakt, że zanim nadejdzie zima, powinni postarać się o stałe lokum.

Tak więc...

Mike uśmiechnął się.

- Tak więc Willie Ray stał się nowym współnikiem i od przyszłego tygodnia rusza robota. Dokładnie po drugiej stronie ulicy powstanie wspaniała, olbrzymia gospoda w stylu niemieckim. Frank i ja chcemy poruszyć tę kwestię na najbliższym posiedzeniu. Chcemy, aby górnicy zaakceptowali nowe i ulepszone „Ogrody Turyńskie” jako swoją nieoficjalną knajpę. Wspólnicy już się zgodzili, żebyśmy powiesili na ścianie gospody wielką tablicę z odpowiednim fragmentem Statutu ASG - tym, który został dołączony w XIX wieku i który zakazuje dyskryminacji rasowej.

Melissa wybuchła śmiechem.

- To by było ekstra! Buraki siedzą sobie w tej swojej norze, a tymczasem po drugiej stronie ulicy największa w mieście gospoda robi świetny interes.

Ferrara i Piazza też wyszczerzyli zęby.

- Na pewno nie podskoczą- powiedział Ferrara. - Nawet te bandziory na motorach nie są na tyle szurnięte, żeby zadzierać z ASG.

- A na kiedy planują otwarcie? - zapytał Ed. - Zrobię wszystko, żeby zabrać całą rodzinę na wieczór otwarcia. Nawet jeśli - tak jak w tym przypadku - będą tylko stojące miejsca.

Rozmowę przerwała im Janice Ambler.

- Becky! - syknęła. - Musisz zacząć się przygotowywać do przedstawienia wiadomości.

Zdumiona Rebeka zerknęła na wiszący na ścianie zegar.

- Ale przecież to dopiero za...

Ale Janet nie dała się zbić z tropu. Chwyciła Rebeke za ramię i zaczęła odciągać ją od reszty towarzystwa.

- Musimy przeciwżyć - znów syknęła. - Musisz się nauczyć trzymać scenariusza.

- Ale po co? - spytała Rebeka. Potem coś jeszcze dodała, ale była zbyt daleko, żeby reszta mogła to usłyszeć.

Ed uśmiechnął się z politowaniem.

- Biedna Janet, czeka ją teraz niezła przeprawa.

Erie Flint Zuch dziewczyna - mruknął z uśmiechem Mikę.

Po powrocie na antenę Rebeka trzymała się scenariusza przez nie więcej niż trzy minuty.

Potem, marszcząc brwi, odłożyła na bok kartki papieru i splotła dłonie. Wpatrując się intensywnie w obiektyw, powiedziała:

- Powrócę nieco później do tych wszystkich wiadomości odnośnie do planów produkcyjnych. Sens jest taki, że wszystko idzie po naszej myśli, może poza nową fabryką lodów, ale chyba wszyscy możemy się zgodzić, że jest to nieco błahy problem.

Na widowni dał się słyszeć syk. Janet jęknęła.

- No, może nie aż tak błahy - przyznała Rebeka - ale z całą pewnością nie tak istotny jak wiadomości z frontu.

Widownia zamilkła. Rebeka przerwała na moment, żeby przejrzeć notatki.

- Wszyscy wiemy, że przez ostatnich kilka tygodni oddziały Tilly 'ego opuszczały Turyngię. Zwiadowcy Mackaya donoszą, że placówka w Weimarze również opustoszała co najmniej dwa dni temu. Mackay otrzymał też nowe wieści od gońca wysłanego przez króla Gustawa. Patrzyła prosto w kamerę.

- Zbliża się wielka bitwa, gdzieś w okolicach Lipska. Tilly gromadzi wszystkie siły, żeby zmierzyć się z Gustawem Adolfem na otwartym polu.

Spojrzała w bok, jak zbierając myśli. Gdy znów odwróciła się w stronę kamery, jej twarz wyrażała powagę i skupienie.

- Jak wszyscy wiecie, jestem Żydówką. Większość naszych obywateli to chrześcijanie, w szczególności katolicy, ale nie przypuszczam, że ktokolwiek z nas mógłby ze względów religijnych opowiadać się w tej nadchodzącej bitwie za którąkolwiek ze stron. To nie jest ważne, czy protestancka Szwecja pokona katolicką Austrię i Bawarię, czy też stanie się na odwrót. Ważna jest nasza własna wolność i swobody obywatelskie.

Przerwała na dłuższą chwilę.

- Wiem, że nie powinnam komentować przekazywanych wiadomości, ale wydaje mi się to nieco głupie, bo nie znam nikogo, kto nie miałby opinii na większość poruszanych tematów. Ale oczywiście dostosuję się do życzeń ludzi z telewizji. Tak czy inaczej...

Rozległ się kolejny jęk Janet. Widzowie w calutkim Grantville tkwili w absolutnej ciszy.

- Ja będę się dziś modlić za króla Szwecji. W tej nadchodzącej bitwie Gustaw II Adolf walczy o naszą przyszłość. Naszą, naszych dzieci, naszych wnuków, naszych prawników i naszych praprawników.

- Amen - wyszeptał Mikę.

Częst trzttm

Na kowadle - czyj chwyt twardy Śmiał ujarzmić twój gniew hardy?

IUztóai 34

Przez wiele stuleci Gustaw II Adolf był nazywany ojcem nowoczesnej wojny. Później jednak zaczęto kwestionować zasadność tego miana.

Jeśli bowiem komukolwiek należał się ten tytuł, to Maurycemu Orańskiemu³⁷, ponieważ Gustaw Adolf przejął nowoczesny system dowodzenia armią od Holendrów. On tylko udoskonalił pomysł Maurycego walki w rozciągniętej linii zamiast w czworoboku i przeniósł go na swoich arkebuzerów. Prawdą jest również to, że znacznie zwiększył rolę artylerii, ale i na tym polu nie obyło się bez mitów. Mówiono o słynnych „skórzanych działach”, nie zdając sobie sprawy z tego, że nie zdały egzaminu w bitwach. Broń miała tendencje to przegrzewania się i pęknięcia, więc Gustaw nawet nie myślał o zabranii jej do Niemiec.

Niektórzy utrzymywali, że największym osiągnięciem Gustawa było stworzenie pierwszej narodowej armii w nowożytnym świecie; szwedzkie wojsko miało się składać z cywilnych poborowych, a nie najemników. I znowu to stwierdzenie było bezpodstawne, ponieważ taka armia została zapoczątkowana przez wuja Gustawa Adolfa, Eryka XIV. Poza tym po jakimś czasie armia Gustawa zaczęła polegać na najemnikach (zwanym przez Szwedów *varvade*) prawie w takim samym stopniu, jak armie jego przeciwników. Szwecja, która była słabo zaludniona, nie mogła dostarczyć Gustawowi potrzebnej liczby poborowych żołnierzy. Takich mitów było znacznie więcej...

Wprowadził do użycia lekki muszkiet, co pozwoliło zrezygnować z niewygodnych widełek zwanych *forkietem*. Ale przecież wtedy już wiele innych

252

Erie Flint

europejskich armii używało lekkich muszkietów, a w Szwecji jeszcze w 1645 roku wydawano żołnierzom *forkiety*.

Zapoczątkował użycie ładownic zamiast pasów na naboje. To znów przesada, gdyż arsenał w Sztokholmie wydawał pasy na naboje przynajmniej do 1670 roku.

Wprowadził mundury. Nieprawda, mundury były wtedy używane już w całej Europie, a prawdę mówiąc, oddziały szwedzkie były odziane najgorzej ze wszystkich armii.

Skrócił pikę do długości 330 cm, sprawiając, że łatwiej było nią manewrować podczas bitwy. To nieprawdziwe, a nawet niemądre stwierdzenie. Jaki pożytek ma żołnierz piechoty z krótkiej piki? Plotka ta wynika z błędu pewnego duchownego, który pomylił pikę z partyzaną³⁸.

W ten oto sposób pojawiał się mit za mitem. Wydawało się, że Gustaw Adolf przyciąga je jak magnes. Za każdą kolejną obaloną plotką pojawiały się dwie nowe.

Przywrócił do łask działanie zaskoczenia. Zastąpił mało efektywny *kara-koP9* pełnym impetu atakiem szablami. Jest w tym ziarno prawdy, ale tylko ziarno. W tym czasie wiele niemieckich armii zrezygnowało już z takich manewrów, a Gustaw poznał wartość ataku zaskoczenia dzięki starciom z zawziętą polską husarią w latach dwudziestych XVI wieku. Szwecja nigdy nie słynęła z kawalerii; trzeba było wielu lat, aby stworzyć z niej liczącą się siłę Gustaw, tak samo jak inni szwedzcy królowie przed nim, musiał wspierać się półdziką fińską kawalerią. Nawet konie Szwedów były niewielkie i masywnie zbudowane. Aż do bitwy pod Breitenfeld Tilly mógł szydzić, porównując kawalerię Gustawa do swoich chłopców na posyłki.

Aż do bitwy pod Breitenfeld...

* * *

Oczywiście potem Tilly nie mógł się już przechwalać. W zasięgu Gustawa było teraz całe środkowe Cesarstwo Niemieckie, a wraz z nim wspaniałe niemieckie konie. Niedługo później szwedzka kawaleria była już porównywalna z kawaleriami innych krajów.

Breitenfeld.

Wszystkie opowieści o tym miejscu na północ od Lipska krążyły wokół dnia 17 września 1631 roku.

Mity tworzone i potem obalano, na ich miejsce powstawały nowe i znowu je obalano, ale to nie miało najmniejszego znaczenia.

Czy po bitwie pod Breitenfeld ktoś mógł nie dać wiary mitom?

W tamtych czasach bitwy takie jak pod Breitenfeld należały do rzadkości. Zażarte boje między ogromnymi armiami na otwartej przestrzeni były reliktem przeszłości. Już od ponad wieku działania wojenne były zdominowane przez

tak zwany *tracę italieńską* - nowy system umocnień, rozwinięty we Włoszech i udoskonalony przez Holendrów w bojach z Hiszpanią. W wojnie chodziło teraz o długie kampanie i oblężenia, a nie o bitwy. Siła narodów była mierzona ich bogactwem, a nie wypisanymi na sztandarach zwycięstwami. Liczyła się wojna pozycyjna, a nie manewry, i bardziej chodziło o

wyczerpanie skarbców niż żołnierzy. Życie miało niewielką wartość, to o kruszec trzeba było walczyć. W rzadkich przypadkach, kiedy armie potykały się jednak na otwartej przestrzeni, losy bitwy zależały od tercios, w których oddziały pikinierów łączono z formacjami arkebuzerów. Generałowie „dowodzili” armiami tylko w takim zakresie, w jakim faraonowie kierowali blokami skalnymi przy budowie piramid.

Bitwa odbyła się tylko dlatego, że Tilly popełnił kardynalny błąd strategiczny, który wynikał prawdopodobnie z nadmiernej pewności siebie po siedemdziesięciu latach życia bez porażki. Tak się złożyło, że od 4 lipca 1630 roku, kiedy to Gustaw Adolf przybył do Cesarstwa, największym atutem Tilly'ego było niezdecydowanie protestanckich sprzymierzeńców Szwecji, szczególnie Saksonii, najpotężniejszego protestanckiego księstwa Cesarstwa. Elektor saski Jan Jerzy z niewiadomych powodów - głupoty, tchórzostwa czy też ciągłych pijackich eskapad - nigdy nie był w stanie podjąć decyzji. Mówiono o nim Książę i Tak, i Nie. Rycerz Wątpliwości i Wahania. Hamlet bez tragicznego dostojęstwa, a już na pewno bez krzty rozumu.

Jan Jerzy był jednym z książąt, którzy poprosili Gustawa o interwencję, a gdy ta już nastąpiła, jako pierwszy zgłaszał pretensje. Historia potępia Tilly'ego za rzeź w Magdeburgu, ale prawdziwym winnym jest właśnie Elektor Niezdecydowany, który sam był gdzie indziej, a mimo to nie pozwolił nikomu innemu pomóc miastu. Kiedy żołnierze Tilly'ego wpadli w szal, wódz osobiście wjechał do miasta z zamiarem ich powstrzymania. Nie udało mu się, ale przynajmniej próbował. A kiedy już nic nie można było zrobić, Tilly, stary żołnierz, wyszarpnął niemowlę z ramion martwej matki i ukrył je we własnym namiocie. Jan Jerzy natomiast, bezpieczny w swoim pałacu w Dreźnie, nie oszczędzał nawet resztek ze swojego kufła - wylewał je na głowę służącego, kiedy miał ochotę na kolejne piwo.

Tilly powinien był zostawić Gustawa Adolfa w spokoju. Dopóki Saksonia zagradzała drogę, był bezpiecznie izolowany na Pomorzu i w Meklemburgii. Niechby Lew Północy grasował po wybrzeżach Bałtyku, z dala od żywych równin w sercu Cesarstwa.

Ale Tilly stał się zbyt zuchwały, a być może czuł się urażony ciągłym drwinami cesarskich dworzan. Kimże jest ten o połowę młodszy szwedzki parweniusz, żeby rzucać cień na jego reputację?

254

Erie Flint

Kiedy więc cesarz Ferdynand zdecydował (w końcu!), że czas wyegzekwować w Saksonii edykt restytucyjny, Tilly był bardzo pomocny. Wycofał swoje wojska z Turyngii i Hesji-Kassel i ruszył na Saksonię. Jak zwykle jego żołnierze łupili, a następnie niszczyli wszystko, co napotkali na swej drodze. Kiedy 4 września jego armia dotarła do miasta Halle, pozostawiła za sobą szczątki dwustu spalonych wsi.

Tilly podążał dalej. W pobliżu Merseburga jego wojska rozbiły obóz i zaczęły pustoszyć okolicę. Tilly posłał Jerzemu swoje żądania: elektor saski ma zapewnić armii cesarskiej zakwaterowanie i wyżywienie, rozwiązać nowo utworzone oddziały, a stare oddać pod komendę Tilly'ego, uznać oficjalnie cesarza za swojego suwerena i zerwać wszelkie więzi ze Szwecją.

Nawet w takiej sytuacji Jan Jerzy się wahał. Tilly wykonał kolejny ruch, zdobywając bogaty Lipsk i grożąc, że spotka go taki sam los, jaki spotkał Magdeburg.

Utrata Lipska w końcu przekonała Jana Jerzego, że nie ma wyboru. Zaproponował przyłączenie swych wojsk do armii Gustawa Adolfa, a ten bez wahania przyjął ofertę. Armia szwedzka połączyła się z siłami saskimi 15 września, w pobliżu miasta Diiben, a następnego dnia siły szwedzko-saskie ruszyły do osady Wolkau. Między nimi a Lipskiem była jedynie rozległa, pozbawiona drzew równina - wymarzony teren na bitwę.

Rankiem 17 września, jeszcze przed przybyciem sił nieprzyjaciela, Tilly powiodł swoją armię na wcześniej upatrzoną pozycję. Jego lewa flanką znajdowała się w okolicach miasta

Breitenfeld, prawa - Seehausen. Ustawienie było wyśmienite: armia zajęła jedyne wzniesienie w okolicy, a poza tym stała tyłem do słońca i wiatru.

Liczebność armii Tilly'ego nie jest znana; prawdopodobnie było od 32 do 40 tysięcy żołnierzy, z czego jedną czwartą stanowiła kawaleria. Piechota była zebrana w centrum i ustawiona w siedemnaście tercios, zwanych przez ludzi Tilly'ego „bataliami”. Każda taka formacja liczyła od 500 do 2000 żołnierzy. Kawaleria stała na flankach. Po lewej byli słynni Czarni Kirasjerzy Pappenhe-ima; to oni przełamali obronę Magdeburga i rozpoczęli rzeź miasta. Po prawej, pod komendą Fiirstenburga, ustawiona była kawaleria przybyła z Włoch. Nieco później tego ranka pojawili się Szwedzi wraz z Sasami, po czym oni również zajęli pozycje. Szwedzi byli ustawieni po prawej i w środku, natomiast Sasi po lewej. Sasi na wschód od drogi do Diiben, Szwedzi na zachód.

Podobnie jak Tilly, Gustaw zgromadził piechotę pośrodku. Prawym skrzydłem, składającym się w głównej mierze z kawalerii, dowodził marszałek polny Baner, lewe skrzydło - również kawaleria - było pod dowództwem marszałka polnego Horna. Rdzeń artylerii Gustawa, pod dowództwem młodego Torstenssona, był pośrodku, po jego lewej stronie. Jednak w

przeciwieństwie

do Tilly'ego, Gustaw Adolf przeplótł jednostki piechoty kawalerią. Określenie „szyki mieszane” jeszcze nie weszło do słownictwa wojskowego, lecz król Szwecji już wtedy rozumiał ich siłę.

Nie ma dokładnych danych dotyczących formacji saskich; wiadomo jedynie, że były „po lewej”, ale i to nie na długo.

* * *

Wydaje się, że protestancyjscy sojusznicy mieli nieznaczną przewagę liczebną, a z całą pewnością mieli lepszą artylerię, ale to w najmniejszym stopniu nie zbiło z tropu ich katolickich przeciwników. Ludziom Tilly'ego wystarczyło jedno spojrzenie na drugi kraniec pola, żeby upewnić się co do zwycięstwa.

Oddziały saskie, które stanowiły dobrze ponad jedną trzecią sił przeciwnika, tworzył niezdiscyplinowany i nie sprawdzony w walce motłoch. Jan Jerzy był na lewej flance, w otoczeniu arystokratów odzianych w krzykliwe szale i peleryny, skąd dowodził saską kawalerią. Ta świeżo wyposażona konnica pięknie się prezentowała w błyszczących zbrojach i nowych mundurach, ale weterani Tilly'ego wcale nie byli pod wrażeniem. Owca przed strzyżeniem też pięknie wygląda.

Szwedzi przedstawiali zupełnie inny widok, który - niesłusznie - wywarł na żołnierzach Tilly'ego równie małe wrażenie. Co prawda stali w idealnym szyku, jednak...

„Cóż to za banda obszarpanych włóczędów!”.

Naoczni świadkowie bitwy zgadzali się co do tego. Jak to ujął po bitwie jeden ze szkockich oficerów, Szwedzi „w swoich brudnych, zakurzonych szmatach wyglądali jak kuchenne sługusy”. Obserwator szwedzki powiedział praktycznie to samo, porównując wygląd armii Gustawa i Tilly'ego:

Nasi żołnierze byli brudni i obdarci i rażąco kontrastowali z bogato odzianymi i przyozdobionymi żołnierzami cesarskimi. Nasze szwedzkie i fińskie szkapy wyglądały bardzo mizernie przy wspaniałych niemieckich rumakach bojowych. A prości żołnierze z pospólstwa nie mogli się równać w walce z wąsatymi weteranami o orlich nosach z armii Tilly'ego.

Armia Tilly'ego służyła pod jego dowództwem od lat, nie zaznawszy smaku porażki. W rzeczywistości ci „wąsaci weterani o orlich nosach” mieli w swych szeregach wielu nowicjuszy. Liczba dezercji w tamtych czasach była zatrzważająca, ale ze względu na kompletny chaos, w którym pogrążona była środkowa Europa, dezercerzy czasem przyłączali się do innych armii, a czasami nawet wracali do tej, którą opuścili. Nie było wtedy jeszcze tyłu formalności i ograniczeń, które zaczęły później obowiązywać w armiach różnych państw.

Po wstąpieniu do tej wielkiej armii nawet największy żółtodziób chłonał atmosferę tajemniczości i chwałę minionych dziejów. I nawet jeśli nie miał wąsów i orlego nosa i nie był weteranem, zachowywał się tak, jakby nim był. W związku z tym nie było niczego bardziej onieśmielającego niż stanąć w bitwie przeciwko „ludziom Tilly'ego”. Obraz ten mógł być odrobinę przerysowany, ale tak go wyryto na granitowych kartach historii.

Żołnierze katoliccy zaczęli wiązać na nakryciach głowy białe chusty. Kiedy stary generał, który liczył wtedy równo siedemdziesiąt dwa lata, ruszył wzdłuż szeregów swych wojsk na znanym wszystkim białym rumaku bojowym, rozległy się okrzyki: Ojciec Tilly! Towarzyszył im okrzyk bitewny cesarstwa: Jesu-Maria!

Gustaw Adolf również dodawał otuchy swoim żołnierzom. Był świetnym mówcą- według wielu najlepszym w Szwecji - dlatego wszyscy jego ludzie witali go z entuzjazmem. Był najbardziej zuchwałą postacią swoich czasów. Żaden władca od czasów Aleksandra Wielkiego nie wykazywał się w bitwie taką odwagą, czasem aż graniczącą z lekkomyślnością. Już przed bitwą w Breitenfeld jego potężne ciało poznaczone było wieloma bliznami. Nie nosił zbroi, gdyż w jego karku ciągle tkwiła kula, którą trafił go cztery lata wcześniej polski żołnierz w bitwie pod Tczewem, i każda zbroja drażniła tę ranę, więc król ruszał do walki chroniony tylko przez skórzany kaftan oraz wiarę w swojego Boga.

W trakcie przemowy Gustawa oddziały szwedzkie przymocowywały do hełmów i innych nakryć głów zielone gałązki. Potem zagrzmiał ich okrzyk bojowy: Gott mit uns! Gott mit uns! Bitwa pod Breitenfeld zaczęła się w południe. Przez pierwsze dwie i pół godziny trwała tylko wymiana ognia; Tilly i Gustaw próbowali się nawzajem wybadać.

Z czasem stało się jasne, że szwedzka artyleria znacznie przewyższa artylerię przeciwnika. Król Szwecji miał lepszą broń i lepiej wyszkolonych strzelców, a co najważniejsze, miał jako dowodzącego Torstenssona. Po wejściu w swój rytm szwedzka artyleria odpowiadała na każdy pojedynczy wystrzał dział cesarskich trzema salwami.

Jak zwykle nierozważny i porywczy Pappenheim przerwał impas i powiodł swoich Czarnych Kirasjerów do pierwszego tego dnia ataku. Nie czekając na komendę Tilly'ego, dowódca lewego skrzydła poprowadził pełną impetu szarżę na prawe skrzydło wojsk szwedzkich. Była to głupota - zanim zdążył przebyć sto metrów, Tilly przeklął go, krzycząc: „Pozbawili mnie honoru i chwały!” i załamując z rozpaczony ręce.

Pappenheim miał zamiar podejść Szwedów i zaatakować ich flankę, ale jego szwedzki odpowiednik, marszałek polny Baner, był na to przygotowany.

Mieszane szyki armii Gustawa spisywały się świetnie i w obronie, i w natarciu. Kirasjerzy Pappenheima byli powstrzymywani salwami oddawanymi przez piechotę, podczas gdy szwedzka i fińska kawaleria Banera rozpoczęła nękające przeciwnika wypady.

Ignorując wszelkie rozkazy odwrotu, Pappenheim siedmiokrotnie atakował Szwedów i za każdym razem jego atak był odparty. Wreszcie Baner przeprowadził zmasowane natarcie i zepchnął z pola walki kirasjerów, którzy zaczęli bezładnie uciekać w kierunku Halle. Baner chciał ich ścigać, lecz Gustaw Adolf nakazał mu odwrót.

* * *

Król był ostrożny. Lewa flanką była zagrożona, ponieważ Tilly widząc, że Pappenheim jest w tarapatkach po prawej stronie, zaatakował lewe skrzydło. Na tej flance jego siły poradziły sobie znacznie lepiej. Sasi imponowali wyglądem, ale nie mieli tego, co czyniło ze Szwedów dobrych żołnierzy, a mianowicie doświadczenia zdobytego w walkach o panowanie nad Bałtykiem, toczonych głównie z Polską. Pierwsza szarża cesarskiej kawalerii obróciła Sasów w perzynę.

Potwierdzając plotki dotyczące jego osoby, elektor czmychnął jako jeden z pierwszych. Prerażony Jan Jerzy i jego wspianiała arystokratyczna eskorta opuścili galopem pole walki, zostawiając za sobą własną armię, która niedługo potem również rozpoczęła odwrót. Pół

godziny zajęło cesarskiej kawalerii doprowadzenie do tego, że cała saska armia uciekła w popłochu.

Szwedzka lewa flanką była teraz zupełnie odsłonięta i cesarska kawaleria skierowała się ku niej. Katastrofa wydawała się nieuchronna. Widząc, co się stało z Sasami, szwedzcy markietani⁴⁰ rzucili się w przerażeniu do ucieczki w kierunku bezpiecznego Eilenburga. Okiem weterana Tilly zobaczył nadchodzące zwycięstwo i nakazał całej swojej armii przypuścić frontalny atak na osłabionych Szwedów. Masywne jak lodowiec i równie trudne do powstrzymania tercios ruszyły do przodu, kierując główne uderzenie na lewą flankę przeciwnika.

To tam. To wtedy. To w tamtym momencie.

Stało się to, wokół czego dekada za dekadą, wiek za wiekiem krążyły legendy.

Gustaw Adolf raczej nie może być nazwany ojcem nowoczesnej sztuki wojennej, ale prawdopodobnie można go nazwać ojcem nowoczesnego świata, ponieważ to właśnie wtedy, kiedy Sasi zostali rozbici i wydawało się bardzo prawdopodobne, że inkwizycja zatriumfuje w Europie, król Szwecji nie dał się pokonać.

Zadecydowała nie taktyka, formacja, artyleria czy metody werbunku, choć trzeba przyznać, że wszystkie te składniki odegrały dużą rolę w tym, co się

258

Erie Flint

stało. W tamtym momencie historia kręciła się wokół jednego człowieka. Nazywał się Gustaw Adolf i udowodnił, że ludzie, którzy uważali go za jedyne w Europie człowieka godnego miana monarchy, mieli rację. Był to jeden z tych nielicznych momentów w historii, kiedy królewska godność nie była kłamstwem.

Dwieście lat później wzniesiono na tamtym polu pomnik. Po wielu latach długich i zaciętych debat zapanowała zgoda co do znaczenia Breitenfeld. Na pomniku wykuto zdanie „WOLNOŚĆ WYZNANIA DLA CAŁEGO ŚWIATA”.

Od tego czasu Gustaw zawsze był kojarzony z Breitenfeld, bez względu na inne jego zasługi. Przez wieki widziano go stojącego na tamtym polu, tak jak wtedy, 17 września 1631 roku. Breitenfeld. Zawsze Breitenfeld.

ffijzbzml 35

- Psubraty! - warknął Bernard. Młodszy z książąt sasko-weimarskich piorunował wzrokiem Sasów uciekających w kierunku bezpiecznego Eilenburga. - Nędzni tchórze!

Potem skierował wzrok na tercios zbliżające się z ukosa do przerwanej flanki Szwedów. Zwrócił swoją bladą twarz w stronę Gustawa Adolfa.

- Możemy ich powstrzymać, Wasza Wysokość. Myślę, że przynajmniej tak długo, żeby zorganizować bezpieczny odwrót.

Jasnobłękitne oczy Gustawa tętniły życiem.

- Odwrót? - zapytał. - Czyś ty postradał zmysły? Król wskazał grubym palcem na lewą flankę.

- Bernardzie, gnaj tam najszybciej jak się da i powiedz Hornowi, żeby obrócił swe siły w lewo. Każ mu ustawić się prostopadle do naszych wojsk, ale prawy bok ma pozostać w centrum. Zrozumiałeś?

Bernard skinął głową. Chwilę później galopował już na swoim rumaku. Jego starszy brat chciał zrobić to samo, ale Gustaw go zatrzymał.

- Zostań ze mną, Wilhelmie. Król uśmiechnął się.

- Wystarczy, że twój porywczy brat będzie zamęczał Horna.

Gustaw obrócił się w siodle. Niewielka grupa gońców jak zwykle czekała nieopodal. Byli to głównie szwedzcy arystokraci, ale także dwóch Szkotów. Król zerwał z głowy kapelusze z szerokim rondem, przywołując ich w ten sposób do siebie. Ten ekstrawagancki gest nie był konieczny i wynikał tylko z jego świetnego nastroju. Król sprawiał wrażenie, jakby szykował się na bal, a nie na katastrofę.

260

Erie Flint

- Przekażcie pułkownikowi Hepburnowi - rzekł do Szkotów - żeby wsparł swoją brygadą marszałka Horna. Zrozumiano?

Brygady Hepburna i Vitzthuma tworzyły drugą linię centrum armii szwedzkiej oraz większą część jej rezerw. Było to więc logiczne, że król chciał ich teraz użyć do wsparcia zagrożonej lewej flanki.

Ledwie Szkoci zdążyli wyruszyć, a Gustaw już wydawał taki sam rozkaz dwóm kolejnym gońcom.

- Tak samo Fitzthum!

Tymczasem tercios Tilly'ego zaczęły się powoli zsuwać w dół łagodnego zbocza, na którym wcześniej ustawił ich katolicki generał. Mimo że nie było tutaj żadnych naturalnych przeszkód, cesarscy żołnierze posuwali się bardzo powoli.

Gustaw nie zaprzętał sobie nimi głowy. Był pewien, że piechota w centrum jego armii, wspierana działami Torstenssona, będzie mogła odeprzeć każdy bezpośredni atak. Tercios Habsburgów prawdopodobnie nawet nie ruszą do frontalnego natarcia. Prawdziwe niebezpieczeństwo kryło się po lewej i trzeba zrobić wszystko, aby wesprzeć Horna.

Gustaw zbadał uważnie prawą flankę. Przez chwilę w głębi ducha gratulował sobie, że powstrzymał Banera przed ściganiem rozbitej kawalerii Pappenheima. Pokusa była dla króla niemal tak samo ogromna, jak dla jego marszałka polnego, ale Gustaw słusznie nie ufał Sasom. Lepiej mieć Banera pod ręką, w razie gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Baner i jego ludzie stali więc w szeregu, gotowi do ataku. Król zdawał sobie sprawę, że ci kawalerzyści są jak natchnieni. Rozbili słynnych Czarnych Kirasjerów Pappenheima, czemu więc nie mieliby zrobić tego samego z resztą?

- Czemu nie? - spytał i uśmiechnął się szeroko do czterech gońców, którzy jeszcze przy nim pozostali.

- Czemu nie? - powtórzył i pomachał ochoczo kapeluszem.

Młodzi arystokraci odpowiedzieli uśmiechem. Jeden z nich wznosił własny kapelusz do salutu i wykrzyknął:

- Gott mit uns!

Stojący za nimi Anders Jónsson wyciągnął szablę na parę centymetrów z pochwy i wsunął ją z powrotem. To samo zrobił z czterema pistoletami umocowanymi w kaburach przy siodle. Wiedział, że broń wkrótce będzie potrzebna, i chciał mieć pewność, że ma do niej łatwy dostęp. Olbrzymi Jonsson był osobistym strażnikiem króla.

Tuzin Szkotów, którymi dowodził, postąpił tak samo. Znali Gustawa Adolfa. Król Szwecji zupełnie nie zważał na własne bezpieczeństwo. Niewiele było bitew, w których nie uczestniczył osobiście, kierując natarciem.

Ta bitwa na pewno nie będzie do takich należała.

- Przynajmniej jest odważny, nie tak jak ten przeklęty Stuart, król Anglii - powiedział jeden ze Szkotów ze straży przybocznej i splunął na ziemię. - Pieprzony papista.

- Racja! - zgodził się jego kompan.

Gustaw Adolf puścił konia galopem, a następnie cwałem. Wilhelm Sasko-Weimarski jechał tuż obok, a zaraz za nimi jego gońcy i straż przyboczna.

Gdy zaczęli się zbliżać do prawej flanki, zauważyli jadącego im na spotkanie Banera. Król tylko przez chwilę patrzył na marszałka polnego. Jego spojrzenie przykuła czekająca pod zielonymi sztandarami kawaleria. Byli to Västgöta41 Erika Soopa, ponad tysiąc jeźdźców z Västergötlandii, podzielonych na osiem kompanii. Gustaw miał o nich bardzo wysokie mniemanie. „Dokładnie o to chodzi!”.

Kiedy dotarł do Banera, wstrzymał konia i wykrzyknął radośnie:

- A teraz, Johannie, rozumiesz?! Marszałek polny skinął głową.

- Jak zwykle Wasza Wysokość miał rację.

- Ha! - wykrzyknął Gustaw. - Jaki skromny! To zupełnie do ciebie niepodobne!

Wola walki króla wydawała się przenosić na jego rumaka, który nerwowo tańczył, jakby niecierpliwie czekał na bitwę.

- Johannie, chcę, żebyś wziął Vastgóta. - Król wskazał lewą flankę Tilly'ego, która po ucieczce kirasjerów Pappenheima była odsłonięta. Tilly ruszył ukośnie w kierunku lewego skrzydła Szwedów, co nadwerżyło nieco szyk tercios. Te hiszpańskie kwadraty były przystosowane tylko do frontalnego ataku.

- Zamierzam zrobić Tilly'emu dokładnie to samo, co on mnie - wyjaśnił król. - Ha! - dorzucił z radością. - Z tym że mnie się to uda!

Baner zawahał się przez chwilę. Król zbyt ryzykuje. Byłoby bezpieczniej...

Gustaw potrząsnął głową, jakby czytał w jego myślach.

- Horn wytrzyma, Johannie, wytrzyma. Horn będzie kowadłem, a my- mło-

Baner nie dyskutował; ufał instynktowi swojego króla. Gustaw II Adolf był młody jak na generała - miał trzydzieści sześć lat - ale był znacznie bardziej doświadczony niż większość starszych żołnierzy. Już w wieku szesnastu lat zorganizował i poprowadził atak z zaskoczenia na duńską fortecę Borgholm. Zanim skończył dwadzieścia siedem lat, podbił Liwonię i Rygę i został weteranem wojen z Polską i Rosją.

Baner był tam z nim. Baner, Horn, Torstensson, Wrangel - to był trzon wspaniałego korpusu oficerskiego szwedzkiej armii. Razem z Axelem Oxen-stierną niedawno przybyłymi szkockimi fachowcami - Alexandrem Lesliem,

262

Erie Flint

Robertem Monro, Johnem Hepburnem i Jamesem Spense'em - stanowili najznakomitszy sztab na świecie. Takie przynajmniej było zdanie Banera. Król myślał podobnie.

- Damy radę, Johannie! - rzucił. - A teraz jedź!

Baner zawrócił konia i wykrzyczał rozkazy do swoich posłańców. Szwedzkie prawe skrzydło, które parę chwil wcześniej było ustawione równo w szyku, nagle wpadło w ten specyficzny zamęt, który poprzedza skoordynowane działanie. Dowódcy kompanii i ich podoficerowie krążyli wokół, wykrzykując własne - w większości zbędne - rozkazy. Szwedzka i fińska kawaleria składały się z weteranów, którzy chwilę później rozpoczęli swój własny rytuał przygotowań. Jeden zeskakiwał na ziemię, aby dopiąć popręg, drugi upewniał się, że szabla łatwo wychodzi z pochwy, inny zmieniał piryt zamocowany w szczękach kurka pistoletu, złorzecząc pod nosem. Przeklinano odporne konie i sprzęt albo niezdarnych towarzyszy i własną niezgrabność, a w większości przypadków paskudny los. Wielu - większość - poświęciło również chwilę na modlitwę.

To po prostu były ruchy Browna, jak zawsze na polu bitwy. Dostyc szybko logika i porządek zastąpiły chaos. W ciągu pięciu minut Baner i jego Vastgóta rozpoczęli atak.

W tym czasie król zbierał cięższe siły - cztery regimenty liczące około trzech tysięcy żołnierzy - które miały wzmocnić szturm.

Szwedzcy Smalandczycy i Óstgóta⁴² byli uzbrojeni w ciężkie zbroje kira-sjerów, które dziwnie kontrastowały z niewielkimi końmi, na których jechali. Dwa fińskie regimenty miały dużo lżejszą broń i zbroję oraz znacznie lepsze rosyjskie konie.

Finowie, stosownie do pochodzenia swoich wierzchowców, upodobali sobie wschodnioeuropejski styl walki kawaleryjskiej. Brak dyscypliny nadrabiali entuzjazmem. Już słysząc było ich okrzyk bojowy: Haakaa paalle!

„Wyciąć ich w pień!”

Gustaw miał dowodzić atakiem swych szwedzkich regimentów. Wstrzymał się na moment, aby sprawdzić stan bitwy na lewej flance, ale już niczego nie było widać. Świat zmienił się w mozaikę pyłu unoszącego się spod końskich kopyt i dymu kłębiącego się po wystrzałach.

Król słyszał jednak odgłosy bitwy i wyciągnięcie z nich wniosków zajęło mu zaledwie kilka chwil. Horn (zaczny, godny zaufania Horn!) utrzymywał Tilly'ego na dystans.

Gustaw wyciągnął szablę i wskazał nią naprzód.

- Gott mit uns! - ryknął. - Zwycięstwo!

Pierwszy atak cesarskiej kawalerii rozbił się o obronę Horna. Katolicka konnica była zdumiona szybkością, z jaką Szwedzi zajęli nowe pozycje. Spodziewali się raczej powolnych manewrów, typowych dla armii kontynentalnych.

A przecież można to było przewidzieć. W ciągu ostatnich dwudziestu lat niewielka armia Gustawa wykrwawiła Duńczyków, Polaków i Rosjan. Duńczycy mogli opowiedzieć o Borgholmie, Christianopel, Kalmarze, Vaxholmie - tych wszystkich miejscach, gdzie nastoletni król Szwecji ich pokonał. Rosjanie mogli opowiedzieć o Gdowie i Pskowie, a Polacy mogli odmówić całą litanię żalu: Ryga, Kokenhausen, Mitawa, Bowsk, Wallhof, Braniewo, Frombork, Tolkmicko, Elbląg, Malbork, Tczew, Mewę, Puck, Orneta, Gdańsk, Górzno oraz rzeka Nogat.

Ale wyniośli kirasjerzy Tilly'ego nawet nie zadali sobie trudu, aby się tym zainteresować. W większości pochodzili z południa Niemiec i byli opłacani przez Maksymiliana Bawarskiego. Obco brzmiące nazwy nadbałtyckich i słowiańskich pól bitewnych nic im nie mówiły. Przez te wszystkie lata Gustaw II Adolf przeżywał również porażki. Duńczycy pobili go pod Helsingborgiem, a Polacy pod Trzciana. Polacy i Duńczycy mogli ostrzec siły walczące pod sztandarem Habsburgów, że król Szwecji nie zraża się przeciwnościami i atakuje ze zdwojoną siłą, wykorzystując porażki jako szkołę życia.

Przed końcem dnia żołnierze Tilly'ego sami się o tym przekonali. Pełen buty Pappenheim, który teraz bezskutecznie próbował zebrać swoją kawalerię gdzieś na drodze do Halle, dostał bolesną nauczkę. Szkapę Szwedów rzeczywiście były żalosne, ale absolutnie nie można było powiedzieć tego samego o żołnierzach, którzy ich dosiadali, czy o osłaniającej ich piechocie. Czarni Kirasjerzy siedmiokrotnie atakowali Szwedów i za każdym razem atak odpierano, a kontrnatarcie zmuszało ich do odwrotu.

Potem na przeciwnej flance kawaleria cesarska po raz ósmy dostała szkołę. Pospieszna, żywiołowa szarża pewnych zwycięstwa żołnierzy (nie ma karakola!) rozbiła się jak fala o skałę. Spodziewali się armii zagubionej, zdezorganizowanej nagłym odwrotem Sasów, a tymczasem katolicy kirasjerzy napotkali zwartą i znakomicie ustawioną obronę. Horn zdołał nawet przejąć kontrolę nad rowami wzdłuż drogi do Duben i odpowiednio je wzmocnić. Szwedzkie arkebuzy ryczały, szwedzkie piki ani drgnęły. Kawaleria cesarska wycofała się. Odwrót nie spowodował jednak paniki. Tilly i jego ludzie święcili wiele triumfów od czasu, gdy odnieśli pierwsze ogromne zwycięstwo w wojnie trzydziestoletniej w bitwie pod Białą Górą. Armię tę słusznie można oskarżać o wiele zbrodni, ale nigdy o tchórzostwo.

Znów z wściekłością zaatakowali i znów zostali odepchnięci.

Tercios powoli się zbliżały. Widok ten zmobilizował kawalerzystów do kolejnego gwałtownego ataku. Zwycięstwo będzie należeć do nich, a nie do tych żalonych piechurów! Ale nic z tego.

264

Erie Flint

Wreszcie cesarscy kirasjerzy zrezygnowali z szabli i uciekli się do pistoletów z zamkiem kołowym. Stosowali karakol, strzelając z dystansu i wycofując się, aby ponownie załadować. Byli najemnikami i nie mogli sobie pozwolić na utratę koni, tak jak ludzie Pappenheima. Szwedzka taktyka polegała na celowaniu arkebuzami i pikami właśnie w konie. Gustaw Adolf był świadom tego, że szwedzkie kucyki nie mogą się równać z niemieckimi rumakami, trzeba więc było najpierw zabić rumaki.

Siedemnaście tercios zbliżało się powoli do szwedzkiej lewej flanki, odsuniętej o dziewięćdziesiąt stopni od swego pierwotnego położenia. Wyglądały jak lodowiec, powolny i nie dający się zatrzymać.

Jednak to również była iluzja. Lodowiec miał niedługo rozpaść się pod ostrzałem, z jakim jeszcze nigdy wcześniej się nie zetknął. Tego dnia na tym polu bitwy znajdowała się najwspanialsza na świecie artyleria, pod najznakomitszym dowództwem. Torstensson nie

potrzebował rozkazów; król nawet nie zaprzętał sobie głowy wysyłaniem gońca. Młody generał artylerii wiedział, co się święci, jak tylko zobaczył, że Gustaw posłał ludzi Hepburna i Vitzthuma dla wzmocnienia Horna. Król Szwecji był niezmiernie zuchwały na polu bitwy. Torstensson wiedział, że zbliża się kontratak i że jego zadaniem jest wcześniejsze zdruzgotanie tercios. Zdruzgotanie, rozproszenie, wykrwawienie. Był jak pikador na arenie, który ma osłabić bestię przed wejściem matadora.

- Obrócić armaty! - ryknął.

Potem jak zwykle popędził pieszo do przodu i tam przystanął. Zerwał z głowy kapelusz i zaczął nim wymachiwać.

- Obrócić armaty! - krzyknął i zaczął się krztusić. Tego lata brakowało deszczu i ziemia była przesuszona. Pył wznoszony kopytami tysięcy koni wdarł się do jego płuc. Wskazując kapeluszem, podkreślił swój rozkaz.

Sapiąc z wysiłku przy drewnianych kołkach do podnoszenia lufy, kanonie-rzy natychmiast zaczęli obracać działa polowe, aby skierować ogień flankowy na przechodzące przed nimi tercios.

W bateriach artyleryjskich były dwa rodzaje dział: dwunastofuntowe i trzy-funtowe „działka regimentowe”. Te ostatnie stanowiły większość. Były odlane z brązu i miały krótką, lekką lufę, która ułatwiała manewry w polu. Po kilku eksperymentach Szwedzi odkryli, że po zmniejszeniu ładunku prochu można tych dział używać ze zwiększoną częstotliwością. Były one zupełnie bezużyteczne przy oblężeniu, ale za to niesamowicie skuteczne na polu bitwy. Wykorzystując doświadczenia wojen szwedzko-polskich, Gustaw Adolf zabrał ze sobą do Niemiec tylko lekkie i cięższe działa polowe oraz 24-funtowe działa do ewentualnego oblężenia, pozbył się za to dział 48-funtowych, tradycyjnie używanych do niszczenia umocnień.

Trzyfuntówki strzelały w odstępach kilku minut. Dwunastofuntówki szybko do nich dołączyły. Zanim piechota Tilly'ego zbliżyła się do linii przeciwnika, sporo już ucierpiała od salw szwedzkiej artylerii.

Torstensson czuł, że bitwa osiąga krytyczny moment, rozkazał więc jeszcze bardziej zwiększyć ostrzał.

- Chcę wystrzałów co sześć minut! Nie rzadziej! - ryknął, chodząc nerwowo poza linią dział. Energia wprost w nim buzowała; dawał jej ujście, machając kapeluszem.

- Powieszę załogę, która nie da rady!

Jego ludzie wyszczerzyli w uśmiechu zęby. Na polu bitwy Torstensson zawsze rzucał mrozące krew w żyłach groźby, jednak nigdy ich nie wprowadzał w życie. Nie było takiej potrzeby, artylerzyści wpadli już w rytm i osiągnęli tempo wystrzału co sześć minut.

Takiego tempa nie dało się jednak utrzymać przez dłuższy czas, i to nie z powodu ludzi, ale dział, które strzelały już od trzech godzin. Każde z nich wypluło po trzydzieści pocisków, i po wystrzeleniu kolejnych dziesięciu w takim tempie działa staną się tak gorące, że będą musiały stać beczynnymi przynajmniej przez godzinę, zanim będzie można je znowu bezpiecznie używać.

- Do kroćset, niech się topią! - ryknął Torstensson i cisnął kapeluszem w kierunku tercios Tilly'ego. - Chcę, żeby te batalie zostały rozbite! W drobny mak!

Uśmiechy momentalnie znikły z twarzy kanonierów. Zdali sobie sprawę, że Torstensson mówi śmiertelnie poważnie. A więc działa będą strzelać bez względu na niebezpieczeństwo; jeśli któraś załoga ma zginąć od wybuchu działa, niech i tak będzie.

Pociski zaczęły siać spustoszenie wśród gęsto ustawionych formacji katolickich. Kanonierzy Torstenssona byli przecież najlepsi na świecie i dokładnie wiedzieli, czego chce ich dowódca.

- Koszący ostrzał! - Torstensson trzasnął jedną dłonią o drugą, jakby naśladował kamień odbijający się od powierzchni jeziora. - Tylko koszący ostrzał! Jak zobaczę dwie kule pod rząd wpadające w ziemię, powieszę załogę! Powieszę, rozumiecie?

Żołnierze zaśmiali się. To kolejna czcza groźba; prawie każdy wystrzał był bowiem taki, jakiego sobie życzył dowódca.

Tak zwany „koszący ostrzał” był bezskuteczny przeciw umocnieniom, ale za to bardzo efektywny na polu bitwy. Kule łądowały dziesiątki metrów przed celem i zamiast zapadać się w ziemię, odbijały się pod niewielkim kątem na wysokość tułowia człowieka. Odlane z żelaza pociski wbijały się w szeregi nieprzyjaciela jak kula ciśnięta przez gracza w kręgle.

Wystrzelona w ten sposób trzyfuntowa kula była w stanie zabić lub okaleczyć około tuzina żołnierzy, natomiast dwunastofuntowe pociski siały prawdziwe spustoszenie.

266

Erie Flint

Artyleria Torstenssona rozrywała tercios jak orka rozszarpująca mięso ogromnego wieloryba. Żołnierze z tylnych formacji brnęli przez kałuże krwi swoich towarzyszy, dodając do nich swoją własną krew. Śmierć bezlitośnie zbierała żniwo.

Nawet ludzie Tilly'ego nie mogli zlekceważyć takiego ostrzału. Odważni jak zwykle rekruci szli za przykładem weteranów, słuchali rozkazów i mozolnie poruszali się w kierunku narażonych sił szwedzkich. Jednak ich formacje stawały się coraz bardziej nierówne; pikinierzy często padali od broni swoich towarzyszy, którzy potykając się o leżące na ziemi ciała, tracili kontrolę nad potężnymi ostrzami.

Tilly zatrzymał konia niedaleko frontu posuwających się do przodu tercios i pobladły patrzył na rzeź.

- Boże w niebiosach - wymamrotał.

Wallenstein - ten niegodziwy Czech! - próbował go ostrzec przed szwedzką artylerią, tak samo jak z tuzin polskich oficerów w służbie Tilly'ego, ale on im nie wierzył.

- Boże w niebiosach - ponownie wymamrotał. Przez chwilę rozważał zmianę kierunku i atak na przekłete działa.

Zmienić kierunek...

Jednak momentalnie odrzucił ten pomysł. Jego batalie nie zmieniały - nie mogły zmieniać - kierunku, nie nadawały się do wykonywania takich manewrów.

- Zwycięstwo! - krzyknął. Miał siedemdziesiąt dwa lata i ani jeden dzień z tych siedemdziesięciu dwóch lat nie był świadkiem jego porażki.

- Naprzód! - ryknął stary generał i pokłusował z wyciągniętym mieczem ku lewej flance szwedzkiej.

- Naprzód! Zwycięstwo jest blisko!

Tercios jedno po drugim wykonywały jego rozkaz. Siedemnaście batalii wytrwale brnęło naprzód w jednej linii; żaden szereg, żaden rząd, żaden człowiek nie zawahał się przed wypełnieniem swojego obowiązku.

Torstensson rozrzucił ich wnętrzności po całej równinie. Nie szkodzi. Maszerowali już po wnętrznościach. Torstensson pomalował ziemię ich krwią. Nie szkodzi. Krwawili już wcześniej. Torstensson pokiereszował ich tak, jak nigdy wcześniej żadna artyleria. Nie szkodzi. Tilly nigdy ich nie zawiódł.

Wielu spośród nich było mordercami, wielu złodziejami i gwałcicielami. Ale żaden z nich nie był tchórzem.

Wreszcie znaleźli się naprzeciwko rozbitej szwedzkiej flanki. Jak ranny niedźwiedź zostawiający ślady krwi, tercios szykowały się do zmiżdżenia swojej ofiary.

Nareszcie!

- Ojciec Tilly! - ryknęli. - Jesu-Maria!

Wbrew ich oczekiwaniom szwedzka flanką wcale nie była rozbita. Już nie. Horn - godny zaufania Horn - przegrupował siły, zanim jeszcze dotarły do niego rozkazy króla. Jego wojska tworzyły teraz nowy, silny narożnik bitwy. Ciężka cesarska kawaleria już rozbiła się o bałtycką skałę, teraz atak tercios miał się skończyć tym samym.

Katoliccy pikinierzy dorównywali wrogowi, ale szwedzki król bardziej wierzył w siłę ognia niż w chłód stali. Przeanalizował metody Holendrów i przetestował je w Polsce i Rosji. Pod Breitenfeld Szwedzi mieli zatem większy odsetek arkebuzów niż pik. Co ważniejsze, Gustaw Adolf szkolił ich do walki w płytkich formacjach, tak jak to robili Holendrzy. Arkebuzerzy Tilly'ego byli rozmieszczeni dopiero od trzydziestego szeregu i dlatego większość arkebuzów nie mogła być użyta, natomiast arkebuzerzy Gustawa stali nie dalej niż w szóstym szeregu - w sam raz, aby ponownie załadować w czasie, gdy przednie szeregi strzelały.

Pikinierzy powstrzymywali tercios wystarczająco długo, aby szwedzki ogień mógł je zniszczyć. Ludzie Tilly'ego nie mogli nawet zbliżyć się do linii Szwedów, po prostu umierali, a w tym czasie król Szwecji przygotowywał ostatnie uderzenie.

Tercios nie mogli zmienić kierunku, ale Gustaw Adolf mógł. I tak zrobił.

y&azbzwł 3B

Król osobiście poprowadził atak w górę zbocza, kierując się na cesarskie działa.

- Gott mit uns! - ryknął, popędzając szablą swoich kawalerzystów. Jadący tuż za nim Anders Jónsson przewrócił ze złości oczami. Gustaw Adolf

miął przytroczone do siodła dwa pistolety z zamkami kołowymi, ale nigdy ich nie używał w walce. Utrzymywał, że to z powodu ich niedokładności, ale jego osobisty strażnik wiedział, że powodem niechęci do pistoletów jest krótkowzroczność króla. Jónsson uważał, że Gustaw nie potrafi nawet trafić kulą w płot. Anders spiął konia ostrogami i zbliżył się do króla.

- Wasza Wysokość - burknął - to ja mam ciebie chronić, a nie odwrotnie. Gustaw wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To znajdź sobie szybszego konia! - krzyknął i znów machnął szablą. -Gott mit uns!

Jadący za nimi Smalanczycy i Óstgóta powtórzyli okrzyk. W ślad za nim ze wszystkich stron, gdyż Finowie zakręcili już wokół wolniejszych Szwedów, rozległ się mrozący krew w żyłach inny okrzyk bojowy.

- Haakaa padlle!

Szarżująca kawaleria zbliżała się do niewielkiego wzniesienia, na którym rozlokowały się cesarskie baterie artyleryjskie. Tercios były bardzo wolne, ale ogromne działa były jeszcze wolniejsze. Rozkaz Tilly'ego, aby poruszać się po skosie, zupełnie zaskoczył artylerzystów. Nie zdążyli jeszcze uwiązać koni i wołów, kiedy Gustaw przypuścił szturm.

Katoliccy kanonierzy wpatrywali się z przerażeniem w tysiące szwedzkich i fińskich jeźdźców galopujących w ich stronę. Nie mieli żadnej ochrony poza niewielkim oddziałem pikinierów.

Jeden z kanonierów zaczął szybko wyprzegać konia, który ciągnął sześć-flintówkę.

- Co robisz? - spytał jego towarzysz.

- Wynoszę się stąd. Jeśliś mądry, lepiej zrób to samo. Ci Finowie to takie same bestie jak Chorwaci.

Jego towarzysz zbladł. Jako prosty ładowacz nigdy jeszcze nie zetknął się z Finami, ale wystarczająco dużo wiedział o Chorwatach. Stanowili oni znaczną część lekkiej kawalerii dynastii Habsburgów i słynęli w równym stopniu z okrucieństwa - uważali, że nie ma żadnego pożytku z jeńców -jak i z umiejętności jeździeckich.

Kanonier odwiązał już konia i niezgrabnie próbował się na niego wdrapać. Koń nie miał ani siodła, ani strzemion i trzeba było nim kierować za pomocą prostej uździenicy. Z dala słychać już było fiński okrzyk bojowy: Haakaa padlle!

- W razie gdybyś nie wiedział, to znaczy „wyciąć ich w pień” - burknął kanonier.

Wbił podeszwy w boki zaskoczonych koni; zwierzę zaczęło niezgrabnie kłusować. Chwilę później, bardziej z powodu strachu i wściekłości w głosie jeźdźcy niż od uderzenia piętami, koń szarpnął i zaczął galopować.

Jadący na oklep i bez strzemion kanonier został zrzucony na ziemię. Niedługo potem zginął, stratowany przez uciekającego szaleńczo konia jego towarzysza. Drugi żołnierz zdołał utrzymać się na koniu, ściskając kurczowo jego grzywę, ale i to nie na wiele się zdało. Koń, który nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś go dosiada, był tak przerażony i zdezorientowany, że najpierw zaczął galopować w kółko, a potem zaniósł ładowacza wprost ku grupce fińskich kawalerzystów. Haakaa paddle!

* * *

Większość cesarskich artylerzystów nie miała nawet szansy próbować uciekać konno. Sześcioletnich dział ciągniętych przez konie było niewiele, gdyż katolickie armie preferowały dwunastofuntowe i ogromne 24-funtowe działa, do których zaprzęgnięte były woły, więc kanonierzy uciekali bie-

Mimo reputacji dzikusów Finowie znajdujący się pod dowództwem Gustawa byli przyzwyczajeni do dyscypliny. Król nie patyczkował się z żołnierzami, którzy działali samowolnie, kiedy trzeba było wykonywać królewskie rozkazy.

- Zająć działa! - ryknął Gustaw.

Nie zważając na cesarskich artylerzystów i rozbiegających się na wszystkie strony ładowaczy, Finowie spadli na działa niczym jastrzębie. Kilka grup

270

Erie Flint

artylerzystów, którzy jeszcze próbowali stawiać opór, zostało w ciągu minuty lub dwóch wybitych. Zanim Gustaw Adolf i Szwedzi dotarli na miejsce, cała artyleria Tilly'ego została już przejęta.

Gustaw kłusował tam i z powrotem na swym rumaku. Schował już szablę i ponownie zaczął wymachiwać kapeluszem.

- Obrócić je! - wykrzyknął. Jego potężny głos jak zwykle doskonale się niósł. - Chcę, by te działa zostały skierowane na Tilly'ego! Teraz, rozumiecie? Natychmiast! Ruszać się, ruszać się, ruszać się!

Finowie zignorowali rozkazy, wiedząc, że nie są skierowane do nich. Podczas kiedy oni wyglądali kawalerii nieprzyjaciela, Smalandczycy i Óstgota zsiadli z koni. W pośpiechu pozbierali kołki do podnoszenia luf, porzucone przez uciekających cesarskich kanonierów, a potem zaczęli przesuwac potężne działa. W tym samym czasie inni kawalerzyści zaczęli je ładować.

Byli wolniejsi i mieli mniejszą wprawę niż ludzie Torstenssona, ale w przeciwieństwie do kawalerii innych armii, ludzie Gustawa zostali tak przeszkoleni, że w każdej chwili mogli zająć miejsce artylerii, a nawet piechoty. Szwedzka kawaleria, tak jak kawaleria innych państw, była zdominowana przez arystokratów, ale szwedzcy możni nie mieli w sobie kontynentalnej wyniosłości; została ona szybko zduszona w zarodku przez narzuconą im przez króla dyscyplinę.

W dość krótkim czasie ogromne działa zostały nakierowane na nowy cel. Gustaw nie czekał na wystrzelenie skoordynowanej salwy, tak jak to miała w zwyczaju wyszkolona artyleria Torstenssona. Każde działo strzelało tak szybko, jak tylko było to możliwe.

Ostrzał był nierówny, powolny i na oślep, ale to nie miało żadnego znaczenia. Armia Tilly'ego była teraz powalonym, złamanym tworem. Doskonale ustawione tercios rozpadły się, ściśnięte między nieustępliwymi ludźmi Hor-na a ostrzałem artylerii Torstenssona. Do ich zniszczenia przyczynił się także ostrzał z ich własnych dział. Nawet kawalerzyści obsadzający teraz przechwycone działa nie mogli nie trafić w ogromne skupisko katolickich żołnierzy. Dodatkowo rozmiar pocisków rekompensował brak celności. Przeciwnie niż doświadczonym i świetnie przeszkolonym ludziom Torstenssona, kawalerzystom najczęściej nie udawało się koszący ostrzał, ale i tak dwunastofuntowe i 24-funtowe kule siały zniszczenie wśród tysięcy ludzi ściśniętych tak mocno, że ledwie mogli się poruszać.

Była to jedna z owych nielicznych chwil, kiedy nawet Gustawa nie nęciła wizja przypuszczenia kolejnego ataku.

A przynajmniej nie bardzo...

Król spoglądał na wrogą armię spod przymrużonych powiek, unosząc się w strzemionach. Swą ogromną posturą przypominał niedźwiedzia brunatnego przypatrującego się kulejącemu losiowi.

- To już koniec, Wasza Wysokość - przemówił jego osobisty strażnik i wskazał szablą na cesarskie wojska. - Już po nich. To koniec.

Król odetchnął głęboko kilka razy, a następnie opadł z powrotem na siodło. - Tak. Westchnął.

- Powinni się już poddać. Cała ich kawaleria uciekła. Nie mają szans na żaden wypad. Są unieruchomieni.

Jónsson nie odzywał się. Nie było szans, aby ich wróg się poddał, mając Tilly'ego za dowódcę.

- Biedny Tilly - rozmyślał na głos Gustaw. - Pappenheim dwukrotnie go zniszczył. Najpierw Magdeburg, a teraz...

Król przyglądał się badawczo krajobrazowi, który dla jego niebieskich krótkowzrocznych oczu musiał być nieco zamazany. Mimo to wydawał się zadowolony z tego, co widział.

- A teraz - na zawsze. Breitenfeld.

- Niech diabli wezmą Pappenheima - syknął Tilly. Twarz starego generała wyrażała ból, ale nie zaprotestował, kiedy jego adiutant zacisnął bandaż. Wyszczał tylko kolejne przekleństwo:

- Niech diabli wezmą Pappenheima.

Tilly leżał na ziemi. Został dwukrotnie raniony. Pierwsza rana była lekka, właściwie było to tylko bolesne stłuczenie kulą muszkietu odbitą od jego kirysu. Rana biodra, którą jego adiutant właśnie bandażował, była poważniejsza. Biodro zostało paskudnie rozdarte grotem piki, zabłąkanym po wystrzale jednej z tych piekielnych szwedzkich armat. Cała noga była zakrwawiona.

Tilly przeklinał na głos Pappenheima, ale po cichu - siebie.

„Powiniennem być posłuchać Wallensteina. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby armia tak szybko się poruszała. Jak ten szwedzki bękart to zrobił?”

Stary człowiek miał ochotę zamknąć oczy z cierpienia i upokorzenia, ale oparł się pokusie, nawet kiedy jakieś czterdzieści metrów dalej zobaczył kolejny tuzin swoich żołnierzy zmienionych przez odbijającą się kulę w krwi-sto-kościwą masę. Nikt nigdy nie powie, że Tilly - Johann Tserclaes, von Tilly! - nie przyjął klęski z taką samą godnością, z jaką zawsze przyjmował zwycięstwo.

Dwóch oficerów zbliżyło się i uklękło u jego boku. Obaj mieli wymizero-wane twarze.

- Generale, musimy się poddać - powiedział jeden z nich.

- Bez kawalerii, która by nas osłaniała, nie ma możliwości odwrotu - dodał drugi. - Szwedzka kawaleria i ich Finowie nas zaszlachtują.

272

Erie Flint

Mimo osłabienia z powodu utraty krwi Tilly pokręcił głową, i ten gest ciągle był pełen zwierzęcej mocy.

- Nie - syknął. - Niech diabli wezmą Pappenheima i jego wspaniałych Czarnych Kirasjerów! - Na moment zamknął oczy. - Nie - powtórzył. - Nie poddam się.

Doradcy zaczęli protestować, ale generał uciszył ich uniesioną w górę zaciśniętą pięścią. Otworzył oczy i spojrzał w niebo.

- Jak daleko jeszcze do zmroku? - spytał. Jeden z doradców spojrzał w górę.

- Godzina, może dwie.

- Wytrzymajcie do zmroku - warknął Tilly. - Potem żołnierze mogą się wycofać. W ciemności ci przekłęci Szwedzi nie będą w stanie nas ścigać. Możemy uratować większość armii.

- To, co z niej zostało - mruknął doradca.

Tilly spiorunował go wzrokiem. Tak samo potraktował kolejnych oficerów, którzy się do nich zbliżyli.

- Jesteście bezyteczni - warknął. - Równie bezyteczni jak Pappenhe-im. Pragniecie chwały, a nie macie za grosz odwagi.

Odwrócił się do swojego adiutanta.

- Podnieście mnie - rozkazał. - Na mojego rumaka.

Adiutant nawet nie myślał protestować. Posadzenie starego generała na koniu było kwestią zaledwie kilku minut.

Siedząc już w siodle, Tilly uśmiechnął się kpiąco do swych oficerów.

- Mówicie „poddać się”? Niech was diabli! Moi ludzie pozostaną mi

I tak też się stało. Aż do zmroku Tilly zajmował miejsce na przedzie cesarskiej armii, utrzymując ludzi w ryzach własnym przykładem.

- Jesu-Maria! - wołali, umierając. - Ojciec Tilly!

O zmroku Tilly ponownie został ranny. Nikt nie widział pocisku. Sądząc po okropnej ranie na ramieniu, najprawdopodobniej był to odłamek wyrzucony w powietrze przez te przerażające szwedzkie działa.

Jego adiutant i kilku innych żołnierzy szybko sklecili nosze i pospieszyli na tyły. Początkowo Tilly wyzywał ich od tchórzy, ale kilka minut później stracił przytomność. Kiedy ludzie niosący nosze mijali rozbite tercios, grupki żołnierzy Tilly'ego dołączały do nich, aby eskortować swojego dowódcę w bezpieczne miejsce.

Dla pozostałych upadek Tilly'ego był sygnałem do odwrotu. W ciągu pięciu minut szeregi, które nie ustępowały przez długie godziny, zaczęły w popłochu uciekać. Porzucając broń i zbroje, tysiące cesarskich piechurów gnały w poszukiwaniu schronienia w ciemnym i odległym lesie.

Większości z nich udało się uciec. Gustaw nie kazał ich ścigać. Odwaga, z jaką Tilly utrzymał Szwedów na dystans aż do zmroku, uratowała jego armię przed doszczętnym zniszczeniem.

* * *

Kiedy po bitwie król Szwecji klęczał, modląc się, nie był rozgoryczony i ani myślał przeklinać swego wroga. Rozumiał pozornie szalone postępowanie Tilly'ego i czuł dla niego podziw.

Upadł ostatni z wielkich, ale przewrócił się jak ogromne drzewo, a nie jak spróchniały pień. Pobożny luteranski król widział w tej pełnej chwały klęsce katolickiego wroga rękę Boga, boski zamysł. Wola nieba jest niezbadana, człowiek jej nie rozumie.

Tak czy inaczej, Gustaw Adolf nie zniszczył do końca swojego wroga. Wygrał najważniejszą bitwę w ciągu ostatnich dziesięcioleci, a może nawet i wieków. I mimo że Tilly zapobiegł zupełnemu rozbiciu swych wojsk, dumna armia cesarska, która od czasu Białej Góry pokonywała wszystkich przeciwników, teraz legła w gruzach.

Pod Breitenfeld siły szwedzkie straciły niecałe dwa tysiące ludzi. A ich przeciwnicy?

Siedem tysięcy zabitych.

Sześć tysięcy rannych i jeńców.

Cała artyleria przechwycona.

Cały cesarski tabor przejęty.

Dziewięćdziesiąt sztandarów bojowych zabranych.

Droga do centralnej Europy stała teraz otworem. Wiedeń, Praga, Monachium, Moguncja - gdziekolwiek król Szwecji zdecydowałby się wyruszyć, Breitenfeld otworzyło mu drogę.

Lew Północy nie był już zamknięty w obrębie Bałtyku. Teraz to cesarz Ferdynand i jego kamracy z inkwizycji byli odcięci.

* * *

- Poślijcie po Wallensteina- powiedział Ferdynand i westchnął. Jego gońcy zaczęli protestować, ale cesarz uspokoił ich gniewnym spojrzeniem. - Nie ufam mu i gardzę nim tak samo jak wy - warknął - ale jaki mamy wybór?

Zapadła cisza. Nie było wyboru.

* * *

Kardynał Richelieu nie wzdychał, kiedy się dowiedział, co się stało pod Breitenfeld. Nie było to w jego stylu. Nic nie powiedział, jego szczupła twarz intelektualisty pozostała bez wyrazu, w żaden sposób nie zdradził swych uczuć ani myśli.

Natychmiast odprawił asystentów, a następnie siedząc w swym gabinecie, zaczął pisać list.

Erie Flint

Mój drogi Wallensteinie! Pozdrawiam Cię i niech błogosławieństwo Boga będzie z Tobą. Do tej pory najprawdopodobniej już wiesz, co się stało pod Breitenfeld. Jestem pewien, że masz w pamięci rozmowę, jaką niegdyś przeprowadziliśmy. Żałuję, że nie słuchałem bardziej uważnie Twych rad i ostrzeżeń. Sądzę, że odniesiemy obopólne korzyści, jeśli podejmiemy działania w kierunku, który wtedy zasugerowałeś. Jestem pewien, iż rozumiesz, do czego zmierzam, i że nie muszę się już nad tym rozwodzić. Jeśliś nie zmienił zdania, poślij gońca.

Richelieu

Podczas gdy jawni i ukryci wrogowie króla Szwecji spiskowali przeciwko niemu, on umacniał swoje wpływy w środkowych Niemczech. Ujął w karby Sasów i powierzył im zadanie odzyskania Lipska, a sam podążył za wycofującą się armią Tilly'ego. W wyniku niewielkiej bitwy w pobliżu Merseburga dwa dni później pojmał jeszcze trzy tysiące jego żołnierzy. 21 września, cztery dni po Breitenfeld, zajął Halle i zezwolił swej armii na odpoczynek oraz zmianę wyposażenia.

Przyszłość była niejasna, jego następny krok niepewny. Sojusznicy i doradcy sugerowali królowi udanie się w różne miejsca, ale było to bez znaczenia. Gdziekolwiek Gustaw Adolf zdecydowałby się wyruszyć, mógł być pewien jednego: pod Breitenfeld świat na zawsze się zmienił.

Breitenfeld. Zawsze Breitenfeld.

?&azbzml 37

Więści o Breitenfeld dotarły do Grantville pod koniec września. W mieście zaczęło się świętowanie, które trwało dwie doby.

Fakt, że katolicy, którzy teraz stanowili dobrze ponad połowę populacji, uczestniczyli w uroczystościach, dowodził, że w tej wojnie wcale nie chodziło o wyznanie. Lud Niemiec na ogół był obojętny wobec przynależności religijnej swoich sąsiadów. To arystokraci i książęta (zwłaszcza z dynastii Habsburgów) wymusili na Świętym Cesarstwie Rzymskim podjęcie tej kwestii. I mimo że każdy z arystokratów utrzymywał, że jego czynami kieruje tylko i wyłącznie pobożność, tak naprawdę stawką była władza i przywileje. Ogromne armie najemników, które siały spustoszenie w środkowej Europie, chętnie przyjmowały w swoje szeregi i protestantów, i katolików, bez względu na ich oficjalne wyznanie. Gdy opadł już kurz, wszyscy „katolicy” najemnicy pokonani przez Amerykanów i wcieleni do ich nowego społeczeństwa okazali się luteranami lub kalwinistami.

Tak więc wszyscy świętowali. Nawet Simpson ze swoją kliką wyjątkowo powstrzymali się od tradycyjnych oskarżeń i protestów. Trzeba by być głupszym od wołu, żeby nie rozumieć, że wielkie zwycięstwo króla Szwecji pod Breitenfeld oznaczało oddalenie od Turynгии bezpośredniego wojskowego zagrożenia.

Jednak nie całkiem. Nie było już armii cesarskiej naciskającej na księstwo, ale po rozbiciu wojsk Tilly'ego powstało sporo różnych odłamów. Jeden z nich pod dowództwem samozwańczego „kapitana” postanowił schronić się przed zimą na południe od gór Harz.

Ta obdarta armia liczyła około tysiąca ludzi, którym towarzyszyło dwa razy tyle ciurów obozowych. Maszerowali -jeśli można tak powiedzieć - do południowej Turynгии, desperacko szukając jedzenia i ochrony przed nadchodzącą zimą; słyszeli wcześniej, że ten region nie został jeszcze w wyniku wojny spustoszony.

Słyszeli również o grupie czarowników mieszkających w tamtych okolicach, ale w to nie wierzyli. Czarami zajmowały się przecież stare baby rzucające złośliwe uroki na sąsiadów, a nie potężni magowie roznoszący w pył całe armie.

Przekonali się jednak, że jest inaczej, zanim jeszcze zbliżyli się do niewielkiego skrzyżowania dróg niedaleko Jeny, około pięćdziesięciu kilometrów od Grantville.

Jena była znanym w całym Niemczech ośrodkiem nauki. W 1558 roku dzięki protestanckiemu reformatorowi Melanchtonowi⁴³ powstał tam uniwersytet. Ludność Jeny liczone w tysiącach, ale w przeciwieństwie do Badenburga, miasto nie miało murów obronnych. Kiedy nadeszły wieści o zbliżającej się armii najemników, mieszkańcy miasta wpadli w panikę.

Dostojnicy naradzali się, kłócili, dyskutowali. „Co robić?”. Typowym wyjściem z takiej sytuacji było zapłacenie pieniędzy, czyli tak zwanego haraczu. Nie było jednak gwarancji, że to ustrzeże miasto przed tą niezdyscyplinowaną zgrają, która właściwie nie miała nawet dowódcy. Zresztą dyskusja była bezprzedmiotowa, gdyż skarbiec Jeny został już wyczyszczony do cna przez Tilly'ego.

„Opór? Niby jak?”.

Oczywiście studenci organizowali się na ulicach, wymachując nieustraszenie pałkami i żądając pozwolenia na wzięcie udziału w bitwie. Dostojnicy wstrzymywali się od publicznego sarkazmu, gdyż studenci lubili się awanturować, gdy ktoś z nich kpił. Nie brano jednak ich słów na poważnie. Kilka setek studentów uzbrojonych w pałki przeciwko tysiącom prawdziwych żołnierzy uzbrojonych w piki i arkebuzy?

„To absurd”.

I wtedy nieoczekiwanie pojawiła się propozycja pomocy. Przyszła z tajemniczego nowego miasta na południowym zachodzie, zwanego Grantville. Niektórzy mówili, że to miasto czarowników, siedlisko czarnej magii i szatańskich praktyk.

Dostojnicy skonsultowali się nieoficjalnie z najważniejszymi profesorami teologami, ekspertami od spraw szatańskich i samego szatana.

Oczywiście teologowie również dyskutowali i się sprzeczali, ale niedługo. Boski plan zazwyczaj rysuje się bardzo wyraźnie, gdy alternatywą jest splądrowanie miasta.

„To wola Boga. Przyjąć propozycję”.

Trzy dni później oddział z Grantville mijął miasto w drodze na spotkanie z nadchodzącymi najemnikami. Ludność miasta poczuła ulgę, kiedy przywódcy grupy stwierdzili, że nie mają zamiaru wchodzić do Jeny. Jeszcze bardziej odetchnęła, gdy ludzie, którzy określali się dziwnym mianem „Amerykanów”, powtórzyli, że nie zjawili się tutaj ani po zapłatę, ani po daninę. Jedyne, czym byli zainteresowani, to handel i wymiana doświadczeń z wykładowcami i studentami uniwersytetu oraz korzystanie ze słynnych urządzeń drukarskich.

„Cóż złego mogłoby się stać?”.

Wszyscy studenci przyszli obejrzeć przemarsz Amerykanów. Stali wzdłuż drogi prowadzącej do Lipska i gorąco wiwatowali. Oklasków nie zmniejszyła nawet stosunkowo niewielka liczebność amerykańskiej armii. Było w niej jedynie czterystu ludzi, ale maszerowali w ustalonym porządku i wydawali się bardzo pewni siebie. To samo dotyczyło około dwustu szkockich kawalerzystów, którzy im towarzyszyli.

Przyglądający się im mieszczanie wraz z żonami byli jednak zaniepokojeni.

„Zdyscyplinowani, niegroźni, zgadza się, ale te ich zbroje i broń! Szczególnie...”.

Studenci uniwersytetu zupełnie nie przejmowali się ogromnym pojazdem, który przewodził pochodowi. Wręcz przeciwnie, byli zauroczeni tym groteskowo wyglądającym czymś. A

kiedy kilku odważniej szych ustaliło nazwę owego wehikułu, jego dalszy przejazd witany był okrzykami:

„Trans-por-ter! Trans-por-ter! Trans-por-ter!”.

Starsi mieszkańcy okazywali dużo mniej entuzjazmu; słyhać było, jak z trwogą wymawiają imię szatana. Mimo to dostojnicy miejscy gotowi byli zaakceptować wyjaśnienia studentów. Słyszeli o Leonardo da Vincim, mimo że nigdy nie widzieli jego szkiców.

O dziwo, jeszcze więcej zaniepokojenia wywołała broń. Wielu mieszkańców miasteczka było zaznajomionych z bronią palną, a mimo to na widok amerykańskich arkebuzów chodziły im po plecach ciarki. Nie imponowały wyglądem, to prawda, ale było coś śmiertelnie niebezpiecznego w ich wężowej smukłości.

Maskująca odzież do polowania również wywoływała komentarze, podobnie jak motocykle. Grupy wyposażone w te pojazdy wyglądały na gońców i zwiadowców, mimo że gapie nie byli pewni co do charakteru niewielkich czarnych pudełek, do których (jak zaobserwowano) mówili. Co bardziej przenikliwi studenci zauważyli podobne urządzenie w ręku jadącego w innym pojeździe amerykańskiego przywódcy. Pytano o to łamaną angielszczyzną przechodzących żołnierzy, a kiedy ustalono, że część z nich to Niemcy, do wznoszonych okrzyków dodano kolejny:

„CB radio! CB radio!”.

280

Erie Flint

Mikę uśmiechał się szeroko, kucając z tyłu opancerzonego pikapa. Frank, dowódca operacyjny niewielkiej armii, jechał z przodu. Gdy tylko Mikę skończył rozmawiać przez radio, pochylił się do przodu i syknął na niego przez niewielkie okienko z tyłu kabiny.

- Widzisz? Co ci mówiłem?

- W porządku, w porządku - mruknął Frank. - Nie musisz już do tego wracać.

Zadowolony Mikę posłał teraz uśmiech pozostałym sześciu pasażerom ciężarówki.

- „Poufałość rodzi obojętność” - stwierdził. - Przypisz czemuś nazwę i od razu przestaje być tajemniczym szatańskim wynalazkiem. Po prostujesz? i tyle. To dlatego prosiłem Heinricha i jego ludzi, żeby rozsyłali wici w razie, gdyby ktoś pytał.

Wnętrze platformy ciężarówki, szczelnie otoczonej prawie centymetrowej grubości zespaną stalową płytą, było ciemne i ponure, jednak przez otwory strzelnicze przedostawało się wystarczająco dużo światła, żeby Mikę widział twarze swoich towarzyszy. Wszyscy odpowiedzieli nerwowymi uśmiechami; tylko jeden był, prawdę powiedziawszy, szelmowski. W oczach jego właściciela pobłyskiwało rozbawienie i radosne podniecenie.

- Słyszałeś, Frank? „Poufałość rodzi obojętność”!

Frank spojrział spode łba najpierw na uśmiech Mike'a, a następnie na resztę.

- Ciągłe uważam, że to nie jest miejsce dla dziewczyn! - rzucił.

- Dziewczyn? - parsknęła Gayle Mason. - Ja mam trzydzieści dwa lata, staruszku. Pamiętam, jak tak mówiłeś w dniu, kiedy pojawiłam się po raz pierwszy w kopalni. Kiedy to było? Z dziesięć lat temu?

Frank spiorunował ją wzrokiem, a Gayle zrewanżowała się tym samym. Była dosyć przysadzistą i umięśnioną, ale na swój sposób atrakcyjną kobietą. Twarz miała zbyt pospolitą, by można ją uważać za ładną, ale nikt nigdy nie sądził, że jest brzydka. Kiedy jednak patrzyła gniewnie na Franka, wyglądała jak wojowniczy buldog (mimo że brak jej było charakterystycznego podbródka).

- A ja uważam - kontynuowała - że podupadające na zdrowiu stare pier-dziele nie mają czego szukać na polu bitwy.

- Spokojnie, Gayle - mruknął Mikę. - Bądź miła.

Frank przeniósł wzrok z Gayle na pozostałe kobiety w ciężarówce.

- Gayle jest beznadziejnym przypadkiem - warknął. - Robi mi tylko na złość. Ale reszta - reszta dziewczyn ~ powinna mieć więcej rozsądku.

Młode kobiety przestały się nerwowo uśmiechać. Poza Gayle wszystkie były nastolatkami lub dwudziestolatkami. Najmłodszej z nich, Julie Sims, udało się nawet naśladować gniewne spojrzenie Gayle.

- To cholernie dobry czas na zaczynanie takich kłótni, wujku! - rzuciła opryskliwie. - Już o tym rozmawialiśmy i wszystko zostało ustalone. Jesteś

po prostu wkurzony, bo lepiej od ciebie strzelam i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę!

Po czym dodała z naburmuszoną miną:

- Mam dość bycia cheerleaderką.

- Lepsze to niż bycie martwym - odparł natychmiast Frank.

- A mojego chłopaka od razu posłałeś do pierwszego szeregu! Frank był równie uparty jak jego siostrzenica.

- To co innego, on jest facetem. I powiem ci jeszcze jedno, młoda damo. Jeśli ten twój cholerny chłopak opuści posterunek, bo będzie się o ciebie martwił, drogo za to zapłacimy! To jeden z powodów, dla których nie chcę...

- Chip? - spytała Julie. - Już go ostrzegłam, co się stanie. Trafie go, zanim zrobi krok.

Mikę obserwował tę wymianę zdań i uśmiech zniknął z jego twarzy. Szczerze mówiąc, mimo rozbawienia spowodowanego oburzeniem starszego kolegi, sam był zaniepokojony sytuacją. Uważał, że nie ma w sobie nic z tradycyjnego „męskiego szowinizmu”, a te załączki, które kiedyś w nim tkwiły, wybiła mu z głowy siostra, kobieta z ikrą. Mimo to musiał przyznać, że przeciw Franka był poparty niezaprzeczalnymi faktami. Ogólnie rzecz biorąc, kobiety nie nadawały się do walki w piechocie.

Ogólnie rzecz biorąc...

Mikę przypomniał sobie zdanie ze sztuki, którą widział dwa tygodnie wcześniej. Był to Hamlet Szekspira. Wystawiła ją licealna klasa teatralna w wypełnionej po brzegi auli, a później sztukę retransmitowano w telewizji. (Zachowali nazwisko autora. Baltazar nie zgłaszał sprzeciwu, wygłosił nawet kilka pozytywnych komentarzy o przedstawieniu, które, jak to miał w zwyczaju, obejrzał w dniu premiery).

Ogólnie rzecz biorąc...

„Ha, tu się pojawia przeszkoda”. Co się dzieje, kiedy ktoś dopuści do siebie to niebezpieczne „ogólnie rzecz biorąc”? Kiedy zaczynasz uogólniać, wchodzisz na grząski grunt.

Opierając się ręką o bok podskakującej na nierównościach ciężarówka, Mikę przyjrzał się uważnie kobietom siedzącym z tyłu pikapa.

Julie Sims była ładna, jak przystało na cheerleaderkę, i miała tak samo wysportowaną sylwetkę, jak każdy z chłopców, których dopingowała. Mikę ani przez chwilę nie wątpił, że była w lepszej kondycji fizycznej niż dziewięćdziesiąt pięć procent mężczyzn w amerykańsko-niemieckiej armii. Niewątpliwie nie była tak silna, jak wielu z nich, ale...

Przyjrzał się karabinowi, który trzymała swobodnie w dłoniach. Wszyscy zgodnie uznawali Julie Sims za najlepszego strzelca w Grantville, a właściwie to w całym hrabstwie Marion. Może nawet w całym stanie. Mówiono już nawet o sponsorowaniu jej udziału w biathlonie na zimowej olimpiadzie. Było to

282

Erie Flint

na tyle poważne, że Julie zaczęła trenować biegi narciarskie i przyłożyła się do tego z typowym dla niej zapałem. Była przekonana, że może ją zgubić tylko jazda na nartach. Na pewno nie strzelanie!

Mikę napotkał spojrzenie Gayle. Było ciepłe i przyjacielskie. Kiedy wiele lat temu Gayle zaczynała pracę w kopalni, spotkała się z zaczepkami ze strony pracowników. Nie było to żadne fizyczne molestowanie, ale wystarczyło, żeby przyjęła pozycję obronną. A w przypadku kogoś z temperamentem Gayle Mason nie różniło się to za bardzo od wojowniczego nastawienia. W tym czasie Mikę wrócił do Wirginii Zachodniej i został

zatrudniony w starym miejscu pracy swego ojca. Zaczepki skończyły się w ciągu tygodnia i zostali z Gayle dobrymi przyjaciółmi.

Mikę spojrział na kobietę siedzącą obok Gayle i troska w jego oczach jeszcze się pogłębiła.

- Uspokój się, braciszku - powiedziała Rita. - Będziemy unikać kłopotów. Obiecuję.

Mikę uśmiechnął się smętnie. „Cholerne obietnice!”. Zbyt dobrze znał swoją siostrę.

Tymczasem Frank w dalszym ciągu mamrotał pod nosem.

- Niech szlag trafi Melissę Mailey. Głupia, ciemna zwolenniczka liberałów, feministka z mózgiem wielkości ziarnka grochu... -1 tak dalej, i tak dalej.

Podskakując w półmroku platformy ciężarówki, Mikę i siostra wymienili szerokie uśmiechy. Oczywiście to Melissę za wszystko obwiniano. Szczególnie Simpson spędzał wiele czasu na obwieszaniu całego świata, co o niej myśli. W tej bezustannej kampanii politycznej wyniósł Melissę do rangi Belzebuba u boku Lucyfera, którym był Mikę.

W rzeczywistości jednak Melissa była niewinna. Ta nauczycielka w średnim wieku była tak samo jak wszyscy zaskoczona, kiedy Rita, Gayle i Julie Sims zażądały włączenia ich do sił zbrojnych Grantville. W czasie hałaśliwej debaty, która wybuchła w komisji nadzwyczajnej, Melissa wahała się i zastanawiała, zupełnie inaczej niż zwykle. Z jednej strony feminizm nakazywał jej poprzeć propozycję, ale z drugiej strony...

W głębi duszy Melissa Mailey była pacyfistką... a przynajmniej w połowie pacyfistką.

Pochodziła z szacownej bostońskiej rodziny, była wychowana w atmosferze jakby z innego świata. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby sama posługiwać się bronią, nawet kiedy była studentką college'u i wyrażała dosyć radykalne poglądy oraz pociągała ją idea obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Simpson mógł potępić Melissę za co tylko chciał. W tym przypadku, tak jak i w wielu innych, bogata osoba z wielkiego miasta nie miała szans zrozumieć mentalności „białej biedoty”, wśród której przyszło jej żyć. Lata biedy i ciężkich czasów wykształciły w tych ludziach swoistą zaradność i umiejętność

akceptowania rzeczywistości taką, jaka jest. Jeśli się zastanowić nad propozycją kobiet, nie była ona wcale taka dziwna. Przecież wiele kobiet z Grantville służyło już w armii Stanów Zjednoczonych z tych samych pobudek, które skłoniły ich braci i kuzynów do zgłoszenia się na ochotnika.

„Nasza armia jest zbyt mała? No to werбуйте kobiety”.

Ogólnie rzecz biorąc...

„W porządku, ale muszą przejść te same testy sprawnościowe”.

Ogólnie rzecz biorąc, kobiety, które się zgłosiły, nie sprostały rygorystycznym wymaganiom Franka. A Mikę odrzucił wszelkie prośby o złagodzenie treningu; na takie ustępstwa nie chciał iść.

Ogólnie rzecz biorąc...

„Ha, tu się pojawia przeszkoda”. Spora liczba kobiet przeszła bowiem nadzorowane przez Franka testy, a część z nich zdała nawet celująco. Dokładnie sześć, i to właśnie one jechały teraz w pikapie z dowódcą armii. Mikę zdecydował, że będzie im towarzyszył w ich pierwszym sprawdzianie na polu bitwy.

- Tylko trzymajcie się z dala od kłopotów - powiedział Mikę tak głośno, żeby wszyscy pasażerowie z tyłu ciężarówki mogli go dobrze usłyszeć. - Wyświadczyć nam tę przysługę, dobrze? Unikajcie kłopotów.

Gayle i Julie odpowiedziały szerokimi uśmiechami. Pozostałe dziewczęta również się uśmiechnęły. Jedyne Rita zignorowała uwagę Mike'a i dalej wyglądała przez otwór strzelniczy.

- „Trzymajcie się z dala od kłopotów” - przedrzeźniała go pod nosem. - Jeff właśnie wysadza Gretchen. To o nią powinniście się martwić.

Odwróciła się i spojrział na brata piorunującym wzrokiem.

- Dlaczego tak jest, że faceci robią w gacie ze strachu na samą myśl o kobiecie biorącej udział w bitwie, ale zupełnie nie robi na nich wrażenia fakt, że wysyłają Matę Hari do jaskini lwa? Mike zaśmiał się.

- Matę Hari? Bądź poważna! Gretchen nie będzie robić słodkich oczu do żadnych generałów i dyplomatów.

- To by było bezpieczne w porównaniu z tym, co chcecie, żeby zrobiła. Mike odwrócił wzrok. Na szczęście Gayle przysłała mu z pomocą.

- Daj swemu biednemu bratu spokój, Rito - powiedziała, chichocząc. - Jak przyszło co do czego, to nas popierał, prawda?

Odpowiedzi jego siostry nie było słychać, ale Mike i tak by jej nie usłyszał. Przyglądał się Gretchen stojącej obok motocykla swego świeżo poślubionego męża i całującej go. Omal nie wybuchnął śmiechem, widząc zaszokowane twarze niemieckich mieszczan i ich żon. W publicznym miejscu! To skandal!

- Niczego jeszcze nie widzieliście - szepnął. - Drodzy mieszkańcy i mieszkanki Niemiec, przedpaństweeeeeem Gretchen!

jifazbzw 38

Jeff niechętnie ją puścił.

- Bądź ostrożna - szepnął, ponownie obejmując ją w talii.

- Ja? - spytała marszcząc żartem brwi. - To ty iczesz na bitwę, nie ja! Jeff wcale nie był przekonany.

- Mimo to...

Gretchen przyciągnęła twarz męża do swojej, a potem mocno i szybko go pocałowała.

Odsuwając się, poklepała go po zaokrąglonym policzku.

- Icz, mężu. Wróć do mnie bezpiecznie.

Westchnął. Jego żona była nieugięta, kiedy czegoś chciała. Doskonale wiedział, że właśnie teraz jest taka sytuacja. Do tej pory nie mógł zrozumieć, dlaczego Gretchen tak szybko i chętnie przyjęła propozycję Mike'a i Melissy. Wtedy jednak nie podawał jej decyzji w wątpliwość, więc teraz też nie miał zamiaru tego robić.

Uspokoił się, rzuciwszy szybkie spojrzenie na jej gorset i kamizelkę. Ubrania zostały specjalnie zaprojektowane w większym rozmiarze, aby oprócz imponującego biustu ukryły pistolet automatyczny kaliber 9 milimetrów.

- Nie gapicz się na mein cycki! - zaśmiała się jego żona i pogroziła mu palcem. - Jaki skandal!

- I dodała łagodnie: - Nie martw się, mężu. Icz.

Chwilę później Jeff odjechał z rykiem silnika. Celowo przejechał parę metrów na tylnym kole, kiedy mijał grupkę stojących przy drodze młodych mężczyzn, którzy wyglądali na lokalnych chuliganów.

Byli pod wrażeniem, i to nie tyle akrobacji na motorze, ile srogo zmarszczonych brwi potężnego mężczyzny, który tego motoru dosiadał. I oczywiście

dziwnej śmiercionośnej broni przerzuconej przez jego ramię. Jeff byłby zdziwiony i pewnie szczęśliwy, gdyby wiedział, jakie wrażenie wywarł na tych zbirach. W tym mężczyźnie ubranym w skórzaną kurtkę nie widzieli nieśmiałego młodego człowieka, tylko mordercę. A fakt, że nosił okulary, sprawiał, że wyglądał na jeszcze bardziej niebezpiecznego. „Bez wątplenia po to, żeby lepiej widzieć swoje ofiary”.

Ale jeden z młodych opryszków nie był tak wystraszony jak reszta. Kiedy ryk motocykla ucichł, wbił wzrok w kobietę, która stała przy drodze i patrzyła wdał.

- Urodziwa - powiedział. - Bardzo.

- Zapomnij o tym, Max - syknął jeden z jego towarzyszy. Max w dalszym ciągu patrzył pożądliwie na Gretchen.

- Dlaczego, Josef? Kto wie? Jej mąż może być martwy jeszcze przed zachodem słońca.

- Powiedziałem: zapomnij - powtórzył Josef, uderzając go pięścią w ramię; ten gest absolutnie nie był żartobliwy. - Może nie wrócić. Ale jeśli nawet tak się stanie, to co z resztą?

Max dał spokój; kobieta zdążyła już zniknąć w tłumie, a poza tym nie podobał mu się sposób, w jaki Josef trzymał swój sztylet.

- Ja tylko żartowałem - wymamrotał, ale postanowił jeszcze zająć się tą sprawą. Sam. Godzinę później, po ustawieniu motorów na niewielkim wzniesieniu, Jeff i Larry Wild dostrzegli przez lornetkę nadchodzących najemników.

Właściwie to zobaczył ich Jeff; Larry był zbyt zajęty podziwianiem scenerii.

- Boże, jakie to piękne miejsce - mruczał z podziwem.

Odsunął na chwilę lornetkę od oczu, żeby obejrzeć panoramę doliny Soła-wy. Była to niewielka rzeka mająca źródło w Lesie Turyńskim. Płynąc na północ przez dolinę, której dała nazwę, rzeka po drodze przepływała przez Jenę. Po obu stronach doliny widoczne były wzgórza kredowe i z czerwonego piaskowca, do połowy porośnięte winoroślą. Był to kraj wina, który porażał swym pięknem.

- Zapomnij o winku - mruknął Jeff. - Nadchodzą kłopoty. Zaskoczony Larry spojrział w kierunku, w którym patrzył Jeff. Nawet bez lornetki był w stanie dostrzec tumany kurzu.

- Ilu? - spytał.

Jeff wzruszył ramionami, ciągle trzymając lornetkę przy oczach.

- Trudno powiedzieć. To jakiś motłoch, a nie armia. Jeśli jest tam jakiś porządek marszu, ja go nie dostrzegam.

Teraz również Larry popatrzył przez lornetkę.

- Nie za dużo kawalerii - rzekł. - Mike będzie zadowolony, kiedy się dowie.

286

Erie Flint

- Nie sędzę, żeby tam była jakakolwiek kawaleria - parsknął Jeff. - Może jakichś dwudziestu kolesiów, którym udało się ukraść konie, ale jeszcze nie umieją na nich jeździć. Założę się, że każą się nazywać oficerami. Szkoci zetną ich jak piła łańcuchowa.

Po kilku minutach obserwacji Larry zaśmiał się po cichu.

- Chyba masz rację, stary, chyba masz rację.

Jeff opuścił lornetkę i sięgnął po radio. Chwilę później udzielał Frankowi wskazówek, jak ma do nich dojechać. Ustalili wcześniej z Larrym, że stąd najlepiej da się dowodzić siłami w dolinie. Był to jedyny wyżej wzniesiony teren w okolicy oraz, co ważniejsze, u stóp wzniesienia biegła droga prowadząca do Jeny. Mieli nadzieję, że weteran Frank zgodzi się z nimi; z wrażliwą na krytykę dumą młodych fanów gier wojennych próbowali zastosować swoją teoretyczną wiedzę w praktyce.

* * *

Frank zgodził się, a nawet obsypał ich pochwałami, o ile te kilka zdawkowych uwag można nazwać „obsypaniem”. Frank Jackson był człowiekiem, który chwalił ludzi z częstotliwością występowania zaćmienia słońca, więc Jeff i Larry byli bardziej niż zadowoleni.

Następnie zajęto się przygotowaniem pozycji Amerykanów. Mike pozostawił transporter opancerzony i kawalerię Mackaya w ukryciu za zakrętem drogi - chciał ją wykorzystać do pościgu za pokonanymi wrogami - natomiast Heinrich i oddziały niemieckie zostały ustawione w poprzek drogi, gdzie miały tworzyć barierę dla nadchodzących najemników.

Nowi niemieccy rekruci stanowili około połowy piechoty Mike'a. W dalszym ciągu byli podzieleni na stare jednostki, ale mieli nowych oficerów. Heinrich był głównodowodzącym. Mike zamierzał połączyć armię w jedną całość, a nie zostawiać Niemców w osobnych oddziałach, ale doświadczenie nauczyło go, że taki proces wymaga wiele czasu. Problem nie był natury „socjalnej”. Nie było żadnych uprzedzeń, wręcz przeciwnie, okazało się, że żołnierze amerykańscy i niemieccy z łatwością się dogadywali, szczególnie po burdzie w „Klubie 250”, kiedy to kilku z nich wpadło do środka i nauczyło paru miejscowych wsioków

moresu. Dan Frost i jego zastępcy wrzucili ich za to do tymczasowego więzienia, ale całe to wydarzenie pozwoliło skryształizować się coraz większemu poczuciu wspólnoty w armii. Nie, problem był natury czysto wojskowej i był banalnie prosty.

Niemcy nie umieli strzelać.

Razić ogniem - tak. Nie ustępować pola - tak.

Ale celować? Trafić w cel? Bez szans.

Nacisnąć spust? Wolne żarty! Arkebuz nie ma „spustu”. Ma tylko ciężką ręczną dźwignię, którą trzeba nagle szarpnąć, zamknawszy uprzednio oczy, aby ochronić je przed oparzeniem prochem.

Heinrich i jego ludzie byli weteranami, a ich nawyki były głęboko zakorzenione; z wyjątkiem garstki młodych chłopaków nikt nie mógł się nauczyć obsługi nowoczesnych karabinów.

Próba wyszkolenia ich spowodowała tylko po obu stronach frustrację.

W końcu Mikę znalazł wyjście z sytuacji.

- Pieprzyć to - powiedział do Franka. - Uzbrojcie ich w strzelby załadowane ołowianymi kulkami. Przydadzą się do ataku z bliska.

Niemcy byli wniebowzięci. Pokochali strzelby jak niedźwiedź miód. Były one dużo dokładniejsze niż arkebuzy, nawet po obciążeniu przewężeń, dzięki czemu uzyskano walcowate lufy, które mogły pomieścić twarde kulki. Zresztą Niemcom i tak nie zależało na precyzji.

Przeżyli tak długo tylko dlatego, że każdy z nich był gorącym wyznawcą Pierwszej Zasady Walki Bronią Gładko-lufową:

„Szybkość strzału”. To było najważniejsze przykazanie niemieckich żołnierzy. Szybkość strzału. Zwycięstwo w bitwie dostaje się żołnierzom, którzy utrzymują się na pozycjach i sieją największe spustoszenie. Prosta sprawa.

Wprowadzenie przez Amerykanów bagnetu dopełniło szczęścia. Teraz już ani arkebuzer, ani pikinier nie musiał się martwić o niezawodność drugiego, każdy bowiem pełnił od razu dwie role.

Strzelby samopowtarzalne z dopasowanymi bagnetami przypieczętowały lojalność Heinricha i jego ludzi wobec nowego porządku. Ich uwielbienie dla tych cudownych urządzeń pozwoliło im nawet pogodzić się z dziwactwami Amerykanów, takimi jak...

Żołnierze niemieccy uważali, żeby nie przyglądać się pożądliwie Gayle, kiedy wraz z dwiema innymi kobietami przechodziła wzdłuż szeregów, rozdając ładownice z zapasową amunicją. Starali się też nie zwracać uwagi (a przynajmniej w niewłaściwy sposób) na Ritę, kiedy zajęła pozycję radiooperatora jednostki. Mimo braku oglądy Heinrich i jego ludzie dużo wcześniej nauczyli się Pierwszej Zasady Armii Zaciężnych: „Nie wkurzać najtwardszych gości w okolicy.” Ta uprzywilejowana pozycja była zajęta przez Amerykanów, a w szczególności przez jednego z nich.

Oczywiście ich dowódcą był brat Rity. Ale co ważniejsze - dużo ważniejsze - jej mąż stał z nimi w tym samym szeregu i bezgranicznie ufał swoim nowym towarzyszom. Dlatego żaden z nich - nawet największy twardziel - nawet nie myślał rzucać mu wyzwania. Poza tym Tom był bardzo spokojny i trudno było znaleźć bardziej serdeczną osobę!

I dobrze, biorąc pod uwagę, że był wielki jak mors i mógł bez problemu udźwignąć konia; tak przynajmniej sądzili jego niemieccy towarzysze. Kiedy wyjaśnił im, że niezupełnie spełniał wymagania stawiane „profesjonalnemu futboliście”, jednoznacznie (i zupełnie nieumyślnie) pogrzebał szanse

288

Erie Flint

spopularyzowania futbolu w nowej społeczności. W tym nowym świecie to nie Abner Doubleday⁴⁴, ale Tom Simpson zapoczątkował niewiarygodną popularność baseballu, rozsądnego sportu uprawianego przez mężczyzn o rozsądnych rozmiarach.

Ale Tom Simpson miał na swoim koncie także inne zasługi. To właśnie on, a nie strzelby, tak naprawdę zespolił niemieckich żołnierzy z armią amerykańską.

W pierwszych miesiącach po Ognistym Kręgu Tom Simpson był kimś w rodzaju zbłąkanej owieczki. Poparcie, jakie okazywał posunięciom Mike'a, spowodowało oziębienie stosunków z jego rodzicami, ale mimo to wydawało się, że nie ma dla niego miejsca w otoczeniu szwagra.

Nie żeby Mike nie składał mu propozycji, Tom jednak uparcie je odrzucał; miał dość nepotyzmu i protekcji w całym swoim dotychczasowym życiu. Przez pewien czas myślał o zajęciu się biznesem, ale, prawdę mówiąc, nie miał umiejętności kierowania ludźmi, a prawdopodobnie z powodu bogatego pochodzenia nie miał również siły przebicia prawdziwego przedsiębiorcy, co było konieczne w tym surowym i szybko rozwijającym się świecie handlu w południowej Turynii.

Oczywiście od razu po apelu Mike'a zgłosił się na ochotnika do armii, ale okazało się, że to nie jest miejsce dla niego. Mimo robiących wrażenie mięśni i wzrostu, Tom był tylko bogatym dzieciakiem z dużego miasta. Wśród towarzyszy wychowanych na wsi szybko zdobył sławę najgorszego strzelca, jakiego kiedykolwiek widzieli. Tom cieszył się sporą popularnością, więc żarty na jego temat nigdy nie były celowo złośliwe, ale mimo to bolały. Wreszcie, kierowany desperacją, zgłosił się na ochotnika do tworzonych właśnie oddziałów niemieckich. I tam, ku swemu zaskoczeniu (jak i wszystkich innych osób) znalazł dom, którego tak długo szukał.

Okazało się, że Tom ma dryg do nauki języków obcych, a ponadto, co było dużo ważniejsze, odkrył, że ma odpowiednie usposobienie do takiej pracy. Lubił niemieckich żołnierzy, a oni lubili jego. Był spokojny, niewzruszony, przyjazny... i odważny.

Co prawda jego odwaga nie została jeszcze sprawdzona w ferworze walki, ale nikt w oddziale Heinricha w nią nie wątpił. W typowy dla ludzi tego pokroju sposób próbowali w ciągu pierwszych tygodni, jakie Tom z nimi spędził, zastraszyć go. Sprawdzali, czy jest prawdziwym samcem alfa.

Taaak.

Tom nie musiał nawet ruszyć ręką. Był przyzwyczajony do bezlitosnego zastraszania na futbolowych boiskach wszystkich najlepszych uniwersytetów i dobrze sobie z tym radził. Może jego ciało niezupełnie spełniało wymagania stawiane profesjonalnemu futboliście, ale za to jego umysł je spełniał.

Zanim zaczęła się bitwa pod Jena, wszystko było już jasne. Twardy Tom („gut Thomas!“) stał pośrodku pierwszego szeregu, tam, gdzie było jego miejsce. Jego towarzysze czerpali siłę i odwagę z widoku stojącej tam ogromnej postaci.

Bo tak naprawdę to gwarantowało wygraną w bitwie. Nie moc rażenia i wspaniałe umiejętności strzeleckie, ale siła i odwaga.

* * *

Tak więc nie trzeba podkreślać, że nikt nie przyglądał się pożądliwie jego żonie. Ale gdy tylko pozostałe kobiety znikły za wzniesieniem, część żołnierzy dała upust swym prawdziwym odczuciom.

- Ci Amerykanie są szaleni - mruknął Ferdinand, jeden z zastępców Heinricha. - Zobaczycie, te głupie suki zaczną się drzeć, jak tylko usłyszą pierwszy wystrzał. - Obserwował z ponurą miną wierzchołek wzniesienia. Wiedział, że tuż za nim jest ustawiona większa część amerykańskich żołnierzy. - A durni Amerykanie rzucają broń i pobiegną pocieszać.

Przeniósł spojrzenie na drogę. W odległości niespełna kilometra zauważył pierwszych wrogich jeźdźców.

- Zobaczycie - podsumował - okaże się, że to my będziemy musieli odwalić całą robotę. - Przesunął ręką po lśniącej strzelbie, znajdując pocieszenie w jej wspaniałej szybkości strzału. Obserwujący tych samych jeźdźców Heinrich cmoknął z niezadowoleniem.

- Może i tak - mruknął. Odsunął od oczu lornetkę i spojrzął w kierunku szczytu wzniesienia. Niemal od razu dostrzegł Franka. Obok niego stały dwie kobiety, a właściwie jeszcze

dziewczęta. Heinrich wiedział, że jedna z nich jest siostrzenicą Amerykanina. W ciągu ostatnich paru miesięcy zaprzyjaźnił się z Frankiem i wiedział, że tamten podziela jego wątpliwości. Z drugiej jednak strony...

- Przyznaję, że ta przekłeta dziewczyna potrafi strzelać - powiedział raz Frank. Zrobił to co prawda niechętnie, ale biorąc pod uwagę, o jakie „strzelanie” mu chodziło, w tym stwierdzeniu zawarta była pochwała.

Heinrich odwrócił wzrok.

- Może i tak - powtórzył i na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. - A może i nie. Tak się złożyło, że w tym samym momencie Jeff i Lany obsypywali Mike[^] i Franka pochwałami. Młodzi mężczyźni właśnie zdali sobie sprawę, co zamierza Mike, ustawiając większość wojsk amerykańskich na przeciwnym zboczach wzgórza, zaraz za jego szczytem. W tamtym miejscu byli niewidoczni dla wroga aż do momentu, gdy zostaną wezwani.

- Mike, ale z ciebie spryciarz! - wykrzyknął Larry.

Mike szybko wskazał kciukiem na Franka.

290

Erie Flint

- Jemu to powiedz, nie mnie. To on jest starym wygą, ja tylko idę za jego radą.

Spojrzeli więc z podziwem na Jacksona.

- Zupełnie jak Wellington pod Salamanką- wyrecytował Jeff.

- I pod La Haye Sainte⁴⁵ - dodał Lany. Frank zmarszczył brwi.

- Pieprzony zdrowy rozsądek, to wszystko. Nauczyłem się tej sztuczki od pewnego sierżanta w Wietnamie, a on chyba nauczył się tego od Ludowej Armii Wietnamu. A kim, do diabła, jest Wellington?

Jeff i Lany wytrzeszczyli na niego oczy. Wreszcie Jeff powiedział cicho:

- To ten facet od twoich ulubionych butów⁴⁶. Dopiero teraz Frank był pod wrażeniem.

- Aaa, ten. To dobry człowiek, kimkolwiek był.

W tym samym momencie Gretchen zadała pierwszy cios innemu wrogowi - znacznie mniej namacalnemu i trudniejszemu do pokonania.

-Dobrze - powiedziała Mathilde. W jej głosie brzmiał strach i niepewność. Szybko spojrzała na pozostałe cztery kobiety siedzące na siennikach pod ścianami. Dwie z nich były siostrami Mathilde, pozostałe dwie kuzynkami. Obie kuzynki i jedna z siostr niańczyły dzieci.

Ich twarze odzwierciedlały strach i wątpliwości Mathilde.

- Nie proszę was o branie na siebie zbyt dużego ryzyka - powiedziała Gretchen. - Sądzę, że jutro wszystko będzie dla was dużo łatwiejsze. Gdy bitwa zostanie wygrana, wysocy i potężni dostojnicy Jeny nie będą nikogo pochopnie oskarżać o czary.

Kobiety ciągle były wystraszone. Strach i zdenerwowanie towarzyszyły im od momentu, gdy Gretchen zbliżyła się do Mathilde i jednej z jej kuzynek, kiedy stały w tłumie i przyglądały się maszerującej armii amerykańskiej. Gretchen wybrała je, kierując się częściowo instynktem, ale głównie własnym ciężkim doświadczeniem. Umiała rozpoznać kobiety w desperacji i, co ważniejsze, kobiety, które zachowały siłę charakteru.

Były wystraszone i zdenerwowane, ale Gretchen wiedziała, że dokonała dobrego wyboru.

Kobiety słuchały, kiedy mówiła, bez śladu protestu czy próby wyrzucenia jej z ich żałostnego mieszkania w najpodlejszych slumsach Jeny.

Mathilde i jej wielopokoleniowa rodzina były częścią ogromnej grupy biednych kobiet, wpędzonych przez wojnę w tarapaty. Wszystkie były uciekinierkami z Palatynatu, które znalazły schronienie w Jenie. Wszyscy dorośli mężczyźni z ich rodziny nie żyli lub byli daleko, pozostał jedynie kaleki wujek Mathilde, który spał cicho w chacie obok.

Mathilde i najładniejsza z jej kuzynek utrzymywały rodzinę z nierządu. Jena była dobrym miejscem do tego rodzaju „handlu”, gdyż była tu duża populacja studentów płci męskiej, z których większość pochodziła z arystokracji lub zamożnego mieszczaństwa. Ale chociaż Jena dawała im schronienie, było ono bardzo niepewne. Od

niemal wieku, czyli od czasu, kiedy zaczęło się szaleństwo polowania na czarownice, to właśnie takie nieszczęsne istoty jak one były oskarżane o czary. Zarzutów właściwie nie dało się zbić, o ile dostojnicy w ogóle mieli ochotę słuchać zapewnień o niewinności, co miało miejsce bardzo rzadko.

- Zaufajcie mi - oświadczyła Gretchen. - Gdy minie dzisiejszy dzień, dostojnicy będą już mniej pyszni.

- Jesteś pewna? - spytała jedna z kuzynek. W jej głosie czuło się ślad nadziei. Jedyną odpowiedzią Gretchen było spokojne spojrzenie. Ale to wystarczyło. Mimo strachu kobiety były nią zauroczone. Widać było, że jest jedną z nich, a jednak wydawała się taka... Spokojna. Pewna siebie. Opanowana.

Silna. Nigdy nie widziały takiej kobiety, zwłaszcza w ich warstwie społecznej.

- Dobrze - powtórzyła Mathilde, tym razem znacznie pewniej. - Zrobimy tak, jak mówisz, Gretchen. Zaczniemy tutaj, wśród nas. Są też inne, z którymi możemy porozmawiać. -

Mathilde spojrzała na siostry i kuzynki. - Sądzę, że Hannelore. I Maria.

Jedna z sióstr skinęła głową. Kuzynka Mathilde, Inga (druga z ulicznic), uśmiechnęła się i zaczęła mówić tak szybko, jakby pękła w niej jakaś bariera.

- Ze studentami też łatwo pójdzie. Mogę wymienić od razu przynajmniej trzech. Joachim, Fritz i Kurt, a szczególnie Joachim. Jest bardzo miły, zawsze chce ze mną rozmawiać. Dużo rozmyśla o polityce; wiem o tym, mimo że nie rozumiem połowy rzeczy, które opowiada. Chciałabym, żeby nie miał ciągle problemów z pieniędzmi, wtedy mógłby częściej przychodzić.

Mathilde zaśmiała się.

- Przychodzi wystarczająco często, dziewczyno! Co za idiotka pozwala na to, żeby klient był jej dłużny pieniądze?

Inga zarumieniła się.

- Lubię go - odpowiedziała z uporem. - Co z tego, że nie zawsze może zapłacić? Nigdy mnie nie oszukuje. Zawsze oddaje wszystko, co jest mi winien, jak tylko rodzice przyślą mu pieniądze.

Mathilde nie naciskała więcej; właściwie sama też lubiła Joachima. Ale wzmianka o jego imieniu wywołała kolejne zmartwienie.

- Studentom będzie łatwo z tymi... Jak to nazwałaś?

- Komitety korespondencyjne⁴⁷ - odparła Gretchen.

- Tak. Dla nich to będzie łatwe. Ale dla nas? Inga jest jedyną osobą, która potrafi się podpisać.

292

Erie Flint

Gretchen przyjrzała się kobietom badawczo.

- Wszystkie jesteście niepiśmienne? - Pięć głów odpowiedziało skinieniem. Usiadła prosto. Ponieważ zajmowała jedyne krzesło w chacie, górowała nad resztą. W połączeniu z jej urodą sprawiało to, że wyglądała jak bogini ogniska domowego.

-A więc to pierwsza rzecz, którą zmienimy. - Jej oczy spoczęły na najmłodszej z kobiet, właściwie jeszcze dziewczynce. Miała na imię Gertrudę i była siostrą Mathilde. Dopiero co skończyła piętnaście lat, ale już widać było, że będzie tak samo atrakcyjna jak Mathilde. W normalnych okolicznościach przed kolejnymi urodzinami zostałaby prostytutką.

Ale okoliczności się zmieniły. Rodzina została zaadoptowana przez boginię ogniska domowego, która właśnie po raz pierwszy ogłosiła swoją wolę.

- Gertrudę pojedzie ze mną do Grantville. Umieścimy ją w szkole.

Nie padło ani jedno słowo protestu. Pierwszy komitet korespondencyjny ciągle był wystraszony, ciągle niepewny, ciągle szukał po omacku wyjaśnień. Ale po raz pierwszy

dotknął nadziei. Poza tym kobiety z ich warstwy społecznej nie dyskutują boginią, nawet taką, która mówi ich językiem. Szczególnie z taką.

Mathilde odchrząknęła.

- Porozmawiasz ze studentami, jeśli my... - szukała odpowiednich słów - zorganizujemy spotkanie!

Gretchen uśmiechnęła się.

- Ja? Bzdura! No, przynajmniej nie sama - parsknęła. - Durni chłopcy będą myśleć tylko o tym, jak wyglądam nago.

Delikatny śmiech wypełnił chatę. Uśmiech Gretchen był teraz szerszy niż kiedykolwiek i trochę bardziej lodowaty.

- Nie, nie, przyjdę, ale wezmę ze sobą męża. On sam jest uczonym - ja nie jestem - i studenci łatwiej go zrozumieją.

- Widziałam go, kiedy przybyliście do miasta. Ojej! - zachichotała Inga. - Będą się go również bali.

Gretchen poczuła ciepło w okolicy serca. Na pewno wspomni o tym Jeffo-wi. Lubiła sprawiać mężowi przyjemność, nawet jeśli chodziło tylko o męską głupotę.

Jednak nie pokazała tego po sobie. Jej oczy były zimne i srogie.

- Tak, będą. Sehr gut!

•Rnzhztał 39

Mikę ukląkł obok Julie Sims. Siostrzenica Franka siedziała po turecku kilka metrów od wierzchołka wzniesienia, w pobliżu niewielkiego drzewa. Był to jakiś rodzaj wiązu; jego liście jeszcze nie nabrały jesiennych kolorów.

Karabin Julie był oparty o jej ramię, a kolba dotykała wewnętrznej strony łydki. Był to Remington 700, kaliber 7,82 milimetra, z celownikiem teleskopowym ART-2. Broń miała kaliber większy od tej używanej w zawodach biatlo-nowych, ale właśnie taki karabin Julie wolała na polowania. Ojciec kupił go jej trzy lata wcześniej.

Obok klęczała Karen Tyler, która miała jej pomagać jako obserwatorka. Karen miała zawieszoną na szyi lornetkę, ale obecnie obserwowała nadchodzących najemników przez lunetę M49. Ten drogi przyrząd optyczny, tak samo jak narty Julie, był wkładem Franka w jej rosnące ambicje biatlonowe. Mikę wiedział, że mimo ciągłego zrządzenia Frank uwielbia tę dziewczynę tak samo, jak każdego ze swych rodzonych synów.

- Jesteś pewna? - spytał Mikę tak cicho, żeby tylko Julie mogła go usłyszeć. Usta Julie drgnęły, ale jej oczy ciągle obserwowały krajobraz u stóp wzgórza.

- Co, ty też będziesz mi prawić kazania? Mikę pokręcił poważnie głową.

- Spójrz na mnie, Julie.

Mimo że wypowiedziane cicho, jego słowa zabrzmiały władczo. Julie zwróciła ku niemu twarz. Jak zwykle Mike'a uderzyły jej „typowo amerykańskie” rysy. Cera jak krew z mlekiem, jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy, szczerza

294

Erie Flint

twarz, zadarty nos. Nikt z wyjątkiem zakochanego w niej mężczyzny nie nazwałby Julie piękną. Była po prostu ładna.

Mikę skinął na Karen, która teraz zamieniła celownik na lornetkę, dokładnie tak, jak ją wyszkolił James Nichols. „Do badania terenu używaj lornetki, a celownik wykorzystuj do precyzyjnego namierzania celów” Obok jej kolana leżał niewielki notes, w którym Karen nabazgrała położenie celów i kierunek wiatru. Strona z lokalizacją celów była pełna, na przeciwnej stronie widniały tylko dwa słowa: brak wiatru.

- To nie jest strzelanie do celu, Julie, ani polowanie na jelenie. W ciągu ostatnich kilku tygodni James szkolił cię tak, jak go nauczono na kursie snajperskim w piechocie morskiej. Julie nic nie odpowiedziała; jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Zastanawiałaś się może, dlaczego on nie ukończył szkolenia? - zapytał delikatnie.

Nic. Mikę westchnął.

- Powiedział mi. I założyłem się, że tobie też powiedział. Sądził, że bycie twardzielem i dobrym strzelcem wystarczy. Ale nie wystarczy. Oni upewniają się, że to rozumiesz, i możesz się wycofać, kiedy tylko chcesz.

Znowu nic.

- Kiedy w końcu to zrozumiał, zrezygnował. Po prostu nie miał odpowiedniego charakteru. Wiem, że ja też bym nie miał. Jeden strzał, jeden trup. A zabijasz ludzi, nie zwierzęta. Ludzi, których twarze widzisz.

W końcu na młodej, niemal anielskiej twarzy pojawiła się jakaś zmiana. Ale Mikę nie mógł jej zrozumieć. Sarkazm? Nie, chyba raczej rozbawienie.

- Czy wujek Frank opowiadał ci historię - spytała - o tym, jak pierwszy raz wyruszyłam na polowanie na jelenie? O tym, jak płakałam jak dziecko, kiedy zastrzeliłam pierwszego kozła? Mikę skinął głową. Na twarzy Julie pojawiła się już wyraźna drwina.

- Wiesz dlaczego? Ten jeleni był przepiękny. I nigdy nie wyrządził mi krzywdy. - Julie uniosła głowę w kierunku obserwatorki, dziewczyny w jej wieku, kolejnej absolwentki szkoły średniej. Wyglądały jak dwie krople wody, poza tym że Karen była szczupła tam, gdzie Julie nie była.

- Ej, Karen! Czy ci faceci wydają ci się ładni? Karen przełożyła gumę do żucia na drugą stronę ust.

- Nie, to brzydkie sukinsyny i podle wyglądają. Bardziej jak dzikie psy niż śliczne małe jelenki.

Julie obnażyła zęby. Jej dziki uśmiech zupełnie nie pasował do osiemnastoletniej osoby.

- Tak właśnie myślałam. Ej, Karen! Jak myślisz, co oni zrobią- znaczy tobie i mnie -jak nas dorwą?

Karen ponownie zaczęła żuć gumę.

- Stara, nawet nie chcę o tym myśleć. Ale powiem ci jedno: na pewno nie będą próbowali nas zaciągnąć na tylne siedzenie samochodu za pomocą miłej gadki. Raczej nie.

Uśmiech znikł z twarzy Julie, ale drwina w jej oczach jeszcze się spotęgowała. Posłała Mike'owi spokojne spojrzenie.

- Na tym właśnie polega problem dopuszczenia facetów do walki - powiedziała poważnie. - Wy po prostu podchodzicie do całej sprawy zbyt emocjonalnie.

- Dobra, Julie, wystarczy! - zaśmiał się Mikę. - Ja tylko się upewniałem.

- W porządku, Mikę. Ja też cię lubię, ale poradzę sobie. Daj mi tylko znak, a zacznę skurwieli zdejmować.

Mikę potrząsnął lekko głową. Ten gest wyrażał bardziej zrezygnowanie niż cokolwiek innego. Wstał.

- Jak daleko są, Karen? Wygląda na około sześciuset metrów.

- Coś koło tego - padła odpowiedź. - Ci jeźdźcy z przodu trochę bliżej. Rozstaje dróg są około pięciuset pięćdziesięciu metrów stąd, a oni już tam prawie dotarli.

- Macie ustalone pozycje? - Obydwie dziewczyny przytaknęły. - No to w porządku. Chcę trochę poczekać, żeby ich nie wystraszyć, zanim Szkoci będą mogli ich otoczyć. Mam zamiar pojmać tę armię; nie pozwolę, żeby się rozbiegli i zaatakowali jakieś inne miasto.

Mikę odwrócił głowę, szukając Mackaya. Stał obok Franka Jacksona, jakieś piętnaście metrów dalej. Wcześniej Mikę poprosił szkockiego dowódcę, aby pozostał z nim jako doradca, a Mackay dosyć chętnie na to przystał. Właściwie nawet dużo chętniej niż Mikę przypuszczał. Wtedy przypisywał tę jego gorliwość zaufaniu, jakim Mackay darzył Lennox, teraz jednak widząc, w jaki sposób Szkot obserwuje Julie, zdał sobie sprawę, że on ma w tym swój własny

Usiłował powstrzymać uśmiech. Widział, jak Mackay starał się wcześniej nie patrzeć pożądliwie na Julie w stroju cheerleaderki, i prawdę mówiąc, to mu się udawało, pomimo sprawności fizycznej Julie i jej odsłoniętych nóg. Ale teraz, kiedy dziewczyna miała na sobie luźny strój do polowania, znacznie trudniej wychodziło mu kurtuazyjne zachowanie. Szkot wydawał się nią całkowicie zafascynowany.

-Eee... Alex?

Zaskoczony Mackay szybko odwrócił spojrzenie od Julie.

-Tak?

Mikę wskazał ręką na zbliżających się najemników.

- Jak bardzo muszą się zbliżyć, żeby Lennox mógł ich okrążyć, zanim zdążą uciec?

Mimo młodego wieku Mackay był doświadczonym oficerem kawalerii i ocena sytuacji zajęła mu zaledwie kilka chwil.

296

Erie Flint

- Czterysta metrów - padła pewna odpowiedź. - Jak tylko wszyscy miną rozstaje dróg. To wystarczy.

Mikę odwrócił się z powrotem do Karen i Julie. Ta ostatnia patrzyła w dziwny sposób na Mackaya. Później szybko odwróciła wzrok, wając w rękę karabin. Na jej policzkach być może pojawił się słaby rumieniec. Być może.

- Wiesz, ona ma chłopaka - rzekł swobodnie Mikę, jakby komentował pogodę.

Rumieniec Mackaya absolutnie nie był słaby. Tym razem Mikę się uśmiechnął.

- Tylko że Frank nie ma o nim dobrego zdania. Jackson nawet nie odsunął lornetki od oczu.

- Dla mnie to bezwartościowy zarozumialec. Uważa, że skoro był kapitanem drużyny futbolowej w średniej szkole, to do końca życia zostanie grubą rybą. Najprawdopodobniej następne trzydzieści lat spędzi sprzedając hamburgery.

Opuścił lornetkę. Jego twarz była bez wyrazu.

- Wolałbym, żeby trzymała się jakiegoś poważniejszego faceta, nawet gdyby nie był piękny jak obrazek.

Zapadła cisza. Mackay tak wpatrywał się w najemników, jakby nigdy wcześniej nie widział wroga. Miał zaciśnięte usta.

- Przejmujesz się swoimi zębami? - zapytał Frank. - Czemu nie odwiedzisz naszego dentysty? Pamiętaj, że będzie bolało, bo skończyły mu się środki znieczulające, ale jestem pewien, że byłby w stanie je wyleczyć.

Rumieniec Mackaya jeszcze się pogłębił. Mikę zdawał sobie sprawę, że przez swoje zęby Szkot czuł się bardzo nieswojo wśród Amerykanek. Jak na czasy, w których żył, i jak na swój wiek Alex miał zęby w całkiem niezłym stanie, ale według standardów amerykańskich były prawdziwą torturą dla oczu.

Zdenerwowanie sprawiło, że Mackay przerzucił się na dialekt swojej młodości.

- Myślałem o tym - wymamrotał. - Bólu sie nie boje.

Mikę ani przez chwilę nie wątpił w prawdziwość jego słów. Różnica między tolerancją na ból Amerykanów i ludzi żyjących w czasach Mackaya była taka sama, jak różnica w stanie ich uzębienia. „Środek znieczulający" dla człowieka takiego jak Alex oznaczał pół butelki wina. Szkot przeciągnął językiem po zębach.

- Nie chodzi o ból, tylko o koszt. Nie wiem, czy mnie na to stać. Frank wydał z siebie słabe parsknięcie, a może raczej prychnięcie.

- Do diabła, nie martw się o to, Alex. Nie będziesz miał problemu z kredytem.

- Z kredytem? - Mackay wytrzeszczył oczy. - Z kredytem? Przecież ja nawet nie znam tego człowieka!

- Ale ja znam. To mój szwagier, Henry G. Sims, chirurg dentystyczny. -Kiwnął głową w kierunku Julie. - Tak się składa, że to jej ojciec. I wcale nie ma o tym zasrańcu Chipie lepszego zdania niż ja.

Podniósł lornetkę do oczu.

- Więc pójdz do niego, dobra?

- Świetny pomysł - rzekł Mikę i klepnął Mackaya przyjaźnie po ramieniu. - Świetny pomysł.

* * * Gretchen właśnie miała opuścić chatę, kiedy do środka wpadł młody chłopak.

Rozpoznała go; był to jeden z dwóch młodszych braci Mathilde.

- Max Jungers jest na zewnątrz! - syknął. Miał niespokojny wyraz twarzy. Gretchen spojrzała na Mathilde. Jej twarz również stężała z obawy.

- Cholera! Miałam nadzieję, że wreszcie da nam spokój.

- Kim jest Max Jungers? - spytała Gretchen.

Wszystkie kobiety zaczęły jednocześnie wyrzucać z siebie słowa. To miejscowy oprych.

Chuligan. Złodziej. Kieszonkowiec. Niedoszły alfons.

- Normalne - mruknęła. - Naprzykrza się wam?

Kobiety przytaknęły. Młodszy brat Mathilde patrzył na nią uparcie szeroko otwartymi oczami.

- Myślę... - pisnął i odchrząknął. - Myślę, że nie o to mu chodzi. - Zawahał się. - Myślę, że...

Gretchen zaśmiała się. Jej śmiech był jak ostrze żyletki.

- Chodzi o mnie?

Chłopak szybko, z obawą skinął głową. Gretchen podniosła się z krzesła.

- W takim razie chyba powinnam z nim porozmawiać, skoro przyszedł tak daleko tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć.

I wyszła energicznym krokiem z chaty. Kobiety jeszcze przez chwilę kucały z szeroko otwartymi ustami, zanim dotarło do nich, co się stało. Wtedy szybko rzuciły się do drzwi i wyrzwały na zewnątrz.

Rzeczywiście był to Max Jungers. Na widok Gretchen uśmiechnął się i zaczął powoli iść w jej kierunku. Jego ręka spoczywała swobodnie na rękojeści sztyletu schowanego w pochwie u pasa.

- Cholera! - wykrzyknęła Mathilde. - Będą kłopoty. Jej kuzynka, Inga, pokiwała ze smutkiem głową.

- Szkoda, polubiłam Gretchen. Mathilde spojrzała na nią przeciągle.

- Zwariowałaś? Wciąż nie rozumiesz?

- Czteryście metrów! - rzuciła Karen. Zanim skończyła mówić, remington Julie wypalił. Mniej niż sekundę później najbardziej krzykliwie wystrojony

296

Erie Flint

- Czteryście metrów - padła pewna odpowiedź. - Jak tylko wszyscy miną rozstaje dróg. To wystarczy.

Mikę odwrócił się z powrotem do Karen i Julie. Ta ostatnia patrzyła w dziwny sposób na Mackaya. Później szybko odwróciła wzrok, wążąc w rękę karabin. Na jej policzkach być może pojawił się słaby rumieniec. Być może.

- Wiesz, ona ma chłopaka - rzekł swobodnie Mikę, jakby komentował pogodę.

Rumieniec Mackaya absolutnie nie był słaby. Tym razem Mikę się uśmiechnął.

- Tylko że Frank nie ma o nim dobrego zdania. Jackson nawet nie odsunął lornetki od oczu.

- Dla mnie to bezwartościowy zarozumialec. Uważa, że skoro był kapitanem drużyny futbolowej w średniej szkole, to do końca życia zostanie grubą rybą. Najprawdopodobniej następne trzydzieści lat spędzi sprzedając hamburgery.

Opuścił lornetkę. Jego twarz była bez wyrazu.

- Wolałbym, żeby trzymała się jakiegoś poważniejszego faceta, nawet gdyby nie był piękny jak obrazek.

Zapadła cisza. Mackay tak wpatrywał się w najemników, jakby nigdy wcześniej nie widział wroga. Miał zaciśnięte usta.

- Przejmujesz się swoimi zębami? - zapytał Frank. - Czemu nie odwiedziś naszego dentysty? Pamiętaj, że będzie bolało, bo skończyły mu się środki znieczulające, ale jestem pewien, że byłby w stanie wyleczyć.

Rumieniec Mackaya jeszcze się pogłębił. Mikę zdawał sobie sprawę, że przez swoje zęby Szkot czuł się bardzo nieswojo wśród Amerykanek. Jak na czasy, w których żył, i jak na swój wiek Alex miał zęby w całkiem niezłym stanie, ale według standardów amerykańskich były prawdziwą torturą dla oczu.

Zdenerwowanie sprawiło, że Mackay przerzucił się na dialekt swojej młodości.

- Myślałem o tym - wymamrotał. - Bólu się nie boję.

Mikę ani przez chwilę nie wątpił w prawdziwość jego słów. Różnica między tolerancją na ból Amerykanów i ludzi żyjących w czasach Mackaya była taka sama, jak różnica w stanie ich uzębienia. „Środek znieczulający” dla człowieka takiego jak Alex oznaczał pół butelki wina. Szkot przeciągnął językiem po zębach.

- Nie chodzi o ból, tylko o koszt. Nie wiem, czy mnie na to stać. Frank wydał z siebie słabe parsknięcie, a może raczej prychnięcie.

- Do diabła, nie martw się o to, Alex. Nie będziesz miał problemu z kredytem.

- Z kredytem? - Mackay wytrzeszczył oczy. - Z kredytem? Przecież ja nawet nie znam tego człowieka!

- Ale ja znam. To mój szwagier, Henry G. Sims, chirurg dentystyczny. - Kiwnął głową w kierunku Julie. - Tak się składa, że to jej ojciec. I wcale nie ma o tym zasrańcu Chipie lepszego zdania niż ja.

Podniósł lornetkę do oczu.

- Więc pójdz do niego, dobra?

- Świetny pomysł - rzekł Mikę i klepnął Mackaya przyjaźnie po ramieniu. - Świetny pomysł. Gretchen właśnie miała opuścić chatę, kiedy do środka wpadł młody chłopak. Rozpoznała go; był to jeden z dwóch młodszych braci Mathilde.

- Max Jungers jest na zewnątrz! - syknął. Miał niespokojny wyraz twarzy. Gretchen spojrzała na Mathilde. Jej twarz również stężała z obawy.

- Cholera! Miałam nadzieję, że wreszcie da nam spokój.

- Kim jest Max Jungers? - spytała Gretchen.

Wszystkie kobiety zaczęły jednocześnie wyrzucać z siebie słowa. To miejscowy oprych.

Chuligan. Złodziej. Kieszonkowiec. Niedoszły alfons.

- Normalne - mruknęła. - Naprzykrza się wam?

Kobiety przytaknęły. Młodszy brat Mathilde patrzył na nią uparcie szeroko otwartymi oczami.

- Myślę... - pisnął i odchrząknął. - Myślę, że nie o to mu chodzi. - Zawahał się. - Myślę, że... Gretchen zaśmiała się. Jej śmiech był jak ostrze żyletki.

- Chodzi o mnie?

Chłopak szybko, z obawą skinął głową. Gretchen podniosła się z krzesła.

- W takim razie chyba powinnam z nim porozmawiać, skoro przyszedł tak daleko tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć.

I wyszła energicznym krokiem z chaty. Kobiety jeszcze przez chwilę kucały z szeroko otwartymi ustami, zanim dotarło do nich, co się stało. Wtedy szybko rzuciły się do drzwi i wyrzwały na zewnątrz.

Rzeczywiście był to Max Jungers. Na widok Gretchen uśmiechnął się i zaczął powoli iść w jej kierunku. Jego ręka spoczywała swobodnie na rękojęści sztyletu schowanego w pochwie u pasa.

- Cholera! - wykrzyknęła Mathilde. - Będą kłopoty. Jej kuzynka, Inga, pokiwała ze smutkiem głową.

- Szkoda, polubiłam Gretchen. Mathilde spojrzała na nią przeciągle.

- Zwariowałaś? Wciąż nie rozumiesz?

- Czteryście metrów! - rzuciła Karen. Zanim skończyła mówić, remington Julie wypalił. Mniej niż sekundę później najbardziej krzykliwie wystrójony

298

Erie Flint

„dowódca” najemników został wyrzucony z siodła. Julie używała selekcjonowanej amunicji. Ważący 11,2 grama nabój ze ścięciem łódkowym przebił się na wylot przez środek kirysu, zabierając ze sobą spory kawałek serca.

Julie nie była wyjątkowo wysoka jak na Amerykankę - miała metr sześćdziesiąt pięć - i ważyła jakieś sześćdziesiąt cztery kilogramy. Swoją zgrabną sylwetkę zawdzięczała tylko i wyłącznie mięśniom, dlatego teraz bez najmniejszego trudu zamortyzowała odrzut broni. Szybkim wyćwiczonym ruchem wepchnęła do komory kolejny nabój.

- Strefa numer sześć! - krzyknęła Karen. - Trzysta pięćdziesiąt metrów. Kapelusz z zielonym piórem!

Z tej odległości Julie nie musiała martwić się o celność. Namierzenie kolejnego celu zajęło jej tylko kilka sekund.

Trzask! Z głowy ozdobionej kapeluszem z zielonym piórem wyciekła krew i mózg. Jeździec spadł ciężko z siodła.

- Kurwa - mruknęła Julie. - Spudłowałam!

Oczy Mackaya były wielkości spodków. Mikę był na wpół rozbawiony, a na wpół przerażony. Dziewczyna celowała w coś, co James określał mianem „trójkąta snajperskiego”, utworzonego przez oczy i mostek. Ten strzał był trochę za wysoko.

- Strefa numer trzy! Znowu trzysta pięćdziesiąt metrów. Duży, stary, opadający kapelusz! - krzyknęła Karen.

Trzask! Kawalerzy sta został zrzucony z siodła na zad konia. Na jego sukiennym płaszczu, tuż powyżej sprzączki od paska, pojawiła się czerwona plama. Dużo większa kałuża krwi spływała z ogona jego wierzchowca.

- Jasna cholera! - wrzasnęła Julie i ze złością wepchnęła kolejny nabój do komory. Frank pospieszył do niej. Mikę widział, jak ranny kawalerzysta trzyma się za brzuch, a jego nogi uderzają o boki konia, aby się na nim utrzymać. Mężczyzna miał przecięty rdzeń kręgowy. Chwilę później spadł z wierzchowca; plasnął o ziemię jak ciężki worek.

- Strzał w dziewiątkę - powiedział cicho Mikę. - Jest trochę zdenerwowana - dodał i spojrzał na Mackaya. Szkot patrzył na Julie szeroko otwartymi oczami.

Karen zaczęła wywoływać kolejny cel, ale Frank dał jej znak, żeby się wstrzymała.

Trzymając rękę na ramieniu siostrzenicy, próbował ją uspokoić.

- Wyluzuj, maleńka. To tylko trema, nic więcej. Sukinsyny padają, a zatem nie chybiasz, po prostu nie trzymasz wysokości. Łatwo to poprawić. Odetchnij tylko głęboko, wyluzuj.

Julie wzięła głęboki oddech i powoli zaczęła się uspokajać. Rzuciła wujkowi szybki, pełen wdzięczności uśmiech. Frank uśmiechnął się w odpowiedzi, ale zaraz srogo zmarszczył brwi.

- I niech to będzie ostatni raz, kiedy używasz takiego słownictwa, młoda damo! - pogroził jej palcem.

- I kto to mówi? - spytała Julie. - Wulgarny Frank we własnej osobie? Ha!

Następnie spojrzała z uśmiechem na Karen.

- Dawaj ich!

Karen od razu powróciła do pracy.

- Strefa pierwsza! Czteryście metrów! Grubas!

Trzask! Tęgi oficer zgubił parę kilo... dokładnie w okolicy serca. Strzał był idealny.

Pozostałe były takie same. Trzask! Trzask! Trafiony! Trafiony!

Frank przeładował za Julie, a tymczasem ona dała odpocząć ramieniu. Ale po paru chwilach wróciła do pracy.

Trzask! Trzask! Trzask! Trzask!

- Oto prawdziwa pogromczyni serc - wyszeptał Mackay.

* * * Gretchen zatrzymała się parę metrów przed Jungersem. On również stanął, przyglądając się jej z pożądliwym uśmiechem. Zdjął rękę ze sztyletu i podparł się pod boki.

- No, dziewczyno, wydaje mi się...

- Widziałeś mojego męża? - przerwała mu Gretchen.

Umilkł. Przez chwilę jego twarz była bez wyrazu, a potem pożądliwe spojrzenie powróciło. A właściwie zastąpiło je szyderstwo.

- Ten duży, gruby? Nie przejmuję się nim.

- Nie ma powodu - zgodziła się Gretchen i uśmiechnęła się. Jej uśmiech był jak ostrze żyłki.

- On pewnie próbowałby ci przemówić do rozsądku. Dlatego tak bardzo go kocham.

Sięgnęła do gorsetu i wyciągnęła pistolet kaliber 9 milimetrów. Jej ruchy były spokojne i opanowane. Również wtedy, kiedy odbezpieczyła zamek i przykucnęła w pozycji strzeleckiej. Uniosła oburącz broń, tak jak uczył ją Dan Frost podczas wielu godzin ćwiczeń na strzelnicy. Junger otworzył szeroko oczy. Nawet nie pomyślał, żeby wyciągnąć sztylet. Dopóki nie padł pierwszy strzał, który rozerwał jego mózg, nawet nie zdawał sobie sprawy, że Gretchen trzyma w dłoniach pistolet.

Gretchen podeszła, wycelowała w leżące na ulicy ciało i ponownie wystrzeliła. Tym razem w serce. Nie było to konieczne, ale Dan uczył ją, żeby strzelać w korpus. „Strzały w głowę tylko wtedy, kiedy mają na sobie broję” - powtarzał w kółko. Gretchen czuła się troszkę winna, ale nie mogła się oprzeć pokusie zmazania tego paskudnego uśmiechu z jego twarzy.

Najemnicy kotłowali się w panice. Ze sterczącymi na wszystkie strony pikami przypominali jeżozwierza. Dziesiątki arkebuzów pluły ogniem na oślep w stronę pobliskich zarośli.

300

Erie Flint

- Niech mnie szlag - syknął Mikę. - Oni nawet nie zdają sobie sprawy, kto ich zabija.

- Z takiej odległości? - zakrztusił się Mackay. - Nie mają zielonego pojęcia! - Młodemu dowódcy w końcu udało się oderwać wzrok od Julie i spojrzeć za siebie. Daleko w dole Lennox patrzył na niego z wysoko uniesioną głową i czekał na rozkazy.

Alex zdarł z głowy kapelusz i zamachał nim. Lennox spał konia ostrogami, wykrzykując rozkazy. Nie minęło trzydzieści sekund, a szkocka kawaleria galopowała wokół wschodniego krańca niewielkiego wzniesienia, korzystając z rozstajów dróg, żeby otoczyć lewą flankę najemników.

W ciągu tych trzydziestu sekund Julie zdobyła kolejne trzy serca. Najemnicy w końcu zdali sobie sprawę, że na cel brani są tylko oficerowie, więc wszyscy pozostali przy życiu jeźdźcy zleźli na ziemię, a ci, którzy mieli wyszukane nakrycia głowy, natychmiast je zrzucili, jakby to były jadowite węże.

Mikę usłyszał, jak Karen mruczy pod nosem.

- Teraz muszę wybierać na chybił trafił. Okej, strefa trzecia...

- Dosyć! - krzyknął Mikę. - Przestań, Julie! Wystarczy!

Podniósł do oczu lornetkę. Najemnicy i ciury obozowe stłoczyli się, tworząc poszarpany okrąg. Masakra autorstwa Julie sprawiła, że ogarnął ich popłoch. Nie wiedzieli, kto ich atakuje, więc zajęli pozycje, które pozwoliłyby im kontratakować w dowolnym kierunku natychmiast po dostrzeżeniu wroga. Jednak w momencie, kiedy ujrzeni szkocką kawalerię wylewającą się zza grzbietu wzniesienia, było już za późno nawet na myślenie o ucieczce. Większość z nich była pieszo, a oficerowie bali się ponownie wsiąść na konie.

Mikę odwrócił się. Tuż za nim stała Gayle z CB radiem.

- TROP, ruszajcie - przekazał rozkaz. - Pamiętajcie, chłopaki, chcę kapitulacji, a nie rzezi. Zaczynajcie więc od głośników.

Silnik transportera obudził się z wyciem do życia. Heinrich i jego ludzie natychmiast rozstąpili się na boki, tworząc przejazd. Chwilę później jeden z Niemców, który stał przy głośnikach, zaczął wykrzykiwać warunki kapitulacji.

- Jesteście otoczeni! Odłóżcie broń! Oszczędzimy każdego nieuzbrojonego mężczyznę. Wasze kobiety i przedmioty, które posiadacie, pozostaną nienaruszone. Odłóżcie broń! Przedstawimy wam warunki nowego werbunku. Dobry żołądek, jedzenie i schronienie. Ale tylko dla nieuzbrojonych. Odłóżcie broń! Oszczędzimy każdego...

I tak w kółko. Zanim transporter dotarł do najemników - sześćset metrów od wzniesienia - wielu z nich zaczęło już odkładać arkebuz i piki. Po północnej stronie wzgórza Szkoci otoczyli już grupę najemników, którzy zaczęli się w pośpiechu rozbrajać.

- Połączenie starego i nowego - pomyślał na głos Mikę. W tych czasach pokonani żołnierze często przechodzili na stronę przeciwnika, nawet jeśli transporter i karabiny (które trafiały bezbłędnie z odległości czterystu metrów) sprawiały wrażenie magii.

Odwrócił się do Mackay a, ale myśli Szkota błędziły gdzie indziej.

- Boże Przenajświętszy - szeptał Alex. - Brałem udział w... Ile tego było? Niech będzie w sześciu bitwach, ale nigdy nie zabiłem tylu ludzi. W całym moim życiu.

Mikę podążył za jego spojrzeniem. Julie oparła karabin o drzewo i patrzyła na wroga z założonymi rękami i kamienną twarzą. Frank położył dłoń na jej ramieniu i lekko ścisnął. Julie przykryła dłonią rękę wujka, ale poza tym...

Nic.

- Poradzisz sobie z tym, młody człowieku? - spytał cicho Mikę. Nie odwracając wzroku, Mackay przeciągnął językiem po zębach.

- Gdzie pracuje dentysta? - zapytał.

- Osobiście cię tam zabiorę - uśmiechnął się Mikę. - Tak się składa, że ja też nie mam o chłopaku Julie lepszego zdania niż Frank czy Henry.

* * *

- Będą kłopoty - wymamrotała Mathilde. Stała obok Gretchen, nie dalej niż trzy metry od ciała Jungersa, i szarpała ją za rękaw. - Chodź, to był nic niewart śmieć. Jeśli nas nie będzie, kiedy dotrze tutaj straż, potraktują to jak kolejne uliczne morderstwo.

Gretchen spojrzała na nią i lekko wytrzeszczyła oczy.

- Ależ ja chcę, żeby się tym zajęli - odpowiedziała. I mimo próśb Mathilde nie ruszyła się z miejsca.

- I co teraz powiesz, mądralo? - Heinrich uśmiechnął się szeroko do Ferdinanda. - Brałeś kiedyś udział w takiej łatwej bitwie?

Rozłożył ramiona i zaczął uważnie oglądać swoje ubranie.

- Spójrz! Ani drobinki pyłu, a tym bardziej krwi i flaków.

Ferdynand rzucił mu gniewne spojrzenie, które trwało tylko chwilę, a następnie uniósł głowę i zaczął wpatrywać się w dziewczynę stojącą pod niewielkim drzewem na szczycie wzniesienia. Westchnął głęboko.

- Taaak... Mimo to uważam...

Podrapał się w bok. Nawet przez gruby materiał czuł nierówną bliznę, pozostałość po trafieniu piką wiele lat temu gdzieś w Czechach. Nagle zerwał z głowy hełm i uniósł go wysoko.

- Czuuu-li! - krzyknął. - Wiwat dla Czuuu-li!!

Okrzyk natychmiast został powtórzony przez wszystkich żołnierzy w niemieckim oddziale.

Prawie dwieście hełmów uniosło się wysoko w powietrze, wiele z nich na bagnietach.

- CZUUU-LI! CZUUU-LI! CZUUU-LI!

302

Erie Flint

Strażnicy z sił porządkowych Jeny szli za Gretchen jak małe rybki za rekinem. Dowódca straży pędził u jej boku i machał dłońmi, protestując.

- Musimy przeprowadzić dochodzenie! - krzyczał. - Dochodzenie!

- Oczywiście! - huknęła Gretchen. - Mój mąż będzie nalegał! - Uśmiechnęła się, patrząc z góry na niskiego, korpulentnego mężczyznę. - Może go pan pamięta? To ten wielki mężczyzna na motocyklu, ze strzelbą.

Dowódca straży rzeczywiście go pamiętał i zgadywał - nie żeby robił to chętnie - znaczenie dziwnych słów „motocykl” i „strzelba”.

- To będzie bardzo krótkie dochodzenie - wymamrotał. - Tylko formalność.

- Nie sądzę! - odpowiedziała tubalnym głosem Gretchen. - Mój mąż będzie nalegał na coś wręcz przeciwnego!

Ponownie się uśmiechnęła.

- A ja oczywiście muszę spełnić każde jego życzenie.

* * *

W końcu na kamiennej twarzy Julie pojawił się rumieniec; czuła się skrępowana dobiegającymi z dołu wiwatami w języku niemieckim. Rumieniec jeszcze się pogłębił, gdy amerykańscy żołnierze wdrapujący się na wzniesienie również zaczęli wznosić okrzyki: Julie! Julie!

Frank westchnął i szeroko się uśmiechnął.

- No i jak, siostrzenico? Jak to jest, kiedy wreszcie ktoś wznosi okrzyki na twoją cześć, a nie odwrotnie?

- Wspaniale - odpowiedziała. Teraz ona również uśmiechała się szeroko. Jednak uśmiech znikł na widok jednej z osób wchodzących po zboczu.

- O cholera. Tego się obawiałam. Chip znowu ma humory.

- Z tego, co zauważyłem, jest w tym dobry. Julie rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

- Wujku, czy ty przypadkiem nie krytykujesz mojego chłopaka?

- Ja? Broń Boże. Nic takiego. Mam za dużo zdrowego rozsądku, żeby dyktować młodej damie, z jakim mężczyzną powinna się zadawać.

Podejrzliwość zastąpił mały, figlarny błysk.

- Broń Boże? No chyba cię... - Westchnęła. - Cholera jasna, zaczynam myśleć... Nie wiem, może Chip jest troszkę... za młody dla mnie? Zbyt niedojrzały? A co ty o tym sądzisz, wujku?

- Nie mnie to osądzać - odparł. - Nie mnie to osądzać.

- Broń Boże - zgodziła się Julie. - Broń Boże.

Kiedy mąż Gretchen przybył do Jena na swoim motocyklu, prowadząc triumfującą armię amerykańską, nie żądał pełnego dochodzenia w sprawie okoliczności śmierci Maxa Jungersa z rąk jego żony.

Absolutnie nie. W zamian, mówiąc pokrótce, zażądał zrównania z ziemią sporej części Jena.

Prawdę mówiąc, o ile przerażony dowódca straży był

w stanie zrozumieć, zaferował się, że sam tego dokona. Najwyraźniej jego przyjaciele zaproponowali mu pomoc.

To samo stwierdzili Amerykanie, którzy przyjechali budzącym respekt transporterem opancerzonym, a także Amerykanie eskortujący tysiące więźniów i cały tabor obozowych ciurów.

Identycznie orzekła szkocka kawaleria, ale z jednym zastrzeżeniem - cała Jena wyglądałaby lepiej jako sterta gruzów i zwęglonych belek.

Ani dowódca straży, ani żaden z dostojników miejskich, którzy do tej pory zdążyli się już zebrać, nie mieli trudności ze zrozumieniem Szkotów. Szkoci mieli silny akcent, ale świetnie władali niemieckim. A jeśli powstały jakieś drobne nieporozumienia, szybko wyjaśnili je żołnierze z niemieckiego oddziału w armii amerykańskiej, którzy dorzucili jeszcze własne radosne pomysły, tak makabryczne, że mogły wyjść z ust tylko zaprawionych w bojach najemników.

Na szczęście („danke Gottl”) dowódca Amerykanów był odrobinę mniej wybuchowym człowiekiem.

- Niedobrze - mruknął ze złością Mikę. - Bardzo niedobrze! - Spioruno-wał wzrokiem grupkę przerażonych dostojników. - Jedna z naszych kobiet molestowana po spędzeniu zaledwie kilku godzin w tym mieście? W trakcie odwiedzin u starych przyjaciół i krewnych?

- Bardzo niedobrze! - warknął, a następnie dodał, starając się pohamować wściekłość: -Nie wątpię, że samo miasto nie ponosi za to odpowiedzialności.

Heinrich przetłumaczył jego słowa. Reakcją na ostatnie zdanie było morze potakujących głów.

- Tłumacz dokładnie! - rzucił Mikę przez zaciśnięte zęby. Następnie zwrócił się do dostojników.

- Ten łajdak -jak mu tam? Jungers? - ma przyjaciół? Wspólników? Dostojnicy skwapliwie złożyli jagnięta w ofierze. Padły nazwiska, opisano twarze, wspomniano o cieszącej się szczególnie złą sławą gospodzie, podano dokładnie miejsce, zaoferowano przewodnika.

Transporter opancerzony w towarzystwie około setki żołnierzy amerykańskich potoczył się z łoskotem wąskimi uliczkami, a wielki i dobrze uzbrojony mąż pozostał na miejscu w otoczeniu kilku setek równie groźnie wyglądających towarzyszy. Na szczęście wydawał się całkowicie zaabsorbowany pocieszaniem swej drżącej, zupełnie wytrąconej z równowagi żony. Tak przynajmniej dostojnicy tłumaczyli sobie trzęsące się ramiona i falującą pierś pięknej młodej kobiety. Szeroki uśmiech męża był oczywiście próbą ukojenia zszarganych nerwów małżonki.

Kiedy transporter dotarł do celu, w gospodzie już od dłuższego czasu nie było nikogo, nawet właściciela walącego się kamiennego budynku.

Mądra decyzja. Amerykanie siedzący wewnątrz transportera, jak również ci spoza niego, dali wspaniały pokaz siły rażenia; mieszkańcy Jeny, którzy przyglądali się temu wszystkiemu, byli pod wrażeniem.

304

Erie Flint

Zła reputacja gospody była w pełni zasłużona, tak więc niesamowicie szybki ogień z karabinów, który roztrzaskał na kawałki wszystkie okna i porył gładkie kamienne ściany, został przywitany entuzjastycznymi wiwatami. Potem wystrzelony z transportera pocisk moździerzowy rozwalił drzwi gospody, co zostało przyjęte pełnymi zachwyty okrzykami.

Ukoronowaniem całości było wrzucenie do środka granatów, które zmieniły gospodę w ruinę z drewna i szkła. Wywołało to piski radości, a gdzieś tam nawet tańce na ulicach.

Kiedy przedstawienie dobiegło końca, wszystkim powrócił dobry humor. I dostojnikom, i Amerykanom, nic więc dziwnego, że władze miasta szybko przyjęły nową propozycję Mike'a. Być może... udział w handlu...

Być może... wymiana wiedzy oraz wspólne użytkowanie urządzeń drukarskich...

I - oczywiście po ponownym rozważeniu sprawy - może większe zbliżenie w celu wspólnej obrony przed skutkami zbliżającej się zimy...

...Amerykańskiemu przywódcy przyszło do głowy...

...że być może...

.. Jenie przydałoby się trochę pomocy w patrolowaniu ulic i chwytaniu oprychów.

„ Wunderbar! ”.

Kiedy już opuszczali miasto, jeden z nadskakujących im teraz dostojników odważył się zadać Mike'owi pytanie.

Chodziło o sztandar powiewający na transporterze opancerzonym. Była to wariacja na temat flagi Stanów Zjednoczonych. Trzyście białoczerwonych pasków pozostało, ale na niebieskim polu w lewym górnym rogu była tylko jedna niewielka gwiazdka.

- Nazywamy się Stanami Zjednoczonymi - wyjaśnił Mikę.

Dostojnik naradził się z Heinrichem, aby się upewnić, że dobrze zrozumiał liczbę mnogą, i ponownie zadał pytanie.

- Tak, na razie jest tylko jeden stan. - Mikę wskazał na gwiazdkę. - To Granville i okolice. Uśmiechnął się promiennie do mężczyzny.

- Ale liczymy na to, że dodamy kolejne. Badenburg i okolice wkrótce do nas dołączą. A przynajmniej mam taką nadzieję. - Znowu wskazał palcem na flagę.

- Wtedy będą dwie gwiazdy. Znow się uśmiechnął.

- Czy to logicznie brzmi?

I zostawił dostojnika zapatrzonego we flagę, która powoli zniknęła z pola widzenia.

jjlfzbzml 40

Kiedy powrócili do Grantville, w mieście panowało poruszenie. To samo działo się w Badenburgu i w okolicy.

Dzień wcześniej przejechała tędy ogromna armia. Byli to pędzący jak wiatr Szwedzi Gustawa Adolfa.

- Przeszedł dokładnie przez Turyngię - wyjaśniła Rebeka Mike'owi i Ale-xowi. Czekala na nich przed szkołą, gdzie sztab antykrzysowy właśnie miał zacząć obrady. - Drugiego października bez jednego strzału zajął Erfurt. Rozumiecie, miasto należy do elektora Moguncji.

- Chyba już nie. - Mikę zmarszczył brwi. - Niepokoi mnie, że zostaliśmy w ten sposób zaskoczeni. Bardzo mnie to niepokoi. Większa część armii była poza miastem. Gdyby...

- A co innego mogłeś zrobić, Michaelu? - przerwał mu Mackay. - Trzeba było zająć się najemnikami atakującymi Jenę.

Szkot pokręcił głową.

- Taka jest wojna, druhu. Uważasz, że jesteś w stanie wszystko przewidzieć? Uniknąć wszelkiego możliwego zagrożenia? Ha! Możesz być z siebie dumny, jeśli to ci się uda w połowie przypadków.

Alex popatrzył w kierunku południa. Jego twarz nie wyrażała troski i samopotępienia, które były widoczne na twarzy Mike'a. Wręcz przeciwnie.

- Król musiał wszystkich zaskoczyć - powiedział z podziwem w głosie. - Większość armii po tak wielkim zwycięstwie przez wiele miesięcy spoczywałaby na laurach.

Widząc, że Mikę nadal jest niezadowolony, dodał cicho:

306

Erie Flint

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Michaelu Stearnsie. Po prostu nie masz wystarczająco dużo ludzi. I to się nie zmieni, przynajmniej w najbliższym czasie. Oczywiście, jesteś w stanie pokonać dużo większą armię w bitwie, do której będziesz przygotowany, ale...

Jego dłoń zatoczyła szeroki łuk, wskazując nie tylko niedalekie wzgórza, ale właściwie całą górzystą, gęsto zalesioną Turyngię.

- Nie możesz ustrzec się wszystkiego, szczególnie przeciwnika, który potrafi szybko się przemieszczać. Już ci to mówiłem, ale pozwól, że powtórzę. Nie sądz, że te powolne i niezgrabne tercios to wszystko, czemu będziesz musiał stawić czoła, albo że wszyscy wrogowie tak ślicznie ustawią się na linii strzału twoich karabinów. Ja bym tego nie zrobił Ani Finowie. Ani Chorwaci.

- Wiem, Alex. - Mikę westchnął. - Wydaje nam się, że dzięki naszej nowoczesnej broni potrafimy sobie ze wszystkimi poradzić. A tym bardziej mając jeszcze nowocześniejszą broń, którą moglibyśmy zaprojektować. Ale masz rację, to prosta droga do szaleństwa.

Uśmiechnął się.

- Należałoby pamiętać o Little Big Horn⁴⁸, nie mówiąc już o Wietnamie. Samo uzbrojenie nic nie da.

Twarz Mackaya była bez wyrazu - te nazwy nic mu nie mówiły - ale Rebeka przytaknęła. Od paru miesięcy pochłaniała książki o historii Ameryki. Żartobliwy uśmiech zniknął z twarzy Mike'a.

- A nawet gdyby dało...

- To by było jeszcze gorzej - dokończyła jego myśl Rebeka.

- Tak. Ten świat nie potrzebuje kolejnych konkwistadorów. Chcę, by Ameryka stała się moją Ameryką, a nie jakąś angielskojęzyczną wersją Prus.

- Prus?! - spytał zdezorientowany Mackay. - Przecież Prusacy nie są... Mike'ę zaśmiał się.

- Nie, Alex, teraz nie. Niemcy żyjący w obecnych czasach są żałośni, ale zostaną tu jeszcze kilkaset lat... - Jego twarz stała się jeszcze bardziej posępna. - Jeśli nam się nie uda, wkrótce zobaczysz Niemcy w jarzmie wroga.

- Albo jeszcze gorzej - wyszeptła Rebeka. Jej ojciec nie był w stanie dokończyć książki o holokauście, którą pożyczył od Morrisa Rotha, ale ona ją przeczytała.

Mike'ę potrząsnął głową jak koń opędzający się od much.

- Po moim trupie - mruknął. - Potrzebujemy politycznego rozwiązania. Spojrzał na Mackaya.

- Pewnie niedługo będziesz składał Gustawowi Adolfowi raport. Szkocki oficer skinął głową.

- Tak, lecz nie jestem jeszcze pewien kiedy. Nie ma sensu galopować po okolicy, dopóki król nie rozbije gdzieś obozu. Ale na pewno stanie się to niedługo.

- Szepnij o nas dobre słowo, Alex, jeśli możesz. Nie chciałbym mieć Szwedów na karku.

- Tak właśnie uczynię - odpowiedział stanowczo Mackay i uśmiechnął się.

- Jak najlepsze słowo. - Przeciągnął językiem po zębach. - Nie mam wyboru

- zaśmiał się. - Macie jedyne go dentystę, o którego istnieniu wiem.

W drzwiach pojawił się Ed Piazza.

- Zebranie zaraz się zacznie - ogłosił.

Mimo że Mackay często bywał na spotkaniach, tym razem nie miał takiego zamiaru.

Wiedział, że Amerykanie doszli do punktu zwrotnego. Jak każda rodzina, oni również potrzebowali chwili prywatności.

- Powodzenia - rzekł i odwrócił się.

- O co chodzi? - spytała Rebeka, idąc z Mike'em do sali konferencyjnej. - Czy Alex ma jakieś problemy z zębami?

Skrzywiła się. Jej własne zęby były we wspaniałym stanie jak na standardy czasów, w których żyła, ale mimo to musiała spędzić kilka godzin w komnacie tortur. Na szczęście zakręciła się wokół tego bardzo szybko, zanim jeszcze skończyły się środki znieczulające.

- Biedny człowiek - powiedziała ze współczuciem.

- Biedny?! Akurat! Z jego zębami nic nie trzeba robić, poza czysto kosmetycznymi zabiegami. Problemem jest jego serce.

Spojrzała na niego zaskoczona. Mike'ę uśmiechał się bardzo szeroko. - Tak, tak, nasz Szkot jest zakochany. Ja to wiem. - Objął ręką jej talię i przyciągnął do siebie. - Rozpoznaję objawy.

Rebeka też położyła rękę na jego pasie i uśmiechnęła się.

- Biedny człowiek - rzekła. - Jestem lekko zaskoczona. Myślałam, że się wystraszy, gdy tylko zacznie dostrzegać coś innego poza wspaniałymi nogami.

Mike'ę pokręcił głową.

- Nie Alex. To bardzo poważny facet.

- Myślisz, że...

- Kto wie? Jej wujek ma o nim dobre zdanie. Wydaje się, że jej ojciec też. Ale nie daj Boże, żeby dziewczyna miała słuchać głosu mądrości i dojrzałości.

- Aktorka kobieta przy zdrowych zmysłach słuchałaby czegoś takiego! - Rebeka uśmiechnęła się chytrze. - To wymaga kobiecej rozwagi. Byli już przy drzwiach i rozluźnili uścisk. Rebeka zatrzymała się.

- Porozmawiam z nią - oświadczyła. Mike'ę spojrzał na nią sceptycznie.

-I co jej powiesz? Własne słowa mądrości?

- Co za absurd - odparła i przejechała leniwie palcami po włosach. - Nic nie mówiłam o „mądrości”. Mnie chodziło o rozwagę.

Mijając drzwi, rzuciła przez ramię:

308

Erie Flint

- Nie zrozumiałbyś tego, Michaelu. Nie czytasz wystarczająco dużo poezji.

- W ogóle nie czytam - mruknął jej narzeczony, zupełnie nieświadomie potwierdzając w ten sposób sens jej słów.

Mikę wszedł do sali, przystawił sobie krzesło i usiadł przy stole konferencyjnym. Rzucił wzrokiem wokół; okazało się, że zebrał się już cały sztab z wyjątkiem Franka Jacksona.

- Frank dotrze później - wyjaśnił - razem z Gretchen Higgins. Zajmują się nowymi więźniami.

- Chciałbym rozpocząć spotkanie od doniesień dotyczących posunięć Szwedów - zwrócił się do Rebeki, która tradycyjnie zajęła miejsce koło Melissy.

Dziewczyna spłótła ręce na stole, jak zawsze, kiedy składała raporty.

- Po oczyszczeniu Erfurtu z pieniędzy Gustaw Adolf pomaszerował prosto na południe.

Siódmeo, czyli wczoraj, przeszedł przez Arnstadt, jednak się nie zatrzymał. Według doniesień niektórych myśliwych ostro popędzał swoją armię. Pewnie już zdążyli dotrzeć do Lasu Turyńskiego.

Rebeka była zmartwiona.

- Szwedzi pozbawili całe środkowe księstwo zapasów żywności. Zauważcie, że za nie zapłacili. Nie było grabieży. - Zaśmiała się sucho. - Oczywiście z wyjątkiem złota arcybiskupa z Erfurtu, za które kupili prowiant.

- Super! - parsknął Willie Ray Hudson. - A więc teraz wszyscy w środkowej Turyngii, poza nami i Badenburiem, mają pełne kieszenie pieniędzy i zero jedzenia. Najwyraźniej znajdujemy się zbyt daleko na wschód, żeby szwedzcy kwatermistrzowie zdążyli do nas dotrzeć.

-I nadchodzi zima - mruknął Nat Davis. Mikę uniósł rękę.

- O tym później. Najpierw chcę, abyście mnie wprowadzili w obecną sytuację polityczną. Kto dowodzi w Turyngii w zastępstwie Gustawa?

- Większa część Turyngii oficjalnie należy do braci Sasko-Weimarskich - powiedziała Rebeka

- ale jeśli wierzyć raportom, Bernard obecnie przebywa z armią szwedzką. - Znowu się zaśmiała. - Wydaje się, że bardziej mu odpowiada wojaczka niż rządzenie ludźmi.

- Cóż za niespodzianka - zakpił Underwood. - Przekłęci arystokraci. Mikę uśmiechnął się do niego szeroko.

- Mnie to pasuje. Jeśli o mnie chodzi, im mniej arystokratów będzie się tutaj kręcić, tym lepiej.

Rebeka odchrząknęła.

- Wilhelm z kolei - on jest najstarszy - pozostał w tyle. Ustanowił kwaterę główną w Weimarze, ale mówi się, że nie zostanie tam długo. Ma zwerbować jedenaście tysięcy żołnierzy. Marszałek polny Baner ma zebrać taką samą liczbę

w Erfurcie. Szwedzi uważają, że w połączeniu z siłami, które Baner już posiada, powinno to wystarczyć do pościgu za Pappenheimem. W tym czasie król będzie podążał dalej na południe, w ślad za Tillym. Pappenheim najwyraźniej prowadzi teraz niezależne działania.

Mikę nie naciskał Rebeki, żeby ujawniła źródło tych informacji. Nie musiał. Jej ojciec i wujek byli doświadczonymi szpiegami i do tej pory zdążyli już stworzyć siatkę wywiadowczą w całych środkowych Niemczech. W rzeczywistości siatka była dużo większa; dzięki pomocy Żydów rozsianych po całej Europie dwaj bracia kontrolowali ogromne połacie Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Zabębnił palcami po stole.

- Wygląda na to, że Wilhelm również wkrótce wyjedzie.

Rebeka skinęła głową. Stukanie palców Mikę'a stało się bardziej natarczywe.

- A więc krótko mówiąc...

Powoli badał wzrokiem całą salę, wyliczając na palcach.

- Po pierwsze, wojna przeniosła się teraz na południe od Turynгии. Po drugie, do Turynгии powrócił ustalony „porządek”, który niedługo znowu zniknie. Po trzecie, większość okolicznych arystokratów, a przynajmniej ci, którzy biorą aktywny udział w polityce, znikła stąd lub już niedługo zniknie. Katolicy uciekną, a protestanci będą szukać sławy i chwały u boku Szwedów. Po czwarte, za kilka tygodni sytuacja ekonomiczna księstwa będzie beznadziejna. Po piąte, okolica obfituje jednak w gotówkę.

- Myślę, że to na tyle. - Odwrócił się do Rebeki, a ona ponownie skinęła głową.

W tym samym momencie Mikę uderzył otwartą dłonią w stół.

- Wspaniale! To najlepsze, co mogło się nam przytrafić!

- Spójrzcie tylko na siebie - rzekł ze śmiechem. - Problemy, problemy. Tylko to widzicie.

Zacisnął pięść i uniósł ją w górę.

- Teraz jest odpowiedni moment - oświadczył stanowczo. - Myszy tańczą, gdy kota nie czują. Wojna skończy się najwcześniej przyszłej wiosny, a prawdopodobnie następnego lata. Jedyna rzecz, która będzie się liczyła w czasie tych sześciu - ośmiu miesięcy, to kto będzie w stanie utrzymać przy życiu ludzi w tej okolicy. Utrzymać przy życiu, na litość boską, i to w dobrym stanie!

Quentin Underwood pierwszy zrozumiał, co Mikę ma na myśli. Mimo że bardzo często nie zgadzali się ze sobą na spotkaniach komisji, Mikę już dawno odkrył, że były kierownik kopalni rozumie rzeczywistość ekonomiczną lepiej niż ktokolwiek inny. Co więcej, w przeciwieństwie do większości Amerykanów, nie budował mrzonek o amerykańskiej wojskowej dominacji. Jako

310

Erie Flint

młody człowiek służący na lotniskowcu na Morzu Południowochińskim nauczył się, że wyposażenie wojska to nie wszystko. Mimo przepaści technologicznej między samolotem, który odleciał z tego lotniskowca, a bronią ludzi, których bombardowano w lasach, już nieraz widział maszyny pokonane przez ludzi. I chociaż teraz przepaść dzieląca Amerykanów z GranWille i siedemnastowiecznych Niemców również była ogromna, Quentin Underwood nie zamierzał popełnić w tym nowym świecie tego samego błędu.

- Masz rację! - wykrzyknął w podnieceniu. - Z naszego punktu widzenia nie będzie lepszego momentu. Jesteśmy gotowi.

I zaczął wylizywać na palcach.

- Po pierwsze, wyszliśmy na prostą, jeśli chodzi o elektrownię. Węgiel jest dostarczany już od tygodnia.

Bill Porter potwierdził to skinieniem głowy.

- Tak czy inaczej, na razie go wystarczy. Jak tylko lokomotywa parowa zostanie ukończona, będzie go pod dostatkiem. Wszystko powinno być gotowe do przyszłego lata. Może wtedy zabraknąć najważniejszych części, ale nowa elektrownia powinna już być gotowa do rozpoczęcia pracy.

- Po drugie, dotrze do nas więcej jedzenia niż będziemy potrzebowali. To niesamowite, ile małych gospodarstw było ukrytych wśród wzgórz i lasów. Teraz, kiedy przywróciliśmy odrobinę bezpieczeństwa i stabilizacji do południowo-wschodniej Turynгии, każde z nich chętnie sprzeda swoje zbiory.

- Co w tym takiego niesamowitego? - parsknął Willie Ray. - Myślisz, że rolnicy są głupi?

Quentin zignorował tę uwagę.

- Po trzecie, warsztaty mechaniczne pracują pełną parą. Trzy zmiany, przez całą dobę, siedem dni w tygodniu.

Nat David uśmiechnął się szeroko.

- Musiałem zacząć wynajmować niemieckich pomocników. Trochę czasu minie, zanim przeszkolę ich w obsłudze nowoczesnego sprzętu, ale zatrudniam tylko ludzi z doświadczeniem w obróbce metali, a takich jest sporo w okolicy. Największym moim problemem jest brak metalu.

- Już nie, Nat - wtrącił się Ed Piazza. - Uriel Abrabanel właśnie mi doniósł, że ma przynajmniej czterech dostawców gotowych do rozpoczęcia wysyłki surowca, jak tylko będziemy mieli twardą walutę. - Zaśmiał się oschle. - Kredyty chyba nie są popularne w Niemczech na tym etapie rozwoju ludzkości.

- Zmienimy to - warknął Underwood i spojrzał pytająco na Mike'a. Mike uśmiechnął się i zerknął na Rebeke. Wyprostowała się nieznacznie na krześle i powiedziała cicho:

- Podsumowując, sytuacja ekonomiczna wygląda naprawdę obiecująco. Jeśli dostawa energii elektrycznej zostanie zagwarantowana, a urządzenia produkcyjne będą w pełni sprawne, naszym jedynym problemem będzie brak twardej waluty i beznadziejne warunki, które panują obecnie w Europie w sferze bankowości i kredytów. Ale co do tego... Usiadła prosto.

- Moja rodzina - moja wielopokoleniowa rodzina - rozmawiała o tym i podjęła decyzję. Mój wujek, Uriel, zostanie w Badenbурgu, gdyż ma tam korzystną sytuację. Jednak wkrótce przybędzie tu kilku moich krewnych, w tym trzech dalekich kuzynów. Mają na imię Samuel, Mojżesz i Francisco. Ojciec Samuela jest bankierem we Włoszech, ojciec Mojżesza jest doradcą finansowym cesarza Ferdynanda w Wiedniu, a dziadek Francisco to Don Joseph Nasi, który pełnił funkcję...

- Faktycznego ministra spraw zagranicznych Imperium Osmańskiego - zaśmiała się Mike. - Był również bratankiem Doni Gracii Mendes. Po wydaleniu marranów przeniósł jej interesy (największą europejską firmę zajmującą się bankowością i obrotem kamieniami szlachetnymi) z Portugalii do Turcji. I, o ile wiem, poszło mu to całkiem dobrze. Wszyscy poza Rebeke wytrzeszczyli na Mike'a oczy. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Ludzie, ja naprawdę słucham swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Dlatego spędzam z nią tyle czasu. Rebeka złożyła skromnie ręce.

- I jest dobrym uczniem. - Uśmiechnęła się. - Bardzo uważnym. Rozległ się cichy chichot, a uśmiech Rebeki stał się lodowaty.

- Większość Żydów, których wydalili Hiszpanie, udała się do Stambułu. Turcy przyjęli ich serdecznie, zwłaszcza że wielu z nich było ekspertami w dziedzinie nauki i techniki, między innymi w produkcji broni. Podobno sułtan Bay-azid powiedział kiedyś: „Nazywacie Ferdynanda mądrym królem, mimo że zubaża swój kraj, a wzbogaca nasz?”.

- Coś w tym jest - mruknął Piazza. Rebeka zwróciła ku niemu spojrzenie.

- Oczywiście jest pewien warunek.

- No myślę! - parsknął Piazza. - Obywatelstwo, prawa, wolność i tak dalej.

- Więcej - powiedziała stanowczo Rebeka. - My, Żydzi, musimy dostać pozwolenie na wyjście z ekonomicznego getta, do którego zapędziła nas Eu-

- To żaden problem - warknął Underwood. - Prawdę mówiąc, jeśli twoi krewni mają trochę kapitału, dzięki któremu mogliby być naszymi partnerami, to myśleliśmy z 011ie'em Reardonem i Gregiem Ferrarą...

Bill Porter wyglądał na zaniepokojonego.

- Quentin, potrzebujemy węgla...

- Wyluzuj! - rzucił Underwood. - Sam bym wiele nie robił. Ja też mam krewnych. Mój zięć...

- Ja też bym dużo nie robił - włączył się do rozmowy Ferrara - poza udzielaniem porad technicznych. Ale naprawdę musimy zacząć budowę zakładów chemicznych. Kwas siarkowy

jest w nowoczesnym przemyśle prawie tak samo niezbędny jak stal.. - Przez chwilę sprawiał wrażenie rozgoryczonego. - Większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy.

Mike popukał kostkami dłoni w stół jak nauczyciel pierwszoklasistów. Me-lissa uśmiechnęła się szeroko.

- Dosyć tego! - powiedział. Zgiełk ustał.

- Chryste! Jeśli wszyscy nadgorliwcy zaczną teraz ustalać projekty biznesowe, nigdzie nie zajdziemy! - Uśmiech na jego twarzy złagodził wydźwięk tych słów. Prawdę mówiąc, Mike popierał większość projektów, ale całym sercem wierzył również w stare powiedzenie: „Wszystko w swoim czasie”.

- Teraz nastał czas na kluczową kwestię - powiedział z mocą. - Musimy rozwiązać sprawy polityczne. Myślę, że powinniśmy powołać konwencję konstytucyjną, a następnie zarządzić ponowne wybory. Tymczasowy sztab anty-kryzysowy zrobił już wszystko, co mógł.

W pokoju zapadła cisza. Nat Davis wydał policzki.

- Jesteśmy na to gotowi? - spytał niepewnie. - Szczerze mówiąc, niewiele o tym myślałem.

Melissa parsknęła, jednak nie zdążyła wypowiedzieć sarkastycznej uwagi, gdyż powstrzymał ją James Nichols.

- Jesteśmy gotowi, Nat. - James spojrzał na Melisę, Eda i Williego Raya. - Prawdę powiedziawszy, podkomisja skończyła pracę nad naszym projektem już w zeszłym tygodniu. Wszystko zostało odłożone z powodu kryzysu w Jenie. Ale teraz jesteśmy gotowi.

Hudson przytaknął. Piazza sięgnął do aktówki i zaczął wyciągać zszyte kartki papieru. Rzucił Mike'owi pytające spojrzenie.

- Rozdaj to, Ed. Najwyższa pora.

Zanim ktokolwiek zdążył przejrzeć materiały, podniósł się raban. Mike wcale nie był zaskoczony, że to Underwood rozpoczął natarcie.

- Nie podobają mi się te pierdoły! - rzucił Quentin. - Ani trochę! Czemu marnujecie czas na to pieprzenie o braku podziału na okręgi? Dlaczego, do cholery, nie jesteśmy...

Jak zwykle Melissa przyłączyła się do zwady równie chętnie jak Quentin i w równie obcesowy sposób.

- Odwal się! To jest znacznie lepsze od podziału geograficznego, przynajmniej w niższej izbie.

Mike postanowił interweniować, zanim awantura między Quentinem a Melissa przybierze katastrofalne rozmiary.

- Przestańcie! Obydwoje*.

Pieniacze zamilkli urażeni. Mike zdławił westchnienie. Każde z nich było na swój sposób nieocenione, ale były momenty...

Zdecydował, że zacznie od Melissy, gdyż mimo że zasadniczo się z nią zgadzał, trzeba było skupić uwagę na tej kwestii konkretnie, a nie abstrakcyjnie.

- To, czy lepszy jest brak podziału na okręgi, czy też przedstawicielstwo geograficzne, w ogólnym rozrachunku jest bez znaczenia. To nie jest konstytucja dla trzynastu kolonii rozrzuconych po całym kontynencie. To konstytucja dla jednej niewielkiej kolonii, mniej więcej tak samo zatłoczonej jak Holandia albo Kalkuta. I nie jesteśmy w tej samej sytuacji co Ojcowie Założyciele w 1789 roku. Ciągłe mamy rok 1776. Nasza rewolucja dopiero się rozpoczyna.

Tyle ogólników. Teraz skierował uwagę na prawdziwy problem, czyli na Underwooda.

- Quentin, pozwalam sentymentom zatriumfować nad praktycznością. Ja podobnie zareagowałem, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałem, ale im więcej o tym myślałem, tym rozsądniej to brzmiało. Mamy tu taką sytuację, że ludzie nieustannie przenoszą się z miejsca na miejsce. Zdajesz sobie sprawę tak samo jak ja, że nie można kogoś zarejestrować do głosowania w centrum dla uciekinierów, skoro, miejmy nadzieję, za kilka tygodni będzie mieszkał zupełnie gdzie indziej. Ogromną zaletą jednego okręgu wyborczego...

Teraz wtrącili się Nat Davis oraz Greg Ferrara, pokrzykując, co myślą o tym, co Mikę nazwał „sentymentami”. Mikę usiłował zachowywać się spokojnie i dyplomatycznie, ale udało mu się to jedynie przez kilka minut. Już po chwili wrzeszczał jak wszyscy inni.

Oczywiście wszyscy z wyjątkiem Rebeki, która siedziała i od czasu do czasu mamrotała coś pod nosem.

- Skończyliście? - spytała wreszcie jakieś pół godziny później. Opryskliwość w jej głosie była tak niezwykła, że wszyscy od razu zatrzymali się w pół słowa.

- Dzieci! - rzuciła. - Sprzeczące się o zabawki dzieci! Spiorunowała wszystkich wzrokiem.

- Ajaka to różnica? Macie swoją Kartę Praw; tu nie ma się o co kłócić. Macie swoje wybory i wszystkie inne przywileje demokracji; czy z tym są jakieś problemy?

Cisza trwała.

- No więc o co chodzi? Myślę, że powinniśmy rejestrować ludzi według miejsca zamieszkania. - Wzięła głęboki oddech i dodała:

- Kogo to obchodzi, do jasnej cholery?

314

Erie Flint

Głucha cisza przedłużała się. Rebeka nigdy nie używała takiego...

- Ha! Tak jak mówiłam, dzieci.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Frank Jackson, a za nim Gretchen. Rebeka wskazała na nowo przybyłych.

- Spytajcie ich! - nakazała. - No już!

* * * Po wysłuchaniu wyjaśnień pierwszy odezwał się Frank.

- To obojętne - powiedział, wzruszając ramionami. - Może być sześć, może być pół tuzina.

Skoro Mikę tym wszystkim się zajmuje, a i tak ma mój głos, niech wybiera co chce.

Gretchen była jeszcze bardziej rzeczowa.

- To, co on mówi - stwierdziła, wskazując Franka.

Te słowa oraz ostre słowa Rebeki rozładowały panujące na sali napięcie. Członkowie komisji przez chwilę patrzyli na siebie, a następnie wszyscy westchnęli i się rozluźnili.

Mikę odchrząknął.

- Słuchajcie, ja nie próbuję wydawać oświadczeń w sprawie abstrakcyjnych zasad politycznych. Chcę tylko ustalić, jaki system polityczny będzie najlepszy przy naszych obecnych potrzebach. Później możemy przecież zwołać kolejną konwencję konstytucyjną, jeśli zmienią się okoliczności. Pamiętajcie o tym, co powiedziałem. Jesteśmy w roku 1776, a nie 1789. Konstytucja, którą przyjęły Stany Zjednoczone, powstała w oparciu o lata doświadczeń i rozmów i po rewolucji, a nie na samym jej początku. Pozwólmymy sobie złapać oddech. Na razie chcę, żebyśmy skoncentrowali się na walce, która nas czeka. Dziś.

Dokładnie teraz.

Kiwnął głową w kierunku Gretchen. Na skutek milczącego nacisku Franka młoda Niemka zajęła miejsce przy stole.

- Poprosiłem Gretchen, żeby z nami zasiadła - przy okazji, chciałbym z tego zrobić stały zwyczaj - ponieważ pragnę, żebyście wysłuchali jej sprawozdania. Jeśli o mnie chodzi, praca, którą rozpoczęła, będzie na dłuższą metę dużo ważniejsza niż zwycięstwa, które odniesiemy na polu bitwy, oraz to, czy zarejestrujemy ludzi do głosowania w jednym czy w wielu okręgach.

Omali nie wybuchnął śmiechem, widząc grymas na twarzach Melissy i Qu-entina. Każde z nich było na swój sposób przerażone tym, jak Mikę i Rebeka realizują propozycję Melissy. Ta ostatnia była zdenerwowana, gdyż praktyka okazała się dużo bardziej skomplikowana niż teoria. I miała się okazać dużo bardziej krwawa. Jej idealistyczny pomysł stworzenia „podziemia” był teraz w rękach kobiety, która nie żywiła wobec niego żadnych romantycznych uczuć, tylko chęć zwycięstwa kierowaną przez żelazną wolę.

Oczywiście Quentinowi ten pomysł nie podobał się od samego początku. Znalazł się w dziwnej sytuacji człowieka, który pomaga przewodzić rewolucji, choć jej nie popiera. Z natury i przyzwyczajenia Quentin Underwood był bowiem człowiekiem establishmentu. Quentin i Melissa stanowili więc dwa bieguny komisji. Obojgu często nie podobał się sposób, w jaki Mikę prowadzi ich sprawy, jednak poparcie Melissy było pewne, przynajmniej na razie nie miała wyborów. Quentin z kolei...

Underwood głęboko westchnął.

- Cholera jasna. Dobra, Mikę. Mimo że to nie jest po mojej myśli, zgadzam się na brak podziału na okręgi.

Zwycięstwo było jednak tylko połowiczne. Mikę spojrzał na niego uważnie.

- To nie wystarczy, Quentin. Zdecydowaliśmy, że trzeba wybrać delegatów do konwencji konstytucyjnej. Wiadomo, że to głosowanie przez akłamację, które odbyło się kilka dni po Ognistym Kręgu, miało miejsce zbyt dawno temu i przebiegało w nieformalnej atmosferze. Na pewno zostaniesz jednym z kandydatów, i pytanie brzmi: skąd będziesz kandydował? - Mikę wskazał na propozycję konstytucji, która leżała przed nim. - Z tej platformy czy z innej? Nie sprecyzował, z jakiej „innej”, ale nie było takiej potrzeby.

Wszyscy wstrzymali oddech. Zdawali sobie sprawę, że doszli do przełomowego momentu i że poza Mike'em i być może Rebeką nikt go nie przewidział. Przez długie miesiące ludzie siedzący w tej sali pracowali razem jako zespół, a teraz...

W świecie, który został gdzieś daleko, Quentin Underwood — zdolny, inteligentny, uparty, energiczny i ciężko pracujący kierownik - byłby naturalnym sprzymierzeńcem Johna Simpsona. Człowiek establishmentu. Konserwatysta w każdym calu. Czy teraz wycofa swoje poparcie?

- Daj spokój, Mikę - warknął Underwood. - Czyja wyglądam na idiotę? Gdyby to Simpson nami kierował, już bylibyśmy martwi.

Nagle się uśmiechnął. Taką radość rzadko można było zobaczyć na jego twarzy.

- To jak, wymyśliliście już nazwę?

Mikę patrzył na niego pustym wzrokiem. Uśmiech Quentina jeszcze się poszerzył.

- Dla naszej partii politycznej, bałwanie. Musisz mieć partię, jeśli chcesz być prezydentem kraju przechodzącego rewolucję.

Mikę nadal miał pusty wzrok.

- Cóż to za geniusz - zachichotał Underwood. - Sądzę, że powinniśmy się nazwać Partią Czwartego Lipca.

-Ruchem Czwartego Lipca! -wykrzyknęła momentalnie Melissa.

316

Erie Flint

To oczywiście zapoczątkowało kolejną kłótnię. Kłótnia była ostra, krótka... i zakończyła się przytłaczającym zwycięstwem przeciwników nazwy zaproponowanej przez Melissę.

Pozostała Partia Czwartego Lipca. Następnego ranka ogłoszono to razem z oświadczeniem, że konwencja konstytucyjna rozpoczyna sesję.

Simpson natychmiast zaprotestował, mimo że od tygodni sam wzywał do rozpoczęcia konwencji. „Żeby poskromić dyktaturę wojskową Stearnsa” -jak często mawiał.

Ale to było bez znaczenia. Kark Grantville ugiął się pod żelaznym jarzmem demokracji.

Ofiara tej tyranii zareagowała dokładnie tak, jak można było przewidzieć.

Demagogia! Hurra!

•Kntzerał 41

- Amerykanie to głupi naród - oświadczył Lennox. Opróżnił kufel i zdecydowanym ruchem postawił go na stole. - Jednak na szczęście nie na tyle głupi, żeby ciągle warzyć tę beznadziejną namiastkę piwa.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko niego, Mojżesz Abrabanel, zignorował jego uwagi.

Rozglądał się po zatłoczonej głównej sali niedawno otwartych „Ogrodów Turyńskich”,

sprawiając wrażenie trochę oszołomionego. To samo można było powiedzieć o siedzącym obok niego dalekim kuzynie, Samuelu. Mimo że byli młodzi - żaden z nich nie miał jeszcze trzydziestki - byli już doświadczonymi negocjatorami i ludźmi interesu, przyzwyczajonymi do pokonywania labiryntów władzy w Wiedniu i we Włoszech. Teraz jednak wyglądali jak prości mieszkańcy wsi.

Lennox spojrział z uśmiechem w lewo. Baltazar odwzajemnił uśmiech. Najwyraźniej ci dwaj „starzy Amerykanie” świetnie się bawili, patrząc na zmieszanie nowo przybyłych. Mojżesz i Samuel przyjechali zaledwie kilka dni wcześniej i ciągle byli w stanie lekkiego szoku.

Częściowo przyczyną był ich własny lud. Niewielka grupa Żydów, którzy osiedlili się w Grantville w ciągu ostatnich kilku miesięcy, zaaklimatyzowała się z wielkim entuzjazmem. W pewnym sensie było to zrozumiałe. Wszyscy byli Sefardyjczykami, a ci, w przeciwieństwie do Aszkenazyjczyków we wschodniej Europie, mieli długą tradycję kosmopolityzmu.

Powiedzenie, „JCiedy wejdiesz między wrony...” mogło być stworzone właśnie przez nich. Mimo to...

318

Erie Flint

Trudno określić, co najbardziej zaskoczyło Samuela i Mojżesza. Być może otwartość, z jaką praktykujący Żydzi z Grantville nadzorowali budowę swojej nowej synagogi. Świątynia była budowana na odremontowanym szkielecie porzuconego budynku, zaraz w centrum miasta. A może...

Poprzedniego wieczoru Michael Stearns spędził kilka godzin na szczerej i swobodnej rozmowie z tymi dwoma przedstawicielami rodziny Abrabane-lów oraz z Baltazarem. To oczywiście było w zgodzie z obyczajami, ale Rebeka była tam razem z nimi i uczestniczyła w rozmowie tak samo, jak każdy inny. A to już nie przystało.

A później! Po skończonej dyskusji ojciec Rebeki udał się na spoczynek w towarzystwie swych młodych krewnych, natomiast Rebeka została.

„Bez przywoitki? To skandal! Jej ojciec na to pozwala?! I to z gojem! Skandal!”.

Na wspomnienie wyrazu twarzy swych krewnych Baltazar pospiesznie opróżnił kufel, i to bardziej żeby zdusić cisnący się na usta śmiech niż żeby ugasić pragnienie. Wiedział, że Mojżesz i Samuel byliby dużo bardziej zaszokowani, gdyby przyszli do pokoju kilka minut wcześniej. Zastaliby Reбекę usadowioną na kolanach Mike'a i zachowującą się jeszcze bardziej niestosownie.. Mimo swego kosmopolityzmu Baltazar sam był oburzony, kiedy po raz pierwszy przypadkiem natknął się na córkę zachowującą się w ten szczególny sposób. Nie interweniował, ale porozmawiał z nią następnego dnia. Broniła się jednak z zapałem i Baltazar zdecydował się puścić sprawę w niepamięć. Uznał nawet, że amerykańska nazwa takiego zachowania ma w sobie pewien szorstki urok. Nazywali to „pieszczotami”.

Głównym jednak powodem zakłopotania Mojżesza i Samuela byli sami Amerykanie.

Chodziło oczywiście o sposób, w jaki ubierały się Amerykanki. W „Ogrodach Turyńskich” można było teraz podziwiać przedstawicielki większości panujących stylów.

Samuel starał się nie pożerać wzrokiem młodej kobiety stojącej przy barze. Rozmawiała z Reбекą i obie wydawały się bardzo rozbawione. Biorąc pod uwagę kształty jej figury, bezwstydnie podkreślone obcisłą bluzeczką i spodniami, zadanie to wymagało od młodego człowieka niemałego poświęcenia.

Lennox w pewnym sensie przyszedł mu na ratunek.

- Nie ta, chłopcze! - powiedział, kręcąc z naganą głową. Samuel zarumienił się i odwrócił wzrok.

- Mężatka? Zaręczona?

- Chwilowo ani to, ani to. - Podeszła jedna z kelnerek i postawiła z brzękiem na stole dzban piwa. - Na koszt firmy - powiedziała silnie akcentowanym angielskim. - Z wyrazami szacunku od partii. - Po czym zaczęła się

przedzierać z powrotem przez tłum. Kobieta była korpulentna i już nie pierwszej młodości. Jak większość kelnerek w „Ogrodach Turyńskich”, została zatrudniona ze względu na spore doświadczenie. Kiedyś sama miała gospodę, więc była przyzwyczajona do poruszania się wśród awanturujących się tłumów, a teraz znowu chętnie to robiła, gdyż zarabiała więcej pieniędzy niż jej się kiedykolwiek śniło.

- Chwilowo - powtórzył Lennox i poddał młodą kobietę, o której rozmawiali, krótkim oględzinom. - Wydaje się, że dziewczyna ostatnio cieszy się dużym prestiżem, a jej ukochany źle to znosił, więc się go bezceremonialnie pozbyła.

Zauważył, że Rebeka trąca lekko młodą kobietę łokciem, wskazując na drzwi. Ponownie napełnił kufle, lekko się uśmiechając.

- Ale ośmielę się powiedzieć, że wkrótce będzie następny. O, o wilku mowa. Mackay przystawił sobie krzesło obok Samuela i osunął się na nie, wyraźnie wyczerpany.

- Piwa? - spytał Lennox, podsuwając mu kufel.

- Tak - syknął. - Proszę! - Alex miał problemy z mówieniem z powodu zeszywniałych ust, ale nie na tyle, żeby nie dać rady opróżnić kufła jednym haustem. Bez słowa przesunął kufel do Lennox, prosząc o dolewkę. Potem zrobił to samo co poprzednio.

Wreszcie odstawił kufel i lekko się wzdrygnął.

- Temu człowiekowi nigdy nie zabraknie pracy - stwierdził ponuro. - Jak przyjdzie co do czego, inkwizycja doceni jego talent.

Lennox chrząknął i pokręcił głową.

- To szaleństwo, na co ci mężczyźni się narażają. Uważasz, że warto, chłopcze?

- Znajdź jeszcze jedno krzesło, dobrze? - mruknął Baltazar do Samuela. - Sądzę, że ta młoda dama zaraz złoży nam wizytę.

Rzeczywiście. Julie Sims szła w ich stronę swoim niepowtarzalnym, sprężystym krokiem. A Rebeka znikła w tłumie jak wąż, który ukąsił, a teraz ucieka, kryjąc się w trawie. Zdradziecka Ewa!

- Cześć, Alex! - krzyknęła Julie. Samuel wstał i zaproponował jej krzesło. Przyjęła je z uśmiechem, a on poszedł poszukać sobie innego.

Uśmiech, którym obdarzyła teraz Mackaya, był bardzo szeroki.

- Tatusz mówił, że przychodzisz do niego - powiedziała bez zbędnych wstępów. - Daj mi spojrzeć.

Po chwili wahania mężczyzna lekko otworzył usta. Julie pokręciła stanowczo głową.

- No dalej, Alex, pokaż mi. Szerzej.

Znów pokręciła głową. Szerzej. Wreszcie Alex westchnął i otworzył szeroko

320 tinctlint

Julie podniosła się i obejrzała z bliska jego zęby. Jak można oczekiwać po córce dentysty, było to bardzo profesjonalne spojrzenie. Usiadła z powrotem.

- Dobrze wygląda - stwierdziła. Rozbawienie w jej oczach zastąpiło coś bardzo ciepłego. - Musiało paskudnie boleć - powiedziała cicho. Nie było to jednak wyrażenie współczucia, raczej ocena. Spojrzenie towarzyszące tym słowom zdawało się należeć do kogoś, kto ma więcej niż osiemnaście lat.

- Tłoczno tu - stwierdziła nagle. - Chciałbyś pójść na spacer?

- Tak - odparł Alex - chciałbym.

- Wydaje się dosyć śmiała - powiedział niepewnie Mojżesz, kiedy zniknęli. Lennox parsknął.

- Ty też byłbyś śmiały, chłopcze, gdybyś umiał jednym strzałem powalić człowieka z odległości czterystu kroków. - Siobnął w zamyśleniu piwo. - A tak się składa, że nie tak dawno widziałem, jak to robiła. Z tuzin razy.

* * *

Oczywiście był jeszcze jeden powód zaskoczenia. Ani Mojżesz, ani Samuel nie byli obeznani z bronią palną. Zresztą w tamtych czasach niewielu Żydów było. W większości krajów, w

których ich tolerowano, zabraniano im nosić broń. Obaj jednak byli obeznani z ludźmi noszącymi broń. Mojżesz i Samuel zostali wybrani do tej misji ze względu na doświadczenie z armiami najemnymi oraz znajomość angielskiego. Po przyjeździe do Grantville potrzebowali tylko kilku dni, aby drastycznie zmienić wstępną ocenę możliwości militarnych Amerykanów.

Ocena oczywiście wypadła bardzo pozytywnie. Bardzo pozytywnie. Mojżesz i Samuel szybko zdali sobie sprawę, że moc rażenia Amerykanów jest uzależniona od ich oszałamiających pojazdów, i chociaż ma ona dosyć ograniczony zasięg, nie mieli wątpliwości, że na terenach objętych szybko powiększającą się siecią dróg wokół Grantville Amerykanie mogą zmiażdżyć każdego, poza największymi europejskimi armiami. Co prawda, zastanawiali się Samuel i Mojżesz, Amerykanie są narażeni na najazdy kawalerii, choć ani cesarscy Chorwaci, ani Finowie króla Szwecji nie mogą zmierzyć się wprost z ich siłą ognia. Ale najazdy to nie podbój. Jeśli rodzina Abrabanelów podejmie decyzję, żeby - używając kolejnego specyficznego amerykańskiego terminu - zainwestować w Grantville, ich fortuna będzie wystarczająco bezpieczna.

Lennox chciał jeszcze coś dodać, ale przeszkodził mu okrzyk dochodzący z podium po drugiej stronie sali. Podium zostało zaprojektowane dla muzyków, ale dziś zostało przejęte przez uczestników kampanii politycznej.

Partia Czwartego Lipca właśnie miała rozpocząć swój pierwszy wiec. Mikę Stearns wspiął się na podium i zaczął iść w kierunku mikrofonu.

IM I

To oczywiście był główny powód zaskoczenia nowo przybyłych kuzynów. Lennox i Baltazar ponownie wymienili porozumiewawcze spojrzenie. „Starzy Amerykanie”.

Lennox jeszcze raz napełnił kufle.

- Przygotujcie się, chłopcy. Jeszcze nigdy nie widzieliście ludu tak zakochanego w przemowach.

Usadowił się wygodnie na krześle.

- Głupi naród.

i

IRtfzfrztał 42

Mikę od razu przeszedł do sedna sprawy.

- W tej kampanii jest tylko jedna kwestia. Zapomnijcie o wszystkich tych bredniach dotyczących jednego okręgu wyborczego. Zresztą dlaczego niby Simpson tak się podnieca tym, co nazywa „zasadą reprezentacji geograficznej”? W dawnych czasach, kiedy jeździł po świecie, miał willę w Hiszpanii i luksusowy apartament w Londynie. Jestem pewien, że oddawał głosy tylko i wyłącznie przedterminowo.

Tłum zgromadzony w „Ogrodach” zaśmiał się. Mikę machnął ręką, jakby odganiał owada.

- To wszystko to tylko temat zastępczy. Tak naprawdę Simpsonowi zależy na tym samym co mnie: na czynnym prawie wyborczym. - Ponownie machnął ręką. - Pewnie, że są także inne kwestie, dużo innych kwestii. Nasza polityka wobec uciekinierów, nasza polityka ekonomiczna, nasza polityka zagraniczna - jest w czym wybierać. Wiadomo, że Simpson i ja jesteśmy w przeciwnych obozach, ale zostawmy to wszystko na później. Te wybory to wybory delegatów na konwencję konstytucyjną. Konwencja nie będzie się zajmowała sprawami programowymi. Ustali za to coś dużo ważniejszego: kto będzie decydował. Jaka polityka będzie prowadzona, która osoba lub partia obejmie władzę. To jest czynne prawo wyborcze, a prawo wyborcze to najwyższa władza. I o to chodzi, jedynie o to.

Mikę odwrócił się od mikrofonu i wyciągnął rękę w stronę Rebeki, która stała z boku podium, trzymając dwa dokumenty.

Pierwszy dokument składał się z kilku zszytych kartek.

- Oto nasza propozycja konstytucji. - Kiwnął głową w kierunku grupy siedzącej przy pobliskim stole. - Przygotowali ją Ed, Melissa, James i Willie Ray, a cały sztab anty kryzysowy ją zatwierdził.

- Underwood też? - zapytał ktoś z tyłu. Mikę skinął głową.

- Tak. Quentin będzie się ubiegał o stanowisko delegata z ramienia naszego ugrupowania. W tłumie rozległy się ciche pomruki. Wiadomość o lojalności Underwooda była bardzo ważna i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. W przeszłości jako kierownik największej czynnej kopalni w okolicy Quentin był przysłowiową „grubą rybą”. Właściwie najgrubszą. W przeciwieństwie do wielu biznesmenów w mieście, Underwood nie był niezależnym właścicielem, ale jego rzeczywista władza i wpływy były dużo większe. Żadna z niewielkich miejscowych firm nie miała takiej listy płac jak kopalnia ani takiej siły nabywczej jak jej kierownik.

Obecni w gospodzie członkowie ASG nie byli zachwyceni tą wiadomością. Byli przyzwyczajeni do oglądania Underwooda po drugiej stronie linii pikietujących, ale milczeli, gdyż żaden z nich nie był jednak głupi, a ponadto wszyscy przyzwyczaili się już do myślenia w kategoriach praktycznych. „Wszystko w swoim czasie. Lepszy kierownik (w gruncie rzeczy swój chłop) niż ten cholerny, żałosny, pier... przybłęda naczelny”.

- Założę się, że Simpson ma teraz korniszona zamiast fujary - podsumował wszystko Harry Lefferts.

Wszyscy siedzący przy jego stoliku wybuchli śmiechem.

- No to pozostały mu tylko starsze panie i sprzedawcy samochodów. Aha, zapomniałem. Słyszałem, że wstrzemięzliwi również popierają go w stu procentach. - Znowu rozległ się gromki śmiech. Wraz z napływem niemieckich uciekinierów spożycie alkoholu, które nigdy nie było najniższe, osiągnęło imponujący poziom. „Wstrzemięzliwość” dla siedemnastowiecznych Niemców oznaczała brak piwa do śniadania.

Mikę uniósł teraz w górę drugi dokument, który dała mu Rebeka. Był to sporych rozmiarów plik kartek.

- A to są poprawki, których wprowadzenia żąda Simpson i jego zgraja - powiedział z sarkazmem. - O ile można użyć słowa „poprawki” na określenie czegoś, co jest cztery razy dłuższe od tego, co niby ma poprawiać. Ich delegaci ubiegają się o głosy w oparciu o ten projekt, bo to właściwie jest inna konstytucja. Chcecie wiedzieć, co tam jest? Naprawdę? To konstytucja dyskryminacji, ot co!

Zaczął przerzucać kartki i czytać fragmenty poprawek.

- „Bezwzględna znajomość angielskiego, polegająca na zadowalającej umiejętności pisania i czytania, którą stwierdzą odpowiednio mianowane komisje wyborcze.” - Mikę spojrzął poniżej i zaśmiał się. - A to moje ulubione:

324

Erie Flint

„Aspirujący do otrzymania praw wyborczych muszą się wykazać solidną znajomością historii Ameryki, która usatysfakcjonuje...”. Upuścił kartki na podłogę, jakby były zabrudzone.

- Jestem pewien, że ja bym nie zdał tych testów, a przynajmniej tych dostarczonych przez „komisje”, o jakich myśli Simpson. Byłyby to komisje dyskryminacji. - Uśmiechnął się szeroko. - Myślę, że oblaliby nawet Rebeke.

- Tak? - huknął Lefferts. Młody górnik wstał, a raczej z trudem dźwignął się na nogi. - To dajcie Simpsona do jej talk show! Niech pokaże temu przemądrzałemu cwaniakowi, gdzie raki zimują!

Rozległy się śmiechy i oklaski. Od jakiegoś czasu rozmowy Rebeki z zaproszonymi gośćmi przy okrągłym stole, które nadawano trzy razy w tygodniu, były najpopularniejszym programem w telewizji.

- Proponowała mu! - powiedział kobiecy głos. Wszyscy odwrócili głowy. Przy stoliku z boku stała Janice Ambler. - Proponowała osiem razy ~ powtórzyła dyrektorka stacji telewizyjnej - ale za każdym razem Simpson odmawiał.

Zawstydzona Rebeka opuściła głowę, ale kiedy głośnie okrzyki nadal trwały, przełamała wstyd i podniosła głowę. Powoli uczyła się nie przyjmować skromnej pozy, kiedy publicznie chwalono jej niezwykły intelekt. Po tylu miesiącach ciągle jednak nie była przyzwyczajona do pochwał i nie potrafiła kontrolować rumieńca, który pojawiał się na jej policzkach, ale na szczęście często pozostawał niezauważony z powodu jej ciemnej karnacji.

Lennox oczywiście go dostrzegł, tak samo jak i krewni Rebeki.

- Mówiłem, że są głupi - burknął. - Chwalić publicznie rozum kobiety! - Wyżłopał do końca piwo. - Zapamiętajcie moje słowa, to się źle skończy!

Mike przeszedł teraz do podsumowania swojego wystąpienia.

- Możecie nie słuchać tego fragmentu mowy, chłopaki - wtrącił się Lennox. - Robią dużo szumu wokół wspaniałej tradycji Wirginii Zachodniej. Jak się odłączyli od żalosnych arystokratycznych secesjonistów, kiedy te sukinsyny, właściciele niewolników, próbowały osłabić wolę uczciwych i lojalnych amerykańskich chłopów...

Żydowski dyplomaci nie zrozumieli szczegółów przemówienia Mike'a, ale pojęli jego ogólną wymowę.

- On mówi poważnie - wymamrotał Mojżesz i przebiegł wzrokiem zgromadzony tłum. Z łatwością odróżniał Amerykanów i Niemców, a także Szkotów, ale nie potrafił nazwać niewielkiej grupy ludzi siedzących przy jednym stole.

- To menonici49 - wyszeptał Baltazar. - Kilkuset przybyło j akieś dwa tygodnie temu. Amerykanie nadali im prawo do nieużytków u podnóża wzgórz. To są ich starsi.

- Śmiertelnie poważnie - oznajmił Lennox. Otarł usta gestem wyrażającym ewidentną satysfakcję. - Ten człowiek jest głupi, panowie, ale pamiętajcie o jednym. On jest wróżką, jakem Lennox.

- Wygra te zmagania? - spytał Samuel. Lennox rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Nie słyszałeś? Powiedziałem, że jest wróżką.

W tym samym momencie Underwood i Henry Dreeson doszli do tego samego wniosku.

Wychodząc ze spotkania Izby Handlowej, Quentin stwierdził:

- Poszło lepiej niż oczekiwałem.

- Ja tak nie uważam - uśmiechnął się Dreeson. Wieloletni kierownik kopalni popatrzył na niego sceptycznie.

- Jaznam tych ludzi, Henry. Są konserwatywni jak stare dinozaury. Cholera jasna, nawet ja przy nich wyglądam jak radykał z obłędem w oku.

Burmistrz pokręcił głową.

- To nie w porządku, Quentin. Dinozaurów już nie ma, a ci goście nie zamierzają zniknąć.

Wyszli na ulicę i zatrzymali się, aby zapiąć kurtki. Listopad był chłodniejszy niż zazwyczaj. Dreeson rozejrzał się wokół.

- Spójrz, Quentin. Zauważyłeś jakieś zmiany?

- No pewnie! Na ulicy jest pełno ludzi. Interes kwitnie! - Underwood popatrzył na rząd starych, wielopiętrowych ceglanych budynków stojących po obu stronach „głównego traktu” Grantville.

- Pamiętam, jak połowa tych budynków była pusta - rzekł, marszcząc brwi. - Tylko że teraz to miejsce jest też bardziej hałaśliwe. Dan i jego zastępcy wreszcie zaczynają uczciwie zarabiać na swoje utrzymanie. Powiedział mi niedawno, że czuje się jak Wyatt Earp50 albo Bat Masterson, próbujący utrzymać porządek w rozwijającym się miasteczku na Dzikim Zachodzie.

Jednak wzrok Dreesona spoczywał gdzie indziej; patrzył na niewielką grupkę dokazujących na ulicy dzieci. Ulice Grantville stały się teraz alejkami spacerowymi, gdyż autobusy przejeżdżały nimi tylko od czasu do czasu.

- Tak sobie myślałem o tych dzieciakach - powiedział cicho. - Kiedy przez te wszystkie lata spędzone w mieście, w którym się urodziłem, w którym dorastałem, które tak bardzo kocham i w którym zamierzam umrzeć, widziałem tak dużo młodych ludzi wyjeżdżających w różne zakątki Appalachów, bolało mnie serce.

Niemłody już burmistrz głęboko odetchnął. Zimne jesienne powietrze wydawało się dodawać mu energii.

- Niech szlag trafi Simpsona i jego kasandryczne przepowiednie. - Dreeson skinął głową w kierunku budynku, z którego dopiero co się wyłonili. - Pewnie,

326

Erie Flint

że są zdenerwowani. Zdenerwowani jak szlag, ale nas poprą. Interes kwitnie, nawet jeśli jest jeszcze prymitywny. I dzieciaki wracają. Tłumy dzieciaków.

Dwojgu ludziom idącym powoli ulicą chłodne powietrze również wydawało się dodawać energii. Albo może chodziło o wzajemne towarzystwo.

- To nie będzie łatwe, Alex - powiedziała Julie. Stała na rogu i odwróciła się do niego. Ręce trzymała w kieszeniach kurtki, którą założyła po wyjściu z gospody. Miała poważny wyraz twarzy małej dziewczynki, która stara się być dorosłą kobietą. - Nie potrzebuję kolejnego nerwowego chłopaka.

Piegowatą twarz Szkota wykrzywił lekko drwiący uśmiech.

-Ale mam nadzieję, że zezwolisz mi na chwilę słabości?

Śmiech Julie uznał za potwierdzenie i jego uśmiech stał się mniej drwiący.

- Nie jestem już chłopcem, Julie, bez względu na to, jak wyglądam. Widziałem w swoim życiu dużo więcej cierpienia niżbym sobie życzył. Sądzę, że to daje człowiekowi - przynajmniej mnie - pewną perspektywę.

Jego uśmiech zniknął, zastąpiony bardzo poważnym spojrzeniem.

- Musisz zrozumieć, że jestem w służbie króla Szwecji. Nieważne, co słyszałaś o najemnikach, ale ja traktuję swoją przysięgę poważnie, więc...

Julie wyjęła dłoń z kieszeni i położyła na jego ustach.

- Wystarczy, rozumiem. Nie potrzebujesz ciągle zamartwiającej się kobiety. Będziesz dużo wyjeżdżał i możesz już nigdy nie wrócić.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- Nie z własnej woli. Ale moja profesja jest ryzykowna, nie da się tego uniknąć. Powoli ruszyli dalej, tym razem trzymając się za ręce. Kroki Julie jak zwykle były sprężyste, teraz chyba bardziej niż zwykle.

- A ty pozwolisz mi na chwilę słabości? - spytała.

* * *

Jej pierwsza chwila słabości miała miejsce dokładnie dwie minuty później.

- Jutro? - wykrzyknęła.

Mackay pokręcił głową z żalem, ale i uporem.

- Muszę, Julie. Byłem w Jenie, kiedy król przejeżdżał przez Turyngię, więc nie mogłem złożyć mu raportu. Nie mogę dłużej zwlekać. Gustaw Adolf ustanowił tymczasową kwaterę w Wurzburgu. Nie wiem jednak, jak długo tam będzie. Porusza się bardzo szybko, chcąc wykorzystać fakt, że poplecznicy cesarza ciągle są wytrąceni z równowagi. Muszę więc jechać...

-Jutro! -jęknęła.

* * *

Jeśli dzieci, które jakiś czas później wybiegły zza rogu i popędziły obok nich, stwierdziły, że jest coś dziwnego w tym, że dwoje ludzi tuli się do siebie w miejscu publicznym, nie pokazały tego po sobie.

Ostatnimi czasami widziały dużo dziwnych rzeczy.

Rnztóal 43

Pierwsza śnieżycą nikogo nie zaskoczyła. Nikt w Grantville i okolicy nie martwił się o przetrwanie zimy. Już nie. Mimo napływu nowych imigrantów, którzy jeszcze niedawno byli jeńcami wziętymi po bitwie pod Jena, żywności i schronienia było więcej niż potrzeba. Oczywiście „schronienie” było dosyć prymitywne. Wokół elektrowni pospiesznie wzniesiono osiedle drewnianych domów, które stały tak blisko siebie, że przypominały małe siedemnastowieczne miasteczko. Domy ogrzewano parą dostarczaną przez elektrownię. Te prymitywne budynki zapewniały przetrwanie w zimie, a panujący w nich tłok był kolejnym bodźcem (nie żeby Niemcy jakiegos potrzebowali) do szybkiego znalezienia pracy, która pozwoliłaby przenieść się w jakieś lepsze miejsce.

Właściwie większym problemem był brak porządných domów niż pieniędzy na ich kupno. Grantville stało się typowym rozwijającym się miastem. Kopalnia węgla pracowała już pełną parą; zamiast niedostępnego nowoczesnego sprzętu górnicy używali kilofów i łopat. To samo dotyczyło wszystkich innych zakładów, szczególnie warsztatów mechanicznych. Nawet szkolne centrum szkolenia technicznego stało się zapleczem produkcyjnym, a uczniowie, których większość stanowili teraz młodzi Niemcy, uczyli się tam fachu.

Nowe firmy i zakłady pojawiały się jak grzyby po deszczu. Większość z nich miała tradycyjny charakter. Oczywiście poczesne miejsce zajmowało budownictwo, ale i „Ogrody Turyńskie” wkrótce miały konkurencję, i to sporą, choć ciągle były największą gospodą w mieście.

328

Erie Flint

Ostatecznie jedzenie okazało się mniejszym problemem niż się obawiano. Oprócz zebranego jesienią ziarna pojawiły się jeszcze dwa nowe źródła zaopatrzenia.

Pierwszym z nich był handel. W tajemniczy sposób po całych Niemczech rozeszły się wieści, że jest takie miejsce...

Rynek zbytu najedzenie, tkaniny, metale, minerały, praktycznie wszystko. Płaci się tutaj twardą walutą - złotem i srebrem -jeśli ktoś chce, albo cudownymi metalowymi wyrobami, dziwnymi jedwabistymi ubraniami, a najczęściej zmyślnymi zabawkami, lalkami i przedmiotami zrobionymi z substancji nazywanej „plastikiem”. Towarami luksusowymi! W ciągu paru tygodni apteki i sklepy z bibelotami w Grantville pozbyły się praktycznie wszystkich bezużytecznych zabawek i gadżetów, które od miesięcy zalegały na półkach. Niektórzy niemieccy handlarze, ci najsprytniejsi, przenieśli swoje główne siedziby do Grantville. Wkrótce doszli do wniosku, że inwestowanie w produkcję jest jeszcze bardziej korzystne niż handel. Szlaki przecierał Georg Kleinschmidt - kupiec, który dostarczył pierwszą partię gwoździ i ćwieków. Kiedy zauważył, ile drewnianych budynków powstaje w okolicy, natychmiast porzucił handel i zainwestował swój niewielki majątek w budowę fabryki gwoździ. Jego partnerem został Keith Trumble, amerykański dealer samochodów. Amerykanin zdawał sobie sprawę, że jego poprzednie zajęcie nie ma przyszłości, i udostępnił swoje biuro oraz salon sprzedaży jako miejsce na fabrykę. Inni dealerzy samochodów narzekali i marudzili oraz gromadzili się (w niewielkich grupkach) na wiecach Simpsona, natomiast Trumble powitał nową rzeczywistość z otwartymi ramionami. Produkcja gwoździ była ciężką i brudną pracą, to fakt, ale przynajmniej nie musiał już kłamać ani targować się z klientami. Codziennie rano przed jego drzwiami ustawiała się kolejka.

* * *

Drugie źródło żywności dostarczyło mieszkańcom Wirginii Zachodniej wielkiej przyjemności. Jesień była sezonem łowieckim. Wprawdzie w siedemnastowiecznej Turyngii...

Zezwolenie? A co to jest?

Ograniczenia? Żadnych. Oczywiście poza surowym zakazem polowania na ziemiach należących do arystokracji, co właściwie oznacza większość lasów i wszystkie...

Pieprzyć arystokrację. Jak im się nie podoba, niech spróbują nas zaaresz-

W Lesie Turyńskim zwierzyny było pod dostatkiem, a ponadto jelenie nie były przyzwyczajone do huku karabinów, które trafiały do celu z odległości nawet kilkuset metrów.

Sama Julie Sims upolowała wystarczająco dużo dziczyzny, żeby wykarmić setki ludzi. Ale to osiągnięcie było w jej oczach niczym w porównaniu

z wyczynem jej chłopaka. Dzień po tym, jak Alex wrócił z Wurzburga, Julie zabrała go na polowanie. Miała ze sobą swego ukochanego remingtona kaliber 7,82 milimetra, ale Alex zadowolił się dwururką naładowaną kulkami.

Julie natrzęsała się z jego broni, ale Mackay wcale nie wydawał się tym zbity z tropu; i tak nie miał szans dorównać jej w strzelaniu. W przeciwieństwie do Julie, wiedział co nieco o tutejszych lasach, dlatego wziął dwururkę w razie, gdyby...

Kiedy dzik zaatakował z zarośli, Julie nie ustąpiła, ale miała problemy z wystrzeleniem z dalekosiężnej broni, tymczasem Mackay stanął w odległości zaledwie pięciu metrów i... z zimną krwią zabił zwierzę Julie opowiadała o tym wydarzeniu jeszcze przez długie tygodnie.

Jej opowieści stały się przyczyną pierwszego w nowej historii Grantville pojedynku. Były chłopak Julie, Chip, który ciągle leczył zranione serce - a raczej urażoną dumę, gdyż miał instynkty miłosne ropuchy - poczuł się urażony.

Pewnego wieczoru, kiedy jego emocje podsyciła spora ilość wypitego piwa, Chip uznał za stosowne wyzwąć Mackaya na pojedynek w „Ogrodach Turyńskich”. Mimo że Szkot był dzieckiem z nieprawego łoża, był jednak dżentelmenem (w pełnym tego słowa znaczeniu) i oczywiście przyjął wyzwanie. Prawdopodobnie zrobiłby to również wtedy, gdyby wcześniej nie przekroczył swego dziennego limitu wyborowego piwa serwowanego w „Ogrodach”.

Chip, futbolista wychowany na amerykańskiej diecie w dwudziestym wieku, był dużo potężniejszy od niewysokiego Szkota, ruszył więc śmiało do przodu i powalił Mackaya pięścią.

Nie zaproponował nawet wyboru broni.

Oburzony niecywilizowanym zachowaniem przeciwnika („Uderzyć pięścią w twarz człowieka, który stawiał czoła dentyście?”), Mackay natychmiast zerwał się z podłogi, wyciągnął szablę i zaczął ścigać Chipa po całym pomieszczeniu.

I ścigający, i ścigany poruszali się powoli. Chip przedzierał się przez tłum tak, jakby walczył o dotarcie do linii bramkowej, a tłum szybko gęstniał po tym, jak rozniósł się wieści, że „się biją!”.

Na szczęście Mackay nie użył szabli do torowania sobie drogi, tylko uprzejmie, mimo upojenia alkoholowego i morderczych zamiarów, prosił gorliwych obserwatorów, aby się usunęli. Wreszcie - zajęło to może dwie minuty - zapędził Chipa w róg sali, gdzie stały stoły do bilardu.

Oczywiście teraz Chip był już uzbrojony. Mocno zamachnął się na Mackaya kijem bilardowym, ale szybko odkrył, że jest to żałosna broń, jeśli przeciwnikiem jest doświadczony kawalerzysta - nawet pieszy - uzbrojony w szablę. Kij dosłownie w parę chwil został zamieniony na wykafaczki.

Koniec wydawał się bliski.

I wtedy interweniował jeden z zastępców Dana Frosta. Niestety, był to Fred Jordan, który, jak się okazało, biorąc przykład ze swoich szkockich przyjaciół,

wchłonął zbyt dużą ilość niemieckiego piwa (oczywiście nie był na służbie). Uznał więc wybór broni przez Mackaya za legalny i rozkazał, by kontynuować pojedynek - oczywiście z zastrzeżeniem, że Chip dostanie szablę.

Zamieszanie wzrosło. Chip nie miał szabli, więc z tuzin szkockich kawale-rzystów natychmiast zaoferowało mu swoje, ale wtedy wyszło na jaw, że ten śmiały młody człowiek nie potrafi walczyć szablą.

Mackay, jak zawsze džentelmen, natychmiast zmienił broń na pistolety. I jakby tego było mało, zaproponował, że użyje swojego pistoletu z zamkiem kołowym przeciwko jakiegokolwiek nowoczesnej broni wybranej przez przeciwnika, i to na ustaloną przez Amerykanina odległość.

I wtedy trzeźwość zaczęła dochodzić do głosu. Alex wciąż był wściekły, ale Chip już nie był. Z pewnym opóźnieniem zaczął sobie zdawać sprawę, że czcze przechwałki byłego kapitana licealnej drużyny futbolowej są niczym w porównaniu z poważnymi zamiarami zawodowego żołnierza.

Zamek kołowy przeciwko nowoczesnemu pistoletowi? Na dowolną odległość? Biorąc pod uwagę umiejętności tych dwóch mężczyzn, rezultat wydawał się przesądzony.

- On próbuje mnie zabić! - zaczął zawodzić Chip.

W odpowiedzi w ogromnym tłumie rozległy się nieżyczliwe okrzyki, i jakby tego było mało, krzyczeli głównie Amerykanie. „Krzyżyk na drogę!”. „Pycha prowadzi do zguby!” oraz „Nie rób nic pochopnie!”.

Kiedy przybył Dan Frost, robiono już zakłady, głównie na korzyść Szkota, jednak Dan natychmiast wszystko zakończył. Rozporządzenia miejskie, wyjaśnił, jednoznacznie zabraniają pojedynkowania się.

Jako praworządny człowiek Mackay zaproponował przeniesienie pojedynku do lasu, poza granice miasta, co natychmiast spowodowało wzrost stawianych na niego zakładów.

Ale w tym momencie przybył Mikę i wydał ostateczne orzeczenie: żadnych pojedynków na terytorium amerykańskim. Koniec, kropka.

- Jak sobie życzysz, panie - odpowiedział Mackay. Ukłonił się sztywno i odszedł dumnym krokiem, nie zaszczycając nawet spojrzeniem swojego niedoszłego przeciwnika.

Przeciwnik z kolei przez następnych kilka dni próbował się chwalić udziałem w tym incydencie, ale bezskutecznie; nawet najbliżsi przyjaciele z byłej drużyny futbolowej nie stanęli po jego stronie.

- Przestań pieprzyć głupoty - powiedział Kenny Washaw, były napastnik. - I dorośnij, skoro już o tym mowa, bo będziesz sprzedawać hamburgery przez całe życie.

- A nie potrwa ono długo, jeśli będziesz zaczepiał facetów, którzy noszą szable i spędzają godziny na fotelu dentystycznym bez znieczulenia, bez względu na to, jakimi są konusami - dodał były lewy blokujący, Steve Early.

Rzecz jasna Simpson próbował potem przedstawić problem „pojedynku” jako kolejny przykład nieposzanowania prawa spowodowanego przez reżim Stearnsa.

Jego plan spalił jednak na panewce. Przecież tak naprawdę - poza podbitym okiem Mackaya - nic nikomu się nie stało. Simpson ponownie błędnie ocenił swoją publiczność. Ludzie z gór mają własne poczucie sprawiedliwości - pełne humoru, ale posępne - i obraz kurdupla, który pokazał miejscowemu łobuzowi, gdzie raki zimują, bardzo do niego pasował.

* * *

Ta niewielka burda szybko poszła w niepamięć za sprawą przyjazdu przedstawiciela rodziny Abrabanel z egzotycznego i odległego Sambułu. Połowa miasta, a przynajmniej Amerykanów, wyruszyła, aby go powitać.

Rzecz jasna niektórzy z nich byli tam oficjalnie, ale większa część tłumu była chwilowo zupełnie obojętna wobec spraw związanych z finansami i polityką zagraniczną. W ich umysłach gościło jedno - tylko jedno - pytanie.

Kilka tygodni wcześniej w supermarketach w Grantville skończyła się kawa, i ku kompletnemu zaskoczeniu i przerażeniu Amerykanów okazało się, że w tych czasach kawa praktycznie jest nieznanai można ją uzyskać tylko z jednego źródła.

Z Turcji.

Tak więc nieco skonsternowany Don Francisco Nasi stwierdził, że pierwszą kwestią, jaką będzie musiał się zająć po przyjeździe, jest określenie zasad handlu kawą.

Francisco był młodszy niż obaj przedstawiciele rodziny Abrabanel, którzy niedawno przyjechali - skończył dwadzieścia sześć lat - niemniej jednak szybko stało się jasne, że odziedziczył talenty dziadka i znamienitej matrony Doni Gracii Mendes, dzięki którym ich gałąź rodziny doszła do wielkiej fortuny.

W trakcie niemal nieustannych negocjacji z Mike'em i jego sztabem Francisco żelazną ręką kierował przedstawicielami Abrabanelów. Być może dlatego, że był wychowywany w muzułmańskiej Turcji, był dużo mniej zaskoczony niż Mojżesz czy Samuel niewątpliwie cudzoziemskim charakterem Amerykanów i ich nowego społeczeństwa.

Szczupły i przystojny młody mężczyzna spojrział uważnie na twarze pozostałych Żydów zgromadzonych w salonie Rothów. Samych Rothów nie było; zadecydowali, że najlepiej będzie pozwolić Abrabanelom przedyskutować sprawy rodzinne we własnym gronie.

Przez chwilę Francisco zatrzymał spojrzenie na Rebecce. Nawet w odległym Stambule słyszano o pięknej i inteligentnej córce doktora Baltazara, a rodzina Francisca zobowiązała go między innymi do znalezienia sobie żony w czasie tej podróży.

332

Erie Flint

Jeśli jednak w jego oczach przez chwilę pojawił się jakiś błysk, szybko zniknął. Francisco był doświadczonym dyplomatą - prawdę mówiąc, mimo młodego wieku był dobrze zapowiadającym się mężem stanu - a nie usychającym z miłości pasterzem i nigdy nie miał problemów ze spojrzeniem prawdzie w oczy. A jako działający bez emocji makiawelista zobaczył także drugą stronę całej sprawy. Wkrótce zostaną połączeni z Amerykanami więzami krwi, a Francisco wierzył w siłę więzów krwi równie mocno jak we wschód słońca. To one pozwalały jego rodzinie funkcjonować od stuleci.

- Spójrzcie prawdzie w oczy - rzekł. - Czy od czasu, kiedy dynastia Almo-rawidów rządziła Sefaradem, dostaliśmy taką propozycję? - Sięgnął po filiżankę i zaczął sączyć drogocenną kawę, którą ze sobą przywiózł.

- Nie - sam sobie odpowiedział. - Nawet od Osmanów. To prawda, dobrze prosperujemy na terenie imperium, ale ciągle żyjemy na łasce sułtana. - Pstryknął palcami. - Nowy sułtan...

Nie dokończył zdania; nie było takiej potrzeby.

- Teraz jest czas na śmiałe posunięcia - stwierdził. - Teraz nastał taki czas.

- Możesz pozostać w cieniu - zwrócił się do Mojżesza, który okazał się najbardziej niezdecydowanym z Abrabanelów. Oczywiście nie było w tym niczego dziwnego; y'ego część rodziny żyła w samym sercu habsburskiej bestii.

- Amerykanie nie chcą dóbr materialnych z katolickich włości. Chcą pożyczki, którą z łatwością możesz im w sekrecie załatwić.

- Ale oni nalegają na absurdalnie niskie odsetki - poskarżył się Mojżesz. Rebeka zaczęła coś mówić, ale ojciec natychmiast ją uciszył, kładąc rękę na jej ramieniu i rzucając ostrzegawcze spojrzenie. Niech Francisco się tym zajmie. To nie twoja sprawa.

Francisco dopił kawę i wzruszył ramionami.

- A więc skorzystaj z ich propozycji. Zainwestuj. Sam zamierzam tak uczynić. Wystarczająco długo byliśmy lichwiarzami.

Mojżesz i Samuel wymienili niepewne spojrzenia.

- To... to nie jest przyjęte - mruknął Samuel.

- Zgadza się, nie jest - odparł Francisco i dodał ostro: - To, co jest przyjęte, to Żydzi pożyczający książętom pieniądze albo służący chrześcijańskiej arystokracji jako poborcy czynszu. Potem, jak już książęta zakończą swoje wojny, a chłopci wznicią powstanie, Żydzi są tymi, którzy płoną.

Postawił filiżankę z taką siłą, że omal nie rozbił spodka.

- Dostyc tego, powiadam! Mam pełne poparcie tureckich Abrabanelów. - Był wystarczająco uprzejmy, żeby nie dodać: którzy są największą i najbogatszą gałęzią rodziny. - Jakakolwiek będzie wasza decyzja, ja już ją podjąłem. Oczywiście zadbamy o wszystkie konieczne środki ostrożności. Nie ma powodu, żeby publicznie ucierać nosa chrześcijańskim władcom, ale damy Amerykanom wsparcie, o które proszą. Twardą walutę, pożyczki, handel, inwestycje. Francisco przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Co więcej, zaczniemy tu imigrować. Ja sam zamierzam tutaj zostać.

To oświadczenie zmroziło wszystkich. Francisco był wschodzącą gwiazdą na firmamencie Abrabanelów. Gdyby został w Stambule, miałby zapewnione spokojne, pełne luksusów i przepychu życie.

Być może odczytał ich myśli, gdyż się uśmiechnął.

- Do czasu, aż nowy sułtan...

Uśmiech zniknął, zastąpiony tak poważnym spojrzeniem, że aż wydawało się nie na miejscu na tak młodej twarzy. Ponownie skierował wzrok na Rebekę.

- Jest jednak pewien warunek - powiedział chłodno.

Rebeka westchnęła. Znała drugi powód przybycia Francisca do Turynii. Nie potrzeba geniusza, żeby zgadnąć, nawet jeśli jej ojciec nie został wcześniej uprzedzony.

Musiała bardzo się starać, żeby na jej twarzy nie pojawił się gniew. Zaszokowało ją, jak bardzo już przyswoiła sobie amerykański sposób postrzegania pewnych spraw. „Jeśli ten mężczyzna uważa, że może żądać...”.

Francisco potrząsnął głową, jak gdyby czytał w jej myślach.

- Kiedy ma się odbyć twój ślub z Michaeliem Stearnsem? - spytał. Jego pytanie zupełnie zaskoczyło Rebekę.

- Ja... my... - szukała słów - jeszcze nie ustaliliśmy daty.

- Więc ją ustalcie - nakazał Francisco. - To mój warunek.

Rebeka popatrzyła na niego przeciągle. Rzadko jej się to zdarzało, ale teraz zaniemówiła. Poważny wyraz twarzy mężczyzny złagodniał.

- Proszę, Rebeko, zrób to teraz. Dla nas wszystkich. - Rozłożył ręce, jakby wyjaśniał coś, co jest oczywiste. - Wierzę w siłę więzów krwi.

Mojżesz i Samuel zachowali się zgodnie ze swoją ostrożną naturą i nie podjęli tego wieczoru ostatecznej decyzji. Ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że Francisco przesądził sprawę.

Wkrótce potem spotkanie się zakończyło. Rebeka musiała iść; jej dyskusja przy okrągłym stole miała być tego wieczoru pokazana w telewizji. Francisco odprowadził ją do drzwi i zaproponował jej swoje towarzystwo w drodze do szkoły.

Rebeka zawahała się. Nie miała zamiaru - najmniejszego zamiaru - obrazić Francisca ani tym bardziej zranić jego uczuć, więc przez chwilę płątała się, próbując mu wyjaśnić, że Michael zawsze ją odprowadza...

Francisco ponownie wydawał się czytać w jej myślach.

- Wydaje się wspaniałym człowiekiem - powiedział delikatnie. - Jak wiesz, my, tureccy Sefardyjczycy, jesteśmy przyzwyczajeni do wchodzenia w związki małżeńskie z osobami innego wyznania.

- Dziękuję ci, Francisco. Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale w innych okolicznościach z radością zostałabym twoją żoną. Uważam, że ty też jesteś wspaniałym człowiekiem.

Skinął głową z klasą dworzanina obeznanego z etykietą osmańskiego dworu.

- Dziękuję ci, Rebeko Abrabanel.

- Ale mam kuzynkę w Amsterdamie. Jest bardzo ładna i bardzo inteligentna. Ma na imię... Francisco uniósł rękę.

- Proszę! Daj mi dzień lub dwa, bym mógł porozczulać się nad swym złamanym sercem. - Śmiech złagodził wymowę tych słów. Mężczyzna na chwilę się zamyślił.

- Poza tym - rzekł - najlepiej będzie na razie zostawić tę kwestię. Zamierzam tutaj pozostać, więc może powinienem pójść za twoim przykładem. Więzy krwi.

- To nawet lepiej! - wykrzyknęła zadowolona Rebeka. - Jest taka młoda nauczycielka, Gina Mastroianni, bardzo dobra rodzina, jak mówią Amerykanie. Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. Jest nawet ładniejsza niż moja kuzynka... i mądrzejsza. Z ręką na sercu...

Francisco roześmiał się.

- Uciekaj! Później o tym porozmawiamy.

Rebeka posłusznie zbiegła po schodach. Kiedy znalazła się już na dole, ogarnęła janowa fala entuzjazmu. Odwróciła się.

- Oglądaj dzisiejszy program, Francisco! Będzie wspaniała okazja do zainwestowania! Oglądaj!

- Jak jej to uchodzi na sucho? - mruknął Piazza. Jak zwykle przysłuchiwał się dyskusji przy okrągłym stole.

Siedzący obok niego Mikę uśmiechnął się szeroko.

- Coś jest nie tak? - szepnął. - Myślisz, że szefowie telewizji, których gdzieś tam zostawiliśmy, nie mówiąc już o sponsorach, zakrzusiliby się z wrażenia? To nieodpowiednie dla powszechnego odbiorcy?

Piazza chrząknął, żeby coś odpowiedzieć, ale zamilkł. Zaczynał się program.

- Witam w dyskusji przy okrągłym stole - rozpoczęła Rebeka, podskakując z radości na krześle. - Myślę, że dzisiejszy program będzie wspaniały!

Potem przedstawiła po kolei uczestników dyskusji.

- Oczywiście większość z was już zna Grega Ferrarę z jego poprzednich występów w programie. Obok niego siedzi Ollie Reardon, właściciel jednego z warsztatów mechanicznych w Granville. Zaraz za nim Jerry Trainer. Jerry jest zięciem Quentina Underwooda, studiował inżynierię chemiczną, zanim Ognisty Krag... hmmm...przerwa/jego edukację.

Wśród publiczności słyhać było cichy śmiech.

- Studiował jednak wystarczająco długo, jestem tego pewna - powiedziała stanowczo Rebeka.

Przerwała na chwilę, żeby przetłumaczyć wstęp na niemiecki. Kiedy powróciła do angielskiego, jej entuzjazm wydawał się jeszcze większy.

- Dzisiaj będziemy dyskutować o propozycji zbudowania zakładów chemicznych. Goście wyjaśnią ich znaczenie dla naszej przyszłości. - Podskoczyła jak na sprężynach. - W szczególności kwasu siarkowego! Czyż to nie wspaniale?

- Jak jej to uchodzi na sucho? - powtórzył Piazza. - Najgorsze, że - nie, nie będę się zakładał!

- zatrzyma całą cholerną widownię przed telewizorami.

* * *

I rzeczywiście zatrzymała, przynajmniej całą niemiecką widownię. Niektórzy Amerykanie odwrócili się od telewizorów, ale nie zrobił tego żaden Niemiec.

Po półgodzinie trwania programu, kiedy Greg Ferrara wyjaśniał na tablicy kluczowe znaczenie kwasu siarkowego w praktycznie wszystkich procesach chemicznych, pewien siedzący w „Ogrodach Turyńskich” niemiecki rolnik odwrócił się do niemieckiego górnika, który gapił się w podwieszony pod sufitem telewizor.

- To brzmi niebezpiecznie - skomentował.

- Bardziej niebezpiecznie niż kopalnia węgla? - parsknął górnik. - Z takimi pieniędzmi, o jakich mówią? - Wlał zawartość dzbanu do swego kufla i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kelnerki. - Gesine, bitte! - Pomachał pustym dzbanem. - Und telefon!

Niedługo później Gesine pojawiła się z nowym dzbanem i bezprzewodowym telefonem.

Górnik przyjął telefon z równą chęcią jak piwo. Był teraz „starym Amerykaninem” i używanie telefonów było dla niego łatwe.

Kiedy zaczęły się pytania od widzów, górnik był pierwszą osobą, która została połączona ze studiem. Rebeka uważnie wysłuchiwała pytania, które popłynęły z głośników, a w związku z tym, że zadano je po niemiecku, przetłumaczyła na angielski.

- Chcę wiedzieć, czy będziecie proponowali pracownikom zakup akcji.

- Pewnie - padła natychmiastowa odpowiedź Olliego Reardona. - Trzeba to zrobić, bo inaczej nie da się nikogo zatrudnić. - Właściciel warsztatu mechanicznego zauważył na widowni Mike'a i uśmiechnął się szeroko. - I nawet nie będziemy próbowali powstrzymać ASG przed zorganizowaniem miejsc pracy. Nie potrzebujemy dodatkowych wojen.

Publiczność zaśmiała się.

- I znowu jej to uchodzi na sucho - mruknął Piazza. Ale sam także się śmiał.

Później tego samego wieczoru Mikę wcale nie był rozbawiony. - Nikt nie ma prawa ci mówić, co masz robić, Rebeko - warknął, zaciskając pięści. - Szczególnie w takiej sprawie. Siedząca na kanapie Rebeka pokręciła głową.

336

Erie Flint

- Ja się tym nie przejmuję, Michaelu. Chcę tylko wiedzieć, co ty sam o tym myślisz.

Odwrócił głowę. Przez chwilę jego wzrok błędził po wnętrzu rodzinnego domu. Po zakończeniu programu telewizyjnego na prośbę Rebeki przyszli tutaj, a nie do domu Rothów. Matka, siostra i szwagier Mikę'a położyli się już spać. To samo zrobiła niemiecka rodzina, która zajmowała dawną sypialnię Mikę'a. On sam, nie potrzebując tak dużego pomieszczenia, przeniósł się do małego pokoju, w którym kiedyś jego matka zwykła szyć.

- To ty chciałaś czekać, kochanie - rzekł. - Ty potrzebowałaś czasu.

- A co ty sam o tym myślisz? - powtórzyła. Rozwarł zaciśnięte pięści.

- Cholera - wyszeptał. - Ja bym ani dnia nie czekał. Rebeka uśmiechnęła się.

- Dobrze, a więc ustalone. Weźmiemy ślub najszybciej jak się da. - I dodała nieśmiało: - Jutro?

Mikę ciągle marszczył czoło, więc Rebeka leciutko machnęła dłonią.

- To wystarczająco dużo czasu! - zaśmiała się. - Nawet dla mnie! - Potem dodała poważnie: - Francisco ma rację, Michaelu. Ja też mam obowiązki wobec rodziny. Będą wiele ryzykować. Wiem, że czasem ciężko ci to zrozumieć, ale przetrwaliśmy między innymi dlatego, że wtedy, kiedy trzeba, potrafimy działać z zimną krwią.

Określenie „z zimną krwią” średnio pasowało do ciepła - gorąca - w jej głosie.

- Jutro - wyszeptała.

Mikę wziął głęboki oddech i ponownie zacisnął pięści.

- Nie - powiedział z przekonaniem. - Nie przed wyborami. Niedługo zjazd partii zagłosuje po raz ostatni i z łatwością wygramy. Wtedy zażądam natychmiastowych wyborów. Na kampanię wystarczy, powiedzmy, miesiąc. Nie, lepiej sześć tygodni. Potem możemy wziąć ślub.

- Dlaczego? - Rebeka przesunęła się na brzeg kanapy i wydawała się całą sobą prosić. -

Dlaczego tak długo?

Mimo całej swojej miłości Mikę był twardy jak skała.

- Bo, kochanie moje, chcę, żebyś została wybrana pod swoim własnym nazwiskiem, zanim przyjmiesz moje.

Rebeka przez chwilę szukała w tym logiki, a potem rozplakała się. Mike wstał, podszedł do kanapy i objął ją ramionami.

- To nie tak długo - wyszeptał. - Sześć tygodni, może dwa miesiące. Ale Rebeka już wycierała łzy. Zwróciła twarz ku jego szyi i przycisnęła do niej otwarte usta.

- Kocham cię - szepnęła. - I nie będziemy czekać dwa miesiące. Nie na wszystko.

Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Nigdy nie widziałam twojej sypialni. Pokaż mi.

^tazbzint 44

Tej zimy narodził się nowy naród.

Konwencja ratyfikowała nową konstytucję - bez poprawek - większością siedemdziesięciu ośmiu procent głosów. Mike ogłosił nowe wybory tym samym uderzeniem młotka, którym zamknął konwencję. „Sezon” wyborów trwał aż do grudnia, ale nie był to konkurs, a raczej triumfalna parada. Teraz, kiedy czynne prawo wyborcze przysługiwało większości niemieckich mieszkańców Grantville, wynik wyborów był przesądzony. Simpson zraził do siebie wszystkich Niemców w okolicy, poza zupełnymi półgłówkami, po tym, jak prowadził swoją kampanię przeciwko konstytucji. A teraz stracił nawet wielu amerykańskich zwolenników, którzy wyczuwając kierunek zmian, skłonili się ku nieuniknionemu.

Decyzja Mike'a o kilkutygodniowej kampanii okazała się bardzo mądra. Wynik wyborów był przesądzony, i to od pierwszego dnia. Ale Mike rozumiał różnicę między „wygraniem” kampanii wyborczej a utworzeniem struktury politycznej. Tygodnie prowadzenia kampanii dały jemu i jego poplecznikom okazję, aby głęboko zapuścić korzenie i dać oparcie budzącemu się do życia narodowi.

Proces ten okazał się skomplikowany i pełen sprzeczności, jak to się dzieje w prawdziwym świecie. Partia Czwartego Lipca była bardziej koalicją niż partią polityczną. W ciągu tylu tygodni różne ukryte wcześniej frakcje miały czas na uporządkowanie swoich spraw, a z punktu widzenia Mike'a miało im to wyjść na dobre. Było jasne jak słońce, że w nowych Stanach Zjednoczonych powstaną frakcje polityczne, dokładnie tak, jak to było w starym świecie, i lepiej, żeby opinia publiczna mogła ocenić ich programy, niż gdyby miały się ukrywać w cieniu.

f

338

Erie Flint

Położenie Mike'a było natomiast trochę dziwne i mocno niezręczne. Mógł teraz liczyć na lojalność szczególnie ze strony „nowych” Amerykanów, co (gdyby tak zdecydował) pozwoliłoby mu przepchnąć każdą ustawę, jaką tylko by chciał. Mimo że Melissa Mailey oraz Quentin Underwood, publicznie uznawani za przywódców odpowiednio frakcji „lewicowej” i „prawicowej”, nie zgadzali się ze sobą w wielu kwestiach i nieraz narzekali na „bonapartyzm”, jednak nie traktowali tego terminu poważnie. Ci, co znali Mike'a Stearnsa, nie obawiali się rządów terroru. Tak samo jak Jerzy Waszyngton, Mike starał się trzymać jak najdalej od walk obu frakcji; jako potencjalny prezydent godził się na kompromisy, z których jeszcze kilka lat wcześniej by sobie drwił.

W pewnym momencie stało się to nawet powodem poważnego starcia z jego własnym zapleczem politycznym. Jak zwykle główną siłą popierającą Mike'a było ASG. Już na początku kampanii stowarzyszenie zdecydowało porażającą większością głosów, że będzie żądać ustawy o obowiązku zrzeszania się w związkach zawodowych wszystkich przedsiębiorstw zatrudniających więcej niż dziesięciu pracowników. A było takich sporo i oczywiście miało się ich pojawić jeszcze więcej.

Początkowo Mike chciał się zgodzić, ale Rebeka przekonała go, żeby tego nie robił.

- Większość naszych obecnych obywateli to Niemcy - argumentowała. - Oni nie rozumieją, co to znaczy „związek zawodowy”. Myślą o tym jak o gildii, a gildia jest oparta głównie na ucisku.

Miała rację i Mikę szybko zrozumiał logikę jej myślenia. Sam zauważył, i był tym zaniepokojony, że ASG popierali głównie starsi niemieccy rzemieślnicy o ustalonej reputacji. Młodzi mężczyźni, nie wspominając już o młodych kobietach, byli nieprzejednanie wrogo nastawieni do tej propozycji.

Mikę próbował to wyjaśnić na spotkaniu z ASG.

- Chłopaki, nasi nowi obywatele sądzą, że ten pomysł ma narzucić władzę majstra nad czeladnikami. To dlatego tak niewielu młodych ludzi puka do naszych drzwi. Nie chcą się w to mieszać. Nie patrzą na to z naszej perspektywy, oni...

Frank go poparł. Ku jego zdziwieniu to samo zrobił Harry Lefferts i większość młodych górników. Ale właściwie nie powinno go to dziwić. W przeciwieństwie do górników w średnim wieku, którzy stanowili większość ASG, Harry i pozostali młodzi górnicy nawiązali liczne znajomości z młodymi Niemcami i rozumieli ich punkt widzenia. Jednak miejscowy związek był nieugięty, a kiedy Mikę publicznie odmówił wsparcia ich propozycji, spowodowało to poważne napięcie w ich wzajemnych stosunkach.

Napięcie trwało kilka miesięcy, ale rozwój wydarzeń potwierdził, że Mikę miał rację.

Wkrótce arogancja niektórych nowych „magnatów przemysłowych” spowodowała szybką zmianę postawy młodych Niemców. ASG znów ruszyło

pełną parą, organizując w szalonym tempie nowe zakłady pracy, tym razem z pełnym poparciem Mikę'a. To z kolei spowodowało starcie z Underwoodem i jego frakcją.

Niech i tak będzie. Tak wygląda szaleństwo wchodzenia nowych społeczeństw na scenę historii. Nowy naród nie rodzi się w probówce, powstaje w prawdziwym świecie. Po raz pierwszy na arenie politycznej pojawiają się prawdziwi ludzie, wnosząc ze sobą nagromadzony przez wieki bagaż. Burzliwy, chaotyczny, niespokojny.

Niech i tak będzie. Mikę nie był przerażony, nawet w najmniejszym stopniu. W końcu szczeniaki w koszyku również są „niespokojne”, a przecież to tylko natura chce w ten sposób przekazać, że dobrze się mają.

* * *

Nowa struktura polityczna także była „niespokojna”. Na wprost ukształtowana, przypominała stworzenie z dużymi łapami i uszami, a niewielką masą ciała.

Nowa konstytucja uwzględniała dwie izby: wyższą i niższą, czyli Senat i Izbę Reprezentantów. W wyższej izbie mieli zasiadać przedstawiciele wszystkich stanów, bez względu na liczbę ich mieszkańców. Jedyna różnica w stosunku do pierwotnego Senatu polegała na tym, że każdy stan miał mieć jednego senatora zamiast dwóch. Na razie jednak „izba wyższa” była bardziej fikcją niż faktem; „Stany Zjednoczone” ciągle składały się tylko z jednego stanu - Grantville.

Tak więc w tych wyborach było tylko jedno miejsce w Senacie, ale oczywiście wszyscy liczyli na to, że już wkrótce kolejna gwiazda na fladze będzie należeć do Badenburga. Studenci w Jenie (z cichym poparciem biednych dzielnic miasta) już demonstrowali na ulicach, skandując nazwisko swojego przyszłego senatora - Jeffa Higginsa. Sam fakt, że Jeff nie mieszkał w Jenie, a jedynie jeździł tam często z Gretchen, w najmniejszym stopniu im nie przeszkadzał.

I właściwie nie musiał. Konwencja zdecydowała, że przydzielanie mandatów według miejsca zamieszkania na tak niewielkim terenie i tak gęsto zaludnionym jak Grantville i południowa Turyngia byłoby absurdem, przynajmniej na razie. Tak więc wybory zostały przeprowadzone bez podziału na okręgi.

Mikę otrzymał w wyborach prezydenckich osiemdziesiąt siedem procent głosów. Wszyscy członkowie sztabu antykrzysowego (poza Rebeką) zostali wybrani do niższej izby równie

miażdżącą przewagą głosów. Ku swemu zdumieniu i niezadowoleniu Melissa dostała tyle samo głosów co wszyscy.

- To chyba koniec mojego bycia buntowniczką- mruknęła. Pocieszała się jednak tym, że Quentin dostał o pół punktu procentowego więcej głosów niż ona, a więc ciągle na swój sposób była przegrana.

r

340

trictlint

A Rebeka? Jej wygrana nie podlegała dyskusji. Simpson i jego poplecznicy nawet nie próbowali z nią konkurować. Została jednogłośnie wybrana jedynym senatorem Stanów Zjednoczonych.

* * *

Tej nocy kilka tygodni wcześniej, którą spędzili w jego sypialni, Mike'a ogarnęło zupełnie inne szaleństwo. Przez miesiące rosnącej bliskości zdążyli już poznać swoje ciała, więc poza samym współżyciem niewiele było niespodzianek do odkrycia. Nawet dla Rebeki, która była dziewczyną, nie było ono już tak tajemnicze i przerażające, ale mimo to ich pierwsza wspólnie spędzona noc była szaleństwem.

Zaczęło się od totalnego chaosu, ale stopniowo, z upływem godzin, chaos przechodził w lekki, niegroźny zamęt.

Kiedy świt wdarł się przez zasłony, Mikę doszedł do wniosku, że jego dziadek mimo wszystko miał rację.

- Oczekiwanie - mruknął. - Boże, to było cudowne. - I przyciągnął do siebie nagie ciało Rebeki.

- Hmmm? - mruknęła sennie. Żadne z nich nie spało. Patrząc spod pół-przymkniętych powiek, Rebeka pocałowała go. Upajała się świadomością, że jego ciało będzie do niej należało przez całe życie. - Co mówiłeś?

- Oczekiwanie - powtórzył radośnie Mikę. Rebeka otworzyła szeroko oczy.

- Cóż za nonsens! - wykrzyknęła. - Wcale tego nie oczekiwałeś Podniosła się na łokciu, uśmiechając się szeroko.

- Tak zabawnie wyglądałeś, kiedy przetrząsałeś z zapamiętaniem szufladę. Uśmiech, który Mikę posłał jej w odpowiedzi, wyrażał zażenowanie. -No bo... nie spodziewałem się... Nie uprzedziłaś mnie... Myślałem, że może jakieś stare będą gdzieś tu leżeć...

- Widziałam je! - zaśmiała się figlarnie, uderzając go w pierś. - Widziałam! Wyglądają groteskowo, nawet jak są nowe!

Mikę wzruszył ramionami.

- Próbowałem tylko cię chronić...

Uciszyła go namiętym pocałunkiem. Nie byli aż tak zmęczeni. Po tym pocałunku szybko nastąpiły kolejne.

- To i tak nie ma znaczenia - wyszeptała później. - Nawet jeśli... - Roześmiała się radośnie. - Za dwa miesiące nic jeszcze nie będzie widać. A nawet gdyby, to i tak jestem pewna, że nie będę pierwszą panną młodą w Grantville, która pójdzie do ołtarza w poszerzonej sukni ślubnej.

- Prostaki! Nie macie szacunku - zaśmiała się uszczęśliwiona.

(K^ęść ptąia

Skąd prężna krew, co życie wwierca W skręcony supel twego serca?

f

^Razbzml 45

Wychodząc energicznym krokiem z ogromnego pałacu arcybiskupów Moguncji, który przywłaszczył sobie na czas zimowych miesięcy, Gustaw II Adolf przystanął nagle i spojrzał na Ren. Widok prądu rzeki - szybkiego, przejrzystego - przyniósł mu pewną ulgę.

Tuż za nim z trudem zatrzymała się niewielka grupka doradców. Na szczęście żaden z nich nie wpadł na króla. Oczywiście ze strony króla nie byłoby żadnych reperkusji; Gustaw nie był takim typem monarchy. Ale był ogromny - przybyło mu sporo kilogramów podczas miesięcy beczynności i dyplomatycznego ucztowania - i zderzenie z nim mogłoby przypominać wpadnięcie na wołu.

- Nie, Axelu - powiedział stanowczo Gustaw, nie spuszczać wzroku z Renu. - Niech książęta sasko-weimarscy ciskają gromy, jeśli tylko chcą. Nie wyślę ekspedycji do Turynii.
- Wilhelm nie „ciska gromów” - sprzeciwił się Oxenstierna. - On po prostu wyraża troskę o sytuację w swoim księstwie. Trudno go za to winić.

Gustaw zmarszczył brwi.

- Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest uprzejmy i jak bardzo jego brat nie jest. Odpowiedź ciągle brzmi „nie”.

Król potarł z werwą dłonie. Na ziemi nie było już śniegu, ale była dopiero połowa marca i panował chłód.

- Stałem się zbyt delikatny i wrażliwy - mruknął. - To łatwe życie na południu...

Z równą werwą odwrócił się i spojrział na doradców. Wszyscy poza sir Jamesem Spensem byli Szwedami.

344

Erie Flint

- Nie, nie, nie - zwrócił się do Axela. - W tej sprawie książęta sasko-weimarscy okazują się tak samo małostkowi, jak inni niemieccy arystokraci. W czasie ich nieobecności - a dokładniej przeciągającej się nieobecności - mieszkańcy ich księstwa uznali za stosowne zorganizować się w celu przetrwania zimy i uniknięcia wojennych grabieży. A co mieli zrobić, Axelu? - dodał gniewnie. - Umrzeć po cichu z głodu, aby nie zakłócić spokoju książąt? Oxenstieraa westchnął. Wieloletnia przyjacielska kłótnia z królem Szwecji na temat arystokracji nasiliła się w ciągu ostatniego roku. I kanclerz Szwecji ją przegrywał. Starając się nie zgrzytać zębami, Axel przez chwilę przeklinał po cichu swoich niemieckich odpowiedników. „Strzeż mnie, Boże, od przyjaciół, bo z wrogami sam sobie poradzę”. Prawdę mówiąc, kanclerz wcale nie miał innego zdania na ten temat niż jego monarcha. Nie rzuciłby arystokratów nawet kundlom na pożarcie, chyba że miałyby zdechnąć z głodu. Mimo to...

- Gustawie - rzekł stanowczo - sprawa nie jest bez znaczenia. I nie można jej zlekceważyć jako kolejnego przykładu bezmyślności arystokracji. W wielu miejscach raporty są sprzeczne, ale w tej jednej kwestii się zgadzają: praktycznie rzecz biorąc, władza w południowej Turynii została przejęta przez republikę. - Zaciśnął zęby. - Stworzyli nawet swoją nazwę na wzór Republiki Zjednoczonych Prowincji Niderlandów. „Stany Zjednoczone”!

Król już chciał mu odpowiedzieć, ale Axel uniósł rękę gestem wyrażającym stanowczą prośbę. Monarcha uprzejmie przystał na prośbę swego kanclerza i umilkł.

- Sprawa jest bardziej ogólna - kontynuował Oxenstierna. - Tyle mnie obchodzi południowa Turynia. - Pstryknął palcami. - Ale jeśli takie działania się rozprzestrzenia? Albo spowodują panikę w pobliskich księstwach? I tak mamy wystarczająco dużo problemów z naszymi niemieckimi sprzymierzeńcami. Jeśli pozwolimy protestanckim książętom martwić się jeszcze rewolucją, jarzmo cesarstwa Habsburgów wyda im się schronieniem, a nie ciężarem. Stojący w pobliżu Torstensson parsknął.

- Tak jakby Sasi i Prusowie potrzebowali pretekstu do zdrady! Oxenstierna spojrział na generała artylerii piorunującym wzrokiem, ale Torstensson się nie ugiął; wręcz przeciwnie, zaatakował.

- Tyle mnie obchodzi wrażliwa duma niemieckiej arystokracji - rzekł, pstrykając palcami. - Każdy z tych arystokratów, nie wyłączając książąt sasko-weimarskich czy landgrafa heskiego, opuści nas bardzo szybko, jak tylko będzie miał okazję.

Wśród generałów zaczął narastać pomruk sprzeciwu.

- To nie w porządku, Lennarcie - powiedział Baner i zmarszczył brwi. - Bernard jest aroganckim osłem, to prawda, ale Wilhelm to co innego.

Król postanowił interweniować, zanim kłótnia wymknie się spod kontroli. Gdyby pozwolił, żeby charakter Bernarda Sasko-Weimarskiego był głównym punktem dyskusji, bez wątpienia stałaby się ona zbyt gorąca. Mimo niewątpliwych umiejętności wojskowych, które młody książę zaprezentował przez ostatnie lata, szwedzcy generałowie uważali, że jest nie do zniesienia. „Arogancki osioł” było najdelikatniejszym z epitetów, jakie Gustaw usłyszał od swych oficerów na temat Bernarda.

- Johannie, zgadzam się z twoją oceną Wilhelma - zwrócił się do Banera. - Tak się składa, że sam mam o nim dobre zdanie. - Szybko i z uśmiechem spojrzał na Axela. - Ogólnie potępiam naród niemiecki, ale Wilhelm jest jedynym wyjątkiem. Gdybym nie wiedział, kim jest, powiedziałbym, że szwedzkim arystokratą.

Rozległ się cichy śmiech. Z wyjątkiem Szkota, mężczyźni stojący wokół króla należeli do szwedzkiej arystokracji i byli z tego dumni.

Jak się okazało, był to dzień pstrykania palcami, gdyż teraz zrobił to także król.

- Tyle mnie obchodzi ta cała kłótnia. - Ponownie rzucił okiem na Oxenstiernę, ale tym razem bez cienia uśmiechu. - Obchodzi mnie Turynia, Axelu, i to z dwóch powodów.

- Po pierwsze dlatego, że jestem chrześcijaninem bardziej niż kimkolwiek innym. Mój tytuł, mój rodowód, moje przywileje - to wszystko pochodzi od Boga i od nikogo innego. Nie zapomniałem, nawet jeśli inni monarchowie zapomnieli, że Pan dał nam władzę w jakimś celu. Niech inni ignorują swoje obowiązki, ja tego nie uczynię. Jeśli król, książę czy baron nie potrafi się zająć potrzebami swojego ludu, nie jest godzien rządzić. To prosta zasada. Kara, jaką Bóg zsyła na takich ludzi, jest wyraźnie zapisana na kartach historii. Gdzie teraz są cesarze rzymscy?

Te nabożne i płynące z głębi serca słowa nie zostały wypowiedziane ani z podnieceniem, ani z dumą. Ale gdy ten ogromny człowiek stał wyprostowany i patrzył władczo z góry na swych podwładnych, był w każdym calu królem.

- Po drugie dlatego, że jestem Wazą. - Przez chwilę wydawało się, że Ren zafalował w odpowiedzi na nazwę dynastii rządzącej w Szwecji.

- Wazą! - powtórzył. Było to jednocześnie przypomnienie i wyzwanie. Przypomnienie dla niego samego, wyzwanie dla...

Gustaw spojrzał przeciągle na swych podwładnych. Nie ciskał gromów; lodowiec nie ciska gromów, on po prostyjasJ.

- Nie zapominajcie o tym - dodał cicho.

Podwładni króla nawet nie drgnęli pod jego spojrzeniem, choć wydawało się, że trochę się skurczyli. Wazowie ustanowili swoje panowanie w Szwecji między innymi dzięki talentom politycznym i wojskowym, ale również dzięki nie raz już potwierdzonej gotowości naginania arystokracji do swej woli.

Gustaw Adolf dostał imię po swym dziadku, wielkim Gustawie Wazie, który założył dynastię i stworzył nowoczesne państwo zwane Szwecją. Pogarda,

t

jaką dziadek Gustawa żywił do arystokracji, została odnotowana w historii, tak samo jak skutki owej pogardy. Szwedzka arystokracja została złamana, okiełznana; wróciła do łask dopiero po okazaniu chęci współpracy zgodnie z życzeniem króla. W królestwie Gustawa Wazy słuchano wszystkich stanów - chłopów i mieszczan w równym stopniu jak arystokracji i duchowieństwa. Jeśli już, to Gustaw Waza upodobał sobie klasę średnią, a w zamian za to został nagrodzony obfitującym w srebro skarbcem, potężną flotą i armią oraz najwspanialszym, jeśli nie największym w Europie, przemysłem zbrojeniowym.

Waza. Po objęciu tronu w wieku siedemnastu lat - było to formalnie niezgodne z prawem, ale riksdag, szwedzki parlament, wydał na wniosek Oxenstierny specjalne pozwolenie - Gustaw

II Adolf zgodził się na przywrócenie niektórych przywilejów arystokracji. I dotrzymał obietnicy, między innymi mianując na wysokie stanowiska arystokratów. Jednak poza tym rzeczywistość pozostała taka sama. Władza dynastii opierała się na ludzkiej Szwecji, a nie na arystokracji; i jedni, i drudzy doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

- No to ustalone - oznajmił król. - Zostawimy Turyngię w spokoju, żeby sama zajęła się swoimi sprawami. Jeśli Wilhelm i - ha! - Bernard potrafią to zaakceptować, to wspaniale, ale to ich sprawa, nie nasza. Nie wyślę ani jednego żołnierza, żeby egzekwować w tym księstwie wolę braci Sasko-Weimarskich.

- Już tam mamy żołnierzy - zwrócił łagodnie uwagę Torstensson.

- Mackay? - Gustaw wzruszył ramionami. - To tylko kilka setek kawalerzystów.

Spens chciał coś powiedzieć, ale król rzucił w jego kierunku szybkie spojrzenie i szkocki generał zamknął usta.

Król przeniósł wzrok na Oxenstierne. Wyjaśnwszy sedno sprawy, Gustaw postanowił złagodzić wymowę tego, co powiedział.

- Axelu, osobiście porozmawiam z Wilhelmem - powiedział. - Zapewnię go, że bez względu na to, co się stanie w Turyngii, nie porzucę rodziny Saxen-Weimar. - Zaśmiał się ostro. - W przeciwieństwie do swego młodszego brata, Wilhelm jest wystarczająco rozsądny, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że bycie księciem w niewielkim księstewku nie jest, jak przyjdzie co do czego, najwspanialszą pozycją dla człowieka w tym nowym świecie.

Klasnął, oznajmiając w ten sposób zmianę tematu. Klasnięcie przeszło w energiczne pocieranie dłoni, oczywiście po to, żeby odegnać zimno. Ale był to również pełen satysfakcji gest rzemieślnika, który podziwia swoje nowe arcydzieło.

- A teraz, panowie, Tilly! Najnowszy raport podaje, że opuścił Nördlingen i przemieszcza się w kierunku Horna w Bamberg. Tymczasem Wallenstein również powrócił do interesów. Torstensson zaśmiał się.

- I to poważnych! Czy kiedykolwiek w historii generał najemników dostał taki kontrakt? Zastanawiam się, kto jest teraz cesarzem, a kto sługusem.

Pozostali generałowie przyłączyli się do jego śmiechu. Niedawno dotarli do nich wieści o warunkach, jakie Wallenstein postawił cesarzowi Ferdynandowi w zamian za pomoc.

Habsburgowie byli zdesperowani po Breiten-feld, więc Wallenstein złapał Pana Boga za nogi. Czeski generał dostał od cesarza formalne potwierdzenie, że jest wyłącznym dowódcą wszystkich wojsk na ziemiach cesarskich. Przyznano mu również ogromną władzę cywilną na terytorium będącym teraz w posiadaniu wrogów Ferdynanda, łącznie z prawem konfiskaty ziem i dowolnego nimi rozporządzania. Oznaczało to dla wszystkich oficerów łupy na ogromną skalę. W razie zwycięstwa najemnicy i awanturnicy mogli z dnia na dzień zostać posiadaczami ziemskimi. A czemu nie? Czyż sam Wallenstein nie dał im przykładu w pierwszych latach wojny?

- Wszystkie relacje podają - kontynuował Gustaw - że Wallenstein zbiera nową armię. Możecie sobie wyobrazić, jakie hieny gromadzą się pod jego sztandarem.

- Przy nich ludzie Tilly'ego będą wyglądać jak potulne baranki - mruknął generał Tott. Król skinął głową.

- Kiedy ta armia zacznie się przemieszczać, spustoszy wszystko na swej drodze. Ale nie wyruszą jeszcze przez długie tygodnie. Proponuję najpierw zająć się Tillym.

- Axelu, chcę, żebyś powrócił do Alzacji. Mamy tam wystarczająco dużo sił, żeby ukroić nadmierne ambicje hiszpańskich Habsburgów. I weź ze sobą Bernarda. - Zaśmiał się, widząc grymas niezadowolenia na twarzy Oxenstier-ny. - Proszę! On mimo wszystko naprawdę jest bardzo zdolnym dowódcą wojskowym. Wolę, żeby był tam, niż żeby sprawiał nam tutaj kłopoty w związku ze swą ukochaną Turyngią...

- Której nawet nie raczył odwiedzić od wielu lat - mruknął Torstensson. Jak gdyby jego niski głos był sygnałem, król zwrócił się teraz do niego.

- Lennarcie, zostaniesz ze mną. Tilly będzie pilnował dopływów rzek, żeby zablokować mój pochód w górę Menu. Sądzę, że będziemy musieli skorzystać z dział, aby oczyścić brody. Młody generał artylerii zmarszczył brwi.

- Moje działa prawie nie nadają się do użytku, Wasza Wysokość. A artyleria w tych przeklętych nadreńskich arcybiskupstwach to jakiś żart.

- Nie martw się tym. Myślę, że znalazłem nowego dostawcę. Spodziewam się nowych dział za miesiąc lub dwa. Te, które masz, powinny do tej pory wytrzymać. Torstensson skinął głową. Król zwrócił się teraz do generała Totta.

i

348

Erie Flint

- Ty wróć do Wezery. Miej oko na Pappenheima. Nasi sascy sojusznicy chętnie ci w tym pomogą.

- A co do ciebie, Johannie - rzekł do Banera - chcę, żebyś wrócił nad Łabę. To sprawi, że Prusacy będą przynajmniej w połowie uczciwi. Poza tym chcę, żebyś tam był w razie, gdyby Polacy okazali się zbyt ambitni lub gdyby Wal-lenstein zdecydował się uderzyć bezpośrednio na Saksonię.

Ustaliwszy wszelkie naglące kwestie, król znów zaczął pocierać dłonie.

- To wszystko. - I zwrócił się do Spensa: - Zostań na chwilę, James, dobrze? Był to wystarczająco jasny sygnał. W ciągu paru sekund wszyscy szwedzcy oficerowie odeszli, aby wprowadzić nowe rozkazy króla w życie.

Nic nie mówiąc, Gustaw spojrział badawczym wzrokiem na sir Jamesa Spensa. Szkot zajmował osobliwe stanowisko w siłach zbrojnych króla. Był szwedzkim ambasadorem w Anglii i jednocześnie angielskim ambasadorem w Szwecji oraz dodatkowo jednym z głównych dowódców wojskowych Gustawa. Mnogość tych funkcji wskazywała, jak bardzo król ceni tego człowieka, ale pierwszorzędne znaczenie miało jego wojskowe stanowisko. Prawdę mówiąc, stosunki dyplomatyczne między Szwecją i Anglią nie były zbyt ożywione. Mimo oficjalnie wyznawanego protestantyzmu wyspa utrzymywała wyniosłą i nieprzystępną postawę wobec szalejącej na kontynencie wojny.

Jak przyszło co do czego, sir James Spens został człowiekiem Gustawa Adolfa. Podobnie jak większość Szkotów w służbie Szwecji, nie był ograniczany w swej lojalności wobec szwedzkiej korony przez więzy rodzinne lub klasę społeczną, dlatego Gustaw często korzystał z jego pomocy w delikatnych sprawach politycznych.

- Martwi mnie to nieustanne mówienie o czarach - stwierdził z mocą Gustaw i machnął ręką. - Tak, tak, Jamesie, zdaję sobie sprawę, że raporty pochodzą z niepewnych źródeł, ale jednak mnie martwią. Jest ich tak dużo.

Sir James wzruszył ramionami.

- A czego Wasza Wysokość oczekuje? Że katolicycy najemnicy zmiażdżeni przez garstkę Szkotów i ich amerykańskich sprzymierzeńców będą wychwalać wojskowy kunszt swych przeciwników? Czary to najłatwiejsza rzecz do obwieszczenia całemu światu. I najtrudniejsza do obalenia.

Gustaw pogładził w zamyśleniu swój pokaźny nos.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Jamesie, ale mimo wszystko jest to dziwne.

- Dziwne? - zaśmiał się szkocki generał. - Raczej fantastyczne. Kolonia Anglików z przyszłej Ameryki nagle znajduje się pośrodku Turynii? To jakaś bajka! Urzeczywistnione opowieści Rabelaisa i Tomasza Morusa⁵¹.

- A więc ciągle wierzysz Mackayowi? - Król nadal gładził swój nos.

- Całkowicie. Znam go od czasu, kiedy był pięcioletnim chłopakiem. Przyjąłem go na służbę bardziej ze względu na wysokie mniemanie o nim niż z racji tego, że jego ojciec jest moim starym przyjacielem.

Przez chwilę uważnie przyglądał się królowi. Potem dodał:

- Wasza Wysokość był przy tym, jak niecałe trzy miesiące temu zdawał raport w Wurzburgu. Czy wydawał się kłamcą albo błaznem?

- Ani to, ani to - odparł natychmiast król. - W zeszłym roku nazwałem go „bardzo obiecującym młodym oficerem”. Axel podszedł do tego dosyć sceptycznie, ponieważ wtedy jeszcze go nie znał. Ale takie odniosłem wrażenie i od tamtej pory nic nie zmieniło mojego przekonania.

Westchnął ciężko.

- Jednak martwię się, Jamesie, a mam już wystarczająco dużo problemów. Tajemniczy osadnicy z przyszłości - bajanie, jak sam to ująłeś - to trochę za dużo na raz. - Jego głos przeszedł w ledwie słyszalne mamrotanie.

Z długiego doświadczenia w służbie Gustawa Szkot wiedział, że teraz król mówi sam do siebie. Gustaw II Adolf przeżywał rozterki i niepewność jak każdy inny człowiek, ale radził sobie z tym dużo lepiej niż wszyscy ludzie, których Spens spotkał w całym swoim życiu. Jak zawsze trwało to krótko. Król przestał pocierać nos i wyprostował się.

- Niech i tak będzie. To zupełnie jasne, że to wola Boga. Czy szatan jest tak potężny, że zdołałby przenieść kolonię z przyszłości? Sądzę, że nie! - Teraz zaczął pocierać ręce. - Poza tym nie można ciągle widzieć jedynie problemów. Jest w tym również szansa dla nas. Spens postanowił wykorzystać tę chwilę na wzmocnienie postanowienia króla.

- Corpus Evangelicorum - mruknął. Gustaw lekko się uśmiechnął.

- Jamesie, jesteś jedynym człowiekiem poza mną, któremu udaje się to powiedzieć bez wysoko uniesionych brwi.

W odpowiedzi Szkot uśmiechnął się szeroko.

- A czemuż by nie? Sądzę, że północnoeuropejska protestancka konfederacja pod dowództwem Szwecji byłaby wspaniałym rozwiązaniem. Szwecja miałaby upragnione panowanie nad Bałtykiem, Święte Cesarstwo Rzymskie pokój, a północne Niemcy wreszcie miałyby szansę stworzenia prawdziwego państwa zamiast placu zabaw dla księząt.

Król rzucił mu kąpiące spojrzenie.

- Nie podzielasz ogólnie panującej opinii, że doprowadziłoby to do tyranii Szwecji?

- Cóż to za nonsens! Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, ale to po prostu niemożliwe na tym boskim świecie, żeby półtora miliona Szwedów tyranizowało dziesięć razy większą liczbę Niemców. A przynajmniej nie na długo.

Pokręcił głową.

- Mieszkałem w Szwecji i wiem, że jak przyjdzie co do czego, jesteście praktycznym narodem. Wydaje mi się, że północnoeuropejska protestancka

350

Erie Flint

konfederacja kierowana przez Szwecję wkrótce przypominałaby samą Szwecję, która, moim skromnym zdaniem, jest najlepiej rządzonym królestwem na świecie.

- Moim również! - wykrzyknął wesoło Gustaw. - I wcale nie takim skromnym zdaniem.

Poklepał Spensa po ramieniu.

- Dobrze, Jamesie, wytrwamy. Kto wie, może i Turynii jest przeznaczone odegrać w tym jakąś rolę? Natychmiast poślij do Mackaya kolejnego gońca. Słyszałeś Lennarta. Będziemy potrzebowali nowych działań wcześniej niż sądziłem. Zobaczymy, czy przechwałki Mackaya o talentach jego nowych przyjaciół są uzasadnione.

- I nie zapomnij mu powinszować. Holenderskie pieniądze docierają do nas zgodnie z planem. To kolejny powód, żeby zostawić Turynię w spokoju, prawda?

- Czyż nie? - zgodził się od razu Spens. Potem odchrząknął. - Jeśli mogę sobie pozwolić na śmiałość, Wasza Wysokość, sądzę, że awans byłby odpowiednim dodatkiem do gratulacji.

Mackay dowodzi teraz okrągłym tysiącem kawalerzystów pod twym sztandarem, panie.

- Tak wieloma? - Król pokręcił głową skonsternowany. - W takim razie od tego momentu pułkownik Mackay. Ani stopnia niżej.

Obaj cicho się zaśmiali.

- Powiedz mu również, żeby dostarczył mi obiecane nowe działa najszybciej jak się da. Osobiście. Chcę z nim porozmawiać. - Gustaw zawahał się, następnie gwałtownie pokręcił głową. - Nie! Chcę czegoś więcej. - Wyciągnął przed siebie dłonie, jakby szukał czegoś w ciemności. - Chcę czegoś bardziej namacalnego niż raport. Chcę...

- Amerykanina?

- W rzeczy samej! - wykrzyknął król. - Chcę zobaczyć przedstawiciela tego legendarnego ludu.

Ifazbzted 46

Ollie Reardon, właściciel warsztatu mechanicznego, nie był pewien, czy jest rozbawiony, czy zirytowany. Wreszcie zdecydował, że i to, i to.

- Dlaczego on marnuje czas na cięcie zewnętrznej strony lufy? - spytał Mackay. Szkocki oficer aż podrygiwał z niecierpliwości. - Nie mamy czasu na kosmetyczne ulepszenia. Ollie zacisnął usta. Jack Little, operator tokarki, pracował w swym zawodzie dłużej niż Alexander Mackay żył na tym świecie.

„Ciekawe, który z nich wie lepiej, co robi?”. Mimo poirytowania Ollie zdecydował, że wyjaśni sprawę. Uprzejmie.

Wskazał na duży odlew. Tylne kraniec przyszłego działa umieszczono w szczękach tokarki, natomiast przód, który już został wydrążony w środku, był utrzymywany nieruchomo przez kiel obrotowy wystający z konika tokarskiego. Dwa czopy obracały się w takim tempie, że nie było ich widać. Miękki brąz mógł być obrabiany z większą ilością obrotów na minutę niż stal. Jack robił właśnie u wylotu lufy bardzo płytkie nacięcie na długości około dziesięciu centymetrów - „nacięcie powierzchniowe”, jak to nazywał.

- To, co on robi, to nie jest kosmetyka. Potrzebuje obrobionej powierzchni do nieruchomej podpórki. Gdyby koniec lufy nie był unieruchomiony, wydrążenie wewnętrznej średnicy zajęłoby wieki. Jeśli odlew miałby być przytrzymywany tylko na jednym końcu, drgania byłyby strasznie uciążliwe.

Mackay zmarszczył czoło.

- Co to jest „nieruchoma podpórka”?

t

cne runi

Ollie stłumił westchnienie i wskazał na uchwyt umocowany w zębatce na końcu rusztu pochylniowego tokarki. Uchwyt, który otwierał się na zawiasie, tworzył okrąg o średnicy około dwudziestu pięciu centymetrów. Co 120 stopni wystawały z niego do środka trzy regulowane kolumny kończące się łożyskami w kształcie kuli. Dwa z nich obejmowały fragment od dołu, trzeci bezpośrednio z góry.

- O to chodzi - warknął. - Ustawiasz to na ruszcie pochylniowym, dociskasz, a następnie sprawiasz, że łożyska przemieszczają się po obrobionej powierzchni, którą teraz tnie Jack. To unieruchamia odlew i przytrzymuje w czasie następnej operacji, czyli w przypadku tych trzyfuntowych luf w trakcie wywiercania przewodu. - Dusza tokarza wzięła górę i marszcząc brwi, dodał: - Naprawdę trzeba to rozwiercać dla końcowego nacięcia - w przypadku sześciofuntówek użyjemy wrzeciona- ale te żelazne kule armatnie są tak byle jak odlewane i nierówne, że to właściwie nie ma sensu. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

Mackay zarumienił się.

- Rozumiem. - Z zażenowaniem skubał swoją krótką brodę. - Rozumiem - powtórzył. Stojąca obok niego Julie uśmiechnęła się szeroko.

- Jeszcze jakieś pytania, mądralo? - Odwróciła się do Olliego i wzruszyła ramionami. -

Musisz wziąć poprawkę na to, że on ciągle stara się dostosować do swojej nowej wspaniałej pozycji.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Pułkownik Mackay, ani stopnia niżej. A dopiero co skończył dwadzieścia trzy lata!
- Przestań, dziewczyno - mruknął Alex. - Ja tylko... Ollie klepnął go w ramię.
- Tak przy okazji, gratulacje z okazji awansu. Przykro mi, że nie dotarłem na wczorajszą uroczystość w „Ogrodach”, ale... siedziałem tu do północy; upewniałem się, czy jesteśmy gotowi zająć się nowymi odlewami. Ja nie miałem czasu hulać całą noc.
Zawstydzenie Mackaya pogłębiło się. On hulał całą noc i jego opryskliwość o poranku była tego bezpośrednim rezultatem.

- Przepraszam - wymamrotał. - No, skoro wszystko jest pod kontrolą, chyba już sobie pójdę. Prawdę mówiąc, Ollie lubił Szkota i chętnie mu wybaczał marudzenie. Poza tym rozumiał równie dobrze jak Mackay, jakie znaczenie ma pierwsza partia nowych dzieł dla króla Szwecji. Tak więc uprzejmie, a nawet przyjaźnie odprowadził Szkota i jego dziewczynę do drzwi.

Nagle przypomniało mu się, co usłyszał rano.

- Aha, i jeszcze gratulacje z okazji zaręczyn.

Julie uśmiechnęła się promiennie i pokazała mu pierścionek na palcu.

- Ładny, prawda? Alex znalazł go w Eisenach, kiedy był tam w zeszłym tygodniu.

Wspomnienie Eisenach spowodowało, że Ollie uniósł brwi. Zawahał się, nie będąc pewnym, czy powinien pytać...

- To żaden sekret, Ollie - powiedział Mackay. - Eisenach prawie na pewno się przyłączy. Grają tylko na zwłokę, czekając, co zdecyduje Gotha. - Szkot parsknął. - Tamci z kolei czekają na Erfurt, a Erfurt czeka na Weimar. Ale to powinno się szybko skończyć.

- To by nam dało... Ile? Sześć gwiazd na fladze zamiast dwóch?

- Założę się, że osiem - wtrąciła Julie, zanim Alex zdążył się odezwać. - Podobno podróż Mike'a i Becky do Saalfeld i Suhl też okazała się sukcesem!

- Nie wiedziałem, że już wrócili - odparł Ollie. - Saalfeld, tak? To by nam pomogło z przemysłem chemicznym, no i...

Mackay z satysfakcją dokończył jego myśl:

- A to niemal na pewno pomogłoby nam przyciągnąć Gerę. Wtedy Stany Zjednoczone miałyby wszystkie główne miasta Turynii, a przynajmniej na południu księstwa. Co do jednego.

Ale myśli Olliego były już gdzie indziej.

- Ja myślę o Suhl. To miasto dałoby nam kontrolę nad całym Lasem Turyńskim i, co pewnie ma większe znaczenie, ustabilizowałoby nasz przemysł zbrojeniowy. Wiecie, że sto lat temu Suhl było największym centrum zbrojeniowym w Niemczech. Ciągle jeszcze ma spory potencjał. - Pokazał kciukiem ponad swoim ramieniem. - Tak się składa, że te odlewy są z Suhl. Byłoby fajnie, gdyby stało się częścią naszej rodziny.

Jeszcze rok temu szkocki arystokrata Alexander Mackay byłby zdumiony, widząc rzemieślnika i nastolatkę dyskutujących o polityce zagranicznej. Teraz nawet nie zwrócił na to uwagi. W dobrym nastroju wyszedł z Julie na ulicę.

Tam jednak natychmiast wybuchła między nimi kłótnia, która również dotyczyła polityki zagranicznej.

- Nie jedziesz i to jest moje ostatnie słowo.

- Zobaczymy! Nie ty podejmiesz decyzję, panie pułkowniku!

Dwoje kochanków patrzyło na siebie ze złością, torując sobie drogę przez zatłoczoną ulicę. W kwietniu 1632 roku Grantville przypominało gęstością zaludnienia bardziej Kalkutę niż niewielkie miasto w Wirginii Zachodniej, którym kiedyś było.

- To niemożliwe - znowu zaatakował Mackay. - Twój ojciec nalegałby na obecność przyzwoitki. Właściwie to ja bym nalegał na obecność przyzwoitki.

W odpowiedzi usłyszał kilka złośliwych uwag, że poprzedniej nocy zupełnie nie przejmował się brakiem przyzwoitki, a wręcz przeciwnie! „Pozbieraj się, Szkocie!”.

- A poza tym nie jedzie tam żadna inna kobieta - zakończył.

i

354

Erie Flint

Julie wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. Mackay wpadł w otchłań, która się przed nim otworzyła.

* * *

- To mi się nie podoba - warknął Mikę. - Ani trochę.

Rebeka milczała. Siedziała na kanapie zrelaksowana, z rękami złożonymi na kolanach, i odpowiadała na mężowskie spojrzenia spode łba cierpliwym uśmiechem. Trzy miesiące małżeństwa spowodowały jeszcze głębszą zażyłość w ich związku. Zażyłość i dużo lepszą znajomość wzajemnych zwyczajów i słabostek.

Tak więc tam, gdzie narzeczona by się klóciła, żona pozwoliła mężowi klócić się samemu ze sobą.

Właściwie nie było o co się klócić, dobre strony jej propozycji były jasne jak słońce.

- To mi się nie podoba - powtórzył. - Jesteś w ciąży i trwa wojna. Bóg jeden wie, co mogłoby cię spotkać.

Rebeka beztrudno zignorowała wzmiankę o ciąży, przeciągnęła tylko dłońmi po swojej szczupłej jak zawsze talii. Reszta jednak wymagała odpowiedzi.

- Michaelu, wszystkie raporty są zgodne co do tego, że Tilly wycofał się nad Dunaj. Szwedzi mocno trzymają Dolny Palatynat i Frankonię, to samo dotyczy większości Wirtembergii. Po drodze do obozu Gustawa możemy spotkać tylko grupy maruderów i dezertersów. A ci, jak doskonale wiesz, nie stanowią dla naszej wyprawy żadnego zagrożenia. Z kawalerzystami Mackaya oraz dragonami Toma jako eskortą będziemy zupełnie bezpieczni.

Zapadła cisza. Rebeka zdecydowała się dodać coś na osłodę.

- Skoro twoja siostra nalega na towarzyszenie Tomowi - dodała z uśmiechem - miałabym przyzwoitkę, więc nie musiałbyś się nawet martwić o moją wierność.

Mikę uśmiechnął się

- Cóż za ulga! Kurczę, to mi pozwoli spać spokojnie. Ten żart pomógł rozładować napięcie.

- W porządku - westchnął. - Zgadzam się, że to najlepsze wyjście. Oczywiście sam chciałbym jechać, ale...

Rebeka już kręciła głową.

- To nie jest możliwe. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, Michaelu, ale to fakt, że twój autorytet jest kluczem do sukcesu w negocjacjach z pozostałymi miastami Turynngii. Musimy szybko włączyć je do naszego nowego państwa, zanim wojna przybierze inny obrót, prawdopodobnie niekorzystny. Sam w kółko podkreślasz tę konieczność. W tych czasach politykę kształtują poszczególne osoby, a nie jakieś abstrakcyjne twory. Bez twojej obecności tutaj wynik negocjacji z tymi miastami nie będzie taki pewny.

Obawy Mike'a dały o sobie znać słabo i po raz ostatni.

- To samo można powiedzieć, jeśli mnie tam nie będzie przy spotkaniu... Rebeka ponownie zaczęła kręcić głową, zanim dokończył myśl.

- Nie będziemy negocjować z królem Szwecji, Michaelu, my tylko mamy się zaprezentować.

- Uśmiechnęła się. - Podejrzewam, że Gustaw Adolf po prostu chce się upewnić, że naprawdę istniejemy i że nie jesteśmy wytworami wyobraźni jakiegoś obłąkanego Szkota.

Mikę uśmiechnął się.

- Albo chce się przekonać, że nie jesteśmy czarownikami. - Oczy zwrócone ku żonie były pełne miłości i, prawdę mówiąc, ogromnej satysfakcji. „Czarownice” w siedemnastowiecznej Europie nie wyglądały tak, jak w filmach Walta Disneya. Nie były pięknymi macochami, lecz odrażającymi staruchami. A Rebeka na pewno tak nie wyglądała.

Odczytawszy właściwie spojrzenie męża, Rebeka zdecydowała, że to jest odpowiedni moment, żeby poruszyć kolejną kwestię.

- W związku z tym uważam, że powinniśmy włączyć kolejną osobę do naszej wyprawy. Ed Piazza reprezentuje rozsądek i stateczność mężczyzny w średnim wieku. Tom Simpson oczywiście - szczególnie w towarzystwie swej ślicznej, młodej amerykańskiej żony - da pokaz prawdziwej żołnierskiej siły i energii. -1 dodała skromnie: - Ja zrobię, co będę mogła. - Następnie uniosła wzrok na sufit, jak gdyby właśnie przysła jej do głowy wspaniała myśl. - Ale sądzę... że coś jeszcze...

Mikę uśmiechnął się szeroko.

- Przestań, ty intrygantko.

Rebeka oderwała wzrok od sufitu i przyjrzała się mężowi. Michael często podkreślał, że jest mądrzejsza niż on, ale Rebeka uważała, że się myli. Bardzo się myli. Co prawda nie było porównania, jeśli chodzi o tak zwaną „wiedzę książkową”, ale Rebeka nie była wychowywana na szkodliwych teoriach testów na inteligencję i mierzyła intelekt standardami własnych czasów; przynajmniej w tym względzie nie dostosowała się do pojęć Amerykanów. Umysł człowieka nie może zostać oddzielony od niego samego.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptła, a następnie odgarnęła swoje gęste czarne włosy i ze skruchą wyznała wszystkie grzechy.

* * *

- Mackay narobi w gacie - powiedział Mikę i podrapał się po szczęce. - Ale masz rację. Jeśli jest na świecie ktoś, kto mógłby przekonać Gustawa Adolfa, że nie jesteśmy czarownicami, to jest to cheerleaderka ze szkoły średniej. Szczególnie ta.

Tę radosną myśl natychmiast zastąpiła inna.

- O ile tylko nie zobaczy, jak ona strzela. A jak chcesz ją powstrzymać przed zabraniem tego cholernego karabinu?

Kochający mąż spojrzał wilkiem na swą błyskotliwą żonę. -1 co, geniuszu? Masz jakieś pomysły? Odpowiedziała mu cisza. -Ha!

t

<Roztetał 47

Co do jednej rzeczy król przekonał się w ciągu pięciu minut. Bez względu na to, jak bardzo się starał (a starał się, gdyż był równie skrupulatny jak pobożny), Gustaw II Adolf po prostu nie był w stanie wyobrazić sobie Julie Sims jako wiedźmy.

- To niemożliwe - mruknął pod nosem. Przeniósł wzrok z Julie na pozostałe dwie kobiety siedzące przy stole. Ich rysy twarzy były wyraźnie widoczne w świetle rzucanym przez lampy naftowe i świece. W opuszczonym wiejskim domu, który został zamieniony na tymczasową kwaterę główną, Gustawowi zazwyczaj wystarczało tyle światła, ile trzeba było do czytania i pisania komunikatów oraz, jeśli był na to czas, lektury ulubionych dzieł Grocjusza i Ksenofonta⁵². Ale kiedy usłyszał, że amerykańska delegacja dotarła do obozu, szybko zażądał wszelkiego światła, jakie tylko było dostępne.

Chciał widzieć tych ludzi.

Obok Julie siedziała szczupła blondynka; powiedziano mu, że to siostra przywódcy. Nie poświęcił jednak dużo czasu na jej obejrzenie. Bez wątplenia jest ulepiona z tej samej gliny co najmłodsza. Również jest ładna i również nie jest wiedźmą.

Jego wzrok na chwilę spoczął na jej mężu, który stał obok. Mężczyzna nie usiadł tylko z jednego prostego powodu: żadne z koślawych krzesel nie udźwignęłoby jego ogromnego ciała. „To nie jest tłuszcz” - pomyślał Gustaw. Thomas Simpson był jednym z niewielu mężczyzn potężniejszych i silniejszych niż on sam. Lekko go to zaniepokoiło i rozśmieszyło.

Tak wyobrażał sobie reakcję samca foki, który po raz pierwszy spotyka samca morsa. Stanowczo odrzucił tę myśl. Nie są zwierzętami i to nie jest okres rui, a ten człowiek w żadnym wypadku nie zachowuje się niegodnie. Król przeniósł spojrzenie na drugiego z

mężczyzn. To znaczy na drugiego Amerykanina, gdyż przy stole siedzieli również Alexander Mackay i mężczyzna o imieniu Heinrich. Ale tych dwóch Gustaw znał. Mackaya osobiście, natomiast takich jak Heinrich znał setki.

Ocena Amerykanina zajęła królowi zaledwie kilka chwil. Nazywał się Ed Piazza i ten typ człowieka również nie stanowił dla Gustawa zagadki. Wysoko postawiony doradca, pomocnik, totumfacki, ulepiony z tej samej gliny co Axel, mimo różnego pochodzenia. W końcu jego wzrok spoczął na głównej postaci amerykańskiej delegacji. A w to, że była ona główną postacią, król ani przez chwilę nie wątpił. Gustaw II Adolf był równie doświadczonym dyplomatą i politykiem jak generałem. Bywał z zaproszenia ojca, Karola IX, na naradach państwowych, odkąd skończył jedenaście lat, i dawno temu nauczył się odczytywać delikatne sygnały, które wskazywały na osobę sprawującą władzę.

Był nią zafascynowany. Niewątpliwie z powodu jej niekwestionowanego piękna, ale tylko częściowo. Gustaw bynajmniej nie był na takie sprawy obojętny - jego nieślubny syn, efekt słabości do pewnej Holenderki za czasów niesfornej młodości, służył jako oficer w tymże obozie - jednak, sądząc po królewskich standardach tych czasów, wcale nie był skłonny do lubieżności.

Fascynacja spowodowana była także faktem, że kobieta niewątpliwie była Żydówką. Gustaw do pewnego stopnia był zaznajomiony z Żydami, choć w Szwecji stanowili oni rzadkość. Ale jego zainteresowanie nie wynikało z jej wiary, lecz z funkcji, jaką piastowała. Żydzi na stanowiskach nadwornych doradców bez wyjątku byli mężczyznami. A tymczasem żydowska współwład-czyni?

To ciekawe! Mackay kiedyś wyjaśnił mu to w liście, ale mimo to Gustaw tego nie pojmował. Wolność wyznania..

- Jestem sceptyczny - orzekł. - Weźcie pod uwagę, że jestem przeciwny inkwizycji i jej działaniom. Nie nakładałem również żadnych zobowiązań na katolików na obszarach, które podbiłem, poza wydojeniem skarbców biskupów. I Żydów, jeśli o to chodzi. Jednak nie wierzę, że królestwo może być stabilne bez państwowego kościoła.

- Proszę więc przeprowadzić eksperyment, Wasza Wysokość - odpowiedziała kobieta nazywana Rebeką Stearns. - Przyjmujemy wszystkie mniejszości wyznaniowe, które dla ciebie, panie, byłyby kłopotliwe.

Widząc zaskoczenie na twarzy króla, Rebeka uśmiechnęła się. -Amerykańskie podejście jest zupełnie inne, Wasza Wysokość. Wierzymy, że stabilność pochodzi z płynności ruchów. Co trwa dłużej: góry czy

t

- Więc uważasz się, pani, za Amerykankę? Przecież nie urodziłaś się tam, jestem tego pewien. Sądząc po akcencie, w Anglii lub Holandii.

Rebeka skinęła głową. Rozmawiali po niemiecku, gdyż król nie władał zbyt dobrze angielskim.

- Urodziłam się w Londynie, ale całą młodość spędziłam w Amsterdamie. Wskazała na swych towarzyszy.

- Spotkałam ich rok temu, kiedy oni - kiedy mój mąż - uratowali mojego ojca i mnie. Tak, uważam się teraz za Amerykankę.

-Aha.

Na ustach Rebeki pojawił się uśmiech.

- Przynajmniej jeśli chodzi o niektóre sprawy, nie wszystkie. - Uśmiech stał się szerszy. - Teraz właściwie większość Amerykanów to ludzie urodzeni i wychowani w tym miejscu i czasie.

- Aha. - Mackay o tym mówił, ale król - znowu - nie do końca mu wierzył. Teraz widząc, z jaką swobodą Sefardyjka mówi o swojej nowej tożsamości, zdał sobie sprawę, że szkocki oficer powiedział mu prawdę.

Przez chwilę rozmyślał nad wcześniejszymi słowami kobiety. „Co trwa dłużej: góry czy morze?”.

Gustaw był synem Skandynawii i znał odpowiedź.

Przeniósł wzrok na Mackaya. Szkocki oficer siedział obok ładnej dziewczyny, która nazywała się Julie Sims. Uwadze króla nie uszły subtelne gesty obojga młodych ludzi. Uśmiechnął się szeroko.

- Z tego, co widzę, ty również, Alexandrze.

Na piegowatej twarzy Szkota pojawił się lekki rumieniec, ale jego oczy patrzyły pewnie.

- Przysiągłem ci służyć, Gustawie II Adolfie, królu Szwecji. - Słowa te zostały wypowiedziane w niemal wrogi sposób. Nie, nie wrogi, po prostu zaczepny.

Król uniósł rękę uspokajającym gestem.

- Jestem tym uradowany, Alexandrze. Wiesz, że nigdy w to nie wątpiłem. -Przejechał palcami po krótko ostrzyżonych blond włosach. - Ale lojalność nie musi trwać wiecznie. Jedyne, o co proszę, to żebyś zaniechał służby, jeśli zauważysz, że coś takiego się dzieje. Do tego czasu nie będę ci zadawał żadnych pytań.

Mackay skinął sztywno głową.

Potem rozmowa zeszła na temat Ognistego Kręgu. Gustaw dostał wcześniej opis tego zdarzenia od Mackaya - i to w niejednym liście - ale chciał jeszcze wypytać samych Amerykanów. Tak więc korzystając z pomocy Rebeki jako tłumacza, zadał im wiele pytań. I bardzo uważnie słuchał ich odpowiedzi.

Odpowiedzi były niepewne, i to bardziej niż cokolwiek innego przekonało króla, że Amerykanie są tak samo zdumieni tą sytuacją, jak wszyscy inni.

Poczuł ogromną ulgę. Zniknęły wszystkie jego najgłębsze obawy, a na ich miejsce pojawiły się pierwsze rachuby dotyczące przyszłości.

„To nie czary. Mackay miał rację”.

Gustaw obrócił się na krześle i rzucił spojrzenie na dwóch stojących w tyle mężczyzn. Byli tam na jego prośbę. Gustaw chciał najpierw sam ocenić Amerykanów, zanim poruszy inne sprawy. Ocena zajęła o wiele mniej czasu niż się spodziewał, a to, co wydawało mu się tajemnicą, okazało się czymś innym lub też... odwieczną tajemnicą boskiej opatrności.

Wezwał dwóch mężczyzn lekkim skinieniem dłoni.

„Kimże jesteśmy, żeby kwestionować wolę Boga? Bo któż inny mógłby stworzyć taki Ognisty Krąg?”.

Gustaw poczuł falę ciepłych uczuć dla Amerykanów. To najdziwniejszy lud, o jakim słyszał, ale przecież oni także są boskimi stworzeniami. Zdolnymi do zachwyty nad Jego dziełem, chociaż niezdolnymi go zrozumieć.

Dwaj mężczyźni podeszli do stołu.

- Siadajcie - rozkazał. Potem przedstawił ich, wskazując po kolei palcem. - Wilhelm Sasko-Weimarski, najstarszy książę. A to Lennart Torstensson, mój dowódca artylerii.

Widać było, że Torstensson ledwie trzyma język za zębami, ale Gustaw powstrzymał go ostrym spojrzeniem. „Wszystko w swoim czasie”.

- Postawiliście mnie w trudnej sytuacji - powiedział nagle król, zwracając się do Amerykanów. - Obecny tu Wilhelm jest jednym z niewielu godnych zaufania sojuszników niemieckich, a wydaje się, że wy przywłaszczyliście sobie jego księstwo Turyngii. Jest to... bardzo kłopotliwe.

Żydówka rzuciła szybkie spojrzenie na księcia sasko-weimarskiego i zaczęła coś mówić, ale Wilhelm natychmiast jej przerwał.

- Proszę! Nie chcę stwarzać królowi Szwecji nowych problemów. - Wskazał ruchem głowy drzwi chaty. - Armia Tilly'ego obozuje mniej niż trzy kilometry stąd, na drugim brzegu rzeki Lech. Król zamierza jutro sforsować rzekę. To nie czas na sprzeczki sojuszników.

Po tym ostatnim zdaniu zapadła cisza. W ciągu kilku sekund napięcie przy stole opadło. Fakt, że nikt - ani król, ani Amerykanie - nie zakwestionował tego, co powiedział książę sasko-weimarski, potwierdzał, że była to prawda. Nowy amerykański twór został zaakceptowany jako sojusznik Gustawa Adolfa. Oczywiście charakter tego sojuszu trzeba było jeszcze określić.

- Jeśli mogę coś zaproponować - kontynuował Wilhelm - zostawmy na razie dyskusję nad przyszłością księstwa. - Wyprostował szczupłe ramiona i spojrzał na Rebekę. - Chciałbym tylko prosić o dwie rzeczy. Po pierwsze...

- Doniesiono mi, że zeszłej zimy w księstwie nie było głodu. Czy to prawda?

i

360

Erie Flint

Kiedy Rebeka przetłumaczyła jego słowa, Amerykanin w średnim wieku odchrząknął i zaczął mówić niezbyt płynnym niemieckim; Żydówka pomagała mu w trudniejszych momentach.

- Rzeczywiście nikt nie głodował. Prawdę powiedziawszy, według naszych szacunków, które oczywiście są tylko przybliżone, od czasu, gdy przybyliśmy tutaj rok temu, populacja południowej Turyngii wzrosła czterokrotnie.

Reakcją na to stwierdzenie było pełne zdumienia spojrzenie Wilhelma i dwóch siedzących przy stole Szwedów. „Zwiększyła się czterokrotnie? W środkowych Niemczech? W czasie tej wojny?”.

- Oczywiście nie mówię o przyroście naturalnym - dodał Piazza. - No, może trochę, chodzi jednak o uciekinierów z różnych stron.

Wilhelm odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. - Przynajmniej tego nie mam na sumieniu.

- Oto moja pierwsza prośba: zróbcie wszystko, aby zapewnić im schronienie i przeżycie. A co do drugiej...

Uśmiechnął się. Był to uśmiech ledwie widoczny, ale szczery.

- Byłbym wdzięczny, gdybyście nie zajmowali żadnego oficjalnego stanowiska, które zmusiłoby mnie do obrony moich praw. Jak to ujął król, byłoby to... kłopotliwe.

Amerykanie wymienili spojrzenia. Dla Gustawa było oczywiste, że szukają właściwych słów. Równie oczywiste było to, że zwrócili się do Rebeci jako do przywódcy, czekając, co powie. Gustaw odczuł satysfakcję, widząc, że kolejny raz zmysł polityczny go nie zawiodł, i otuchę, że ta kobieta nie jest rodowitą Amerykanką.

- Nie mogę nic konkretnego powiedzieć, książę - przemówiła cicho Rebeka. - Nie tu i nie teraz. Nie mam takiej władzy. Ale mogę zapewnić, że dokumenty prawne, które kierują Stanami Zjednoczonymi - nazywamy je konstytucją i Kartą Praw - nie są... - Zawahała się. - One ustanawiają prawa i obowiązki, a niczego nie zabierają, jeśli rozumiecie panowie, co mam na myśli.

Wilhelm i Gustaw uśmiechnęli się.

- Co za ładne zdanie - mruknął wesoło król. - Jakie dyplomatyczne. Zwrócił głowę w kierunku księcia sasko-weimarskiego.

- Wilhelmie?

Książę wykrzywił usta, co dało iście komiczny efekt.

- Tak, jak powiadasz, Wasza Wysokość, to w rzeczy samej ładne zdanie. Sądzę, że trzeba by dosyć dużo czasu, aby rozebrać je na części.

Rzucił spojrzenie w kierunku drzwi.

- Wydaje mi się, że więcej niż potrzeba, aby zobaczyć koniec Tilly'ego i Wallensteina. -

Przeniósł wzrok z powrotem na Rebekę. - Potem...

- Wystarczy! - przerwał mu stanowczo król.

Zwrócił się teraz do Torstenssona.

- W porządku, Lennarcie - warknął. - Wyduś to z siebie!

W przeciwieństwie do Gustawa, Lennart mówił płynną angielszczyzną.

- Jak wam się to udało? - spytał. - Przewody luf są identyczne! - Zmarszczył brwi. - To niemożliwe, a nawet absurdalne! Nie mam kul armatnich, które pasowałyby do tak precyzyjnie wykonanych luf.

Piazza uśmiechnął się i pochylił. Przez chwilę szperał w torbie, która leżała u jego stóp, po czym wyciągnął jakiś dziwny przyrząd.

- Ollie przewidział, że może pan o to spytać. - Podał przyrząd Torstensso-nowi. Przedmiot przypominał nieco klamrę. Generał artylerii wziął go z wahaniem do ręki.

- Nazywa się to mikrometr. - Korzystając z instruktażu, który otrzymała od Olliego, Rebeka zaczęła wyjaśniać podstawowe zasady funkcjonowania przyrządu. - Precyzyjny ruch śrubowy... Każdy obrót walca wskazuje dokładnie jedną czterdziestą cala... „Zero zero dwadzieścia pięć cala”, jak mówią tokarze... Każdy mały znak - widzi pan tutaj, jak pasują do siebie? - mierzy dokładnie jedną tysięczną cala...

- Jedną tysięczną? - zakrzywił się Torstensson. Obracał walec w tę i z powrotem, patrząc na pasujące do siebie linie. - Jesteście w stanie wykonać coś tak dokładnego?!

- Nie jesteśmy - odparła Rebeka - choć nasi eksperci uważają, że za jakiś czas będziemy mogli stworzyć coś zbliżonego.

- Wymagałoby to maszyn, których nie posiadamy. I maszyn do wykonania tamtych maszyn, a tych również nie posiadamy. Ognisty Krąg przeniósł z nami tylko to, co było w mieście Grantville. Prędzej czy później wiele naszych maszyn się zużyje, a nie mogą zostać niczym zastąpione, przynajmniej bezpośrednio. Komputery na przykład wymagają całego przemysłu elektronicznego...

Przerwała, kiedy zdała sobie sprawę, że używa niezrozumiałych terminów, i od razu przeszła do sedna sprawy.

- Nazywamy to redukcją. - Wskazała na spoczywający w dłoniach Torstenssona mikrometr. - Za pomocą tego urządzenia, które będzie bardzo dłu-

go zdadne do użytku, pod warunkiem, że nie będzie zbyt eksplloatowane, możemy wykonywać proste działa, które będą dużo bardziej precyzyjne niż działa wykonywane gdziekolwiek indziej. Są też inne rzeczy, które możemy stworzyć.

- Na przykład gwintowane muszkiety na pociski stożkowo-cylindryczne - wtrącił się Tom Simpson. Jego niemiecki, mimo że nie dorównywał biegłości Rebeki, był dużo lepszy niż niemiecki Piazza. - Może jakąś prostą broń odtyl-cową. - Zaśmiał się. - Wśród maniaków na punkcie broni są niezłe boje. Niektórzy chcą fergusona, inni...

t

362

Erie Flint

Przerwał, ponownie widząc brak zrozumienia. Również te nazwy były słuchaczom zupełnie obce.

- Nieważne. Chodzi o to, że nie jesteśmy w stanie odtworzyć świata, z którego przybyliśmy, ale możemy stworzyć rzeczy, które będą dużo bardziej zaawansowane technologicznie niż cokolwiek tu i teraz.

- Wasza Wysokość - weszła mu w słowo Rebeka. - Oczywiście nie chcemy źle mówić o przemyśle zbrojeniowym Szwecji, ale miałbyś, panie, świetne zaopatrzenie wojskowe na wyciągnięcie ręki.

- I pieniądze - dodała.

Te prawdziwie magiczne słowa spowodowały, że w pokoju zapadła cisza. Pieniądze były sercem działań wojennych, ważniejszym nawet niż piki, konie, broń, proch czy żołnierze, szczególnie dla Szwedów cierpiących na odwieczny brak gotówki.

- Jak? - spytał król. - Zakładam, że nie oferujecie bezpośredniego wsparcia finansowego? Rebeka zaśmiała się cicho.

- Wasza Wysokość, czyja wyglądam jak Richelieu?

- Absolutnie nie - mruknął Torstensson. Młodemu oficerowi artylerii trudniej było niż królowi skupić się jedynie na zaletach umysłu Rebeki.

Ignorując ten oczywisty komplement, Rebeka kontynuowała:

- Bezpośrednie wsparcie finansowe - nie. Ale możemy ci, panie, służyć na inne sposoby.

Południowa Turynia szybko staje się centrum ekonomicznym Niemiec. Bardzo szybko, jeśli brać pod uwagę chaos, jaki panuje w Świętym Cesarstwie Rzymskim. Budownictwo, produkcja, handel - wszystko to rozrasta się w zawrotnym tempie. Jesteśmy w stanie dostarczyć dla twojej armii, panie, większość potrzebnych zapasów.

- Łącznie zjedzeniem? - spytał Torstensson. - A co z końmi i wołami? - Profesjonalny żołnierz znów był całkowicie skupiony.

- Oczywiście. Pozwolę sobie wspomnieć, że amerykańskie ziarno i żywy inwentarz są lepsze od niemieckich i że rozpoczęto już program uprawy i hodowli, który pozwoli zachować te rasy zwierząt i odmiany zbóż. Jesteśmy w stanie zaproponować dużo lepsze ceny, panie, niż gdziekolwiek indziej, szczególnie ceny uzbrojenia.

Wskazała na mikrometr, który ciągle spoczywał w ręku Torstenssona.

- Nasze metody obróbki metalu są nie tylko dużo dokładniejsze, ale również znacznie szybsze i wydajniejsze niż metody spotykane w Europie. A właściwie na całym świecie.

Przez chwilę zahała się, a potem dodała:

- Samego prochu chwilowo nie możemy dostarczać, tak samo jak tkanin, niezależnie od ilości. Ale dzięki stabilizacji, którą osiągnęliśmy... - rzuciła na Wilhelma szybkie, na wpół przepaszające spojrzenie - napływa do księstwa dużo kupców i handlarzy. Nie możemy dostarczać prochu i wyrobów włókienniczych, ale bez wątplenia możemy służyć jako pośrednicy, oczywiście również za lepszą cenę niż gdziekolwiek indziej. Gustaw potarł nos.

- Jeśli dobrze rozumiem, proponujecie, żeby Turynia - a przynajmniej wasza część - stała się naszym centrum zaopatrzenia i magazynem. Szwedzkim arsenałem w środkowych Niemczech.

- Tak - potwierdziła Rebeka. Król spojrział na nią bystro, a ona wzruszyła ramionami. - Zdajemy sobie sprawę, że to prawdopodobnie sprowadzi na nasze głowy gniew Habsburgów.

- Czekają ich niespodzianka, jeśli będą chcieli nas zmiążdżyć - zaśmiał się Tom Simpson. Mackay zmarszczył brwi.

- To nie jest takie proste, Tom. Kawaleria może sporo zniszczyć, nawet jeśli tylko przejeżdża przez okolicę, i jest dużo trudniejsza do zatrzymania.

Twarz ogromnego Amerykanina przybrała zawzięty wyraz. Mackay lekko zacisnął szczęki.

- Posłuchaj mnie, Tom! Gdybym ja był twoim przeciwnikiem, zapewniam cię, że byłoby ci dużo trudniej mnie pokonać niż te niezdarne tercios Tilly'ego.

Rebeka przerwała rozpoczynając się kłótnię jednym ostrym ruchem ręki. Obserwujący to Gustaw był pod wrażeniem; zdawał sobie sprawę, że autorytet tej kobiety bierze się nie tylko z faktu, że jest żoną amerykańskiego dowódcy, ale przyczyn jest dużo więcej.

- Wspomniałaś, pani, o innej formie finansowego wsparcia - przemówił ponownie.

Rebeka obróciła głowę i przez chwilę obserwowała go swymi ciemnymi oczami. Gustaw zorientował się, że teraz on jest oceniany.

- Czy słyszałaś, panie, o rodzinie Abrabanelów? Gustaw skinął głową.

- Sporo słyszałem. Mój asystent, sir James Spens, prowadził z nimi w przeszłości interesy.

- Sir James! - wykrzyknęła Rebeka. - Znam go! Osobiście niezbyt dobrze, ale mój ojciec bardzo go poważa.

- Twój ojciec, pani? - Gustaw wytrzeszczył oczy. Dopiero teraz zorientował się, że nie spytał o jej panięskie nazwisko.

- Abrabanel. Moim ojcem jest Baltazar Abrabanel. Król roześmiał się i klasnął w potężne dłonie.

- No to nic dziwnego, żeś takim cudem, pani! Baltazar ojcem, Uriel wujkiem. - Uśmiechnął się szeroko. - Jak to jest dorastać w atmosferze podstępów i knowań?

t

364

Erie Flint

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

- Prawdę mówiąc, bardzo miło, Wasza Wysokość. Znasz, panie, mojego ojca i wuja? Gustaw pokręcił głową.

- Osobiście nie, tylko ze słyszenia. - Spojrzał na nią z jeszcze większym szacunkiem... i zrozumieniem.

- Czyżby cała rodzina Abrabanelów zdecydowała się połączyć swe losy z Amerykanami? Rebeka przytaknęła.

- Nawet tureccy, a właściwie szczególnie tureccy Abrabanelowie. Don Francisco Nasi już od kilku tygodni rezyduje w Grantville, naszej stolicy. Ogłosił zamiar pozostania tam na stałe. Ponownie zapadła cisza. Obecni w izbie Europejczycy - Szwedzi, Niemcy i Szkoci - natychmiast zrozumieli konsekwencje takiej decyzji. Byli wystarczająco dobrze zaznajomieni z bankowością, żeby zdawać sobie sprawę, co oznacza dla Stanów Zjednoczonych lojalność rodziny Abrabanelów. Mówiąc bez ogródek: najwspanialszą sieć finansową na świecie.

- Pożyczki - mruknął Gustaw. Nagle jego spojrzenie wyostrzyło się. - Lichwa?

Odpowiedź Rebeki nadeszła wraz z bardzo szerokim uśmiechem.

- Pięć procent rocznie na pożyczkę wojskową. Cztery procent na inne. Król omal się nie zakrztusił.

- Pięć procent? - Wybałuszył swe bładoniebieskie oczy. - Rocznie? Rebeka wzruszyła ramionami.

- Amerykanie... - Przerwała z cichym śmiechem. - My, Amerykanie, przekonaliśmy rodzinę Abrabanelów, że stabilne interesy na dużą skalę są lepsze od sporadycznego, nieoczekiwanego przypływu gotówki. Pięć procent - powtórzyła bardzo stanowczo. - Dla ciebie, panie, dla Gustawa II Adolfa. Inni będą mieli większą lichwę.

Odgarnęła gęste włosy lekkim ruchem palców i spokojnie dodała:

- Mniemam, iż sporo wyższą. Nagle król wybuchnął śmiechem.

- Pięć procent! - zawołał, zrywając się na równe nogi, i potrząsnął potężną pięścią w kierunku niebios.

- Tyle dla Richelieu!

Śmiechowi Gustawa towarzyszyły uśmiechy Torstenssona i Mackaya. Nawet Wilhelm uśmiechał się szeroko. Przez chwilę król Szwecji podziwiał charakter tego człowieka oraz jego mądrość. Praktycznie rzecz biorąc, książę sa-sko-weimarski właśnie usłyszał wyrok na swoje dziedziczne panowanie w Turynii, a był wystarczająco inteligentny, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Kiedy republika turyńska ustanowi finansową i handlową dominację,

ary-
stokracja będzie miała szczęście, jeśli uda jej się utrzymać chociaż część władzy. A mimo to ten człowiek ma wystarczająco dużo odwagi, żeby na tę myśl nie drzeć ze strachu.

A niby dlaczego miałyby drzeć? Wilhelm Sasko-Weimarski był wierny królowi Szwecji, monarsze, który nie był skąpy dla swych zaufanych podwładnych i którego perspektywy właśnie znacznie się polepszyły.

Gustaw odwrócił głowę w kierunku Torstenssona, jak gdyby brał dowódcę artylerii na muszkę.

- Corpus Evangelicorum - stwierdził zuchwale. -1 co na to powiesz, mój sceptyczny Lennarcie?

t

Następnego dnia Rebeka i Ed Piazza pozostali w wiejskim domu, a Gustaw rozpoczął przygotowania do ataku na Tilly'ego. Mieli spędzić cały ten i następny dzień z kwatermistrzami króla, pracując nad zorganizowaniem nowej bazy logistycznej Szwecji. Reszta delegacji wyruszyła razem ze szwedzką armią. Tom, Rita i Heinrich, którzy poprzednie tygodnie spędzili w warsztatach mechanicznych, pracując nad przygotowaniem dział, poszli z Torstenssonem. Jeżeli nowe Stany Zjednoczone miały w ogóle coś, co przypominało „korpus oficerów artylerii”, to składał się on właśnie z tych trojga ludzi. Mikę i Frank nakłonili ich, by wykorzystali wszystkie możliwości zaznajomienia się z ówczesnymi praktykami artyleryjskimi, gdyż według powszechnie panującej opinii właśnie Szwedzi Torstenssona uosabiali wszystko co najlepsze w tej dziedzinie.

- Kluczem są zarówno stajenni, jak i artylerzyści - poinformował ich Torstensson, kiedy przyglądali się, jak ustawiano szwedzkie działa na pozycjach. - Moje konie i wozy są własnością stajen artyleryjskich.

Informacja ta nic nie znaczyła dla Toma i Rity, ale Heinrich aż podskoczył z wrażenia.

- To znaczy, że... - Wskazał na stajennych, którzy prowadzili konie i odczepiali działa.

- Tak, to wojskowi, co do jednego - przytaknął Torstensson i wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. - Ani jeden z nich nie jest nędznym bękartem żądnym pieniędzy... - Reszta zniknęła w niewyraźnym potoku przekleństw.

Heinrich zaśmiał się i odwrócił do Toma i Rity.

- Wszystkie inne armie, które znam, zatrudniają cywilów do zajmowania się końmi i wozami w taborach artyleryjskich.

- To przecież szaleństwo! - mruknął Tom.

Jak zawsze w terenie Tom mówił po niemiecku. Słyszając jego słowa, Torstensson uśmiechnął się szeroko, ale zaraz skierował uwagę na wznoszone na szańce amerykańskie działa. Chwilę później wykrzykiwał już rozkazy, pilnując, żeby je odpowiednio ustawiono, pośrodku linii, pod jego czujnym okiem.

Torstensson zamierzał dziś wypróbować te działa. Od świtu jego ludzie wybierali najlepsze pociski, jakie miał w arsenale - te, które były najbardziej okrągłe i najlepiej pasowały do perfekcyjnie wykonanych luf.

- O połowę większy zasięg, założę się - powiedział cicho, obserwując okopy wroga po drugiej stronie rzeki.

* * *

Stojąc w górnym biegu rzeki, Gustaw Adolf badał wzrokiem te same okopy. A przynajmniej usiłował to robić, gdyż przeszkadzała mu w tym jego krótkowzroczność.

Jego osobisty strażnik, Anders Jónsson, którego zadaniem było między innymi zastępowanie oczu króla, pochylił się i szepnął:

- Tilly umieścił wszystkich swoich ludzi w tych lasach za moczarami, tak jak przewidzialesz, panie. Przy samym brzegu nie widzę ani jednego.

Gustaw skinął niecierpliwie głową; żałował, że sam nie może tego zobaczyć.

I wtedy usłyszał, jak ta amerykańska dziewczyna, Julie Sims, chrząka.

- Yyy... proszę pana... Znaczy się, Wasza Wysokość... yyy... Odwrócił się i spojrzał na nią z góry.

-Tak?

Ponownie odchrząknęła, a następnie zaczęła mówić łamanym niemieckim:

- Dlaczego pan nie nosi okularów? Znaczy się Wasza Wysokość? Anders syknął, a stojąca około metra z tyłu szkocka straż zamarła. „Teraz nastąpi wybuch!”.

Ale w tej niewinnej, szczerej, ładnej twarzy było coś, co okiełznało furię króla.

-To niemożliwe! - warknął. - Raz próbowałem, ale okulary zleciały mi z nosa już przy pierwszym skrzyżowaniu szabli.

Julie ponownie próbowała coś powiedzieć, ale najwyraźniej nadszedł kres jej umiejętności posługiwania się niemieckim. Szepnęła więc coś do swojego narzeczonego, a poblady Szkot (jak wszyscy żołnierze Gustawa, Mackay doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to drażliwy temat) przetłumaczył jej słowa.

- Ona mówi, że nie miała na myśli normalnych okularów, Wasza Wysokość. Chodziło jej o takie okulary do ćwiczeń, które... - Tutaj Mackay się zaciął. „Jak wyjaśnić, co to jest koszykówka?”.

t

Erie Flint

W końcu jakoś mu się udało opisać królowi Szwecji specjalne okulary ochronne, które nosili młodzi amerykańscy sportowcy. Gustaw wytrzeszczył oczy.

- To niemożliwe! - powtórzył. - To absurd!

Jego złość rosła. Spiorunował wzrokiem zuchwałą dziewczynę, a następnie j ego spój rzenie przeniosło się na dziwną strzelbę, którą trzymała w ramionach, a stamtąd na lunetę, która była na niej umieszczona. Mimo podenerwowania król potrafił ocenić wspaniałe wykonanie i strzelby, i przyrządu optycznego.

W tym momencie zmieszana dziewczyna, być może w celu złagodzenia królewskiego gniewu, wyciągnęła ku niemu broń.

- Chciałbyś spojrzeć, panie? - spytała.

Gustaw wziął od niej broń i zaczął się jej przyglądać ze zmarszczonymi brwiami. Mimo dziwnego wyglądu jej zastosowanie było wystarczająco jasne. Chwilę później oparł kolbę o ramię i spojrział przez lunetę.

Jego irytacja momentalnie zniknęła.

- Wspaniale! - wykrzyknął. Obraz był wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem, gdy patrzył przez inne lunety.

Kilka kolejnych minut król poświęcił dokładnej obserwacji pozycji wroga. Armie szwedzka i bawarska znajdowały się po przeciwnych stronach rzeki Lech, na południe od miejsca, w którym wpływała do Dunaju. W tym miejscu rzeka przepływała przez płaską, grząską równinę, otoczoną z obu stron wyższym terenem. Tilly ustawił swoich żołnierzy w położonych wysoko za bagnami lasach. Stary katolicki generał był pewien, że bagnisty teren powstrzyma pochód Szwedów i zapobiegnie sforsowaniu rzeki. Jego flanki były dobrze ufortyfikowane, a baterie artyleryjskie zebrano pośrodku. Wszystko wskazywało na to, że jest to pozycja praktycznie nie do zdobycia.

Jednak...

Król uśmiechnął się ponuro, obserwując przez lunetę pewien odcinek rzeki. Dokładnie naprzeciwko wzniesienia, na którym Torstensson umieścił swoje siedemdziesiąt dwa działa, rzeka Lech tworzyła szeroką pętlę. Na przeciwnym brzegu utworzył się wystający w kierunku Szwedów cypel. Gdyby udało się pod osłoną szwedzkich dział umieścić na nim silną grupę żołnierzy, król miałby swój mostowy przyczółek.

Gustaw opuścił karabin.

- Jest dokładnie tak, jak donosili Finowie - mruknął z satysfakcją do Andersa. Potem odwrócił się do Julie i podał jej broń.

- Wspaniała luneta - powiedział - chociaż uważam, że ta osobliwa skaza nieco rozprasza uwagę.

Mackay przetłumaczył jego słowa. Julie zmarszczyła brew („obrażać jej lunetę!”) i zażądała wyjaśnień.

- Chodzi o te dwie czarne linie przecinające się w samym środku okulara. Julie („chrzanić królewskie humory”) odwarknęła odpowiedź, którą Mackay znowu przetłumaczył.

-To nonsens! - ryknął król i machnął ze złością potężną dłonią. - To pięćset metrów!
Wskazał władczo na Mackaya i kazał Julie dać temu zarozumialcowi broń.

- A teraz, pułkowniku, proszę udowodnić, że to nie są tylko przechwałki! Mackay przełknął ślinę i coś powiedział. Oczy króla wyszły z orbit.

- Ona?

Szkot skinął głową, więc spojrzenie króla przeniosło się na... na... tę zuchwałą dziewczynę!
Tego było dla Julie za wiele. Zważyła w dłoni karabin.

- Powiedz temu durniowi, żeby sobie wybrał cel - warknęła.

Mackay przetłumaczył... mniej więcej, opuszczając oczywiście słowo „dureń”. Gustaw II Adolf patrzył gniewnie na wroga po drugiej stronie rzeki, próbując wybrać cel. Niestety, nie widział wystarczająco dobrze, więc był zmuszony polegać na Jónssonie.

- Niedaleko tego zagajnika jest pewien znakomicie wyglądający oficer, Wasza Wysokość.
Sądząc po jego postawie, to gwałtowny jegomość.

Mackay zaczął tłumaczyć, ale niemiecki Julie wystarczył do zrozumienia generała. Broń od razu znalazła się na jej ramieniu, a oko już patrzyło przez lunetę.

Gustaw syknął. Był zbyt doświadczonym żołnierzem, by mimo oburzenia nie dostrzec umiejętności tej dziewczyny.

Trzask! Niski, nieznany odgłos zaskoczył króla. Odwrócił się do Andersa. Twarz osobistego strażnika króla wydawała się lekko blada.

- Trafiony, Wasza Wysokość. Wydaje mi się, że w samo serce. Z takiej odległości trudno powiedzieć, ale już się nie podniesie, to pewne.

-Nonsens! To przypadek! Następny!

Anders wywołał kolejny cel. Minęło kilka sekund. Trzask.

- Następny! Trzask.

- Kolejny! Trzask.

- Kolej... - Gustaw zamilkł. Cisza trwała dobrze ponad minutę. Na koniec ciężko westchnął. I nagle się uśmiechnął.

- Ech, Mackay... - Trupio błąd! Szkot patrzył na swego suwerena. Król z kolei patrzył na Julie i ciągle się uśmiechał.

Tylko Julie się nie uśmiechała. Patrzyła gniewnie na Gustawa, łamiąc w ten sposób etykietę obowiązującą w obecności członka rodziny królewskiej.

t

- Zdaje się, że obraziłem twoją narzeczoną - powiedział król. - W tych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli wyłuszcysz jej zasady kodeksu honorowego. Nie można wyzwąć panującego monarchy. Tak się po prostu nie robi.

Zaśmiał się.

- Wyjaśnij jej, że do mnie jako strony wyzwanej należałby wybór broni. Bez wątplenia wybrałbym szablę!

Kiedy Mackay przetłumaczył słowa króla, zły humor Julie natychmiast uleciał. Przez chwilę wymieniała szerokie uśmiechy z królem Szwecji. Przypatrującemu się temu Andersowi przypominało to wiewiórkę i niedźwiedzia, które patrzą na siebie z pełną aprobatą.

Jednak zatrzymał tę myśl dla siebie. Udało mu się nawet powstrzymać uśmiech przy kolejnych słowach króla.

- Czary? Nonsens! Która kobieta potrzebuje być czarownicą, kiedy może tak strzelać?

Chwilę później działa Torstenssona rozpoczęły ostrzał i rozbawienie króla minęło. Anders znał jego plany na nadchodzącą bitwę, i chociaż oczywiście nikt go nie pytał o zdanie - był tylko osobistym strażnikiem - jako weteran miał na ten temat swoją własną opinię.

Gustaw II Adolf zaproponował, aby przedrzeć się przez rzekę w obecności potężnego, obwarowanego wroga, wbrew wszelkim zasadom militarnego rozsądku.

Szaleniec!

- Za wysoko! - ryknął Torstensson. - Ciągłe za wysoko, niech was szlag! Kanonierzy obsługujący amerykańskie działa szpetnie zakleli i ponownie zaczęli gmerać przy („przeklętych nowomodnych!”) przyrządach, które Amerykanie nazywali śrubami nastawiania kąta podniesienia. Byli przyzwyczajeni do regulowania kąta celowania jedynie przez podniesienie zamka i wsadzenie klina. Trzeba przyznać, że nowy system był szybszy i na pewno łatwiejszy w obsłudze. Prawdopodobnie również bardziej dokładny, jednak kanonierzy jeszcze się w tym nie połapali i ciągle strzelali za daleko. Niedokładność brała się również z tego, że amerykańskie działa z idealnie dopasowanymi kulami miały o wiele większy zasięg niż te, do których byli przyzwyczajeni. Tom odwrócił się do Heinricha i szepnął:

- Pamiętaj, żebyśmy po powrocie pogadali z Olliem o zamontowaniu jakichś celowników. Heinrich skinął głową. Ten niemiecki najemnik (były najemnik, gdyż tak samo jak Tom był teraz kapitanem w regularnej armii Stanów Zjednoczonych) większą część minionej zimy spędził w warsztacie mechanicznym, gdzie poznał, a nawet przyjął za swoje, amerykańskie rozumienie precyzji i dokładności.

Kanonierzy wreszcie pojęli, o co chodzi, i następna salwa kul wbiła się wprost w szańce chroniące baterie kawaleryjskie Tilly'ego. Wrogie umocnienia oberwały już wcześniej z tradycyjnych dział i teraz zaczęły się rozpadać.

- I tak minie trochę czasu, zanim ich rozbijemy - stwierdził Torstensson i uśmiechnął się ponuro. - Ale oni na pewno nie będą mogli w odpowiedzi strzelać.

Obrócił się i krzyknął coś do ordynansa, który czekał na zboczu powyżej. Chwilę później mężczyzna spiął konia ostrogami i ruszył w kierunku króla zajmującego pozycję w górnym biegu strumienia.

Torstensson powrócił do nadzorowania dział.

- A teraz Finowie - powiedział wesoło. - Te ponure dzikusy nie będą dziś mogły narzekać na kryjący ostrzał. Nie dziś!

Spojrzał z aprobatą na Toma i Heinricha.

- Wspaniałe sztuki! - Następnie przeniósł wzrok na stojącą obok nich bardzo atrakcyjną Amerykankę i podobna myśl przemknęła mu przez głowę, ale wolał jej nie wypowiadać na głos. Lennart Torstensson doszedł już do tego samego wniosku co koleddy Toma Simpsona: nie należy irytować człowieka, który prawdopodobnie byłby w stanie podnieść jedno z tych cudownych dział.

Zamiast tego pochylił się i mruknął do Toma:

- Jestem ciekaw, jaką wybrałbyś broń. Chodzi mi o pojedynkę. Mąż bardzo atrakcyjnej Amerykanki natychmiast odpowiedział.

- Dziesięciofuntowy młot kowalski. Niezbyt dobry pomysł.

* * *

- Teraz, teraz! - ryknął król. Szwedzcy inżynierowie prowadzili w pośpiechu setki żołnierzy nad brzeg rzeki. Żołnierze z trudem ciągnęli po bagnistym terenie świeżo obcięte kłody. Nie zważając na grząskie podłoże, inżynierowie zaczęli układać na wodzie prowizoryczny most. Ich praca nie była samobójcza dzięki kryjącemu ostrzałowi dział Torstenssona, ale mimo to była niebezpieczna. W ciągu paru minut kilku inżynierów zostało zranionych lub zabitych. Na twarzy Gustawa pojawił się grymas niezadowolenia; ludzie Tilly'ego wystawiali arkebuzę poza wały obronne i strzelali na oślep, ale mimo to od czasu do czasu kogoś trafiali. Król usłyszał, jak młoda Amerykanka szepcze coś do Mackaya.

- Wasza Wysokość, Julie mówi, że większość trafień pochodzi z broni ludzi ukrytych w lasach.

Gustaw zerknął na linię drzew. W tych czasach nie znano jeszcze określenia „snajper”, ale wszystkie armie miały oddziały żołnierzy w lekkiej zbroi, którzy używali broni do polowania.

Ponieważ nie musieli się przejmować szybkością strzału, ich broń miała gwintowaną lufę, a to zapewniało jeszcze nie wspaniałą, ale już całkiem niezłą celność.

i

372

Erie Flint

- Jest tego pewna?

Mackay potwierdził, a po chwili wahania dodał:

- Proponuje również, że... yyy... „zdejmie ich”. Król lekko się uśmiechnął.

- Boisz się, że taka propozycja obraża mój królewski majestat? Mackay zacisnął usta, a uśmiech króla jeszcze się poszerzył.

I natychmiast zniknął, a w jego miejsce pojawiło się gniewne spojrzenie.

- A więc obraża mój królewski majestat. - Otrząsnął się jak wielki pies i dodał: - Ale nawet w połowie nie tak, jak patrzeć na śmierć moich inżynierów.

Gniew zniknął z jego twarzy. Gustaw odwrócił się do Julie i lekko jej się uklonił.

- Gdybyś zechciała, panno Sims, byłbym wielce wdzięczny.

Julie pochyliła się nad plecakiem, który ze sobą przyniosła, i wyciągnęła lunetę oraz lornetkę. Chwilę później Mackay został przyozdobiony tym optycznym sprzętem.

- Wywołuj ich - zarządziła Julie i podniosła karabin.

Obserwując rzeź, do jakiej po chwili doszło, szwedzki król nie był pewien, co bardziej go niepokoi: czy swoboda, z jaką młoda Amerykanka z przyszłości zabija żołnierzy z odległości pół kilometra, czy też naturalność, z jaką jej szkocki narzeczony z tych czasów pomaga jej w tym zadaniu. To był dla niego bardzo dziwny i raczej przerażający nowy świat.

Trzask!

- Trzysta metrów w lewo! Przy drzewie! Kapelusze z czerwonym piórem! Trzask!

Kiedy zapadł wieczór, trzystu Finów ruszyło na prawie ukończony most. Zgłosili się na ochotnika za dziesięć dodatkowych talarów. Każdy z nich niósł wiązkę wilgotnej słomy; po jej zapaleniu most i przeciwległy brzeg rzeki pokrył gęsty dym. Pod taką osłoną zakończono budowę mostu i Finowie przejechali na drugi brzeg, gdzie w pośpiechu zaczęli wznosić nowe szańce, które zamieniły cypel w fortecę.

Tilly rozkazał, by jego działa rozpoczęły desperacką próbę zniszczenia nowego bastionu.

Desperacką, gdyż po wielu godzinach ostrzału ze strony Tor-stenssona z katolickiej artylerii niewiele pozostało.

- Niech będą przeklęte te szwedzkie działa! - ryknął. - Są jeszcze gorsze niż te pod Breitenfeld!

W nocy, pod osłoną ciemności, dymu i baterii kawaleryjskich Torstenssona, król przeprowadził swoją armię na cypel.

W ciągu dnia (16 kwietnia) Szwedzi, wykorzystując przewagę liczebną, umocnili się na całym brzegu. Gustawowi Adolfowi udało się sforsować rzekę. Tilly'emu pozostały tylko dwie drogi: wycofać się albo przypuścić ostatni szturm.

Wybrał to drugie. Późnym popołudniem, siedząc na grzbiecie swego białego rumaka, Tilly zjechał z ogłuszającym dudnieniem w dół zbocza. Jego śladem podążyły tysiące kawalerzystów i piechurów.

Walka, która potem rozgorzała, nie trwała długo, lecz wcale nie była łatwa. Gustaw poprowadził swoją kawalerię w kontrnatarciu, a szwedzka piechota w wielu miejscach starła się oko w oko z bawarską piechotą. Gdyby bitwa odbywała się tylko między tymi siłami, Tilly ciągle miałby szansę wygrać.

Ale działa Torstenssona usadowione na drugim brzegu rzeki przez cały czas raziły śmiertelnie ogniem. Wystawieni jak na talerzu ludzie Tilly'ego byli wyrzynani w pień.

- Niech będą przeklęte te szwedzkie działa! - ryknął ponownie Tilly i po raz pierwszy pojawiły się gorzkie wyrzuty sumienia. „Powinienem być posłuchać Wallensteina”.

Była to ostatnia myśl starego generała. Jedna z kul Torstenssona zmiotła mu udo. Jego dzielny rumak zatoczył się pod uderzeniem, ale nie upadł. Nieprzytomny Tilly powoli zsunął się z siodła. Ludzie, którzy to widzieli, mówili później, że wyglądał jak padające drzewo. Jak ogromny, sękaty dąb, który w końcu dotarł do kresu życia.

* * *

Kiedy ludzie Tilly'ego zanieśli go na tyły, dowodzenie przejął Aldringer, ale i on padł w ciągu kilku minut, zraniony w głowę. Siły cesarskie straciły do tej pory już cztery tysiące ludzi, a reszta żołnierzy podupadła na duchu. Kiedy zapadła noc, korzystając z ciemności, wycofali się do umocnionego obozu w pobliżu Dunaju, a następnego dnia armia Tilly'ego pod dowództwem samego elektora zawróciła do Ingolstadt. Maksymilian Bawarski miał już dosyć Gustawa II Adolfa.

- Niech Wallenstein spróbuje się nim zająć - warknął. - Niech czeski bękart upora się z tym szwedzkim bękartem!

* * *

Kiedy Gustaw usłyszał, co się stało z Tillym, wysłał do obozu wroga swojego własnego chirurga.

- Zrób dla starego wszystko, co w twojej mocy - rozkazał.

- Nie będzie tego dużo - stwierdził chirurg - jeśli sędzić po opisie rany. - Jednak posłuchał polecenia króla.

Torstensson nie był tym zachwycony.

- Niech rzeźnik z Magdeburga wykrwawi się na śmierć - warknął. Dzikie oblicza pozostałych szwedzkich oficerów wyrażały podobne uczucia.

t

- To ostatni z rasy - rzekł król. - Wspaniałej rasy, mimo wszystkich popełnionych grzechów. - Po chwili, jak gdyby uderzyła go jakaś nagła myśl, odwrócił się do młodej dziewczyny, która stała kilka metrów z tyłu.

- A ty, pani, co myślisz? - spytał.

- Myślę, że jesteś miłym człowiekiem - odpowiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

- Miłym człowiekiem... - mruknął Gustaw II Adolf, oddalając się. - Miłym człowiekiem. Czy coś takiego mówi się do króla?

Tilly zmarł dwa tygodnie później.

Odszedł ostatni z wielkiego rodu. Teraz inni wysforowali się naprzód, aby rzucić wyzwanie królowi Szwecji. Wallenstein. Wallenstein i jego hyeny.

Część szasta

Gdy rój gwiazd ciskał swoje włócznie Na ziemię, łzami wilżąc jutrznią

I&azbzm1 49

Kardynał Richelieu położył list na ogrodowej ławce i przez kilka minut siedział i patrzył na niego z nienawiścią.

Odkąd 13 sierpnia 1624 roku został mianowany głową Rady Królewskiej, zajmował niezmiennie stanowisko w sprawie francuskiej polityki zagranicznej. Oczywiście oficjalnie wyraził pełne poparcie dla kontrreformacji i ataku na protestantyzm - przynajmniej tyle trzeba było zrobić dla utrzymania poparcia katolickich fanatyków dowodzonych przez kapucyna Ojca Józefa oraz tych, którzy byli zorganizowani w tajnym stowarzyszeniu o nazwie „Towarzystwo Świętego Sakramentu” - jednak pod tą pobożnością krył się prawdziwy cel Richelieu: umocnić Francję. A to oznaczało nauczenie Habsburgów pokory, a w szczególności hiszpańskiej części ich rodu, która była największą potęgą militarną w Europie. „Wszystko na marne...”.

- Czy to prawda, Etienne? - zapytał, nie podnosząc głowy.

Etienne Servien był jednym z kardynalskich intendentów, specjalnych agentów, dzięki którym Richelieu żelazną ręką sprawował władzę we Francji. Oficjalnie intendenci byli

jedynie pomniejszych funkcjonariuszami, mianowanymi bezpośrednio przez koronę, w rzeczywistości jednak byli kardynalską prywatną armią egzekutorów, szpiegów dyktatorów z upoważnienia. Servien właśnie wrócił z przedłużającej się misji. Najpierw był w Wiedniu, później w Brukseli, a po drodze...

- Tak, to prawda - odpowiedział. - Osobiście spędziłem tydzień w Turyngii, kardynale, z tego większość czasu w samym Grantville. To wszystko prawda.

Erie Flint

- Czary?

Servien wzruszył ramionami.

- Według mnie nie, przynajmniej w pomniejszych sprawach. Rozmawiałem z wieloma niemieckimi mieszkańcami i żaden z nich nie wierzy, że to coś więcej niż wspaniałe rzemiosło Amerykanów. Kilku z nich nawet zaczęło się tego rzemiosła uczyć. A co do reszty? Kto wie? Nazywają to „Ognistym Kręgiem”, ale nie wydaje się, żeby ktokolwiek rozumiał, co to było. Ogólnie przyjętym wyjaśnieniem jest boska interwencja.

Spojrzenie kardynała przeniosło się na klomb pełen kwiatów. Piękne. Przez chwilę rozmyślał nad dziełem Boga.

Ale nie za długo. Richelieu wierzył w niewiele rzeczy poza Francją i jej potęgą.

Doprowadzenie do dominacji Francji było jego życiową ambicją; jego wiara również podlegała temu celowi. Niewątpliwie potrzebna jest monarchia absolutna, tak samo jak konformizm religijny. Poza tym...

„Dziełem Boga jest tylko to, co ja nim ogłoszę”.

- To czary - stwierdził. - Po prostu czarna magia. Szpony szatana zacisnęły się dziś na Turyngii.

Servien ukłonił się.

- Jak rozkażesz, kardynale.

Richelieu przebierał palcami po liście. Kusiło go, by go zmiąć i wyrzucić, ale zawsze brał pod uwagę rzeczywistość, bez względu na to, jak mu była wstrętna.

- Dobrze więc - powiedział i wstał, poprawiając wspaniałe szaty kardynalskie. - Przystaniemy na hiszpańską prośbę.

„Żądanie” - pomyślał cierpko.

- Zabierz to srebro do Bernarda Sasko-Weimarskiego, Etienne, i upewnij się, że rozumie warunki swojej nowej służby.

Servien skrzywił się.

- On jest w gorącej wodzie kąpany, kardynale. Jest niesforny. Richelieu niecierpliwie machnął ręką.

- Brakiem dyscypliny księcia sasko-weimarskiego możemy się zająć przy innej okazji. Na razie potrzebuję jedynie, żeby przesunął swe siły tak, aby oddziały hiszpańskie miały otwartą drogę do Turyngii. Świetnie sobie z tym poradzi, nawet jeśli Oxenstierna jest w okolicy. W Niemczech panuje teraz taki chaos, że Bernard może uzasadnić ruch swych oddziałów na sto różnych sposobów.

Kardynał zaczął przemierzać ogród wolnym krokiem. Servien szedł u jego boku.

- Ale nie będzie jak ukryć tercios - zauważył intendent - kiedy będą maszerować przez całą drogę z Niderlandów Hiszpańskich.

Richelieu wzruszył ramionami.

- To właściwie nie ma znaczenia. Z tego, co mówią raporty, podejrzewam, że Hiszpanie i tak zostaną pokonani. Prawdopodobnie to lepiej, że ich nadejście zostanie przewidziane. Odwróć to uwagę od prawdziwego uderzenia.

- Wallenstein się zgodził?

- Tak. Trzy dni temu otrzymałem od niego list. Już niedługo oczekuje starcia ze Szwedami, prawdopodobnie pod Norymbergą. Oblężenie będzie trwać długie miesiące, a to więcej niż potrzeba, żeby mógł użyć dla swych celów Chorwatów.

Grymas powrócił na twarz intendenta.

- Kardynale, ja widziałem te ich zakłady. To, co nazywają „elektrownią”, jest zbudowane jak zamek. Nie ma mowy, żeby kawaleria sobie poradziła, a już na pewno nie w drodze najazdu. Richelieu nieznacznie się uśmiechnął.

- Tym się nie przejmuję. -1 dodał, kręcąc głową: - Za bardzo się martwisz mechanizmami wojny. To nie ma znaczenia. Pieniądze, Etienne - to one są kluczem. Mógłbym ścierpieć króla Szwecji i tę jego nową, wymyślną broń. Mógłbym nawet tolerować nową, bogatą... niewielką republikę w środkowych Niemczech; przecież jesteśmy w stanie żyć z Holendrami. Biorąc pod uwagę czas i to, że pozostawaliby na niewielkim obszarze, wkrótce moglibyśmy ich wchłonać.

Przeszedł kilka kroków, zanim dokończył myśl.

- To, czego nie mogę tolerować, to szwedzka potęga w środkowej Europie i fakt, że ma finansowe wsparcie. Biedna Szwecja nigdy nie będzie niebezpieczna - może być groźna, ale nie niebezpieczna - natomiast bogata Szwecja - bogata przez związek z tymi dziwnymi Stanami Zjednoczonymi - to zupełnie inna kwestia. Lepsza już jest potężna dynastia Habsburgów, gdyż przynajmniej zawsze można liczyć na ich brak jedności.

Przerwał nagle i z gniewną miną spojrzał na Bogu ducha winny krzew róży.

- Nie mogę ruszyć Abrabanelów w Turcji ani, jak pewnie wiesz, tych w Wiedniu.

Servien skinął głową. To była część jego niedawnej misji: przekonać Ferdynanda II, żeby pozbył się Żydów ze swego dworu i kazał stracić Abrabanelów, jednak intendentowi nie udało się tego dokonać.

Mimo to w słowach kardynała nie było potępienia. Richelieu nie oczekiwał, że cesarz z rodu Habsburgów zniszczy Żydów na swym dworze w samym środku wojny, a już na pewno nie za namową swego francuskiego wroga.

- Może uda mi się wyeliminować włoską część ich rodziny - ciągnął dalej kardynał. - Trudno powiedzieć, szczególnie w kwestii Wenecjan, ale oni, tak czy inaczej, są najmniej ważni.

Kluczem do sukcesu jest zniszczenie ich w Tu-

T

380

tiric Flint

Intendent ponownie zaczął coś mówić (sądząc z wyrazu jego twarzy, miał to być kolejny sprzeciw), ale kardynał uciszył go ruchem dłoni.

- Tak, tak, wiem, że Chorwaci nie będą w stanie ich wszystkich zabić, zwłaszcza w tak krótkim czasie, ale to nie ma znaczenia. Zniszczą to miejsce tak, że jeśli nawet jacyś Abrabanelowie przeżyją, wkrótce przeniosą swoje interesy gdzie indziej. -Jego wąskie usta stały się jeszcze węższe. -Żydzi, rozumiesz...

- Połowa tych zachłannych Niemców też się spakuje - wszedł mu w słowo Servien. -

Przynajmniej połowa. Kupcy. Rzemieślnicy. Jak szczury uciekające z płonącego spichlerza.

- Tak. - Richelieu pochylił się i powąchał róże. - Tak.

- Jednak nadal pozostaną problemy z Hiszpanami - mruknął Servien. -Sami ich wpuścimy do Niemiec.

- Proszę, Etienne! - Kardynał ciągle wachał róże. - Daj mi chwilę, by cieszyć się dziełem Boga, zanim zepsujesz mi resztę dnia.

Kilka tygodni później Wallenstein przebywający w umocnionym obozie pod Norymbergą zmiął otrzymany przed chwilą list.

- Idiota - syknął i cisnął go w ogień. Ogień buzujący w ogromnym kominku (jak zawsze Wallenstein przywłaszczył sobie największą posiadłość w okolicy) pochłoniął list w ułamku sekundy.

Głównodowodzący armii cesarskiej stali daleko od kominka, jednak wystarczająco blisko, żeby go słyszeć. Był gorący lipcowy wieczór i płomienie dawały się we znaki, jednak Wallenstein nalegał, żeby ogień palił się bez względu na porę roku.

- Idiota - powtórzył Wallenstein. Założył ręce za plecami i popatrzył uważnie na swych oficerów. Jego następne słowa wiernie naśladowały okrutny i śpiewny ton głosu kardynała. - Zabić wszystkich Żydów w mieście.

Piccolomini parsknął śmiechem.

- Ha! Łatwo powiedzieć... kardynałowi! Co ten dupek sobie myśli? Że mamy do czynienia z nieuzbrojonymi cywilami?

Stojący obok niego generał Sparre uśmiechnął się szyderczo.

- I jak, w imię Pana, Chorwaci mają ich znaleźć? - spytał. - Szczególnie w tym groteskowym miejscu! Odczytać znaki drogowe? Te ciemne sukinsyny nie umieją czytać!

- Nawet gdyby umieli, i tak nie miałyby to znaczenia - mruknął generał Gallas i wzruszył potężnymi ramionami, co wyglądało, jakby odganiał jakieś owady. - Czy Richelieu poważnie myśli, że można rozkazać Chorwatowi, by zabijał wybiórczo? - Parsknął. - Może oszczędzą psy, chociaż prawdopodobnie nie. Przecież Żydzi są dla nich psami; spytaj któregoś z Chorwata.

Rozległ się głośny śmiech. Wiszące na ścianach salonu ogromne portrety -poślednie mimo rozmiarów i wspaniałych ram - patrzyły w dół z dezaprobatą.

Było to dosyć dziwne. Mało prominentna linia pomniejszych baronów, którzy (nie z własnej woli) oddali posiadłość swych przodków Wallensteinowi, była znana z braku okrziesania.

Tacy ludzie niemal zawsze marszczą czoło, kiedy pozują prowincjonalnemu artyście.

Zapewne próbują w ten sposób imitować dostojeństwo albo powstrzymać problemy z pęcherzem.

Wallenstein podszedł zdecydowanym krokiem do stołu, który stał pośrodku salonu. Zupełnie nie pasował do innych mebli. Był to duży, ciężki stół kuchenny, który żołnierze z trudem wnieśli do salonu w dniu przejęcia posiadłości. Krzesła i kanapy, które już się tam znajdowały, były delikatnymi, wyszukanymi meblami importowanymi z Wiednia. Po tym jak oficerowie Wallensteina przez ostatnich kilka dni kopali je i wlewali na nie wino, nie były już takie wyszukane.

Za to stół okazał się wystarczająco solidny, by utrzymać kawaleryjskie buty, dzbany oraz ogromną mapę, która zajmowała większą część blatu.

Wallenstein oparł się o stół i nachylił nad mapą. Po minucie wyciągnął swój długi, kościsty palec i wskazał jakieś miejsce.

- Tutaj pokaz siły.

To miało być zadanie dla Piccolominiego. Włoski generał pochylił się i przyjrzał wskazanemu terenowi.

- Jeśli to ma być tylko pokaz siły, to w porządku. Jeżeli cokolwiek więcej... Wallenstein pokręcił głową.

- Nie jestem kardynałem, który uważa, że wojnę da się po prostu przeliczyć na monety. On może nie zwracać uwagi na raporty, ja muszę je brać pod uwagę. Wszystkie armie, które zaatakowały wprost Amerykanów, zostały złamane jak spróchniałe gałązki. A raporty pochodziły od weteranów Tilly'ego, a nie od bandy śmierdzących mnichów i klechów. -

Znowu spojrzął na mapę. - Nie oczekuję, że opanujesz Suhl. To ma być tylko pozorowany atak, który zajmie część ich sił.

Generałowie zgromadzeni wokół stołu odetchnęli. Jednym z ważniejszych powodów, dla których Wallenstein stał się najbardziej znaczącą postacią w środowisku wojskowym, było oddanie jego ludzi. A miał je głównie dlatego, że nie żądał rzeczy niemożliwych. Wszyscy oficerowie osobiście słyszeli raporty. Stalowe pojazdy nie do przebiccia i żadnych koni, które

można by zabić. Nedorzeczna szybkość strzału. Broń zabijająca bezbłędnie z odległości pół kilometra. Nawet taka, z której kule wylewają się jak z rynny.

- Tylko pokaz siły - powtórzył Wallenstein i rzucił Piccolominiemu ostre spojrzenie. - Mówię o wiarygodnym pokazie siły, rozumiesz? Nabiorą podejrzeń, jeśli w ogóle nie dojdzie do starcia. Musi być spora liczba ofiar.

Piccolomini wzruszył ramionami.

- Mogę poświęcić parę setek tych szwabskich skurwysynów. Odkąd tu przybyli, są jak wrzód na dupie. Można im upuścić trochę krwi.

(

Trzymając prawy palec wskazujący na Suhl, Wallenstein przesunął lewy na zachód, dotykając miejsca oznaczonego Eisenach.

- Hiszpanom powinno się udać przejąć Eisenach. A jeśli im się nie uda, mogą się wycofać do zamku Wartburg.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że Amerykanie nie umieścili w tym miejscu garnizonu - prychnął generał Gallas. - Mimo że Wartburg jest stary, ciągle jest najpotężniejszym zamkiem w Turyngii. Idioci.

Wallenstein pokręcił głową.

- Obawiam się, że jestem innego zdania. Jeśli Stany Zjednoczone nie mają tam garnizonu, jest oczywiste, że mają ku temu powód. Sądzę, że byłoby głupotą przypuszczać, że takowym jest jedynie ich brak kompetencji.

- Prawdopodobnie brakuje im oddziałów - myślał na głos Piccolomini. - Wszyscy szpiegzy, których tam wysłaliśmy, donoszą, że utrzymują tylko niewielką stałą armię. - Teraz on prychnął. - To kupcy, bankierzy i, Boże dopomóż, rzemieślnicy. Oto kim są, nikim więcej. Nie obchodzi mnie, jak bardzo wyszukaną mają broń. Oni nie myślą jak żołnierze.

Wallenstein wstał i wyprostował się. Był wysokim, bardzo szczupłym człowiekiem. Teraz w wieku czterdziestu ośmiu lat jego ciemne włosy przerzedziły się i powstały zakola. Długi, wydatny nos równoważyły wysokie kości policzkowe, a cienkie wąsy i hiszpańska bródka przysłaniały nieco usta o bardzo grubej dolnej wardze, sugerującej nieprawe pochodzenie z rodu Habsburgów. Jego groźna twarz nie wyrażała żadnych uczuć, cała postać zaś odpowiadała powszechnemu wyobrażeniu Mefistofelesa.

- Ja też nie myślę jak żołnierz - powiedział chłodno. Jego ciemne oczy przyglądały się uważnie otaczającym go oficerom. - To dlatego wy pracujecie dla mnie, a nie ja dla was. Oficerowie nie obruszyli się na tę kąśliwą uwagę, częściowo dlatego, że była to prawda, jednak głównie z tego powodu, że obruszenie się na Wallensteina było niebezpieczne. Czeski generał (choć lepszym określeniem było „żołnierz kontraktowy”) tolerował dyskusje, argumenty, a nawet kłótnie, odrzucał natomiast oficerów, którzy nie byli w stanie zaakceptować jego władzy. I jeśli chodzi o „odrzucanie”, Wallenstein również nie myślał jak żołnierz. Człowiek ten miał duszę zabójcy, a nie osoby, która się pojedynkuje.

- To nie ma znaczenia - stwierdził z mocą. - Jakikolwiek jest prawdziwy powód - brak kompetencji, brak ludzi czy też, jak przypuszczam, fakt, że Amerykanie wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy - to i tak przekonają się o tym Hiszpanie, a nie my.

Oficerowie - najemnicy, którzy mieli nadzieję zebrać zapłatę za to, za co inni umrą- pokiwali zgodnie głowami.

Wallenstein ponownie nachylił się nad stołem i rozstawił szeroko dwa wskazujące palce.

x

- Hiszpanie w dużej liczbie w Eisenach. Piccolomini tutaj, wiarygodny pokaz siły w Suhl. To powinno wystarczyć, żeby odciągnąć znaczną część wojsk przeciwnika. A wtedy...

Uderzył kantem dłoni w mapę.

- Chorwaci. Przez sam środek lasu. Myśliwi, których wynajęliśmy, zapewniają mnie, że jest tam dobry szlak, który przechodzi przez niezamieszkały teren. Chorwaci powinni dojść na

dobrą do ataku odległość, zanim ktoś ich zauważy. I nikt nie stawia im czoła poza siłami porządkowymi w mieście.

Sięgnął po mniejszą mapę i rozłożył ją tak, że zakryła tę większą.

- Tutaj - powiedział, wskazując palcem i spojrzawszy w kierunku Gallasa, który był dowódcą chorwackiej lekkiej kawalerii. - Główne uderzenie ma nastąpić tutaj.

Gallas przyjrzał się miejscu zaznaczonemu na mapie. Była to bardzo dokładna mapa miasteczka (teraz właściwie miasta) zwanego Grantville, która powstała na podstawie tuzinów raportów otrzymanych w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Gallas lekko się skrzywił.

- Nie samo miasto?

Wallenstein zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Oczywiście dopilnuj, żeby pokaźna grupa kawalerzystów spustoszyła miasto najlepiej jak potrafi. - Zaśmiał się. - Jeśli zaszlachtują paru Żydów, tym lepiej, jednak główne uderzenie ma nastąpić tutaj.

Odsunął się od stołu i wyprostował.

- Kardynał Richelieu może sobie paplać ile chce o pieniądzach, bankierach i żydowskich czarownikach. To miejsce jest sercem Stanów Zjednoczonych. Doszedłem do tego wniosku po dokładnym przestudiowaniu wszystkich raportów. To tutaj nowy wąż ma legowisko i tutaj wylęga się jego potomstwo.

Ponownie wskazał swoim diabelskim palcem miejsce na mapie.

- Zrównajcie to miejsce z ziemią. Zabijcie wszystkich, nawet psy, jeśli jakieś znajdziecie. Jego śmiech był równie nieprzyjemny jak śmiech jego oficerów.

- Kto wie, może to będzie przebrany Żyd?

yt&eto&d 50

- Nie podoba mi się to - warknął cicho Gustaw Adolf i pstryknął palcami w list, który trzymał w dłoni.

Uniósł wzrok na Torstenssona.

- Lennarcie, czy jesteś w stanie wymyślić jakiś wiarygodny powód, dla którego Bernard wykonuje takie manewry? Tak daleko na południu?

Młody generał artylerii chciał już rzucić jakąś żartobliwą uwagę w stylu „chce podziwiać swe odbicie w Jeziorze Genewskim”, ale się powstrzymał; czuł, że król jest poważnie zaniepokojony. Kiwnął głową w stronę listu, który Gustaw trzymał w dłoni.

- Axel ma jakieś sugestie? Król pokręcił głową.

- Nie, ale widzę, że jest zmartwiony.

Stali na murach reduty, którą Szwedzi zbudowali w miejscu, gdzie rzeka Rednitz wpływa do Norymbergi. Torstensson odwrócił się i spojrzawszy na północny zachód. Król zrobił to samo.

Obydwaj próbowali sobie wyobrazić teren Nadrenii. „O co może chodzić Bernardowi Sasko-Weimarskiemu?”. Nie było żadnego logicznego wytłumaczenia faktu, że przeniósł swoje oddziały tak daleko na południe, aż pod samą Kolonię.

Norymberga została otoczona ogromnym kompleksem fortyfikacji, które wzniesiono w pośpiechu w ciągu ostatniego miesiąca.

3 lipca, od razu po wejściu do miasta, Gustaw zapędził jego mieszkańców do pracy przy budowie umocnień. Nikt z nich jednak nie narzekał; Norymberga

sprzymierzyła się z królem Szwecji, a jej mieszkańcy byli niemal w ekstazie, widząc, że Gustaw dotrzymuje obietnicy: „Norymberga nie będzie jeszcze jednym Magdeburgiem”.

Gustaw Adolf nie przybył ani chwili za wcześnie. Ogromna armia, którą Wallenstein zebrał w Czechach, maszerowała już na miasto. Liczyła sześćdziesiąt tysięcy ludzi; były to największe siły, jakie zgromadzono pod gołym niebem w trakcie trwania tej długiej i brutalnej wojny.

Bawarskie oddziały Tilly'ego - być może kolejnych dwadzieścia tysięcy ludzi - będące pod bezpośrednim dowództwem elektora Maksymiliana, maszerowały, aby się z nim połączyć.

Pappenheim, którego Czarni Kirasjerzy spędzili wiosnę i wczesne lato w Westfalii, podobno też miał wrócić. Droga, którą miał wracać, nie była znana, ale Szwedzi zakładali, że wykorzysta on fakt, że Gustaw wycofał się do Norymbergi, i przemaszeruje przez Frankonię. Gdyby tak się stało, Norymberga byłaby zagrożona z trzech stron: przez Wallensteina z północnego wschodu, Maksymiliana z południa i Pappenheima z zachodu. Armia licząca sto tysięcy ludzi mogła zgotować Norymberdze taki sam los, jaki spotkał Magdeburg. Podczas gdy mieszkańcy miasta gorączkowo wznosili fortyfikacje pod kierunkiem szwedzkiego inżyniera, Hansa Olafa, Gustaw ponownie wyruszył ze swoją armią w pole, żeby jak najbardziej opóźnić nadejście wroga i zyskać czas dla Norymbergi. Jednak 10 lipca pod Neumarkt siły bawarskie i cesarskie w końcu się połączyły.

Mimo że Gustaw miał teraz cztery razy mniej ludzi, nie przestawał rzucać Wallensteinowi wyzwania do spotkania się z nim w otwartym polu. Ale Wallenstein odmawiał; ten czeski żołnierz kontraktowy wolał pewniejsze (mimo że bardziej długotrwałe) metody oblężnicze. Stopniowo, pewnie i nieubłagane jego ogromna armia zajęła pozycje zagrażające miastu, jednak do tego czasu gorączkowo pracującym ludziom udało się wznieść wokół Norymbergi nowy mur, który zastąpił wewnętrzne mury miasta. Linia obrony, która została wzniesiona w pośpiechu, ale za to była dobrze zaprojektowana, okazała się zbyt długa nawet dla Wallensteina.

Tak więc Czech został zmuszony do oblegania Norymbergi w czymś, co można by nazwać „konkurencyjnym miastem”. Przez resztę lipca ludzie Wallensteina pracowali nad budową nowego gigantycznego obozu, położonego kilka kilometrów na południowy zachód od miasta. Wykorzystując rzekę Bi-bert jako główne źródło wody, Wallenstein wznosił obwarowania, których obwód wynosił około dwudziestu kilometrów. Najmocniejszym punktem tych obwarowań było znajdujące się na północy zalesione wzgórze, zwane Burgstall, które wznosiło się dokładnie naprzeciwko stanowisk Szwedów, na wysokości około siedemdziesięciu pięciu metrów nad poziomem rzeki Rednitz. Przepływała ona u podnóża jego wschodniego zbocza i służyła jako fosa. Na szczycie zalesionego wzgórza znajdowały się ruiny prastarego zamku Alte Feste. Wallenstein zamienił Alte Feste i cały Burgstall w fortecę.

Od czasu do czasu Gustaw urządzał wypadki z Norymbergi, próbując sprowokować Wallensteina do otwartej bitwy, ale ten odmawiał.

- Wystarczająco dużo już walczyliśmy - mówił swym generałom. - Pokażę im inny sposób zwyciężania.

Wallenstein był wyjątkowo bezwzględny, a jego metoda prosta. Głód i choroby wkrótce dotkną obydwie armie. Ludzie będą umierać tysiącami, a później dziesiątkami tysięcy... a on ma dużo więcej żołnierzy niż król Szwecji.

- Zdrada - wyszeptał Gustaw. - To może być tylko zdrada. Torstensson zmarszczył czoło. To prawda, nie znosił młodszego księcia sasko-weimarskiego, ale zdrada!

- Nie widzę... - Młody generał zawahał się. - Obawiam się, że nie widzę w tym żadnej logiki, Wasza Wysokość. - Wskazał na zachód. - To prawda, że Bernard zostawił otwarte drzwi dla Hiszpanów, jeśli zdecydowałiby się przez nie przejść, ale jeśli nawet taki jest jego cel, o co w tym wszystkim chodzi? Dolny Palatynat ciągle jest zablokowany. Jeśli hiszpańska armia chciałaby nam zagrozić, musiałaby... - Nagle zatrzymał się i otworzył szeroko oczy.

- Przasmaszerować przez Turyngię - dokończył ponuro król. - To oczywiście byłaby niesamowicie okrężna droga do Norymbergi. A jeśli nie mają zamiaru iść tak daleko? Jeśli ich celem nie jest przejście przez Turyngię, ale po prostu jej zaatakowanie?

Torstensson odwrócił głowę i popatrzył teraz na północ.

- Być może - rzekł. - To by przynajmniej jakoś tłumaczyło manewry Bernarda, zakładając, że dopuszcza się zdrady. - Zmrużył oczy. - Ale jeśli nawet tak jest, po co to wszystko?

Generała artylerii wzruszył z rozdrażnieniem ramionami.

- Nigdy nie widziałem Amerykanów w akcji, ale sądząc po raportach, które dostaliśmy - słyszałem też różne rzeczy od samego Mackaya - są w stanie zmiażdżyć każdą armię, która ich bezpośrednio zaatakuje, zwłaszcza te ograniczone hiszpańskie tercios.

- Tak, ale zadaj sobie pytanie, Lennarcie: czy ktokolwiek powiedział o tym Hiszpanom? - parsknął król.

W tym momencie oczy Torstenssona stały się wielkie jak spodki. Tak jak wszyscy szwedzcy głównodowodzący, był wtajemniczony w zawiłe manewry dyplomatyczne, w które jego król musiał się angażować przez ostatnie dwa lata.

- Richelieu - mruknął.

- Najprawdopodobniej tak - przytaknął Gustaw. - Richelieu ma wystarczające pieniądze i poparcie, żeby zaproponować Bernardowi wyjątkową zapłatę za zmianę frontu. Prawdopodobnie Alzację w zamian za jego ukochaną Turyngię. Albo Lotaryngię. Słowo szepnięte Hiszpanom, którzy od lat marzą o tym, żeby dostać się pod jakimkolwiek pretekstem na teren Niemiec, no i mamy. Otwarta droga dla armii hiszpańskiej z Niderlandów, żeby uderzyć na Turyngię.

- Ale przecież odkąd Richelieu objął stanowisko, próbował trzymać Hiszpanów z dala od Niemiec - zaprotestował Torstensson. Jednak jego protest był słaby; bystry generał artylerii już rozgryzł logikę takiego postępowania.

- To prawda, że wrogość wobec Hiszpanów była podstawą jego polityki zagranicznej, ale teraz twoja, panie, pozycja w środkowej Europie stała się tak mocna, że kardynał musi myśleć o stworzeniu przeciwwagi.

- Właśnie. A teraz zadaj sobie pytanie, dlaczego moja pozycja stała się tak mocna? - Gustaw machnął lekceważąco dłonią. - Nie chodzi o moją armię Richelieu jest człowiekiem pieniędzy, a nie żołnierzem, i w jego mniemaniu to sztaby złota rządzą światem. Torstensson zaczął energicznie pocierać brodę.

- Tak. Turyngia jest kluczem do wszystkiego. Dopóki Amerykanie trzymają ją silną ręką, mamy bezpieczną bazę logistyczną i godne zaufania źródło pieniędzy. Dzięki temu jesteśmy zupełnie niezależni od innych. - Zaciął usta. - A właściwie to będziemy. Minie kilka miesięcy, zanim wszystko się ustabilizuje. Jeśli jednak jest ktoś, kto myśli przyszłościowo, to jest to Richelieu.

Opuścił rękę i spojrzał królowi w twarz.

- Ciągle jednak nie rozumiem, co Richelieu ma nadzieję osiągnąć. Chyba że po prostu chce zobaczyć, jak armia hiszpańska zostaje rozbita.

Gustaw uśmiechnął się ponuro.

- To na pewno nie spędziłoby mu snu z powiek. - Król wzruszył ramionami. - Sam nie rozumiem ukrytej w tym logiki, Lennarcie, ale czuję, że coś się święci.

Zamilkł na kilka chwil, a potem na jego twarzy zaczął się błąkać szelmowski uśmiech. Jego niebieskie oczy wydawały się iskrzyć.

- Uważam, że powinniśmy wysłać do Turyngii niewielką wyprawę, żeby się tego dowiedziała. - Podparł się pod boki i uśmiechając się, powiedział: -

1 dobrze wiem, kto powinien ją poprowadzić.

Torstensson zmarszczył brwi.

- Kto? Jeden ze szkockich pułkowników? A może... - W końcu dotarło do niego znaczenie szelmowskiego błysku w królewskim oku. Wytrzeszczył oczy. - Chyba nie...

- Właśnie on! - wykrzyknął wesoło król. - Kapitan Gars! -1 klasnął w dłonie. - Zapewniam cię, że on również będzie tym zachwycony. Ma tak samo dość tego nieszczęsnego oblężenia jak ja. I ma mnóstwo czasu, żeby tam pojechać i wrócić, zanim cokolwiek się wydarzy.

Król spojrzał z groźną miną na odległy Burgstall.

- Wiesz równie dobrze jak ja, Lennarcie, że Wallenstein nie ma zamiaru dać mi satysfakcji w bitwie. Ten pajak zamierza tak siedzieć -jeśli trzeba, to nawet miesiącami - a tymczasem inni wokół niego będą umierać.

Ponownie klasnął w dłonie.

- Tak! Mamy mnóstwo czasu, żeby kapitan Gars wykonał zadanie. Nawet więcej niż trzeba.

- Wasza Wysokość - zaprotestował Torstensson. - Od wielu lat nie wykorzystywałeś kapitana Garsa do takich zadań!

Król odwzajemnił mu się srogim spojrzeniem.

- Co? Czyżbyś mu nie ufał? Torstensson zerwał się zaskoczony. -No... nie. Oczywiście, że nie!

- A więc załatwione! - Król klepnął Torstenssona serdecznie po ramieniu. - Załatwione!

Jedzie kapitan Gars.

Po podjęciu decyzji Gustaw zaczął natychmiast działać.

- Słyszałeś? - zwrócił się do swego osobistego strażnika, Andersa Jónssona. Jónsson skinął powściągliwie głową.

- Zorganizuj dla kapitana Garsa oddział kawalerii, Andersie, i to dobry. Jak wiesz, kapitan ma słabość do Ydstgöta. I dopilnuj, żeby miał dużo Finów i trochę Lapończyków.

Gustaw uśmiechnął się radośnie.

- Wydaje mi się, że również ciebie przydzielę kapitanowi, Andersie. - Machnął potężną dłonią w kierunku Norymbergi. - Tam, między tymi wspaniałymi fortyfikacjami, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, czyż nie?

Jónsson pokręcił lekko głową.

- To wspaniale - powiedział król i ruszył bardzo energicznym krokiem w kierunku schodów prowadzących w dół reducy. Wydawało się, że niemal podskakuje z entuzjazmu.

- Kapitan Gars będzie zachwycony! - rzucił jeszcze przez ramię. Kiedy zniknął, Jónsson i Torstensson spojrzeli po sobie.

- Kapitan Gars - wymamrotał Jónsson. - Wspaniale.

Na twarzy Torstenssona widać było zarówno troskę, jak i rozbawienie.

- Zajmij się nim, Andersie, dobrze? Odpowiedź była powściągliwa.

- Tym szaleńcem? To niemożliwe.

piązbzml 51

- Heinrich, co oni, do cholery, robią? - spytał Tom Simpson. Potężny amerykański kapitan wyteżał wzrok, patrząc ponad murkiem, który został wzniesiony w poprzek drogi prowadzącej do Suhl z południa. Zbudowane w pośpiechu umocnienia połowe zostały umieszczone na północnym skraju dużej łąki. Miała ona około dwustu metrów długości i trochę mniej szerokości. Przez jej środek przebiegał niewielki strumień, który przecinał drogę.

Oficer dowodzący wzruszył ramionami. Z szyi Heinricha zwisała lornetka, ale jej nie używał. Najemnicy wchodzili już na łąkę i byli w zasięgu wzroku.

Tom uniósł swoją lornetkę i uważnie przyjrzał się łące, a potem popatrzył na lasy porastające odległe wzgórza.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

Heinrich uśmiechnął się. Jeśli mógł mieć jakieś zawodowe zarzuty wobec tego niedoświadczonego młodszego rangą oficera, to tylko takie, że Tom obstawał przy znajdowaniu problemów tam, gdzie w większości przypadków wcale ich nie było.

- Zbyt dużo futbolu - mruknął.

Tom opuścił lornetkę i spojrzał na niego podejrzliwie.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, mój przyjacielu, że ciągle ci się wydaje, że jesteś na boisku. I że stawiasz czoła przeciwnikom, którzy wprowadzają w życie taktyczne zagrania.

Poza słowami „boisko” i „taktyczne zagrania” Heinrich wypowiedział te zdania po niemiecku, co sprawiło, że dwa angielskie wyrazy zabrzmiały wyjątkowo niedorzecznie - i Heinrichowi dokładnie o to chodziło.

390

Erie Flint

- A co ty wiesz o taktycznych zagraniach? - parsknął Tom. - Za każdym razem, kiedy próbowałem ci wyjaśnić zasady gry w futbol, albo zasypiałeś, albo zamawiałeś kolejne piwo. Tom również mówił teraz po niemiecku. Jego znajomość tego języka była coraz lepsza. Nie można powiedzieć -jeszcze nie - że mówił płynnie, ale był już w stanie wziąć udział w każdej rozmowie.

- To dlatego, że to wszystko jest zbyt zawile - odciął się Heinrich. Zaczął poruszać dłońmi zygzakami tam i z powrotem. - Ten idzie tędy, tamten idzie tędy... -jego palec wskazujący zakręcił młynek - tamten biega w kółko, żeby zmylić przeciwnika. To cud, że nie padacie na ziemię z zawrotem głowy.

Tom uśmiechnął się szeroko.

- To nie mój problem. Ja biegam tylko przed siebie, wprost na faceta naprzeciwko.

- To wspaniale! - wykrzyknął Heinrich i klepnął Toma po ramieniu, a potem wskazał na łąkę.

- Nie powinienes więc mieć żadnych problemów z tym. Oni idą prosto na nas, a my mamy ich powalić. Co tu jest do rozumienia?

Uśmiech Toma zniknął i pojawiło się podejrzliwe spojrzenie.

- Niech to diabli, Heinrich, to nie ma sensu! Do tej pory musieli się już dowiedzieć...

- Wcale nie musieli! - przerwał mu Heinrich. - Tom, posłuchaj mnie. Nie masz żadnego doświadczenia z zaciężnymi armiami. Ci ludzie... - spojrzał na łąkę - prawdopodobnie nie mieli żadnego kontaktu z Tillym. A jeśli nawet mieli, zignorowali wszystko, co ten głupi Bawarczyk miał im do powiedzenia.

Widząc, że Tom nie jest przekonany, Heinrich zaśmiał się cicho i wskazał brodą na lasy ciągnące się na skraju łąki.

- Sądzisz, że w lesie są ukryci kawalerzyści, którzy czekają na odpowiedni moment, żeby stamtąd zaatakować?

Tom nadal się wahał. Heinrich uśmiechnął się.

- Podwójna zmiana kierunku. Tak to nazywacie?

- W porządku - mruknął Amerykanin. - Może masz rację. Wkrótce się przekonamy.

Zaczynają się przeprawiać przez strumień.

Heinrich przyjrzał się uważnie wrogowi.

- Wydaje mi się, że to Szwabowie. Żałosne, niedouczzone sukinsyny.

- Każdy z nich jest taki?

- Każdy Szwab, który kiedykolwiek się narodził - nadeszła stanowcza odpowiedź. - Pamiętaj, że jestem z Górnego Palatynatu.

- Tak jakbyś mi już tego nie mówił wystarczająco wiele razy. Jednak to zabawne. - Grube brwi Toma uniosły się. - Niedawno rozmawiałem z West-falczykiem, a on przysięga, że każdy z Palatynatu, Górnego czy Dolnego, jest, jak to ujął „urodzonym...”.

- Westfalczycy! -prychnął Heinrich. -Nie można wierzyć w ani jedno ich słowo. To sukinsyny, wszyscy razem i każdy z osobna.

Tom już chciał rzucić w odpowiedzi jakiś żart, ale dostrzegł, mimo swobodnego zachowania Heinricha, jak ten nagle zmrużył oczy. W trakcie przekomarzania się niemiecki weteran nie spuszczał wzroku z wroga. Tom zazdrościł mu swobody i opanowania, on sam był napięty jak struna.

- Siedemdziesiąt metrów - mruknął Heinrich i uniósł do ust wiszącą na jego szyi gwizdek.

Zanim jednak zagwizdał, rzucił Tomowi chytry uśmieszek.

- Jak wy to mówicie? Ach tak, zagrajmy.

I zagwizdał. Chwilę później trzystu żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych podniosło się z murku i zaczęło pakować w przeciwnika naboje.

* * *

Pięć minut później ostrzał się skończył. Na twarz Heinricha powrócił chytry uśmieszek.

- Jak wy to nazywacie? Wydaje mi się, że „kogoś dojechać”.

Tom nie odpowiedział. Nie podzielał dobrego humoru Niemca. W przeciwieństwie do Heinricha, nie był weteranem dziesiątek bitew, wbił więc wzrok w uciekających żołnierzy, żeby nie patrzeć na ciała leżące na dziewiczej łące albo na śliczny strumyk, który nagle zrobił się czerwony.

- Dlaczego oni to zrobili? - wyszeptał. Jego spojrzenie ponownie powędrowało w stronę lasu.

- Powinni byli mieć kawalerię. Spróbować ataku z boku albo coś...

- To Szwabowie. Czego można od nich oczekiwać? - padła odpowiedź.

* * *

Tak się złożyło, że w tych lasach byli konni, jednak nie kawaleria Wallen-steina, a Lapończycy w służbie króla Szwecji. Gustaw Adolf uważał, że Lapończycy to najlepsi zwiadowcy w Europie.

I prawdopodobnie miał rację.

Fin, który dowodził grupą lapońskich zwiadowców, powściągnął konia.

- To ciekawe - powiedział. - Chodźmy, kapitan Gars na pewno chciałby o tym wiedzieć.

Kapitan Gars podniósł się w strzemionach i nasłuchiwał, czy dotrą do niego odgłosy wystrzałów z północy. Nie dotarły jednak, a strzały, które słyszał wcześniej, nie trwały dłużej niż kilka minut.

- Ilu? - spytał szorstko.

Fiński zwiadowca machnął dłonią.

- Szwabowie to może dwa tysiące. A druga strona? - Wzruszył ramionami. - Kilka setek, nie więcej. Trudno powiedzieć, walczą z ukrycia. ~J

Ostatnie zdanie, wykrzyknięte w akcentowanym z wiejska fińskim, było pełne aprobaty.

Zwiadowca, jak większość Finów i Lapończyków, uważał, że

392 Enclint

„cywilizowane” metody walki (strzelanie praktycznie oko w oko) to najpewniejszy znak, że cywilizacja wcale nie jest tak wspańska, jak mówiono.

- Sprytni ludzie ci Amerykanie - zakończył z szerokim uśmiechem.

- Więc już się skończyło? - spytał kapitan Gars.

- To była rzeź - parsknął Fin. - Gdyby Szwabowie mieli odrobinę rozumu, uciekliby już po pierwszej minucie.

- A więc nie ma szans, żeby zajęli Suhl?

Jedyną odpowiedzią zwiadowcy był szyderczy uśmieszek.

- Tak więc nie mamy po co się wtrącać. Ale ci drudzy...

Obrócił swe potężne ciało w siodle i spojrzał w kierunku niewielkiej grupy lapońskich zwiadowców.

- Mówicie, że dwa tysiące? - Tak samo jak w rozmowie z Finem, tak i teraz kapitan mówił po fińsku; niewielu Lapończyków znało inny język poza ojczystym.

Dowódca zwiadowców skrzywił się.

- Zgadujemy, kapitanie, gdyż jadą wąskim szlakiem, po ugniecionej ziemi. Musi być ze dwa tysiące, a może więcej.

- Jesteście pewni, że to Chorwaci? Lapończyk ponownie się skrzywił.

- Zgadujemy. Ale kto inny? To dobrzy jeźdźcy.

Kapitan Gars wyteżył wzrok, patrząc na północny wschód, gdzie Las Tu-ryński tworzył gęstą zasłonę. Według raportów Lapończyków był w większości niezamieszkały. Lekka kawaleria mogła się poruszać po takim terenie niezauważona, o ile miała wystarczająco dużo

zaopatrzenia. Lapończycy dostrzegli tam szlak, i jeśli ich ocena była słuszna - a kapitan Gars uważał, że Lapończycy są najlepszymi tropicielami w Europie - duża grupa kawalerii oderwała się od armii, która maszerowała na Suhl, i skręciła na wschód od drogi.

Chorwacka lekka kawaleria była naprawdę dobra, najlepsza w całej cesarskiej armii. Kapitan Gars doszedł do wniosku, że Lapończyk najprawdopodobniej ma rację. W przeciwnym przypadku kto by to mógł być?

Kapitan nie znał zbyt dobrze tej części Lasu Turyńskiego, ale biorąc pod uwagę trudność terenu, szacował, że tak wielka grupa kawalerzystów może przebyć te niskie góry w ciągu dwóch, trzech dni. Patrząc w linii prostej, serce południowo-wschodniej Turynii znajdowało się nie dalej niż sześćdziesiąt kilometrów stąd.

Chorwaci mogli także próbować dotrzeć do Saalfeld, gdyby odbili bardziej na wschód, jednak kapitan nie sądził, żeby tam podążali, mając dużo łatwiejszą drogę z przeciwnego kierunku, zgodnie z biegiem Soławy. Skoro armia króla Szwecji znajduje się w Norymberdze, nic nie stoi na przeszkodzie, aby Wallenstein wysłał swoją armię bezpośrednio na Saalfeld.

Był więc tylko jeden logiczny powód, dla którego duży oddział kawalerii mógł jechać tą trasą.

- Planują zaatakować z zaskoczenia Grantville - stwierdził. - Poważny najazd kawalerii, ale nie po to, żeby podbić, ale żeby po prostu zniszczyć.

Anders Jónsson, który siedział na koniu obok kapitana, westchnął ciężko. Już wcześniej doszedł to tego samego wniosku, i co gorsza, wiedział, co postanowi kapitan Gars.

- Pojedziemy za nimi. - Te słowa wydawały się wyryte w granicie. Anders spróbował odwołać się do rozsądku kapitana.

- Lapończyk mówił, że jest ich dwa tysiące, a nas jest tylko czterystu.

- Pojedziemy za nimi - powtórzył kapitan i spojrzał gniewnie na Jónssona. - Z pewnością nie zamierzasz się ze mną kłócić.

Anders nie odpowiedział. Z pewnością nie zamierzał. Kapitan Gars spiął konia ostrogami.

- Ruszajmy szybko! Wróg ma już pół dnia przewagi nad nami.

<E0ztół 52

Mikę zdecydował się najpierw unieszkodliwić działa polowe. Jego pewność siebie jako dowódcy wojskowego wzrosła na tyle, że nie czekał na konsultację z Frankiem. Hiszpanie, tak jak to było wtedy w zwyczaju, usytuowali artylerię przed piechotą. Tor lotu pocisków wystrzeliwanych z dział o gładkich lufach był płaski, dlatego broń byłaby nieskuteczna, gdyby tłum piechoty stał przed działami. Mikę rozumiał logikę takiego myślenia, ale mimo to tak uważał, że ten pomysł jest odrobinę absurdalny.

- Jakież rozkazy, szefie? - spytała radiooperatorka. Uśmiechnął się szeroko.

- Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego, że tak mnie nazywasz, Gayle. - Wyciągnął rękę i wziął radio.

- Harry, tu Mikę. Wyprowadźcie transportery. Pojedźcie drogą numer 4, a następnie skróćcie na południe na drogę numer 26. Hiszpanie ustawiają działa polowe na wschód od drogi.

Możecie odciąć artylerię od piechoty.

Radio zatrzeszczało głosem Harry'ego Leffertsa.

- A co z kawalerią?

- Później będziemy się nimi przejmować. Frank łatwo utrzyma pozycję, nawet jeśli nie użyje M-60. Mamy szansę natychmiast dorwać artylerię.

Odpowiedź Leffertsa, tak jak i cała rozmowa, niestety nie spełniała wymogów wojskowego protokołu.

- Dobra. Zrobi się, szefie.

Z lasku, który rozciągał się na północny zachód od murów Eisenach, Mikę usłyszał odgłos rozgrzewających się silników transporterów.

Jego szeroki uśmiech powrócił.

-I na pewno nie przyzwyczaję się do tego, że tak mnie nazywa Harry.

Gayle też się uśmiechnęła.

- A czemuż by nie? Nie jesteś dobrze zapowiadającym się małym Napole-łonem?

- Daj spokój - parsknął Mike. - Prędszej mi kaktus na dłoni wyrośnie niż zostanę geniuszem wojskowym. - Oddał dziewczynie radio. - Wywołaj Franka i powiadom go o zmianie planów. Chcę porozmawiać z Alexem.

Gayle potwierdziła skinieniem głowy. Mike odwrócił się i pospieszył w kierunku schodów prowadzących z muru reduty na ogrodzony teren poniżej. Kiedy dotarł tam, gdzie czekała kawaleria, przesadzając po dwa kamienne stopnie naraz, Mackay i Lennox już truchtali mu na spotkanie.

Kiedy przedstawił im nową sytuację, Alex skrzywił się, a Lennox zmarszczył brwi. Mike'owi trudno było się nie roześmiać.

- Litościwi Amerykanie - zaczął zrzędzić Lennox. - Lepiej byście...

- Wystarczy - przerwał mu Mackay. - Generał Stearns tu dowodzi. Lennox umilkł, ale widać było, że nie jest szczęśliwy.

- Zdaję sobie sprawę- kontynuował Mike - że gdybym zaczekał, mielibyśmy większe szanse rozbić całą armię, jednak naszym pierwszym obowiązkiem jest zapewnienie bezpieczeństwa Eisenach. Bez tych dział Hiszpanie nie mają najmniejszej szansy przebić murów.

Lennox z trudem powstrzymał się przed zripostowaniem: „I tak nie mają najmniejszej szansy”, Alex z rozdrażnieniem szarpał brodę.

- Zakładam więc, że będziesz chciał, żebyśmy pogonili sukinsynów, jak tylko transportery zniszczą działa?

Mike skinął głową. Alex coraz energiczniej szarpał brodę. -I ciągle jesteś zdecydowany...

- Tak - odparł stanowczo Mike. - Zepchnij ich do zamku Wartburg, Alex. I nie narażaj ludzi bardziej niż musisz. Chcę maksymalnie ograniczyć straty po naszej stronie.

Z wyrazu twarzy młodego szkockiego oficera jasno wynikało, że nie podoba mu się plan Mike'a, jednak wstrzymał się od dyskusji. Alexander Mackay z całą pewnością nie uważał Mike'a Stearnsa za „geniusza wojskowego”, ale mocno wierzył w zasadę zwierzchnictwa. Chwilę później Mackay i Lennox wydawali już rozkazy kawalerii. W miejscu dowodzenia wrzało jak w ulu, mnóstwo podków jeszcze bardziej ubijało ziemię.

Milicjanci z Eisenach, którzy obsadzali bramy, byli jedynymi żołnierzami piechoty w okolicy, potrafili jednak uruchomić mechanizmy otwierania bram. Mike znajdował się na otwartej przestrzeni, więc czmychnął szybko w kierunku schodów i zaczął się po nich wspinać, przeskakując po dwa stopnie naraz.

396

Erie Flint

Nie bardzo chciał się nagle znaleźć wśród tysiąca konnych ustawiających rumaki na swoich pozycjach.

Gdy tylko wrócił na mury reduty, Gayle ponownie wręczyła mu radio. Spojrzał na nią z ukosa.

- Jakież problemy?

- Nie - odparła - poza tym, że Frank prosił, żebym ci przekazała, że jesteś litościwym mięczakiem.

Mike uśmiechnął się i przyłożył do oczu lornetkę.

- Taaa, wiem - mruknął. - To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonać.

Ale uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy zobaczył zgromadzone pod murami Eisenach hiszpańskie tercios. Było ich sześć, a więc około dwunastu tysięcy ludzi. Na każdej flance dodatkowo ustawiono po dwa tysiące kirasjerów. Według ówczesnych standardów nie była to ogromna armia, można jednak powiedzieć, że spora. Wystarczająco liczna, żeby obrócić w perzynę pola uprawne, przez które przemaszzerowała. Mike widział płonące gospodarstwa,

które pozostawiali za sobą; na szczęście ich mieszkańcy na długo przedtem schronili się wewnątrz murów Eisenach. Mimo to zniszczenia były poważne.

Dowódca zatrzymał hiszpańską piechotę w odległości pięciuset metrów od miasta, tuż przed samą drogą, a za nią ustawił artylerię. Najwyraźniej zamierzał rozpocząć atak na Eisenach od ostrzału.

Droga, która prowadziła z północy na południe, zaraz na zachód od miasta, została oficjalnie mianowana amerykańską drogą numer 26. Droga numer 4 -ta, którą Harry prowadził teraz dziesięć transporterów - przecinała drogę numer 26 około trzech kilometrów na północ.

Zgodnie ze swoją tradycją, Amerykanie obstawali przy nadaniu nazw wszystkim drogom w nowych Stanach Zjednoczonych, które teraz przecinały całą południową Turyngię od Eisenach do Gery. Rodowici Niemcy uważali, że ten zwyczaj jest dziwny, ale dostosowali się do niego bez narzekania - w porównaniu z innymi dziwactwami Amerykanów numerowanie dróg to małe piwo - zwłaszcza że wszystkie drogi, które zostały „oficjalnie nazwane”, zostały również poszerzone i wyrównane, a częściowo również wysypane żwirem.

- Litościwy mięczak - mruknął Mikę sam do siebie. - Nie, Frank, raczej nie, po prostu wiem, ile kosztowałoby mnie bycie innym człowiekiem.

Opuścił lornetkę i spojrzał na północny wschód. Po niecałych trzech sekundach zobaczył, jak pierwszy transporter Harry'ego wyjeżdża z hukiem zza niskiego wzgórza, które wcześniej zasłaniało zbliżające się pojazdy.

- Boże, mam już tego dość - westchnął.

- Coś nie tak z transporterami? - spytała Gayle na widok jego zmarszczonego czoła.

- Nie, Gayle, wszystko w porządku. Harry ich rozwali. - Spojrzał na nią. - To nie tym się martwię.

Teraz Gayle zmarszczyła brwi; było jasne, że nic nie rozumie.

„Najbardziej martwię się tym - pomyślał Mikę, obserwując przez lornetkę błyskawiczny atak Harry'ego - że za kilka lat nadejdą Cortez i Pizarro, hidal-gowie prawdziwie czyści”.

- Ognia! - wrzasnął Lefferts, który jechał w opancerzonej kabinie czołowego transportera. Jego słowa, które dotarły do wszystkich transporterów przez CB radia, spowodowały, że karabiny wystające z otworów po obu stronach opancerzonych ciężarówek natychmiast zaczęły strzelać. Większość karabinów działała na rygiel lub dźwignię, ale sporo było półautomatów. Ich szybkość strzału była dużo mniejsza niż broni automatycznej, ale i tak okazała się niesamowitym szokiem dla hiszpańskich żołnierzy.

Żołnierze amerykańscy siedzący z prawej strony ciężarówek, którzy mieli przed sobą hiszpańską piechotę, próbowali po prostu wystrzelić tyle naboju, ile się dało. Celowanie nie było konieczne. Pierwsze rzędy tercios stały nie dalej jak trzydzieści metrów od drogi, i strzelając z takiej odległości do masy ściśniętych ludzi, trafiało się praktycznie za każdym razem.

Z kolei żołnierze jadący z lewej strony ciężarówek, którzy mieli przed sobą działa polowe, starali się namierzać cele - musieli zlikwidować kanonierów i ładowaczy, a nie stłoczoną masę ludzi - ale ponieważ odległość była równie niewielka, celowanie nie sprawiało im trudności.

- Jesteśmy w strefie! - dotarł do Harry'ego przez CB radio głos radiooperatorki z ostatniego transportera.

Harry natychmiast wydał nowe rozkazy.

- Zatrzymać kolumnę!

Kierowcy wszystkich dziesięciu transporterów zahamowali. Pojazdy znajdowały się teraz „w strefie”, czyli pośrodku hiszpańskiej armii, z otwartą linią ognia po obu stronach. Kiedy opancerzone ciężarówki przestały się już poruszać, ogień karabinowy stał się jeszcze silniejszy, a strzały dokładniejsze.

Efektem tego była jedna wielka masakra. Kilka tercios zdołało oddać skoordynowane salwy z arkebuzów, ale trud był daremny, gdyż gruba stalowa osłona transporterów była odporna na wystrzały nawet z niewielkiej odległości. Hiszpanie równie dobrze mogli rzucać kamkami. Opony były odrobinę bardziej wrażliwe, jednak niewiele hiszpańskich kul z siedemnastowiecznych strzelb w nie trafiało. Hiszpanie zupełnie nie mieli doświadczenia w walce z amerykańskimi pojazdami (większość żołnierzy ciągle wybałuszała na nie oczy) i nawet nie przyszło im do głowy, żeby strzelać w opony, a te kilka kul, które przypadkiem w nie trafiły, nie spowodowało żadnych zniszczeń.

Po stronie amerykańskiej była tylko jedna ofiara śmiertelna. Nadzwyczaj pechowo kula przeleciała przez otwór strzelniczy i trafiła człowieka, który

398

Enc flint

zajmował tam pozycję. Zginął na miejscu z głową zmiażdżoną pociskiem kaliber 20,32 milimetra.

Zniszczenia spowodowane przez amerykańskich żołnierzy były przerażające. Ci hiszpańscy artylerzyści, którzy nie zostali trafieni, zostawiali działa i pędem uciekali, szukając schronienia w odległym lesie. Niedługo potem żołnierze znajdujący się po tej stronie ciężarówek przestali strzelać - po prostu nie było już do kogo.

Tymczasem po drugiej stronie transporterów nadal trwał ostrzał. Tercios były tak bardzo ściśnięte, że żołnierze z przednich szeregów po prostu nie mogli uciec, gdyż stojący za nimi tworzyli barierę nie do przebycia. A poza tym byli to hiszpańscy pikinierzy i arkebuzerzy. Hiszpańską piechotę zgodnie uznawano za najlepszą w Europie. Nawet jeśli oceniać według standardów tamtych czasów, ludzie ci cechowali się niezwykłą zawziętością i odwagą. Zasada „utrzymać pozycję i znieść wszystko” była w nich tak głęboko zakorzeniona, jak ojczysty język.

Trzy tercios zdołały nawet podjąć atak. Potykając się o ciała poległych towarzyszy, Hiszpanie rzucili się na drogę z wymierzonymi we wroga czteroipółmetrowymi pikami.

Oczywiście taka broń nie miała szansy zniszczyć transporterów. Do tego trzeba by było granatów, których hiszpańscy żołnierze nie posiadali. Pikinierzy mogli jedynie unieszkodliwić pojazdy na tyle, by stały się niezdolne do walki, stosując prosty i niewyszukany wybieg - wetknięcie piki do otworów strzelniczych i zmuszenie w ten sposób amerykańskich strzelców do wycofania się pod przeciwległą ścianę.

Ale w momencie, kiedy pierwsze szeregi tercios weszły na drogę, odpalono ustawione po bokach transporterów moździerze. Grad kartaczy i szrapneli dosłownie zmiotł ich z drogi. Tego było już za wiele nawet dla hiszpańskich żołnierzy. Ci, którzy przeżyli, zaczęli uciekać. Teraz przednie szeregi miały już miejsce na ucieczkę, gdyż pikinierzy i arkebuzerzy z tyłu już wcześniej rozpoczęli odwrót. W ciągu dwóch minut cała hiszpańska piechota uciekała na łeb, na szyję, ścigana przez nieustający ostrzał z karabinów.

A kiedy kawaleria Mackaya wypadła z Eisenach, odwrót zmienił się w pogrom. Hiszpańscy kirasjerzy, którzy byli tak samo odważni jak żołnierze piechoty, rozpoczęli kontratak, jednak ich wysiłki poszły na marne. Gdy tylko hiszpańska kawaleria pojawiła się na otwartej przestrzeni, Frank nakazał amerykańskim żołnierzom ustawionym w dołach strzelniczych i za palisadami sto metrów przed murami Eisenach otworzyć ogień. Zanim więc przednie szeregi jeźdźców zdołały się zbliżyć do nacierającego Mackaya, poniosły spore straty.

Mackay uderzył w nich jak młot. Mimo że jego siły zbrojne teoretycznie stanowiły część armii szwedzkiej, praktycznie były kawalerią Stanów Zjednoczonych, i to odpowiednio wyposażoną. Większość konnych (którymi teraz głównie byli Niemcy, a nie Szkoci) miała amerykańskie rewolwery albo pistolety automatyczne. Jeśli porównać to z pistoletami z zamkami kołowymi i szablami hiszpańskiej kawalerii, wynik starcia był łatwy do przewidzenia. Hiszpańscy kirasjerzy zostali zmiażdżeni w niecałe trzy minuty, a ci, którzy zdołali przeżyć, uciekli, przerażeni siłą ognia, jaką napotkali.

Mackay mógłby ich ścigać, co zdecydowanie spotęgowałoby rzeź, jednak wstrzymał swoich żołnierzy. Miał wątpliwości co do planu bitwy Mike'a, ale był zbyt dobrze wyszkolony, żeby naruszać dyscyplinę.

Bitwa pod Eisenach zakończyła się piętnaście minut po tym, jak transporterzy otworzyły ogień. Podczas gdy rozbite hiszpańskie tercios i ich eskorta kawaleryjska wycofywały się w kompletnym chaosie w kierunku odległego Wartburga, amerykańscy żołnierze wyszli z transporterów i zaczęli zajmować hiszpańskie działa polowe. Przed upływem kolejnych piętnastu minut bramy Eisenach otworzyły się szeroko i setki zwerbowanych chłopów zaczęły ciągnąć przechwycone działa do miasta.

Tymczasem hiszpański dowódca starał się przywrócić w swojej armii pozory dyscypliny. Zostali rozbici w bitwie polowej, nadszedł więc czas szukać schronienia w murach fortyfikacji.

Gdzie?

Gdzie by indziej? W zasięgu wzroku, przycupnięty na szczycie wzgórza, stał prastary zamek Wartburg. Właściwie Hiszpanie już go przejęli, gdy w trakcie marszu na Eisenach jednostki kawalerii stwierdziły, że zamek jest opuszczony. Hiszpański dowódca osłupiał, kiedy się o tym dowiedział. Czyżby ci Amerykanie kompletnie oszaleli, że nie obsadzili najmocniejszej fortecy w okolicy? Był jednak szczęśliwy, mogąc wykorzystać głupotę wroga.

Mikę obserwował przez lornetkę odwrót armii hiszpańskiej, aby upewnić się, że zmierzają do Wartburga. Tymczasem Greg Ferrara i dowódcy jego specjalnej jednostki artylerii zgromadzili się już na reducie.

- Wszystko załatwione? - spytał Ferrara.

- Do zapadnięcia zmroku powinni już być zamknięci w forcie. O północy rozpoczniemy pokaz specjalny, a o świcie zaczniemy zrzucać bomby.

Słowa Mike'a momentalnie wywołały grymas niezadowolenia na trzech młodych twarzach. Lany Wild, Jimmy Andersen oraz Eddie Cantrell nie byli zachwyceni.

Piekiło nie zna takiej furii jak wzgardzony fan gier wojennych.

- Nie - powiedział Mikę. - Nie rozpocznę bombardowania aż do świtu.

- Powinniśmy wykorzystać ciemności - próbował argumentować Jimmy - i stworzyć więcej zamieszania.

DD

Łnc tiint

Mikę zmusił się, by nie spojrzeć na niego spode łba. Nie zdołał jednak powstrzymać westchnienia. „Czy jest ktoś równie żądny krwi jak te dzieciaki?”

- Właśnie tego próbuję uniknąć, Jimmy - powiedział z naciskiem. Ręką, w której ciągle trzymał lornetkę, wskazał na wycofującą się armię hiszpańską. - Ci ludzie mogą być dla ciebie żołnierzami, ale dla mnie nie są. To ludzie, do cholery!

Trzech chłopaków aż wzdrygnęło się, słysząc prawdziwy gniew w głosie Mike'a.

- I tak będziemy wystarczająco brutalni. Chcę się upewnić, że ludzie, którzy pragną się poddać, będą mogli to zrobić i nie zostaną zabici tylko dlatego, że w tych egipskich ciemnościach nie byli w stanie znaleźć wyjścia z zamku. Rozumiecie?

Nie dostał żadnej odpowiedzi poza ich rozgoryczeniem i frustracją.

- Zbierajcie się, chłopaki - zarządził Ferrara. Młodzieńcy skwapliwie zbiegli z reducy.

Mikę mruknął coś pod nosem.

- Co mówiłeś? - Greg spojrzał na niego z ukosa.

- Nieważne.

Tak więc Ferrara zostawił go i odszedł. Mikę jeszcze przez chwilę obserwował Wartburg, a ponury zamek wydawał się rewanżować złowrogim spojrzeniem.

- Hidalgowie prawdziwie czyści - mruknął ponownie. - Musi być jakieś lepsze wyjście.

T&iC&bzmi 53

- Jest pan pewny? - pisnęła Julie. - Znaczy się zupełnie przekonany? -Następne słowa wyrzuciła z siebie jak karabin. - Myślałam, że mam grypę.

Wie pan, teraz panuje grypa, i to ciężka. Myślałam też, że może się zatrula. Pojechałabym do Eisenach, ale Alex się uparł, żebym przyszła do pana, a Mikę mu wtórował. Nie dali mi jechać. - Piorunowała doktora wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „To wszystko pana wina!”.

James Nichols usiłował zachować powagę, ale nie było to łatwe. Twarz młodej kobiety przycupniętej na krześle w gabinecie lekarskim wyrażała jedną wielką sprzecznosc: niepokój, rozgoryczenie, obawę, a do tego jeszcze oburzenie.

- A te środki powinny działać - warknęła. James otworzył usta, ale Julie weszła mu w słowo. - Powinny działać!

Ponownie spróbował się odezwać, ale Julie znowu mu nie pozwoliła. -Alex mnie zabije - jęknęła. - Dałam mu słowo, że nie mamy się czym martwić! - Przycisnęła dłoń do ust i wymamrotała: - Co ja zrobię? James pomyślał, że może teraz wreszcie dojdzie do głosu.

- Julie, krążka dopochwowego używa się razem z innymi środkami antykoncepcyjnymi...

- W sklepach się skończyły! - przerwała mu Julie. - Co miałam zrobić? -spytała nie znoszącym sprzeciwu tonem.

„Powstrzymać się” - przyszła żartobliwa myśl, jednak James natychmiast ją zdusił. Nie było nawet przysłowiowego cienia szansy na to, żeby ktoś taki

4U^ Łncrunt

jak Julie Sims powstrzymał się od seksu ze swym narzeczonym. A sam James właściwie nie miał prawa jej krytykować. Pomijając już jego rozpustną młodość, jego obecny związek z Melissą nie był ani platoniczny, ani uświęcony sakramentem małżeństwa.

„Z drugiej jednak strony Melissa ma pięćdziesiąt siedem lat”. Dla nich kwestia antykoncepcji już nie istniała.

- O Jezu, on mnie zabije. - Julie przycisnęła do ust obydwie dłonie i wydała z siebie parę dziwnych odgłosów.

James po ojcowsku zmarszczył brwi.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że to Alex powinien się martwić. Twój ojciec (nie wspominając już o Franku!) nie będzie szczególnie...

Znowu rozległ się dziwny odgłos.

- Nie bardzo rozumiem.

Julie zwinęła dłonie wokół ust, jakby chciała mu zdradzić sekret.

- To był mój pomysł - szepnęła. Na widok wyrazu twarzy doktora zaśmiała się; ten śmiech był ociupinkę histeryczny.

- Myślał pan, że Alexa? Tego poprawnego faceta? O Boże! - Śmiech narastał i teraz zdecydowanie był histeryczny. - Pokonanie jego oporu zajęło mi długie tygodnie]

Na chwilę jej wzrok stał się rozmarzony.

- On jest taki słodki - wyszeptwała. - Cóż to za miła odmiana, że nie musiałam się opędać od spoconych łap.

Julie opadła na krzesło.

- On mnie zabije - zapewniła ponuro niczym Kasandra. James odchrząknął.

- Masz kilka opcji. Pierwszą z nich jest aborcja. -I dodał szybko: - Sam ich nie wykonuję, ale doktor Adams może się tym zająć. Jeśli o to chodzi, doktor Abrabanel też może. Na tym etapie ciąży to nie jest trudny zabieg.

Julie spojrzała na niego bystro.

- Jeśli to takie łatwe, dlaczego pan tego nie robi? - Widząc jego poważną minę, zaśmiała się. - Niech zgadnę! Kiedy powiedział pan Melissie, doszło do zażartego sporu.

James wzruszył ramionami.

- Nie było żadnego sporu. Ona ma swoje zasady, ja mam swoje. - Teraz jego wzrok stał się rozmarzony. - W ogólnym rozrachunku całkiem dobrze się dogadujemy.

-Aborcja i tak nie wchodzi w grę. - Julie pokręciła głową. - Sama jej nie popieram. Jaka jest druga opcja?

- To chyba oczywiste, nieprawdaż? Weźcie ślub. W odpowiedzi Julie powróciła do lamentów.

-On mnie zabije]

- Nie rozumiem. - James podrapał się po głowie. - Słyszałem, że to on próbował cię namówić na ustalenie daty ślubu.

- Bo tak było! - syknęła i znowu zasłoniła rękami usta.

- Więc w czym problem?

Julie wciągnęła głęboko powietrze, następnie powoli je wypuściła. Położyła dłonie na udach, opuściła ramiona i westchnęła tak ciężko, że nie powstydziliby się tego nawet sama Kasandra.

- Nie rozumie pan. Chodzi o zasadę. Do czasu, kiedy... - zaczęła coś szybko obliczać - będziemy mogli wziąć ślub, a będzie to najwcześniej w przyszłym miesiącu... Właściwie to chyba nie przed początkiem września, bo Alex musi teraz pojechać zobaczyć się królem Szwecji, jak tylko skończą Mike'em łać tych hiszpańskich błaznów...

James znowu musiał ze sobą walczyć, żeby zachować powagę. Nie był pewien, co bardziej go rozbawiło: czy pewność Julie co do rozgromienia Hiszpanów, czy też wzmianka o zażyłości jej narzeczonego z królem.

- Taaa - podsumowała. - Tak, jak myślałam. Nie będziemy mogli się pobrać aż do września. - Wydęła policzki i ułożyła dłonie w odległości trzydziestu centymetrów od brzucha, parodiując ciężarną kobietę.

- Na miłość boską, Julie! Nie mówisz chyba poważnie. Nic nie będzie widać.

- Też mi pociecha! Ale sześć miesięcy później będzie. James wzruszył ramionami.

- Ale wtedy będziesz już mężatką, więc kogo to obchodzi? To nie byłby pierwszy raz...

- O to właśnie chodzi! -jęknęła. - Wie pan, jak wrażliwy jest Alex przez to, że jest nieślubnym dzieckiem. Wie pan! Powtarza w kółko: „Żadne z moich dzieci nie urodzi się bękartem”. - Nawet w takim stanie udało jej się dosyć dobrze oddać szkocki akcent Mackaya.

W tym momencie James nie był już w stanie pojąć logiki Julie.

- Nie łapie- mruknął. - Jeśli będziecie małżeństwem, gdy się urodzi dziecko, to wtedy ono nie będzie...

- Chodzi o zasadę! -jęknęła. - Nie rozumie pan? A nikt nie jest tak przeczulony na punkcie zasad, jak przekłety szkocki kalwinista.

Julie nie siedziała już bezwładnie na krześle, wyglądała teraz jak trzęsąca się masa niepokoju.

- On mnie zabije - pisnęła. - Już jestem martwa. Walka Jamesa o zachowanie powagi jednak się nie udała.

- Tylko pamiętaj, żeby mu o tym powiedzieć z odległości pięciuset metrów - rzucił ze śmiechem.

Dźwięk, który wydała z siebie Julie, nie był już piskiem, ale James pocie-; szył się tym, że zgodnie z obowiązkiem lekarza podniósł swoją pacjentkę na duchu. W pewnym sensie. Niedługo potem do tego samego gabinetu weszła Rebeka.

- Julie wygląda jakoś nieswojo - rzekła. - Czy coś jest nie tak? Usta Jamesa zadrżały.

- Nic poważnego. - Pomógł jej usiąść na krześle.

- Ufff! - westchnęła i rzuciła doktorowi lekki uśmiech. - Dziękuję. Czuję się tak dziwnie. Spojrzała na swój brzuch.

- Filozoficznie rzecz biorąc, nie popieram tego - stwierdziła. - To wydaje się takim głupim rozwiązaniem. Ale jak już kobieta przyzwyczai się do tego stanu, wszystko się zmienia. - W jej ciemnych oczach pojawiło się ciepło. -To już wkrótce.

- Sześć do ośmiu tygodni - potwierdził James. - Przy pierwszej ciąży nie ma pewności.

Rebeka uśmiechnęła się.

- Nie traciliśmy z Michaelem czasu, prawda? - zachichotała. - Będzie wielki skandal! Dziecko urodzi się siedem miesięcy po ślubie.

Ale ta myśl wydawała się jej nie przeszkadzać. James uśmiechnął się szeroko.

- Ostatnio często tak się dzieje.

Rebeka potrzebowała tylko chwili, żeby połączyć fakty. Ruchem, który był niesamowicie podobny do ruchu dłoni Julie, zakryła usta i cicho się zaśmiała.

- Biedny Alex! - wymamrotała przez palce. - Julie go zabije. James wyrzucił ręce w górę.

- Kobiety! Zupełnie was nie rozumiem!

Podszedł do krzesła i opadł na nie ciężko, a następnie spojrzał na Rebekę piorunującym wzrokiem.

- Jeśli możesz, wyjaśnij mi swoje rozumowanie. Rebeka opuściła dłonie na kolana i zmarszczyła czoło.

- Czyż to nie jest oczywiste? Pamiętaj, że nie znam szczegółów, ale znam Julie. Jest przekonana, że Alex będzie na nią wściekły, gdyż pewnie go przekonała, że nie ma co się bać ciąży.

Rebeka bawiła się włosami, zastanawiając się.

- Tak, na pewno tak było. Alex ma w sobie zbyt wiele z dżentelmena, żeby ją popędzać do takich rzeczy. To ona na pewno była uwodzicielką, a nie została uwiedziona.

- To oczywiste. Teraz jest przekonana, że kiedy mu powie, on straci nad sobą panowanie.

Wiesz, jaka jest Julie! Zanim mu powie, sama wpadnie w straszny gniew, gdyż będzie pewna, że Alex się na nią wścieknie. Oczywiście Alex powie coś nie tak. W tych okolicznościach to pewnik, gdyż czegokolwiek by nie powiedział, dla Julie będzie to nie tak. A wtedy...

Rebeka promieniała.

- Nie ma żadnych błędów w moim rozumowaniu. Julie go zabije. Oczywiście miejmy nadzieję, że słowami, gdyż ufam, że nie przekaże mu tej wiadomości z odległości mniejszej niż pięćset metrów.

Widząc wyraz twarzy doktora, kobieta zmarszczyła czoło.

- Czy wszystko w porządku, James? Nichols pokręcił głową.

- W porządku. Jestem po prostu szczęśliwy, że jesteś po naszej stronie. - Strzelił palcami. - Tyle dla Richelieu.

Gretchen usiadła na łóżku i pocałowała Jeffa w czoło. Czowała na ustach gorączkę, ale się nie martwiła. Już nie.

Jeff otworzył oczy. Z uśmiechem pochyliła głowę i jej usta zaczęły się rozchyłać.

- Nie! - zaprotestował i szarpnął głową w bok. - Mogłabyś złapać...

- To nic - szepnęła. Ujęła jego głowę w swoje mocne dłonie i odwróciła ją ku swojej twarzy. Pocałunek, który teraz nastąpił, był delikatny. Był jednak również przeciągły i absolutnie nie platoniczny.

- Właśnie wróciłam od doktora Nicholisa. Zapewnił mnie, że nie masz żadnych objawów zarazy.

- Mimo to... - Jeff próbował ją odepchnąć, ale był zbyt słaby, żeby mu się to udało. - Grypa jest bardzo groźna, Gretchen! Nie masz mojej odporności!

Wzruszyła ramionami i wstała. Doktor Nichols długo jej wyjaśniał, że ludzie z jej czasów nie mają naturalnej odporności na wirusy przenoszone przez tych, którzy urodzili się w przyszłości.

Zacząła się rozbierać. Rozumiała logikę jego wyjaśnień, ale się z nią nie zgadzała. Jej własny sposób rozumowania był bardziej bezkompromisowy. Dużo bardziej.

- To chyba lepiej, żebym jana była - mruknęła. Już bez ubrania wsunęła się pod pościel i przytuliła do męża. Jej ruchy były delikatne, ale wcale nie bardziej platoniczne niż

wcześniejszy pocałunek. Od dwóch dni, kiedy Jeff nabawił się grypy, była zmuszona spać z dziećmi; mąż na to nalegał. Teraz rozkoszowała się bliskością jego ciała.

Jeff ponownie zaczął słabo protestować. Gretchen położyła mu dłoń na ustach.

- Bądź cicho - wyszeptwała. - Prędzej czy później nabawię się choroby, więc po co się tym przejmować?

Jeff westchnął i zamknął oczy. Obawa o żonę walczyła w nim z pragnieniem jej bliskości.

Pragnienie wygrało. Objął ją ramionami i jeszcze bliżej przyciągnął.

- Aha - mruknęła Gretchen kilka minut później. - Jest jeszcze coś. Doktor Nichols mówi, że bez wątpienia jestem w ciąży.

406

Erie Flint

Jeff wytrzeszczył oczy.

- Co, mężu, znowu się martwisz? Wiesz, że to się zdarza. - Jeszcze bardziej się w niego wtuliła. - Ze mną i z dzieckiem wszystko będzie w porządku. I spójrz na to w ten sposób: przynajmniej nie będzie skandalu. Nasze dziecko nie urodzi się zbyt wcześnie.

- Podejrzewam, że w przeciwieństwie do niektórych innych - zaśmiała się.

* * * Kapitan Gars gnał swych ludzi jeszcze długo po zachodzie słońca. Ugiął się dopiero wtedy, kiedy zgasł ostatni błysk zmierzchu i las stał się czarny jak sama noc.

- Rozbić obóz - warknął, schodząc z konia. Poruszał się sztywno i z wysiłkiem. Dwa ostatnie dni, kiedy uparcie ścigali Chorwatów, były bardzo ciężkie. A jeśli jego żołnierze uważali, że pomysł ścigania dwóch tysięcy ludzi przez czterystu żołnierzy jest dziwny, zachowali to dla siebie. Kapitan Gars nie słuchał głosu rozsądku.

- Żadnych ognisk - rozkazał - dopóki ścigamy Chorwatów. Jeść wszystko

Żaden z jego żołnierzy nie narzekał - kapitan Gars nie słuchał również skarg, a poza tym jadł z nimi to samo zimne jedzenie i spał na tej samej gołej ziemi.

Kiedy ludzie wreszcie się rozłożyli, podszedł do niego Anders Jónsson. Kapitan siedział na posłaniu, wpatrując się w przestrzeń.

-A jutro, kapitanie? Co się stanie jutro?

- Jutro wstaniemy przed wschodem słońca. Nie mamy czasu do stracenia; Chorwaci dotrą do Grantville w najlepszym razie późnym rankiem.

Przez chwilę rozmyślał.

- Teraz już jestem pewien ich planu. To wszystko ma sens. Hiszpanie, których przepuścił książę sasko-weimarski, na pozór bezcelowy atak na Suhl, akcje dywersyjne, które miały odciągnąć amerykańską armię... Tu chodzi o Chorwatów. Uderzą na miasto pełne kobiet i dzieci. Ich celem jest jedynie rzeź i zniszczenie.

Jónsson zmarszczył czoło.

- Po co?

- Spytaj kogoś innego. - Kapitan wzruszył ramionami. - W taki sposób rozumują ludzie tacy jak Richelieu czy Wallenstein. Mnie osobiście takie rozumowanie jest obce. - Uśmiechnął się słabo. - No, ale czego można po mnie oczekiwać? Jestem szaleńcem i wszyscy o tym wiedzą.

{azbzml 54

O północy zaczęła się godzina duchów. Z głośników ustawionych w pięciu punktach wokół zamku Wartburg nagle ryknęła muzyka. Zalesione wzgórze w siedemnastowiecznej Turynii zostało uraczone muzyką popularną z dużo późniejszych czasów.

Była to muzyka w guście Harry'ego Lefferts'a. W jakiś sposób (Mike'owi nie udało się dokładnie prześledzić, jak do tego doszło) Harry sprawił, że mianowano go na tę okoliczność didżejem.

Oczywiście zaczął od Rolling Stonesów: Sympathy for the Devil, następnie Satisfaction i Street Fighting Man.

A później... Ku zgorszeniu nastoletnich amerykańskich żołnierzy Harry (mimo względnie młodego wieku) okazał się entuzjastą klasyki rocka. Po Stonesach poleciały różne kawałki Creedence Clearwater Revival i the Doors.

Potem...

- Nie mogę uwierzyć, że on puszcza to starodawne gówno - syknął Larry Wild. Ten młody „specjalista od artylerii” dokonywał właśnie ostatnich poprawek jednej z katapult, pracując przy świetle rzucanym przez wiszącą lampę. Greg Ferrara nadzorował pracę. Załoga, która miała później odpalić to ustrojstwo, stała niedaleko, obok przenośnego generatora.

W jego głosie brzmiało rozgoryczenie, jakby został zdradzony.

-BobDylan?

Kiedy w końcu przebrzmiały ostatnie nuty Positively Fourth Street, Larry z wdzięcznością westchnął. Eddie Cantrell zrobił to samo, jednak trzeciemu członkowi „specjalnej jednostki artylerii” wcale nie ulżyło.

- Będzie jeszcze gorzej - przepowiedział mrocznie Jimmy Anderson. I rzeczywiście.

Południowo-Zachodnią Turynię kołysał teraz...

- El vis Presley?! - wrzasnęli chórem Larry i Eddie. - On chyba żartuje!

Niestety, Harry okazał się zagorzałym fanem króla rocka, więc męka specjalnej jednostki artylerii trwała aż do czasu, kiedy pierwsza katapulta została zmontowana i przygotowana do użytku.

I wtedy Harry oznajmił przez głośniki, że przyjmuje życzenia. Trio chłopaków natychmiast (mimo jęków Grega Ferrary na temat dyscypliny wojskowej) pomknęło przez las. Byli absolutnie zdecydowani przywrócić normalność na tym świecie.

Ale nie mieli szans. Kiedy dotarli do zaimprovizowanej „muzycznej kwatery głównej” Harry’ego, okazało się, że niewielka polanka jest już wypełniona żołnierzami gorliwie wykrzykującymi swoje życzenia. Podoficerami armii Stanów Zjednoczonych ciągle byli w większości członkowie ASG w średnim wieku, a Harry ochoczo chylił głowę przed ich mądrością.

Larry i Eddie jęknęli, Jimmy się zatoczył.

„RebaMcEntire?!”.

Podczas gdy w zniszczonej Europie rozbrzmiewały dźwięki The Heart is a Lonely Hunter, Larry i jego przyjaciele desperacko usiłowali uzyskać poparcie zwykłych żołnierzy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Ale nic z tego. Oczywiście wielu z nich było młodymi ludźmi, taki jak oni, ale do sierpnia 1632 roku szeregi amerykańskiej armii zapełniły się głównie Niemcami, którzy (szczególnie ci młodszy) stali się fanami muzyki country. „Reba McEntire jest zupełnie w porządku, dziękujemy”.

W końcu Ferrarze udało się zapędzić podwładnych z powrotem do pracy. Gorączkowo, byle tylko nie myśleć o bólu, zabrali się do przygotowania pozostałych dwóch katapult. Po wykonaniu zadania nie mogli już dłużej tego znieść i mimo wykładu Ferrary na temat hierarchii służbowej pomaszrowali do kwatery głównej, żeby przedstawić swoje skargi na samej

Tutaj ponownie natknęli się na mur biurokracji.

- Przykro mi, chłopaki - powiedział Mike - ale nie mogę wam pomóc. - Ustawił zegarek tak, że jego tarcza oświetlana była przez latarnię gazową, która wisiała u wejścia do namiotu polowego. - Tak jak myślałem. Jest druga nad ranem i czynności przygotowawcze już się zakończyły. Czas na główny punkt programu.

Posłał trzem rozżalonym chłopakom szeroki uśmiech.

- To wszystko - machnął ręką - to była tylko rozgrzewka. Teraz przejdziemy do prawdziwej wojny psychologicznej.

Gapili się na niego, niczego nie rozumiejąc.

- Becky poskładała to do kupy - wyjaśnił.

W tym momencie po zboczach wzgórz popłynęły dźwięki zupełnie innej muzyki. Trzej młodzi ludzie wzdrygnęli się.

- Jezu - jęknął Jimmy. - A co to jest? Stojący nieco dalej Frank Jackson zaśmiał się.

- A wy myśleliście, że wasza muzyka trafiłaby w dziesiątkę! - Pokręcił głową. - Zapomnijcie o tym, chłopaki. Becky jest dziesięć razy mądrzejsza od was i może wybierać muzykę z wielu stuleci.

Przekręcił głowę, nasłuchując.

- Okropne, nie? Mikę zacisnął usta.

- Tak naprawdę to całkiem niezłe, jeśli się tego słucha w odpowiednim nastroju.

- Przemawia przez ciebie zgodny mąż - zaśmiał się Frank. - To tak samo jak ja, kiedy udaję, że nuoc mam nie smakuje jak zepsuta ryba.

- Mam nadzieję - dodał - że nie ma za dużo czegoś takiego. To rażące pogwałcenie praw wojennych, ot co.

Mikę uśmiechnął się.

- Tylko kilka minut. Nawet Becky musiała przyznać, że niewielka ilość Wozzecka Berga starcza na długo.

Dla hiszpańskich żołnierzy w zamku Wartburg niesamowita kakofonia Wozzecka trwała bardzo długo. Stłoczeni tam żołnierze byli pełni niepokoju. Już od dwóch godzin przeżywali niesamowite bombardowanie uszu - dla żołnierzy stojących na wałach obronnych było to jeszcze straszniejsze - a oślepiająco jaskrawe światło reflektorów, które zamocowali Ferrara i jego „techniczni wojownicy”, atakowało również wzrok, przebiegając tam i z powrotem po całym zamku.

Jak zawsze w przypadku armii hiszpańskich, oddziałom towarzyszyli wysocy urzędnicy Świętego Oficjum. Dziesięciu księży stojących razem z żołnierzami na wałach obronnych trzęsło się z wściekłości.

Wściekłości i strachu. Hiszpańska inkwizycja, która odpowiadała tylko przed koroną hiszpańską, była o wiele bardziej bezwzględna niż inkwizycja papieska. Jednak w żadnym wypadku nie były to bezmyślne zbiry. Hiszpańska inkwizycja do takiego stopnia rozbudowała tajną policję, że aż do czasów carskiej ochrony pod koniec dziewiętnastego wieku nikt jej nie mógł dorównać. Patrząc na standardy siedemnastego wieku, jej członkowie byli niezrównanymi mistrzami tego, co w późniejszych czasach określano mianem „wojny psychologicznej”.

A teraz spotkali jeszcze większego mistrza, a raczej mistrzynię. Co za ironia losu, że oto młoda przedstawicielka przeklętej rasy, którą inkwizycja prześladowała przez dwa stulecia, właśnie miała im się zrewanżować. Jej

410

tric flint

inteligencja w połączeniu z całą tradycją muzyczną późniejszego zachodniego świata miała dokończyć zadanie rozpoczęte przez rock and rolla i muzykę country.

Kiedy skończyły się wybrane fragmenty Wozzecka i następny utwór zaczął się nieść przez noc, inkwizytorzy odetchnęli z ulgą. Przynajmniej ta muzyka ma w sobie jakąś logikę.

Ale ich zadowolenie nie trwało dłużej niż minutę. Oczywiście, że w Nocy na Łysej Górze Musorgskiego jest logika, ale nie taka, która by do nich przemawiała.. To samo dotyczyło nieubłaganych, złowieszczych tonów Bydła z cyklu Obrazki z wystawy tego samego kompozytora.

Od tego momentu Rebeka zaczęła zwiększać napięcie. Nadeszło krótkie, ogłuszające W grocie Króla Gór Griega. Kiedy przez lata po jego napisaniu popularność tego fragmentu dramatu Peer Gynt rosła, sam Grieg zaczął go nienawidzić. Nazwał go kiedyś „najgorszym rodzajem norweskiego patosu”. Ale tej nocy dziki, nordycki triumfalizm tego utworu idealnie służył celom Rebeki.

„Drzyjcie, władcy lochów! Trolle i wikingowie stoją u waszych bram!”.

Potem nadszedł czas na rosyjską wariację na ten temat. W powietrzu rozbrzmiały heroiczne chóralne dźwięki Powstań, ludu rosyjski z Aleksandra Newskiego Prokofiewa, po czym od razu nadeszła porażająca wściekłość Bitwy na lodzie. Stojący na wałach obronnych zamku członkowie hiszpańskiej odmiany Krzyżaków przeżyli (w swych umysłach) taką samą katastrofę, jaka spotkała oprawców Pskowa na prawdziwym lodzie Jeziora Czudzkiego. Inkwizytorzy próbowali rozwiać rosnący strach, zmuszając wrzaskami trzęsących się hiszpańskich arkebuzerów do wejścia na wały obronne. Niektórych ciągnęli siłą, rozkazując im strzelać w szatańską muzykę i reflektory.

Biorąc pod uwagę niedokładność, z jaką strzelały arkebuzy, oraz celność broni, która była w rękach diabłów kryjących się w ciemnościach, rozkaz ten był czystym szaleństwem.

- Zlikwidować ich! - rozkazał Mikę, obserwując wały obronne przez lornetkę. Skierowane na nich reflektory dokładnie oświetlały zgromadzonych wzdłuż blanków księży i żołnierzy. - Celować w inkwizytorów!

Aleksander Newski się skończył i jego miejsce zajęła końcówka III Koncertu fortepianowego C-dur Prokofiewa. Bogactwo muzyki z trzeciej części służyło jako tło dla hulaśliwego entuzjazmu amerykańskich snajperów. Co prawda nie było wśród nich Julie Sims, która była najlepszym strzelcem wyborowym w armii Stanów Zjednoczonych, ale poza nią było tam jeszcze wielu bardzo dobrych strzelców. W ciągu dwóch minut wszyscy hiszpańscy żołnierze wycofali się z blanków, zostawiając zabitych dwudziestu własnych wojaków i siedmiu inkwizytorów.

- Głupi naród - zrzędził Lennox. Razem z Mackay'em bezskutecznie próbowali schronić się przed muzyczną burzą w namiocie służącym za kwaterę główną. - Dobrze, że wcześniej spałem. Teraz nie pośpisz.

Alex wzruszył ramionami.

- Lepsze to niż Jay-Z.

- Wszystko jest lepsze od tej lajzyl - parsknął Lennox. Kolejny utwór zaryczał przez głośniki, a Lennox aż się wzdrygnął. Widząc to kątem oka, Mikę uśmiechnął się szeroko.

- To fragment czegoś, co się nazywa Święto wiosny - wyjaśnił. - Becky bardzo to lubi.

- Cieszę się, że nie jest moją żoną- mruknął pod nosem Lennox - mimo że dziewczyna wygląda jak Kleopatra.

Mackay uśmiechnął się i podszedł do Mike'a stojącego w wejściu do namiotu.

- Rebeka jest w waszym szalonym świecie dopiero od ponad roku - powiedział. - Jestem ciekaw, jak jej się udało poznać tak dużo waszej muzyki.

Mikę wzruszył ramionami.

-Nie mam pojęcia. Oczywiście pomógł jej ojciec; Baltazar stał się entuzjastą muzyki klasycznej. Mówi, że już mu się niedobrze robi od tych głupich lutni. - Zawahał się, rozdarty między dumą a pragnieniem ukrycia, że jest kochającym mężem. Ale ponieważ był dumny (strasznie dumny) z żony i jednocześnie był kochającym mężem, walka była krótka.

- Nie wiem, Alex, jak jej się udało to połączyć z tym wszystkim, co przeczytała, i z wieloma innymi rzeczami. Po prostu nie wiem. - Wprost pęczniał z dumy. - Wiem tylko, że Becky jest najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. I podejrzewam, że mądrzejszej nie spotkam.

Mackay skinął głową. -Toprawda, ale... Nagle zamarł. -A to co?

Mikę słuchał przez chwilę potężnego sopranu Leontyne Price, a następnie się zaśmiał.

- Nie podoba ci się? Nazywa się Liebestod. Napisał to facet o nazwisku Wagner.

Alex zacisnął usta.

- Przyznaję, że ma niesamowity głos. - Skrzywił się. - Ale to brzmi tak, jakby ta kobieta umierała.

- Bo tak jest. - Mikę spojrzął na blanki powyżej i dodał wesoło: - I na dodatek wcale się z rym nie spieszy.

! : Erie flint

I tak się to ciągnęło przez całą noc. Przygotowany przez Rebeke program przewidywał sporą dawkę Wagnera. Tak się składa, że nie znosiła tego kompozytora zarówno z powodu melodramatyzmującego muzyki, jak i jego nik-czemności i antysemityzmu, uważała jednak, że taka muzyka pasuje do okoliczności. Tak więc hiszpańscy żołnierze schronieni w niemieckim zamku zostali zaatakowani największym germańskim patosem, który uderzył po ich uszach niczym ogromny ołowiany młot. Najpierw było Cwałowanie Walki-rii, a potem orkiestralna pompa Pierścienia Nibelunga: Wkroczenie bogów do Walhalli, Pożegnanie Wotana, Marsz żałobny Zygryda i wreszcie Ofiara bogów.

Kiedy wreszcie nadszedł koniec, Frank Jackson odetchnął z ulgą.

- Dobrze, że przegrali drugą wojnę światową- warknął. - Jesteście w stanie wyobrazić sobie, jak by to było, gdybyśmy zawsze musieli słuchać tego syfu?

- Uważasz, że to było straszne? - parsknął Mikę i spojrzął na horyzont na wschodzie. Na niebie zaczął już wstawać świt. - Spróbuj kiedyś posłuchać Parsifala.

Uniósł lornetkę i przyjrzał się blankom. Poza miejscami, gdzie błyskały reflektory, ciągle były pogrążone w ciemności. W zasięgu wzroku nie widać było ani jednego żołnierza.

- Kiedyś Becky zmusiła mnie do słuchania tego cholerstwa przez bitych pięć godzin.

Jackson zmarszczył czoło.

- Dlaczego? Wydawało mi się, że mówiłeś, iż Becky nie znosi Wagnera.

- Bo tak jest, tylko chciała udowodnić swoje racje.

Z głośników popłynęła teraz nowa, zupełnie inna muzyka. Mikę zerknął na zegarek.

- Świetne wycucie czasu - powiedział po cichu. - To coś, co Francuzi nazywają/«'<?ce de resistance.

Frank nadstawił ucha. -Ato co?

- Według Becky ten utwór muzyczny jak żaden inny oddaje charakter wojny. - Mikę wyszedł z namiotu i dał znak ręką stojącemu niedaleko Ferrarze. Nauczyciel przedmiotów ścisłych skinął głową.

- Czas odpalić sztuczne ognie, chłopaki - powiedział do swych młodych podwładnych, a właściwie współników zbrodni. Uśmiechając się, Larry, Ed-die i Jimmy pobiegli do znajdujących się niedaleko katapult i stanowisk raketowych.

Mikę wrócił do namiotu, cały czas słuchając muzyki. Teraz po ziemi niemieckiej niosła się VIII Symfonia c-moll Szostakowicza, dudniąc okropnościami zniszczonego przez wojnę Związku Radzieckiego.

Stalin pragnął triumfalnego utworu, który uczciłby radzieckie zwycięstwo nad nazistami, jednak Szostakowicz, mimo że sam był sowieckim patriotą, dał dyktatorowi coś zupełnie innego - najwspanialszą symfonię dwudziestego wieku. I jeśli ten utwór jako całość wykraczał poza rok 1943, jego trzecia część była czystym, niczym nie zakłóconym, okrutnym wrzaskiem. Zamkniętymi w muzyce strachem, udręką i rozpaczą.

Pierwsze rakiety z wyrzutni poszybowały w górę i zaczęły wybuchać nad wałami obronnymi. Ładunki wybuchowe głowic bojowych nie miały niszczyć - zostały stworzone jedynie na pokaz - zamiast więc rozrzucać odłamki, spowiły Wartburg oślepiającym ogniem. Ten płomienisty akompaniament do VIII Symfonii c-moll - obiecywał: „Oto, co was spotka, żołnierze Hiszpanii”.

Nadszedł świt i ostatnie rakiety rozbłysły na niebie.

Zapadła cisza i bezruch. Mikę czekał, patrząc na zegarek. Zdecydowali się wspólnie z Rebeke na pięć minut ciszy. Nazwali to „budowaniem napięcia”.

Po upływie pięciu minut Mike wydał rozkaz i katapulty zaczęły strzelać. Urządzenia zbudowane według starodawnego projektu i połączone z nowoczesnymi materiałami zaczęły ciskać w stronę wałów obronnych Wartburga pojemniki.

Wybuchając nad zamkiem, pojemniki obsypywały tysiące ukrytych tam żołnierzy ulotkami. Ulotki napisane po hiszpańsku i niemiecku nawoływały do poddania się i obiecywały dobre traktowanie tych, którzy tak uczynią.

Równocześnie hiszpańskojęzyczni żołnierze armii Stanów Zjednoczonych zaczęli wykrzykiwać przez głośniki te same informacje o warunkach kapitulacji. Jedzenie. Woda. Dobre traktowanie. Żadnego okrucieństwa. Dobry żołd dla tych, którzy zdecydują się przyłączyć do armii Stanów Zjednoczonych.

Kiedy ogień zaporowy z katapult zakończył się, z głośników popłynęła nowa dawka muzyki. Te utwory również wybrała Rebeka, ale tym razem w innym celu.

Rozległy się spokojne tony Poranku z dramatu Peer Gynt Griega. Dla Mike'a, Franka, Mackaya, Lennox'a i wszystkich amerykańskich żołnierzy otaczających zamek ta muzyka była jak balsam. Doskonale mogli sobie wyobrazić, jaka będzie reakcja Hiszpanów.

Poranek zamilkł i rozległa się jeszcze bardziej pogodna muzyka, współbrzmiąca z jaśniejącym nowym dniem. Była jak pokój i nadzieja po nocy.

Frank stał jak skamieniały.

- Becky uważa, że to najpiękniej szy utwór muzyczny, jaki został kiedykolwiek napisany - powiedział Mike, widząc wyraz twarzy przyjaciela - choć przyznaje, że to kwestia gustu.

- Ma dobry gust - wyszeptał Frank. - Od razu myślę o ptaku szybującym po niebie.

Mike skinął głową. Wzlot skowronka Ralpha Vaughana Williamsa został zainspirowany ukochanym angielskim krajobrazem kompozytora, jednak wypełniał powietrze nad środkowymi Niemcami tak, jakby tu było jego miejsce.

- Bo tak jest - powiedział cicho Mike. - Bo tak jest. Tu... i wszędzie.

Spojrzał na wschód. Gdzieś tam pod wstającym słońcem, najwyżej sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, jego żona pewnie siedzi już w kuchni - Rebeka była rannym ptaszkiem - i przygotowuje śniadanie dla ukochanego ojca, mimo że ostatnio z powodu ciąży porusza się dużo wolniej. Niemiecka rodzina, która kiedyś mieszkała w domu Mike'a, znalazła nową kwaterę, więc Baltazar wprowadził się do nich. Bardzo dobrze dogadywał się z niepełnosprawną matką swojego zięcia i chciał spędzić resztę swego życia patrząc, jak jego wnuk lub wnuczka dorasta.

- Tu... i wszędzie - powtórzył Mike. Jego głos był bardzo delikatny i pełen miłości.

Kiedy przebrzmiały ostatnie tony Wzlotu skowronka, Frank westchnął z żalem.

- Nie poddadzą się - powiedział. - Jeszcze nie teraz.

Mike pokiwał głową, pozbywając się myśli o miłości i spokoju.

- Zgadza się, nie poddadzą się - powiedział ostro i zwrócił twarz w kierunku zamku. - Ale nie sądzę, żeby to jeszcze długo trwało. Potrzebujemy tylko odrobiny ognia.

* * *

Tymczasem Rebeka wstała tego dnia wcześniej niż zwykle. Melissa poprosiła ją, żeby przyszła rano do szkoły, aby mogły o czymś porozmawiać, zanim zaczną się lekcje.

Tak więc w momencie, kiedy Mike rozkazał ponownie odpalić katapulty, Rebeka szła drogą numer 250, ciesząc się samotnością i spokojem wczesnego poranka.

Inni nie cieszyli się porankiem.

Kiedy Jeff się zbudził, odkrył, że nie ma już gorączki, jednak ciągle czuł się podle i bolało go całe ciało.

Gretchen weszła do sypialni, niosąc miskę owsianki. Była już ubrana w swoje ukochane niebieskie dzinsy i tenisówki.

- Jedz - zarządziła, uciszając protesty męża. - Będziesz dzisiaj potrzebował siły. -
Uśmiechnęła się. - Musisz dać sobie sam radę aż do wieczora. Obiecałam Danowi Frostowi,
że mu pomogę uczyć nową grupę rekrutów.

Uśmiech Gretchen stał się lekko pogardliwy.

- Te niemieckie dziewczyny! Ciągłe nie wierzą, że kobieta może używać broni.

Jeff zastanawiał się, dlaczego Gretchen ma na sobie gorset i kamizelkę. Zazwyczaj wołała
proste bluzki, szczególnie jeśli było ciepło. Przyglądał się jej grubym ubraniom, szukając
pistoletu, ale nie mógł go dostrzec. Cięży Gretchen jeszcze nie było widać, jednak Jeff
uważał, że imponujący biust jego żony zdecydowanie świadczy o tym, że jest w odmiennym
stanie.

Była to radosna myśl, przerwana uderzeniem w głowę.

- Przestań się gapić na moje cycki! Co za skandal!

Czterystu Vastgóta, Finów i Lapończyków również nie cieszyło się porankiem. Kapitan Gars
zebrał swą niewielką armię jeszcze przed wschodem słońca. Tempo, w jakim kazał im się
poruszać po nieznanym lesie, zakrawało na lekkomyślność, a nawet jawne szaleństwo.
Nie padło jednak ani słowo sprzeciwu. Nie miałyby to sensu. Kapitan Gars nie słuchał
bowiem głosu rozsądku i miał żelazną wolę.

To szalenie. Wszyscy o tym wiedzieli.

James zatrzymał samochód obok idącej Rebeki i wychylił się przez okno.

- Podwieźć cię?

- Dzień dobry, Jamesie i Melisso - rzekła z uśmiechem. Kiedy dostrzegła siedzącą z tyłu Julie
Sims, jej uśmiech stał się jeszcze pogodniejszy. - Witaj, Julie. -Rebeka pokręciła głową. - Nie,
bardzo dziękuję, chętnie się przespaceruję.

James spodziewał się takiej odpowiedzi. Jako jeden z dwóch lekarzy w mieście, którzy umieli
prowadzić samochód, był zwolniony z zakazu prowadzenia prywatnych pojazdów. Zawsze
odwoził Melissę do szkoły i spędzał tam poranek, zajmując się problemami zdrowotnymi
uczniów. Często mijał idącą drogą Rebeke, ale kiedy proponował jej podwiezienie, ona
zawsze odmawiała; lubiła spacerować.

- No to do zobaczenia później.

Teraz, kiedy samochód zniknął za zakrętem i Julie nie mogła już jej widzieć, nie próbowała
nawet ukryć swego rozbawienia.

„Biedna dziewczyna! Taka rozgorączkowana, chociaż właściwie nie ma powodu”.

Sądziła, że Julie prawdopodobnie spędziła noc w domu Melissy. Zaniepokojona
nieoczekiwaną ciążą, udała się tam w poszukiwaniu rady i pocieszenia, i rozmawiały tak
długo, że Melissa pewnie zaprosiła ją na noc.

Teraz był to dom Melissy i Jamesa. Doktor wprowadził się do niej kilka miesięcy temu.

Nauczycielka nie próbowała już ukrywać ich związku, i jeśli nawet ten brak dyskrecji gorszył
co bardziej świętoszkowatych mieszkańców miasta (nie mówiąc już o dewotach), miał wręcz
przeciwny wpływ na innych. W ciągu tych miesięcy pozycja, jaką Melissa zajmowała wśród
swoich byłych i obecnych uczniów (szczególnie dziewcząt), diametralnie się zmieniła. Stała

416

Encrtm

się kimś w rodzaju zastępczej matki albo ukochanej cici. Była pewna siebie, pogodna,
przystępna, tak jak nigdy wcześniej, a jej dom stał się dla nich schronieniem i przystanią.

Rebeka znowu się uśmiechnęła. James raz jej się poskarżył, że czasem czuje się tak, jakby
mieszkał w pensjonacie dla krnąbrnych dziewcząt, jednak uwagi Rebeki nie uszło ciepło i
uczucie skryte pod tymi szorstkimi słowami. Wiedziała, że Julie jest jego ulubienicą i że
ostatnia noc nie była pierwszą, kiedy spała na kanapie w ich salonie.

Rebeka szła powoli poboczem, pełna radości. Cieszył ją nawet jej kaczycy chód. Oczywiście
będzie szczęśliwa, mogąc odzyskać smukłą sylwetkę, kiedy przyjdzie na to pora, ale wszystko
ma swój czas. Nie mogła się już doczekać, kiedy zostanie matką.

Zaczerpnęła świeżego powietrza. Przypomniała sobie linijkę z jednej z ulubionych sztuk ojca. Idealnie pasowała do jej nastroju. Tak idealnie, że zawołała wesoło do otaczających ją wzgórz:

„O, nowy, wspaniały świat, w którym żyją ludzie!”.

Jeff skończył śniadanie i wstał z łóżka. Czuł, że ma w sobie sporo energii. Robiło mu się niedobrze od samego bycia chorym, chciał coś zrobić. Cokolwiek.

Kiedy wyjrzał przez okno przyczepy, zauważył zaparkowany w pobliżu motocykl terenowy. W ciągu paru sekund podjął decyzję. Nie był na tyle niemądry, żeby próbować długiej jazdy po nierównym terenie, gdyż ciągle nie czuł się za dobrze. Ale krótka przejażdżka dobrze mu zrobi. Ubrał się odpowiednio do okoliczności, nie zapominając o skórzanej kurtce.

Kiedy wyszedł na dwór, wiedział już, dokąd pojedzie. Szkoła oddalona była tylko o trzy kilometry; będzie to szybka i łatwa przejażdżka po najlepszej na świecie drodze. Miło będzie odwiedzić panią Mailey, żeby się przywitać, zanim wróci do łóżka. Czemu nie? Doktor Nichols powiedział Gretchen, że nie powinien już zarażać.

Już usiadł okrakiem na motorze, kiedy o czymś sobie przypomniał. Przez chwilę chciał dać sobie z tym spokój. Ale nie, niech szlag trafi zasady i dyscyplinę!

Stare nawyki trudno wykorzenić. Motocykl stanowił teraz oficjalnie własność armii Stanów Zjednoczonych, a Jeff był żołnierzem tej armii, nawet jeśli został odkomenderowany i pracował z Gretchen i jej niezbyt oficjalnym podziemiem. A kiedy korzysta z pojazdu wojskowego, ma obowiązek nosić broń palną.

Pospieszył z powrotem do przyczepy, wziął strzelbę i włożył ją do umocowanej przy siodełku kabury. Chwilę później odjechał z wyciem silnika, ciesząc się świeżym powiewem.

Na stromym zboczu ponad drogą numer 250 stali czterej chorwaccy konni i obserwowali okolicę. Byli to zwiadowcy zbliżającej się cesarskiej kawalerii. Początkowo było ich sześciu, kiedy jednak zbadali plan miasta i szkoły, dwóch z nich zawróciło z raportem. Pozostali mieli zrobić to samo, ale w tym momencie dostrzegli jakiś ruch na drodze, więc ruszyli do przodu, żeby sprawdzić, co to jest.

- Jest sama - mruknął jeden z konnych. Jego towarzysz skinął niecierpliwie głową.

- Sądząc po wyglądzie, to żydowska dziwka. - Jego dłoń pieściła rękojeść szabli. - Dwa do jednego - zaśmiał się dziko. - Jak skończymy, możemy rozpruć ten jej wielki brzuch.

y&azbzml 55

- Ognia! - rozkazał Ferrara. Jego słowa dotarły przez radio do wszystkich trzech katapult i trzy pojemniki prawie jednocześnie wystrzeliły w powietrze. Katapulty zostały tak zaprojektowane, żeby uniknąć zbyt wczesnego zniszczenia pojemników, bo przecież nikt nie chciał być w pobliżu, kiedy rozleje się ich zawartość.

Każdy z pojemników zawierał prawie dwadzieścia litrów napalmu. Nad umocnieniami wybuchł ogień piekielny, a tysiące żołnierzy skryły się w środku zamku.

- Strzelać bez rozkazu! - krzyknął Ferrara. Następny atak napalmem miał mieć szerszy zasięg. Trzy różne załogi ćwiczyły obsługę urządzeń, ale nie wszyscy opanowali je w takim samym stopniu. Ogień piekielny spadł na umocnienia, na których już szalały płomienie.

Na murach pojawił się płonący jak pochodnia człowiek. Z daleka trudno było stwierdzić, czy popełnił samobójstwo, czy też ogarnięty przerażeniem potknął się i runął z muru.

Mikę skrzywił się na ten widok. Już słychać było narastające wrzaski hiszpańskich żołnierzy, którzy płonęli wśród murów.

- Obrzydliwe gówno - mruknął Frank. - To było tak dawno, że już zapomniałem.

Z radia popłynął nowy głos. Hilda była do tej pory jedyną Niemką, która zaciągnęła się do armii Stanów Zjednoczonych i której udało się przetrwać przesiew Franka. Ponieważ jej angielski był dobry, choć ze słyszalnym akcentem, została przydzielona na stanowiska radiooperatora.

- Otwiera się główna brama! Otwiera się główna brama!

Mikę uniósł lornetkę. Rzeczywiście, masywna brama zaczęła się rozwierać, a chwilę później pojawiła się w niej stłoczona masa hiszpańskich żołnierzy machających pikami i arkebuzami. Ponieważ było to jedyne wejście do zamku, w którym mogły się zmieścić większe grupy ludzi, Mikę kazał tam ustawić karabin M-60. Jego załoga nawet nie czekała na rozkazy. Nie było takiej potrzeby, polecenie Franka było jasne jak słońce: „Jeśli wyjdą uzbrojeni, zabić ich”.

M-60 zaterkotało i stłoczona masa żołnierzy padła jak ścięta kosa.

Mikę opuścił lornetkę i odwrócił wzrok. W niecałą minutę po ataku M-60 brama została niemal zablokowana przez górę ciał. Ci Hiszpanie, którzy przeżyli, zaczęli z trudem przedzierać się z powrotem do zamku.

Nad umocnieniami wybuchł kolejny pojemnik z napalmem. Zamek przypominał teraz jedno wielkie ognisko, ale ponieważ Wartburg był zbudowany z kamienia, a nie z drewna, niższe poziomy zamku najprawdopodobniej ciągle jeszcze były nietknięte przez ogień.

Ale nawet kamienne zamki potrafią płonąć, jeśli im się pomoże. W ich wnętrzach jest pełno łatwopalnych substancji: drewnianych bel, mebli, gobelinów, tkanin, i przy odpowiedniej ilości napalmu wszystko to może w ciągu godziny zamienić się w gigantyczne ognisko, a ponad dziesięć tysięcy ludzi, którzy sądzili, że znaleźli schronienie, może się znaleźć w śmiertelnej pułapce.

Mikę już otworzył usta, aby wydać rozkaz wstrzymania ognia, jednak widząc spoczywające na nim zimne spojrzenie Franka, zrezygnował.

„Nie ma wyjścia”. Armia hiszpańska uwięziona w Wartburgu ciągle znacznie przewyższała liczebnością siły Stanów Zjednoczonych. Mikę nie mógł sobie pozwolić na zatrzymanie ataku, dopóki się nie poddadzą i nie wymaszerują nieuzbrojeni na zewnątrz.

Wszędzie szalał ogień. Kolejni żołnierze zaczęli wyskakiwać z zamku i rozpaczliwie przedzierać się do wyjścia, niektórzy próbowali nawet schodzić po murach. Większość z nich była nieuzbrojona, a ci nieliczni, którzy ciągle jeszcze mieli broń, bardzo szybko ją porzucali, słysząc słowa wykrzykiwane do nich po hiszpańsku. Myśleli jedynie o przeżyciu. Byli gotowi na wszystko, byle tylko uciec od zagłady, która czekała ich w Wartburgu.

Wreszcie z głównej bramy zaczęły się wylewać dziesiątki nieuzbrojonych Hiszpanów, odsuwając na bok leżącą tam górę ciał. Potem pojawiły się ich setki.

- Już po wszystkim - powiedział Frank. Mikę skinął głową i chwilę później Ferrara dał rozkaz wstrzymania ognia.

Mikę zapatrzył się na płonący zamek. Już nie można było powstrzymać pożogi. Do jutra z Wartburga pozostaną jedynie ruiny.

„ric t lint

- Wiesz - zaczął się zastanawiać na głos - to prawdopodobnie zabytek historyczny w świecie, z którego pochodzimy. To wywołuje poczucie winy, prawda?

- U mnie nie - parsknął Frank. - Zamek to zamek, a jeśli o mnie chodzi, to tylko jaskinia bandytów. Złodziejów, którzy przechwalają się swoimi złodziejskimi przodkami. Krzyżyk im wszystkim na drogę!

Mikę nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. W końcu się roześmiał.

- Cóż można dodać? Masz rację.

Widząc szarżujących zza drzew jeźdźców, Rebeka stanęła jak wryta. Ogarnęło ją takie przerażenie, że nie mogła się poruszyć. Jedna część jej umysłu była jak sparaliżowana, ale druga błyskawicznie zrozumiała, co się stanie. Dzicy, szczerzący zęby jeźdźcy, którzy gnali w dół zbocza, nie zadali sobie nawet trudu, by ująć szable w dłón. Na jakiś czas zostawiają przy życiu.

Rebeka Abrabanel, sefardyjska dziewczica sprzed roku, stałaby na drodze skamieniała z przerażenia, aż Chorwaci powaliliby ją na ziemię, ale ciężarna Becky Stearns momentalnie zaczęła grzebać w dużej torbie, szepcząc słowa podziękii dla swego nieokrzesanego męża.

Mike nalegał, żeby nauczyła się posługiwać bronią. Rebeka posłusznie próbowała, ale jej się nie udawało, przynajmniej jeśli chodzi o celność. Mimo mnogości jej zalet nawet jej mąż był zmuszony w końcu przyznać, że ma cela jak baba z wesela.

Niech i tak będzie, ale przecież istnieje też broń dla takich ludzi jak ona. Harry Lefferts z radością jej taką dostarczył. „Podarek dla pięknej pani” - powiedział z typową dla Appalachów kurtuazją.

Kiedy pierwszy z Chorwatów był dziesięć metrów od niej, Rebeka wyciągnęła z torby broń. Strzeliła z odległości pięciu metrów, z obrzyna kaliber 18,5 milimetra, załadowanego grubym śrutem.

I spudłowała. Nawet go nie drasnęła.

Za to koń zginął na miejscu; pociski rozorały mu szyję. Zwierzę potknęło się i zrzuciło jeźdźca z grzbietu.

Z jękiem strachu Rebecce udało się uskoczyć przed rozpedzonym koniem, jednak spadający jeździec uderzył ją w ramię i przewrócił na ziemię.

Upadek ogłuszył ją ale udało jej się utrzymać w ręku broń. Leżąc na drodze, przez chwilę czuła jedynie przeszywający strach o nienarodzone dziecko.

Zaraz potem poczuła, jak czyjaś ręka chwyta ją za włosy i gwałtownym ruchem ciągnie do góry.

Chorwat był silnym mężczyzną przepełnionym gniewem, i choć nie do końca rozumiał, co się przytrafiło jego towarzyszowi, nie miał wątpliwości, kto jest za to odpowiedzialny.

- Jebana żydowska suka! - wrzasnął i zaczął wciągać Rebeke na konia.

Rebeka nie rozumiała jego języka. Ale nie musiała, ciągle miała broń.

Nagle gniew Chorwata zniknął. Zastąpił go nie strach, tylko zdumienie na widok twardego przedmiotu przyciśniętego do jego krocza. Zanim zdążył rozpoznać, że to broń, Rebeka nacisnęła spust i odstrzeliła mu jądra razem z członkiem, dolną częścią jelit, pęcherzem i fragmentem kręgosłupa.

Kiedy puścił jej włosy, Rebeka ponownie upadła na ziemię. Upadek znowu lekko ją oszołomił, a po chwili poczuła jeszcze kopnięcie konia ofiary. Przez cały czas miała otwarte oczy i wszystko widziała, lecz jej umysł nie był w stanie przetwarzać informacji.

Widziała, jak trzeci jeździec, chwilowo oślepiiony, wyciera twarz ochlapaną krwią i szczątkami ciała kompana.

Widziała też, że pierwszy z jeźdźców - ten, którego koń został zabity - zaczyna poruszać się z jękiem.

Ostatni z czwórki Chorwatów przez chwilę był zajęty uspokajaniem swego konia, ale ponieważ był to rumak bojowy, przyzwyczajony do widoku i odgłosów bitwy, mężczyzna bez trudu utrzymał go w cuglach. Potem warknął coś do Rebeci i wyciągnął z pochwy przy siodle pistolet z zamkiem kołowym, aby zabić tę żydowską sukę.

Rebeka ciągle miała w dłoni strzelbę, ale wystrzeliła już z obu luf. Miała jeszcze naboje, ale okazało się, że jej torba leży na poboczu.

„Zbyt daleko”. Usłyszała tętent konia. Chorwat galopował ku niej i składał się do strzału. „A byłam taka szczęśliwa” - pomyślała ze smutkiem.

Teraz, kiedy nie było już nadziei, jej umysł przestał pracować na przyspieszonych obrotach. Poziom adrenaliny spadał i zaczęła odczuwać fizyczny ból. Czekwała jak oszołomione zwierzę na odgłos wystrzału i nawet nie zwróciła uwagi na głośny dźwięk, który rozległ się w pobliżu. Chorwat natychmiast przestał myśleć o Rebecce i po prostu gapił się na pędzący w jego stronę dziwny pojazd.

Był przerażony nie tyle samym pojazdem, ile raczej człowiekiem, który na nim siedział. Dzikie Chorwat nigdy wcześniej nie widział zabójcy w okularach. „Żeby cię lepiej widzieć”.

Kiedy Jeff usłyszał pierwszy wystrzał, był zdziwiony i odrobinę oburzony. To strzelba kaliber 18,5 milimetra, sądząc po odgłosie.

„Co za idiota strzela tak blisko drogi? Przecież w każdej chwili mogą tamtędy przejeżdżać szkolne autobusy!”.

Kiedy padł drugi strzał, Jeff właśnie wjeżdżał w zakręt. Wszystko momentalnie stało się jasne. Nie rozpoznał kobiety, która leżała na drodze, nie rozpoznał też konnych, chociaż wiedział, że to na pewno nie są Szkoci.

Z naiwnego chłopaka, którym był jeszcze całkiem niedawno, wyrósł mężczyzna, któremu przemoc nie była już obca. Poza tym (co może miało większe znaczenie) miał za żonę kobietę o duszy z hartowanej stali. Zgadza się, byli małżeństwem od niedawna, ale wystarczająco długo, żeby Jeff również się zahartował. Pieprzyć litość! Szybko pokonał końcowy odcinek drogi. Zobaczył, że jeden z konnych strzela do niego, ale nie miał pojęcia, gdzie powędrowała kula.

Omam nie wywrócił motocykla, kiedy ostro zahamował. Przerażone dziwnym hałasem i widokiem, konie rżały i niespokojnie dreptały w miejscu.

Jeff zsiadł z motoru i wyciągnął strzelbę. Była naładowana. Rzucił okiem na kobietę i natychmiast ją rozpoznał.

- Leż, Becky!

Mężczyzna leżący na ziemi zaczął wstawać. Jeff zdecydował, że najpierw nim się zajmie. Odbezpieczył broń i jednym ruchem przyłożył ją do ramienia.

Trzask! Chorwat z powrotem znalazł się na ziemi, tym razem już martwy.

Jeździec, który wcześniej strzelał, wyciągał kolejny pistolet. Jego kompan już trzymał w dłoni broń.

Jeff uśmiechnął się dziko jak sam Harry Lefferts.

- To się nazywa szybkostrzelność, skurwysyny! Trzask - bum! Trzask - bum!

Dwa ciała ciężko upadły na ziemię. Konie uciekły. Jeff spojrzał na Rebece, żeby się upewnić, czy wszystko z nią w porządku. Uśmiechnęła się lekko i spuściła głowę. Powinna wytrzymać, dopóki on nie sprawdzi, czy wrogowie na pewno są już niegroźni.

Podążył energicznym krokiem w kierunku leżących na ziemi mężczyzn. Jeden z nich bez wątplenia nie żył; pociski rozerwały mu klatkę piersiową. Drugi...

Jeff nie był do końca pewien. Pieprzyć litość! Trzask - bum!

Odwrócił się i pospieszył ku Rebecce, która tymczasem bezskutecznie próbowała się podnieść.

Teraz Jeff był już poważnie zaniepokojony. Ogromne, ciemne oczy Rebeki spoglądały na niego w oszołomieniu. Kobieta coś mamrotała, ale nie potrafił rozróżnić słów.

Zawahał się, nie wiedząc, co ma zrobić. To jasne, że ona potrzebuje opieki medycznej.

Najbliższym miejscem, gdzie może ją otrzymać, jest oddalona stąd o niecały kilometr szkoła.

Doktor Nichols pewnie już tam jest, gdyż razem z Melissą przychodzili wcześniej rano. Ale jak ma tam Rebece dowieźć?

Przez chwilę Jeff patrzył tęsknie na swój motocykl. Potem pokręcił głową. Przy obecnym stanie Rebeki byłaby to czysta głupota.

Dziewczyna znowu coś wymamrotała. Tym razem zrozumiał.

- Zatrzymaj autobusy - mówiła. - Zatrzymaj autobusy.

Oczywiście! Szkolne autobusy mogą w każdej chwili tędy przejeżdżać. Niewątpliwie będą zapchane, gdyż teraz w mieście jest mnóstwo dzieciaków, ale na pewno znajdzie się jakieś miejsce.

Zaczął ciągnąć Rebece poboczem, podtrzymując ją, a ona kręciła głową i cały czas mamrotała: „Zatrzymaj autobusy, zatrzymaj autobusy”. Jeff narzucił na nią swoją kurtkę (wiedział, że tak trzeba zrobić, jeśli ktoś jest w szoku), ale nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić poza czekaniem na autobusy.

Jego wzrok zatrzymał się na rozrzuconych na drodze ciałach.

- Dzieciaki nie muszą tego oglądać - mruknął. Podszedł szybko do motoru i odsunął go na bok. Następnie zabrał ciała z jezdni i zaczął je spychać w dół zbocza, w kierunku rzeki.

I wtedy usłyszał, jak zbliża się autobus. Wdrapał się na skraj drogi i zaczął machać rękami. Było to jednak zbędne; kierowca już się zatrzymywał, widząc siedzącą na poboczu Rebekę. Jeff pomógł jej wstać i niemal zaniósł ją do autobusu. Kierowca otworzył drzwi i wezwał dzieci, żeby zrobiły dla niej miejsce. Wchodząc na schodek pojazdu, Rebeka wyciągnęła do Jeffa rękę i zaczęła słabo protestować.

- Nie, nie. Zatrzymaj autobusy.

Jeff pokręcił głową z troską i rozbawieniem.

- Przecież zatrzymałem autobus. Właśnie pomagam ci wejść.

Nie zważając na protesty kobiety, Jeff wniósł ją do środka i ułożył na siedzeniu zwolnionym przez kierowcę.

- Proszę ją natychmiast zabrać do doktora Nicholasa - zarządził, ignorując pytania kierowcy. - Później wszystko wyjaśnię.

Wyskoczył z autobusu, odwrócił się i machnął ręką. „Ruszaj, do cholery!”.

Drzwi zamknęły się z sykiem i pojazd hałaśliwie ruszył z miejsca, a Jeff pospieszył do swego motocykla. Widząc sznur autobusów wjeżdżających na drogę od strony miasta, wyprzedził je i wjechał na parking, jakby poruszał się na czele parady.

Podczas gdy setki uczniów zaczęły wylewać się z autobusów, Jeff rzucił się do wejścia.

Wpadł do gabinetu lekarskiego w niecałą minutę po tym, jak zaparkował motor.

Rebeka już tam była; Nichols właśnie ją badał. Skórzana kurtka Jeffa wisiała na krześle.

Kiedy zaczął ją zakładać, do gabinetu weszli Ed Piazza oraz Len Trout. Na ich twarzach widniała prawdziwa troska. Kilka miesięcy wcześniej ze względu na obowiązki Eda Piazzy Trout zajął jego miejsce i został dyrektorem szkoły. Nalegał jednak, żeby Piazza w dalszym ciągu korzystał ze swojego starego gabinetu.

Jeff pomyślał, że kierowca autobusu na pewno zobaczył ciała, nie wspominając już o kałużach krwi na drodze, i prawdopodobnie od razu po przyjeździe wpadł do gabinetu dyrektora, aby mu o wszystkim opowiedzieć.

W tej chwili jednak przejmował się tylko Rebeką. Ze zdziwieniem stwierdził, że kobieta mu się przygląda. W jej oczach lśniły łzy.

- Jeff- powiedziała cicho - dlaczego nie zatrzymałeś autobusów!

424

Erie Flint

Widząc jego zmieszanie, pokręciła ze smutkiem głową.

- Chciałam odesłać dzieci z powrotem do miasta, gdzie byłyby bezpieczne. Oczy Jeffa zaczęły przypominać spodki. Rebeka starła łzy drżącą ręką i wyprostowała się.

- Nieważne - powiedziała stanowczo. W jej ciemnych oczach widać było silne postanowienie.

- Było, minęło.

Jej wzrok ponownie spoczął na Jeffie i na chwilę złagodniał.

- Jeffrey'u Higginisie, dziękuję ci za uratowanie mi życia. Teraz musimy zadbać o życie dzieci.

- O Jezu - wyszeptał Jeff. Rebeka skinęła głową.

- Tak, wkrótce tutaj będą.

Kapitan Gars oderwał na chwilę wzrok od szlaku i spojrzał w niebo.

- Teraz - warknął. - Teraz rozpoczną atak. - Odwrócił głowę i krzyknął do podążających za nim ludzi:

- Szybciej!

ffiazbzml 50

Melissa Mailey nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na widok Julie, która energicznie przestawiała krzesła w jej klasie. Nagle dziewczyna podniosła głowę.

- Pani się ze mnie śmieje! Melissa zasłoniła usta dłonią.

- Ależ nie - mruknęła.

- Właśnie że tak!

Widząc rozzalenie dziewczyny, postanowiła jej to wyjaśnić. W taki sposób, aby był zrozumiały dla osiemnastolatki, która niedawno ukończyła szkołę. Było to trudne. Melissa nie była pewna, czy ktokolwiek przed pięćdziesiątką mógłby to zrozumieć. Zdecydowała się jednak spróbować.

- Pomyślałam sobie, że to zabawne, że tak chętnie mi pomagasz. Przypomniałam sobie, jak ciężko było sprawić, żebyś - żeby którekolwiek z was -zrobiło coś takiego, będąc jeszcze uczniem.

Ku jej zdziwieniu Julie natychmiast rozumiała. Na twarzy młodej kobiety pojawił się uśmiech.

- Och, to wcale nie jest takie trudne do zrozumienia. Wtedy była pani „panią Mailey”, a dziś jest pani... - Jej uśmiech stał się nieśmiały. - Teraz jest pani „panią Melissa”.

Melissa Mailey próbowała zwalczyć nagły przyływ matczynego ciepła, ale już po chwili musiała się poddać. Jej oczy zaszkliły się. Julie momentalnie znalazła się przy niej i zaczęła ją ścisnąć.

- Teraz o wiele bardziej mi się pani podoba - wyszeptała.

I Erie flint

Melissa odwzajemniła uścisk.

- Sobie samej też. Sobie też, Julie.

Od dnia, w którym James Nichols pojawił się w jej życiu, zauważyła, że zmienia się w sposób, w jaki nigdy nie sądziła, że mogłaby się zmienić. Jej podejście do świata właściwie ciągle było takie samo, a jednak znacznie mniej szorstkie. Po spędzeniu połowy swego życia wśród mieszkańców Wirginii Zachodniej Melissa w końcu uznała ich za swoich.

- Nie martw się Alexem - mruknęła i pogłaskała Julie po włosach. - Cały czas ci mówię...

Przerwała i zeszywniała. Z korytarza dochodził gwar wystraszonych głosów. Julie też go usłyszała. Wyprostowała się i spojrzała na drzwi.

- Co się dzieje?

Do pokoju wpadł James Nichols. Rzucił Melissie szybki uśmiech, a potem spojrzał na Julie.

- Poradzisz sobie z półautomatem kaliber 7,62 milimetra? - spytał. - W całej tej cholerniej szkole mamy tylko dwa takie karabiny.

Melissa sapnęła. Julie również. Sapnięcie Melissy było wyrazem zdumienia, a Julie - oburzenia.

- Czy to jakiś żart? Ja potrafię strzelać ze wszystkiego!

James Nichols był z natury pogodnym człowiekiem - był to jeden z powodów, dla których Melissa go kochała -jednak nigdy wcześniej nie widziała na jego twarzy tak niesamowitego uśmiechu.

- Biedne sukinsyny - zaśmiał się. - Wybrali sobie zły dzień na wkurzanie ciężarnych kobiet! Stalowe słupy podtrzymujące daszek nad głównym wejściem do szkoły nie były specjalnie mocne, więc kiedy Jeff gwałtownie zahamował, cała konstrukcja wylądowała na dachu autobusu.

Nie zwracał sobie głowy wyjmowaniem kluczyków ze stacyjki. Nawet gdyby Chorwaci wdarli się do autobusu, nie potrafiliby go uruchomić. Wskoczył i szybko spojrzał na swoje dzieło. Tylko kilka chwil wystarczyło, aby stwierdzić, że główne wejście jest niemal całkowicie zabarykadowane.

„I dobrze. Nie będzie im łatwo przedrzeć się przez szkolny autobus”.

Nagle pojazdem szarpnęło. Kierowca kolejnego autobusu wjechał w tył tego, który Jeff ustawił naprzeciwko głównych drzwi, aby nie pozostawić żadnej luki.

Chwilę później to samo zrobili kierowcy trzeciego i czwartego autobusu, a potem piątego i szóstego.

Jeff nie czekał jednak do końca. Szybko pobiegł w kierunku gabinetu dyrektora. Właśnie tam Rebeka ustanowiła kwaterę główną, gdyż mimo niewielkiej przestrzeni były tu wszystkie urządzenia komunikacyjne szkoły.

Kiedy wpadł do pokoju, Rebeka właśnie rozmawiała przez telefon.

- Chwila, Dan - powiedziała spokojnie i spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Jesteśmy gotowi! - powiedział Jeff. Rebeka skinęła głową i powróciła do rozmowy.

- Zablokowaliśmy cały front szkoły rzędem autobusów. To samo zrobimy z tylnymi wejściami. Uczniowie i nauczyciele, którzy znajdują się w centrum technicznym, przenoszą sprzęt, aby zablokować wejście do swojego budynku. W ten sposób jedyną łatwą drogą dostępu jest przeszklony łącznik między szkołą i centrum technicznym. Nie możemy go zabarykadować, ale spróbujemy ustawić w środku jakieś przeszkody.

Zamilkła, słuchając, co mówi komendant policji, a następnie odpowiedziała:

- Nie, ewakuujemy całą aulę. Zgromadzimy maksymalną liczbę uczniów w klasach na piętrze. Nie wystarczy jednak miejsca dla wszystkich, więc starsi uczniowie przejdą do sali gimnastycznej.

Ponownie zamilkła, a po kilku sekundach znowu odpowiedziała:

- Niewiele, Dan. Dwa karabiny oraz jedenaście pistoletów i rewolwerów, które są prywatną własnością nauczycieli. Jeff ma swoją strzelbę, no i...

Rzuciła mu pytające spojrzenie. Jeff szybko pokazał coś palcami.

- Mówi, że zostało mu czternaście nabojęw.

Przerwała, słuchając Dana. W pokoju słychać było jego donośny głos, grzmiący wprost do ucha Rebeki.

- Tak, wiem, że to żaloszny arsenał. - Kobieta wzruszyła ramionami. - To głupie przeoczenie z naszej strony. W przyszłości bez wątpienia będzie inaczej, ale w tym momencie nie mamy niczego innego poza - skrzywiła się - bogatym asortymentem przyborów kuchennych oraz kijów baseballowych.

Nagle Jeff zobaczył, że Rebeka sztywnieje.

- Nie! Dan, nie możesz! Oni bez wątpienia zaatakują również miasto. Dopóki nie wiemy, gdzie uderzą, wysyłanie tu zbrojnej ekspedycji byłoby czystą głupotą. To są Chorwaci, Dan, najlepsza lekka kawaleria w cesarskiej armii. Nie ustawią się tak ładnie w rzędku jak tercios. Jeśli zauważą, że się zbliżasz, urządzą zasadzkę. Jest ich tak wielu, że są w stanie zatrzymać na drodze każdą liczbę pojazdów, a nie masz żadnych transporterów opancerzonych.

Wszystkie są z armią w Eisenach. Z pistoletów z zamkiem kołowym są w stanie bez problemu zabić ludzi uwięzionych w samochodzie. A jeśli wyjdziecie, użyją szabel i lanc. Dopóki znajdujemy się pod osłoną murów -zarówno tutaj, jak i w mieście - mamy szansę.

- Dan, to głupota! Pomyśl. Na co się zda próba ratunku, jeśli nigdy nie dotrzecie na miejsce?

Wszyscy zginiecie. Najpierw musicie zmiażdżyć

428

Erie Flint

Chorwatów atakujących miasto, a dopiero potem możesz wysłać zbrojną ekspedycję.

Rebeka zacisnęła zęby.

- Dan, posłuchaj mnie! Oni już się zbliżają. Odejdź od telefonu i zajmij się miastem! My ich tutaj będziemy powstrzymywać jak długo się da. Nie próbuj nas ratować, dopóki nie pokonasz Chorwatów w mieście!

Równie zdecydowanym jak jej głos ruchem odłożyła słuchawkę na widełki i natychmiast zwróciła się do Jeffa.

- Najbardziej zagrożonym miejscem będzie sala gimnastyczna. Nie będziemy w stanie zbyt długo powstrzymywać Chorwatów przed wdarciem się na parter. Autobusy uniemożliwią zmasowany atak, ale...

Jeff skinął głową.

- Najpierw rozbijają okna w stołówce. Między autobusami a ścianą budynku jest wystarczająco dużo miejsca, żeby się poruszać jeden za drugim. Jeśli wedrą się do stołówki, to już po ptakach.

Rzucił okiem na duży hol, który prowadził do stołówki. To właśnie tamtędy wróg może wejść do sali gimnastycznej oraz samego centrum administracyjnego. Aby dostać się do sal na piętrze, musieliby sforsować schody, a Jeff już słyszał stukot ławek i szafek, którymi je blokowano. Te przeszkody oczywiście da się pokonać, ale mając wystarczająco dużo broni (poza dwoma karabinami w rękach Julie i Jamesa), można będzie upuścić trochę krwi kawalerzy-stom, którzy próbowaliby się wedrzeć na piętro.

Nie było jednak żadnego innego sposobu zablokowania drogi do sali gimnastycznej poza zamknięciem drzwi. Co prawda same drzwi oraz zamki są bardzo solidne i nie da się ich wyważyć uderzeniami czy kopnięciami, ale Chorwaci mogą przecież skorzystać z tarana.

Jeff skrzywił się ze skruchą. Sam im dostarczył taranów, przewracając słupy podtrzymujące daszek. Odsunął jednak tę myśl na bok. Clausewitz nazywał to „mgłą wojny”, działaniami na polu bitwy, które mają nieprzewidziane konsekwencje.

- Damy sobie radę - stwierdził stanowczo. Zważył w ręku swoją strzelbę. - Jak już się przedrą, to będzie najlepsza broń.

Rzucił Rebecę surowe spojrzenie.

- Ty idziesz na górę. Natychmiast.

- Myślałam, żeby zostać tutaj, gdzie możemy się komunikować...

- Nie ma mowy, Rebeko! Jak się przedrą, to biuro stanie się śmiertelną pułapką!

Ed i Len Trout wpadli do środka. Obydwaj trzymali w dłoniach pistolety.

- Zbliżają się! - krzyknął Piazza. - Z północy, zza wzniesienia. Jedno z dzieci właśnie ich dostrzegło.

- Są ich setki - warknął Trout. - Może nawet powyżej tysiąca. Ed chwycił Rebeke za ramię.

- Chodźmy. Ty idziesz na górę, młoda damo. W tej chwili!

Rebeka już się dłużej nie opierała. Ostatnie spojrzenie skierowała na Jeffa. Jej ciemne, błyszczące oczy były pełne żalu i prośby o wybaczenie. Skazała go na śmierć i zdawała sobie z tego sprawę.

Rzucił jej wesoły uśmiech. A przynajmniej spróbował.

- Spokojnie, Becky! Wszystko będzie dobrze. - Oparł kolbę na biodrze, próbując upodobnić się do Clint Eastwooda ze spaghetti westernu. Dobry, zły i brzydki - wszystko naraz. Plus okulary.

W oczach Rebeki pojawiły się łzy.

- Hidalgo prawdziwie czysty - wyszeptęła.

* * *

- Zabierz Rebeke na górę, Len - powiedział Piazza, kiedy wyszli z biura. - Ja zostanę z Jeffem i dziećmi w sali gimnastycznej.

- Nie.

Ed był zaskoczony. Wysoki, łysiejący były wicedyrektor szkoły piorunował go wzrokiem.

- Teraz ja jestem dyrektorem tej szkoły, Ed, a nie ty. - Kiwnął głową w kierunku schodów. - Na górę. Becky i nauczyciele będą cię tam potrzebować.

Idąc w stronę sali, Trout rzucił jeszcze przez ramię:

- Na górę, panie Piazza.

Ed wpatrywał się w niego z półotwartymi ustami. Rebeka położyła mu dłonie na ramionach, obróciła go i zaczęła popychać w kierunku schodów.

- Chodź, Edwardzie. - Udało jej się słabo uśmiechnąć. - Jak wiesz, jesteśmy w szkole, i chyba nie będziemy się sprzeciwiać dyrektorowi.

Jeff i Len Trout już dawno weszli do sali gimnastycznej, a usta Piazza ciągle były otwarte.

- Słodki Jezu - wyszeptał wreszcie. - Znałem Trouta od dwudziestu lat. To zdanie zabrzmiało jak epitafium.

- Sukinsyny się przeliczyły, jeśli sądzą, że nas stąd wykurzą-warknął Dan. - Zrobimy im tu drugi Matewan^{53.1} jeszcze coś ekstra.

Wskazał dłonią na most nad Buffalo Creek. Był zatarasowany jednym ze szkolnych autobusów, które służyły miastu jako transport publiczny.

- Zabierz tam rekrutów, Gretchen, i zostań z nimi, rozumiesz? Dopóki tam będziesz, nie stracą odwagi.

Kobieta skinęła głową i natychmiast zaczęła wykrzykiwać rozkazy. Chwilę później, trzymając broń kaliber 9 milimetrów w dłoni, poprowadziła młodych Niemców, którzy byli szkoleni na funkcjonariuszy policji, na most. Było ich osiemnaścioro, w tym cztery kobiety. Wszyscy byli uzbrojeni

w strzelby i rewolwery oraz - tak jak Dan i Gretchen - mieli na sobie kamizelki kuloodporne.

Most i znajdujące się obok niego skrzyżowanie trzech dróg stanowiły centrum Grantville.

Skrzyżowanie tworzyło coś na kształt małego placu, otoczonego ze wszystkich stron dwu- lub trzypiętrowymi budynkami. To do nich wlewały się teraz tłumy ludzi z domów i przyczep na północy miasta. Wielu mężczyzn i wiele kobiet miało ze sobą karabiny lub inną broń palną.

Na szczęście ostrzeżenie Rebeki nadeszło na tyle wcześnie, że udało się ewakuować tę część miasta, która znajdowała się bezpośrednio na drodze ataku Chorwatów. Było również wystarczająco dużo czasu, żeby siły policyjne mogły utworzyć zaimprovizowaną milicję obywatelską. Co prawda wiele kobiet i mężczyzn zdolnych do noszenia broni była teraz z armią w Eisenach i Suhl, ale w mieście ciągle jeszcze było sporo ludzi, którzy potrafili użyć broni, szczególnie jeśli w grę wchodziło strzelanie z budynków. Plan Rebeki nie był po myśli Dana Frosta, ale nie mógł zaprzeczyć jego logice.

Komendant policji odwrócił się do Freda Jordana, jednego ze swych zastępców, ale zanim zdążył zadać pytanie, ten już na nie odpowiedział.

- Wszyscy są na miejscu, Dan. - Jordan wskazał na otaczające skrzyżowanie budynki. - W każdym z nich jest któryś z zastępców. Oni zajmą się zorganizowaniem osób, które mają broń. Największym naszym problemem będzie powstrzymanie ataku na szkołę.

Dan przez chwilę przyglądał się skrzyżowaniu.

- Teraz potrzebujemy czegoś, co przyciągnie ich uwagę i wpędzi w zasadzkę. I zanim skończył mówić, ruszył w kierunku skrzyżowania. Fred na chwilę zastygł w miejscu, ale kiedy tylko zdał sobie sprawę, co jego komendant zamierza zrobić, pobiął za nim.

Dan odwrócił się, słysząc jego kroki.

- Uciekaj stąd - powiedział cicho. - Zajmij pozycję w jednym z budynków. Do tego nie potrzeba dwóch osób.

Fred zaczął protestować, ale Dan machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Rób, co ci mówię, do cholery! - Jego twarz skrzywiła się w cierpkim uśmiechu. - Dopóki to miasto chce, żebyśmy się bawili w Wyatta Earpa, mogę to robić z klasą.

Kiedy Mikę odłożył radio, jego twarz była poszarzała.

- Chryste! Zostaliśmy wykołowani - powiedział do stojących wokół niego Franka Jacksona, Harry'ego Leffertsza oraz Alexa Mackaya. Frank spojrział z gniewem na hiszpańskich więźniów, którzy właśnie byli zaganiani do prowizorycznego „obozu wojskowego”. Obóz ten nie był niczym innym jak tylko połacią ziemi u podnóża wzgórza, na którym stał zamek Wartburg. Więźniów trzymało w nim nie ogrodzenie, a doraźny środek w postaci wycelowanej

w nich broni. Obszar obozu był od zachodu otwarty, ale w pobliżu czekały w gotowości trzy katapulty, które w razie problemów w każdej chwili mogły rozpocząć ostrzał ogniem piekielnym.

- Wystali całapieprzoną armię tylko po to, żeby mieć wolną drogę do Gran-tville? - spytał zdławionym głosem Frank.

- Tak, Frank - westchnął Mikę. - Właśnie tak zrobili. Tę armię oraz armię, która maszerowała na Suhl. To tylko akcje dywersyjne, nic więcej.

Wyzywając po cichu samego siebie od niekompetentnych głupców, Mikę rzucił okiem na Mackaya.

- Nie mówię, że nie próbowałeś mnie ostrzegać - mruknął. Szkocki pułkownik pokręcił głową.

- Nie dostrzegasz sedna sprawy, Mikę. Problemem nie jest to, że popełniłeś błąd. - Wskazał na Hiszpanów. - Gdybyś tutaj nie przybył, to nie byłyby tylko akcje dywersyjne.

Splądrowaliby Eisenach i podążyli do Turyngii. A gdyby Heinrich i Tom nie zrobili tego samego na południu, Suhl by teraz płonęło.

I dodał ze złością:

- Więc co innego mogłeś zrobić?

Nie czekając na odpowiedź, Mackay ponownie pokręcił głową.

- Musi do ciebie dotrzeć prawda, że jest was po prostu za mało, Mikę. Pół Europy - a właściwie dwie trzecie! - jest teraz przeciwko wam.

Wskazał ruchem głowy więźniów.

- Armia hiszpańska jest, przynajmniej na lądzie, najpotężniejsza na świecie. Jeśli wyleczą się z obsesji odzyskania Holandii, Boże dopomóż reszcie Europy. - Pokazał na południowy wschód. - A teraz Wallenstein zbiera ogromną armię pod Norymbergą. Ma już pewnie ze sto tysięcy ludzi, siłę równą ludności Turyngii.

Wzruszył ramionami.

- A jak pokonasz ich wszystkich, to co później? Wmaszerujesz do Hiszpanii i Austrii i zmiądzysz Habsburgów w ich własnym legowisku? A co z Ri-chelieu i potęgą Francji?

Wyraźnie widać, że teraz oni również są waszymi wrogami.

Mikę milczał, więc Mackay przeniósł spojrzenie na Franka i Harry'ego. Ale oni też milczeli.

- Jeśli nie zniszczysz dynastii Habsburgów, Francuzów, papieża oraz Polaków i Rosjan, wszyscy oni przez cały czas będą dla was zagrożeniem. A nie masz jak tego dokonać.

Niedługo skończy się amunicja do M-60, a w ciągu roku skończy się amunicja do waszych nowoczesnych karabinów. A tymczasem Habsburgowie ciągle będą mieli pieniądze i żołnierzy. I co wtedy? Jak długo można trzymać Europę na dystans, nawet z waszą techniką? Potęgi występujące przeciwko wam mogą się rozwijać, podczas gdy wy będziecie się ograniczać, a ich jest bez porównania więcej niż was.

432

tnc bhnt

Mikę westchnął głęboko.

- Tak, Alex, ostatnio sporo nad tym myślałem. - Uśmiechnął się smutno. - Właściwie tylko o tym myślałem.

- No to pomyśl o tym później - rzucił Frank. - Teraz trzeba się zająć dzisiejszym dniem. Co chcesz zrobić?

Pytanie otrzeźwiło Mikę'a. Przez kilka sekund obserwował hiszpańskich więźniów, a potem rzekł:

- Wypuście ich. Wszystkich poza oficerami i księżmi. Tych możemy przez kilka tygodni trzymać w zamknięciu w Eisenach. Odprowadźcie resztę jakieś piętnaście kilometrów na zachód, a później każcie im iść dalej. Powiedzcie, że zabijemy wszystkich, którzy zawrócą. Jackson chciał zaprotestować, ale Mikę uciszył go machnięciem ręki.

- Frank, nie mamy czasu zajmować się nimi! Alex skinął głową, zgadzając się z Mike'em.

- Mogę wam zostawić Lennox'a i kilkuset kawalerzystów, żeby jechali z flanki. Reszta moich ludzi i ja sam wyruszamy zaraz do Grantville. - Nie dopowiedział oczywistej rzeczy:

„Kawaleria i tak wróci za późno”.

Poparcie Mackaya umocniło postanowienie Mikę'a.

- Zgadza się. Frank, ty i żołnierze piechoty zostaniecie tutaj tak długo, aż będziecie pewni, że Hiszpanie na dobre odeszli. Harry, zbierz transportery i upchnij do nich tylu ludzi, ilu dasz radę. Natychmiast wracamy.

Rzucił okiem na zegarek.

- Transportery mogą tam dotrzeć w ciągu trzech lub czterech godzin. Ruszamy!

Nie dopowiedział oczywiście rzeczy: „Trzy lub cztery godziny to i tak za późno”.

Jta&suł 57

Większość dzielnic mieszkaniowych Grantville znajdowała się na południe od Buffalo Creek. Chorwaci zbliżali się do miasta właśnie od strony rzeki, jednak ich dowódcy, chcąc wykorzystać element zaskoczenia, uznali, że lepiej będzie przebyć rzekę kilka kilometrów dalej, i rozkazali zatoczyć koło w kierunku północy. Tam, wśród niezamieszkanego wzgórz pomiędzy miastem, szkołą a elektrownią, kawaleria cesarska mogła się poruszać niezauważona.

Prawie niezauważona. Żołnierze napotkali tam niewielką grupę pracowników zajętych obcinaniem gałęzi, które zachodziły na linie wysokiego napięcia. Żołnierze chorwackiej lekkiej kawalerii byli ludźmi lasu, więc zupełnie ich zaskoczyli. Trzech mężczyzn z załogi zostało w ciągu paru sekund zamordowanych. Kawalerzyści chcieli zatrzymać się na chwilę przy kobiecie, ale ich oficer zażądał od nich meldunku, a mimo zasłużonej reputacji dzikusów Chorwaci nie byli niezdyscyplinowanymi grabieżcami, dlatego tylko ścięli jej głowę.

Kiedy dotarli do północnych obrzeży Grantville, dowódcy oddziału kawalerii wysłanego do miasta (około jednej trzeciej całej grupy) rozkazali zaatakować. Wydając okrzyki wojenne, siedmiuset Chorwatów wpadło na małe uliczki, atakując lancami i siekąc szablami...

Trzy psy, kota i panią Flannery. Wdowa, która przez całe osiemdziesiąt jeden lat swego życia była wyjątkowo uparta, odmówiła ewakuacji. Chorwaci zastali ją na podwórku, wykrzykującą w ich stronę te same przekleństwa, które przez długie lata kierowała do swych sąsiadów.

Kawalerzysta,

434

Erie Flint

który ją ściał, zawahał się nawet na kilka chwil, tak był zaskoczony tym widokiem.

Potem kawalerzyści zaczęli wdzierać się do opuszczonych domów, szukając ofiar. „Zabić wszystkich, powiedziano im, szczególnie Żydów”.

Tak jak przewidzieli oficerowie Wallensteina, Chorwaci mieli jedynie mgliste pojęcie na temat tego, jak odróżnić Żydów od gojów, dlatego dla nich rozkaz brzmiał: „zabić wszystkich”.

Jednak nie było kogo zabijać.

- Znowu pusto! - krzyknął oficer, wyprowadzając swych ludzi z kolejnego domu. Podczas gdy składał raport dowódcy, który czekał na ulicy, nie schodząc z konia, jego żołnierze zabawiali się niszczeniem - wybijali okna i cięli szablami meble.

- Ostrzeżono ich - warknął dziko dowódca i wskazał na wysokie budynki widoczne w odległości najwyżej dwustu metrów. - Nie mogli jednak zająć zbyt daleko. Zebrać oddziały! Zanim udało się oderwać żołnierzy od niszczenia domów i ponownie ich zebrać, kilka budynków zaczęło się już palić. Pożary nie były jednak poważne; kawalerzyści zaplanowali błyskawiczny atak i masakrę, nie zabrali więc ze sobą niczego odpowiedniego do podłożenia ognia.

- Do ataku! - ryknął dowódca i siedmiuset Chorwatów pogalopowało z wściekłym wrzaskiem w stronę centrum Grantville.

* * *

Tysiąc pięciuset Chorwatów otaczających szkołę również wrzeszczało z frustracji i gniewu. Nadeszli z północy, ale ich zwiadowcy donieśli, że najłatwiej dostać się do szkoły od południowej strony.

Po dotarciu tam odkryli, że wejścia są zabarykadowane autobusami. Przez chwilę kręcili się zdezorientowani wokół dziwnych żółtych machin tarasujących im drogę.

Generał, który dowodził całą wyprawą, szarpał gniewnie wąsy, przyglądając się badawczo niespodziewanej barykadzie.

- Tu musi być jakieś przejście - warknął - pomiędzy tym... tym czymś a budynkiem. Zsiądźcie z koni i...

James czekał razem z Julie w wychodzącym na południe otwartym oknie klasy, aż oficerowie się zbiorą.

- Ja biorę tego pośrodku - powiedział, nastawiając celownik. - Ty się zajmij...

Julie natychmiast zaczęła strzelać. Trzasktrzasktrzasktrzask. Zanim James zdjął generała (idealny strzał, dokładnie w trójkąt snajperski), już czterech oficerów nie żyło.

Julie wyrzuciła magazynek i wsunęła kolejny. Trzasktrzask. Jeszcze dwóch. Trzask. Kolejny. Jedyny oficer, który przeżył, popędził konia, ale niewiele mu to pomogło. Julie celowała nie dłużej niż sekundę. Trzask.

- Jezu Chryste - wyszeptał James i wytrzeszczył oczy na dziewczynę. Odpowiedziała mu piorunującym spojrzeniem i zaczęła przeładowywać

broń, przedrzeźniając go: „Poradzisz sobie z półautomatem kaliber 7,62 milimetra, Julie?”.

Nichols uśmiechnął się szeroko i podał jej swoją broń.

- Mam pomysł, Julie. Może ty strzelaj, a ja będę za ciebie przeładowywał.

- Świetny pomysł - warknęła.

Kapitan Gars usłyszał pierwsze strzały chwilę przed tym, zanim dotarł do drogi. Droga była szeroka, wyłożona jakąś dziwną substancją, idealnie równa. To najwspanialsza droga, jaką widział w swoim życiu.

Odwrócił głowę w stronę północnego zachodu i zaczął nasłuchiwać.

- Są niedaleko - stwierdził Anders Jónsson. Kapitan Gars skinął głową i chwycił potężną dłonią rękojeść szabli. Anders westchnął. Widać, że kapitan nie ma najmniejszego zamiaru używać pistoletów z zamkiem kołowym. Jak zwykle szabla.

Reszta szwedzkiej kawalerii zaczęła wylewać się na drogę. Kapitan Gars wyciągnął szablę i uniósł ją wysoko.

- Gott mit unsl - ryknął i puścił konia galopem.

Chwilę później czterystu Vastgóta, Finów i Lapończyków kłusowało czymś, co się nazywało amerykańską drogą numer 250. Kierowali się na zachód, a prowadził ich szaleniec.

- Gott mit unsl

- Haakaa paalle!

Atak Chorwatów na centrum Grantville przypominał kłode, która napotyka na swej drodze piłę.

Kiedy tylko dowódca wjechał na główną ulicę, spostrzegł stojącą tam nieruchomo samotną postać. Mężczyzna trzymał w jednej dłoni jakiś przedmiot (być może broń), drugą opierał na biodrze. Miał na sobie mundur z dziwnie wyglądającym napierśnikiem, a jego nakrycie głowy wyglądało raczej „urzędowo”.

Dowódca wyciągnął pistolet z zamkiem kołowym i machnął nim.

- Do ataku!

W czasie natarcia jakaś część jego umysłu odnotowała, że wejścia do budynków zostały zabarykadowane. Ten widok napełnił go radością. Zablokowane drzwi oznaczają, że w środku ukrywają się ludzie. Jak kurczaki czekające na

Dan wazył w rękę pistolet, obserwując zbliżającego się kawalerzystę. Przez chwilę kusiło go, żeby wyciągnąć broń, którą miał jeszcze w kaburze, i strzelić z dwóch na raz. Według wszelkich źródeł, tak właśnie walczył Sid Hat-field⁵⁴ w Matewan, kiedy zastrzelił bandziorów z agencji detektywistycznej Baldwin-Felts.

Szybko jednak stłumił tę chęć. Co prawda opowieści rodzinne mówiły o jego dalekim pokrewieństwie z Sidem Hatfieldem, szeryfem, który dowodził górnikami w walce z bandziorami wynajętymi przez ich firmę, jednak Dan był do tych opowieści sceptycznie nastawiony. Praktycznie każdy, kogo znał, utrzymywał, że jest spokrewniony z klanem Hatfieldów, który pochodził z Wirginii Zachodniej i był jedną ze stron w słynnym konflikcie Hatfield-McCoy.

Bez względu jednak na to, czy Sid Hatfield był jego krewnym, czy też nie, i czy chodzi o wynajętych przez firmę bandziorów, czy też Chorwatów -jego miasto zostało zaatakowane. Dan zachował się więc jak profesjonalista i chwycił obiema rękami automat kaliber 10,16 milimetra. Pierwszy rząd jeźdźców był oddalony zaledwie o czterdzieści metrów.

Zignorował oddane w jego kierunku pierwsze strzały z pistoletów z zamkiem kołowym. Taka broń była bardzo niedokładna, szczególnie w rękach galopujących jeźdźców, więc mógł zostać trafiony tylko i wyłącznie przez czysty przypadek.

Kiedy zaczął naciskać spust, musiał odsunąć od siebie kolejną niemiłą myśl. Dan był zagorzałym przeciwnikiem okrucieństwa wobec zwierząt, a ponadto uwielbiał konie. Mimo to...

Jest zawodowcem.

Opróżnił magazynek z dwunastoma nabojami. Większość pocisków trafiała konie kawalerzystów w klatkę piersiową lub szyję, natychmiast je zabijając, a te, które zostały tylko zranione, potykały się i padały, zrzucając jeźdźców na ziemię. Kolejne, nawet nie trafione, potykały się o leżące ciała. Pół minuty później szarża kawalerii przypominała wodę, która napotkała tamę.

Gdy tylko Dan oddał pierwszy strzał, jego zastępcy i zgromadzeni w oknach budynków uzbrojeni mieszkańcy miasta również zaczęli strzelać. Odległość była niewielka, a na ulicy było pełno jeźdźców, a mimo to z powodu strachu i podniecenia wielu cywilów (i podwładnych Dana) pudłowało za każdym razem, kiedy oddawali strzał. To nie miało jednak znaczenia, każda kula w coś trafiała.

Wrzeszcząc z gniewu i przerażenia, Chorwaci usiłowali odpowiedzieć ogniem, ale ich pistolety z zamkiem kołowym były niecelne, a ponadto strzelający z nich żołnierze siedzieli na wierzgających koniach. Wśród mieszkańców

Grantville, którzy usadowili się na wyższych piętrach budynków, nie było ani jednej ofiary śmiertelnej, a tylko dwie rany pochodziły od kuli. Pozostałe obrażenia spowodowane były odłamkami szkła czy muru. Przytrafiło się również nietypowe wstrząśnienie mózgu - zestrzelony ze ściany portret Elvisa w ciężkiej ramie wylądował na głowie kobiety, która siedziała skulona tuż pod

Dan zamierzał się wycofać zaraz po wystrzeleniu z pierwszego pistoletu, ale gdy zobaczył, że szarża kawalerii została zatrzymana, postanowił pozostać na miejscu. Ostrożnie, niemal czule położył pusty automat na ziemi i wyciągnął z kabury pistolet, po czym ponownie zaczął strzelać.

Jeden ze zrzuconych z konia oficerów próbował się podnieść, potrząsając zapamiętałe głową - ciągle kręciło mu się w głowie po upadku - ale zatoczył się i padł na kolana. Uniósł głowę i obserwował człowieka w mundurze, który sam jeden tak zaskakująco rozbił ich szarżę.

Dan dałby mu spokój, gdyby tamten stracił kapelusz - Chorwaci (a szczególnie oficerowie) bardzo cenili sobie nakrycia głowy - ale jego wyszukany, fantastyczny kapelusz z ogromną ilością piór, w sam raz dobry dla dowódcy, był przywiązany do głowy sznurkiem. Nawet kula, która przeszła między oczami i wyszła z tyłu głowy, nie zdołała go ruszyć z miejsca. Trzymając oburącz broń, Dan zaczął metodycznie zabijać zrzuconych z koni kawalerzystów, którzy wcześniej jechali w pierwszej linii. Zamierzał zachować kilka naboju, żeby osłonić sobie odwrót, ale okazało się, że nie będzie to konieczne. Centrum Grantville, niczym

Matewan podniesione do potęgi, stało się śmiertelną pułapką dla aroganckich napastników. Chorwaci zaczęli się wycofywać.

Właściwie lepsze byłoby określenie „ucieczka”. Wśród jeźdźców galopujących na wschód nie było żadnej dyscypliny ani porządku, po prostu pięciuset spanikowanych kawalerzystów pozostawiło dwustu zabitych i rannych i pędziło drogą, nawet nie wiedząc, dokąd prowadzi. Byle daleko stąd.

Słyszając, że uruchomiono autobus, który blokował most, Dan obrócił się na pięcie.

- Cholera, Gretchen, poczekajcie na mnie!

Gretchen zgromadziła wszystkich niemieckich rekrutów policyjnych w autobusie, żeby w razie konieczności mogli osłaniać Dana. Kiedy jednak zauważyła, jaki jest przebieg bitwy, rozkazała kierowcy ruszać.

Kierowca był starszym, zdezorientowanym i przestraszonym sytuacjączło-wiekiem. Widząc, że jest bezużyteczny, Gretchen chwyciła go za kark i obcesowo wyprowadziła z autobusu, a potem powiodła wzrokiem po tłumie ludzi, który zebrał się na południe od mostu, i ryknęła:

- Potrzebuję kogoś, kto umie to prowadzić! - Potem powtórzyła te słowa po niemiecku.

- Ja umiem! Ja umiem!

Gretchen rozpoznała ten głos, zanim jeszcze jej młodszy brat przedarł się przez tłum. Hans uśmiechał się od ucha do ucha.

- Ja umiem wszystko poprowadzić! - wykrzyknął dumnie, pędząc ku niej. Gretchen zawahała się. Jej brat uwielbiał prowadzić wszelkiego rodzaju

pojazdy i był w tym bardzo dobry, jeśli chodzi o umiejętność dotarcia z jednego miejsca do drugiego w najkrótszym możliwym czasie, jednak dosyć nonszalancko podchodził do tego, co amerykańscy instruktorzy nazywali „ostroż-najazdą”. Jego motto, kiedy siedział za kierownicą, brzmiało: „I tak nie można żyć wiecznie, więc po co się grzebać?”.

Ale przecież chodziło o czas, a nie znała nikogo, kto dotarłby szybciej do szkoły.

- W porządku - warknęła - ale bądź ostrożny. - Nawet dla niej samej te słowa zabrzmiały absurdalnie.

Hans wspiął się po schodkach autobusu i rzucił na siedzenie kierowcy.

- Dokąd? - spytał, uruchamiając silnik.

Marszcząc brwi, Gretchen obserwowwała główne skrzyżowanie. Plan autorstwa Dana, zakładający pościg za Chorwatami, niewątpliwie był nierealny. Ulica była zawalona ciałami martwych koni i ludzi, a zrobienie przejazdu zajęłoby przynajmniej kwadrans. Jak zauważyła, autobusy, którym Dan kazał stać kilka dzielnic dalej, docierały już na miejsce i czekały na jego zastępców i innych uzbrojonych ludzi znajdujących się jeszcze w budynkach. Dopóki przeszkody nie zostaną usunięte, jej autobus był jedynym, który mógłby natychmiast wyruszyć.

Już miała rozkazać Hansowi, by jechał drogą na południe od Buffalo Cre-ek, równoległą do drogi, którą uciekali Chorwaci, kiedy spostrzegła biegnącego w ich kierunku Dana.

Komendant policji miał jechać w jednym z pozostałych autobusów, ale chyba doszedł to takich samych wniosków jak Gretchen.

Chociaż bardzo jej się spieszyło, aby dogonić i ukarać najeźdźców, a także ratować szkołę, postanowiła na niego zaczekać. Po pierwsze, Dan Frost strzelał z pistoletu najlepiej w całym mieście, a po drugie, nigdy by jej tego nie wybaczył.

W ciągu paru sekund, których Dan potrzebował na dotarcie do autobusu, Gretchen pospiesznie wyjaśniła Hansowi i rekrutom nowy plan.

Kiedy już wszyscy znaleźli się w autobusie, Hans zamknął drzwi i tak ostro nadepnął na gaz, że Dan musiał się chwycić poręczy przy drzwiach, żeby nie

O szlag! - syknął, widząc, kto siedzi za kierownicą.

On umie wszystko poprowadzić - powiedziała stanowczo Gretchen.

Autobus tak gwałtownie przechylił się na zakręcie, że sama musiała chwycić za poręcz.

- Wszystko - powtórzyła, ale już nie tak stanowczo.

Następny zakręt Hans pokonał jak szarżujący kawalerzysta. Prawe tylne koła autobusu uderzyły w krawężnik, omal nie wyrzucając rekrutów z pospiesznie zajętych miejsc.

- O cholera - zaklął komendant policji. Teraz trzymał się poręczy oburącz, aż pobielały mu kłykcie.

Na następnym zakręcie rozległ się huk - to Hans zmasakrował znak stopu.

- Wszystko - powtórzyła Gretchen i zaczęła się modlić. - Gott mit uns.

lifazbzml 58

Harry Lefferts był tak strapiiony informacjami dochodzącymi przez radio, że omal nie spowodował wypadku. Droga, którą jechała kolumna transporterów prowadzona przez wóz Harry'ego, bardzo się różniła od nowoczesnej autostrady. Przednie opony ciężarówki do przewożenia węgla wpadły w wielką koleinę i Harry'emu z trudem udało się odzyskać panowanie nad pojazdem.

Mike wstrzymał oddech, ale nic nie powiedział, a kiedy już miał pewność, że Harry ponownie kontroluje pojazd, pochylił się do przodu i odłożył radio na widełki.

- W mieście wszystko w porządku - westchnął z ulgą, choć niewielką. Prawdę mówiąc, Mike niezbyt się przejmował miastem. Wiedział, że jest tam Dan i jego policja i że mieszkańcy miasta są dobrze uzbrojeni, więc szybko odeprą atak wroga. GranUdlle stało się siedemnastowieczną niemiecką wersją typowego miasta na Dzikim Zachodzie. Chorwaci mieli właśnie się przekonać, co znaczą słowa jakiegoś amerykańskiego przestępcy: „Łatwo się mówi o złu-pieniu miasta, gorzej, gdy trzeba tego dokonać”.

- Jak sądzisz, co ze szkołą? - Harry wypowiedział jego myśli na głos.

- Tak naprawdę wolę o tym myśleć. Nie mają dużo broni, i jeśli nawet zablokowali wejścia, tak jak nam powiedziano, nie powstrzymają Chorwatów dłużej niż kilka minut.

Zapadła cisza. Kolumna transporterów jechała na zachód; znajdowała się teraz w połowie drogi między Eisenach a Grantville. Wszyscy mężczyźni i kobiety, stłoczeni w transporterach do granic możliwości, milczeli. Nie było nic do powiedzenia. Los ich dzieci nie spoczywał w ich rękach.

Banda Chorwatów kotłowała się na parkingu i ryczała jak stado rozwścieczonych byków. Rozwścieczonych... i przerażonych. Większość już zsiadała z koni, a reszta gorączkowo usiłowała zmusić konie do odsunięcia się od tego straszego okna.

Przez jakiś czas próbowali odpowiadać ogniem, jednak była to przegrana sprawa. Pociski leciały w ich stronę tak szybko, jak szybko James był w stanie przeładowywać.

Trzasktrasktrasktrask. Trzasktrasktrasktrask. Śmierć zbierała żniwo.

Szybko zorientowali się, że to demon zsyła na nich śmierć. Potwór, który przyjął postać dziewczyny, na dodatek nawet ładnej. Ci, którzy byli wystarczająco głupi, żeby obserwować okno, umierali w ciągu paru sekund.

* * *

James przeładowywał i zamieniał karabiny i był pełen podziwu. Wiedział, że dziewczyna trenowała biathlon, a w tym sporcie przykłada się wagę do szybkiego oddawania strzału i przenoszenia się do kolejnego celu, czuł jednak, że jest świadkiem czegoś naprawdę wyjątkowego.

Twarz Julie Sims nie wyrażała niczego poza koncentracją. Niczego. Była jak w transie.

Maszyna do zabijania. Mimo że nie ustawiała celownika, ani razu nie spudłowała.

Obserwujący ją James Nichols traktował to niemal jak przeżycie religijne. Zmaterializował się tutaj anioł i oświadczył, że zgodnie z wolą Boga każdy człowiek w promieniu stu metrów należy do niego.

Kosa znowu cięła. Trzasktrasktrasktrask. Anioł śmierci zbierał żniwo.

* * *

Autobus wyjechał z bocznej drogi niemal na dwóch kołach i wypadł na drogę numer 250 zaraz za ostatnimi uciekającymi Chorwatami. Zbliżali się do wschodnich obrzeży miasta. Do szkoły pozostały tylko trzy kilometry.

Dan już wcześniej wybił kolbą strzelby okno po swojej stronie.

- Gazu! - rozkazał i już po chwili się skrzywił.

- Haaalooo! - wrzasnął Hans i wcisnął pedał gazu w podłogę. Autobus gwałtownie popędził do przodu.

- Boże, pomóż nam - mruknął komendant policji. Zaparł się w wejściu do autobusu i uniósł strzelbę. Stojąca za nim Gretchen przygotowała swoją. Siedzący na swoich miejscach niemieccy rekruci również trzymali broń w pogotowiu.

Chwilę później Chorwaci znaleźli się już w zasięgu strzału i Dan zaczął strzelać. Kolejny anioł śmierci zbierał żniwo.

Hans musiał nieco zwolnić, kiedy omijał (a nierzadko również przejeżdżał) leżące na jezdni ciała. Wkrótce jednak znowu mógł przyspieszyć. Spanikowani

442

Erie Flint

Chorwaci zjechali teraz z drogi, desperacko próbując uciec przed pędzącą za nimi przerażającą machiną.

Ci, którzy pojechali na północ, byli bezpieczni, jednak ci, którzy zjechali na południowy nasyp, wpadli w śmiertelną pułapkę.

Buffalo Creek płynęła wzdłuż drogi numer 250 w odległości mniejszej niż trzydzieści metrów. Kiedy tylko na drodze nie było już ciał, Hans ponownie przyspieszył. Chwilę później autobus jechał już na wysokości grupy cesarskich kawalerzystów, którzy galopowali brzegiem rzeki, szukając brodu.

I wtedy rekruci ustawieni w oknach z prawej strony autobusu zaczęli strzelać. Chorwaci jechali o wiele za szybko (i na dodatek po zdradzieckim terenie), żeby próbować strzelać z pistoletów. A uciec nie było gdzie.

Ten obrazek przypomniał Danowi stare zdjęcie w kolorze sepii, które kiedyś widział: stada bizonów dziesiątkowane przez strzelających z pociągu myśliwych.

Wreszcie cesarscy kawalerzyści rzucili się do wody, próbując przedostać się na zalesione wzgórza na drugim brzegu. Co prawda od czasu Ognistego Kręgu poziom wody znacznie opadł, ale Buffalo Creek ciągle jeszcze bardziej przypominał niewielką rzekę niż strumień. W rezultacie wielu Chorwatów utonęło, a jeszcze więcej straciło konie.

Dan wreszcie dał im spokój. Dostali już za swoje i nie myśleli o niczym innym poza ucieczką. O wiele bardziej martwił się szkołą, która znajdowała się w odległości jeszcze półtora kilometra.

- Gazu! - rozkazał.

Hans usłuchał, a Dan powrócił do szeptania modlitw.

* * *

Sporej grupie Chorwatów udało się w końcu wepchnąć w wąskie przejście między autobusami i frontową ścianą budynku. Byli ściśnięci jak sardynki, ale przynajmniej ukryci przed tą przerażającą strzelbą w oknie.

Wybicie okien w stołówce pistoletami i szablami oraz wtargnięcie do budynku szkoły zajęło im tylko kilka chwil.

Kapitan Gars prowadził wojsko w górę wzniesienia, w stronę szkoły. U jego boku jechał Anders Jónsson. Już z daleka widzieli setki kręcących się w kółko chorwackich kawalerzystów.

- Jeszcze nie jest za późno - mruknął kapitan i uśmiechnął się do Andersa. - Prawda?

Następnie machając szablą, krzyknął:

- Naprzód! Naprzód!

Natychmiast rozbrzmiały okrzyki bitewne:

- Gott mit uns! Haaka pddlle!

Niektórzy kawalerzyści przeszukiwali kuchnię, większość jednak wybiegła ze stołówki do holu i stamtąd zaczęli się rozłazić po całym budynku szkoły.

Ci, którzy posuwali się korytarzem prowadzącym do centrum technicznego, natychmiast napotkali przeszkodę. Ci, którym udało się wybić szyby w przeszklonym przejściu łączącym szkołę i centrum techniczne, próbowali wyważyć drzwi do centrum.

Ale bezskutecznie. Drzwi zostały zablokowane podnośnikiem widłowym. Któryś ze stojących na zewnątrz kawalerzystów wrzasnął z wściekłością:

- Znajdźcie taran!

Pozostali Chorwaci ruszyli w kierunku schodów prowadzących do klas na piętrze. Słyszeli dochodzące z góry piski i krzyki wystraszonych dzieci, wie- dzieli, że w końcu ich cel jest na wyciągnięcie ręki.

Jednak na gorze natknęli się na barykady oraz ludzi uzbrojonych w pistolety i rewolwery. Wywiązała się strzelanina.

Jeden z nauczycieli został postrzelony w ramię. Oberwał również Ed Piaż-za, który strzelał z pistoletu, wychylony ponad barykadą. Kula przeleciała między dwiema szafami na akta i trafiła prosto w jego klatkę piersiową, miażdżąc żebra i przebijając płuco.

Melissa natychmiast uklękła przy nim, rozpaczliwie usiłując zatamować krew. Ku jej uldze zaraz pojawiła się Sharon Nichols z zestawem pierwszej pomocy. Teraz razem walczyły o życie Eda, a tymczasem inny nauczyciel chwycił jego pistolet i przyłączył się do walki.

Różnica w uzbrojeniu obu stron była ogromna, dlatego bitwa trwała krótko. Chorwaci strzelali z pistoletów, których nabicie wymagało bardzo dużo czasu, natomiast nauczyciele mieli pistolety automatyczne i rewolwery.

Wkrótce Chorwaci musieli się wycofać do przedsionka, gdzie dali upust swojej frustracji. Część z nich wpadła do biblioteki i zaczęła niszczyć meble, komputery, rozrzucać książki. Inni robili to samo w centrum administracyjnym. Jeszcze inni rzucili się na gabloty wiszące na zachodniej ścianie przedsionka i zaczęli rozbijać szkło zamiast czaszek, ciąć szablami zdjęcia zamiast twarzy i sieć puchary sportowe zamiast wrogów.

W tym czasie jeszcze inna grupa kawalerzystów zaatakowała szerokie drzwi w północno-wschodniej części przedsionka, które prowadziły do sali gimnastycznej. Wprawdzie pojawiły się już jakieś pęknięcia, jednak na razie drzwi były zbyt mocne, żeby je rozwalić.

I znowu ktoś krzyknął:

-Znajdźcie taran!

Julie zauważyła zbliżającą się kawalerię w tym samym momencie, kiedy usłyszała ich krzyki. Coś w tych okrzykach brzmiało znajomo, zupełnie nie przypominało skrzeków Chorwatów. Była jednak całkowicie pochłonięta strzelaniem. W karabinie miała nowy magazynek, więc skierowała celownik na ogromnego mężczyznę dowodzącego natarciem i już miała nacisnąć spust...

Ale zawahała się.

Uniosła głowę i przyjrzała się. Wzrok Julie (jak można się spodziewać po strzelcu wyborowym) był wręcz fenomenalny.

- Jezu Chryste - szepnęła. - Kurwa mać, nie wierzę!

Kątem oka zobaczyła, że grupa Chorwatów (w sumie może z dziesięciu) również dostrzegła nowe zagrożenie i zaczęła atakować. Julie skierowała na nich broń. Trzasktrzasktrzasktrzask.

- Zmiana! - krzyknęła. James momentalnie podał jej drugi karabin. Anioł śmierci powrócił na pole, znowu zbierając żniwo.

Anders starał się wyprzedzić kapitana Garsa, aby osłonić go przez nadjeżdżającymi Chorwatami.

Ale nie dało się. Kapitan zawsze jeździł na najlepszych wierzchowcach w Europie.

- Szaleniec! - zaklął Jónsson. Kapitan Gars uniosł szablę.

- Gott mit uns!

Nagle pierwszy szereg atakujących Chorwatów zaczął spadać z siodeł jak lalki. Ani kapitan, ani Jónsson nie rozumieli, co się stało. Słyszeli odgłos przypominający rozdzieranie materiału, ale nie rozpoznali go jako wystrzału z karabinu.

Pozostali Chorwaci zaczęli ich atakować. Kapitan Gars wytrącił broń z dłoni pierwszego napastnika, a następne cięcie sprawiło, że jeździec spadł na ziemię z odciętym ramieniem. Anders tradycyjnie zaczął walkę od pistoletów. Miał cztery: po jednym w obu dłoniach i dwa w kaburach przy siodle. Wszystkich użył w ciągu pierwszych paru sekund, usiłując bronić kapitana Garsa przed atakującymi go Chorwatami.

Odrzucił zużyte pistolety i chwycił za szablę. W panującym zamieszaniu nie było czasu na przeładowywanie tej nieporęcznej broni.

Tymczasem kapitan Gars powalił kolejnego Chorwata. I jeszcze jednego. Jego potężne ciosy przypominały uderzenia siekiery. Ale był już otoczony.

I znowu potężny odgłos rozdarł niebo i Chorwaci pospadali z siodeł. Na widok ich zakrwawionych piersi Anders zrozumiał, że zostali trafieni w plecy.

Strzały padły gdzieś z góry. Uniósł głowę i natychmiast dostrzegł stojącą w oknie postać.

W przeciwieństwie do kapitana, miał dobry wzrok.

- Jezu Chryste - wyszeptał. - Psia mać, nie wierzę!

Kapitan Gars uśmiechał się dziko, omiatając wzrokiem pole walki, co było dosyć trudne ze względu na jego krótkowzroczność.

- Dobrze idzie, prawda? - spytał.

Na twarzy Andersa Jónssona pojawił się szeroki uśmiech.

- Bardzo dobrze, kapitanie Gars. Sądzę, że czuwa nad nami anioł.

* * *

- Zmiana! - znowu krzyknęła Julie.

W następnych latach Vastgöta z nabożną czcią mówili o końcowym ataku kapitana Garsa.

Był niczym tytan miażdżący wrogów jak zabawki. Finowie, jako lud bardzo przesądny, utrzymywali, że jego szabla zamieniła się w magiczny miecz, który powalał wrogów na długi przed tym, zanim znaleźli się w jego zasięgu.

Lapończycy, których chrześcijaństwo ograniczało się jedynie do nazwy, doszli do wniosku, że nie jest zbyt mądrze wspominać o swych duchach plemiennych w obecności pobożnych luteranów, ale ich zdaniem jeden z tych duchów bez wątpienia jechał tego dnia na ramionach kapitana.

Jedynie Anders Jónsson i kapitan znali prawdę. Anders - gdyż sam widział tego anioła, pobożny kapitan - gdyż rozpoznał jego dzieło.

- Gott mit uns! - ryknął ponownie, znów atakując. I rzeczywiście, Bóg podążał razem z nim, kładąc trupem każdego Chorwata, który stawał na drodze kapitana.

Hol był tak zapchany kawalerzystami, że przyciągnięcie tam słupa, który kiedyś podtrzymywał zadaszenie, zajęło trochę czasu. Kolejne minuty upłynęły na wrzaskach, przekleństwach i rozkazach, aby zrobić miejsce dla tarana.

W końcu rozległy się odgłosy uderzeń i drzwi zaczęły się rozpadać.

* * *

Kiedy autobus znajdował się w odległości około stu metrów od podjazdu do szkoły, chorwacka kawaleria właśnie zaczęła w panice zjeżdżać ze wzgórza.

- Co, do cholery... - mruknął Dan.

Chwilę później już wykrzykiwał nowe rozkazy, a Gretchen pilnowała, żeby je wykonano.

Rekruci policyjni ponownie stanęli w oknach ze strzelbami i rewolwerami w dłoniach.

Zaczęła się rzeź.

Kiedy dotarli do podjazdu, Hans omal nie przewrócił autobusu, próbując zakręcić. Nie stracił jednak dobrego humoru.

- Haaalool - wrzeszczał, wjeżdżając wprost w tłum cesarskich kawalerzystów wylewających się ze szkoły. Kilku z nich zmiażdżył pod kołami i o mały włos znowu nie przewrócił pojazdu, przejeżdżając po martwym koniu. Rekruci cały czas strzelali, siejąc popłoch i masakrując wroga. Wściekła Gretchen otworzyła z hukiem tylne okno i także zaczęła kroić ze swojego automatu. Chorwaci uciekali w kierunku drogi numer 250 i Buffalo Creek.

Na parkingu Hans gwałtownie zahamował. Patrzyli w osłupieniu na to, co się tam działo. Cały teren przed szkołą był miejscem bitwy. Grupa Chorwatów desperacko walczyła z grupą jakichś innych żołnierzy. Szabla przeciwko szabli, pistolet przeciwko pistoletowi.

Komendant policji nie miał pojęcia, kim jest druga grupa żołnierzy, ale natychmiast rozpoznał w nich sprzymierzeńców. Jasne było, że to oni wygrywają.

- Strzelać do Chorwatów! - ryknął.

Ciągle jeszcze, i to znacznie, Chorwaci przewyższali liczebnie swych szwedzkich i fińskich przeciwników, ale uderzenie, które zadał im od tyłu kapitan Gars, ostatecznie złamało ich ducha. Pozostawiając setki zabitych i rannych, cesarska kawaleria rozpoczęła odwrót.

Jeszcze przez jakiś czas ścigał ich ogień z autobusu, potem Dan wraz z Gretchen i rekrutami popędzili w kierunku szkoły. Z samych krzyków można było wywnioskować, że w środku ciągle jeszcze są wrogowie.

Kapitan Gars i Anders oraz Vastgóta i Finowie zsiadli z koni i zaczęli się przeciskać wąskim przejściem między szeregiem autobusów a murem szkoły. W stołówce ciągle jeszcze były tuziny Chorwatów, ale żaden z nich nie patrzył w kierunku okien. Wszyscy stali wokół drzwi i czekali, aż będą mogli się przyłączyć do ataku na salę gimnastyczną. Jak można było wnosić z okrzyków towarzyszących hukowi tarana, już niedługo miała się rozpocząć rzeź.

Jeff stał samotnie pośrodku sali gimnastycznej. Trzymał w dłoniach strzelbę i obserwował potężne podwójne drzwi. Zaczynały się już rozpadać i nie sądził, żeby miały wytrzymać dłużej niż kilka chwil.

Tymczasem Len Trout kończył zaganiać uczniów do najwyższych rzędów ławek. Na dole zostali sami najstarsi chłopcy, uzbrojeni w kije baseballowe.

- Tylko tyle możemy zrobić - mruknął Trout i pomaszerował na środek sali, aby zająć pozycję obok Jeffa. Podniósł zamek w automacie i szybko upewnił się, że jest odbezpieczony.

- Tylko tyle możemy zrobić - powtórzył.

Jeff milczał; nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć, żeby nie zabrzmiało melodramatycznie i kliwie. Postanowił więc spędzić ostatnie chwile swojego życia myśląc o żonie i mając nadzieję, że ich nienarodzone dziecko będzie tak samo szczęśliwe, jak on był.

Zamek u drzwi ustąpił i drzwi otworzyły się z hukiem. Śmierć wbiegła do sali, wrzeszcząc i siejąc zniszczenie.

- Gott mit unsl

Okrzyk bitewny kapitana był sygnałem do ataku. Vastgóta i Finowie wraz z Garsem i Andersem rzucili się przez okna do środka stołówki.

Chorwaci zostali zupełnie zaskoczeni. Nie zdążyli nawet się odwrócić, a kapitan Gars już przy nich był. Wyglądali obaj z Andersem jak dwa niedźwiedzie grizzly brutalnie atakujące swoje ofiary. Szybko oczyścili drogę do drzwi, a Chorwaci, którzy padli po tym ich szaleńczym ataku, zostali jeszcze dodatkowo zmiażdżeni przez żołnierzy kapitana.

- Gott mit unsl Haakaa paalle!

* * *

- To wszystko, Julie - powiedział Nichols, podając jej karabin. - Poza tym nowym magazynkiem nie ma już amunicji.

Dziewczyna oparła pusty karabin o ścianę, chwyciła drugi i ruszyła w kierunku drzwi. Po chwili z korytarza dobiegły jej krzyki.

- Zrobić przejście! Zrobić przejście! Cholerajasnadodiabła- zrobić przejście!

W szaleńczym przedzieraniu się przez tłum uczniów i nauczycieli Julie nie używała kolby karabinu (choć tak później utrzymywali uczniowie, którzy zostali powaleni). Prawda wyglądała zupełnie inaczej. Ważąca sześćdziesiąt kilogramów cheerleaderka po prostu świetnie naśladowała dwukrotnie większego od niej cofniętego obrońcę.

James pobiegł za nią. Mimo troski (wiedział, że ta przekłeta dziewczyna wraca do walki) nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kiedy doszedł do końca korytarza, gdzie Julie gorączkowo wspinała się na barykadę, zauważył bladą twarz Melissy i uśmiech zniknął z jego twarzy. Melissa dostrzegła go w tym samym momencie.

- O Jezu, James, pospiesz się! Ed został postrzelony!

- Zabierzcie te pieprzone autobusy z drogi! - ryknął Dan Frost, ale kiedy zobaczył, jak Hans wspina się przez wybite okno autobusu umieszczonego przed głównym wejściem do szkoły, cicho zaklął.

-Nie ten! Hans, on jest zablokowany przez pozostałe. Musisz najpierw ruszyć tamte, zanim... Ale Hans miał własne wyobrażenie na temat tego, jak powinien ruszyć autobusy. Jego teoria bazowała na energii kinetycznej, a ponadto niezbyt brał pod uwagę koszty naprawy zniszczonych pojazdów. Pół minuty później wejście do szkoły stało otworem.

Chorwaci zaczęli wybiegać na zewnątrz, chcąc uciec przed szalonym natarciem Szwedów, ale tutaj natknęli się na rekrutów z naładowanymi i gotowymi do strzału strzelbami.

Rekruci właściwie pełnili funkcję plutonu egzekucyjnego. Z około setki cesarskich kawalerzystów, którzy zdołali opuścić budynek szkoły, tylko mniej niż połowie udało się dotrzeć do parkingu.

Kiedy ogień ustał, Dan i Gretchen poprowadzili rekrutów do szkoły. A właściwie próbowali, gdyż nie sposób było przedrzeć się przez wypełniający hol tłum żołnierzy. Byli to Vastgota kapitana Garsa, którzy ciągle podążali za szaleńcem.

* * *

Schodząc po schodach, Julie natknęła się na czterech Chorwatów, którzy szli tyłem na górę, opędzając się gorączkowo od dwukrotnie większej liczby Finów.

Julie przeciągnęła kosą- trzasktrzasktrzask - i droga była wolna. Finowie z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami odsunęli się na boki. Sposób, w jaki ta młoda kobieta schodziła po schodach, deptając ciała tych, których chwilę wcześniej powaliła, przypominał im o ich pogańskich wierzeniach.

A żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wejdzie w drogę Loviatar, bogini cierpienia, pani bólu.

Jeff rozerwał pierwszy szereg Chorwatów na krwawe strzępy. Z tej odległości (mniej niż piętnaście metrów) naboje z jego strzelby przebijały lekką zbroję cesarskich kawalerzystów jak bibułkę.

Kiedy zaczął gorączkowo przeładowywać broń, Len Trout wyszedł przed niego i uniósł automat.

Mimo ogromnej odwagi Len nie miał jednak doświadczenia w posługiwaniu się bronią. Co prawda pięciu Chorwatów padło, ale trzech z nich było jedynie rannych. Chwilę po tym, jak Len wystrzelił ostatni nabój z magazynka, powaliło go cięcie szablą. Został ranny w głowę. Było dużo krwi, ale rana nie była śmiertelna, jednak kolejny cios niemal odciął mu głowę.

Tymczasem Jeff przeładował karabin i ponownie zaczął wściekle strzelać. Szybkość strzałów była tak wielka, że brzmiało to jak uderzenie pioruna. Morderca Trouta i stojący u jego boku ludzie padli.

Po chwili magazynek był już pusty. Jeff ciągle miał w kieszeniach naboje na jeszcze jeden magazynek, ale zanim zdążył przeładować, dopadli go Chorwaci.

Pierwszy z nich zaatakował go wysoko uniesioną szablą. Jeff wyszedł mu na spotkanie. Zanim jego strzelba zmiażdżyła szczękę Chorwata, ten zdążył jeszcze zdziwić się, że taki ogromny mężczyzna potrafi tak szybko się poruszać.

Potem jego szabla przecięła prawe ramię Jeffa i powaliła go na podłogę. Momentalnie cała ręka i bok były we krwi. Jedyne grubej skórzanej kurtce zawdzięczał to, że uderzenie nie odcięło mu kończyny.

Leżąc na podłodze, oszołomiony Jeff obserwował, jak mężczyzna z dzikim wrzaskiem unosi szablę do ponownego uderzenia.

I wtedy głowa Chorwata została przecięta na pół szablą, która spadła jak młot pradawnych bogów. Chorwat padł na kolana. Szarpnięcie potężnej dłoni oswobodziło klingę z czaszki ofiary i odrzuciło Chorwata na bok.

Oślupiały Jeff zobaczył nad sobą uśmiechającego się do niego mężczyznę. Był wysoki, potężny, ciężki jak wół. Miał ogromny nos i błyszczące jak lód bladoniebieskie oczy.

* * *

Wznosząc okrzyki wojenne, kapitan Gars poprowadził atak na salę gimnastyczną. Anders trzymał się u jego boku; zaraz za nimi byli Vastgóta i Finowie. Ściany, od których kiedyś odbijały się okrzyki cheerleaderek, teraz znosiły gniewne wrzaski Skandynawów.

Gott mit uns!

Kapitan, który powalił Chorwata szykującego się do zabicia młodego Amerykanina, stał nad nim jak bóstwo opiekuńcze i wydawał swoim żołnierzom rozkazy. Zepchnięcie reszty Chorwatów pod ścianę sali gimnastycznej zajęło im mniej niż piętnaście sekund.

Potem dowodzeni przez Andersa Vastgóta stanęli murem przed rzędami siedzeń, aby chronić uczniów, a Finowie ruszyli na wroga.

Ci cesarscy kawalerzyści, którzy przeżyli atak (było ich może ze dwudziestu), próbowali się poddać, ale Finowie postawili im twarde warunki.

Haakaa paalle!

* * *

Julie i Gretchen jednocześnie dopadły do rozbitych drzwi sali gimnastycznej. Kilka kroków za nimi podążał Dan Frost.

Jeff leżał na podłodze, a wokół niego klęczało kilkoro uczniów przeszkolonych w udzielaniu pierwszej pomocy i próbowało zatamować krwawienie z rany. Gretchen przepchnęła się do męża, przyklękła i szlochając, ułożyła jego głowę na swoich kolanach.

- W porządku - wymamrotał Jeff i nawet słabo się uśmiechnął. - W porządku, kochanie. To tylko powierzchowna rana. - Przewrócił oczami i zemdlął.

* * *

Julie stała w drzwiach, przyglądając się kapitanowi Garsowi. Jej oczy były wielkie jak spodki. Kapitan też był ranny, choć nie było to nic poważnego, a przynajmniej tak wyglądało.

Jednakże Jónsson nalegał, żeby kapitan zdjął skórzany kaftan oraz bluzę, aby opatrzyć ranę.

Gars miał bardzo jasną skórę, a na piersi gęszcz blond włosów. Pod warstwą tłuszczu przeżyły się potężne mięśnie.

- Widzisz? Wszystko jest w porządku - burknął kapitan i wskazał ranę wzdłuż żeber. Cięcie było płytkie i długie może na siedem centymetrów; wkrótce będzie to tylko jeszcze jeden ślad na torsie pokrytym sporą ilością blizn. Kapitan Gars wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na krew, która ciekła mu po biodrze.

450

Erie Flint

Anders westchnął z irytacją i podał mu chustę, którą kapitan przycisnął do rany.

Nagle kątem oka dostrzegł, że ktoś się do niego zbliża. Odwrócił głowę i uśmiechnął się szeroko.

Ostatnich kilka metrów Julie pokonała biegiem. Chwilę później, również nie zwracając uwagi na krew, ścisnęła ogromne ciało kapitana. Wyglądali oboje jak wiewiórka obejmująca niedźwiedzia.

Początkowo kapitan wydawał się zaskoczony, jednak już po chwili dzika twarz wojownika złagodniała. Odwzajemnił uścisk - najpierw trochę nieufnie, jakby się bał, że może zmiażdżyć dziewczynę silnymi ramionami, kiedy jednak wyczuł jej mięśnie i przypomniał sobie jej siłę ducha, jego uścisk stał się ciepły i mocny.

- F porzotku - mruknął w twardym, dziwnym angielskim. - Ja nie ciężko ranny.

Julie odsunęła twarz od piersi kapitana i spojrzała na niego piorunującym wzrokiem.

- Mogli cię zabić! - pisnęła. - Chyba jesteś szalony!

- Tak - stwierdził ponuro Anders. - Kapitan jest szaleńcem. Wszyscy o tym wiedzą.

Kiedy chwilę później Rebeka weszła do sali gimnastycznej, Julie ciągle ścisnęła kapitana i ganiła go za lekkomyślność i szaleństwo. Kapitan Gars sprawiał wrażenie, że nie wie, jak sobie poradzić z tą sytuacją; było jasne, że nie przywykł być karconym. A Anders Jónsson i wszyscy Vastgóta uśmiechali się od ucha do ucha.

„W końcu ktoś przywoła szaleńca do porządku!”.

Rebeka roześmiała się. Dan Frost, który stał obok niej, zmarszczył ze zdziwienia brwi.

- Nie kapuję - syknął. - Czy Julie zna tego faceta? Mówią, że nazywa się kapitan Gars.

Rebeka na chwilę spoważniała.

- O tak, już się spotkali.

Przyglądała się potężnemu mężczyźnie i jej spojrzenie powoli łagodniało.

- Co za szaleniec - mruknęła. - Nie robił tego od lat. Jeśli wierzyć historycznym książkom, od czasu, kiedy był młodym człowiekiem. - Ponownie się zaśmiała.

-Ciągle nie...

- Z tego co wiem, kapitan Gars był jedynym królem w historii, który podróżował w przebraniu prostego żołnierza. W książkach utrzymują, że przebył w ten sposób połowę zachodniej Europy.

Komendant policji otworzył szeroko oczy i opadła mu szczeka.

- Tak, tak - zaśmiała się Rebeka. - Kapitan Gars to Gustavus Adolphus Rex Sueciae.

GLzęśi siabtrm

Tygrysie, błysku w gąszczach mroku:

W jakim to nieśmiertelnym oku

Śmiał wszcząć się sen, że noc rozświetli

Skupiona groza twej symetrii?

dRazbizitl 59

Kiedy dotarli do Grantville, Mikę wiedział już, co ma robić.

Nawet jeśli wcześniej nie był do końca zdecydowany, to na pewno przekonał go monolog Harry'ego Leffertsa podczas jazdy do Eisenach. Gdy tylko usłyszeli w radio, że odparcie wojsk cesarskich zostało okupione niewielkimi własnymi stratami, wszyscy jadący na odsiecz mogli się odprężyć. Przez dwie ostatnie godziny Harry pogodnie, a nawet entuzjastycznie wyjaśniał im różne sposoby zabezpieczenia Stanów Zjednoczonych przed ewentualnym przyszłym atakiem.

Drut kolczasty. Miny lądowe. Fortece najeżone karabinami gatlinga („Mówię ci, Mikę, damy radę!”) i katapultami z napalmem („Greg mówi, że jesteśmy w stanie zrobić również bomby fosforowe, dużo lepsze niż napalm!”). O wiele liczniejsza armia („Pobór powszechny, do diabła!”) i rozbudowa akademii wojskowej, którą już wcześniej zdecydowali się założyć.

Balony obserwacyjne i lotnie zwiadowcze. „Może nawet trujący gaz”.

Festung Amerika! Twierdza Ameryka i wszystko, co się z nią wiąże.

Kolumna jadąca z odsieczą dotarła wreszcie do centrum Grantville i teraz poruszała się powoli wśród wiwatującego tłumu. Harry zatrzymał transporter opancerzony i odwrócił się do Mikę'a z szerokim uśmiechem.

- No i jak, szefie, co o tym sądzisz? Mikę nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Zupełnie jakbym słyszał drugiego Simpsona, Harry.

Uśmiech Harry'ego momentalnie zniknął, a za to pojawiło się pełne oburzenia spojrzenie.

Młody górnik nienawidził Simpsona!

434

Łnc rtint

Mikę nie mógł powstrzymać chichotu; w tym momencie przyjaciel przypominał małego chłopca, którego oskarżono o to, że lubi dziewczynki.

- Pomyśl, Harry. - Mikę przez chwilę słuchał wrzasku tłumu, który przenikał nawet przez ściany transportera. Nie było w tym niczego złego. Był to przecież tylko ryk zwycięskiego narodu, który oddawał cześć swoim żołnierzom. Nie ma się czego obawiać, o ile tylko wystarczająco szybko się skończy.

Ale to trwało, trwało i trwało...

Festung Amerika! Ale przecież cała Ameryka nie zmieści się w fortecy, a już na pewno nie w tak małej jak Turynia. Zgodnie z teoriami znawców sztuki wojennej, kraj nieuchronnie będzie zmierzał do poszerzenia swojej przestrzeni życiowej, oczywiście kosztem sąsiadów. A za tym pójdzie reszta, niepowstrzymana jak lodowiec sunący w kierunku morza. Drang nach Osten! Amerika iiber alles!

Harry najwyraźniej ciągle tego nie rozumiał. Mikę zaczął już sapać ze zdenerwowania, ale zmusił się do opanowania swojej niecierpliwości. Tłumaczył wszystko jak nauczyciel, od nowa, ciągle od nowa, aż do skutku.

- Zastanawiałeś się może, dlaczego Wallenstein kazał swoim Chorwatom zaatakować przede wszystkim szkołę, a nie miasto?

- Skąd mam wiedzieć? To żądny krwi sukinsyn, wszyscy tak mówią. Mikę pokręcił głową.

- Nie, nie, czytałem o nim w książkach historycznych. Nie był, właściwie to nie jest sadystą, Harry. On nie jada niemowląt na śniadanie, jest po prostu bezduszny. I bez wątpienia jest najsprytniejszym z naszych wrogów, sprytniejszym nawet niż Richelieu.

Ktoś zaczął bębnić w drzwi transportera, żądając, żeby wyszli ze środka. Tłum chciał ich w odpowiedni sposób powitać.

„Nie ma się czego obawiać, o ile tylko wystarczająco szybko się skończy”. Mikę zaczął otwierać zamek w drzwiach.

- Pomyśl o tym, Harry. Wallenstein chciał zniszczyć szkołę, gdyż rozumie nas lepiej od nas samych. Wie, co naprawdę jest niebezpieczne.

Zamek był już otwarty i ktoś z zewnątrz pociągnął za drzwi. Pojawiło się morze wiwatujących twarzy, a oklaski były niemal ogłuszające.

Przed wyjściem z transportera Mikę jeszcze raz zerknął na Harry'ego. Młody górnik ciągle nie rozumiał, ale wyglądało na to, że wcale mu to nie przeszkadza. Harry Lefferts wiedział, komu ma ufać, bez względu na to, czy rozumie, czy też nie.

- Więc jak, szefie - krzyknął - masz jakiś inny plan? Mikę uśmiechnął się szeroko.

- Szczerze mówiąc, mam. - Zaczął wychodzić z wozu, ale zanim jego stopy dosięgły ziemi, został porwany przez tysiące rąk i poniesiony przez ulice w radosnej procesji.

Dziękował im, machając rękami i uśmiechając się radośnie. „Skoro pyton może strawić kozę, to może ja też jakoś to przetrwać” - pomyślał.

Nie mógł się już doczekać, kiedy dotrze do szkoły, oczywiście po to, żeby zobaczyć żonę.

Wiedział, że Rebeka jest bezpieczna, ponieważ to ona nadała ostatni komunikat przez radio, ale mimo to chciał ją objąć i tulić do końca świata.

Poza tym...

„Muszę porozmawiać z kapitanem. Mam nadzieję - będę się modlił - żeby był tak szalony, jak wszyscy utrzymują”.

Mazbzi 50

- Jesteś szalony — warknął Gustaw Adolf i swoją mocną dłońią zatoczył szeroki łuk. - W twojej głowie panuje taki sam bałagan, jak w tym pokoju.

Biblioteka ciągle wyglądała jak pobożowisko, gdyż uczniowie nie zdążyli ułożyć książek przed przybyciem Mike'a, który od razu nalegał na prywatne spotkanie z „kapitanem Garsem” W pokoju były tylko trzy osoby: Mikę, Gustaw i Rebeka. Siedzieli w ustawionych w półokrąg fotelach.

Król z wściekłością wbił wzrok w wysokiego mężczyznę.

- Szaleniec!

Mikę znał wystarczająco dobrze niemiecki, żeby zrozumieć. Nie czekając na tłumaczenie Rebeki, odwzajemnił wściekłe spojrzenie króla.

- Czyżby? - parsknął niemal szyderczo. - A może prawdziwym szaleńcem jest król szwedzki, który uważa, że jest w stanie ustanowić Corpus Evangelicorum w środkowej Europie? Protestancką konfederację, podczas gdy większość protestanckich sprzymierzeńców jest jej niechętna, a prawie wszystkie podbite terytoria są katolickie.

Mikę wyciągnął rękę i zatoczył szeroki łuk z zachodu na południe. Monarcha doskonale go zrozumiał, mimo że znajdowali się w bibliotece i mężczyzna pokazywał na półki z książkami.

- A co proponujesz zrobić z Frankonią? - spytał. - Albo z „Kleszą Uliczką”? Król milczał.

- A Palatynat? - naciskał Mikę. - Górny, i Dolny? Albo Szwabia i Wirtembergia?

Gustaw zacisnął mocno zarysowane szczęki.

- Kościół państwowy musi istnieć.

Mikę znowu nie czekał na tłumaczenie. Wzruszył ramionami.

- Zgadzam się na Corpus Evangelicorum, jeśli ograniczy się do luteran-skich księstw północnego Cesarstwa. Pomorze i Meklemburgię bezpośrednio kontrolujesz, a Brandenburgia-Prusy i Saksonia są, formalnie rzecz biorąc, twoimi sojusznikami. Jeśli przekonasz ich, żeby się przyłączyli, luteranizm nie stanowi żadnego problemu.

Mikę poczekał, aż Rebeka przetłumaczy to, co powiedział. Król spojrzał na niego gniewnie, słysząc słowa „formalnie rzecz biorąc”, ale nic nie powiedział. Cóż mógł powiedzieć?

- Awjaki sposób chcesz ustanowić luteranizm jako oficjalne wyznanie w środkowym Cesarstwie Niemieckim, którego większość - poza Hesją-Kas-sel i Turyngią- jest katolicka? - kontynuował Mikę.

Król znowu wbił w niego wściekłe spojrzenie, ale Mikę nie odwrócił wzroku.

- W dodatku to my kontrolujemy Turyngię. I nie zgodzimy się na kościół państwowy.

Rozdzielenie państwa i kościoła jest jedną z naszych fundamentalnych zasad!

Odpowiedziało mu jedynie gniewne spojrzenie.

Rebecce z trudem udało się nie wybuchnąć śmiechem. Kiedyś Melissa wyjaśniła jej znaczenie „nowoczesnego” pojęcia samca alfa. Wtedy logika tego wyjaśnienia wydawała jej się wysoce podejrzana, ale teraz, kiedy patrzyła na swojego męża i króla Szwecji, musiała przyznać, że jednak ma ono w sobie coś z prawdy. Gdyby nie fakt, że mierzyli się w walce o władzę, a nie o kobietę, ci dwaj mężczyźni w bibliotece przypominaliby jej dwa samce morsa w okresie godowym.

Zdecydowała, że konieczna jest interwencja kobiecego rozsądku. Rebeka nie do końca wiedziała, do czego zmierza Mikę, ponieważ mieli zaledwie chwilę na uścisk i wymianę paru słów, zanim mąż zaczął nalegać na prywatne spotkanie z „kapitanem Garsem”, sądziła jednak, że jest w stanie zgadnąć. Wiele, wiele razy wcześniej Mikę mówił jej o tym, czego najbardziej się obawia: że Stany Zjednoczone, które próbuje stworzyć, staną się kolejną europejską tyranią, a nie szkołą dla całego rodzaju ludzkiego.

- Może... - odchrząknęła. - Może byłby możliwy jakiś kompromis? Dwie pary błyszczących niebieskich oczu spojrzały na nią gniewnie, ale Rebeka bez trudu wytrzymała ich spojrzenia.

- Wasza Wysokość musi pamiętać - zwróciła się do króla aksamitnym głosem - że mój mąż jest przyzwyczajony do jasności i prostoty swoich poglądów politycznych. - A do Michaela syknęła po angielsku: - Przestań się wreszcie mądrzyć!

458

Erie Flint

Żaden z mężczyzn nie do końca zrozumiał, co powiedziała drugiemu. Rebeka postanowiła więc kuć żelazo, póki ono nie wie, co się dzieje.

- Właśnie, kompromis! W tych księstwach przyszłego królestwa - nazwijmy je chwilowo Konfederacją Europejską - które są bezpośrednio pod władzą dynastii Wazów, luteranizm będzie oczywiście religią państwową. Ale w innych...

- Nonsens! - ryknął król. - Nie można sprzeniewierzać się podstawie monarchii! To niedopuszczalne!

Rebeka nic sobie nie robiła z tego wybuchu.

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość, ale proszę pamiętać, że podstawą monarchii jest osoba Gustawa II Adolfa Wazy, króla Szwecji, a nie...

- ...a nie kapitana Garsa.

Król gwałtownie zacisnął szczęki, a Michael wytrzeszczył na nią oczy.

- Chyba powinnam powiedzieć „kapitana generała Garsa” - kontynuowała Rebeka. - Tytuł będzie oczywiście dziedziczny w linii szwedzkich Wazów. Ale skoro kapitan generał nie jest królem...

Przerwała. Michael czuł się zagubiony w tej niejasnej logice, ale król już po chwili zaczął się uśmiechać. On widział sens w tym, co przedstawiła Rebeka.

- Hmm... - mruknął. - Ciekawe. Jako wojskowy, kapitan generał nie będzie się cieszył prestiżem popartym jakimś konkretnym kościołem. Monarcha otrzymuje władzę z rąk Boga i w związku z tym musi wspierać prawowity boży kościół. Ale kapitan generał mógłby pozostawić sprawy stricte religijne pastorom. I oczywiście księżom - dodał gorzko.

- I rabinom - wtrącił Mikę.

Gustaw znowu obrzucił go wściekłym spojrzeniem, ale po chwili machnął ręką.

- Tak, tak, oczywiście. Jak tylko uchwali się prawo, reszta będzie już łatwa.

- Uważam, że kapitan Gars już dawno temu powinien był otrzymać awans - kontynuowała Rebeka.

Gustaw wybuchnął śmiechem.

- Ty podstępna kobieto! - Przez krótką chwilę obserwował ją z podziwem, następnie przeniósł spojrzenie na jej brzuch. - Jeśli urodzi się dziewczynka - zachichotał - pewnie nazwiesz ją Kirke.

Rebeka zaśmiała się, a po chwili dołączył do niej Michael. Król potarł swój okazały nos.

- Hmm... Jest jeszcze ten niedorzeczny pomysł - warknął - że tylko niższa izba parlamentu - reprezentanci ludu, jeśli wolicie - miałyby wyłączną kontrolę nad podatkami i skarbcem. - Jego głos urósł do ryku. - To absurd! To zupełnie niedorzeczne!

- Nie wystarczy, że jestem gotów dać ci Izbę Lordów tylko dla twoich nędznych arystokratycznych sprzymierzeńców?! - odpowiedział równie ostro Mikę.

- Chcesz, żeby te bezwartościowe pasożyty decydowały również, jaki będą płacić podatek? - Jego krzyk był równie głośny jak króla. - Nie ma mowy! Niższa izba parlamentu musi mieć prawdziwą władzę, a przeklęta arystokracja niech się cieszy tymi swoimi falbaniastymi wdziankami!

Teraz król Szwecji ryczał jak lew, broniąc nadanych mu przez Boga praw króla i dominującej pozycji arystokracji, a prezydent Stanów Zjednoczonych warczał jak tygrys, broniąc wyższości głosu ludu.

- Rodzina królewska musi rządzić, a nie tylko być u władzy! - Na to Mikę ostro odpowiedział:
- Miliony na obronę, ani centa na daninę!

Trwało to nieprzerwanie dłuższy czas. Prawdę mówiąc, aż siedem godzin.

Od czasu do czasu głos Rebeki przebijał się przez burzę słów jak ostrze między żebrami.

Wreszcie ryki zaczęły zamierać, pojawiały się: „hmmm...”, „no cóż, można by o tym pomyśleć..”, po czym rozmówcy znowu powracali do zacieklej kłótni, ale za każdym razem coraz bardziej idąc na ustępstwa.

W przedsiönku za drzwiami biblioteki zgromadzili się pozostali członkowie rządu Stanów Zjednoczonych, a w ciągu godziny przybyli również wszyscy mieszkańcy Grantville, którzy sprawowali ważniejsze funkcje. Część zebranych osób musiała przejść do stołówki szkolnej, gdzie czekali na pospieszne sprawozdania tych, którzy podsłuchiwali trwającą w bibliotece gwałtowną kłótnię.

Na początku Melissa i jej zwolennicy zebrali się wokół jednego stołu, natomiast Quentin ze swoją frakcją wokół drugiego. W końcu jednak, jak gdyby w wyniku cichego porozumienia, spotkali się we dwoje w przedsiönku.

- Martwię się, Quentin - oznajmiła Melissa. - Myślę, że rozumiem, co Mikę chce zrobić. Jeśli Stany Zjednoczone staną się częścią Konfederacji Europejskiej, będziemy mieli chwilę wytchnienia. Będziemy mogli się rozwijać i... - szukała słów - i uczyć, zamiast zamieniać się w państwo garnizonowe.

Quentin skinął głową.

- Zgadza się. A jeśli dobrze rozumiem ostatni fragment ich rozmowy, Mikę właśnie zdobył połowę Frankonii i resztę Turyngii. Myślę że idzie na całość. -Na chwilę jego wzrok stał się rozmarzony. - Będzie piekielna ekspansja na rynek, to pewne. Wszystkie firmy w Stanach zaczną się rozwijać na łeb, na szyję. Sama kolej... - Przerwał na chwilę, pocierając ze zmartwioną miną podbródek. - Jednak...

- Jednak... - powtórzyła Melissa i ciężko westchnęła - wygląda na to, że on chce oddać przywileje polityczne za ochronę wojskową i rozwój ekonomiczny.

Ponownie westchnęła.

- Nie, jestem dla niego niesprawiedliwa. To fakt, że nie ustąpił w żadnej kwestii dotyczącej Karty Praw. Nie zrobiłby tego. Ale boję się, że jest w stanie ustąpić w innych kwestiach w zamian za...

460

Erie Flint

- Mikę?-parsknął Quentin.-Melisso, ja kiedyś negocjowałem z tym upartym sukinsynem warunki kontraktu. Nie wspomnę już o tysiącu zażaleń.

Kierownik kopalni zmarszczył brwi.

- Tym się nie martwię. Mikę negocjuje tak zażarcie jak pitbull - puści nogę dopiero wtedy, gdy jaoskubie z mięsa. - Teraz to on ciężko westchnął. - Cholera! Chodzi o to, że jestem konserwatystą i nie podobają mi się radykalne zmiany. A to, co Mikę proponuje... - Wzniósł w górę rękę. - Jezu! Jakiś pieprzony króli \

Przez chwilę, która mogła się już nigdy nie powtórzyć, Quentin i Melissa byli tego samego zdania. Nagle jednocześnie parsknęli śmiechem.

- Spójrz na to w ten sposób - zachichotała Melissa. - Skoro nam dwojgu jakoś udaje się przebywać we własnym towarzystwie, to może im się też uda? - Spojrzała na przeszklone drzwi biblioteki. Gustaw i Mikę stali teraz naprzeciwko siebie, krzycząc i dziko gestykulując. -Ach, ten testosteron! - Melissa uśmiechnęła się szyderczo i przeniosła wzrok na Rebekeę. - Bogu dzięki za kobiecy rozsądek.

Quentin ponownie parsknął i już zamierzał wygłosić jakąś sarkastyczną uwagę, kiedy jego spojrzenie także padło na Rebekeę. Ironiczny śmiech zamienił się w radosny chichot.

- Wierz mi lub nie, ale zgadzam się z tobą. - Spojrzył na nią spode łba. -Tylko ten jeden raz.

Skończyło się, przynajmniej pierwsza runda. Odprężony Gustaw Adolf rozwalił się na krześle.

- Axel będzie na mnie wściekły - powiedział, uśmiechając się smutno. - Oskarży mnie o to, że jestem bezmyślnym chłopem, który dał się wykiwać Cyganowi.

Mike spojrzął na drzwi biblioteki - każdy centymetr szkła wydawał się wypełniony twarzami.

- Ja też prawdopodobnie oberwę - przyznał. - Nazwą mnie zdrajcą sprzedającym własny kraj obcej koronie.

Oderwał wzrok od drzwi i spojrzął na króla. Żaden z nich nie wyglądał na rozgoryczonego.

- Nieważne! - warknął. - Jeśli będę musiał, zarządzę nowe wybory i będę z nimi wszystkimi konkurował. I oczywiście wygram - dodał z pasją.

Król chrząknął z satysfakcją.

- Mówisz jak prawdziwy Waza!

Przyszły dziedziczny kapitan generał Stanów Zjednoczonych wymienił spojrzenia z przyszłym prezydentem. Było w nich całe bogactwo znaczeń. Zaakceptowanie przyszłych sporów, które pewnie niejednokrotnie będą ostre. Uznanie faktu, że siebie nawzajem potrzebują. Uświadomienie sobie, że ich wspólna droga będzie pełna zasadzek. Szacunek, a nawet podziw. A nade wszystko wspólne pragnienie stworzenia lepszego świata na ruinach starego.

- Dziękuję za uratowanie naszych dzieci, kapitanie Gars - powiedział łagodnie Mike.

Król przytaknął z entuzjazmem; jego oczy wydawały się błyszczeć.

- Twój mąż to kawał drania - zwrócił się do Rebeki. - Myśli, że nie rozumiem jego podstępu.

Myśli, że ciągle będę chronił jego potomstwo, dając mu wystarczająco duży świat, żeby mogło wyrosnąć na zdrowych, silnych i wysokich jak olbrzymi ludzi.

Rebeka uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

- I ty też! - Król dotknął czoła teatralnym gestem. - Biedni Wazowie przyszłości. Będą się trudzić w pocie czoła, żeby ochraniać rosnącego między nimi potwora.

Król skrzywił się jak pierwszorzędnny aktor.

- Oxenstierna ogłosi mnie głupcem. Posądzi mnie o zaszczepienie pasożyta w ciele Szwecji i Konfederacji. Corpus Evangelicorum żywiące zżerającego je od środka robaka. Oskarżeniom nie będzie końca!

Rebeka nadal milczała, cały czas się uśmiechając. Król odwzajemnił uśmiech, i tym razem nie było w nim niczego teatralnego. Był delikatny, spokojny i pewny siebie.

- Niech tak będzie - zgodził się wreszcie Gustaw II Adolf. - Jeśli ktoś chce, to uzna również nienarodzone dziecko za pasożyta. Aleja nie mam takiego zamiaru.

Oparł potężne dłonie na kolanach i powoli wstał. Wydawał się wypełniać swoja olbrzymią postacią całą bibliotekę szkolną. Potem wyprostował się i wykrzyknął proste wyzwanie dla samego siebie i dla całego świata.

- Waza! Zawsze Waza!

^tazbzm 51

Alex Mackay i jego kawalerzyści dotarli do Grantville następnego dnia. Kiedy Szkot dowiedział się, że jego ukochana narzeczona (szalona dziewczyna!) była w samym środku walki, natychmiast pobiegł jej szukać. Musiał się upewnić, że naprawdę nic jej się nie stało. Jednakże ukochana ukrywała się przed nim.

- On mnie zabije, kiedy się dowie, że jestem w ciąży - jęczała. - Już jestem martwa.

- Zostaw to mnie - skwitował jej słowa nowy obrońca. - Żadna krzywda ci się nie stanie.

I nie stała się, kiedy Alex w końcu odnalazł Julie w bibliotece, ukrywającą się za potężnymi plecami króla Szwecji.

- Nie będę tolerował takiego zachowania jednego z moich oficerów - burknął Gustaw, zapominając o swojej własnej, nie do końca nieposzlakowanej historii. - Nieprawe pochodzenie to wstyd przed Bogiem!

Tak się składa, że Alex absolutnie nie był zły na Julie. Kiedy usłyszał nowinę, był wręcz zachwycony. Nie miał jednak czasu zapewnić o tym swej narzeczonej, gdyż król od razu zagonił go do duchownego, a sam zajął się dopilnowaniem reszty przygotowań. Karen Reading była oszołomiona i uradowana jego obecnością. Jej sklep z artykułami ślubnymi właśnie otrzymał iście królewską reklamę.

Pobrali się następnego dnia. Mimo tempa, w jakim wszystko zostało zorganizowane, ślub oglądała większość mieszkańców miasta. Popularność Julie i Alexa przyciągnęła jedynie część tłumu; większość gapiów zjawiła się tam, aby spojrzeć na Gustawa Adolfa. A właściwie na kapitana generała Garsa, gdyż taki był tytuł, którym wkrótce miano się do niego zwracać podczas oficjalnych wizyt w Stanach Zjednoczonych. Wieści o negocjacjach szybko się rozniosły i każdy chciał na własne oczy przekonać się, jak wygląda ta nowa tajemnicza postać w ich politycznym panteonie. Ogólnie rzecz biorąc, byli pod wrażeniem. Wrażenie to wzrosło, kiedy ogłoszono, że kapitan generał oddał swego najwspanialszego rumaka w prezencie panu młodemu, a panie młodej nadał arystokratyczny tytuł. Julie Mackay, nazwisko panieńskie Sims, była cheerleaderka, strzelec wyborowy armii Stanów Zjednoczonych, została teraz baronową na niewielkich włościach na krańcach Laponii, w północnej Szwecji.

Król obiecał jej również parę nart.

- Będziesz ich potrzebowała - zapewnił ją - jeśli kiedykolwiek zechcesz tam jechać. Tak przy okazji, wspaniale się tam poluje. Nie proponuję ci nowej broni. Twój karabin i tak jest najlepszy na świecie.

Tydzień później Axel Oxenstierna przybył do Grantville i stało się dokładnie tak, jak Gustaw II Adolf przewidział. Jego kanclerz o mało nie dostał ataku apopleksji, kiedy usłyszał o nowych politycznych planach króla. Axel rzucał gromy, próbując desperacko przekonać monarchę, że Konfederacja Europejska z republiką pośrodku („Nie sądz, że omamią mnie te głupoty z kapitanem generałem! Oddałeś im też Frankonię!”) wkrótce stanie się końcem („Prędzej czy później!”) arystokracji w Europie.

Jednak król nie chciał zmienić zdania. Dwa dni później zabrał Oxenstienę w pewne miejsce w Turynii, zwane Buchenwaldem.

- W innym świecie, Axelu, to będzie miejsce kaźni. - Potężne szczęki Gustawa zacisnęły się. - I to wcale nie najstraszniejszej! - Wskazał palcem na wschód. - Prawdziwa rzeź będzie miała miejsce w PolsceNiRosji, w miejscach zwanych Oświęcim, Sobibór i Treblinka. /

^

Patrzył uporczywie na swego kanclerza.

- W tamtym świecie dziadek naszego nowego prezydenta będzie zmuszony przedzierać się w to miejsce, żeby garstka ludzi mogła przeżyć. A wiesz czemu?

Następnie król wskazał na północny wschód.

- Ponieważ w tamtym świecie, kanclerzu Szwecji, ja zginę za mniej niż trzy miesiące, na polu bitwy pod Lutzen. - Kąciki jego ust uniosły się w górę. - Prawdopodobnie dowodząc lekkomyślną szarżą kawalerii.

Krótką chwilą dobrego humoru minęła. Gustaw głęboko odetchnął, opierając dłonie na kuli siodła. Obserwował krajobraz, jakby w swojej wyobraźni patrzył na całą Europę.

- Moja śmierć pogrzebie szanse wydarcia Niemiec ze szponów książąt. Ty, Axelu, będziesz walczył - dobrze i bohatersko - o uratowanie tego, co się da,

463

tnc flint

ale to nie wystarczy. Niemcy zostaną skazane na te stulecia, które później nadejdą, a świat zostanie skazany na takie Niemcy.

Wyprostował się w siodle.

-Ale nie teraz! Już nie! Nie w tym świecie!

Jego kolejne słowa zakończyły dyskusję.

- Rozumiem wolę Boga, Oxenstierna. To dla swojego planu, w swojej łasce stworzył Ognisty Krąg. Tylko ślepiec albo niewierzący mógłby tego nie rozumieć. Tak więc nie chcę już o tym słuchać Rozumiesz, kanclerzu Szwecji? Jestem Wazą!

Axel pochylił głowę. Akceptował jeśli nie mądrość swego króla, to jego wolę.

* * *

Akceptacja woli nie oznaczała oczywiście przyjęcia wszystkich szczegółów, w związku z czym w następnych tygodniach Axel Oxenstierna, najwytrawniejszy ze szwedzkich dyplomatów, rzucił się w wir ostatecznych negocjacji. Wreszcie na koniec poczuł się o wiele lepiej. Co prawda cały plan z założenia mu się nie podobał, jednak Oxenstierna był człowiekiem praktycznym i szybko odkrył, że polityczny spryt takich ludzi, jak Piazza (dochodzący teraz do siebie po odniesionych ranach), Francisco Nasi i bracia Abrahama oraz Michael Stearns (a w szczególności jego żona), może się stać kolejnym atutem w sprawie jego króla.

Tak więc - mimo że nie do końca wierzył w końcowy efekt - mógł się pocieszać jednym pewnikiem:

„Drzyjcie, panowie Niemiec. Na świecie pojawiła się nowa rasa”.

Miesiąc po ślubie Julie miała okazję użycia swojego najlepszego na świecie karabinu. Kiedy kolumna pancerna Stanów Zjednoczonych przedzierała się przez cesarskie umocnienia wzniesione przy Burgstall, Julie pokonała samego Wallensteina.

Król Szwecji oczywiście tego nie popierał, gdyż według wojskowego protokołu tamtych czasów celowa próba wyeliminowania dowódcy wrogiej armii uważana była za poniżającą i odrażającą. Jednak kapitan generał już zaczynał akceptować niektóre posunięcia amerykańskich wojskowych, a im wydawało się, że zastrzelenie dowódcy bezwzględnej wrogiej armii jak wściekłego psa będzie rozsądne (nie mówiąc już o tym, że moralne).

Tak więc kapitan generał nie protestował, kiedy Julie zaczęła celować.

- To dobre tysiąc metrów, dziewczyno - mruknęła Karen. - Ten cały Wallenstein wcale nie wrywa się do dowodzenia na pierwszej linii.

Karen dosyć łatwo rozpoznała jego postać; stał na umocnieniach Alte Feste.

- Jesteś pewna, że to on? - spytała Julie.

- Tak. W jednej z książek w szkolnej bibliotece jest jego portret. Gapiłam się na niego przez godzinę, starając się zapamiętać tę brzydką twarz. To na pewno on.

Uspokojona Julie obserwowała wroga przez celownik. Rzeczywiście był brzydkim sukinsynem, przypominał jej postać diabła z kreskówek.

- Wiatr? - spytała.

- Trudno powiedzieć - mruknęła Karen. - Tutaj nie ma wiatru, ale na szczycie wzgórza? - Wzruszyła ramionami. - Zaczynaj, zakładając, że nie ma wiatru. Postaram się dostrzec, gdzie padnie pierwsza kula.

Julie zaczęła mierzyć wysokość. Strzał miał paść na maksymalną możliwą odległość, a to wymagało najwyższych umiejętności i pełnej koncentracji. Wypchnęła wszystko z umysłu - odgłos transporterów, które przebijały się przez niższe umocnienia, ogniste wybuchy napalmu, który niszczył boczne okopy -wszystko z wyjątkiem diabła w oddali.

Kiedy nacisnęła spust, wystrzał jak zwykle trocheja zaskoczył.

- Cztery metry obok! - krzyknęła Karen. - Na dziewiątej! Idealna wysokość!

Julie sama to zauważyła. Jeden z oficerów stojących po prawej stronie Wallensteina został ugodzony w klatkę piersiową, natomiast sam generał stał i przyglądał się z otwartymi ustami, jak żołnierz pada.

Julie znowu wycelowała, uwzględniając kierunek wiatru. Widziała głowę dowódcy; patrzył na nią i ciągle miał otwarte usta.

Trójkąt snajperski. „Już nie żyjesz, skurwielu”.

Strzał był idealny, jednak lecąc na tak dużą odległość, kula zwolniła do szybkości dźwięku, zboczyła z celu i chybiła o kilka centymetrów. Zamiast przebić gardło, zmiażdżyła szczękę Wallensteina.

Generał wojsk cesarskich osunął się w ramiona generała Gallasa, ochlapując krwią swoich podwładnych.

- Cholera - warknęła Julie i wsunęła kolejny nabój do komory. Ponownie strzeliła.

Tym razem kula trafiła Wallensteina w ramię. Jęcząc z bólu, usiłował wykrzyknąć do Gallasa: „Opuść mnie niżej, idioto!”, jednak zdenerwowany generał nie mógł zrozumieć słów wydobywających się z jego pokiereszowanych ust. W ten sposób to jego głowa znalazła się na linii strzału kolejnego pocisku. Wallenstein, leżąc w końcu w bezpiecznym miejscu poniżej linii umocnień, mógł tylko gapić się bezmyślnie, jak mózg generała rozpryskuje się na kamieniach.

„Krzyżyk na drogę” - taka była jego ostatnia myśl, zanim zemdlął z bólu i szoku.

Julie westchnęła, opuściła głowę i wymruczała kilka przekleństw. Kapitan generał ukląkł przy niej i chcąc ją pocieszyć, położył na jej ramieniu ciężką

rękę. Dzięki sportowym okularom, które mu podarowała, Gustaw widział, co się stało.

- Nieważne - powiedział. - Nie zbierze teraz swych ludzi. Tylko to się liczy.

Potem uniósł głowę i zaczął przyglądać się bitwie. Kolumna pancerna Stanów Zjednoczonych przebiła się przez zewnętrzne umocnienia na zboczu Burg-stall. M-60 umieszczone w jadącym z przodu transporterze miażdżyło kontratak z Alte Feste. Tysiące szwedzkich kirasjerów i fińskich kawalerzystów pędziły przez wyrwę w umocnieniach. Szwedzcy pikinierzy i arkebuzerzy, którzy ustawieni byli na skrzydłach w odległości półtora kilometra od opancerzonego natarcia, również atakowali. Kapitan generał uśmiechnął się, widząc na przedzie piechotę amerykańską. Nawet z tak dużej odległości słyszał niesamowitą szybkość ich strzałów.

- Nieważne - powtórzył. - Armia Wallensteina padnie, i to wkrótce. Już odnieśliśmy zwycięstwo większe niż to pod Breitenfeld. Zaufaj mi, dziewczyno, mam w tych sprawach spore doświadczenie.

Julie uniosła głowę i spojrzała na niego gniewnie.

- I pewnie zamierzasz dowodzić kolejną idiotyczną szarżą kawalerii?

Gustaw II Adolf, król Szwecji i władca terytoriów nadbałtyckich, niedawno koronowany na cesarza Konfederacji Księstw Europejskich, oraz kapitan generał Stanów Zjednoczonych, pokręcił głową.

- Wybacz! Czyja wyglądam na takiego szaleńca?

Kiedy Mikę wrócił tego wieczoru z Alte Feste, kapitan generał kazał mu jechać do domu.

- Przecież to ja dowodzę armią Stanów Zjednoczonych na polu bitwy! - ryknął w odpowiedzi na protesty Amerykanina. - Taka była umowa!

- Nie jesteś mi tu potrzebny - burknął po chwili. - Odnieśliśmy zwycięstwo, i to bezsprzeczne, a poza tym przydałbyś się w domu. Właśnie powiadomiono nas o tym przez radio.

Mikę zbladł. Kapitan generał zaśmiał się.

- Uspokój się, człowieku, to się zdarza. Fakt, troszkę za wcześnie, ale to nic dziwnego przy pierwszej... - Mikę nie słyszał dalszego ciągu. Wybiegł z głównego namiotu, szukając swojego pojazdu i osobistego kierowcy.

Hans zawiózł go do Grantville w rekordowo krótkim czasie, nawet jak na takie drogi, choć oczywiście pikap wymagał później sporo klepania. Mimo to spóźnili się. Rebeka urodziła kilka godzin wcześniej.

- Uspokój się, na miłość boską - powiedział James, biegnąc za Mike'em korytarzem nowego szpitala w Grantville. Szpital zbudowano dwa miesiące wcześniej, a budowniczy zaprojektowali go z myślą o przyszłości, dlatego korytarz był bardzo długi. W połowie drogi Mikę omal nie przewrócił Jeffa, któ-

ry wyłonił się z jednego z oddziałów z ręką na temblaku. Gretchen, która wyszła zaraz za mężem, wykrzyczała słowa pozdrowienia, jednak mężczyzna zareagował tylko nieprzytomnym machnięciem dłoni.

- Wszystko z nią w porządku - rzekł James. - Nie ma żadnych komplikacji. To samo z dzieckiem.

- A tak przy okazji, masz córeczkę! - krzyknął, rezygnując z próby dotrzymania kroku świeżo upieczonemu ojcu.

- Czyż nie jest piękna? - szepnęła Rebeka, tuląc śpiące dziecko w ramionach. - Kathleen - mruknęła.

Zdecydowali się dać dziecku to imię, jeśli urodzi się dziewczynka, jednak Mikę długo o tym myślał w czasie niekończącej się podróży z Norymbergi.

- Nie - rzekł, kręcąc głową. Zaskoczona Rebeka spojrzała na niego. Mikę uśmiechnął się.

- Drugą córkę możemy nazwać Kathleen. Ale tę... - Poglaskał delikatnie malutką główkę. - Tę chciałbym nazwać dla uczczenia dotrzymania obietnicy. Nazwijmy ją Sefarad.

Oczy Rebeki zaszkliły się.

- Och, Michaelu - wyszeptwała. - To by było cudowne.

Przyciągnęła do siebie jego głowę, jednak w połowie pocałunku zaczęła się śmiać.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytał.

- Sefarad! - wykrzyknęła. - To cudowne imię, ale dobrze wiesz, że będą na nią mówić Seffie, zanim skończy dwa miesiące.

I znowu śmiała się i śmiała.

- Prostaki! Nie macie szacunku.

Pfgrtórte aiitea

Zarówno Grantville, jak i osoby je zamieszkujące są fikcją, jednak przy tworzeniu owego miasta i pobliskiej szkoły zbiorczej wzorowałem się na prawdziwym mieście Mannington w Wirginii Zachodniej oraz jego okolicach.

Wiele lat temu mieszkałem w północnej części Wirginii Zachodniej (dokładniej w Morgantown), i kiedy przygotowywałem się do pisania 1632, ponownie odwiedziłem te okolice. Chciałbym podziękować ludziom, którzy wV wtedy pomogli. Szczególnie pragnę wyróżnić Paula Donato i Dave'a Jamesa za godziny, które mi poświęcili w czasie mojej wizyty oraz późniejszych rozmów telefonicznych.

Paul jest dyrektorem North Marion High School, którą wzięłem za wzór liceum odgrywającego tak znaczącą rolę w mojej powieści. Pewnego dnia, kiedy z powodu burzy śnieżnej szkołę zamknięto, poświęcił swój czas na oprowadzenie mnie po wszystkich pomieszczeniach. Mimo że nie wahałem się wprowadzić zmian, które były mi potrzebne do fabuły, liceum z mojej powieści jest niemal takie samo, jak istniejące naprawdę, łącznie ze stacją telewizyjną i wystrojem stołówki. Szkoła North Marion High School wygrała stanowe mistrzostwa w futbolu amerykańskim w latach 1980, 1982 i 1997 oraz otrzymała wiele innych nagród za osiągnięcia sportowe i naukowe. Gablota z trofeami, na której pod koniec książki cesarscy kawalerzyści wyładowują swoją frustrację, naprawdę istnieje i jest równie imponująca jak w moim opisie.

W dzisiejszych czasach państwowym szkołom średnim nie poświęca się zbyt wiele uwagi, dopóki coś złego się nie wydarzy, pragnę więc wszystkim uświadomić, że z ogromną większością amerykańskich szkół średnich wszystko

jest w porządku. Jako chłopiec uczęszczałem do wiejskiej średniej szkoły zbiorczej Sierra Joint Union niedaleko Tollhouse w Kalifornii; była ona bardzo podobna do liceum North Marion High School w Wirginii Zachodniej. Szkoły państwowe - a w szczególności szkoły średnie - wciąż są najważniejszym miejscem kształtowania młodych Amerykanów. Niech inni narzekają na ich wady i niedociągnięcia, ja tego nie będę robił. Kto chce, może sobie

wybierać cholerne boiska sportowe w Eton i całą resztę tej „edukacji” dla wybrańców. Ja za takie coś dziękuję; pozostanę przy demokratycznych i plebejskich metodach nauczania, które stworzyły republikę amerykańską.

Dave James jest komendantem niewielkiej liczebnie policji w Mannington, w związku z czym był bardzo pomocny w przygotowaniu materiału do książki. Dostarczył mi szczegółowych informacji dotyczących komendy policji, okazał się również świetnym źródłem wiedzy na temat miasta i okolic.

Dodatkowo chciałbym podziękować Herbowi Thompsonowi z elektrowni niedaleko Grant Town za wyjaśnienie mi, jak działa nowoczesna elektrownia. Pragnę również złożyć podziękowania Billy'emu Burke, Dyrektorowi Wykonawczemu Agencji Wspomagania Rynku Rolnego przy Ministerstwie Rolnictwa - oddział w Wirginii Zachodniej⁵⁵; Davidowi Adamsowi i Amy Harris, odpowiednio kierownikowi i farmaceutce w jednej z największych drogerii w Mannington, oraz Mike'owi Workmanowi, byłemu górnikowi, a obecnie wykładowcy na Uniwersytecie Wirginii Zachodniej.

Autorowi książki jest trochę niezręcznie dziękować swemu wydawcy, żeby nie wypaść na pochlebcę, jednak uczciwość nakazuje mi podziękować Jimowi Baenowi, który od początku do końca poświęcał tej powieści swą redaktorską uwagę; to dzięki jego wskazówkom i krytyce udało mi się ją niezmiernie ulepszyć. Jestem mu winien wdzięczność szczególnie za hamowanie moich emocji, kiedy zbyt dawałem się im ponieść. Historyczne czarne charaktery pokazane w tej opowieści były w każdym calu tak złe, jak je przedstawiłem, więc czasami ciężko mi było nie dać im tego, na co sobie zasłużyły, i to ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Jednak w gruncie rzeczy 1632 jest książką optymistyczną i Jim nie pozwalał mi o tym zapomnieć.

Wyliczenie pozostałych nazwisk jest bardzo trudne, jest ich po prostu zbyt wiele. Chciałbym jednak podziękować wszystkim osobom, które uczestniczą w bardzo aktywnym czacie Baen Books (www.baen.com/bar/ - „Hang Out at Baen's Bar”) i które odpowiedziały na moją prośbę o wzięcie udziału w procesie tworzenia książki. Szczególnie dziękuję Pam („Pogo”) Poggiani za przeczytanie rękopisu i za pomoc w wyszukaniu rzeczowych i historycznych błędów, które są ogromnym potencjalnym zagrożeniem dla pisarzy tworzących alternatywną wersję historii. Wszelkie błędy, które pozostały w książce, są tylko i wyłącznie z mojej winy. A dzięki sokołemu oku Pam nie ma ich tam przynajmniej kilkunastu.

Historyczne tło powieści jest prawdziwe. Miasto Badenbug zostało przeze mnie wymyślone, tak samo jak postacie Niemców (jak Gretchen Richter), których pozycja społeczna była zbyt niska, żeby historia mogła ich zauważyć. Pozostałe wspomniane w książce miejsca są autentyczne, autentyczne są również postacie historyczne: Gustavus Adolphus i jego generałowie, Axel Oxenstierna, Tilly i Wallenstein oraz ich generałowie, Jan Jerzy z Saksonii, kardynał Richelieu oraz cesarz Ferdynand II. Szkocki oficer Alexander Mackay jest postacią fikcyjną, jednak Szkoci odgrywali w armii Gustawa równie ważną rolę, jak ja im przypisuję w książce. Pomimo że Rebeka i Baltazar oraz inni wspomniani w książce członkowie rodziny Abrabanelów zostali przeze mnie stworzeni, taka rodzina naprawdę istniała. Był to jeden ze wspaniałych rodów sefardyjskich Żydów, wypędzonych z Hiszpanii i Portugalii.

Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy Amerykanie, którzy zaludniają 1632, są wytworami mojej wyobraźni. Chciałbym jednak wierzyć, że są oni wiernym portretem ludności Stanów Zjednoczonych. Jednym z powodów, dla których napisałem tę książkę, jest to, że mam już serdecznie dość dwóch cech współczesnej literatury pięknej, włączając w to science fiction. Pierwszą z nich jest to, że zwyczajni ludzie, którzy zbudowali ten kraj i ciągle utrzymują go w dobrej formie (pracownicy fizyczni, nauczyciele, farmerzy, itp.), prawie w ogóle w literaturze się nie pojawiają. A jeśli już, to jako postacie epizodyczne lub ignoranci i bigoci. W

szczegółności dotyczy to ludzi z takich wiejskich okolic, jak Wirginia Zachodnia. To wieśniacy i prostaki, ciemna masa, z której nikt się nie wyróżnia.

Drugą cechą jest wszechobecny cynizm, który wydaje się ogólnie przyjętą „wyrafinowaną” mądrością tak wielu dzisiejszych pisarzy. Na szczęście nie wszystkich. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego; cynizm jest najbardziej płytką i infantylną filozofią. Czytelnicy mogą twierdzić, że żaden młody człowiek pokroju Jeffa Higginsa nie podjąłby w stosunku do Gretchen takiej decyzji, jaka została przedstawiona w powieści, jednak ten epizod, jak wiele innych, został zainspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Młody amerykański żołnierz piechoty, który spotkał we Włoszech w czasie drugiej wojny światowej prostytutkę zajmującą się swoją rodziną, podjął dokładnie taką samą decyzję, i tak samo jak Jeff, podjął ją w ciągu paru godzin. Nie pytajcie mnie, jak się nazywał lub skąd pochodził, gdyż tego nie pamiętam. Znalazłem tę opowieść w książce historycznej, którą czytałem jako nastolatek. O szczegółach już dawno zapomniałem, ale sam fakt wciąż pamiętam. Bohater tej opowieści równie dobrze mógł być chłopakiem z Wirginii Zachodniej lub Kansas albo z niebezpiecznych ulic Nowego Jorku. Jeśli istnieje jakaś ludzka cecha, która naprawdę nie zależy od klasy społecznej czy miejsca zamieszkania, to jest to odwaga, by stawić życiu czoła.

Jeśli zaś chodzi o górników, którzy są głównymi postaciami opowieści, ludziom może się wydawać, że nie są przedstawieni realistycznie, jednak to nie mój problem. Nigdy nie dostąpiłem zaszczytu zostania członkiem ASG, ale w czasach, gdy byłem aktywnym członkiem związków zawodowych, miałem wiele okazji pracować z ASG. Znam to stowarzyszenie i jego tradycje, które ciągle są żywe. Odnosi się to do górników Navajo na południowym zachodzie, do górników z kopalni odkrywkowych w Wyoming oraz do ludzi z ap-palachijskiego centrum związku. Rozpocząłem tę książkę dedykacją dla mojej matki, która pochodzi z Appalachów. Skończę, dedykując członkom ASG z Sheridan w stanie Wyoming, a szczególnie Danowi Robertowi i Erniemu Roybalowi oraz Maurice'owi Moorleghenowi, który przyjechał, aby mi pomóc, aż z południowego Illinois.

Erie Flint,

East Chicago, Indiana,

sierpień 1999

PRZYPISY ----

Wszelkie cytaty lub odwołania do sztuk Williama Szekspira oparte są na przekładach Stanisława Barańczaka.

«

1 Meteor tunguski: meteor, który w 1908 roku eksplodował parę kilometrów nad ziemią w rejonie syberyjskiej rzeki Podkamienna Tunguska; wybuch spustoszył okoliczną tajgę na obszarze ponad 2000 km², powalając drzewa i wywołując pożary.

2 Callisto: jeden z księżyców Jowisza; Wal hal la: nazwa krateru na tymże księżycu.

I Superstruna: teoria superstrun przedstawia wszelkie znane cząstki elementarne i oddziaływanie sił jako skutek drgań obiektów zwanych superstrunami.

" Solipsyzm: pogląd filozoficzny, według którego istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający, a cała

rzeczywistość jest jedynie efektem jego wrażeń. 5 Przełożył Stanisław Barańczak. ń

Appalachy: pasmo górskie we wschodniej części Ameryki Północnej, ciągnące się na terenie Stanów

Zjednoczonych i Kanady. 7 Parris Island: jeden z obozów szkoleniowych amerykańskiej piechoty morskiej. 14 United Mine Workers of America.

g Khe Sanh: amerykańska placówka w Wietnamie Południowym. 10 Obrzyn: strzelba z uciętą lufą.

II Blackstone Rangers: słynny w latach sześćdziesiątych XX wieku gang chicagowski.

- 12 Hidalgo: szlachcic hiszpański.
- 13 Galen, Claudius Galenus (ok. 129-199): jeden z najsłynniejszych starożytnych medyków.
- 14 Mojżesz Majmonides, Rabbi Mosze ben Maj mon (1135-1204): żydowski filozof, teolog i najwybitniejszy średniowieczny judaista.
- 15 Karaimi: wyznawcy religii, która w VII i VIII wieku powstała na bazie judaizmu; Karaimi uznawali Biblię (zwłaszcza Pięcioksiąg Mojżeszowy), natomiast odrzucali Talmud.
- 16 Awerroes, Ibn Ruszd: (1126-1198): arabski filozof i uczony.
- 17 Przełożyła Magdalena Ruta.
- 18 Przełożyła Magdalena Ruta.
- 19 Przełożyła Magdalena Ruta.
- 20 Przełożyła Magdalena Ruta.
- 21 Przełożyła Magdalena Ruta.
- 22 Blackhorse: przydomek jedenastej dywizji kawalerii pancernej, który pochodzi od używanego przez nią symbolu czarnego konia (ang. black horse).
- " Anabaptyzm: powstały w XVI wieku w protestanckich Niemczech ruch religijno-społeczny. Anabaptyści uznawali chrzest dorosłych zamiast chrztu niemowląt, głosili równość i wspólnotę dóbr, nie uznawali przedmiotów kultu; bardzo istotną rolę odgrywał dla nich wspólny śpiew. Anabaptyści odmawiali też służby wojskowej. Munster: miasto w Niemczech, które w 1534 roku zajęli anabaptyści i ustanowili tam teokratyczny reżim, który upadł w roku 1535.
- 24 Goj: dla Żyda - osoba, która nie jest wyznawcą judaizmu
- 25 On, Wisconsin!: pieśń zagrzewająca do boju drużyny sportowe Uniwersytetu Stanu Wisconsin
- 26 D-Day: umowne określenie daty lądowania wojsk alianckich w Normandii (6 czerwca 1944 roku).
- 27 Awicenna (980-1037): perski medyk, uczony i filozof. 2K Przełożyła Magdalena Ruta.
- 29 Krontypis: tytuł książki umieszczony na osobnej stronie i wkomponowany w rysunek.
- 30 Ukaem: uniwersalny karabin maszynowy.
- " Kemo sabe: określenie używane przez Indianina Tonto w popularnym amerykańskim serialu The Lone Ranger.
- 32 David Crockett (1786-1836): bohater wojny Teksasu z Meksykiem, zginął pod Alamo w 1836 roku.
- 33 Banshee: w wierzeniach irlandzkich - upiórzyca, której przenikliwe wycie jest znakiem czyjejś niechybnej śmierci.
- 34 Seneca Falls: miejsce słynnego zjazdu kobiet w 1848 roku, który rozpoczął walkę o równouprawnienie.
- 35 Harriet Tubman (1820-1913): amerykańska bojowniczka o równouprawnienie czarnoskórych.
- 36 Waffen-SS: zbrojne oddziały podległe nazistowskiej partii NSDAP.
- 37 Maurycy Orański (1567-1625): syn Wilhelma I Orańskiego, namiestnik północnych Niderlandów.
- 38 Partyzana: broń drzewcowa z obosiecznym grotem; u nasady miała dwa rozgałęzienia (najczęściej w postaci skrzydeł).
- 3' Karakol: sposób walki kawaleryjskiej, który polegał na tym, że jeźdźcy z przednich szeregów oddawali strzały, po czym wycofywali się na tyły, aby ponownie załadować broń.
- 40 Markietan: handlarz obozowy wędrujący za wojskiem.
- 4' YSstgóta: mieszkańcy Vastergotlandii, historycznej krainy Szwecji.
- 42 Óstgóta: mieszkańcy Óstergótlandii, historycznej krainy Szwecji; Sinalandczycy: mieszkańcy Smalandii, historycznej krainy Szwecji.

- 43 Filip Melanchton (1497-1560): niemiecki teolog i humanista, zwolennik Marcina Lutra, jeden z przywódców reformacji.
- 44 Abner Doubleday (1819-1893): amerykański generał walczący w czasie wojny secesyjnej po stronie Północy; niesłusznie uznaje się go za wynalazcę baseballu.
- 45 Arthur Wellesley Wellington (1769-1852): angielski generał i polityk, w 1812 roku odniósł zwycięstwo nad wojskami Napoleona pod Salamanką (Hiszpania).
- 46 Wellingtony: wysokie obuwie gumowe.
- 47 Komitety korespondencyjne: amerykańskie organizacje sprzeciwiające się władzy brytyjskiej; ich przedstawiciele uformowali pierwszy Kongres Kontynentalny.
- " Little Big Horn: miejsce bitwy Amerykanów z Indianami Dakota (rozpoczęła się 16 czerwca 1876 roku); mimo przewagi w ekwipunku biali ponieśli druzgocącą klęskę.
- 49 Menonici: odłam anabaptystów; uznawali tylko dwa sakramenty - chrzest dorosłych oraz Eucharystię.
- 50 Wyatt Earp (1848-1929): szeryf i właściciel saloonu na Dzikim Zachodzie.
- " Francois Rabelais (ok. 1494-1553): francuski pisarz; Tomasz Morus, Thomas More (1478-1535): angielski pisarz, arystokrata, humanista.
- 52 Hugo Grocjusz, Hugo Grotius, Huig De Groot (1583-1645): holenderski uczyony, prawnik, filozof i dyplomata; Ksenofont, Xenophon (ok. 430-355 p.n.e.): historyk ateński, uczeń Sokratesa.
- " Matewan: miasto w Wirginii Zachodniej, w którym miały miejsce długotrwałe strajki górników, podczas których dochodziło do starć zbrojnych.
- 54 Sid Hatfield: szeryf Matewan w trakcie, gdy doszło tam do strajków górników.
- 55 Farm Seirice Agency.

DAUID DRAKE

MDSTiP

y^KĘT s IF*j

ERIC FUNT

496 str., cena det. 29,90 zł

;ryie zamiary...

W północnych Indiach Malawianie stworzyli imperium zła. Prowadzi ich, a może zniewala, zdradziecka inteligencja pochodząca z odległego czasu, dysponująca nową bronią i mająca niezwykle pociąg do władzy. Malawianie wkrótce opanują cały świat. I tylko trzy siły mają szansę przeszkodzić im w zdobyciu wiecznego panowania nad ludami ziemi:

Bizancjum. Wschodnie Imperium Rzymskie. W porównaniu ze światem Malawy przypomina Camelot.

Kryształ posiadający wizje przyszłości. Przynosi ludzkości ostrzeżenie przed Malawianami i prostą instrukcję: walczcie. A jeżeli przegracie, lepiej popełnijcie samobójstwo.

I człowiek - Belizariusz. Bez wątpienia jest najlepszym dowódcą, jakiego nosi ziemia. Na nieszczęście tylko on jeden zdaje sobie sprawę, że wygranie wojny nie jest uzależnione od nowej broni, ale od ludzi, którzy będą jej używać. A najbardziej od człowieka, który będzie nimi dowodził. Wystraszony podejrzeniami imperatora i konspiracją Malawian, wystawiony na niebezpieczeństwa przygranicznych wojen, szpiegów i płatnych zabójców, Belizariusz musi udać się do samego serca Imperium Malawiańskiego i uczynić pierwszy krok, aby potworne wizje kryształu nigdy się nie spełniły. Generał i jego bohaterscy towarzysze grają w niebezpieczną grę.

A stawką jest wieczność.

ERIC FLINT

MLrsGD |QG@fe

DAUID DRAKE

432 str., cena det. 29,90 zł

Imperium zła, kierowane przez
inteligencję z dalekiej przyszłości

Imperium Malawy, pomagając sobie bronią palną i bezlitosnym terrorem, podbiło szóstowieczne Indie. Rzesze ludzi, zamieszkujących ten wielki kraj, zostały siłą zmienione w narzędzie tyranii. Tajemnicza istota, która rządzi Malawianami, zamierza najpierw podbić cały świat, a potem rozciągnąć swe panowanie na całą wieczność. Bezlitosny umysł nie waha się wydawać nawet najokrutniejsze polecenia, a Malawianie nie próbują odmówić ich wykonania.

Belizariusz, największy z żyjących generałów, musi, o ile zdoła, ocalić świat. Prowadzony przez wizję przyszłości, która może wcale się nie wydarzyć, wraz z grupą wiernych towarzyszy podąża do samego środka Imperium Malawy, szukając źródła potęgi wroga. Musi stawić czoła niezliczonym żołnierzom, podstępom i zimnej, nieludzkiej inteligencji, która nie zna słabości i litości.

W Konstantynopolu ci, którzy sprzeciwiają się złu, muszą zmierzyć się nie tylko z malawiańskimi zabójcami i domorosłymi zdrajcami, ale także z podejrzeniami samego imperatora, Justyniana Wielkiego, którego błyskotliwy, lecz gwałtowny umysł widzi zagrożenie w każdym kompetentnym doradcy i zdradę w każdej radzie. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, patrioci zginą z ręki malawiańskich zabójców albo egzekutorów imperatora - w zależności od tego, kto dotrze pierwszy.

Kiedy Belizariusz siłą toruje sobie drogę przez północne Indie, w Konstantynopolu wybuchają zamieszki, które mogą doprowadzić do całkowitego zniszczenia miasta, Imperium Rzymskiego i całej nadziei dla ludzkości. Odwaga i spryt muszą stawić czoła nadciągającemu złu...

Ale kiedy Belizariusz stoi na czele sił dobra, tylko głupiec sprzymierzałby się ze złem!

S.M. STIRLING

368 str., cena det. 26,00 zł

Raj Whitehall był młodym szlachcicem w Rządzie Cywilnym, ostatnim bastionie galaktycznej cywilizacji na planecie Bel-levue. Obdarzony niezrównanym talentem strategicznym, Raj marzył o poprowadzeniu swego ludu do zwycięstwa nad zalewającymi go hordami barbarzyńców. Lecz największego wyzwania nie postawili przed Rajem zewnątrz wrogowie, lecz sam Rząd Cywilny. Zasiadający w nim urzędnicy zmienili się w skorumpowanych sprzedawczyków. W szeregach jego armii walczyli najemni barbarzyńcy, gotowi w każdej chwili zwrócić się przeciwko swym znienawidzonym pracodawcom. Najwyżej postawieni dygnitarze wbijali sobie noże w plecy, nie zważając na zbliżających się nieprzyjaciół. A sam gubernator, człowiek, któremu Raj przysiągł absolutne posłuszeństwo, pielęgnował w sobie zawiść i nieufność, które rosły z każdym odniesionym przez Raja zwycięstwem... Na szczęście dla Bellevue Raj miał w rękawie asa, innego jeszcze niż uwielbienie swych żołnierzów i własny geniusz wojenny. Raj był we władaniu - lub sam nim władał - „anioła stróża”, który prowadził go bezbłędnie ku przejęciu władzy nad planetą. Ale czy bojowy komputer z Ery Galaktycznej wystarczy, by przeciwstawić się furii wrogów Raja... i zdradzie jego „przyjaciół”?

ERIC FLINT

ifYRAN

DRAKE,,

416 str., cena det. 28,90 zł

Terazniejszość jest fatalna

Imperium rządzące na północy jedyne wielkiego kontynentu Hafardine jest brutalne i skorumpowane. Jego armie uczyniły z sąsiadujących z nim ludów swoich poddanych, jego gospodarka opiera się na niewolnictwie, zaś arystokraci łupią prowincje udając, że nimi

zarządzają. Na zachód od Imperium znajdują się wyspy, których każdy mieszkaniec jest albo piratem albo niewolnikiem. Po drugiej stronie przesmyku, na południu, osiadły stale się zwalczające i żyjące w nędzy plemiona barbarzyńców, które jednoczy jedynie nienawiść do miast i zamieszkujących je ludzi.

A przyszłość będzie jeszcze gorsza. Jeśli w tysiąc lat po zerwaniu międzygwiazdnej komunikacji nastąpi upadek Imperium, to pociągnie on za sobą zgaśnięcie ostatniej iskielki cywilizacji na Hafardine. A upadek Imperium nastąpi pod ciężarem jego chciwości i przywar, chyba że dwaj ludzie z Hafardine, umiejący odczytać znaki, zdołają zmienić przyszłość. Nadzieja na lepszą przyszłość oznacza jednak chaos. Na południu, przebywający na wygnaniu filozof Adrian Gellert próbuje zmienić barbarzyńców w naród, który zdoła zastąpić Imperium, zanim pograży się ono we własnym rozkładzie. W umyśle Adriana znajdują się podszeptujące mu, bezcielesne inteligencje pochodzące z gwiazd, przynosząc mu wiedzę o nowej broni i całych dziejach historii ludzkości. A w samym Imperium arystokrata, Sędzia Demansk, dzierży polityczną i wojskową władzę z wdziękiem żonglera i bezwzględnością ulicznego zbira.

I nawet ta nadzieja jest płonna. Jeśli uda się jednemu z nich, to drugi przegra. A jeśli obaj poniosą klęskę, Hafardine pograży się na zawsze w mroku Długiej Nocy.

Rozpieszczony książę w opalach

Roger Ramius Sergei Chiang MacClintock nie rozumiał.

Był młody, przystojny, dobrze zbudowany, świetnie się ubierał. Był trzeci w kolejce do Tronu Ludzkości... dlaczego więc nikt na Dworze mu nie ufał?

Dlaczego nawet jego matka, Cesarzowa, nie chciała wyjaśnić, dlaczego nikt mu nie ufa?

Dlaczego na Dworze nie wolno było nawet wymawiać imienia jego ojca? Dlaczego matka postanowiła wysłać go na zapomnianą przez Boga i ludzi planetę, na pokładzie statku niewiele lepszego od starego frachtowca, by reprezentował ją podczas lokalnego święta, bardziej odpowiedniego dla trzeciego zastępcy podsekretarza stanu? Nie powinno nikogo dziwić, że ktoś z jego pozycją zaczął zachowywać się jak rozkapryszony, myślący tylko o sobie, rozpuszczony bachor. Co innego mógł zrobić ze swoim życiem? Było tak, zanim sabotażysta próbował wysadzić w powietrze jego statek. Potem jego statek zestrzeliły okręty najgorszego rywala Imperium Człowieka. Roger wylądował na Marduku, którego dżungle pełne były chrystebestii, morderczych gąsienic, drapieźnych roślin, gwałtownych ulew i hord barbarzyńców o naprawdę paskudnych zwyczajach. Teraz musi tylko przejść na piechotę pół planety, zdobyć port kosmiczny zajęty przez Złych, porwać statek i wrócić do domu, żeby spytać Matkę, co to wszystko ma znaczyć. Na szczęście ma asa w rękawie - kompanię Bravo batalionu Brąz, Osobistego Pułku Cesarzowej. Jeśli ktokolwiek może wydostać go cało z Mar-duka, to właśnie Brązowi Barbarzyńcy. Pod warunkiem, że książę Roger dorośnie, zanim wszyscy przez niego zginą.

Są takie dni, że po prostu nie warto wychodzić ze śpiwora.

Nie chodzi nawet o to, że książę Roger i pozostała przy życiu resztką jego gwardii utkwili na pełnej barbarzyńców planecie. Czy o to, że zaczynają powoli nie wytrzymywać tempa wydarzeń. Czy o to, że wciąż mają przed sobą pół świata do przebycia. Czy nawet o to, że właściwie nie mają już amunicji do karabinów śrutowych i plazmówek, a pieniądze skończą im się lada dzień. Jasne, to wszystko są kłopotliwe sprawy, ale prawdziwym problemem jest coś zupełnie innego. Prawdziwym problemem jest to, że Roger się zakochał. W jednej z członkiń swojej obstawy. A ich romans nie toczy się najpomyślniejszym torem.

Chrystebestie? Jasne. Czy wampiry? W porządku. Hordy wrzeszczących barbarzyńców? Nie ma sprawy. Ale skaczący sobie do oczu Nimashet Despreaux i książę Roger Ramius Sergei Chiang MacClintock - to już poważne zagrożenie. A to tylko początek...

Żeby dotrzeć do odległego portu kosmicznego, który jest ich jedyną drogą ucieczki z planety, będą musieli walczyć z rozwścieczonymi potworami, wysiedlonymi najemnikami, fanatykami

religijnymi i hordą barbarzyńców, która mogłaby zawstydzić Hunów. Po drodze będą musieli odtworzyć przebieg Reformacji, Renesansu i Rewolucji Przemysłowej, i to w kontekście, z którym będą mogli sobie poradzić ich czwororęcy, rogaci miejscowi sprzymierzeńcy rozmiarów niedźwiedzia grizzly. Jako najbardziej elitami, najbardziej wszechstronnie uzdolnieni i utalentowani, a co najważniejsze, najtwardsi ochroniarze w ludzkim kosmosie będą musieli wykorzystać całą swoją wiedzę i doświadczenie. Najtrudniejsze zadanie - co zrobić, żeby Roger i Nimashet nawzajem się nie pozabijali.

WOmmWtmmt

^tm

DAM D WEBER

MARSZ

Kii W ORZ U

MDWEfcER

M ifjj

JOHN RINGO

512 str., cena det. 24,90 zł

448 str., cena det. 28,90 zł

*john:ringo fi

496 str., cena det. 32,90 zł

Mając takich przyjaciół.

Ziemia znalazła się na drodze zachłannych Posleenów. Pokojowe i przyjazne rasy galaktycznej Federacji proponują wsparcie zacofanym Ziemianom - ale nie za darmo.

Ludzkość musi teraz bronić trzech światów.

Kiedy ziemskie wojska spieszą do walki, a jednostki specjalne penetrują obce światy, ludzkość otrzymuje cenną lekcję: można obronić się przed wrogami, ale niech Bóg strzeże nas przed sojusznikami.

448 str., cena det. 24,90 zł

Obcy przybyli do nas z darami,

przestrogami i propozycją nie do odrzucenia

Mieliśmy prosty wybór: albo będziemy mięsem armatnim, albo... po prostu mięsem.

Mogliśmy wysłać nasze wojska i walczyć - tak, jak tylko ludzie potrafią

- z rozszałałą hordą, która dosłownie żywiła się łupami swoich międzygwiazdnych podbojów; mogliśmy też czekać, bezbronni, aż zostaniemy pożarci. Wybraliśmy walkę.

Dzięki technologii Galaksjan i własnej odwadze Ziemianie powstrzymali Posleenów na dwóch światach. Wywalczyli sobie chwilę oddechu, chwilę - choć krótką

- pokoju...

Dla weteranów Sił Ekspedycyjnych Barwhon i Diess oznacza to szansę uwolnienia się od wspomnień o krwawych starciach z posleńskimi centaurami, wspomnień o krzykach konających w purpurowych bagnach żołnierzy i o masakrach pod palącymi, obcymi słońcami.

Dla Ziemi to możliwość uzupełnienia armii niedoświadczonych rekrutów zaprawionymi w boju weteranami. W wyniku politycznych, wojskowych i naukowych błędów ziemskie wojska pograżyły się w chaosie, a w obliczu nadciągającej inwazji ci umęczeni żołnierze mogą być jedynymi ludźmi, którzy będą w stanie ocalić Ziemię od zniszczenia.

Gdyby tylko mieli czas, żeby wylizać się z ran. Bo Posleeni nie trzymają się planu.

672 str., cena det. 39,90 zł

Dwaj dowódcy, człowiek i obcy, równi sobie godnością...

Po pięciu latach walk z posleńskim najeźdźcą z ludzkiej cywilizacji pozostała zaledwie garstka wysoko uprzemysłowionych dolin, których mieszkańcy prześcigają się w tworzeniu coraz to potężniejszych wojennych machin, mających stawić czoła znienawidzonemu wrogowi. Po pięciu latach walk z ludźmi Posleeni są zmęczeni. Ludzie nie walczą fair.

Posleeni są gotowi na zmianę, dlatego nadchodzi Tulo'stenaloor. Raz pokonany, potrafi wyciągnąć wnioski ze swojej klęski.

Teraz nadeszła pora konfrontacji. Dwaj dawni przeciwnicy mają zmierzyć się w bitwie, która rozstrzygnie o przyszłości galaktyki na następne tysiąclecia. A kiedy major Michael O'Neal, dowódca pierwszego batalionu 555 pułku piechoty mobilnej, staje naprzeciw

Tulo'stenaloor...

...czas zatańczyć z diabłem.

528 str., cena det. 29,90 zł

I raz jeszcze w wyłom

Kiedy linie obronne w Południowych Appalachach upadły, między rozszalałymi hordami Posleenów a miękkim podbrzuszem Płaskowyżu Cumberland pozostali już tylko weterani 555-go Piechoty Mobilnej.

Zrzućeni w przełęcz Rabun Pass, mając dwa miliony Posleenów za sobą i czternaście milionów przed sobą, stoją przed jednym tylko pytaniem - co się skończy pierwsze: energia, amunicja czy żołnierze.

Ale mają jednego asa w rękawie: daleko na północy, podziurawiona w boju SheVa Dziewięć, przezwana „Bun-Bunem”, przechodzi poważny lifting. Z jej dymiących zgliszcz powstaje nowa machina wojenna, wyposażona w najnowocześniejszą broń, jaką stworzyła Ziemia, zdolna stawić czoła zarówno hordom Posleenów, jak i ich niepokonanym kosmicznym krążownikom. Zdolna zgotować obcym piekło, jakie tylko SheVa Dziewięć potrafi rozpuścić. Jeśli jednak Mikę O'Neal i pozostali członkowie 555-go mają przeżyć, Bun-Bun musi skopać naprawdę dużo posleenińskich tyłków. Przygotujcie się na faszeringowanie antymaterią, Posleeni.

336 str., cena det. 29,90 zł

Cykl General

Kuźnia S.M. Stirling i David Drake

Młot S.M. Stirling i David Drake

Kowadło S.M. Stirling i David Drake

Stal S.M. Stirling i David Drake

Miecz S.M. Stirling i David Drake

Wybraniec S.M. Stirling i David Drake

Reformator S.M. Stirling i David Drake

Tyran Erie Flint i David Drake

Cykl Belizariusz

Podstęp David Drake i Erie Flint

W Sercu Ciemności Erie Flint i David Drake

Cykl Marsz

Marsz w głąb lądu David Weber i John Ringo

Marsz ku morzu David Weber i John Ringo

Marsz ku gwiazdom David Weber i John Ringo

Czyny Paksenarrion

Córka Owczarza Elizabeth Moon

Podzielona Wierność Elizabeth Moon

Przysięga Złota Elizabeth Moon

Cykl Esmay Suizy

Być Bohaterem Elizabeth Moon

Zasady Walki Elizabeth Moon

Zmiana Dowództwa Elizabeth Moon

Przeciw Wszystkim Elizabeth Moon

Prędkość Mroku Elizabeth Moon

Pieśń przed bitwą John Ringo

Pierwsze uderzenie John Ringo
Taniec z diabłem John Ringo
Doktryna piekieł John Ringo
Przysięga Mieczy David Weber
Zaprzysiężony Bogu Wojny David Weber
Przysięga Wietrznego Jeźdźca David Weber
Chłódiec i ieeoczole Leo Frankowski
S.M. Stirling i Holly Lisie
Sprzedaż wysyłkowa
realizowana za pobraniem, na podstawie zamówienia
(www, e-mail, telefon, list)
<http://www.isa.pl/sklep>; sklepik@isa.pl; (22) 846 27 59;
ISA Sp. z o.o., Al. Krakowska 110/114, 02-256 Warszawa